

25. Bohaterowie 03 - Szczęście lasicy

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Dragonlance Saga Cykl Bohaterowie tom trzeci

Michael Williams

Szczęście łasicy

Część pierwsza

Od Zamku nad Fosą do Bagna Wardenów

Znak Łasicy jest tunelem nad tunele, zaklęciem nad zaklęciami. Podkopyje sam siebie, kopiąc zasię odślania daremność wszelkich dróg. więc w ciemnościach, dopóki mrok nie wyjawia sekretów mrocznego korowodu filozofów. Calantina, IX:IX

Rozdział pierwszy

WSZYSTKO ZACZEŁO SIĘ NOCĄ podczas uczty, w której nie wziąłem udziału.

Inni się bawili, ja zaś sprzątałem komnaty mojego starszego brata Alfrica, wymiatając z nich gromadzące się tam codziennie sterty mokrych szat, kości i łupin melonów. Pokoje Alfrica przypominały śmietnik lub legowisko ogra. Nie wątpiłem, że słudzy, którzy nagle gdzieś poznikali, kryją się w domku przy fosie i wkrótce zeń wyjdą.

Proszę was, nie zrozumcie mnie źle. Nie byłoby to sprawiedliwe, gdybym kiedykolwiek porównał mojego brata do ogra. Ogry są większe i bardziej złośliwe. I pewnie bystrzejsze.

Alfric jednak miał dość rozumu, by wrobić mnie w sprzątanie i mycie okien w jego komnatach, podczas gdy reszta rodziny, wspólnie ze znamienitym gościem, raczyła się kolacją.

Od ośmiu lat brat szantażował mnie ujawnieniem najdrobniejszych choćby moich przewinień. Tak więc, kiedy synowie rycerzy solamnijskich spędzali czas, uganiając się konno za sokołami, moja młodość mijała na sprzątaniu i drzeniu z obawy, ponieważ... no, powody wyjaśnią się nieco później.

Wystarczy rzec, że w wieku lat siedemnastu zacząłem się buntować, uważałem bowiem, że jestem już za stary, by pełnić funkcję osobistego sługi starszego brata.

Podczas gdy ja wycierałem kurze w jego komnatach, Alfric siedział za stołem w wielkiej hali, gdzie ojciec zabawiał sir Bayarda Brightblade'a z Vingaard, rycerza solamnijskiego, który odwiedził nasz skromny, otoczony fosą zameczek. Wjeżdżając w bramy naszego zamku, sir Bayard odziany był w lśniącą zbroję, która stała się już tematem pieśni i jednej czy dwu legend. Na domiar wszystkiego sir Bayarda uważano za pierwszego szermierza w północnej Solamni. Na mnie nie robiło to zresztą wrażenia.

Szczególnie irytującym aspektem tej wizyty był fakt, iż stała się ona wybawieniem dla Alfrica. Wyglądało bowiem na to, iż sir Bayard wyruszył na wyprawę, by podczas świetnego turnieju ubiegać się o rękę

córki jakiegoś szlachcica z południa, ryżowy nasz zagon odwiedził zaś jedynie ze względu na uprzejmość, którą chciał wyświadczyć naszemu sławnemu niegdyś ojcu. Obiecał mu kiedyś, że weźmie do rycerskiej służby mojego brata, który obecnie skończył dwadzieścia jeden lat, wiek dość zaawansowany — jak na giermka — i któremu odmówiło już kilku innych rycerzy. Sir Bayard miał oto wziąć Alfrica ze sobą, nauczyć go manier i zwrócić ojcu jako człowieka nie bez perspektyw na rycerski pas i ostrogi.

Gdy Alfric usłyszał te radosne nowiny, oczywiście musiał je jakoś uczcić. Dziś rano znaleziono więc w stajni kolejnego zajeżdżonego na śmierć konia i raz jeszcze stanęła w ogniu kwatera naszego wychowawcy, Gileandosa. Owe podpalenia były rozrywką, której ja i Alfric oddawaliśmy się z równym zapalem, jak zwykle jednak podejrzenie padło na mnie, co skończyło się moją banicją z

przygotowywanej na naszych oczach uroczystej kolacji.

Na dole rozlegał się więc teraz śmiech i słychać było brzęk naczyń, ja zaś wycierałem szafkę mojego brata, na której paluchem w kurzu wypisano: „Byłem tu. Alfric”. Niewątpliwie przy winie i dziczyźnie rozmawiano o mnie i wszyscy wyrażali nadzieję, że już niedługo wyrosnę z... z czego tam powinienem wyrosnąć. Brithelm, mój średni i pokrewny mi duchem brat, został wyproszony z jadalni ze względu na, bogowie jedynie wiedzą jak stary i szlachetny, post, Alfric zaś niewątpliwie rozpierał się teraz po prawicy ojca i kiwając głową, przytakiwał staremu przykowi (który niewątpliwie miał na względzie jedynie nasze dobro), podczas gdy sir Bayard z pewnością spoglądał na wszystko z powagą i łaskawym rycerskim przyzwoleniem.

Kipiałem więc z gniewu, wymiatając sterty popiołów, kości i piór. Jak miało okazać się później, mój gniew — nie mówiąc o całej historii — dopiero się rozpoczynał.

Gdy wczołgałem się pod łóżko, aby skończyć zmiatanie, zanim wezmę się za mycie okien — które musiałem, psiakość, przecierać codziennie — usłyszałem jakiś szmer przy drzwiach. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Alfric, który mając już dość uciech przy stole, przeprosił uprzejmie zebranych i przywłókł się tu na górę, by sprać mnie dla samej radości wytrzęsienia ze mnie ducha. Kuląc się pod łóżkiem, zamarłem więc wśród zbitych garnków, pustych butelek, zużytych kaganków i kości.

Od strony drzwi dobiegł zaś głos, słodki niczym miód, głęboki i melodyjny. — Hej, ty tam pod łóżkiem, gdzie podziali się wszyscy? Nie musisz się

kryć, potrafię bowiem przejrzeć mrok z równą łatwością, z jaką widzę przez zasłony czasu, kamienia czy metalu. Widzę cię więc. Gdzie jest reszta mieszkańców tego domostwa? Mam tu coś do załatwienia.

Głos ten nie ustępował twardości stali i zwiastował niebezpieczeństwo. Przywodził mi na myśl głos zabójcy lub najemnego mordercy, który przemawia słodko niczym pienia chóru i łagodnie jak wiolonczela w rękach mistrza nawet wtedy, gdy mówiący sięga po sztylet lub nalewa komuś trucizny.

Przysiągłbym, co więcej, iż po wejściu nieznanego przygasło światło w komnacie, z podłogi zaś podniosła się nikła mgiełka. Temperatura nagle spadła tak, że meble pokryły się koronkami szronu.

Przerażony bardziej niż na początku, kiedy obawiałem się jedynie brata zamierzającego stłuc mnie na kwaśne jabłko, odpowiedziałem tak, aby nie zdenerwować osobnika i narazić na jak najniższe niebezpieczeństwo najbardziej mi drogie osoby w domu.

— Nie wiem, kim jesteś, panie, proszę jednak, nie czyn mi krzywdy. Jestem trzeci w kolejce do tytułu dziedzica tych włości, nie warto więc mnie nawet porywać. Jeśli szukasz, panie, mojego ojca, znajdziesz go na dole w sali jadalnej, łatwiej jednak będzie ci go wziąć na cel, gdy zaczaś się nań rankiem, kiedy będzie wdrapywał się po schodach. Dowiedz się przy okazji, że sześć miesięcy temu miał wypadek podczas polowania i utyka, gdy chodzi, by odciążyć lewą nogę, mierz więc nieco w prawo. — W tym miejscu wybuchnąłem płaczem, nie zwlekałem jednak z dalszymi propozycjami. — Jeśli zamierzasz zaatakować mojego brata, Brithelma, to pewnie medytuje w swoim pokoju. Chodzi o jakieś święto religijne. Korytarzem w dół i trzecie drzwi na lewo. — Brithelm był nieszkodliwym i dobrodusznym chłopcem, ze wszystkich członków rodziny lubiłem go najbardziej. Nie na tyle jednak, aby nie podsunąć go zamiast siebie potencjalnemu mordercy. Pospiesznie ciągnąłem wyliczankę dalej: — Na tym piętrze znajdziesz jeszcze tylko Gileandosa, naszego wychowawcę i opiekuna. On jednak niczego nie usłyszy, bo leczy się z poparzeń i o tej porze prawdopodobnie zdążył się już nielicho zaprawić gorzałą.

Snując ów łańcuch zdrad, nadal siedziałem pod łóżkiem, skąd mogłem widzieć nogi intruza tylko

do kolan. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach, potem wszedł do komnaty i rozsiadł się w fotelu. Jego stopy widziałem przez wypukłe szkło uszkodzonej lampy i wydały mi się ogromne, miał zaś na nich czarne, wysokie skórznie ozdobione srebrnymi skorpionami, jakby sama czerń butów nie była dość złowroga. Pospiesznie zgarnąłem przed siebie stertę kości, potłuczonego fajansu i brudnych szmat, sam zaś

niemal wcisnąłem się w ścianę, pod którą stało łóże Alfrica.

— Panie, oczywiście, mam też starszego brata, Alfrica. Jeśli życzyłbyś sobie poznać jego zamierzenia na parę najbliższych dni lub spis jego ulubionych potraw...

— Ależ mój mały... — przerwał mi obcy, którego śpiewny głos zabrzmiał teraz kojąco niczym kołysanka. — Nie zamierzam wyrządzić krzywdy żadnemu z członków twojej rodziny. No, chyba że zostanę do tego zmuszony. Szukam kogoś innego...

— Ach, masz panie na myśli sir Bayarda? Jeśli zamierzasz odebrać mu życie, lepiej będzie, abyś przyszedł nieco później, gdy wszyscy — nawet służba — zasną. W ten sposób przeprowadzisz rzecz sprawniej i bardziej prywatnie. Nie zamierzasz chyba zabijać kogoś bez potrzeby?

— Mały, czy ty mnie w ogóle słyszałeś? — Przybysz przemówił ciszej, a powietrze zmroziło się jeszcze bardziej. Przestały nawet śpiewać słowiki za oknem, jakby cały zamek i wszystko wokół niego ucichło, by nie stracić żadnego ze słów mordercy. — Ty chyba uwielbiasz dźwięk własnego głosu, co? Powiadam ci, dziś nie zamierzam nikogo pozbawić życia.

Oparłem się na łokciach, wznecając pod łóżkiem tuman kurzu, który — taką żywiłem przynajmniej nadzieję — ukryje równie dobrze moje myśli, jak i moją rozdygotaną osobę.

Podczas gdy ogień na kominku marniał w oczach, nieznajomy w czerni poświęcił chwilę czasu na wyjaśnienia.

— Dziś w nocy nie czyham na niczyje życie. Nie, dziś z pewnością nie. Pożądam jedynie zbroi, mój mały, sławnej zbroi Bayarda z Vingaard, znanego Rycerza Miecza, który, jak rozumiem, zatrzymał się dziś na noc w tym domu. Chodzi mi wyłącznie o zbroję, ta zaś jest chyba — jak myślisz? — niezbyt wysoką zapłatą za bezpieczeństwo tak bardzo kochanych przez ciebie twoich bliskich.

Godzi się rzec, że najbardziej mi droga osoba tkwiła właśnie pod łóżkiem. Jeśli przedtem beczałem ze strachu, teraz otoczony śmieciami rozplakałem się z ulgi i radości. Mój gość okazał się zwykłym złodziejaszkiem. Był właściwie pokrewną mi duszą.

Gdybym pomyślał, że wielbiąc złodzieja zasłużę sobie na jego względy, byłbym wyczołgał się spod łóżka, aby ucałować te srebrne skorpiony i czarne obcasy. Obawiałem się jednak, że wykonywanie zbyt szybkich ruchów jest niezbyt rozsądne. Zamiast tego zacząłem się więc zastanawiać, do czego potrzebna mu jest zbroja sir Bayarda.

Niedługo trwało, zanim rozgryzł powód mojego milczenia. Poruszył się w fotelu, w komnacie zaś powiało chłodem.

— Tak jak mówiłem, mój mały Galenie, interesuje mnie jedynie zbroja, ciebie zaś nie powinno obchodzić, jaki z niej zrobię użytek.

Pomyślałem o pięknym solamnijskim napierśniku, nagolennikach i hełmie, które wyczyszczone do połysku przez mego najstarszego brata stały sobie w wielkiej, mahoniowej szafie w komnacie gościnnej. Niechaj się intruz nimi zajmie. Ja miałem swoje zmartwienia. — Skąd znasz moje imię, panie?

— Och... to również nie powinno cię obchodzić. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

— No... jeśli pragniesz, panie, tylko zbroi, jest twoja. — Przez cały czas łowiłem uchem odgłosy kroków z dołu. — Zamknięto ją w wielkiej mahoniowej szafie w komnacie gościnnej. Bierz, jeśli chcesz. — Aha! — odezwał się.

— Sęk w tym, że komnata gościnną jest zamknięta na trzy spusty. Klucze zaś ma mój starszy brat, Alfric. Sądzę, że będziesz, panie, musiał wylamać drzwi albo użyć wytrychów, to jednak potrwa zbyt długo, włamanie zaś podniesie na nogi cały dom.

— Ależ mój mały, jest przecież inne wyjście — stwierdził nieznajomy rozsiadając się wygodniej, co pozwoliło mi ujrzeć podniszczone obcasy jego butów. W mroźnym powietrzu rozszedł się zapach dymu, potu i zaschłej krwi. — Uwielbiam rozwiązania alternatywne.

Coś mi szepnęło, że nie mam do czynienia z typowym złodziejaskiem i że wpadłem po uszy.

W powietrzu mignęło coś, szybko i cicho jak atakująca żmija, i obok mnie spadł niewielki, skórzany worek. Niezdarnie zmieniłem pozycję i rozwiązałem rzemień. W słabym świetle ujrzałem kilka lśniących klejnotów. Były to onyksy albo czarne opale. Mogły to być też wyjątkowo ciemne nefryty. Pod łóżkiem panował mrok i niełatwo było orzec. Zimne i gładkie klejnoty zadzwoniły uwodzicielsko, gdy poruszyłem dłoń.

— To za fatygę, mój dobry Galenie — gruchał głos nieznajomego, mimo to wzdrynąłem się. Nieznajomy ciągnął dalej: — Wrócę do zamku o północy, wtedy zaś spodziewam się, że bez przeszkód wejdę do komnat gościnnych, gdzie zbroja będzie już na mnie czekała. I na tym zakończy się nasza znajomość. Jeśli jednak nie dotrzymasz umowy, jeśli przerwiesz swe — tak radujące mnie w tej chwili — milczenie, mówiąc o mnie komukolwiek lub choćby tylko wypowiadając się na głos wśród pustych ścian swej sypialni tej albo którejkolwiek innej nocy... nie zostawisz mi wyboru i obedrę cię ze skóry, drogi chłopcze. W pierwszej chwili zlekceważyłem tę groźbę. Pieściłem wzrokiem

trzymane w dłoni klejnoty i zastanawiałem się, ile też dadzą mi za nie kupcy w wiosce, którzy do tej pory, mimo gróźb i prośb, nie otworzyli mi jeszcze kredytu. Takich jak ja durniów bogowie obdarzają kłopotami.

Skuszony chciwością wysunąłem rękę spod łóżka, aby lepiej przyjrzeć się klejnotom. Kamienie były zielone i żółte, nakrapiane głęboką czerwienią. Moją zaś dłoń chwyciła odziana w czarną rękawicę łapa przybysza.

W pierwszej chwili zdziwiłem się, potem zaś poczułem coś znacznie gorszego, gdy ból od mocnego chwytu niczym trucizna popłynął ramieniem w górę. Wydało mi się, że komnata zawirowała nagle i mocno oszołomiony zacząłem się szarpać, by utrzymać równowagę. Uścisk zelżał dość nieoczekiwanie, gdy zaś odetchnąłem z ulgą, poczułem lekkie drapanie i swędzenie w ręce.

Wyróżniając się czernią pancerza wśród blasku kamieni, na mej dłoni spoczywał prawdziwy skorpion, z podwiniętym i gotowym do ciosu ogonem. Niemal zemdlałem z przerażenia, jednak słodki jak miód głos ponownie przywrócił mi zdolność rozumowania.

— Coś mi podpowiada, że nie słuchasz mnie, młodzieńcze, z należytą... uwagą. Pozwól więc, że wyjaśnię to nieporozumienie i zniweczę twoją skłonność do lekceważenia realnej wartości moich gróźb. Chcę, aby pomiędzy nami zapanowały stosunki... niemal uczciwe. Nawet skorpiony przestrzegają pewnych zasad, choć ustanawiają je same dla siebie. — Stworzenie zachowało absolutny bezruch, jakby było hebanową broszą. Broszą ze śmiertelnie niebezpieczną igłą. Moja sztywna jak z gliny dłoń nagle stała się dla mnie najważniejszą rzeczą w komnacie, ba... w całym świecie, i punktem, wokół którego wił się ów jedwabisty głos. — W tej zaś transakcji zasady są proste. Ty robisz to, co ci każe. Zachowujesz milczenie. Godzisz się przybywać na moje wezwanie i nigdy nie próbujesz rozwikłać tajemnicy moich poczynań. Za to zaś przedłużasz swoje życie z dnia na dzień. Oczywiście, zażądamy od ciebie, byś zrobił dla nas to lub owo, aby przekonać się, czy wpoileś sobie zasady i czy... okazujesz należytą chęć współpracy. Śmierć niekiedy bywa ukojeniem, mój chłopcze. Możesz się zestarzeć, czekając z utęsknieniem na jej nadejście. — Skorpion zniknął.

Szybko zacisnąłem palce, rozsypując klejnoty po podłodze. Gdy ucichł już ich stukot, gdy ostatni kamień zatrzymał się przed fotelem, w którym rozsiadł się intruz, przybysz wstał. W świetle ognia kominka błysnęła czerń jego wysokich skórzni.

— Pamiętaj, Galenie Pathwarden. Skorpion może wrócić równie szybko, jak zniknął, i równie niespodziewanie. Odbierzemy swoją własność o północy z komnat gościnnych w zamku nad fosą. O tej porze zbroja będzie w moim posiadaniu lub zabiorę ciebie.

Nieoczekiwanie buty skierowały się w stronę krzesła, którego intruz użył, aby wejść na parapet okienny. Następnie wyszedł w gęstniejący mrok przepaści o wysokości trzech pięter, zostawiając za sobą jedynie łoskot okiennic. Z doświadczenia wiedziałem już, że bezpieczniej będzie pozostać pod łóżkiem. Z góry dobiegł mnie odgłos trzeszczenia schodów, którymi służący wchodzili na wieżę, wkrótce zaś dźwięk dzwonu oznajmił minięcie kolejnej godziny.

Potem nastąpiła cisza, powietrze w komnacie zaczęło się ocieplać, za oknem rozległ się śpiew ptaka, a ja przestałem w końcu się trząść. Wyczołgałem się spod łóżka i przez chwilę leżałem na podłodze wśród rozsypanych niczym zwykle kamyki czarnych opali, odzyskując oddech.

Bo były to czarne opale — dość znaczna łapówka za moje wysiłki i milczenie. Zebrałem je i obejrzałem, szukając skaz. Skorpion, bo tak go ochrzciłem ze względu na jego kompanię i ubiór, był najwidoczniej człkiem dotrzymującym słowa.

Nasunęło mi to oczywiście inną myśl. Człowiek, który dotrzymuje słowa w jednej sprawie... .. dotrzyma go pewnie i w innej.

Zerwałem się i wybiegłem z komnaty Alfrica, zostawiając za sobą pokój na poły posprzątany, okna otwarte i kominek wypełniony popiołem. Pomknąłem w dół granitowymi schodami, pokonując dwa stopnie jednym susem. Niemal straciłem równowagę na półpiętrze, ale wziąłem się w garść i pobiegłem do komnat gościnnych.

Okazały się starannie zamknięte. Rygiel na ryglu, i na tym wszystkim jeszcze jeden rygiel.

Klucze zaś dyndały sobie niczym dzwoneczki u sań na pasie Alfrica, który siedział gdzieś w głównej hali, podczas gdy jego mały braciszek czekał na północ i na obdzieranie ze skóry. Wyjąłem sztylet i zacząłem dłubać przy górnym zamku.

Mógłbym tam tkwić, postępując i dłubiąc w zaniku aż do krytycznej godziny, wpadając w miarę upływu czasu w coraz większą panikę. Szczęście jednak — szczęście Łasicy, jak nazywał Alfric moją zdolność do wpadania w szambo i wydostawania się zeń, pachnący niczym jaśmin — po dość długim okresie ignorowania mojej osoby, raczyło się wreszcie do mnie uśmiechnąć.

Usłyszałem, że ktoś podąża do komnat Alfrica. Ciężkie kroki, postękiwania oraz gniewne pomruki powiedziały mi, że to mój braciszek, który najwidoczniej podczas uczy dorwał się do dzbana z winem, podczas gdy ojciec i sir Bayard poświęcili się szlachetnym rozważaniom i rozmowom.

Zataczając się niczym ogr, od którego zalatuje woń pożartej przezeń wieprzowiny i wypitych trunków, braciszek zatrzymał się na drugim podeście. Osłaniając oczy ociekającą tłuszczem dłonią, spojrzał w moją stronę. — Łasico, to znowu ty? Widziałem cię przed chwilą na schodach. Jeśli sami się nie domyśliliście, wyjaśnię, że Alfric nazywa mnie Łasicą. W starej mowie solamijskiej galen oznacza Łasicę, Alfric ma zaś własne (niegodne) powody, dla których używa tego określenia.

— Zawory mi puściły — wyjaśniłem, licząc na jego zaćmiony winem wzrok. — Jak twojemu gościowi podoba się przyjęcie? — ciągnąłem, wkładając w swoje słowa tyle braterskiego przejęcia i słodyczy, ile zdołałem z siebie wykrzesać.

Do Alfrica dotarło wreszcie, że pochylałem się przy drzwiach komnaty gościnnej w sposób, w jaki nie powinienem się pochylać, gdybym miał godziwe zamiary. Ruszył więc ku mnie, mocno się

zataczając, jego zaś zaciśnięte pięści zapowiadały, że zdrowo mi przyłoży. — Braciszku, co ty tam kombinujesz przy tym zamku?

— Alfric, mnie tu po prostu nie ma. Przed chwilą widziałeś mnie na schodach, pamiętasz? To, na co patrzysz, to skutek kaca i winnych oparów. Muszę ci rzec, drogi bracie, że podczas gdy my tu sobie gaworzymy, w naszym starym zamczysku dzieją się mroczne i tajemnicze sprawy, które zagrażają nam wszystkim. — Nieźle, jak na początek. — Tobie zaś w pierwszym rzędzie. Masz bowiem zostać giermkim pewnego znanego rycerza, którego... majątek ruchomy może ulec tej nocy znacznemu uszczupleniu.

Alfric zaniechał szarży, czknął potężnie i wbił we mnie wzrok równie tępy, co zdumiony. Gdyby mnie dopadł, w jednej chwili wytrząsłby ze mnie klejnoty, a w następnej resztę historii. W zamian zaś dałby mi po łbie i zostawił tu nieprzytomnego.

Mój gość wróciłby i zastałby zbroję nadal pod kluczem za potrójnie zamkniętymi drzwiami. Oczywiście, żądałby też zwrotu klejnotów, których ja — co jest równie oczywiste — nie miałbym.

Obedrę cię ze skóry. — Bracie, kończyłem właśnie porządki w twojej komnacie, kiedy... zauważyłem przemykający przez korytarz jakiś ciemny

kształt. — Zacząłem mówić szybko, desperacko, mieszając ze sobą wspomnienia, wymysły i bezczelne łgarstwa.

— Służący? — Alfric oparł się o ścianę dysząc i sapiąc. Do czoła przylgnęły mu kosmyki spoconych ryżych kudłów; gdy sir Bayard zaklinał się, że nauczy Alfrica maner, przyznał jednocześnie, że będzie to „potworne przedsięwzięcie”.

— Alfric, służba nie przemyka się chyłkiem w ciemnościach. Za to włamywacze... owszem. — W-włamywacze?

— A co w tym starym zamczysku warte jest kradzieży? — Alfric pytająco wytrzeszczył na mnie oczy. — Zbroja sir Bayarda, do licha! — wrzasnąłem, potem jednak ściszyłem głos z obawy, że hałas zwróci niepożądaną uwagę. — Złazenie po ciebie na dół wywołałoby niepotrzebne zamieszanie. Musiałem jednak upewnić się, że zbroja została na miejscu, zwłaszcza że została powierzona mojemu bratu, i gdyby zawiódł... jego giermkostwo... hmm, twoje giermkostwo... odwlokłoby się jeszcze bardziej niż... odwlekało się przez dotychczasowego pecha...

— I przez politykę... — przerwał Alfric, który zdążył już obsunąć się wzdłuż ściany i rozsiaść na posadzce. — O, właśnie.

Nie mogłem oprzeć się chęci przypomnienia mu, że dwudziestojednoletni giermek jest osobą równie groteskową, jak nasz wychowawca i mentor Gileandos posyłający kwiaty, sonety i składający skandaliczne propozycje Elspeth, naszej dwudziestoletniej młeczarce.

— Już ci wierzę, akurat! Chcesz mnie przekonać, że włamywacz poradził sobie z wszystkimi zamknięciami i przemknął się obok naszych sług i psów?

— Alfric, przyjrzyj się naszej służbie, popatrz na nasze psy. Ten zamek stoi otworem dla każdego typu, który wyczołga się z przydrożnego rynsztoka. Służba zaś i tak nieustannie skarży się na ginące grosze, błyskotki i klejnociki. — Za niektóre odpowiadasz ty, Galen.

— A za niektóre ty. Wiemy jednak obaj, że nie chodzi o nasze drobne świństewka. Przez szczeliny w murze przeciska się dziś coś więcej niż tylko zimne podmuchy... chyba wiesz, o czym mówię?

Nie dałbym głowy, ale odniosłem wrażenie, że na jego tępej gębie pojawił się przestrich. — I co z tym złodziejem? — Widziałem go przed dziesiątą. — — Ciemny kształt?

— Migający to tu, to tam wśród cieniów. Dałbym głowę, że to włamywacz.

— Oj, braciszku! I co my teraz zrobimy? — Mój najstarszy brat zwinął się na posadzce,

chowając głowę między kolanami.

To już było coś. Spojrzałem na Alfrica, potem przeniósłem wzrok na drugą stronę hali. Gdzieś na zewnątrz rozdarła się kukulka, która wyruszała na nocną wyprawę, pewnie w poszukiwaniu gniazda innego ptaka, gdzie złoży jajo i zwieje pod osłoną ciemności zostawiając, jak powiadano, swe piskłę pieczy jakiegoś gila, słowika lub innego śpiewaka, który wychowa skrzeczącego podrzutka niby własne małe.

— Alfric, nie wszystko stracone. W końcu zbroja może jeszcze jest na swoim miejscu. — W migotliwym świetle pochodni ujrzałem rodzący się na jego gębie szeroki uśmiech. Podziękowałem bogom, że nie jego obdarzyli tą odrobiną rozumu, jaką można niekiedy znaleźć wśród członków naszej rodziny. — Przede wszystkim więc sprawdzimy, czy zbroja nie zniknęła.

Spojrzałem na drzwi, w następnej zaś chwili dopadł mnie Alfric. Rąbnął mną o ścianę i podniósł w górę, tak że nogi dyndały mi w powietrzu. Jedną krzepką łapą chwycił mnie za gardło, a drugą wczepił się w moje włosy. Nie doszukalibyście się w nim żadnych uczuć braterskich. — Łasico, ty lepiej nic nie kombinuj...

— Braciszku, proszę! — Rozbeczałem się i zasypałem go pochlebstwami i łgarstwami. — Nie bij najmłodszego w rodzinie. Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem... będziesz świetnym giermkim... i jeszcze świetniejszym rycerzem. Przypomnij sobie, że wszyscy młodszy bracia naszego ojca doszli do wieku męskiego! On uważa, że powinno to stać się rodzinną tradycją. — Alfric zrozumiał aluzję i nieco popuścił. Dodało mi to otuchy. — Nic nie kombinuję, braciszku. Nie trzeba mi żadnych kłopotów. I tak wszyscy będziemy mieli ich dość, kiedy stracimy łby, jeśli okaże się, że zbroja gdzieś przepadła.

Alfric puścił mnie i klękając przy drzwiach, zaczął grzebać nożem w tym samym zaniku, w którym ja dłubałem przedtem. — Alfric?

— Stul pysk, Łasico! — Słowom tym towarzyszył bardzo denerwujący zgrzyt metalu o metal, gdy ostrze sztyletu ślizgało się na zapadkach zamka. Obejrzałem się przez ramię. Wielka sala była pusta.

— Alfric, powód, dla którego cię w to wciągają, jest taki, że masz klucze do tej komnaty.

—

Po krótkiej chwili mocowania się z kluczami i zamkami weszliśmy do gościnnej komnaty, zajętej dziś przez najzręczniejszego z solamijskich szermierzy. Był to najlepiej urządzony pokój w całym zamczysku, ponieważ ojciec ściśle przestrzegał zasad gościnności. Na każdej więc ścianie wisiały tu kilimy, ogromne łoże zasłane było puchowymi pierzynami, w kominku zaś płonął duży ogień. Nie była to komnata, w której mógłbyś myśleć o czynach niegodnych.

Alfric zdążył mnie wyprzedzić. Rzucił się w panice — na którą w równym stopniu składały się strach i działanie wina — ku stojącej w rogu szafie. Tuż za nim skoczyłem ja, gorączkowo obmyślając po drodze wymówki i wyjaśnienia, do których mógłbym się odwołać, gdyby do komnaty nieoczekiwanie wszedł sir Bayard i znalazł nas grzebiących w jego rzeczach. Równie intensywnie myślałem o tym, co robić dalej.

Alfric potknął się, złapał się za drzwi szafy i szarpnął nimi potężnie. Drzwi oczywiście były zamknięte. Klucz oczywiście zwisał na kółku przy pasie mojego braciszka, ten zaś, przerażony i na poły pijany, o tym zapomniał. Tkwiąca w szafie zbroja zabrzęczała niczym upiór z opowieści o duchach.

Jeśli się postaracie, zdołacie zobaczyć cud. Złożyły się nań brak rozwagi, brak zręczności i ciężar zamkniętej w szafie zbroi. Mój brat bowiem szukał klucza dość długo i strasznie go to zirykowało. Gdy wreszcie natrafił na taki, który pasował do dziurki od klucza, i przekręcił go, szarpnął z całej siły drzwiami szafy, otwierając je na oścież. Oczywiście zachwiało to stojącą w

szafie zbroją.

Gdy zbroja spotkała się z łbem mojego braciszka, narobiła takiego łoskotu, że powinni go usłyszeć pogrążeni w solamnijskiej dyskusji sir Bayard i mój ojciec znajdujący się w sali na dole albo pogrążony w medytacjach Brithelm czy sztywny jak kłoda Gileandos siedzący w komnacie na górze.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Nic... z jednym może wyjątkiem. Alfric zwałił się jak martwy na posadzkę komnaty gościnnej. Łoskot zbroi, uderzającej w twardej niczym skała łeb mojego brata, utonął w huku dzwonu dobiegającego z wieży. Jak mówiłem, jeśli się postaracie, ujrzyście cud dużo wcześniej.

— Alfric, uważaj — powiedziałem przepęłniony wdzięcznością, gdy dzwon uderzał po raz jedenasty.

Pozostało mi już tylko czekać — choć nie była to najmilsza godzina w moim życiu — na powrót intruza, który miał zabrać zbroję. Ptactwo nadal

milczało. Tylko jeden słowik śpiewał beztrudnie, podczas gdy ja wściekałem się na stratę czasu.

Rzuciłem czerwonymi kostkami, które zawsze mam przy sobie, aby określać bieg przyszłych wydarzeń. Dziewięć i dziewięć, podkop na podkopie w Znak Łasicy — okoliczność wielce sprzyjająca, jeśli wziąć pod uwagę moje przezwisko — choć gdybym przypomniał sobie drugi wiersz komentarza, poczułbym się mniej pewnie.

Czekałem więc, uzbroiwszy się w męstwo, dopóki dzwon nie zaczął bić ponownie. Po siódmym uderzeniu usłyszałem jakiś odgłos za oknem na zewnątrz, jakby ktoś wspinał się po ścianie.

Byłoby to znacznym osiągnięciem, nawet gdyby chodziło wyłącznie o akrobatykę.

Rzuciłem się w stronę łoża, gotów dać pod nie nura, gdyby Skorpion miał okazać się człkiem mniej honorowym, niż się deklarował. Powstrzymało mnie jednak dobiegające z tyłu stękanie.

Oto był kolec w bukicie róż. Mój braciszek ocknął się właśnie teraz. Mogło to wywołać przez bogów tylko przewidziane nieprzyjemności i kłopoty.

Wtedy to właśnie zwróciłem uwagę na hełm. Nieco zardzewiały (Alfric bowiem zaniedbywał obowiązki giermka) leżał na posadzce obok napierśnika. Piękny to był hełm i dzięki skomplikowanemu wzorowi ozdób miedzianych, spizowych i srebrnych robił wrażenie na oglądających go.

Od strony hali usłyszałem odgłos zbliżających się kroków, mój braciszek zaś drgnął i z głębin nieświadomości zaczął wypływać ku mojej kłęsce i ruinie.

Nie było czasu do namysłu. Chwyciłem hełm oburącz, skoczyłem do brata i unosząc hełm wysoko nad głowę, rąbnąłem tym draństwem — przyłbicą, zwieńczeniem i pióropuszem, a oprócz tego solidną bryłą stali, miedzi, srebra i spizu — w łeb mojego brata. Raz jeszcze odgłos uderzenia utonął w huku dzwonu. Alfric stęknął głucho, opadł na posadzkę i znieruchomiał.

W chwili upadku Alfrica wróciła mi zdolność rozumowania, zniknęła gdzieś ogarniająca mnie jeszcze przed sekundą panika. Przez długą chwilę stałem nad ciałem brata, myśląc o tym, iż nadeszła chwila, by ziścić wreszcie zamiar morderstwa, który powziąłem przed pięciu laty na blankach zamczyska.

Usłyszałem jakiś ruch przy drzwiach. Nie tracąc czasu na rozglądanie się, dałem nura pod łoże. Niestety, krzepka dłoń chwyciła mnie za kostkę i

wyciągnęła na środek komnaty, gdzie drząc i popłakując żałośnie, ległem bez ruchu.

Za sobą usłyszałem, iż Skorpion podnosi zbroję szybko i niemal bez wysiłku. Ponownie rozległ się też jego głos, nadal zwodniczo łagodny i śmiertelnie jadowity:

— Dałeś sobie radę dość dobrze, mój mały, choć ów gwałtowny czyn, którego dopuściłeś się

pod koniec, był odrobinę... nieestetyczny.

Obejrzałem się za siebie. Ciemna, zakapturzona postać zbliżała się już do drzwi. Intruz zabierał ze sobą zbroję, która zarzucona na plecy wyglądała niczym tobołek wypchany kocami i polanami drewna. Przy drzwiach nieznajomy zatrzymał się i odwrócił.

Spojrzenie jego szkarłatnych ślepi przeszło mnie równie boleśnie jak chwyt, którym obezwładnił mnie i niemal otrul zaledwie dwie godziny temu. — Twój pierścień. — Co... co proszę?

— Twój imienny pierścień, człowieczku. — Przybysz wyciągnął dłoń ubraną w rękawiczkę w moją stronę. — Wiąże nas, widzisz, coś więcej niż umowa. Powiedzmy, że będę rad i... poczuję się znacznie spokojniej, gdy dostanę do ręki jakiś zastaw, podkreślający ważność naszej transakcji. — Nie mój imienny pierścień!

— Och, możesz przecież zatrzymać w zamian klejnoty. Są znacznie więcej warte niż ten miedziany pierścień... no, i były twoje już przedtem.

Intruz stał bez ruchu i wyciągał ku mnie dłoń. Nie bez oporów zdjąłem z palca pierścień, miedziany, ale pięknie rzeźbiony. Dostałem go podczas uroczystości z okazji trzynastych urodzin, kiedy to wkroczyłem w wiek męski. Jako mężczyzna zresztą niezbyt się sprawdziłem, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę konszachty ze złodziejem zbroi.

Jeśli cokolwiek określa tożsamość solamijskiego młodzika, to na pewno tym czymś jest jego pierścień imienny.

Rzuciłem pierścień Skorpionowi. Ten wykonał nieznaczny gest dłonią i pierścień zniknął.

— Przy okazji... — mruknął intruz — nadal obowiązuje cię reszta umowy. Nikomu ani słowa, bo tej samej nocy, kiedy otworzysz gębę, ja dowiem się o wszystkim, choćbym był nie wiedzieć jak daleko. Potem zaś zajmę się twoją skórą. Być może od razu, być może za kilka dni. Nie będziesz jednak czekał długo, zapewniam cię. — Ominął odzyskującego przytomność Alfrica i zniknął za drzwiami. Ktoś — może jakiś sługa — wszczął alarm, ja zaś stałem bez ruchu, licząc na to, iż któryś z weteranów,

— takich jak mój ojciec lub niezrównany sir Bayard, rozprawi się z intruzem, zanim ten rozplynie się w mroku, unosząc ze sobą zbroję i plany dotyczące mej skóry. Nie miałem jednak pojęcia, jak szybko i zręcznie potrafi poruszać się nieznajomy, bo zniknął ze zbroją, zanim niosąc mi spóźniony ratunek, w drzwiach komnaty pojawili się mój ojciec, obciążony sporą ilością wypitego przez się wina, i sir Bayard, trzeźwy wprawdzie jak ogórek, ale obciążony cielskiem mojego ojca.

Rozdział drugi

NIE MIAŁEM POJĘCIA, CO na to wszystko powiedzą w okolicy i jak zachowają się wieśniacy i włościanie, kiedy mój nocny gość, przebrany w zabraną sir Bayardowi zbroję, zacznie obracać pobliskie wioski w swoje lenno. Łupiestwo nigdy nie spotykało się z przychylnym przyjęciem wśród prostego ludu. Zawsze wrogo łypali, gdy ktoś żądał od nich żarcia, serów i mięsiwa ze świeżo ubitej i upieczonej trzody. Nie lubili też oddawać pieniędzy lub swych córek. Nie umiem rzec, po co komu były potrzebne te gwałty lub przebranie.

Następnego dnia po kradzieży zbroi do zamczyska mego ojca zaczęli się zbiegać miejscowi wieśniacy. Każdy z nich trzymał czapkę w łapie i każdy prosił (początkowo pokornie i łagodnie), by „wielmożny pan zrobił cosik z tymi kłopotami w naszej wiosce”.

To „cosik” zazwyczaj było propozycją, aby ojciec poćwiartował bezczelnego rycerza i umieścił jego różnorakie (jakie mianowicie, to już zależało od wyobraźni kmiotka) członki „na tacy”.

— Za pozwoleniem wielmożnego pana, wielu z nas chciałoby zobaczyć głowę drania na srebrny tacy.

— Jeśli wielmożny pan zechciałby poświęcić nam trochę czasu, my, pokrzywdzeni mieszkańcy Dymbowej Pustaci, chętnie ujrzelibyśmy te złodziejskie paluchy wyłożone na brązowy tacy.

— Wiele dałbym, żeby zobaczyć te łajdackie serce na miedziany tacy przed mojom studniom na gunie!

I tak to szło — każdy starał się przy tym wykazać większą wyobraźnię niż sąsiedzi, aż w końcu zaczęli wymieniać części ciała, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Zacząłem się też zastanawiać, czy pracując w polu, myślą w ogóle o czymś innym niż o torturach.

Ojciec słuchał niezbyt uważnie, całą uwagę skupiał bowiem na rozważaniu przyczyn niepowodzeń jego chłopców. Był starym rycerzem w prawdziwie solamnijskim stylu, surowym i oddanym Zasadom i Kodeksowi. Fakt, iż pod jego dachem okradziono gościa, wystarczył, by ojca niemal trafił szlag, Alfric zaś za swą niedbałość został zamknięty w

areszcie domowym i osadzony w kordegardzie „aż do czasu rozpatrzenia sprawy”.

Sprawę pogarszał fakt, iż ofiarą rabunku padł sir Bayard Brightblade, jeden z najwybitniejszych rycerzy Północnego Ansalonu, którego dzielność w walce i sprawność w szermierce (wespół ze zdrowym rozsądkiem) znane były nawet na Północy, w naszym zapomnianym przez bogów, zapyziałym majątku na środkowym Przymorzu (rozciągającym się na północny zachód od gór Vingaard i na południowy wschód od... a, mniejsza z tym). Bayard na swój uprzejmy i łagodny sposób gotował się z wściekłości, którą spowodowała zwłoka zatrzymująca go w naszym majątku. Z pewnością wolałby czym prędzej wyruszyć do Solamni, gdzie dla zdobycia ręki dziewczyny, której — jak się dowiedziałem — nie widział nigdy przedtem, musiałby tylko rozbić kilka czerepów swoich rywali. Dlatego pewnie ukarano również mnie.

Tej bowiem, odległej teraz ode mnie o wieki całe, nocy, kiedy to odziany w czarne skórnie intruz opuścił nasz dom, Alfric leżał jak długi przy szafie, ojciec zaś i sir Bayard zbliżali się po schodach do komnaty gościnniej, ja myślałem tak szybko, jak nigdy przedtem.

Jeśli znajdą mnie nietkniętego na miejscu, gdzie wedle wszelkich oznak stoczono zajadłą walkę, padnie na mnie wiele podejrzeń. Lepiej przybrać wygląd odpowiedni do scenerii.

Pochyliłem więc łeb i uderzyłem z impetem w dębowe drzwi komnaty Alfrica.

Skończyło się na tym, że wchodzący do komnaty rycerze znaleźli mnie pierwszego. Oczywiście, nie miałem najmniejszego pojęcia o tym, co tu się wydarzyło, i płakałem żałośnie, podczas gdy ojciec rzucił się ku mojemu najstarszemu bratu, chwycił go za pięty i wyciągnął na środek komnaty, i dla obudzenia musiał trzasnąć go w głowę.

Wtedy to po raz pierwszy miałem okazję dokładnie przyjrzeć się sir Bayardowi. Muszę przyznać, że jego wygląd wywarł na mnie duże wrażenie.

O głowę wyższy od mojego ojca (i znacznie szczuplejszy) był człowiekiem ciemnowłosym, wąsatym, mającym nie więcej niż lat czterdzieści i nie mniej niż trzydzieści. Włosy nosił długie do ramion, przycięte na solamnijską modę, twarz zaś miał spokojną, przystojną i nie wyrażającą żadnych uczuć, jak wyrzeźbiony w kamieniu krajobraz, na który składają się wyłącznie oświetlone słońcem skały. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, potem spojrzał znacząco na

mojego ojca, który bez żadnego wstępu zaczął mi czynić nieco nieskładne wymówki.

— Daruj sobie grzeczności, Galen. Opowiedz nam po prostu, co tu się wydarzyło.

Pod naszymi nogami poruszył się Alfric. Stęknął żałośnie, ojciec zaś spojrzał na niego z niepokojem. Szybko zacząłem więc swoją opowieść.

Dwaj rycerze usłyszeli tę samą historię, którą sprzedałem mojemu bratu: o przemykającym w mroku kształcie za oknem i o mojej trosce o majątek gościa. Ponieważ więc niepokoiłem się o rzeczy sir Bayarda, spróbowałem sforsować drzwi komnaty gościnniej, stwierdziłem, że są zamknięte, i

poprosiłem o pomoc przechodzącego obok brata.

— Sir Bayardzie, ja i mój brat wdarliśmy się do tej komnaty kierowani jak najlepszymi pobudkami. Przejęci sytuacją, być może nie spostrzegliśmy, że wzmiankowany łotrzyk zakradł się za nami, wykorzystując mrok w korytarzu albo... — Tu przerwałem znacząco, licząc na to, iż uda mi się wrzucić muchę do zupy Alfrica. — ...już wcześniej ukrył się w twojej komnacie, do której wdarł się, korzystając z czyjegoś niedopatrzenia. — Przerwałem, odczekałem chwilę, podsuwając im materiał do późniejszych rozmyślań, po czym podjąłem opowieść. — Nie mam pewności, jak to się stało. Usłyszawszy jakiś hałas na korytarzu, odwróciłem się na moment, gdy zaś ponownie spojrzałem na komnatę, ujrzałem jakąś ciemną, zakapturzoną postać stojącą nad powalonym Alfrikiem. Kimkolwiek był ów nocny gość, poruszał się bardzo szybko. Dopadł mnie, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić i zanim zdołałem mu się przyjrzeć. Pamiętam tylko, że ocknąłem się, gdy mną potrząsaliście, i ujrzałem Alfrica, leżącego twarzą w stronę szafy i... ojczy, nie czuję się najlepiej.

Położyłem się na plecach, udatnie naśladując skrajne osłabienie. Obok mnie stęknął Alfric. — Mam nadzieję — westchnąłem — że mojemu bratu nic się nie stało. I że przez najbliższe dziesięć lat będzie rozpamiętywał utracone szanse na ostrogi giermka.

W ciągu paru najbliższych dni bieg wydarzeń w zamczysku uległ zmianie. Spostrzegłem to wcześniej od innych, których nagła zmiana pogody skierowała ich myśli w inną stronę. W noc uczt nagle umilkły ptaki, co spowodowało poczucie pewnej pustki w nastroju: tam, gdzie mógłbyś spodziewać się śpiewu słowika, kłótni sójek, trzepotania skrzydeł i gruchania gołębi, zapadła cisza. Ja zaś pojąłem, że choć nadal trwało lato, ptaki odleciały, być może poszukując cieplejszych krain przed nadejściem

zimy.

Pora roku kazała nam spodziewać się upałów i niemiłych wyziewów unoszących się z rozległych bagnisk, rozciągających się zaledwie w odległości mili od zamkowych murów. Pogoda jednak nie spełniła naszych prognoz. Ranki przynosiły przymrozki, drzewa zaś przed czasem zaczęły tracić liście. Mieliliśmy też spore kłopoty z rozpalaniem ognia w kominkach, że nie wspomnę o świecach. Wyglądało to tak, jakby coś wyssało z okolicy całe światło i ciepło.

Gileandos studiował kiedyś wśród gnomów. Niemal zawsze więc ignorował sprawy i zjawiska oczywiste, szukając czegoś niezwykłego i skomplikowanego; zawsze też wyciągał ze swych odkryć błędne wnioski. Kiedy więc spostrzegł nagłe zniknięcie ptaków i ochłodzenie temperatury wokół zamczyska, winę złożył na „niespodziewany wpływ plam słonecznych na bagienne opary”.

Przypominam sobie teraz, że widywałem go, jak z roztargnioną miną wpatrywał się przez teleskop w słońce, tak że gdy odrywał się od okularu, niewątpliwie miał przed oczyma plamki, których wcześniej tam nie było. Gileandos liczył sobie lat przynajmniej sześćdziesiąt, od dawna jednak garbił się i siwiał, czemu usiłował zapobiec, stosując najróżniejsze pomady i wonne płyny; trefił też bródkę i obnosił się z biżuterią. Ot, bawidamek, który koszmarne posunął się w latach. Ostatnio jednak w wyglądzie naszego nauczyciela pojawiło się coś szczególnego i im więcej kwartginu przepływało przez jego trzewia, tym bardziej przypominał nawiedzonego.

Uczył nas poezji i historii. Matematyki zresztą też, dopóki któregoś dnia Alfric nie zemdlał z wyczerpania w izbie szkolnej. Znał się także na heraldyce, retoryce i wszystkim, co potrzebne Solamniczycowi. Był dość wszechstronny... przeciętny w każdej dziedzinie, umykał w popłochu przed światłem prawdziwej wiedzy.

Było to zresztą powodem, dla którego nigdy nie zwracałem uwagi na jego wyjaśnienia, dostrzegałem bowiem jego zamiłowanie do plotek, przesądów i kuglarskich sztuczek. Rzuciłem więc kostkami Calantiny, czerwonymi kamieniami z Estwilde, i czterokrotnie otrzymałem pięć i dziesięć

— dymiącą ziemię, czyli Znak Żmii. Poszukałem wyjaśnień w bibliotece Gileandosa, gdzie przeczytałem wszystkie komentarze do przepowiedni, moja wiedza na temat przyszłych wydarzeń nie pogłębiła się jednak ani na jotę.

Tymczasem wszyscy przeżywali wydarzenia owej nocy, kiedy to odbyła się uczta. Rycerz Bayard uzbrojony jedynie w miecz, tarczę i pożyczony

od ojca lekki pancerz z utwardzanej skóry, gotów był wyruszyć i ująć złodzieja, gdyby tylko ktoś wskazał mu jego kryjówkę. Irytowała go zwłoka w dotarciu na turniej, ponieważ jednak był człowiekiem wyrozumiałym, gotów był wziąć giermka ze sobą, nawet gdyby Alfrica przyłapano na drzemce wtedy, gdy zbroja jego rycerza zmieniała właściciela. Ojciec jednak zastanawiał się, jaką rolę odegrał Alfric w wydarzeniach feralnej nocy. Ojciec bowiem nie był człowiekiem wyrozumiałym.

— Bayard, czy karą za zaniedbanie uzbrojenia nadal pozostaje śmierć przez powieszenie, czy też Zakon zniewieściał podczas tych lat, które minęły od mojego pożegnania z bronią?

Pamiętam wszystko słowo w słowo, utkwiło mi to bowiem w pamięci, gdy tłumilem kaszel wywołany unoszącym się popiołem i zapachem dymu. Wiecie, w starym zamczysku są sekretne przejścia. Ojciec o nich zapomniał lub nigdy ich nie poznał, Brithelm zbyt był oddany sprawom ducha, Alfric zaś był za głupi, by je odkryć. Doskonale nadawały się jednak dla chłopca, który nawykł do ucieczek przed karą i odpowiedzialnością. Szczególnie lubiłem przejście do wielkiej hali ukryte za kominkiem, skąd przysłuchiwałem się rozmowie ojca i sir Bayarda.

— Sir Andrzeju, Zakon nie złagodził swych zasad, rycerze jednak pojęli, że giermkowie i kandydaci na giermków mogą popełniać błędy. — Widziałem, jak pochyła się w fotelu, i słyszałem skrzypienie skórzanej zbroi, gdy sir Bayard zrobił pauzę dla podkreślenia wagi swych słów. Zbroja była nieco przyciasna i wyglądałaby w niej komicznie, gdyby nie jego szare oczy i nieprzenikniony wyraz twarzy, który wykluczał wszelkie płocze myśli obserwatorów. — Nie... — podjął wątek. — Zakon jest dziś skłonny do wybaczenia, ja zaś nie mam pewności, czy to jest złe.

Tak więc miało się obyć bez wieszania. Bardzo dobrze. Zawsze jednak można liczyć na wypadek w drodze — napad opryszków, nieprzyjaźnie nastawionych centaurów, a z braku czegoś lepszego choćby i kmiotków, którzy od wielu pokoleń niezbyt przepadali za Zakonem, co wedle Gileandosa miało jakiś związek z Katakлизmem, choć ten zdarzył się dwieście lat temu. Kmiotkowie mieli najwyraźniej dobrą pamięć.

Tak czy owak, okoliczne draby z radością powitają każdą okazję, aby zasadzić się na rycerza Solamni, który będzie przejeżdżał przez ich tereny. Tak przynajmniej doniesiono nam na zamek.

— Widzę w tym błąd zrozumiały u chłopca — ciągnął sir Bayard pochylając się, by podrapać za uchem jednego z naszych niezliczonych

— psów, który wczołgał się pod jego fotel. Dla podkreślenia wagi swych słów Bayard podniósł dłoń, pies zaś, którego lata przeżyte w naszym zamczysku nauczyły ostrożności, przypadł do ziemi i zaskomlił żałośnie.

— Bayardzie, racz jednak pamiętać, że „chłopiec”, o którym mowa, skończył dwadzieścia jeden lat — sarknął ojciec, zaciskając dłoń na lasce, której używał od czasu, gdy poranny ziąb i wywołany nim ból zaczęły przypominać mu fatalny wypadek podczas polowania ubiegłej zimy. —

Alfric zaś, jak już wiesz, nie należy bynajmniej do najbystrzejszych młodzików. — Bayard uśmiechnął się i kiwnął głową. Ojciec jednak, utkwivszy wzrok w posadzce, nawet tego nie zauważył. — Spójrzmy prawdzie w oczy... jest gamoniowaty, małostkowy i niesympatyczny i wygląda na to, że taki już zostanie. Ma dwadzieścia jeden lat, nie jest więc chłopcem, sir Bayardzie. Gdyby miał powołanie lub przejawiał w tym kierunku jakieś skłonności w dzieciństwie, byłby już

teraz rycerzem. Gdyby zaś był wieśniakiem, miałby już żonę i kilkoro dzieci.

Gdyby zaś był psem czy koniem, dawno już gryzłby ziemię i nie sprawiałby żadnych kłopotów.

W mojej kryjówce nagle zrobiło się ciasno. Zmieniłem pozycję, zaczepiłem jednak przy tym sprzączką pasa o kamień, robiąc hałas, który — przysięgłbym — usłyszano w Palanthas, Pax Tharkas i na końcu świata. Wstrzymałem oddech.

Bayard oparł się o wezglowie fotela i rzucił szybkie spojrzenie w moją stronę. Byłem pewien, że mnie dostrzegł.

Natychmiast jednak odwrócił się do ojca, który wyliczał wady Alfrica, tak jakby nic się nie stało.

— Powiadam więc, Bayardzie — ciągnął mój stary — że w wieku dwudziestu jeden lat trudno tłumaczyć się „chłopięcą pomyłką”. Gdy ja byłem w jego wieku, byłem już Rycerzem Miecza i z grupą nielicznych towarzyszy przemierzałem Szlak Chaktamir, brodząc po kolana w krwi mieszkańców Neraki....

— Sir Andrzeju, były to niezwykle czasy, które powołały do czynu niezwykłych mężów — odparł dwornie sir Bayard. — Słyszałem opowieści o twoich wyczynach w Chaktamir. Dlatego właśnie, na przekór pozorom, uważam, że twój syn może jeszcze okazać się wartościowym człkiem. W końcu krew nie woda.

— Do kata! — Okolona siwą bródką twarz ojca, nie-nawykłego do komplementów, lekko poczerwieniała. — Sir Bayardzie, chciałbym, aby chłopcy wyrwali się z tych leżących na końcu świata bagnisk Północnego Przymorza. Niechby dostali się do Solammii, przeżyli jakieś przygody,

— niechby nauczyli się fechtów... i niechby pozbyli się swych wad. Mój średni syn stał się... mnichem, najmłodszy zaś zachowuje się bardzo niegodziwie...

— Oceniasz ich surowo i wedle własnej miary. — Bayard rzucił szybkie spojrzenie w moją stronę.

— Najstarszy zaś jest prawdziwym utrapieniem. — Ojciec jednak był nieustępliwy. — Dość tego, by starego człowieka doprowadzić do desperacji.

— Sir Andrzeju, podtrzymuję swoją ofertę — odparł Bayard, zdradzając wreszcie oznaki lekkiego zniecierpliwienia. — Jeden z twoich synów — sam zdecyduj, który — zostanie moim giermkim. Znajdzie we mnie nauczyciela pełnego poświęcenia. — Rozparł się w fotelu i splótszy palce, odwrócił się tak, by spojrzeć na kominek.

Cofnąłem się w głąb, znajdując schronienie w pełnym popiołu mroku. Wtedy to też okazało się, że mam kłopoty. Przez moją stopę przeskoczył szczur, obudzony lub wypłoszony z kryjówki moją szamotaniną. Przerażony gryzoń skulił się w kącie kominka, ja zaś podskoczyłem i rąbnąłem głową o poczerniałe od dymu sklepienie, co oczywiście spowodowało obsypanie na mnie popiołu.

Oczywiście, właśnie wtedy musiał napatoczyć się jakiś pies, który szczekając zajadle, skoczył ku kominkowi, pewien, iż osaczył coś jadalnego. Wierzgając rozpaczliwie, kopnąłem szczura, który wyleciał psu na spotkanie, ja zaś wdrapałem się wyżej, zostawiając za sobą okrzyki, gniewne powarkiwania i desperackie popiskiwanie. Wszystko to cichło, w miarę jak wspinałem się coraz wyżej. W końcu dotarłem do szafy w moim pokoju, gdzie szybko zmieniłem ubrudzone sadzą i świadczące o mojej winie szaty na niewinną, nocną koszulę i wślizgnąłem się do łóżka, napelniając całe puste o tej porze dnia skrzydło zamku udawanym chrapaniem.

Podczas mej nieobecności obaj rycerze doszli do najgorszych z możliwych wniosków.

Ojciec był pewien, że włamywacz napadł nas z zewnątrz, w czym pomogła mu nieuwaga Alfrica. Mimo próśb Bayarda, który nalegał, by zrozumieć rozterki mojego najstarszego brata, wyrok ojca był bezlitosny.

Mój Wielki Brat miał zostać osadzony w areszcie domowym i choćby kipiał z gniewu, nie wolno

mu było opuszczać zamku. Niestety, w odróżnieniu od szubienicy czy lochów wyrok ten pozostawił mu dostateczną swobodę ruchów, by mógł odegrać się na mnie na tysiąc sposobów.

Alfric bowiem uważał, że powinienem zabrać głos i wziąć na siebie winę za całe to nieszczęsne wydarzenie. Tyle o wdzięczności rodzeństwa.

Nie muszę chyba dodawać, że starałem się unikać spotkań ze swoim braciszkiem. Alfric głośno obwinił mnie o kradzież zbroi, choć wyłopane wcześniej wino i cios w głowę nie pozwalały mu wyraźnie przypomnieć sobie, co właściwie wydarzyło się owej nocy.

Oczywiście, nie powstrzymywało go to od wymierzania mi ukradkowych kuksańców czy kopniaków. Całymi więc godzinami kryłem się w sekretnych przejściach i alkowach, babrając się w kurzu i wykopując niekiedy szczury dla psów, wiedziałem bowiem, że ze wszystkich nędznych stworzeń zamieszkujących zamczysko ja narażony jestem na największe niebezpieczeństwo. Przebierałem się również; raz nawet wszyscy wzięli mnie za kominiarczyka. Gdy nie nosiłem przebrania i nie siedziałem w jakiejś kryjówce, udawałem niewiniątka, gorliwie przykładałem się do codziennych obowiązków i trzymałem się blisko ojca lub Brithelma.

Zawsze też trzymałem dłonie w kieszeniach, aby nikt nie spytał, gdzie przepadł mój pierścień.

Najczęściej, z konieczności, dotrzymywałem towarzystwa Brithelmowi i wysłuchiwałem jego rozważań o bogach. Robiłem przy tym, co się da, by nie zasnąć.

— Czy zastanawiałeś się, Galenie, nad istotą przepowiedni? — spytał kiedyś, gdy karmił ptactwo na zamkowym dziedzińcu. Uśmiechał się przy tym dobrotliwie, a jego rozwichrzone, rude włosy nad połatanym, czerwonym habitem nadawały mu wygląd bezczelnego, szkarłatnego puchacza, który postanowił skorzystać z okazji i pożywić się przy gołębiach. — Raczej nie... Uważaj!

Brithelm w ostatniej chwili ominął występ w murze, nie przerywając rozsypywania ziarna i cichego poświstywania.

— Sadzę, że prorocstwo jest jak sala pełna zwierciadeł, które odbijają się jedne w drugich, widz zaś patrzy w pierwsze. — Chyba masz rację, Brithelmie. Nie nadepnij na psa!

— Te ptaki... — zastanawiał się Brithelm, przechodząc nad śpiącym w cieniu załomu ściany psem. Pies przebierał łapami, pewnie śnił o polowaniu.

— W Wieku Światłości święci mężowie i kapłani przepowiadali nieszczęścia, śledząc lot stada ptaków. Niekiedy w mojej samotni... — Na Bagnie Wardenów? Słyszałem, że zarosło całkowicie i że cyprys — może wyrosnąć tam w ciągu paru tygodni. Ludziska mówią też, że powietrze jest tam tak wilgotne, iż drapieżne ryby mogą latać i całymi stadami szukają ofiar.

Brithelm nie odezwał się i spojrzał mi w twarz, nie przestając iść w stronę zbiornika z wodą. Ująłem go pod ramię i skierowałem ku schodom, które wiodły na południowe mury naszej małej i nieco nadgryzionej zębem czasu warowni.

— To, co dla jednego jest bagnem... — zaczął i nagle zaśmiał się łagodnie, ciskając ostatnią garść ziarna lecącym za nim gołębim — drugi nazwie pustelnią. Niekiedy o świcie można ujrzeć tam tuziny przepiórek, braciszku. Jedzą z dłoni. Owszem, możesz tam natknąć się i na coś mrocznego, ale opowieści o tym są mocno przesadzone.

— Ptaki są więc najślawniejszymi z wieszczków. Możesz jeszcze czytać przyszłość z liści lub gładkiej powierzchni wody, kiedy wpatrzysz się w głąb.

Spędzałem więc czas na bzdurnych rozmowach, najstarszy brat zaś jęczał i błagał, spiskował przeciwko mnie, choć nigdy nie zdołał przypomnieć sobie czegokolwiek, co pomogłoby mu zrzucić winę na mnie. Bez przerwy też sączył w uszy ojca najróżniejsze domniemania. Po porannej rozmowie z Brithelmem o zabobonach często chwytałem podejrzliwe spojrzenia ojca, który łypał na mnie zza stołu przy obiedzie, Alfric zaś krzywił się na mnie znad butelek i półmisków z dziczyzną, gdy

pogrążony w niełasce siedział w odległym kącie sali jadalnej. Czuję się jak człowiek siedzący pomiędzy dwoma zwierciadłami.

Tak więc ojciec wściekał się na niedbalstwo Alfrica, do mnie zaś odnosił się coraz bardziej podejrzliwie, choć nie zdołał mi niczego udowodnić. Bayard stracił humor, czekał bowiem beczynnie w zamczysku nie wiedząc, co czynić. Jednak dopiero wieści o morderstwie rozjuszyły ojca ostatecznie.

Do zamku przybyła kolejna grupa kmiotków, tym razem bardzo liczna i przynosząca najgorsze wieści. Działo się to zaraz po wschodzie słońca. Bayard wyruszył na swe codzienne poszukiwania złodzieja zbroi. Wieśniacy trafili na moment, kiedy ojciec karmił psy, siedząc na zydlu w wielkiej hali, mógł więc ich przyjąć bez uszczerbku dla swej godności.

Najstarsza w grupie była niemal osiemdziesięcioletnia kobieta, odziana w grubo tkany płaszcz, chroniący ją przed nienaturalnym chłodem. Babina miała siwe włosy i pokrytą brodawkami gębę jak wiedźma z bajek i była rzecznikiem całej grupy. Nie tracąc czasu, rozpoczęła przemówienie, za

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

nim jeszcze ostatni z mastyfów uciekł z wyciem.

— Opowiem, jak było, panie rycerzu, i niech bogowie porażom gniewem mnie i moje dzieci aż do piontego pokolenia, jeśli zełgam choć jedno słowo.

Ojciec sapnął, poczerwieniał i rozsiadł się wygodniej, usiłując przybrać wyraz twarzy człeka bardzo zainteresowanego. Usiłowałem odgadnąć, gdzie piorun rąbnie najpierw, gdy stara harpia zełże, wszyscy kniecie łgali bowiem zawsze i wszędzie, ta więc z pewnością nie postąpi inaczej.

— Niechętnie to gadam, panie rycerzu, ale na twych ziemiach popełniono morderstwo... okropne morderstwo, którego nie da się opisać. Mordercom zaś jest rycerz z waszego zakonu.

Dopięła swego. Ojciec zacisnął dłonie na poręczach fotela. Brithelm poderwał się i stając obok kominka, stłumił okrzyk gniewu i oburzenia. Alfric i ja nie ruszyliśmy się jednak z miejsc. Alfric ze złowrogą miną ostrzył sztylet, ja zaś wetknąłem tylko głębiej nos w księgę, której zresztą wcale nie czytałem.

Słuchałem bardzo uważnie. Nie mogę jednak rzec, by lament babiny „otworzył moje oczy na niedolę wieśniaków”, choć taki wpływ powinien mieć na każdego osobnika posiadającego choć odrobinę szlachetności w duszy. I bez tego wiedziałem doskonale, że biedacy wiodą żywot pełen utrapień, które nigdy nie dotykają zamożniejszych.

Mówiąc uczciwie, wcale mi to nie przeszkadzało i wolałem, aby tak zostało.

Tak bowiem działo się zazwyczaj, że jeśli krzyżowały się drogi nasze i kmiotków, ojciec tracił panowanie nad sobą, my zaś, jego synowie, odnosiliśmy wrażenie, iż trafiliśmy w oko cyklonu. Skuliłem się więc za stołem, a stara sowa ciągnęła opowieść pogodnie, choć historia dotyczyła gwałtu i morderstwa. Mniemałem, że jeśli będę miał szczęście, gniew ojca skupi się na Alfricu.

Mój najstarszy brat, dziedzic posiadłości, siedział bowiem oto, wycierając nos rękawem i nie zdając sobie sprawy, że kłopoty ma dopiero przed sobą. Jakiś buldog, który wziął ciszę za dobry znak, podkraść się nieznacznie do mojego krzesła i zaczął skomleć o kęs szynki.

— Przynoszę wam, panie, strasznom łopowieść — ciągnęła stara klempa. — Wczoraj, gdy nadszed wieczór, jakiś człek na koniu, odziany w solamnijskom zbroje, przyjechał do domu mojego bratanka Jaffy. Pamiyntacie Jaffe, panie rycerzu? To ten, co łońskiego roku posprzeczał się z waszym najstarszym synem o podatki i stracił łucho. Nie żebym się skarżyła na chłopaka, Jaffa zresztom, niech spoczywa w pokoju, nie żywił

— urazy do panicza Alfrica! „Chłopcy lubiom czasem pomachać mieczem”, powiadał, „i niewiele trace, jeśli troche nie dosłysz”.

Na Humę, mówiła całkiem ciekawe rzeczy! Spojrzałem na nią sponad książki i ominąłem wzrokiem psa, który usiłował przybrać szczególnie żalosalną i błagalną minę. Alfric przestał udawać, że ogląda sztylet. Skrzywił się posepnie, co wprawiło mnie w dobry humor. Uśmiechnąłem się i ponownie wsadziłem nos w księgę.

— No, wienc Jaffa naprawiał gonty na dachu, co miesionc temu w tajemniczy sposób zajął się ogniem.

Teraz głupawo uśmiechnął się Alfric, spojrział przy tym na mnie zapominając, że w ten sposób się zdradza. Skryłem twarz za okładkami księgi. W końcu nie mogłem przewidzieć, że ten ogień tak się rozniesie.

— I oto rycerz zsiada z kunia, słyszeliśmy o nim, dotarły do nas opowieści o sir Kruku. — Na moje szczęście, starucha ciągnęła dalej, radośnie rozwijając opowieść o rozlewie krwi. — I

wendruje przez wieś zondajonc serów, jądła i dobierajonc się do cnoty naszych dziewek. Aleśmy nie myśleli, że dojdzie aż do tego! Czy jednak ktoś spodziewa się zła, zanim nie zapuka łono do jego drzwi? Rycerz wienc domagał sie sera, chce wam tyż rzec, panie, na zondanie łonego człeka

Jaffa zlął z dachu gotów oddać ser po dobroci, myślał bowiem, że przybysz należy do członków waszy rodziny albo przynajmniej jest waszym znajomkiem. Kiedy jednak sir Kruk zapytał o naszom krowę, Rubinke, Jaffa domyślił sie, z kim mamy do czynienia, i nie ruszył sie z miejsca.

— Uczynił to jednak godnie i nikogo nie obraził — zapiął jakiś młodszy, dziewczęcy głos z tyłu zebranego wokół staruchy tłumu. Umówiły się czy co?

Sam byłbym chętnie spytał o tego tajemniczego rycerza, na przykład, czy jego głos był słodki w brzmieniu i melodyjny? Nie mogłem jednak tego uczynić, zdradziłbym się bowiem, że wiem więcej o nieznajomym, niż powiedziałem. Podniosłem oczy znad książki, gdyż buldog zrezygnował i podreptał ku Alfricowi. Wydawało się, że każdy dziś szuka kłopotów.

— Zważcie, panie, że — jak mówi dziewczka — nie ruszył sie z miejsca... rycerz jednak zaczął sie niecierpliwić i przypomniał o Rubince, tym razem jednak nie było to pytanie, a zondanie, jeśli rozumiecie, co chce rzec. Potem spytał o Agnes i wtedy Jaffa odpowiedział mu twardo i zdecydowanie. Agnes zresztą opowie wam o tym sama — zakończyła

— wiedźma, wypychając do przodu blondynę o gębie jak ciasto i żabich oczach, dwa razy ode mnie tęższą i wyższą; tę samą, która piała z tyłu niczym jakiś zakatarzony chór. Żona Jaffy albo jego córka. Niewiele zresztą mnie to obchodziło. Tajemniczy przybysz zrobiłby lepiej, gdyby zadowolił się krową.

Agnes, człapiąc ciężko, precisnęła się do przodu i podjęła opowieść w miejscu, gdzie ją przerwała stara. Miętosiła w dłoniach zakrwawioną koszulę. Pomyślałem, że to lekka przesada.

— Wszystko było tak, jak mówi gospodyni, panie rycerzu — wystękała dziewczka, międląc koszulę w ogromnych łapach. — Jaffa stał sobie spokojnie, ale potem wyciągnął nóż i powiedział do sir Kruka tak: „Możecie, panie, być szlachetnie urodzony, ale nie tkniecie tej dziewczki”. Jego własne słowa, panie rycerzu, i niech bogowie przeklną moją rodzinę do piątego pokolenia, jeśli zełgałam.

Wszyscy kniecie z podejrzaną ochotą rzucali na szalę życie swych najbliższych. Pomyślałem, że mogę to zrozumieć.

Resztę historii opowiedziała stara. Mówiła o tym, jak to Jaffa ciągle stał w miejscu, i że obaj oponenti od słów przeszli do krzyku, a te zastąpiła wnet wymiana ciosów, która zakończyła się szybkim wyciągnięciem miecza i wepchnięciem go w pierś kniotka. Gdy babina skończyła, nastąpiły zwykle w takich razach lamenty przed panem dworu, potem jeszcze sześciokrotnie opowiedziano tę samą historię (za każdym razem nieco inaczej, z tym samym jednak fatalnym zakończeniem), nieszczęśnicy zaś stali przed nami jak kołki, stara wiedźma i córka (czy żona) Jaffy. Kmiotkowie gotowi byli nawet przyprowadzić Rubinke („wzmiankowanom krowę”, jak określiła ją babina), by jej widokiem zmiękczyć serce ojca.

Twarz ojca, który w milczeniu słuchał tych oskarżeń, mocno poczerwieniała. Brithelm stał obok niego pełen współczucia, Alfric zaś ograniczył się do kopnięcia nieszczęsnego buldoga. W końcu ojciec przemówił.

— Klnę się moim rycerskim honorem — oznajmił, kładąc dłoń na rękojeści miecza — że nie spocznę, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość i łotr nie zostanie przykładnie ukarany, wszyscy zaś ci, którzy odpowiedzialni są za owe zbrodnie, zapłacą za nie.

I tak, gdy kmiotkowie odeszli, zalewając się łzami i zasypując ojca błogosławieństwami, gdy przeprowadzili osieroconą Agnes i krowę Rubinke przez rozklekotany, zwodzony most, którego przestraszeni i

sterroryzowani służy nigdy nie mieli czasu naprawić, ojciec zwrócił się do najstarszego syna:

— Odłóż ten sztylet i spójrz mi w oczy, chłopcze. Szybkie spojrzenie znad studiowanych zaciekle stronic

upewniło mnie, że chodzi o Africa, zasłoniłem się więc księgą i zająłem słuchaniem mowy, która pieściła moje uszy.

— Odpowiedzi na to, co się stało, nie można znaleźć wśród powinności ojcowskich i synowskich. Być może byłem zbyt wyrozumiały dla ciebie... niechże bogowie mi wybaczą, mniemałem jednak, iż ta pobłażliwość nie obróci się na złe. Niestety, winni jesteśmy zaniedbania obowiązku gościnności i w dawnych czasach żadna kara nie byłaby dość surowa, aby okupić tak poważną winę. Teraz jednak nastały nowe czasy, kiedy oczy nie patrzą już tak surowo na przestępstwa, nie należące do... zbrodni najcięższych.

Wstał z miejsca, światło zaś poranka ukazało mi nagle jego podobieństwo do człowieka, którym był, zanim przyszedł na świat jego synowie, kiedy zaliczano go do pierwszych rębaczy pośród rycerzy Przymorza, zanim wiek pochylał jego barki i zanim osiadł w naszym leżącym na uboczu mająteczku.

Tak właśnie musiał wyglądać niegdyś i — na wszystkich bogów — byłem pod wrażeniem! Gdyby wtedy spytał mnie o wydarzenia podczas owej fatalnej nocy, zdradziłbym się z kretesem, opowiedziałbym mu o mojej podłej umowie ze Skorpionem — więcej, wyznałbym mu nawet dawno minione grzeszki, tylko dlatego po prostu, iż wyglądał w tej chwili na człowieka, który przejrzy na wylot każde łgarstwo i któremu lepiej wyznać całą prawdę, kara bowiem za kłamstwa będzie jeszcze surowsza. Ojciec jednak zaniechał pytań.

— Nie o tym jednak mówimy — ciągnął. — Dopuściłeś się strasznej winy, konsekwencje twego czynu są zaś poważne. Dopuściłeś się zaniedbania lub czegoś gorszego, odpowiedzialność za takie postęпки określa Kodeks. Kodeks i Zasady. — Przez chwilę ojciec wpatrywał się w posadzkę. Przerwał milczenie, dopiero gdy uporał się sam ze sobą. — Nie mogę postąpić inaczej. Chciałbym, ale nie mam wyboru. — Podniósł głownie miecza, wykonując z powagą Salut Solamnijski. — Ogłaszam więc, że dopóki sir Bayard Brightblade z twierdzy Vingaard nie pojmie złodzieja, który bezprawnie używa jego zbroi, dopóki złoczyńca nie zostanie osądzony i ścięty, wtrącam mojego najstarszego syna, Africa, do lochu, gdzie pozostanie, aż nie ustalimy, jaka sprawiedliwa kara winna być jego udziałem. Mniemam, iż siedząc w lochu, syn mój przemyśli swe

— postępowanie i zdoła zrozumieć, jak wielką hańbą okrył naszą rodzinę i Zakon Solamnijski.

Przyznam, iż nigdy nie posądziłbym ojca o to, że potrafi przemawiać takim tonem i używać takich słów. Spojrzałem na Brithelma, który tylko wzruszył ramionami i spojrzał w niebo. Alfric zaś był zbyt oszołomiony, zdobył się więc jedynie na głupawy śmiech. Potrzęsnał też głową z niedowierzaniem i kopnął psa, który ostatecznie znalazł schronienie i pociechę u Brithelma.

W końcu Alfric przestał się śmiać, dotarło doń bowiem, że niezależnie od tego, jak przesadna mogła wydawać mu się kara, ojciec wcale nie żartował. Braciszek oprzytomniał więc i usiłował coś rzec, aby ocalić swą skórę. Wszystko jednak, na co było go stać, okazało się jedynie nosowym beczeniem, jakie niekiedy można usłyszeć w stajniach podczas strzyży owiec.

Ojciec patrzył na dziedzica i pierworodnego nieodgadzionym wzrokiem.

— Gdybyś tylko wiedział — oznajmił wreszcie głosem pełnym żalu — jak wielki zawód mi sprawiłeś, Alfricu, to świadomość ta byłaby dla ciebie dostateczną karą.

— Eee... — odparł mój brat. Wszystko to nie bez ciekawości w oczach obserwował pies spod fotela Brithelma.

— Niestety, o honorze, odpowiedzialności i karze wiesz nie więcej niż... niż... — gniewny wzrok ojca przemknął po komnacie — niż ten buldog, który kuli się tam, obok Brithelma. — Ojciec

wskazał na psa, który aż zwinął się, usiłując zniknąć wszystkim z oczu.

— Eee! — ryknął Alfric. Nie zdołałem powstrzymać się od chichotu. I wtedy odnalazł mnie gniewny wzrok ojca.

Nagle zrozumiałem, co czuli Nerakańczycy, kiedy mój ojciec był młody i strzegł szlaków i przełęczy.

— Ponieważ widzę, iż mój najmłodszy syn, Galen, nie zdołał oczyścić się swoim zachowaniem z podejrzeń, dołączy on do ciebie i pozostanie w lochu, dopóki nie ustalimy faktów i nie przekonamy się, jak było naprawdę.

— Ależ ojcze! — jęknąłem błagalnie. Ogarnięty paniką spojrzałem z ukosa na Alfrica i zobaczyłem, że na jego twarz wpęła mściwy uśmiezek, wypierając z niej dotychczasową wściekłość i przerażenie. W lochach będziemy sami i nikt nas nie będzie słyszeć. Alfric zaś do moich poprzednich przewin wobec niego dodał właśnie jeszcze jedną. Skrajnie przerażony zdobyłem się jedynie na niewyraźne i pełne paniki

jąkanie. — A...a...leż ojcze! A...a...leż o...ojcze! Odjęło mi mowę. Nie potrafiłem się wyłgać lepiej niż Alfric.

W lochu śmierdziało skwaśniałym winem, gliną i dębowymi beczkami. Skuliłem się w mrocznym kącie i zacząłem nieznacznie przesuwac się na środek najbardziej oddalonej od drzwi ściany. Trzymając się od Alfrica tak daleko, jak to tylko było możliwe, usiłowałem obmyślić jakiś sposób wydostania się na wolność. Miał to być mój pierwszy cel, oczywiście pod warunkiem, że uda mi się ujść z życiem nieuniknionym względem braterskim.

W otwartych drzwiach lochu stali ojciec, Brithelm i Gileandos. Brithelm trzymał w dłoni lampę, która oświetlała całą grupkę migoczącym, nikłym światłem. Gileandos trzymał się nieco z boku, rzecz zrozumiała, jeśli zważyć fakt, iż nie dalej niż przed miesiącem omal nie spłonął w wyniku połączonych braterskich wysiłków moich i Alfrica. Słabe światło padało z ukosa na jego bandażę.

— Dwukrotnie w czasie doby dostaniecie jedzenie — oznajmił ojciec. — Surowość nie wyklucza ludzkich uczuć. Każdego ranka zostaniecie wyprowadzeni na dziedziniec, gdzie spacerując zażyjecie świeżego powietrza. Wszyscy wyciągnijmy wnioski z tej lekcji — ciągnął dalej. — Wstyd mi wyznać, do jakich ja już doszedłem.

Wyszedł z kręgu światła. Widziałem teraz już tylko Brithelma, który spoglądał na mnie ze współczuciem, mój średni brat niewątpliwie zająłby moje miejsce, gdyby tylko zdołał uprosić ojca. Z ciemności doszedł nas jeszcze głos ojca.

— Ufam, iż obaj pojęliście, jak bardzo mnie rozczarowaliście. — Potem drzwi zamknęły się ze zgrzytem i obaj zostaliśmy pogrążeni w ciemnościach.

Usłyszałem złowrogi szept Alfrica i zacząłem czołgać się po zimnej posadzce, usiłując jak najciszej przesunąć się jak najdalej.

Rozdział trzeci

CHOĆ NIGDY NIE ZNOSIŁEM POEZJI, pamiętam, że chciałem zostać bardem. Obserwując ich całonocne występy w naszym starym zamczysku, doszedłem do wniosku, iż gra warta jest zachodu. Dostajesz żarcie, opowiadasz historię, której nikt nie nazwie łgarstwem — bo kogo ona obchodzi? — i możesz upiększać ją wedle woli. Jeszcze ci za to płacą. Było to życie, które mógłbym jakoś znieść.

Dość wcześnie jednak pozbyłem się tych złudzeń. Pewnej nocy — miałem wtedy nie więcej niż osiem lat, a pamiętam ją doskonale — owo

złudzenie, można by powiedzieć, przefrunęło nad naszą fosą i uleciało w siną dal.

Jeden występ Quivalena Satha, słynnego barda elfów, który w dwa tygodnie po moich ósmych

urodzinach śpiewał w zamczysku dla naszego ojca, wystarczył, bym na zawsze zniechęcił się do poezji.

Noc występu barda była też nocą, podczas której zawiązała się nić podłego szantażu. Pod nadzorem Gileandosa sprzątaaliśmy wielką salę zamku, podczas gdy ojciec przygotowywał się do powitania szlacheckiego gościa. Przejęty myślą, że dla tak znamienitego gościa sala musi wyglądać szczególnie schludnie, Gileandos przeszedł samego siebie, wymierzając nawet kopniaka służącemu, kiedy odkrył, że w kominku został jeszcze popiół i sadza. Ja z miotłą w dłoni skuliłem się w głębi kominka i wymiotłem popioły, a przerażeni kominiarczykowie wiali z komnaty co sił w nogach. Odwróciłem się, gdy usłyszałem stłumiony okrzyk stajennego, którego oderwano od ważnej pracy, a który teraz zginając się z bólu, leżał pod stołem i czekał, aż uśmiechnięty Alfric wymierzy mu kolejnego kopniaka.

— Paniczu Alfricu, tego już za wiele! — zawołał Gileandos, gdy nieszczęśnik, ściągając na siebie obrus ze stołu, zemdlał z bólu.

— Poniosło mnie! — warknął Alfric. Przykucnął, zakurzył sobie buty i złapał biedaka za włosy. Następnie powlókł go ku drzwiom, gdzie zaśmiał się i odwracając się do nas, zawołał przez ramię: — Miłośnik poezji to ja!

Nawet osiem lat temu Alfric podstawiłby stółek kmieciowi z basetlą tylko wtedy, gdyby mógł przy okazji dokopać jakiemuś śludze.

Quivalen Sath nie był kmiotkiem, w rzeczy samej wyglądał jak każdy inny elf, któremu rzemiosło barda nie przyniosło większego bogactwa. Odziany był w leśną zieleń, a jego długie włosy wiek lekko przyprószył już srebrem. Był też poważny i wielce wymowny, a jego przybycie do zamczyska stanowiło prawdziwie wielkie wydarzenie. Odwiedził nas w końcu nie kto inny, jak autor Pieśni o Humie, tej samej, której Gileandos kazał mi wyuczyć się na pamięć ostatniej, paskudnej zimy, zanim pierwszy raz płomień mej zemsty nie osmalił mu gęby i brody, co z kolei mocno skróciło me studia nad klasyką.

Elf i ojciec prześcigali się przy kolacji w uprzejmościach, sfora naszych psów zaś, jak zwykle, zakradła się do jadalni, by sycić się ciepłem kominka i zapachem dziczyzny.

Alfric wykrzywił się do mnie znad odległego krańca stołu, na co odpowiedziałem obraźliwym gestem, jaki rano podpatrzyłem u stajennego. Dziedzic włości najeżył się i wbił wzrok w swój puchar wina, ponieważ

była to pierwsza uczta, na którą wpuszczono nas od dnia trzynastych urodzin Alfrica i po raz pierwszy pozwolono mu uraczyć się mocnym trunkiem.

— Na dzisiejszy wieczór wybrałem opowieść Drapieżna Róża — wymamrotał Quivalen Sath. Wśród ploteczek, które przekazywali sobie wędrowni bardowie, była pewnie wiadomość o ulubionych utworach poetyckich ojczulka, bo staruszek uśmiechnął się i podniósłszy puchar, rozpląnął się w podziękowaniach za to, co nawet Gileandos nazwał kiedyś „wcześniejszymi i drugorzędnymi próbkami twórczości”.

Po kolacji zaczęła się więc uczta duchowa. Ponieważ z miejsca znudziła mnie abstrakcyjna, teologiczna rozprawa o wolnej woli i różach w niebie, zająłem się obserwacją Alfrica, który zapadł się w swój fotel tak głęboko, jak tylko pozwalało mu na to oparcie, i wycierał sztylet o grzbiet śpiącego psa. Brytan przebierał łapami, trwając w szczęśliwym złudzeniu, że ktoś pieszczotliwie go drapie. Brithelm, którego skłonność do częstych zamyśleń brano niekiedy za coś innego, stał bez ruchu, odziany w czerwone szaty niczym niesamowity strach na wróble. Brithelm opanował sztukę słuchania bez przykładania uwagi do tego, czego się słucha. Teraz prawdopodobnie oddawał się medytacjom.

Ojciec jednak, jako gospodarz, słuchał uważnie i z powagą nawet najśmieszniejszych fragmentów opowieści.

Tylko ojciec też okazał uznanie, jakiego oczekiwał elf. Dopiero później, gdy przyglądałem się, jak bard podziękował ojcu za tuzin sztuk srebra, przywiązał harfę do ramienia i opuścił salę, wtedy gdy czerwony księżyc dał nura za linię horyzontu na zachodzie, a niebo na wschodzie zaczęło zabarwiać się purpurą świtu, zacząłem podejrzewać, iż gdyby Quivalen Sath był tak rozchwytywanym bardem, za jakiego się podawał, nie występowałby w zagubionych wśród moczarów wioskach zachodniej Solamni.

Miałem udać się prosto do łóżka, zamiast tego jednak przekradłem się na blanki, gdzie zostawiłem swoje małe żołnierzyki, od których oderwano mnie, gdy w zamku pojawił się elf. Na blankach było zimno, nawet jak na wczesny poranek późnego lata. Moje legiony rozstawiłem w miejscu, z którego mogłem dawać baczenie na zwodzony most i podmokłe lasy, rozciągające się może o milę na zachód od zamczyska. Nazbyt częsty udział w bitwach pozbawił niektóre z figurek głów, inne, nietknięte, stały spokojnie na murach twierdzy.

W tej samej chwili Quivalen Sath przechodził przez zwodzony most i wtedy właśnie celnie wymierzony, kuty w żelazie rycerzyk trafił w tył

trefionej głowy barda. Uderzenie musiało nielecho zabołec, dziewięcioletni zaś, niedoszły zabójca dobrze skrył się pomiędzy powojami, wierzbina i sitowiem. Nie potrafiły go wytropić nawet bystre oczy elfa.

Zły los zrzucił jednak, iż całą tę scenę obserwowały jeszcze inne, wrogie mi oczy. Alfric poszedł bowiem za mną aż na blanki (zechciejcie pamiętać, że miałem wtedy zaledwie dziewięć lat i nie nauczyłem się jeszcze nieustannego zerkania przez ramię w poszukiwaniu wścibskich braciszków). Stojąc więc za mną, ukryty w cieniu rzucanym przez załom murów, był świadkiem bombardowania Quivalena Satha.

Dziedzic tytułu i rodzinnych włości dopadł mnie, zanim elf skończył masować głowę, rozejrzał się po okolicy i ruszył ku następnemu przystankowi swych poetyckich wędrówek. — Widziałem wszystko, gnojku! — syknął Alfric.

— Chcesz powiedzieć, że widziałeś wszystko — poprawiłem, jak zawsze, czerpiąc uciechę z przypomnienia bratu faktu, iż cieszyłem się większymi łaskami Gileandosa niż te, na które kiedykolwiek mógł liczyć Alfric. Nie była to jednak najmądrzejsza rzecz, którą mogłem uczynić w tych okolicznościach, starszy brat dopadł mnie bowiem natychmiast niczym brytan kota. Z twarzą wciśniętą w omszałe kamienie, wykreconą na plecy ręką i głową omotaną niczym drugorzędny bard płataniną powoju, szybko skorygowałem swą poprawkę. — Co takiego więc widziałeś, drogi bracie? — Widziałem, jak rzucałeś tym żołnierzykiem w elfa!

— Nie widziałeś jednak, jestem pewien, tego, co ów elf zrobił wcześniej. Ja zaś widziałem, jak wziął coś błyszczącego i wsunął to w rękaw swojej szaty. Pewnie srebro stołowe albo kryształowy puchar ze stołu taty.

— Na stole nie było sreber ani pucharów. Zabawiał nas poeta, nie kupiec. — Alfric mocniej przycisnął moją twarz do muru. Mimo woli poznawałem smak mchu i zaprawy.

— I nie widziałeś, jak kreślił plany zamku? Niewątpliwie jest nerakańskim agentem lub szpieguje dla jakichś wrogich Solamnińczykom fanatyków, którzy zamierzają oblec siedzibę ojca. — Chwył Alfrica nie zelżał, nie osłabł też nacisk granitu na mój nos. Spróbowałem jeszcze raz. — Alfric, czy nie przyszło ci do głowy, że padłeś ofiarą elfiego czaru? Albo zostałeś zahipnotyzowany? To, co widziałeś, było złudzeniem i wcale nie wydarzyło się naprawdę.

Uścisk nie osłabł, ponieważ Alfric tak dalece pogrzyżył się w głupocie, iż stała się ona swego

rodzaju mądrością: po prostu nie posiadał dość

wyobraźni, aby uwierzyć w to, czego nie potwierdzały jego oczy.

Tak więc zmuszony zostałem do łez, błagań, płaczu oraz do zdania się na litość Alfrica, której, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, nieoczekiwanie mu zabrakło.

Alfric jednak z pewnością dorobił się szczątkowej wyobraźni, ponieważ podczas następnych paru miesięcy wyczułem słaby smród nieuchronnie zbliżającego się do mnie szantażu. Ojciec nasz, jak już wiecie, był wzorem gościnności, mój wybryk zaś urósł w moich własnych oczach do rozmiarów zbrodni, którą okrucieństwo i chciwość Alfrica nieustannie jeszcze powiększały.

Stanu rzeczy nie poprawił nawet list od Quivalena Satha, który napisał do ojca długą epistolę. Opisywał w niej moment „boskiego natchnienia”, kiedy to „zesłany przez bogów pocisk” sfrunął z blanków zamczyska i ugodził go w głowę.

Czy pocisk, który spadł z niebios, był darem Branchali? Ponieważ Sath nigdy nie odnalazł żołnierzyka (wierzajcie mi, zatroszczyłem się o to osobiście, topiąc całą armię w czeluściach fosy), założył, iż purpurowy guz na jego ciemieniu jest fizycznym dowodem cierpienia artysty podczas aktu twórczego.

Na nieszczęście natchnienie przekształciło się w serię omdleń, które trwały przez kilka następnych miesięcy i które stały się inspiracją do powstania kolejnego poematu, elf bowiem wyzdrowiawszy napisał Mrok Solinari, utwór nigdy nie opublikowany, który jednak w naszej części Przymorza krążył przekazywany z ust do ust. Odnośnik do „porannego pocisku Szarego Rycerza”, choć dwuznaczny, wystarczył jednak, by ojciec zaczął domyślać się, iż w sprawę był zamieszany jeden z jego synów. Upewnił go w podejrzeniu widok służących zwijających się ze śmiechu podczas recytacji tego wiersza.

Nie, ojciec żadną miarą nie wybaczyłby mi zniewagi, jakiej dopuściłem się na osobie słynnego barda. Wygnałby mnie pewnie z domu na południowe bagniska bez odrobiny żywności. Zesłałby mnie na osławione Bagna Wardenów, skąd — o czym dobrze wiedzieliśmy — nikt jeszcze nie wrócił.

Z powodu pogroźek Alfrica przejąłem więc jego obowiązki sprzątania stajen i jego prywatnych komnat. Kiedy zaś okulał koń czy któryś ze sług, wina spadała na najmłodszego Galena, który przyznawał się, chroniąc prawdziwego winowajcę, Alfrica, i brał na siebie gniew ojca. W rzeczy samej więc, w miarę jak miesiące zamieniały się w lata, zacząłem zastanawiać się, czy nie byłoby lepiej przyznać się do winy w sprawie

Quivalena Satha. Chyba jednak nie...

Takim zatem torem działało się wszystko, ja zaś znajdowałem specyficzną uciechę w urazach i planowaniu zemsty tak wymyślnej i słodkiej, że mogłem ją zrealizować dopiero po ośmiu latach, dwa tygodnie po moich siedemnastych urodzinach, podczas nocy, o której już wam opowiedziałem.

Nie mogłem, niestety, sycić się słodyczą zemsty w miejscu, do którego właśnie trafiłem. Gdy tylko bowiem zniknęło światło padające z korytarza, gdy tylko w lochu, w którym zamknięto mnie z Alfrikiem, zapadła cisza, mój braciszek, jak wspominałem już wcześniej, ruszył ku mnie po posadze niczym ogromny krab. Potykał się przy tym, kłął i pomrukiwał. — Gdzie jesteś, ty mały draniu?

Szybko skoczyłem tak, aby znaleźć się za bratem, i zapiąłem: — Tutaj! — i umknąłem w bok. Usłyszałem chrzęst, świadczący o tym, że braciszek się odwraca, i znów skoczyłem tak, by znaleźć się za nim. Była to gra w kotka i myszkę... i, niestety, nie ja byłem kotem.

— Tutaj! — zawołałem ponownie i usłyszałem szelest tuż przed sobą. Skoczyłem w tył, by uciec jak najdalej... i wpadłem prosto w rozwarte szeroko krzepkie ramiona mojego brata.

Los uśmiechnął się wreszcie do Alfrica. Poczulem silne uderzenie w głowę, potem jakieś niezbyt

wprawne, ale ożywione niemałym entuzjazmem paluchy zacisnęły się na moim gardle... i z mroku runąłem w jeszcze głębsze ciemności.

Ocknąłem się, gdy w oczy zaświecono mi latarnią i ujrzałem twarz Gileandosa. Przykucnął nade mną, trzymając w jednej ręce latarnię, a talerz z chlebem i serem w drugiej.

Za nim stali dwaj nieco rozbawieni strażnicy. Wiedziałem, że na co dzień pracują w stajniach, uwięzienie Alfrica niewątpliwie napełniło ich serca skrywaną uciechą, mój zaś los był im absolutnie obojętny.

— Mój chłopcze, wyglądasz, jakby ktoś „strzaskał pałkę na twojej głowie”, jak powiadają w starym poemacie — rzekł Gileandos.

Krtań bolała mnie tak, iż z trudem mogłem oddychać, nie bardzo mogłem usiąść, a cóż dopiero mówić o przypomnieniu sobie jakiegoś wierszydła. Lewe oko miałem spuchnięte i światło latarni mocno mnie raziło. Owszem, czułem się tak, jakby ktoś „strzaskał pałkę na mej głowie...” nie było to złe określenie.

Gileandosowi jednak to nie wystarczyło. — Takie objawy nie są nieznane... można je często zaobserwować wśród niedawno zamkniętych w ciemnicy więźniów. Połączone działanie mroku, melancholii i wilgoci

jest niemiłe, ale rzadko bywa przyczyną śmierci. Przykładem historia Santosa Silverblade’a, rycerza solamnijskiego, który był przodkiem naszego gościa, sir Bayarda Brightblade’a. Powiada się więc, że Santos przetrwał oblężenie Daltigoth zamknięty w lochach tego znieawidzonego przez wszystkich miasta, kiedy zaś wtargnęli tam zwycięzcy rycerze pod wodzą Vinasa Solamnusa, Santos wyszedł z lochów, gdzie — wedle słów starej pieśni — „ponizano go i dręczono, nic jednak nie złamało rycerskiego ducha”.

— Galen po ciemku wpadł na ścianę — przerwał mój brat, odzywając się ze swego kąta. — Przestraszył się szczura, podskoczył i...

— Ejże, paniczku Alfricu — skrzywił się Gileandos z przyganą kierując światło latarni na gębę mojego braciszka, zdradzającą oznaki dręczącego Alfrica głodu, ale nie tkniętą żadnymi innymi przypadłościami. — Wydaje się dość oczywiste, że zetknęliśmy się z klasycznym przypadkiem wspomnianej przeze mnie choroby więziennej, które to objawy pogłębił niezwykle jak na tę porę roku chłód, co ustaliłem już wcześniej, obserwując układ plam słonecznych na bagiennej mgle — ze wszystkich zaś czynników najbardziej znaczący...

— Wpadł na ścianę! Oto, co się tu wydarzyło! Prawda, braciszku? — Alfric nie spuszczał ze mnie uporczywego wzroku.

— Gileandosie, mój brat ma rację. — Dobierałem słowa wielce ostrożnie. — To była ściana, jestem pewien. I niewątpliwie to był szczur... ten hałas, który wytrącił mnie z równowagi i skłonił do niefortunnego skoku... wynikiem którego są moje obrażenia. — Opadłem na posadzkę, próbując przybrać jeszcze bardziej żałosny niż przedtem wygląd. — Co więcej, mógłbym uniknąć wypadku, gdybym posłuchał Alfrica, który kazał mi stać spokojnie, dopóki nie skrzese dla nas ognia, który pozwoli nam widzieć w tych ciemnościach... a ma do tego talent, ponieważ potrafi wzniecić płomień w najbardziej niespodziewanych miejscach i ze zdumiewających materiałów. Było to dość niezręczne i niemal czytelne.

— Czekajże! — Gileandos pochylił się, nareszcie bowiem dotarło doń znaczenie moich słów. — Co tam pleciesz o ogniu?

— O, nic takiego. Jak mówiłem, przestraszyłem się... może też w jakimś stopniu padłem ofiarą choroby, o której wspomniałeś, bądź jednak pewien, że to był szczur, owszem, spory... może największy z miotu, ale jednak szczur... i to on był przyczyną żałosnej kondycji, w jakiej mnie

znalazłeś. Gileandos pochylił się nade mną, zmrużył oczy z uwagą i postawił obok mnie talerz.

— Aby złapać szczura, nie wystarczy mieć ser — rzekł z powątpiewaniem. — Masz tu śniadanie. Zjedz, zanim wystygnie. Odwrócił się, zamknął za sobą drzwi i tyleśmy go widzieli.

Gdy ucichły jego kroki na korytarzu, usłyszałem jakiś odgłos w kącie. Przeturlałem się w bok, poczułem podmuch powietrza, gdy coś dużego przeleciało obok mnie, usłyszałem uderzenie o ścianę i przekleństwa brata. Przemknąłem na środek, miałem przynajmniej nadzieję, że jest to środek celi.

— Nie myśl, że nie zrozumiałem tej gadki o szczurze! — warknął Alfric.

Świetnie. To oznaczało, iż Gileandos też mógł pojąć, w czym rzecz. Nie odezwałem się. — A co miała znaczyć ta gadka o ogniu? Nadal milczałem.

I tak przez kilka następnych godzin — a może upłynął cały dzień? — ruszałem się tylko wtedy, gdy słyszałem, jak brat się rusza, i zamierałem, gdy w celi zapadała cisza.

Usiłowałem pogodzić się z myślą, że nigdy już nie zaznam snu, kiedy w drzwiach celi zazgrzytał klucz. Celę zalały promienie światła i ujrzałem, iż stoję może o krok od Alfrica, odwrócony doń plecami. Mój drogi brat odwrócił się, wyciągnął ku mnie łapy, zanim jednak zdołał uczynić cokolwiek, pomiędzy nami znalazł się ojciec, który trzymając pochodnię w lewej ręce, prawą chwycił Alfrica za koszulę i mimo iż braciszek nie należał do ułomków, bez wysiłku podniósł go na wysokość stopy nad ziemię.

Zdumiała mnie siła i szybkość staruszka... i przysięgłem sobie, że od tej chwili będę przykładnym synem.

W drzwiach celi stało dwóch krępych strażników, którzy usiłowali ukryć uśmiechy rozbawienia. Ojciec kiwnął głową, oni zaś szybko umocowali żelazne dyby w jednej ze ścian lochu. Ojciec kiwnął głową po raz drugi i do celi wkroczył Gileandos. W rękach strażników ujrzałem tylko jedną parę łańcuchów.

Ojciec, który nadal trzymał bezradnie dyndającego nogami Alfrica, kiwnął głową po raz trzeci i Gileandos objaśnił nam nasze położenie swym dobrze wyważonym, belferskim głosem.

— Galenie, nigdy nie próbuj okłamywać starszych. Brak ci doświadczenia i przebiegłości. Słowa bowiem, mój chłopcze, są niczym las, w którym wprawne oko czyta jak w otwartej księdze... nie sposób jednak wymagać, aby ktoś w twoim wieku lub z twoim doświadczeniem

— życiowym wiedział, że kłamiąc — paradoksalne, nieprawdaż? — objawia innym prawdę. — Nie brzmiało to najlepiej. Stary piernik głądził dalej w tym samym duchu, a ja tymczasem marzyłem o płomieniach... mieszance samozapalnej lub ojcowskiej pochodni, którą wetknąłbym staremu w... Gileandos sam się prosił o następną porcję ognia. — Każdy tekst, pisany czy mówiony — brzęczał nasz wychowawca — zawiera treść wewnętrzną, która w tym wypadku objawiła mi z absolutną jasnością, iż to Alfric jest szczurem z twej opowieści i że twe obrażenia wcale nie są skutkiem spotkania szczura, w sensie dosłownym, ani uderzenia w ścianę, ale są wynikiem zwykłej, choć gwałtownej, działalności wspomnianego uprzednio Alfrica.

— Owszem, Gileandosie... — Po cóż wpędzać go w zakłopotanie, objawiając mu całą prawdę? Usiłowałem zrobić przestraszoną minę, potrząsałem więc głową i uśmiechnąłem się głupawo. Gileandos odpowiedział mi uśmiechem pełnym pobłażliwej wyższości.

— Co więcej, rozwikłałeś zagadkę, którą bezskutecznie usiłowałem rozwiązać od sześciu miesięcy... to jest od chwili owego pożaru, którego padłem ofiarą. Mam rację? — Nie mam pojęcia.

— No, no, chłopcze, daj spokój. Nie sądzisz chyba, że pogodzę się z faktem, iż moja sypialnia staje niespodzianie w płomieniach i nie spróbuję wyjaśnić przyczyn takiego stanu rzeczy. Usiłując okryć płaszczem tajemnicy uczynek swego brata, w istocie objawiłeś nam to, co skłonni jesteśmy

uważać za jego... powiedzmy... bardziej groźne i niebezpieczne dla otoczenia upodobania. Przyznaj, że mądrzej byłoby od początku wyznać nam prawdę. — M... myślę, że tak, Gileandosie.

Służba osadziła kipiącego gniewem, wierzgającego dziko Alfrica w dybach, ojciec zaś patrzył na niego, wymachując pochodnią jak mitycznym mieczem. Wiedziałem, że w tej chwili lepiej trzymać język za zębami.

— Twój ojciec i ja zastanawialiśmy się nad właściwą dla ciebie karą — Gileandos ciągnął dalej — i doszliśmy do wniosku, że najodpowiedniejszą rzeczą będzie, jeśli przykładem dla ciebie stanie się kara, jaka spotyka twego brata. Pozostaniesz więc tu w lochu, dopóki sir Bayard nie odzyska swej zbroi. Ufamy, że los brata będzie dla ciebie nauczka, on zaś, stawszy się dorosłym mężem, zacznie w końcu zachowywać się, jak na mężczyznę przystało. Ojciec zrobił minę, jakby zastanawiał się, jak to się stało, iż spłodził

złoczyńcę, mistyka i notorycznego łgarza, i dlatego w całej tej paczce nie ma choć jednego, który zdradzałby cechy charakteru, rokujące nadzieję na to, iż kiedyś mógłby zostać rycerzem. Dwaj służący zastanawiali się pewnie, czy wszystkie majątne rodziny podobne są do naszej.

Wyszli z lochu pogrążeni w milczeniu. Zaledwie to się stało, usłyszałem w mroku brzęk łańcuchów, zupełnie jak w dziecięcej opowieści o duchach. Mój braciszek zaczął fantazjować, co zrobiłby, gdyby mógł dostać mnie w swe ręce.

Usiadłem wygodnie, opierając się plecami o drzwi. Teraz nadeszła moja kolej.

— Wiesz, Alfric, te groźby i obietnice nie są zbyt wiele warte, dopóki siedzisz w dybach. Sprawy zaś mają się tak, że posiedzisz w nich chyba do końca życia. Wygląda na to, że będziesz tu tkwił przynajmniej przez najbliższe dziesięć lat, dopóki jakiś rycerz nie zechce zdobyć sławy największego naiwniaka, dając ci ostatnią szansę na zostanie giermkim. A tak przy okazji, Alfric, który to już raz? „Za wielkie z niego bydlę, by mógł zostać giermkim”. Czy to nie sir Gareth de Palantha tak powiedział, gdy miałeś czternaście lat? To było chyba wtedy, gdy przyłapał cię na otwieraniu puszek na jałmużnę, bo chciałeś kupić od kramarza zaczarowane okulary. Miały ci pokazać Elspeth bez ubrania, pamiętasz? Nawet ja mógłbym zostać giermkim w wieku lat czternastu, gdybym tylko zechciał. No, i oczywiście, gdybym był członkiem innej rodziny. Niestety, ojciec najpierw musi wyprawić z domu ciebie, bo jesteś najstarszym synem. Możesz to sobie wyobrazić, jakie to dla niego żenujące? Inni członkowie Zakonu mają synów, którzy dawno już zostali rycerzami, giermkami są już ich wnukowie, nasz ojciec zaś musi zadowolić się dwudziestoletnim ciamajdą, który pałęta się po domu, podżera dziczyznę, opija się winem i myśli jedynie o ponizaniu służby i zajeżdżaniu na śmierć koni. — W mroku lochu rozległ się wściekły ryk protestu. Ja zaś kontynuowałem z niemalą satysfakcją: — A teraz załatwiłeś się na kolejne dziesięć lat. I to będzie już ostatni raz, bo nawet największy idealista może poczuć pewne zakłopotanie na widok trzydziestoletniego byka, który czyści mu zbroję. Zostanie ci tylko kapłaństwo, a i na to może już być za późno, ponieważ obaj wiemy, że to Brithelm dość daleko zawędruje po duchowej drodze ku czystości, ty zaś będziesz jakimś posiwiąłym nowicjuszem, którego życiowe doświadczenie dotyczy jedynie... — Jak w starych komediach, gdzie wystarczy wspomnieć o kimś, aby stanął w drzwiach, zazgrzytał klucz w zamku i w poświacie spływającej z wyżej położonych sal, otoczony powiewem cieplejszego powietrza, ukazał się Brithelm, jedyna niewinna dusza w rodzinie. Wkroczył do komnaty spiskowców w asyście mocno już poirytowanych strażników.

Z pewnością był tu za duży ruch. Biorąc pod uwagę, że rozjuszony moimi uwagami Alfric zaczynał już szarpać się w dybach, mocno mnie to irytowało.

Ale taki właśnie był Brithelm. Jako zaś istota prawdziwie niewinna, szczerze współczuł nam obu.

— Hej, braciszku, jak się macie? Zimno tu i mokro, szczury, mrok i zapach rozkładu. Nie

podoba mi się, że musieliście siedzieć tu tak długo. Myślę jednak, że macie to już za sobą.

— Co mamy już za sobą? — spytał Alfric głosem, który brzmiał coraz wyżej i głośniej. Podczas mojej przemowy braciszek niewątpliwie wyobrażał sobie, że gotuje się we wrzącym oleju, mnie zaś chyba najchętniej ujrzałby wiszącego na grubej, solidnej pętli.

— Macie obaj pójść za mną — ciągnął Brithelm, kucając obok mnie i trzymając latarnię przed sobą po to chyba, by ujrzeć dziedzica dóbr rodzinnych dyndającego w łańcuchach przy ścianie — na posłuchanie, jakiego udzieli wam ojciec w wielkiej sali. Przed godziną wrócił Bayard i przywiódł w pętach złodzieja zbroi. Skorpion! Oto, co Brithelm nazywał pomyślnymi wieściami.

— Spodziewam się, że prawda wyjdzie na jaw i obaj zostaniecie oczyszczeni z zarzutów, ojciec zaś przywróci wam prawa członków rodziny Pathwardenów. Owszem. Aż do piątego pokolenia.

Osadzone w kunach pochodnie, zapalone pospiesznie z racji zbliżającego się zmierzchu i zbierającego się w sali tłumu, płonęły migotliwym blaskiem. W wielkiej sali zwykle gromadziła się też sfora psów. Były tu więc mastyfy, wyły i charty, które wspinały się przednimi łapami na stoły, tłoczyły się przy kominkach i parzyły się za draperiami. Ogarnięty zapałem wymierzenia sprawiedliwości, ojciec nie zadbał o to, aby wyrzucić psiarnię z sali.

Psy rozpoczęły więc przedstawienie, w którym i my mieliśmy wystąpić, co prawda, nieco później.

Ojciec i Bayard zasiedli więc na honorowych miejscach, gotowi dokładnie i surowo przesłuchać odzianego w czerń więźnia. Za nimi tłoczyła się służba, zawsze skłonna do plotek, wobec zaś perspektywy krwawego widowiska zebrali się nawet wieśniacy. W tej chwili jednak moją uwagę skupił na sobie więzień. Jego chude,

podobne do szkieletu nogi nie przypominały muskularnych nóg nocnego gościa, które dobrze sobie zapamiętałem. Jak tamten odziany był w czerń, na oko jednak miał sześćdziesiątkę. Czekałem, aż otworzy gębę, miałem bowiem pewne podejrzenia,

Byłem niemal pewien, że Bayard schwycił nie tego jegomościa, który włamał się do zamku.

Jeśli chodzi o mnie, wybornie się składało. Lepiej, aby ujęto kozła ofiarnego niż prawdziwego winowajcę, Skorpiona, który mógłby wpakować mnie w sieć podejrzeń, a tym samym splamić rodzinny honor na pięć pokoleń. W towarzystwie Alfrica i strażników ruszyłem na środek sali. Brithelm zajął miejsce obok fotela, w którym rozsiadł się ojciec.

Zwiesiwszy jedną nogę przez poręcz swego fotela, sir Bayard uważnie obserwował nas obu. Splótł palce i nie odrywał wzroku od naszych twarzy, uważnie śledził też nasze gesty. Czekałem, aż dojdzie do wniosku, który mnie wydawał się oczywisty: człek w czerni nie wyglądał na jegomościa zdolnego do uporania się z Alfrikiem, nie mówiąc już o wieśniaku takim jak Jaffa. Ten nieszczęśnik najpewniej rzucił broń, gdy tylko ujrzał sir Bayarda. Miałem niemal ochotę rozpoznać w łajdaku Skorpiona, gdyby istniał choć cień możliwości, że odzyskamy dzięki temu wolność. Trzymałem jednak język za zębami wiedząc, iż moje zapewnienie wzbudziłoby podejrzenia i wielu zaczęłoby zastanawiać się, jak to się stało, iż tak dokładnie zdołałem przyjrzeć się złoczyńcy. Stojący przed nami drań nie miał takich obiekcji.

— To on. To ten chłopak, który mi pomógł! — powiedział suchym, starczym głosem. Odchrząknął i kościstym palcem pokazał na mnie.

— Człowieku, masz chyba na myśli mego brata, Alfrica! — jęknąłem zdesperowany. — Nigdy wcześniej cię nie widziałem.

Bayard lekko podniósł się z fotela i wpatrzył się w moją twarz jeszcze uważniej niż przedtem. Odkaszlnął, a potem zwrócił się do więźnia, podobnie jak ojciec nie spuszczał ze mnie spojrzenia.

— Człowieku, czy wiesz, na kogo rzucasz oskarżenie? Kradzież to poważna sprawa... — Bayard

przerwał na chwilę, spojrzął na kominek, potem zaś ponownie skierował na mnie spojrzenie surowych, szarych oczu. — To duże przestępstwo, nie zwykłe niedopatrzenie, takie jak... drzemka na warcie. Człowiecze, od twojej odpowiedzi może zależeć czyjeś życie.

Zacząłem nie lubić sir Bayarda Brightblade'a. W jego obecności czułem się nieswojo. — Panie, niech mi będzie wolno rzec — zacząłem się bronić — że — właściwie, jak już mówiłem, nie zdążyłem dobrze przyjrzeć się draniowi, nigdy też jednak nie wziąłbym udziału w spisku wymierzonym przeciwko wam lub waszej własności. Możecie uwierzyć mnie lub temu przybłędzie, którego ujęliście wszak z dowodami jego winy. — Dramatycznym gestem wskazałem na więźnia.

Spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się na opryszka, dygoczącego w kajdanach przed moim ojcem. Wszystkich, prócz mego ojca, który postąpił za przykładem sir Bayarda. Ten zaś nie spuszczał ze mnie przenikliwego wzroku.

— Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, uwierzyłbym ci, mój młody panie — odparł sir Bayard wstając i odwracając się do mnie plecami. Zręcznie przeskoczył przez cofającego się psa i ruszył ku kominkowi, gdzie zatrzymał się nad leżącą tam i błyszczącą w świetle płomieni zbroją. — To on mi pomagał i mogę to udowodnić! — upierał się więzień. Łajdak nie był wybitnym mówcą, jego słowa jednak przyciągnęły uwagę wszystkich obecnych. Ojciec zerwał się; usłyszał właśnie to, co dawno już chciał usłyszeć. Tak przynajmniej myślałem. Oto jego ukochany, najstarszy syn okazywał się winny jedynie tego, że biedaczek powoli myślał, dał się zwieść komuś, komu ufał, i w niewłaściwym czasie znalazł się w niewłaściwym miejscu. Bayard nawet nie drgnął i przez długą chwilę wpatrywał się w kominek, zanim wreszcie się odezwał:

— Alfricu, proszę, powiedz nam raz jeszcze, co, według ciebie, wydarzyło się owej nocy.

Mój braciszek zaczął mówić jak zawsze nieskładnie, spoglądając niespokojnie to na sir Bayarda, to na ojca. Szukał wzrokiem ich aprobaty. Widywałem to jego spojrzenie już wcześniej. Usiłował wykombinować, jak daleko może posunąć się w łgarstwach, by samemu nie wpaść w tarapaty.

Rozstrzygnięcie tego było dlań jednak zbyt trudną sprawą, poczęstował nas więc tą samą, nieco mglistą wersją poprzedniej opowieści.

— Tamtej nocy szedłem schodami do góry, by sprawdzić komnaty na piętrze, bo, jak nieraz mówiłeś, ojcze, czasy są ciężkie i niełatwo o uczciwego człowieka.

— Może nie jest ich tak niewielu, jak utrzymujesz, chłopcze — sarknął groźnie ojciec, którego twarz kryjąca się pod czerwoną brodą i krzaczastymi, czerwonymi brwiami również mocno poczerwieniała. Bayard westchnął i wrócił na swe miejsce. Chmura przesłoniła słońce i pociemniało za oknami. Szyby, przypominające błękitem połysk skrzydeł rybołowa, stały się szare, jakby ktoś stanął za oknami wschodniej ściany

— sali. Choć wydawało się to niedorzeczne, przez chwilę miałem wrażenie, jakby ktoś rzeczywiście stał za oknami, być może szpieg, śledzący rozwój wydarzeń. Spojrzałem na Bayarda ciekaw, czy to zauważył. On jednak już siedział i słuchał tego, co zeznawał mój brat.

— Widziałem Galena przy drzwiach sir Bayarda i jako giermek, który powinien chronić interesy swego rycerza...

— Wiemy, wiemy — pospieszył zapewnić go Bayard. — Otworzyłeś drzwi swojemu bratu.

— Który stwierdził, że zobaczył coś podejrzanego na zewnątrz. Potem już dobrze nie pamiętam, panie. Nie wiem, czy to on mnie rąbnął. To mógł być ten łobuz, ale mógł to być też i Galen. — Uśmiechnął się niewinnie, nasyciwszy zemstą swe zdradzieckie serce.

Wśród wieśniaków i służby wszczął się rumor. Wydarzenia, których byli świadkami, dostarczyły im tajonej uciechy. Ojciec poczerwieniał tak, iż przez chwilę myślałem, że dostanie apopleksji, potem siadł głębiej w fotelu i chwycił dłońmi za poręcze. Ze swego miejsca słyszałem, jak

zatrzeszczały, i zacząłem oczekiwać, iż lada moment rozpadną się w drzazgi. Brithelm pochylił się nad ojcem, jego twarz zaś wyrażała tak głęboki smutek i współczucie, że aż zacząłem podejrzewać, iż on również w głębi ducha bawi się całą sytuacją. Bayard oparł się o wezgi fotela, zmrużył oczy i zrobił taką minę, jakby cała sprawa była dlań wielce bolesna.

— Potem pamiętam — ciągnął Alfric, przybrawszy świętoszkowatą minę — że odciągałeś mnie, panie ojcze, od szafy i słuchałeś tłumaczeń tej małej łasicy. Zacząłem płakać, głośno i żałośnie.

— Ojcze, to absolutnie niesprawiedliwe! — Wypadło nie najgorzej. Zachłysnąłem się, wbiłem wzrok w posadzkę i poszedłem szybko w kąt sali, gdzie jedna z pochodni płonęła szczególnie smrodliwie. — Ty zaś, sir Bayardzie, którego, jak się obawiam, podle oskarżenie mego brata zwróciło przeciwko mnie jak kruchą lodygę fasoli...

Porównanie nietrafne, ale zręcznie sformułowane i z pewnością zyskujące mi sympatię służby i wieśniaków, co może się przydać. Wytrzeszczyłem oczy na pochodnię pozwalając, by dym zasnuł mi twarz, co miało oczywiście wywołać kolejne łzy.

Lepiej zapłakać się nie dało. Z twarzą zalaną łzami odwróciłem się ku słuchaczom. Więzień uśmiechnął się lekko i sięgnął do swej opończy. Czujny niczym żuraw Bayard zauważył ten ruch i podszedł ku niemu, obserwując go uważnie.

— Och, prześwietni panowie, moja opieszałość ściągnęła na mnie niełaskę ojca, rzuciłem bowiem cień na jego sławną przeszłość... — Pochyliłem głowę. Brithelm zrobił krok do przodu i ujął mnie pod ramię. — ...splamiłem honor rodziny Pathwardenów na pięć pokoleń wstecz i pięć pokoleń naszych potomków.

— Galen, Galen. — Brithelm zaczął pocieszać mnie, jak umiał. — Z pewnością nie zrobiłeś niczego złego... — Wyrwałem mu ramię, ukryłem twarz w dłoniach i ciągnąłem dalej:

— O, gdybyż chodziło tylko o to! Ale moje zaniedbanie jest haniebne! Uchyliłem się od spełnienia obowiązku i godziłem się bez sprzeciwu, gdy mój starszy brat...

— Galenie Pathwarden, zrobiłeś znacznie więcej! — ryknął tryumfalnie więzień. — Nie tylko się godziłeś... z niemalą uciechą ze mną współdziałałeś.

Ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu chudzielec wyciągnął spod opończy mój pierścień imienny, ten sam, który został mi zabrany przez niego lub kogoś, kto owej fatalnej nocy ukradł zbroję sir Bayarda. Ów pierścień miał być rękojmią mojego milczenia.

W odległym kącie sali zgasła pochodnia, słudzy jednak zbyt byli pochłonięci obserwacją rozgrywającego się przed ich oczyma dramatem, aby ponownie skrzesać ogień. Zacząłem się jękać i rozpaczliwie próbowałem wymyślić coś sensownego.

Niestety, nic nie przyszło mi do głowy. Zdołałem jedynie wybąkać, dość nieprzekonująco, ochryplym głosem.

— Skąd on ma mój pierścień? Nie, to nie może być mój pierścień! Ktoś go podrobił! Cóż za przewrotność, do włamania dodawać zbrodnię fałszerstwa...

Ojciec zerwał się tak raptownie, że niemal przewrócił fotel. Psy, skamłając przeraźliwie, rozbiegły się na wszystkie strony.

— Milcz, Galenie! — zagrzemiał stary rycerz. — Skąd on zna twoje imię? Jakże mógł skopiować twój pierścień, skoro na świecie istniał tylko jeden — twój! — egzemplarz?

— Nie wiem, panie ojcze. Może... zerwał mi go z dłoni, gdy kradł zbroję? Ojciec nie dał się zwieść.

— Pokaż mi rękę! — rozkazał tonem, który wykluczał wszelki sprzeciw czy ociąganie się.

Mogłem jedynie wyciągnąć rękę przed siebie. Widok mych drżących, obnażonych palców wywołał masę pomruków i szeptów typu: „A co? Nie

mówiłem?” wśród słuchającej uważnie służby. Twarz ojca okryła się chmurą. — Ale... to...

— A dlaczegoż to — ciągnął ojciec nieco ciszej, tonem jednak tym bardziej złowrogim — nie powiedziałaś nic o zniknięciu twego pierścienia... dlaczego dowiaduję się dopiero w tej chwili?

Niełatwo mi było na oczekaniu wymyślić jakieś łgarstwo. Zapadła śmiertelna cisza.

— Galenie, jestem zrozpaczony — odezwał się ojciec po pewnym czasie. — Gdy rozmyślam nad kradzieżą zbroi, gdy zastanawiam się nad tym, czego dopuściłeś się wspólnie z twoim bratem, kusi mnie, by ściąć złodzieja, was zaś osadzić w lochu, aż obaj zatęsknicie za egzekucją. Myślę jednak, że gdybym tak uczynił, pogwałciłbym kodeks solamijski, choć moje postępowanie byłoby zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Oddaję więc wyrok w tej sprawie w ręce sir Bayarda Brightblade'a.

Po tych słowach wprowadzono nas z komnaty i, na szczęście, nie umieszczono nas ponownie w lochach. Alfricowi pozwolono swobodnie poruszać się po domu, choć nadal wisiała nad nim kara za niedopatrzenie obowiązków, mnie zaś czasowo umieszczono w bibliotece Gileandosa. Prawdziwy loch był w zamku tylko jeden. Przeznaczono go dla człowieka w czerni.

W bibliotece właśnie, pośród stołów i pulpity, ksiąg i pergaminów, spreparowanych kości i różnych innych eksponatów, pomiędzy alembikami i kolbami alchemicznymi ponownie rzuciłem Calantine, otrzymując dziewięć i jednaście — tunel w kamieniu, Znak Szczura. Zajrzałem do ksiąg, przeczytałem komentarz i opadły mi ręce.

Siedziałem tak kilka godzin, jedynymi zaś dźwiękami, jakie słyszałem, było bicie dzwonu na wieży, który oznajmiał godzinę trzecią, potem czwartą i piątą. Późnym popołudniem usłyszałem za oknem dość ciche, ale za to przeraźliwie tryumfalne wycie, ciężki oddech zaś i charakterystyczne dla Alfrica pociąganie nosem powiedziały mi, że braciszek czyha na korytarzu.

Raz nawet próbował sforsować drzwi. Ku jego rozczarowaniu i mojej uldze okazało się, że zamknięto je na klucz, a po wydarzeniach nocy sprzed dwóch tygodni braciszkiw odebrano pieczęć nad domowymi kluczami. Tak czy owak, ukryłem woreczek z opalami głęboko w kieszeni i jakoś przetrwałem do wieczora.

Zająłem się książkami. Przeczytałem jedną o krasnoludach, drugą zaś o materiałach wybuchowych. Pogrzebałem w szatach Gileandosa wiszących

starannie w jednej z szaf i przez chwilę zabawiałem się kolekcją ekslibrisów i pudrów, które Gileandos ustawił obok przyrządów alchemicznych. W końcu wdrapałem się na stół, wymościłem sobie miejsce pomiędzy papierami i manuskryptami i zasnąłem. Obudziłem się w kompletnych ciemnościach, doznając owego niemiłego uczucia, jakie niekiedy dopada nas w mrocznej komnacie i mówi nam, że nie jesteśmy w niej sami. — K-kto... kto tu jest?

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, a ciszę przerwał trzepot skrzydeł niedaleko okna. Najwidoczniej w bibliotece zamknięto nie tylko najmłodszego syna.

Skrzesalem ogień, zapaliłem świecę i wstrzymując oddech, ruszyłem w stronę okna.

Na parapecie siedział kruk, wielkie, niezgrabne ptaszysko, które tłuło się o szyby ciemnymi skrzydłami. Wyciągnąłem rękę i otworzyłem okno szepcząc: — Jakżeś się tu dostał, ptaszku?

Ptaszysko nadal siedziało na parapecie, całkowicie mnie ignorując. Przez chwilę kruk wyglądał, jakby był wypchany, zacząłem nawet podejrzewać, że ruch i hałas przy oknie były wytworem mej wyobraźni.

Ptak jednak niemal mechanicznie przechylił głowę w bok i przemówił suchym głosem wydobywającym się jakby znikąd.

— W ten sam sposób co ty, drogi chłopcze. Wmieszałem się w sprawy tych, którzy są znacznie potężniejsi ode mnie.

— Co?! — Świeca wypadła mi z dłoni. Łapiąc ją odruchowo, oparzyłem się i oczywiście

zgasilem ja.

Komnata pogrzyła się w mroku rozjaśnionym jedynie nikłą poświatą miesiąca, spływającą przez otwarte okiennice. Siedzącego na parapecie kruka oblewał czerwony blask Lunitari. Ptaszysko ponownie przechyliło głowę i dość niezgrabnie wzbiło się w powietrze, aby długim susem, trzepocząc skrzydłami, wylądować na jednym z pulpitych do czytania.

— Czyżbyś sądził, że opuszczę w potrzebie tych, którzy są... mi posłuszni? Myślałeś, że rzucę cię na pożarcie tym solannijskim wilkom? — Dobywający się z kruczego gardła głos był bezbarwny i nie miał dawnej, zwodniczej miękkości, natychmiast jednak rozpoznałem rytm i gładkie zdania, w których kryła się trucizna. W bibliotece powiało chłodem.

— Ja... ja miałem nadzieję, że wrócisz, panie — zełgałem, wzdrygając się z obrzydzenia i strachu. — Łżesz. — Ptak podskoczył nerwowo. — Mimo to... wróciłem. — Będziesz mi jeszcze potrzebny — ciągnął głosem Skorpiona.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

— Służenie ci, panie, jest dla mnie największą przyjemnością i niech mi będzie wolno dodać, że...

— Milcz! — Głos wydał mi się zbyt donośny, jak na ptaka i takie pomieszczenie. Cofnąłem się ku oparciu fotela, który przewrócił się na bezładnie nagromadzone szkła, retorty i inne pojemniki, zawierające bogom tylko znane eliksiry.

— Musisz jeszcze dla mnie popracować, Galenie Pathwarden. Musisz mocno się przyłożyć, aby uratować swoją skórę. — Wszystko, co mówił, nie brzmiało tak złowieszczo jak przedtem, ponieważ wychodziło z ptasiego dzioba.

— A co? Czy nie dosyć, że dla twej, panie, satysfakcji wpakowałem się po uszy w paskudną sytuację? — Wstałem nie bez trudności, przewracając jeszcze jeden pojemnik.

— Nie bardzo. — Kruk zmierzył mnie krótkim, tępym spojrzeniem. — Widzisz, mój mały, przyjaźnie zawieram na całe życie; nie sądzisz też chyba, że garść opali jest za małą zapłatą za ten drobiazg, prawda? — Owinąłem się jedną z opończy Gileandosa, w bibliotece zrobiło się naprawdę zimno. — Myślisz, że ugrzązłem w tej postaci? Że nie mógłbym, na przykład, stać się żmiją, lampartem albo tym twoim przyjacielem z trucizną w ogonie, którego poznałeś tak niedawno... pamiętasz chyba tę noc? — Przytaknąłem głową zapominając, że biblioteka jest pogrążona w mroku. — Zacząłeś wtedy spłacać swój dług, mój mały, ale to dopiero początek.

— Panie, czy nie zechciałbyś wziąć tych opali z powrotem? Może w ten sposób wyrównamy rachunek?

— Nie wyrównamy, Galenie. Stracę bowiem na tym handlu cennego sługę, tego człeka, którego zamknęliście w lochu i który na nic już mi się nie przyda... ponieważ postanowiłem trzymać się pewnych zasad. — Przepraszam, nie rozumiem?

— Potrzebuję innego sługi, Galenie. Muszę zastąpić kimś tego, którego straciłem. Nie trzeba chyba dodawać, że tym kimś będziesz ty. — Byłem zdruzgotany i trzymając otwartą gębę, szukałem właściwych słów. — Tak więc zrobisz to, co ci powiem. Dotrzymasz towarzystwa sir Bayardowi, gdy ruszy w podróż do południowej Solamнии, by wziąć udział w turnieju, który tak gorąco pragnie wygrać.

Zadbasz o jego odzież i zbroję, a także o wszystko inne — tak jak robi to giermek. Podczas wędrówki z sir Bayardem będziesz dostarczał mi informacji — ot, drobiazgi... gdzie przebywa, co zamierza, w jakim jest

humorze, a przede wszystkim będziesz opóźniał marsz i robił, co się da, by odwlec waszą podróż. Zadbasz o to, by sir Bayard nie zdążył na turniej.

Cóż to za nowy pomysł? Jakiż to pech zrządził, że do realizacji tego planu wybrał właśnie mnie?

— Będziesz musiał uzgodnić to, panie, z moim ojcem. — Westchnąłem nie bez ulgi. — Jak widzisz, jestem tu zamknięty i czekam na wyrok. Pamiętasz może, iż zadbałeś o to, by ojciec znalazł mój pierścień u tego człowieka w czerni? Wpakowałaś mnie w nielichą kabałę. Przykro mi, panie, ale nie bardzo wiem, jak mógłbym ci pomóc. Gdzie indziej będziesz musiał poszukać oddanego sługi, choć muszę rzec, iż odmawiam z prawdziwym smutkiem.

— Och, mój mały, na pewno mnie nie zawiedziesz. Tak się bowiem składa, że twoja wolność jest właśnie w moich szponach. — Słucham?

— Twój pierścień. Najzwyczajniej w świecie dajemy ludziom to, czego pożądamy. Nic ponadto. — Ptak wzbił się w powietrze i sfrunął prosto na mnie. Mrugając oczyma zasłoniłem twarz i

poczułem dotknięcie pazurów kruka na moim ramieniu. Opuściłem ręce i spojrzałem prosto w nie wyrażające żadnych uczuć krucze ślepie. — Idioto, spójrz na moją łapę — zakrakał. — Mój pierścień! Masz go na kostce! W jaki sposób...

— Ani na chwilę nie wypuściłem go z... dłoni — oznajmiło przebiegłe ptaszysko. — Osądzono cię na podstawie fałszywych dowodów.

— Jeśli powiem o tym ojcu, wypuści mnie stąd? — Podszedłem do okna. Kruk, jakby nic się nie stało, nadal siedział na moim ramieniu.

— Oczywiście, że nie! Kiedy jednak ujrzy ten pierścień i porówna go z tamtym, zorientuje się, jak niewiele brakowało, aby na zawsze wyrzekł się syna na podstawie fałszywego oskarżenia. — Ptak na moment wetknął głowę pod skrzydło, jakby chciał uniknąć blasku czerwonego miesiąca. — Dlatego właśnie — podjął po chwili, wyjmując łeb spod piór — to sir Bayard będzie tym, który pokaże mu twój pierścień. Rycerz znajdzie go w swej komnacie dziś w nocy. Apelując o twe uwolnienie, postara się też o godziwe zadośćuczynienie. — Jak to?

— O, przekonasz się sam. — Kruk rozłożył skrzydła i przysiadł, szykując się do odlotu. — Kiedy zaś to się stanie, będziesz wiedział, co robić.

Wzbijając się w powietrze, pofrunął nad dziedzińcem i zniknął gdzieś na tyłach zamczyska.

Zasnąłem ponownie i śniły mi się skorpiony i paskudny łopot skrzydeł. Obudziłem się raz jeszcze z tym samym uczuciem. Nie byłem sam.

Rozejrzałem się ostrożnie i ujrzałem tańczący przy drzwiach płomień świecy, trzymanej przez wysokiego i rosnącego męża.

Sięgnąłem do pasa, desperacko szukając noża, natychmiast przypomniałem sobie jednak, że odebrano mi go przed zamknięciem w bibliotece.

— Kto tu jest? — Tym razem mój głos zabrzmiał nieco spokojniej. Próbowałem nadać mu nieco groźniejszy ton, co mi się, niestety, nie udało.

Mężczyzna podniósł świecę wyżej i jedna z lamp zapłonęła jasnym blaskiem.

Pod lampą stał sir Bayard Brightblade, jego oświetlona z góry sylwetka kąpała się w powodzi złota, czerwieni i żółci płomienia lampy. Na twarzy rycerza malowało się jednocześnie rozbawienie i zakłopotanie.

— Jak na bibliotekę, kiepskie tu oświetlenie — zauważył odwracając się, aby spojrzeć na mnie leżącego na zasłanym zwojami pergaminów stole.

— To sprawa Gileandosa... — zacząłem wyjaśniać, rycerz jednak nie słuchał i ciągnął dalej:

— Galenie, zależnie od twego wyboru będziemy mieli ze sobą sporo do czynienia albo też nic zgoła. — Przerwał, spojrzał na stół, kciukiem przewrócił stronę manuskryptu i przez chwilę wydawał się pogrążony w lekturze. Jego cień był bardzo długi, powiększony przez oświetlenie, kładł się na stole i zniknął gdzieś w mroku. — Wydaje się bowiem, że na razie uzyskałeś odroczenie wyroku — powiedział łagodnie i otworzył zaciśniętą dotąd pięść. Rozpoznałem mój pierścień. Ze swego miejsca mogłem rozróżnić ryty. Teraz należało milczeć i wysłuchać tego, co ma do powiedzenia sir Bayard.

— Przed godziną może znalazłem go na kotarze w moim pokoju. Położył go tam być może ktoś, kto wiedział, że pierścień, który posiadał złodziej, jest podrobiony, i kto zlitował się nad tobą. Tak pomyślałem w pierwszej chwili. Sądzę, że może zrobił to ktoś ze służby. — Ktokolwiek to jest, dobrze ci się przysłużył. Pierścień jest niemal identyczny z tym, który pokazał nam złodziej. Porównałem je w obecności twego ojca, ten złodziejski jest, oczywiście, fałsyfikatem.

— Ktoś więc zadał sobie trud, by dowieść, że nie jestem złodziejem! Cały czas byłem niewinny! — Na to wygląda — ciągnął sir Bayard powoli, jakby jeszcze nad — czymś się zastanawiał. —

Wprawdzie należałoby również rozważyć jeszcze kwestię, jak to się stało, że złodziej zdołał skopiować twój pierścień... albo dowiedzieć się, gdzie przez cały ten czas podziwiał się ten prawdziwy. Na te pytania nie da się teraz udzielić odpowiedzi. Stwarza to wielce kłopotliwą sytuację. Serce uciekło mi w pięty.

— Może mamy do czynienia z magią? Albo to sprawka Alfrica? — podsunąłem niewinnie.

— Może tak, może nie — odparł sir Bayard, nie zdradzając się z tym, co naprawdę myśli. Kaszlnął znacząco. — Cokolwiek by o tym sądzić, jesteś wolny od podejrzeń, ja zaś, jak się okazuje, nadal potrzebuję giermka, muszę bowiem ruszać na południe. Dlatego właśnie — przerwał i raz jeszcze (nieco nerwowo, jak mi się zdawało) odchrząknął — proponuję, abys ty zostałeś moim giermkiem. — Ale Alfric...

— Cóż, miał swoją szansę i okazało się, że nie dorósł do odpowiedzialności. Nadal przebywa w areście domowym, ciężą na nim podejrzania i sir Andrzej nie chce nawet słuchać o posłaniu go ze mną. Galenie, w ciągu ostatniej godziny zastanawiałem się głęboko nad tym wszystkim, co tu się wydarzyło. Mogłeś oczyścić się z oskarżeń mówiąc, na przykład, że złodziej zmusił cię do tego, abys dał mu pierścień albo że zabrano ci pierścień siłą. Ty jednak tego nie zrobiłeś. Woląłeś znosić fałszywe oskarżenie, niż ratować się kłamstwem. Podobała mi się jego wersja. Sam w nią niemal uwierzyłem. — Takiego właśnie giermka potrzebuje rycerz. — A-ależ...

— Galenie, jeśli się mylę, czas i przebyta wspólnie droga ukażą mi prawdę. Teraz potrzebny mi giermek, a wydaje się, że jesteś najodpowiedniejszy z tutejszych kandydatów.

— Rozdział czwarty

SZYBKO ODKRYŁEM, że fach giermka nie składa się bynajmniej z samych przyjemności. Chwile, kiedy młody chłopiec, pękając niemal z dumy, ogląda swe oblicze odbite w wypucowanej do połysku zbroi, mijają nader szybko. Jeśli chodzi o mnie, jedna wystarczyła, aby mi przeszło.

Niewiele też czasu minęło i zacząłem nie znosić sir Bayarda bardziej niż któregokolwiek z braci, sług czy nauczycieli, ostatecznie zaś znienawidziłem go, gdy polecił mi nieustannie pucować swoją zbroję.

Przenieśli mnie więc z biblioteki do komnaty Brithelma, wybranej dlatego, że nie miała okien, przez które mógłbym uciec, ani żadnych mebli, z których mógłbym uczynić jakąkolwiek broń. Była pusta i pozbawiona niemal wszelkich wygód. Jedynym ustępstwem był dywanik i twardy materac z siana leżący na posadzce, jedynymi udogodnieniami była szafa oraz kominek i lampa. Niewiele rzeczy mogło tu odciągnąć moją uwagę od polerowania zbroi.

Minęło kilkanaście dni i pewnego mrocznego, chłodnego poranka poczyniliśmy ostatnie przygotowania, aby wyruszyć na niedorzeczną wyprawę sir Bayarda. Zaczynało siąpić i zapowiadał się jeden z tych poranków, które zazwyczaj przesypiałem aż do południa. Teraz zaś przygotowywałem się, by po czterech zaledwie godzinach snu wyruszyć na spotkanie chłodu i deszczu, zmierzając ku znanemu tylko bogom celowi.

— I cóż zyskałem? — zacząłem mówić do siebie, może nieco za głośno. — Chciałbym wiedzieć, jaka jest, przepraszam za wyrażenie, różnica... mój nowy pracodawca siedzi sobie na dole z ojcem i Brithelmem i popija strzemiennego, a ja siedzę tu i szmatkami poleruję jego zbroję. Choćby mnie zabito — ciągnąłem w tym samym duchu, zawzięcie czyszcząc skomplikowany wzór pokrywający przyłbicę — nie umiem dostrzec różnicy pomiędzy zostaniem giermkiem a sprzątaniami w komnatach Alfrica. Kimże w końcu jest ten sir Bayard Brightblade, jeśli nie moim nowym dręczycielem? Uparł się zabrać mnie do południowej Solammii, gdzie będzie mógł rozbić kilka czerepów innym rycerzom, ja zaś w tym czasie mam pucować do połysku jego zbroję, zajmować się końmi i biegać na posyłki.

A mnie już tutaj dojadło bycie cholernym totumfackim jakiegoś postrzelonego południowca!

Określenie bardzo mi się spodobało, więc zamknąłem oczy i powtórzyłem je kilkakrotnie.

Gdy ponownie zająłem się obowiązkami giermka, odkryłem, że nie mam pojęcia, jak ponownie złożyć zbroję. Nagolenniki leżały obok kominka, napierśnik na materacu, na którym położyłem go z nudów, pancerne rękawice na dywaniku przed paleniskiem, na poły zaś wypolerowany szyszak trzymałem w dłoniach. Wszędzie też porzuciłem rzemienie. Całe to urządzenie łączył przemyślny system skórzanych zapieć, nie miałem jednak o nim najmniejszego pojęcia.

— Nigdy tego nie złożę — jęknąłem płacząco. — Nic nie pasuje... ani jeden element nie pasuje do drugiego, a najmniej do Bayarda. I cóż powiem Skorpionowi, kiedy nie mam pojęcia, co powinienem szpiegować, i nie potrafię przekonać jegomościa, którego mam szpiegować, że nadają się na giermka? — Podszedłem do kominka i ogrzałem dłonie przy słabych płomieniach. — Przede wszystkim nie uwierzy mi, jeśli mu powiem, że więzień jest Skorpionem. Oczywiście, to nie Skorpion, ale sir Bayard nie może przecież tego wiedzieć. Tak czy owak, Bayard nie odezwie się słowem, ale podejrzewam, że mi nie uwierzy, i już słyszę te pytania, które mi zadaje. Gdzie podział się ten воск?

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem niemy gwizdek na psy, którego używałem niekiedy, by narobić zamieszania w sali paradnej, przekształcając jakąś ojcowską uroczystość w bezładne kłębowisko mastyfów, chartów, terierów i psów gończych. Cisnąłem gwizdek na materac obok napierśnika sir Bayarda. Potem zająłem się najcenniejszymi z moich skarbów. Przede wszystkim

Calantiną dwunastościennymi, drewnianymi kostkami z Estwilde. Za ich pomocą można utworzyć sto czterdzieści cztery kombinacje liczb, tradycja zaś łączyła każdą kombinację z symbolicznym zwierzęciem i trzema wersami, które są przepowiednią, najczęściej jednak okazują się zbyt niejasne, aby ich odczytanie przyniosło jakąkolwiek korzyść. Później dopiero, gdy oglądało się wydarzenia z perspektywy czasu, można było rzec: „Aaaa... jak mogłem się nie domyślić!”

Nie na wiele się zdawało używanie Calantiny, ale dziwnie pokrzepiająca była myśl, że da się jednak przewidzieć bieg przyszłych wydarzeń.

Następnie przyszła kolej na moje rękawice. Nabyłem je od wędrownego przekupnia, który zaklinał się, że zdobyły dłonie pewnego kapitana Legionu Solamnijskiego w bitwie pod Chaktamir. Zapłaciłem za nie pieniędzmi, które dostałem od służby, kiedy rozeszły się wieści, że ma nas odwiedzić sir Bayard. Zyskał sobie nieliczną reputację dzięki bohaterskim czynom i dzieciaki naszej służby, gdy tylko udało im się podczas przerwy w zmywaniu naczyń, sprzątaniu w szafach czy gdzieś w korytarzu na dole dopaść mnie, błagały, abym pozwolił im za skromną opłatą jednego grosza choć zerknąć na bajeczną zbroję.

Te grosiki wydałem na parę grubych, skórzanych rękawic, które teraz położyłem na materacu obok kości. Nawet nie śmiałem nosić ich w zamczysku, ponieważ były bogato i kosztownie zdobione, na kłykciach, na przykład, wytłoczono kolorowe fazy czerwonego miesiąca. Gdybym zaczął pysnić się tymi rękawicami w obecności ojca, mógłby zadać mi kilka niestosownych pytań.

Dzieciarnia służby nie zadawała jednak takich pytań, jako że maluchy zawsze są ufne i łatwowierne. W noc poprzedzającą kradzież zbroi powiedziałem im, że obejrzenie zbroi będzie niemożliwe i że samo uzyskanie tej informacji kosztowało mnie wszystkie grosiki, jakie od nich otrzymałem. Przyjęły te wyjaśnienia, myśląc może, iż takie są zawsze rezultaty, gdy ktoś usiłuje robić interesy z rycerzem solamnijskim.

Rozłożywszy przed sobą na łóżku kości, gwizdek i rękawice, nadal grzebałem w kieszeniach. — Przecież muszę gdzieś mieć ten воск...

Skończywszy szukać w jednej kieszeni, zająłem się następną, cały czas zastanawiając się, jaka też

zmiana zaszła w moim położeniu. I oczywiście rozmyślałem o sir Bayardzie Brightbladzie, ponieważ człek ten w istocie stanowił dla mnie tajemnicę. — Najpierw odmawia Alfricowi posady giermka za niedbalstwo i

utrata zbroi, potem przyjmuje na to samo miejsce mnie, którego podejrzewa o znacznie gorsze sprawy. Nie powoduje nim miękkość serca czy jakieś brednie w rodzaju „zapomnijmy o przeszłości i od tej pory sprawuj się godnie”. Tego biedaka w czerni wtrącił do lochów i mówi o karze śmierci. O ścięciu głowy! Nie mam pojęcia, czy rycerze solamnijscy zwalają tę robótkę na innych, czy też rezerwują przyjemność dla siebie. Figiel polega na tym, że biedak nie jest Skorpionem, ponieważ Skorpion, jak dobrze wiem, zamienił się obecnie w kruka. Ha! Ha! — Obejrzałem się niespokojnie przez ramię, by przekonać się, czy ktoś nie podsłuchuje. Nikt nie podsłuchiwał.

Gdy sięgnąłem do następnej kieszeni, moje palce dotknęły jakiejś rzeczy wykonanej ze skóry. Wyjąłem małą sakwę i zjrzałem do niej, szukając wosku, nie znalazłem jednak niczego poza sześcioma opalami, które otrzymałem owej fatalnej nocy. Przypomniałem sobie skorpiona na swojej dłoni i wzdrygnąłem się.

Kamienie przypominały ptasie jaja i zapragnąłem, by kruk zajął się ich wysiadywaniem. Zacząłem szukać dla nich kryjówki w komnacie Brithelma, potem jednak rozmyśliłem się i położyłem je na łóżku obok innych moich skarbów.

Potrzebowałem wosku. Wydało mi się niezłym pomysłem, aby stopić wosk i połączyć nim części zbroi, używając go jako spoiwa. Połączenie oczywiście miało być nietrwałe, ale gdybym poprosił jakiegoś tępego sługę o przeniesienie zbroi do komnat Bayarda i gdyby zbroja się rozpadła, mógłbym go o to obwinić.

Tak to sobie obmyśliłem, wiecie jednak, co mówi się o planach myszy i ludzi. Najwidoczniej to samo dotyczy łasic.

Gdy usłyszałem zgrzyt klucza w zamku, pomyślałem w pierwszej chwili, że to Alfric, który gdy zamiast niego zostałem giermkiem sir Bayarda, znenawidził mnie jeszcze bardziej niż przedtem. Nadal nie wolno było mu opuszczać zamczyska, ojciec zaś wytykał mu wszystkie jego wady. Obecność innych osób zazwyczaj krępowała ręce mojemu braciszкови, nie żywiłem jednak cienia wątpliwości, iż Alfric płonie chęcią odegrania się na mnie.

Natychmiast więc dałem nura do szafy, zamknąłem za sobą drzwi i zaszyłem się za wiszącymi szatami. Sprawdziłem też błyskawicznie, czy w tylnej ścianie szafy nie ma jakiegoś sekretnego przejścia, nie znalazłem jednak żadnego. Znalazłem się natomiast w pułapce. Z zewnątrz zaś dobiegał mnie zgrzyt metalu wleczonego po kamieniu,

potem brzęk metalu o metal. Ktoś robił coś ze zbroją.

Niekiedy ciekawość zwycięża zdrowy rozsądek. Tak właśnie stało się i teraz. Rozsunąłem wiszące przede mną szaty i lekko uchyliłem drzwi szafy, wpuszczając do niej odrobinę światła padającego od kominka i jedynej w komnacie lampy.

Nie muszę chyba nikogo zapewniać, że gdy wyjrzałem przez szczelinę w uchylonych drzwiach i ujrzałem napierśnik zbroi Bayarda wiszący w powietrzu nad łóżem, podtrzymywany jedynie przez mrok, pomyślałem, iż padłem ofiarą iluzji. Niewątpliwie, myślałem, dokonano tego za pomocą zwierciadeł. Czy nie jest to pierwsza myśl, która przychodzi wam do głowy, kiedy magia bezceremonialnie wkracza w wasze absolutnie dotąd niemagiczne życie? Postąpiłem więc tak, jak większość z nas postępuje w takich sytuacjach. Zacząłem szukać zapadni i innych przyczyn powstawania złudzeń.

Nie znalazłem żadnych. Pośrodku komnaty stał nieruchomo Brithelm. Patrzył spokojnie, nawet z pewnym rozbawieniem, jak zbroja rozświetliła się czerwienią, potem żółcią i w końcu bielą. Potem

powoli zaczęła składać się w całość. Nagolenniki podniosły się więc i pomaszerowały od kominka do siennika, jakby poruszało nimi wiekowe widmo. Ściany komnaty zadrgały w rytmie jakiejś nieziemskiej muzyki, nagolenniki zaś dołączyły do łączącej się w całość zbroi.

Wszystko to było chyba dziełem mojego średniego brata, który z uniesieniem odmalowanym na twarzy stał pośrodku komnaty i podniósłszy lewą dłoń, śpiewał do wtóru sączącej się ze ścian muzyki. Zbroja, już kompletna, przez chwilę wisiała w powietrzu, drżąc lekko i falując, widoczna jakby przez warstwę płynącej wody. Potem wszystko ucichło, Brithelm zaś roześmiał się cicho i usiadł na sienniku.

Ogarnięty zdumieniem cofnąłem się w głąb szafy. Przez kilka dobrych chwil siedziałem tak bez ruchu, dziwiąc się jeszcze bardziej. W końcu usłyszałem dobiegający zza drzwi cichy brzęk metalu i odgłos kroków Brithelma, potem zaś zapadła cisza. Za oknem zaczął śpiewać słowik, dokładnie tak samo, jak w tę noc, kiedy intruz wtargnął do komnat Alfrica i rozpoczęło się to całe zamieszanie. Była to chyba wówczas ostatnia pieśń tamtego ptaka przed odlotem.

Śpiew słowika zagłuszyło końskie rzenie. Bayard poganiał stajennych i przygotowywał się do podróży.

Ja jednak niemal zapomniałem o podróży, obserwując sztukę, której brat dokonał ze zbroją Bayarda. Najpewniej nie była to jedyna, jaką mógł

się popisać. Najwyraźniej przez całe dzieciństwo poświęcałem uwagę nie temu bratu, którego trzeba było obserwować. Jeśli Brithelm — ot, tak sobie, bez najmniejszego wysiłku — potrafi czynić sztuczki ze zbroją, to czy można sobie wyobrazić, czego mógłby dokonać z kośćmi do gry?

Te rozważania przywróciły mnie do rzeczywistości. Rękawice, kamienie Calantiny, gwizdek na psy i sakiewka z opalami leżały na widoku, gdzie mógł je dostrzec nawet najbardziej roztargniony z braci.

Wyskoczyłem z szafy. Zbroja stała się w kącie koło drzwi, jakby porzucił ją tam duch, który zmęczony się noszeniem żelastwa, starannie ustawił je w rogu.

Brithelm pogrążył się w medytacjach czy kontemplacjach, sadowiąc się na cienkim i przynajmniej na pozór dość niewygodnym dywaniku pośrodku komnaty. Zawołałem go cicho po imieniu raz, potem drugi i trzeci, brat nie odezwał się jednak i nie dał znaku, że mnie słyszy. Skrzyżował nogi i siedział z dłońmi zwróconymi do góry, zamknięte oczy czyniły go podobnym do figurki ze starej, porzuconej od setek lat świątyni, na którą możecie natknąć się niekiedy, gdy zapuścicie się zbyt głęboko na moczary lub wysoko w góry.

Możecie mi wierzyć, że poczułem się nieswojo. Co gorsza, nagle Brithelm zaczął się podnosić — zważcie, nie mówię, że wstawał — zawisłszy w powietrzu jak koliber, unosił się coraz wyżej, nadal nie otwierając oczu i nie ruszając dłońmi. Raz jeszcze spróbowałem go obudzić, bez żadnego jednak rezultatu.

Dobiegające z zewnątrz przez okno głosy powiedziały mi, że na dziedzińcu ojciec pomagał sir Bayardowi założyć uprzęż koniom, dając mu równocześnie ostatnie, dotyczące mnie rady i wskazówki.

— Mniemam, sir Bayardzie — grzmiał mój rodzic — że nadszedł czas, aby nieco lepiej opanował sztukę jeździecką... to z kolei będzie się chyba wiązało z zastosowaniem... dyscypliny. — Być może, sir Andrzeju. Dociągnijcie ten popręg, jeśli łaska.

— Chłopak nie ma też pojęcia o używaniu kopii. Spędziłem z Alfrikiem sporo czasu w szrankach i jest on najlepszy z wszystkich trzech, daleko mu jednak do tego, by był choć znośnie dobry. Teraz zaś nadszedł czas, aby Łasi... uhm... Galen dosiadł rumaka. Nauka jazdy na koniu może okazać się pożyteczna. — Wrzeczy samej, sir Andrzeju. Czy Waleczny nie jest zbyt mocno opięty? — Myślę, że

nie, sir Bayardzie. Jeśli chodzi o szermierkę... — Mniemam, że i w tym jestem odeń lepszy. Czy ostrogi podciągnięte — są jak należy?

I tak to szło. Ojciec potrafił przypomnieć sobie wszystkie rzeczy, których nie robiłem najlepiej, można było więc ufać, że rozmowę w tym duchu potrafi ciągnąć przez godzinę lub dłużej, aż wreszcie cierpliwość sir Bayarda się wyczerpie i spyta, gdzie podział się giermek z jego zbroją.

Obejrzałem się przez ramię na Brithelma, który nadal unosił się nad cienkim materacem. Sięgnąłem ręką pod niego i zabrałem swe skarby. Potem ruszyłem ku drzwiom, aby wziąć zbroję, nagle jednak zatrzymałem się.

Położyłem gwizdek na otwartej dłoni Brithelma, licząc na to, iż będzie miał się nad czym zastanawiać, gdy się ocknie. Był to dość przewrotny żart, wiedziałem bowiem, iż mój gamoniowaty braciszek Brithelm niewątpliwie spędzi kilka godzin zastanawiając się, jakie mistyczne znaczenie należy przypisać znalezieniu gwizdka na psy, który nagle zmaterializował się na jego dłoni. Najpierw chciałem dać mu opale, potem jednak pomyślałem o podróży, o tych, którzy udają się w podróż, i stwierdziłem, iż mogę zrobić z klejnotów lepszy użytek. Skąd mogłem wiedzieć, że ów gwizdek w innych rękach nadal będzie siał chaos i zamieszanie?

Wczesna pobudka nie spodobała się koniom. Dziedziniec wypełnił się rżeniem, parszaniem i innymi, mniej dwornymi dźwiękami. Pod nogami wierzchowców pałętały się psy, które histerycznym szczekaniem oznajmiały ruch ludzi i zwierząt o tak wczesnej i zaskakująco chłodnej porze. Sierść końska parowała obficie, para wzbijała się też z ust Bayarda i mego ojca, przypominając wszystkim o zimie, która w tajemniczy sposób zbyt wcześnie nawiedziła nasz kraj.

Przy pomocy Bayarda zdołałem umieścić zbroję na grzbiecie juczej klaczy, która obrzuciła mnie kosym, pełnym nienawiści spojrzeniem. Przykryłem zbroję lekkimi kocami, przytroczyłem do boku miecz, który wydał mi się teraz żałośnie mizerną bronią, i ponownie korzystając z pomocy sir Bayarda, dosiadłem grzbietu innego rumaka. Ku memu wstydowi przyszło mi dosiąść starej Melasy — szkapy, którą trzymaliśmy wyłącznie po to, aby dzieciarnia gości mogła zażywać przejażdżek po dziedzińcu.

Ojciec nadal nie miał wysokiego mniemania o moich umiejętnościach jeździeckich.

Ostatnie chwile mojego pobytu w zaniku spędziłem na wysłuchiwanie rad i zaleceń.

— Chłopcze, masz być dobrym giermkim dla sir Bayarda. Oznacza to, że nie wolno ci kraść ani kłamać. Wiem, iż potrzeba do tego głębokiej

zmiany twoich dotychczasowych zwyczajów, mimo to jednak proszę — nie!, żądam — byś zastosował się do moich zaleceń. Nie pozwól zardzewieć zbroi. Dbaj o broń, bo nigdy nic nie wiadomo, i zwyczaj ten może uratować twoją skórę na grzbiecie.

Nigdy nic nie wiadomo. To lubię. Stary zrzęda usiłował osłodzić mi gorzką prawdę. Cały rytuał rad i zaleceń był dość nużący. Zerknąłem do sakwy przytroczonej do siodła.

— Słuchaj, gdy mówię do ciebie! Słowo w słowo zapamiętaj to, co mówię! Na każde polecenie sir Bayarda chesz konie zgrzebłem i dbaj o ich kopyta. Gdybyś się zgubił, mech porasta drzewa od północnej strony. Gdy przyjdzie ci stawać przeciwko złu, czynń to dzielnie i jak zaleca Zakon, „nie zważając na osobiste cierpienia”. Ponieważ życie jest najcenniejszym darem, jaki otrzymaliśmy od Paladina, on zaś jest treścią naszych oddechów, walki i marzeń o poprawie świata, bacz, aby nigdy nie odbierać ani poświęcać życia na próżno. Zimny wiatr wdarł się na dziedziniec i stara Melasa zadrżała paskudnie.

— Sir Andrzej, mniemam, iż powinniśmy już ruszać — oznajmił Bayard, stając w strzemionach.

— Jeszcze tylko chwilka, sir Bayardzie. Nigdy nie wchodź do wody wcześniej niż godzinę po posiłku — zwrócił się do mnie — nigdy nie wchodź do wody, gdy nadciąga burza, strumienie

bowiem, stawy i sadzawki przyciągają pioruny, podobnie jak gałęzie jodły i nieśmiertelnika.

Bayard mruknął coś pod nosem i lekko szarpnął wodzami. Wielki, kasztanowej barwy ogier ruszył przed siebie, juczna klacz i Melasa odruchowo poszły za nim. Ojciec szedł obok mnie, ponieważ jeszcze nie skończył...

— Młodzieniec powinien unikać mocnych trunków, zanim nie ukończy dwudziestu lat. Unikaj, synu, również wszelkiego hazardu i niepolitycznej mowy. Kobiety, które spotkasz, przeważnie mają przy sobie noże.

Mimo moich obaw przed tym, co nas obu z Bayardem czeka — a bałem się nieznannej przyszłości w podróży, która zaczynała się za murami zamczyska i mogła nas zawieść w najodleglejsze rejony Krynnu, gdzie czekały już na nas przygody, których bynajmniej nie zamierzał unikać Bayard — mimo całego zamieszania z psami i kierunkami, cokolwiek czyhało na nas na końcu wędrówki, wydało mi się teraz mniej złowieszcze. Można by nawet rzec, iż stanowiło pewną oczekiwaną przeze mnie odmianę. Odczułem, jako się rzekło, ulgę. Trwało to jednak tylko dopóty, dopóki

zamczysko nie zniknęło za nami w mroku, ginąc w porannych mgłach, które spowiły je całunem przypominającym dym pożaru wzbijający się wolno i bez płomieni niczym mroczny przybój oceanu. Gdy ściany niemal rozplynęły się w szarzyźnie poranka, na blankach ukazała się drobna sylwetka jakiegoś człowieka.

Czekałem przez chwilę i przyglądałem mu się, tak jak on przyglądał się nam, gdy znikaliśmy mu z oczu. Ojciec?

I wtedy sylwetkę ogarnęły płomienie, zamigotała jak świeczka postawiona w oknie rodzinnego domu. — Gileandos! — zachichotałem, coś sobie przypominając. Pożegnalny podarunek, zapłata za pouczenia w lochu. Nigdy nie wiadomo, jakie chemikalia i mikstury trafią do twej kieszeni, jeśli pozwolisz łasicy buszować w swej pracowni.

Nocne ptactwo zaczęło układać się do spoczynku, a nikły blask słońca całkowicie przesłoniły wiecznie zielone wierzchołki vallenów, przez które przesączała się zielonkawa poświata. Niekiedy dobiegał nas wrzask kłócących się sójek, wschodzące słońce obudziło ptaki, których głosów nigdy wcześniej nie słyszałem. Ich pieśni jednak brzmiały jakby znajomo, na wyższych gałęziach toczyły się więc miłe pogwarki, ale w dole było ciemno i cicho. Zaczął też siąpić chłodny, poranny deszczyk i szlak sprawiał wyjątkowo ponure wrażenie.

Konie szły teraz rzędem. Na czele jechał Bayard na Walecznym, za którym człapała juczna klacz. Szyk zamykałem ja na swym koniu honoris causa. W miarę jak mijał dzień, odległość pomiędzy mną a moim towarzyszem zwiększała się stopniowo — Melasa zaś męczył się coraz bardziej. Wolałbym jechać na mule, nade wszystko zaś pragnąłem, by sir Bayard odezwał się bodaj słowem, ale moje kilkakrotne próby nawiązania rozmowy spotykały się ze zdecydowanym brakiem zrozumienia.

Niewątpliwie swe myśli skierował na południe, ku wspaniałemu turniejowi, w którym zamierzał zwyciężyć.

Na drodze panował zatem spokój równie głęboki jak w lochu. Było tu też dokładnie tak samo nudno: dźwięk, jaki wydawały końskie kopyta uderzające o zroszoną deszczem ziemię, wydawał się równie monotonny jak odgłos kropeł sączących się ze sklepienia celi, powietrze przenikał dojmujący chłód i wilgoć, a towarzystwo okazało się podobnie małowówne.

— Więc... — zacząłem, a mój kompan pochylił się w siodle, spojrzął na mnie i otworzył gębę po raz pierwszy od godziny.

— W zamku di Caela. — Co? — Chciałeś spytać, gdzie odbędzie się turniej, prawda?

— Dobrze jest wiedzieć takie rzeczy, sir Bayardzie. Zerknął na drogę, potem ponownie spojrzął na mnie.

— W zamku di Caela. Dotrzemy tam za dwa tygodnie. Leży w południowej Solamni, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Solanthus i twierdzą Vingaard. Jeśli się pospieszymy, dotrzemy na miejsce trzy dni przed terminem. Będiesz miał dość czasu na rozbicie namiotu, pozdrowienie w moim imieniu sir Roberta di Caela i wpisanie mnie na listę uczestników turnieju. — Czy nie jesteście, panie...

— ...odrobinę za stary na turnieje? — Wyraził to dość oględnie, odgadł jednak, o co chciałem zapytać. Mżawka powoli przechodziła w drobny i dokuczliwy deszcz, a widoczna przed nami ścieżka wyglądała naprawdę mrocznie i niegościnnie. — Mniemam, że tak. Ale tak zazwyczaj się dzieje, gdy zabiegasz o rękę młodziutkiej panny. Aby zwrócić na siebie jej uwagę, musisz rozpychać się wśród osiem-nastolatków. Opuścił kaptur, chroniąc twarz przed coraz dokuczliwszym deszczem.

— Powinniście wyciągnąć z tego nauczkę dla siebie — mruknąłem nieroztropnie.

Sir Bayard uśmiechnął się i pochylił głowę tak, aby woda spływała po obu stronach kaptura. Nie umiałbym więc powiedzieć, jaki miał wyraz twarzy, gdy odpowiadał: — Ty zaś powinieneś dobrze zapamiętać twą pierwszą lekcję. Ranek niepostrzeżenie zmienił się w południe, ale deszcz nie okazywał żadnych oznak znużenia. Na drodze i wokół niej roilo się od dźwięków świadczących o tym, że świat jest mokry — kopyta koni nieustannie rozbryzgiwały wodę w kałużach, a krople deszczu siekły o liście i gałęzie. Po pewnym czasie odgłosy te zlały się w jednostajny szmer, stały się wszechobecne i tak naturalne jak oddechy, a każdy głośniejszy hałas dał się od razu usłyszeć.

W przydrożnych krzakach dwukrotnie coś zaszeleściło. Dwukrotnie wyciągałem miecz i bez powodzenia usiłowałem skłonić Melasę, aby oddalił się od źródła hałasu. Za trzecim razem Bayard odsłonił przykrytą kapturem twarz i spojrzał na mnie z niesmakiem. Borsuk. — Przepraszam, ale nie rozumiem. — To borsuk. Dobywasz miecza na borsuka. — — Skądże to wiecie, u licha? To znaczy, czy jesteście pewni?

— Mędrzec mówi, wystawiając ucho ku wiatrowi — odparł sir Bayard, dobywając jednocześnie krzesiwo spod opończy. — Sir, wiedząc takie rzeczy, stanę się lepszym rycerzem.

— No, zatrzymamy się gdzieś tutaj — ciągnął Bayard, tak jakby nie usłyszał mojej deklaracji. — Trzeba nam odpocząć i zjeść jakiś posiłek. Spróbuję rozpałić ognisko w tym bajorze.

Rozłożyliśmy się pod potężnym vallenem, opierając grzbiety o jego szorstki pień. Wszystko wokół nas straciło jakby ducha, umilkły nawet świerszcze i żaby, zbyt zziębnięte, by radować się deszczem, który zazwyczaj witały wszak głośno i entuzjastycznie. Bayard zdjął rękawice i skulił się nad krzesiwem. Jego potężne łapska nie nadawały się do tak delikatnej roboty; sprawiało to wrażenie, jakby usiłował wystrugać dom dla lalek.

— Wracając do turnieju... — zacząłem. — Kim jest ta szlachetna dama?

— Jest córką sir Roberta di Caela, Rycerza Miecza. Twój wychowawca niewątpliwie zapoznał cię z sytuacją polityczną Solamni. Słyszałeś więc o rodzie di Caela?

— Stary ród solamnijski. — Przywołałem w pamięci nauki Gileandosa, obserwując równocześnie królika, który ponuro wytknął ku nam mokry łebek z kępy jałowca. Wyglądał, jakby go ktoś wypluł... albo zrobił mu coś jeszcze gorszego. Obaj — ja i ten królik — byliśmy naprawdę porządnie przemoczonymi delikwentami.

— Stary ród solamnijski — zacząłem jeszcze raz, myśląc o czekającej na mnie w domu ciepłej komnacie z wygodnym łóżem. — Założycielem rodu był Duncan di Caela, kuzyn samego Vinusa Solamnusa. Zastąpił jako człek śmiały i pomysłowy w boju, w czasach pokoju sprawiedliwy i godny. Od kilku jednak pokoleń rodzina di Caela, z powodów znanych tylko sobie, wycofała się z życia publicznego.

Królik dał nura w zwisające nisko gałęzie, kryjąc się wśród krzaków jałowca. Ten przynajmniej

miał tu gdzieś swoją norkę, w której mógł się schronić, gdy doskwierał mu chłód i deszcz.

— Ostatnim z rodu po mieczu jest Robert di Caela — dodał Bayard. — Po raz pierwszy od kilkuset lat dziedzictwo rodu jest w rękach dziewczyny. Po śmierci sir Roberta, jeśli dziewczyna nie wyjdzie za mąż, ród di Caela przejdzie do historii i popadnie w zapomnienie. Dlatego właśnie sir Robert ogłosił ów turniej. Krzesany przez Bayarda ogień rozblęsnął wreszcie nikłym płomieniem.

— I dlatego ku temu zamkowi zdążają zewsząd młodzi rycerze solamnijscy... No, nareszcie!

Ogień rozgorzał mocnym i równym blaskiem. Sir Bayard odłożył krzesiwo i mówił dalej.

— Dlatego też wszyscy zetrą się w turnieju i każdy liczy, iż to jemu przypadnie w udziale ręka lady Enid.

— Enid! — zawołałem z entuzjazmem nieco większym, niż należało. Ze wszystkich możliwych imion na Krynnie Robert di Caela wybrał dla swej córki akurat imię „Enid”? Enid przecież jest zawsze wielkim babiszonem o kwadratowym podbródku i ciasno splecionych włosach. Czegoż można oczekiwać od takiej kobiety oprócz świetnych placków?

Zacząłem chichotać. Oto siedziałem tutaj, na poły utopiony w bagnie, zagubiony pośrodku krainy, gdzie ogry mówią sobie dobranoc, i usługiwałem rycerzowi, który uparł się, aby zwyciężyć w turnieju o rękę dziewczyny o imieniu Enid! Bayard zmarszczył brwi i spojrzał na mnie z ukosa.

— Nie... panie, nie śmiałem się ze złej woli — wyjaśniłem szybko. — Proszę, nie gniewajcie się o zwykły uśmiech.

— Galenie, nie powziąłem o to urazy — odparł sir Bayard spokojnie, wpatrując się we mnie tymi swoimi szarymi oczyma. — Mimo to oczekuję, iż okażesz większy... szacunek. Zamierzam bowiem poślubić ową Enid di Caela.

Tego już było za wiele. Wybuchnąłem potępieńczym śmiechem, a sir Bayard nagle sięgnął po miecz.

W pierwszej chwili pomyślałem, że teraz się doigrałem! Zwinąłem się w kłębek i już miałem wybuchnąć rozpaczliwym wrzaskiem, usiłując przekupić sir Bayarda swoim, Alfrica i Brithelma dziedzictwem, kiedy na moich ustach zacisnęła się dłoń rycerza i zdusiła rodzący się w nich okrzyk. Usiłowałem ją ugryźć, Bayard jednak trzymał mnie nad podziw mocno.

— Zamknij się, chłopcze! — syknął tylko i umilkł, potem zaś uniósł głowę, węsząc jak lampart wietrzący łup. I wtedy, pomimo szmeru deszczu, dotarł do mnie człapiący odgłos kroków dochodzący z odległej od nas może o trzydzieści jardów kępy jodeł.

— To nie borsuk! — syknął Bayard i zabrał dłoń z mojej twarzy. Energicznym ruchem podbródka wskazał mój miecz, co w tej sytuacji było dość jednoznacznym rozkazem. Posłusznie skinąłem głową i przesunąłem rękę ku orężu, jak przystało na lojalnego i wiernego giermka. Wierzcie mi jednak, iż nie miałem zamiaru dobywać broni tak długo,

jak długo istniała choć jedna droga ucieczki i jedno miejsce, gdzie mogłem się ukryć. Ojciec dość jasno określił moje umiejętności i znajomość szermierki. O wiele prawdopodobniejsze było, że wyrządę jakąś krzywdę sobie lub sir Bayardowi niż tym, którzy zasadzali się na nas wśród jodeł. W tej chwili jednak musiałem przybrać krwiożerczy wygląd, chciałem bowiem przekonać mojego łatwowiernego towarzysza, iż będę tuż za nim w każdych jatkach, w jakich zamierza wziąć udział.

W rzeczy też samej znalazłem się za nim, ale jednocześnie znacznie wyżej, ponieważ gdy tylko sir Bayard ponownie zwrócił głowę w stronę źródła tajemniczych dźwięków, ja błyskawicznie schroniłem się wśród gałęzi vallenu. Szybko niczym łasica wspiałem się na niższe konary, skąd mogłem zobaczyć, co dzieje się w dole, mając nadzieję że nikt — nawet sir Bayard — nie dojrzy mojej kryjówki.

— Kto idzie? — zagrzmiało spomiędzy jodeł. Sir Bayard miał rację, chyba że natknęliśmy się na

zaczarowanego borsuka. — Sir Bayard Brightblade z Vingaard, rycerz solamnijski. A kto pyta? Nie wierząc własnym uszom, łupnąłem z rozpaczą głową o gałąź, do której przyłgnałem. Nie sposób było wprawdzie rozpoznać, kto lub co kryło się wśród jodeł, każdy jednak, kto zechciałby ryzykować swe ciężko zarobione pieniądze, postawiłby na to, iż zaczęli się tam kmiotkowie. Ci sami, co — jeśli raczycie sobie przypomnieć — nigdy nie darowali rycerstwu owego drobiazgu zwanego Kataklizmem, który zmienił oblicze świata i podczas którego na dokładkę zginęło parę milionów wieśniaków.

Co gorsza, kmiotkowie zapewne lepiej jeszcze pamiętali łajdactwa, jakich dopuścił się na nich jegomość noszący tę samą zbroję, która teraz spoczywała na grzbiecie juczej kobyłki. Rycerz solamnijski był ostatnią osobą na świecie, którą powitaliby z otwartymi ramionami.

Jeden po drugim wyszli tedy spod jodeł, aż naprzeciw sir Bayarda stanęło sześciu drabów — ponurych, ubłoconych i nieprzyjaznych. Wszyscy marszczyli brwi, łypali wrogo ślepiami i wszyscy mieli w łapach jakiś oręż — sękatą pałkę, topór czy młot o drzewcu równym mojemu wzrostowi.

Bayard łatwo dałby radę każdemu z nich. Cisnął swą opończę na rosnący obok krzak i nie zważając na siekący uporczywie deszcz, stał teraz naprzeciwko grupki kmiotków jedynie w lekkiej skórzanej tunice, trzymając w prawej ręce swój długi miecz, w lewej zaś dzierżąc niedbale krótki, lecz paskudnie wyglądający sztylet.

Rycerz bez większego wysiłku dałby radę dwu kmiotkom, może uporałby się i z trzema. Musiałby jednak ulec przewadze, gdyby

zaatakowali go w sześciu, oni zaś świetnie o tym wiedzieli, rozstawili się więc w półokręgu — dość luźnym co prawda — i zamknęli nam drogę odwrotu. Zrobiło mi się żal sir Bayarda. Pospiesznie wspiąłem się jeszcze wyżej.

— Rycerz solamnijski? — spytał jeden z drabów, nie najroślejszy, ale niewątpliwie najpaskudniej wyglądający opryszek, którego łysy czerep nosił pośrodku czerwoną bliznę, niewątpliwie pamiątkę po bogom jedynie wiadomych łajdackich wybrykach właściciela. — Powiedzieliście, panie... „rycerz solamnijski”, czy nie tak?

— A jeśli tak, to co? — spytał sir Bayard, odwracając się równocześnie wolno w prawo i kolejno częstując każdego z przeciwników krótkim spojrzeniem. Gdy doszedł do końca szeregu, zwrócił się w drugą stronę i ponownie zaczął przeszywać każdego wzrokiem. Wszystko to działo się powoli, jakby tańczono jakiś stary i wielce czcigodny rytualny taniec. Podczas tego przedstawienia sir Bayard i Szrama rozmawiali spokojnie i niemal przyjaźnie, kmiotkowie zaś podchodzili coraz bliżej do obracającego się w miejscu rycerza.

— Cóż, jeśli tak jest w istocie — odparł Szrama, przekładając topór z ramienia na ramię tak lekko, jakby zamiast obucha trzymał w dłoniach wędkę — to być może nie zrozumieliście, panie rycerzu, mojego pytania. Wiecie, solamnijscy rycerze nie są na tych ziemiach szczególnie kochani. Być może jesteście jakimś innym rycerzem, a może należycie do zakonu, o którym ja i moi ludzie w ogóle nie słyszeliśmy i przeciwko któremu nic nie mamy, pojmujecie? Karrock?

Kiwnął głową człowiekowi po lewej — najwidoczniej owemu Karrockowi. Był to rosły i wyglądający na brutala gość z włosami równie czerwonymi jak moje i znacznie ciemniejszą brodą — podobnie niezwykłą kombinację maści spotykało się często w naszych stronach. Karrock poruszał się powoli, ale i bardziej zdecydowanie. Podeszedł do naszej juczej klaczy i wyciągnął łapę ku bagażom.

— Gdybym był tobą, dałbym sobie spokój, człowieku! — syknął sir Bayard, wykonując kilka szybkich kroków, tak że błyskawicznie znalazł się na długość miecza od rudzielca. Kmiotkowie znieruchomieli, a sir Bayard odwrócił się i ponownie spojrzał na Szramę.

— Mój dobry człowieku, skończ z tą filozofią. Jeśli jest jakiś powód, dla którego powinienem ukryć swą przynależność do Zakonu Solamnijskiego, chciałbym go poznać, abym mógł czym prędzej rozwiązać wasze złudzenia. — Panie Podbechtywaczu, myślę, że ten jegomość wie, co mówi —

szeptał Karrock, cofając się o krok od naszej klaczy. — Zgodziłem się na obywatelski patrol, a nie na wdawanie w awantury z uparciuchami.

— Jest nas sześcioro na tego jednego — odparł Szrama, skinieniem pały wzywając draba z prawej, który podszedł do Bayarda i wsunął się zręcznie pomiędzy Melasę i kobyłkę. — Widziałeś przecie, co jeden z nich zrobił w naszej wiosce. — Po to żem tu przyszedł — kiwnął głową Karrock.

— Chcę rzec — zachichotał nieprzyjemnie Szrama, zwracając się do Bayarda — że nie umiem czytać, ale potrafię liczyć. Nawet rycerz solamnijski przyzna, iż jest pewna filozofia skryta w znaczeniu liczb.

— Patrol obywatelski? — Sir Bayard odprężył się nieco, ale spoglądając z góry na jego ramiona, spostrzegłem, iż miał oko na człeka zbliżającego się z prawej strony Szramy. — Więc strzeżecie swej wioski? Przeciwno komu lub czemu, jeśli wolno zapytać?

— Przeciwno rycerzom solamnijskim, takim jak nie przymierzając wy sami, panie, co to myślą, że zbroja i majątek rodziny zapewnią im swobodę... czynów, na które nie pozwalał sobie nawet stary Król-Kapłan Istar. Jeden z waszych odwiedził nas kilka tygodni temu...

Oburącz objąłem gałąź, na której siedziałem, i poleciłem się wszystkim bogom. Upewniłem się przy tym, iż moja modlitwa była absolutnie bezgłówna — nie pozwoliłem sobie nawet na westchnienie. Karrock bowiem wziął się wreszcie w garść i ponownie robiąc krok ku juczej klaczy, wyciągnął łapę, aby zbadać zawartość naszych juków.

Jak pouczał mnie Gileandos na lekcjach teologii, których unikałem, jak tylko mogłem, bogowie odpowiadają niekiedy na nasze modły w sposób absolutnie nieprzewidywalny.

Melasa, jak wiecie, był stary. Nie po prostu stary — tak jak mężczyzna, który zbliża się do sześćdziesiątki czy nawet siedemdziesiątki. Melasa był stary od ponad trzydziestu lat — ojciec odesłał go na pastwiska, kiedy urodził się Alfric. Miał zatem już za sobą wiek podeszły, sędziwy czy nawet zgrzybiały. Zechciejcie również wziąć pod uwagę, iż podczas ostatnich trzydziestu lat jego przygody ograniczały się do ciągnięcia w podwoziu małych dzieci wokół zamkowego dziedzińca, w opałach zaś — lub w czymś do nich zbliżonym — był ostatni raz przed dwudziestu laty, kiedy to na dziedzińcu pożarły się psy, szybko zresztą rozpędzone przez jednego z kuchcików. Uwzględniwszy to wszystko, zdolacie zrozumieć, dlaczego biednej szkapie sytuacja wydała się groźna. Może więc także pojmiecie, dlaczego Melasa z miejsca padł trupem. Było to po prostu działanie prawa przeciętnych. Zdarzyło się jednak w

samą porę. Łomot walącego się na ziemię koniska zaskoczył drabów, którzy z prawej strony Szramy podchodzili do stojącej nieco na lewo od Bayarda juczej kobyłki. Kmiotkowie jak jeden mąż odwrócili się i podnieśli oręż, przekonani, iż sir Bayardowi przychodzi w sukurs ktoś, kto zeskoczył z drzewa i być może znalazł się właśnie za ich plecami.

Nie mieli jednak pojęcia o tym, jak szybki potrafi być ich przeciwnik. Bayard jednym susem przefrunął nad juczną klaczą — a pamiętajcie, że na jej grzbiecie tkwiła przytroczona jego zbroja — i ciężko wylądował między naszym bagażem a wojowniczymi kmiotkami. Odwrócili się ku niemu, ale było już za późno. Rycerz potężnym zamachem uderzył płazem jednego z nich w żebra — zabrzmiało to, jakby trzepał dywan; usłyszałem głuchoe łupnięcie i świst powietrza opuszczającego płuca ofiary. W tej samej chwili, w której się odwrócił, człeczyna zwałił się na kolana, rozpaczliwie usiłując złapać oddech.

Jego kompani znieruchomieli, jakby pomiędzy nimi pojawiło się nagle coś wielkiego i

nadnaturalnego — powiedzmy smok lub kolumna ognia. Bayard tymczasem odwrócił się błyskawicznie i poczęstował Karrocka potężnym kopnięciem w pierś. Rosły opryszek zachwiał się i chybnął w tył, Bayard zaś ruszył nań w półprzysiadzie. Pozostali ochotnicy stali bez ruchu, trzymając broń tak, jakby nie wiedzieli, do czego służy.

Wyjątkiem okazał się Szrama. Poruszając się zręcznie i cicho, przemknął nieznacznie w prawo, aż znalazł się za plecami człowieka, który dostał płazem miecza — i raptem stanął za Bayardem. Rycerz, który zamierzał najwidoczniej zdemobilizować przed czasem Karrocka, w ogóle tego nie zauważył.

Był więc najwyższy czas, abym podjął jakieś działania. Mogłem przynajmniej ostrzec okrzykiem mego szlachetnego pracodawcę, a jeśli zdecydowałbym się na coś bardziej bohaterskiego — wzdrygnąłem się na samą myśl o takiej nierozwadze — mógłbym na przykład zeskoczyć z gałęzi w sam środek zawieruchy.

Na szczęście przypomniałem sobie, iż nigdy nie byłem zwolennikiem ostentacji i działań pochopnych a nieprzemyślanych. Zamiast tego zatem oddałem się biernej obserwacji rozwoju wydarzeń.

I wtedy to stało się coś ciekawego — tak jakby z tych wszystkich gróźb i przechwałek zrodziło się swego rodzaju zawieszenie broni. Zamiast zaatakować sir Bayarda od tyłu — tak przynajmniej bym uczynił — Szrama przystanął i zajął się podtrzymywaniem swego pozbawionego tchu kompana. Bayard tymczasem powalił Karrocka potężnym sierpem w szczeciniastą rudą szczękę i odwrócił się na prawo. Jego wzrok na chwilę

zetknął się z oczyma Szramy i niełatwo rzec, czy przekazali sobie jakieś sygnały oprócz kończących wymianę spojrzeń kiwnięć głowami. Szrama jednak gestem dłoni kazał swym ludziom cofnąć się w jodłową gęstwinię, Karrock zaś po chwili wstał i chwiejnie poczłapał za swym wodzem. Jedyńm śladem walki było lekkie zadrapanie widoczne po lewej stronie jego podobnej do końskiego zadu gęby.

Dopiero teraz zeskoczyłem z gałęzi, przeturlałem się po ziemi, aby wyglądać na bardziej sponiewieranego niż w istocie byłem, przygryzłem wargę — nie za mocno... ot, na tyle, by nieco krwawiła — i dźwignąłem się na nogi.

— Niech to będzie dla was nauczka, gdy zechcecie raz jeszcze zaczepić dzielnego rycerza z Solamni! — wrzasnąłem.

Bayard odwrócił się ponownie — tym razem powoli — i niemal spopielił mnie wzrokiem. — Zobacz, co z twoim koniem — poleciał mi chłodno.

Jak się domyślacie, niewiele znalazłem do oglądania. Pożegnaliśmy się z Melasą i przełożyliśmy mój bagaż na juczną kobyłkę, o której nie da się rzec, aby okazała nam za to wdzięczność, ja zaś porzuciłem myśl o dowiedzeniu się czegoś więcej o drodze do zamku di Caela. Postanowiłem, że dam sobie spokój i pozwolę, aby sir Bayard nieco ochłonał.

Na nasze humory znaczny wpływ miał fakt, iż obaj przemokliśmy do nitki. Bayard wrócił do ogniska, postanowiwszy widać, że jeśli mamy się posilić, to — na bogów! — posilimy się tu, a nie gdzie indziej.

Jedliśmy dość pospiesznie. Z jednego z niezliczonych worów Bayard wyciągnął wędzonkę i suszone owoce. Na nasze szczęście ogień był dość ciepły — nie na tyle jednak, aby dało się na nim cokolwiek ugotować. Siedząc pod przydrożnym vallenem, spożyliśmy więc suchy i niesmaczny posiłek, podczas którego obok nas dygotały z zimna konie, a z nieba nieustannie siąpił dokuczliwy deszcz.

Dla rozrywki rzuciłem Calantine, otrzymując dwa i osiem — Znak Konia. Gdy usiłowałem

przypomnieć sobie wersy komentujące ten znak, poczułem nagle na ramieniu ciężar dłoni Bayarda. — Co to takiego?

— Znak Konia — odpowiedziałem zwięźle. W tej chwili nie chciałem przerzucać się uprzejmościami z kimś, kto miał być jednocześnie moim sędzią, ławą przysięgłych i katem. — Miałem na myśli...

— To Calantina. Wróżebne kości z Estwilde, dzięki nim można przewidywać przyszłość. — Żywiłem nadzieję, że sir Bayard zadowolony się

— tą odpowiedzią, wróci do ogniska i susząc mięso, spróbuje przekształcić w coś pysznego jakiegoś świństwo, w smaku praktycznie nierozróżnialne od worka, w którym się je przewozi. Zanim dotrzemy do zamku di Caela, może jeszcze zdarzyć się okazja do pospiesznego zaspokajania głodu.

— To nic niewarte śmiecie — rzekł Bayard, wyjmując nóż i ruszając ku Walecznemu. — Nie będę się sprzeciwiał — zgodziłem się obojętnie. — To dlaczego to robisz? — Co?

— Dlaczego używasz Calantiny? W Estwilde to tylko gra towarzyska. No, oczywiście wtedy, gdy zbiera się jakieś towarzystwo. Po to ją wymyślono i nikt nie traktuje jej poważnie. Dlaczego ty postępujesz inaczej? — Zadając to pytanie, prychnął pogardliwie.

— Dzięki Calantynie mogę niekiedy intuicyjnie przewidzieć niektóre wydarzenia, sir Bayardzie. Mogę dostrzec swe miejsce w nieustannie zmieniającej się zależności od innych rzeczy i zjawisk. Mogę domyślić się wielu rzeczy i podjąć właściwą decyzję.

— Śmiecie. — Sir Bayard splunął ponownie i zajął się oczyszczaniem z błota kopyt swego rumaka. — Śmiecie?

— Śmiecie, Galenie — powiedział uśmiechając się. — No, wiesz... Odpadki. Resztki. Nawóz. Odwrócił się do mnie i tym razem uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Chłopcze, na świecie są różne rodzaje magii. Te kości nie zawierają w sobie żadnej z nich.

— A skąd możecie być pewni? — spytałem, opierając grzbiet o pień drzewa i ciągle trzymając kości w schowanej w kieszeni dłoni.

— No dobrze — mruknął Bayard i sięgnął po drugie z przednich kopyt Walecznego. — Jaki znak teraz odczytałeś?

— Znak Konia — mruknąłem, spoglądając ku gęstwinie jodeł i zastanawiając się, czy kmiotkowie nie wrócą ku nam w większej sile... co mogło zdarzyć się w każdej chwili.

— Ale co on oznacza? — dopytywał się mój pracodawca, czyszcząc kopyto.

— No... może odnosić się do naszej podróży. Albo do tego, co przytrafiło się biednemu Melasie.

— Nie bardzo to ściśle, co? — spytał zwycięskim tonem sir Bayard i zachichotał, przechodząc do tylnych kopyt ogiera. — Ten znak może oznaczać wiele spraw czy rzeczy i wiązać się z nimi — w sposób, którego jeszcze nie odkryliśmy. — Było to trochę naciągane, ale myślałem, że przynajmniej z tym argumentem Bayard nie będzie się spierał. Okazało się, że jestem w błędzie.

— Galenie, to tłumaczenie post factum. Całą tę drogę mógłbym wybrukować omenami, które objaśniono później. Magia jest równie rzadka jak honorowa walka pomiędzy opryszkami na tej drodze.

— Sir Bayardzie, ale ja bywałem świadkiem czegoś, co można określić jedynie mianem magii — zaprotestowałem, myśląc o Brithelmie.

— A ja widywałem walkę pomiędzy ludźmi honoru — zgodził się spokojnie sir Bayard i ponownie wrócił do swego zajęcia. — Szrama, Karrock i reszta tych tam ludzi uważa, iż jesteśmy opryszkami — naprawdę w to wierzą, i fakt, że w lochu twego ojca siedzi ten człeczyna w czerni, wcale nie zmienia ich przekonań.

Przerwał na chwilę, spojrzał mi w oczy i znowu zajął się kopytami Walecznego. Oczyszczył

czwarte, cisnął sztyletem w ziemię, mocno wbijając ostrze, po czym wstał.

— Ten jegomość ze szramą na czerepie — stwierdził obojętnie — usiłował jedynie chronić swą wioskę przed kimś, kogo wziął za rycerza i zarazem rabusia. Nienawidzi Zakonu i wszystkich nas pewnie uważa za zdrajców i łotrów. Musi jeszcze sporo się nauczyć. Ty również — zakończył, ruszając ku juczej klaczy. — Zakładając oczywiście, iż będę żył dostatecznie długo, aby udzielić ci kilku wskazówek.

Otworzyłem już usta do odpowiedzi w takim to duchu, że wcale nie musi się trudzić i że z większą chęcią pobierałbym nauki, gdyby raczył odstawić mnie do jakiegoś miejsca, gdzie nie lałoby mi na łeb i gdzie zza drzew nie wyskakiwaliby ciągle nadmiernie nerwowi członkowie straży obywatelskiej. Miałem mu to powiedzieć, ale on zatrzymał się pomiędzy końmi i raz jeszcze obejrzał się na jodłowy zagajnik, teraz niemal niewidoczny za ścianą deszczu.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

— Ktoś lub coś znów kręci się pomiędzy tymi drzewami — szepnął i cofnął się ku Walecznemu, gdzie przy siodle wisiał jego rycerski miecz.

Powiodłem wzrokiem ku linii drzew, ledwie teraz widocznych, rozmazanych w strugach wody. Rzeczywiście coś tam się działo, niestety, odległość i brak dobrego światła nie pozwalały mi dostrzec co takiego. — Panie, co to może być? Bayard nie odpowiedział, jedynie uporczywie spoglądał w dal.

— Szrama powiadał coś na temat „filozofii liczb”. Czy nie myślicie, panie rycerzu, iż to znowu owa straż, tylko w znaczniejszej liczbie filozofów?

— Jeśli tak jest, Galenie, to lepiej ponownie zajmij swe miejsce na gałęzi. Myślę, że obserwator jest mi równie potrzebny jak przedtem. — Bayard wyciągnął rękę i uspokoił konia, poklepując go po karku dłonią w zbrojnej rycerskiej rękawicy. Ten rodzaj uspokajania nie skutkowało wobec giermków.

— Moglibyście, panie, zarząbać kilku z nich — podsunąłem świetny, moim zdaniem, pomysł. — Tyłu przynajmniej, byśmy mieli przewagę w filozoficznej dyspucie.

Teraz Bayard sięgnął po swój miecz. Widziałem, jak odwraca się ku koniowi, aby to uczynić, ja zatem odwróciłem się ku vallenowi.

Żaden z tych zwrotów nie został jednak ukończony. Za Bayardem i Walecznym dostrzegłem raptem cztery postacie ukryte po pierś w zaroślach derenia. Przez szum deszczu usłyszałem człapanie kopyt po leśnej ściółce. Nie zamierzali już dłużej się ukrywać.

My byliśmy spieszeni, oni zaś siedzieli na koniach. Tak to przynajmniej wyglądało do chwili, kiedy przedarli się ku nam przez gałęzie derenia i mogliśmy się przekonać, że od pasa w dół mieli końskie korpusy.

Znak Konia, pomyślałem, padając na plecy — gdy wtem ujrzałem nad sobą pień vallen. Teraz pofrunąłem w górę i widziałem tylko jego gałęzie. Potem przez chwilę nie widziałem niczego, prócz szarości i nikłego światła, i straciłem przytomność.

Rozdział piąty

ZWAŻCIE PROSZĘ, że wszystkie te awantury zdarzyły się, zanim oddaliłem się od domu nie więcej niż o dziesięć mil. Zaledwie dziesięć mil na wschód od naszego zamku leżały bagna, które ciągnęły się czterdzieści czy pięćdziesiąt mil — nie wiem dokładnie, jak daleko — na północ oraz na południe i otaczały naszą posiadłość, tak że w końcu wszędzie niemal graniczyliśmy z moczarami. Powstanie owego Bagna Wardenów, co miało miejsce mniej więcej sto lat temu, a zdarzyło się nagle i niespodziewanie, okazało się dla Pathwardenów szczęśliwym trafem. Wieśniacy nadali moczarom nazwę pochodzącą od naszego miana rodowego, dla wygody skracając ją nieco. Mimo iż spoglądano na owe mokradła nieufnie i z obawą, wywołaną plotkami o tym, iż na bagnach wszystko rośnie zbyt bujnie i szybko, w samym zaś maceczniku czają się dziwne, na poły przegniłe istoty, samo bagnisko otaczało majątek Pathwardenów kręgiem,

który ochronił nas przed wrogością, jaką wśród ludu budzili po Katakliźmie rycerze solamnijscy.

Wszyscy znacie historie związane z Utratą Łask. Ludkowie solamnijscy doszli oczywiście do wniosku, że rycerze od lat wiedzieli o nadciągającym Katakliźmie, nie uznali jednak za stosowne ostrzec kogokolwiek. Ta dość powszechna wiara stała się wygodną wymówką dla tych, którzy z pałami zasadzali się na każdego przejeżdżającego przez okolicę rycerza.

Tak czy owak podczas lat prześladowań i napaści nasza rodzina wyszła z nich obronną ręką. Po pierwsze — i był to powód chyba najistotniejszy — nie mieszkaliśmy w samej Solamni, gdzie zamieszki szalały najzacieklej; nasza siedziba znajdowała się na zachodnim Przymorzu, skąd chroniło nas dość odległe położenie, po drugie zaś, dostępu do naszych ziem chroniły Bagna Wardenów. Wielu miało ochotę sprać jakiegoś rycerza, niewielu jednak było skłonnych przedzierać się przez niebezpieczne i cieszące się złą sławą okolice, aby chęć tę zadowolić. Tak więc bagna okazały się naszą wygraną — na czym skorzystała i moja rodzina, i ja sam.

Co oczywiście wcale nie oznacza, że kiedykolwiek nachodziła mnie chęćka, aby zapuścić się w te paskudne miejsca, gdzie można było natknąć się na węże i krokodyle, a opryszkowie bywali tylko trochę mniej zimnokrwisci i tylko trochę bardziej ludzcy niż gady. Aż do chwili obecnej unikałem bagien i trzymałem się od nich z daleka.

Ocknąłem się na końskim grzbiecie — tak mi się przynajmniej wydawało. Przerzucono mnie bowiem — niczym brudną derkę lub siodło — twarzą w dół przez cętkowany zad pachnący końskim potem. Pode mną umykała w tył ziemia, a chłodny wiatr smagał mnie po twarzy.

Zmieniłem nieco pozycję i spróbowałem usiąść. Niestety, okazało się, że brakuje siodła, w którym mógłbym umieścić pośladki. Okazało się też, iż moje przeguby krępuje mocna lina, a silna dłoń szarpnęła mnie brutalnie za włosy. Odwróciłem się, usiłując kopniakiem zrewanżować się temu, co złapał mnie za włosy, odkryłem jednak, że tam, gdzie miałem przecież prawo znaleźć jeźdźca, wcale go nie było.

I wtedy przypomniałem sobie owe konioludy, przedzierające się ku nam przez leśne poszycie. Podniosłem się na tyle, aby spojrzeć na kudłaty grzbiet i kark jednego z tych stworów.

Leżałem na grzbiecie centaury, który niósł mnie prosto w bagna, gdzie najpewniej czekała cela pełna wymyślnych narzędzi tortur. Gdzie podział się Bayard? Czyżby również został uwięziony? A może, co byłoby znacznie gorsze,

gdy leżałem nieprzytomny pod pniem vallenu, Bayard uciekł haniebnie, zostawiając mnie na pastwę napastnikom? Kolebiąc się na grzbiecie swego prześladowcy, upadłem na duchu i czekałem na nieuchronne stratowanie. Zacząłem nawet wyobrażać sobie, jak to będzie, gdy konioludy zaczną stawać dęba, potrząsać bronią i w końcu wdepczą mnie w ziemię.

Ten, który dźwigał mnie na grzbiecie, stąpał lekko i zdumiewająco płynnie jak na stworzenie tych rozmiarów — daleko zręczniejszy niż koń, co należało chyba przypisać temu, iż jego mięśnie, zmysł równowagi i szybkość służyły inteligencji nie mniejszej niż ludzka. Byłem oto świadkiem połączenia wrodzonego wdzięku i znajomości terenu, jako że szybko i sprawnie zbliżaliśmy się do celu.

Gdziekolwiek się znajdował. Nieznajomość okolicy niekiedy mocno daje się we znaki.

Być może miało to okazać się najmniejszym z moich strapień. Kilka minut po tym, jak odzyskałem przytomność, niosący mnie stwór zatrzymał się na wzniesieniu pośrodku moczarów, w gęstwinie jałowców, cedrów, nieśmiertelników i innych wiecznie zielonych drzew i krzewów, których nie potrafiłbym nazwać. Stał spokojnie, jego piersi poruszały się nieco tylko szybciej i najwyraźniej czekał na kogoś lub na coś, ja zaś podjąłem próbę usadowienia się w trochę wygodniejszej pozycji.

Wzdrygnąłem się mimowolnie. Polankę oświetlały promyki przenikające przez zielone sklepienie. Wszystko to wyglądało dość złowrogo. Otaczające nas cedry nadawały polance wygląd i zapach miejsca, w którym dobrze byłoby spocząć na wieki. Wszędzie unosił się zapach bagna zmieszany z nikłą wonią potu, z mocniejszym dodatkiem końskiego nawozu — nad wszystkim górował jednak czysty zapach wiecznie zielonych igieł. Podobnie dzieje się, gdy wkładasz mokrą odzież do cedrowej skrzyni, aby prze-siąknęła zapachem żywicy i którą później możesz oszukać matkę, gdy ta każe ci wyprać ubranie — chłopięca sztuczka ulubiona przez malców nie

przepadających za kąpielą.

Mój koniolud rozejrzał się wokół i przysiadł, skutkiem czego zsunąłem się z jego grzbietu i wylądowałem na pokrytej mchem ziemi. Mech był gruby i miękki, mimo to upadek nieco mnie oszołomił i przez chwilę leżałem twarzą ku ziemi, usiłując zebrać myśli i odzyskać orientację. Potem dźwignąłem się i wstałem.

Centaur górował nade mną i w nikłym zielonkawym oświetleniu dostrzegłem, że trzyma w ręku kosę o długości równej niemal mojemu wzrostowi i ostrzu dłuższym od mojej nogi. Nie mogło być mowy o ucieczce.

— Zaprawdę, mój malcze, poczekajmy, aż twój pan raczy do nas dołączyć — zagrzmiął koniolud. Nie była to propozycja i nie sposób było się z nim spierać. — Czy jesteś centaurem?

— To zaiste nazwa używana przez was, ludzi — odparł centaur, obojętnie patrząc wzdłuż szerokiej ścieżki zaznaczonej połamanymi gałęziami i wygniecionym poszyciem. Najwidoczniej oczekiwał czyjegós przybycia. Przez chwilę podążałem spojrzeniem za jego wzrokiem i obserwowałem, jak gałęzie się prostują, a ścieżka się zamyka. Patrzyłem więc, jak krzewy odginają się wstecz, kałuże na ścieżce wygładzają się, a... Pnącza odrastają? Z wody wyrastają trzciny?

Te ostatnie obserwacje przypisałem zwodniczemu oświetleniu i wstrząsowi po tym, jak zostałem zrzucony na ziemię. Centaur ponownie spoglądał na mnie. O ucieczce nadal nie mogłem nawet marzyć.

Miał krzaczaste, najeżone brwi, cętkowane brązowo i białą, tak jak sierść na jego grzbiecie. Był młody, liczył sobie zapewne nie więcej niż rok czy dwa ode mnie — oczywiście jeśli centaury określały wiek naszą miarą. — Myślałem, że można was spotkać jedynie w baśniach — mruknąłem i rozejrzałem się po wzniesieniu, szukając wąskich ścieżek, które mogłyby mnie wywieść na bagno i ku...

...bezpieczeństwu? Wśród krokodyłów, bagiennych zapadlisk i owadów roznoszących choroby?

Może powinienem zaryzykować i spróbować szczęścia z tym tutaj rosnącym cętkowanym jegomościem? Ktoś, kto używa w mowie owych „zaprawdę” i „zaiste”, nie przemawia niczym morderca. Jeśli był młody, mogło okazać się, że jest też i głupi, stąd łatwo nim manipulować. Jest to bezpieczne podejście i Agion nie był wyjątkiem.

Tak bowiem brzmiało jego imię, choć wtedy nic mnie to nie obchodziło. Upewniwszy się, iż przez chwilę jeszcze pozostaniemy sami, mój nowy towarzysz stał się bardziej rozmowny, można by nawet rzec, że okazał się gadułą. Szybko opowiedział mi historię swego życia. Dowiedziałem się więc, iż nie cieszy się wśród ziomków specjalnym szacunkiem, był młody i uważano go za zbyt powolnego i niezdarnego. — Zaiste — stwierdził nie bez dumy — stróża przy tobie jest pierwszą poważną powinnością, jaką obarczyli mnie starsi podczas tej wojny.

— Wojny? Agion, poczekaj. Jakiej wojny? Rosły młodzik umilkł i zaczerwienił się potężnie. — Powiedziałem za wiele. Moi towarzysze rzekną wam, co trzeba — wam wiedzieć, kiedy przyjdzie na to pora i czas właściwy. — To rzekłszy, pokłusował ku odleglejszemu krańcowi polanki, a tam przez liście wyrzał ku mrokowi i błocku. Mech i trawa zgniecione jego kopytami odrastały nienaturalnie szybko. Nie mogłem się do tego przyzwyczaić.

— Agion, nie możesz ot tak sobie powiedzieć komuś o wojnie, nie mówiąc niczego więcej. Poza bagnami tak się nie postępuje. Kiedy mowa o klęskach, cywilizowani ludzie nie kończą na napomknieniach.

Agion zmarszczył brwi. — Mój młody panie, przykro mi zaprawdę, że cię zmartwił, ale taki już jestem. Moi ziomkowie powiadają, że moja mowa jest tak zwięzła, że niekiedy niełatwo mnie pojąć. — Nagle jego twarz pojaśniała. — Ale mówią też, że mam dobre serce.

Czy wszystkie centaury są tak łatwowierne? Żałowałem, że nie mam przy sobie kart i kilku fałszywych monet. Oto miałem przed sobą jeszcze jednego Africa, pozbawionego jedynie złości tamtego i obdarzonego dodatkową parą nóg. Ponownie ległem w trawie, która zdążyła już podrosnąć przynajmniej o cal.

Mimo to, co Brithelm rzekł mi podczas naszej — odległej, zda się, o wieki całe — przechadzki po dziedzińcu, wyglądało na to, iż niektóre dotyczące bagien pogłoski są prawdziwe. Było coś dziwnego w tych rosnących niemal w oczach roślinach. Miałem nadzieję, że nie kryje się w tym żadne niebezpieczeństwo. Tymczasem uciekłem się do pierwszej ze strategii — prostej i bezpośredniej — ale brakowało mi czasu na długie objaśnienia.

— Agionie, jeśli masz dobre serce — a na to wygląda — to może powinieneś rozważyć następującą kwestię. Nie wiem niczego o tej wojnie

— gdzie się toczy i kto bierze w niej udział, nie wiem też, jak jej uniknąć — i oto ty, jakby tu rzec... ciskasz iskrę na suche drwa. Rozdzielono mnie z moim szlachetnym panem — przy okazji, nie wiesz, gdzie się podziewa? — czy nie sądzisz więc, że twym obowiązkiem jest uspokoić me troski i rozegnać obawy?

Agion przeszedł ścieżką kilka kroków, schylając się pod gałęziami sosen. Odwrócił się, schylił raz jeszcze i wrócił na polankę, zostawiając za sobą błotniste ślady i zgniecioną trawę. Wyrwane z ziemi źdźbła nie przestawały rosnąć. — Więc jak? Agionie, to przecież ty wspomniałeś o wojnie.

— Zaiste, nie powinienem był tego czynić, mój mały przyjacielu. — Agion zmrużył oczy i spojrzał na inną ścieżkę, wiodącą wprost ku bagnom. Ja tymczasem zastanawiałem się, jak można nazywać kogoś przyjacielem po tak krótkiej znajomości, szczególnie jeśli uwzględnić fakt,

— że chętnie sprzedałbym jego klejnoty choćby goblinom, w zamian za informację, której nie zamierzał mi udzielić. — I gdzież oni się podziali? — spytał niecierpliwie, muskając palcem ostrze swej ogromnej kosy.

— Agionie, odpręż się — poddałem. — Gdy machasz tym narzędziem, wyglądasz jak malowidło Jeźdźca Śmierci. Na pewno trafiłeś na właściwą polanę?

— Tak mi się zdaje — odparł. — Powiedzieli, że spotkamy się na drugiej stróży, jeśli nie zarosła za bardzo od naszej narady porannej i... na bogów, otom zdradził ci kolejny sekret! — Palnął się w czoło z siłą, która mnie byłaby pozbawiła rozumu do końca życia. Musiałem szybko, zanim nadciągną pozostali, odzyskać jego zaufanie. Wstałem więc i ruszyłem ku niemu, mówiąc bezustannie:

— Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, co to jest druga stróża i dlaczego oni chcą się ze mną spotkać. Wiesz tu prawdziwego prostaczka: nie wiem niczego o wojnie, co jest jej powodem, po czyjej, cholera, stronie są centaury — zechciej wybaczyć mi zuchwałość, ale ogromnie irytujące jest słyszeć, jak ktoś mówi o najważniejszych wydarzeniach świata i jednocześnie nie mieć o nich bladego choćby pojęcia.

— Mały przyjacielu, tuszę, iż zaczynasz mówić od rzeczy — ostrzegł mnie Agion, podnosząc kosę w geście, który wzięłem za oznakę gniewu. — Mniemam, iż mógłbyś spocząć na chwilę i odetchnąć. Nie mogę rzec ci niczego, dopóki nie zostaniesz oczyszczony z podejrzeń. — Niedbałym gestem ściął kilka sosnowych gałęzi, tak bym mógł przejść. Gałęzie szybko zaczęły odrastać. — Agionie, o co jestem podejrzany?

— O szpiegowanie, przyjacielu. Gdybyś miał na sobie solamnijską zbroję jak twój druh, wzięlibyśmy cię w niewolę, i tyle. Ale w czas wojny ukrywanie swoich barw wielce podobne jest do szpiegowania.

Spojrzałem żałośnie na Agiona, ale on odpowiedział mi spojrzeniem, w którym nie znalazłem

współczucia. W krzakach po lewej — nie wiedziałem, czy na lewo ode mnie jest północ, południe czy inna strona świata — zaśpiewał skowronek. Deszcz przestawał siąpić, a moja sytuacja wciąż była nie do pozazdroszczenia.

— Hrrrm... wybacz, Agionie, ale jaka jest tu zwykle kara za szpiegostwo?

— Mały przyjacielu, moi ziomkowie nie lubią dramatycznych widowisk. — Centaur uśmiechnął się. Następnie jego szeroka twarz spochmurniała, a cętkowane brwi zbiegły się nad wydatnym nosem. — Najczęściej bowiem topimy biedaków. Chwytamy za te ich chudziutki

— pięty i wtykamy im gębusie w bagienne kałuże lub sadzawki. Twarzami w dół, ma się rozumieć. Trzymamy ich tak, aż „odpokutują w pełni za swe podłości”, jak mówi starszyzna.

Jeśli chcielibyście znać moje zdanie, to uważam, że był to dość ponury sposób na korzystanie z wód zlewiska Przymorza.

— Z młodymi szpiegami postępujecie tak samo? Agion potakująco kiwnął głową. — Jak mi wiadomo, to w rzeczy samej tak. Zważ jednak, iż jestem młodzikiem i nigdy na własne oczy nie widziałem śmierci szpiega.

— Czy odnosi się to również i do tych, co zostali szpiegami wbrew własnej woli... nigdy, na przykład, nie żywili wrogich uczuć wobec centaurów, a szpiegostwem zajęli się dopiero pod groźbą śmierci?

— Mały przyjacielu, jakom rzekł, nigdy nie widziałem żadnej kaźni. Nie byłem też świadkiem rozprawy, gdzie takie rzeczy brano by pod rozwagę. Zaprawdę więc, nie umiem ci odpowiedzieć.

— Ale może o czymś takim słyszałeś, Agionie? Może słyszałeś, co robi się z kimś, kto znalazł się w takiej sytuacji? Przypuśćmy, że ktoś miałby odkryć wam istnienie całej sieci szpiegów, od zwykłych postrzegaczy i agentów wśród wieśniaków, aż do szefów komórek... niektórzy z nich mogliby już być w waszych rękach? I założmy, że ten chętny do współpracy osobnik uczyni to wszystko za obietnicę, że gdy potoczą się łby, jego głowa zostanie na miejscu... i nie zanurzy się pod wodę, gdy inni zadyndają w sadzawkach piętami do góry... Rozumiesz?

— Pewien jestem, iż gdybyś złożył taką obietnicę starszyźnie, zaiste byłbyś przepieczny — odparł Agion z powagą w głosie. — Ale jeśli miałbyś objawić nam istnienie sieci szpiegów, musiałbyś zdradzić kilku swych przyjaciół, czy nie tak? Przerwał, przechylił głowę i spojrzał na mnie z ukosa. — Oczywiście, jeśli tamci dwaj są w istocie twymi druhami. Tamci dwaj? Uklękłem udając, że podnoszę coś z ziemi, trawkę czy kamyk. Udawałem, że nic mnie to nie obchodzi, choć płonąłem z ciekawości. Postanowiłem nieco na oślep zarzucić wędkę w nadziei, że Agion da się złapać. — A więc złapaliście całą naszą trójkę? Język centaura okazał się szybszy od jego myśli.

— Na razie tylko dwu. Mamy ciebie i rycerza, któremu służysz, choć jego zaiste trudno było ująć, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że moi towarzysze się spóźniają. Trzeci umknął drogą. Jego zobaczyliśmy pierwszego, był jednak zbyt blisko tego solamijskiego zamczyska i nie żywiliśmy zbyt wielkich nadziei, że uda się go pojmać. Odszukaliśmy

— pozostałych — mówię o was dwu — licząc, że być może w nasze sieci wpadniecie wszyscy trzej, gdy tylko pokonamy rycerza. Spodziewaliśmy się, że postrzegacz, którego tak przebiegle zostawiliście milę z tyłu, pobiegnie do was z ostrzeżeniem i z pośpiechu zdradzi waszą kryjówkę.

Agion spojrzał na mnie z namysłem. Kiwnąłem głową, aby kontynuował. Uderzyła mnie wieść o trzecim szpiegu, postanowiłem jednak z niczym się nie zdradzać.

— Może zresztą nie doszłoby do niczego — rzekł Agion — ponieważ postanowiliśmy, że będziemy was tylko obserwować. Ale usłyszeliśmy, jak rozmawiacie z tym solamijskim patrolem straży obywatelskiej. Wtedy już nie mieliśmy wyboru, musieliśmy was pojmać i obszukać, licząc na to, że znajdziemy to, czego się spodziewaliśmy, i w rzeczy samej znaleźliśmy. Na razie

wywnioskowałem z tego jedynie to, iż ktoś szedł za nami. Przypomniałem sobie trzepot mrocznych skrzydeł w czeluściach biblioteki. Któż inny mógł być trzecim człowiekiem z opowieści Agiona?

I cóż z tego, że uda mi się uciec tym czworonogim porywaczom? Kto wie, jakie czyhają na mnie inne nieszczęścia i pułapki?

Gdyby nie to, iż w tej właśnie chwili na polankę wkroczył Bayard otoczony może półtuzinem centaurów, spróbowałbym jakoś dogadać się z Agionem, oferując mu pieniądze, ziemię i połowę zamczyska za to, aby bezpiecznie dostawił mnie do ojca, jego niełaski i miejsca w lochach — wilgotnych, mrocznych i pełnych mściwych osiłków, ale przynajmniej wolnych od skorpionów.

Na pierwszy rzut oka było widać, że ujęcie Bayarda nie przyszło centaurom łatwo. Jeden z nich miał ramię na temblaku, drugi trzymał się za buchający krwią nos. Bayard zresztą też nie wyglądał lepiej — prawa strona jego twarzy była sina i spuchnięta, usiłował też podtrzymywać prawą dłońią zakrwawione lewe ramię, choć nie przychodziło mu to łatwo, ponieważ centaury skępowały mu przeguby. W miejscach, gdzie liny wrzynały się w skórę rycerza, widziałem głębokie otarcia.

Centaury dość bezceremonialnie cisnęły go na środek polany, po czym okrążyły nas obu. Bayard przez chwilę leżał na ziemi niczym kupa nieszczęścia, potem uśmiechnął się do mnie ponuro i nie bez trudu dźwignął się na nogi.

— Zaprawdę powiadam wam, że obaj, o Solamnijscy, tu i teraz odpowiecie za swe zachowanie i niecne uczynki — oznajmił jeden z centaurów, krępy i kudłaty osobnik o ciemnej i poznaczonej niczym kora cyprysu skórze. Miał również białe włosy, ich biel jednak, w odróżnieniu

— od bieli czupryny Agiona, świadczyła o wieku, z którym musiał nabyć jeśli nie mądrości, to przynajmniej przydatnego w dziczy sprytu. Bagiennej przebiegłości, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

Ów starszy jegomość był najwidoczniej przywódcą grupy. Wyglądał na osobnika nawykłego do tego, że na swe pytania uzyskuje szybkie odpowiedzi. Wyglądało też na to, iż Bayard miał już dość utarczek. Gdy wyprostował się na całą swą wcale niemałą wysokość i spojrzał w twarz starego centaura, odniosłem wrażenie, że w zbroi uprzejmości sir Bayarda zaczynają pojawiać się pierwsze szczeliny.

— Panie, łatwo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zachowałem się tak, a nie inaczej. Takie są bowiem obyczaje rycerzy solamnijskich, gdy wraz z giermkim nagle i bez ostrzeżenia — i mógłbym dodać, że bez widocznego powodu — zostają zaatakowani przez siedmiu osobników, których powszechnie uważa się za sprzymierzeńców dobra i sprawiedliwości. Oto jest moja odpowiedź, panie, szczerą i jasną. Gdy twoi ziomkowie mnie zaatakowali, pozwoliłem sobie na przypuszczenie... że tym razem możemy darować sobie formalności. Byłbym przysiągł, że stary centaur lekko się uśmiechnął.

— A więc przyznajesz — spytał — że jesteś członkiem Zakonu Solamnijskiego?

Mimo moich rozpaczliwych gestów, znaczącego chrząkania i kuksańca w żebra, Bayard odpowiedział jak przedtem — z całą tą jego nieznośną otwartością i szczerością.

— Przyznawać się? Nie, mój panie, ja to oznajmiam wszem i wobec! Niezależnie od tego, coście słyszeli, Zakon nadal opowiada się za prawdą i pielęgnuje szlachetne zasady w czasach, kiedy nie stosuje się do nich nikt inny. Galenie, przestań mnie trącać łokciem!

— A zbroja? — spytał stary centaur i zmierzył mnie bystrym spojrzeniem swych niezwykłych zielonych oczu, które lśniły jak oprawne w skórę szmaragdy.

— Zbroja należy do mnie — przyznał Bayard — choć została mi skradziona kilkanaście dni temu i przez jakiś czas przywdziewali ją niegodziwcy, za których zbrodnie nie mogę odpowiadać. — Rycerz złożył ramiona na piersi i w tej postawie czekał na respons centaura. Który był taki, jakiego się obawiałem.

— Panie rycerzu, gdybyście mieli odpowiadać tylko za to, co powiadają o członkach waszego Zakonu, klnę się słowem, iż byłbym skłonny do pobłażliwości. Jest wszakże jeszcze sprawa satyrów... a także to, com oglądał własnymi oczyma, świadczy przeciwko wam, moi

— ziomkowie zaś i bracia również widzieli wasze podłe postęпки. — Sprawa satyrów?

Bayard spojrział na mnie pytająco. Wzruszyłem bezradnie ramionami. Skąd mogłem wiedzieć coś o satyrach?

— Nie inaczej! — zagrzmiał stary centaur. — Mowa o satyrach. O tych... kozioludach!

Kilku jego towarzyszy kiwnęło głowami, jakby potwierdzając słowa wodza, potrząsali przy tym grzywami w sposób nie wróżący nam niczego dobrego. Bayard milczał przez chwilę, potem odezwał się, mówiąc bez ogródek:

— Panie, wyznaję, że nie wiem niczego o istotach, które nazywasz „satyrami”. W rzeczy samej nie znałem nawet tego słowa. Daję też rycerskie słowo, iż nigdy nie występowałem przeciwko wam i waszym ziomkom, dopóki nie tak dawno temu nie wypadli na mnie z ukrycia przy drodze.

Stary centaur przechylił w bok swą wielką, kudłatą głowę, szepnął coś do trzymającego się za zakrwawiony nochal kapitana po prawej i dwa centaury pogalopowały ku odległemu krańcowi polany. Wkrótce dołączyły do nich dwa inne — ku mej uldze żaden nie należał do poturbowanych przez Bayarda podczas ostatniej szamotaniny, byłem bowiem pewien, że wkrótce odbędzie się głosowanie dotyczące naszych dalszych losów. Czwórka centaurów zaczęła zaciekle dyskusję, ale z mego miejsca niczego nie zdołałem usłyszeć.

Niewiele zresztą mogłem zdziałać w tej materii. Sięgnąłem do kieszeni, usiadłem i rzuciłem kości Calantiny. Trawa odrosła już na wysokość moich kostek i aby odczytać rezultat rzutu, musiałem ją nieco przygnieść.

Sześć i dwanaście: Znak Kozy. Pocieszyłem się, ponieważ cnotą kozy jest umiejętność przetrwania wszędzie — a zatem w każdych warunkach. Mogłem tylko żywić nadzieję, że odnosi się to również do bagien i uwięzienia, wszystko bowiem wskazywało na to, iż przez jakiś czas jeszcze tu zabawimy.

— I cóż mówi twa wróżba z fusów? — szepnął Bayard, siadając obok mnie z bolesnym stęknieniem.

— Oznajmia, że niekiedy mówienie całej prawdy jest rzeczą głupią, panie — zełgałem. — Ale powiedzieliście, że bym nie wierzył Calantynie.

Centaury, które zostawiono na straży, lepiej chyba od nas wiedziały, co z nami będzie. Dwa z nich wrogo spoglądały na nas z daleka, potrząsały przy tym groźnie pałkami i szczyrzyły zęby. Jedyne Agion zachowywał się przyjaźnie, ale było oczywiste, że nikt z pozostałych nie zwraca nań uwagi.

— Nie trap się — pocieszał mnie, obierając gałąź nieśmiertelnika z małych, błyszczących orzeszków i wkładając je w usta. — Archala nigdy nie wydaje skazujących wyroków bez powodu.

Co, oczywiście, stanowiło dla mnie dość kiepską pociechę. Lepiej by było, gdyby w ogóle nie wydawał skazujących wyroków. Niewiele mnie obchodziło, czy Archala jest sprawiedliwy, czy nie, bylebym tylko zachował całą skórę na grzbiecie.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć Bayardowi o trzecim uczestniku wydarzeń — tym, który podążał za nami w odległości mili i którego zauważyły centaury. Ale co miałbym mu rzec, gdyby mnie spytał, kim — według mnie — jest ów jegomość? Czy powinienem mu powiedzieć o człowieku, którego głos jest słodszy od miodu i który chyłkiem dostał się do zamczyska, aby dokonać zuchwałej kradzieży z włamaniem?

Muszę przyznać uczciwie, że nie odczuwałem palącej potrzeby oczyszczenia swego sumienia,

zanim centaury złapią mnie za kostki i powloką do strumienia, aby utopić za szpiegostwo. Niekiedy głupio jest wyznawać całą prawdę. Siedzieliśmy więc w milczeniu — Bayard pielęgnował swe skaleczenia, ja zaś gorączkowo rozmyślałem, jakim sposobem uniknąć sądu. I wyroku, jakkolwiek by zapadł.

Ponieważ nikt nie przedzierał się ku nam wśród trzciny i gałęzi, wokół nas słyszeliśmy jedynie odgłosy życia na bagnach — śpiewy nie znanych nam ptaków, porykiwania bawolich ropuch i bzyk owadów, gdy bowiem ustał deszcz i pokazało się słońce, wszystkie te stwory wylazły ze swych kryjówek. Powietrze ociepliło się, ale nadal pozostało duszne i przesycone wilgocią. Choć nie mogliśmy zaobserwować, jak szybko rośnie zielsko — aż tak szybkie nie było — gdy wracaliśmy spojrzeniem do rośliny, na którą spoglądaliśmy przed chwilą, odkrywaliśmy, iż jest większa niż przedtem... a przynajmniej tak się nam wydawało.

Nie mogłem do tego przywyknąć i za każdym razem aż podskakiwałem z wrażenia.

Przypomniałem sobie, co Gileandos powiadał o Bagnie Wardenów: rośnie szybciej niż młody chłopak — nie można mu więc ufać. Pokazywał przy tym na mapie tereny na południe od zamczyska. Oczywiście docierały do nas historie opowiadane wśród kmieciów, którzy utrzymywali, iż na bagnach zwierzęta urastały do niespotykanych rozmiarów albo też zmieniały swe przyrodzone kształty i pustoszyły sąsiedztwo moczarów. Opowiadano o beznogich krokodylach i pozbawionych oczu wielkich drapieżnych ptaszyskach, którym wzrok nie był

potrzebny w zielonym półmroku, poruszających się wśród cedrów i cyprysów niezdarnie, lecz szybko, skacząc z kępy na kępę i w ogóle nie korzystając z bezużytecznych wśród gałęzi skrzydeł. Oczywiście mówiono też o latających i drapieżnych małych rybkach.

Nie podejrzewałem, aby było w tych bajdach choć trochę prawdy, inne jednak zawierały jej aż za wiele. Wiedziałem o tym z własnych doświadczeń. W ciemnych bagiennych jamach ginęli bowiem służący, kmiecie i czasem niektórzy z gości. Tak na przykład zdarzyło się pewnego roku, gdy miałem siedem lat, kiedy ojca odwiedziła pięcioosobowa grupka krasnoludów z Gór Granatowych. Opuszczając nas, postanowili przenocować na skraju bagien, jako że nie chcieli ryzykować nocnej wędrówki przez niezbyt im znane i bezpieczne okolice. Następnego ranka obudzili się wśród bagien, które podczas nocy ukradkiem otoczyły ich obozowisko.

Dwóch z nich gdzieś zniknęło i choć ojciec ze swymi ludźmi przeczesali okolice z psami, pochodniami i wrzaskiem, a trwało to całe popołudnie i następny ranek, nigdy nie odnaleziono zaginionych — jak zresztą nie odnajdywano żadnego z tych pechowców, którym zdarzyło się zgubić drogę i zboczyć na moczary.

Takie wydarzenia budziły szacunek i strach przed bagnami, zielona zaś plama, którą Gileandos oznaczał na mapie okolic zamku moczary, powiększała się każdej wiosny, gdyż pogrążały się w nich coraz większe obszary ziem uprawnych.

W nocy niełatwo było nam zasnąć. Obudziłem się kilka razy i widziałem sir Bayarda, jak chodzi na skraju polany i niemal poza zasięgiem kręgu światła niewielkiego ogniska. Rycerz miał założone na plecy i chyba związane ręce. Pod kopułą liści nie widzieliśmy gwiazd, noc była więc ciemna i mroczna, podobna moim myślom.

W końcu zdołałem jakoś zasnąć, a gdy obudził mnie ranek, stwierdziłem, iż klęczy nade mną sir Bayard i uważnie mi się przypatruje. — Panie? — Galenie... jeśli zostaniemy skazani...

Przez krótką chwilę mój duch unosił się na skrzydłach nadziei. Z całego serca zapragnąłem, aby wrodzona szlachetność mojego towarzysza skłoniła go do wzięcia na jego rycerskie barki ciężaru winy i kary, niezależnie od tego, jak ta ostatnia byłaby surowa, i do znalezienia dla mnie sprytnej wymówki, dzięki której mógłby mnie nietkniętego odesłać ojcu. Jego szlachetność skłoniła go jednak

do czegoś innego. — Jeśli zdarzy się najgorsze, będę spokojniejszy wiedząc, że nie — rozumiałeś źle tego, co powiedziałem. — Tak, panie? — Rzecz dotyczy lady Enid. — Bayard zaczął się podnosić. — Pańskiej narzeczonej?

— Tak. I w tym właśnie sęk. Widzisz, lady Enid właściwie nie jest moją narzeczoną. — Nie?

— To znaczy, że nie jestem z nią zaręczony i nie wiąże mnie słowo. Obudzono mnie z powodu takiej bzdury? — Ale powiedzieliście, panie, że macie ją poślubić.

— Nie jestem z nią jednak zaręczony — podkreślił raz jeszcze Bayard i zwrócił twarz ku drugiemu krańcowi polanki, gdzie płonął niewielki ogień, przy którym wciąż jeszcze spierały się centaury. — Powiedziałbym raczej, że wiąże nas przeznaczenie. Obudziło mnie brutalne szarpnięcie. Zerwałem się, zamierzając wrzasnąć na sługę, Africa czy kogo tam jeszcze, aby poszedł precz i wrócił o rozsądniejszej porze, powiedzmy, koło południa. Kiedy jednak moje spojrzenie trafiło na brodatą, oświetloną zielonkawą poświatą gębę centaura, przypomniałem sobie, gdzie jestem i jak należy się zachowywać.

Bayard stał pomiędzy Agionem a centaurem, którego ramię ucierpiało we wczorajszej potyczce. Agion wziął mnie za ramię, ranny centaur chwycił Bayarda za grzbiet kurtki, mój brodaty trabant zaś został z tyłu i tak na poły prowadzeni, na poły niesieni trafiliśmy na drugi kraniec długiej polany, gdzie czekali już sędziowie.

Strażnicy cisnęli nas pod nogi Archali i pozostałych wchodzących w skład rady centaurów.

Osobnik, któremu Bayard podczas potyczki skrwawił nos, okazał się kimś w rodzaju herolda. Wykrzywił się ku nam, wytarł krew z górnej wargi i rozpoczął przemowę.

— Wszystko przemawia przeciwko tym ludziom — oznajmił, mówiąc jakby przez tubę, co niewątpliwie należało przypisać żalostnemu stanowi jego nosa. Odkryłem, iż owo gęganie mnie bawi, i z pewnością wybuchnąłbym śmiechem, gdyby nie jego treść: wszystko przemawia przeciwko mnie.

— Obawiam się, że zbroja jest mocnym dowodem — stwierdził mówca. Po tych słowach przerwał, a wszyscy, patrząc na jego gębę, mogli widzieć, jak cieszy się z faktu, że ktoś odpowiedzialny za rozbicie mu nosa dał się złapać i można z nim poigrać. — A jednak — ciągnął, oznajmiając to, co musiało go mocno zasmucić

— Archala odwołuje się do swej mądrości i nalega na stosowanie starych praw i tradycji. Powiada nam, że wasze słowa zrodziły się z uczciwości serca i szczerości oblicza.

Rozdrażniło to sędziów i nie mógłbym już rzec, iż ława zachowuje bezstronność. Spokój zachował jedynie Agion, który z pewnej odległości nie bez podziwu obserwował rozwój wydarzeń.

— A jednak - zatrąbił mówca, a stan jego nosa sprzyjał w tym momencie stylowi wypowiedzi — a jednak trapi nas wszystkich kwestia satyrów i waszych z nimi związków! — My jesteśmy nią zaintrygowani nie mniej od was, mistrzu Archalo. — Bayard przerwał mówcy i zwrócił się wprost do starego centaura. — Jak bowiem miałem honor powiedzieć, nie wiemy niczego o owych satyrach, kozioludach czy jak ich tam zwiecie. Nie mamy też pojęcia, dlaczego posadzacie nas o alians z istotami, których w ogóle nie znamy.

— Panie rycerzu, nie musicie mi przypominać, iżście zabierali już głos w tej sprawie — odparł Archala, uśmiechając się jak ktoś o niewyczerpanej cierpliwości. — Tuszę przeto, iż pojmiecie nasze... wątpliwości, kiedy wam rzeknę, iż widzieliśmy wśród satyrów — i to, zaiste, na pozycji wodza wśród wzniesionego oręża — rycerza w tej samej zbroi, którą wieźliście w jukach, gdyśmy spotkali was na szlaku.

Bayard chciał zaprotestować, Archala jednak podniósł swą ogromną łapę, wezwał obecnych do zachowania ciszy i mówił dalej:

— Wasza zbroja została wam ukradziona. Tak przynajmniej powiadacie. Było to niedawno temu.

Tak przynajmniej powiadacie. W tym czasie złodziej oczywiście mógł zejść się z naszymi wrogami. I w takową historię mamy uwierzyć? Cóż, panie rycerzu, niełatwo wam pojąć, dlaczego nie jestem skory do powierzania losu mojego ludu powiewom wiatru. A przecie wyrok orzekający o waszej winie czy niewinności wydamy za siedem dni i siedem nocy, podczas których będą was strzegły czujne oczy naszych strażników. Zobaczymy, co poczną satyry, kiedy spostrzegą, iżście teraz z nami. Wyrok wydany przez Archalę nie zadowolił właściwie nikogo.

Stojące za Archalą centaury nie ukrywały ochoty, aby złapać nas za kostki i powlec ku najbliższej sadzawce. Dałbym też głowę, iż naszym strażnikiem zostanie Agion, bo nie było nikogo innego, gotowego podjąć się tej roboty.

Bayard zaś żywił głębokie przekonanie, iż zostanie uznany za niewinnego — dla głupiego i oczywistego powodu, że w rzeczy samej był niewinny. Oczywiście też był wściekły z racji niespodziewanej zwłoki,

ponieważ turniej w zamku di Caela miał zacząć się za dwa tygodnie, a nieobecność mojego pana podczas ceremonii powitalnych... no, po prostu nie tak należy starać się o rękę córki bogacza.

Uwzględniwszy powyższe, mimo wszystko zdumiałem się — choć mojego oczywistego zaskoczenia nie podzielili inni — kiedy Bayard ofiarował się ruszyć z misją mediacyjną pomiędzy centaurami a satyrami. — Chcesz, panie rycerzu, być pośrednikiem?

Po usłyszeniu oferty Archala prychnął pogardliwie, a jego mądry i pełen wyrozumiałości uśmiech zniknął natychmiast zastąpiony przez inny — i rzec muszę, iż ten drugi wcale mi się nie podobał. — Tuszę, iż chcecie omówić z nimi warunki, na jakich moglibyśmy zawrzeć pokój?

— Zacny mistrzu! — odparł Bayard. — Zawarcie pokoju bez waszej obecności nie będzie chyba możliwe. Może jednak uda mi się przygotować fundamenty — na przykład w postaci rozejmu — następnie zaś ty i rada oraz przywódca satyrów i członkowie jego rady, moglibyście się spotkać w jakimś neutralnym miejscu i...

— Archalo, od dawna szanujemy i pielęgnujemy stare obyczaje — wtrącił się herold, którego nosowy głos nagle zabrzmiał zimno i wrogo. — Jeśli jednak planujesz... Archala podniósł swą sękatą łapę i na polance zapanowała cisza.

— Ale ty zaiste nie jesteś aż takim głupcem... — zaczął stary centaur, zwracając się do Bayarda, raptem jednak umilkł, odwrócił się od nas i zaczął mamrotać coś do siebie.

Bayard i ja spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem. Ba-yard nawet otworzył usta, aby spytać, co tak strapiło Archalę... tak przynajmniej mi się wydało.

W tej to właśnie chwili Agion zgłosił propozycję, że zaprowadzi nas do obozowiska satyrów — jako „emisariuszy pokoju”, jak się wyraził — dodając, iż wierzy Bayardowi.

Archala przestał mamrotać sam do siebie i wytrzeszczył oczy na rosłe niewiniątko.

— Archalo, ależ tego właśnie pragnie Solamniczyc — beknął herold. — Potrzebna mu tylko eskorta ku jego sprzymierzeńcom, gdzie będzie bezpieczny!

— A jeśli mówię prawdę, Archalo? — rzekł proszącym tonem Bayard. Nie miał zamiaru spóźnić się na turniej. Archala roztrząsał wszystkie możliwości.

— Niechaj chłopiec zostanie z nami — upierał się herold. — Będzie zakładnikiem i poręką prawych zamiarów rycerza.

— To być nie może! — zawołał sir Bayard. — Chłopiec jest moim giermkim i jako taki zostanie ze mną, nie będzie zakładnikiem waszych obaw i braku zaufania!

Herold najeżył się i zaczął parskać, ale Bayard jednak nie zamierzał ustąpić. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmieszek i spojrzał w oczy potężnego i wrogiego mu osobnika z niemal obraźliwą

obojętnością.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. W głębi bagien coś zaskrzeczało donośnie — jakieś zwierzątko, a może ptak — a wody wokół kępy, na której staliśmy, zadrżały, gdy nawet drobne stworzonka zaczęły umykać, szukając bezpieczniejszych głębin i błot.

I wtedy Archala podniósł swe brunatne ramiona i kiwnął potakująco Bayardowi. Herold już miał wybuchnąć wrzaskiem sprzeciwu, ale wystarczyło jedno lodowate spojrzenie starego wodza, aby piniacz ugryzł się w język.

Choć mogło mnie to kosztować życie, nie potrafiłem znaleźć sposobu, aby wykręcić się od tej misji, wkrótce więc zostałem posadzony na grzbiecie Agiona, Bayard dosiadł Walecznego i wszyscy trzej opuściliśmy polankę, kierując się ku siedzibom satyrów. Zieleń wokół nas ciemniała stopniowo, aż w końcu nawet moje dłonie zaczęły wyglądać jak liście. Ścieżkę za nami szybko porastały odradzające się pnącza.

Rozdział szósty

PODRÓŻ PRZEZ BAGNA przypominała wędrówkę wewnątrz szklanej butli: ta sama cisza, wrażenie ciasnoty i zielone, przesączające się przez liście światło. Doświadczyłem też dziwnego uczucia — wydało mi się bowiem, iż liście, a nawet owa ciasnota i zieloność są w jakiś sposób przejrzyste i że ktoś pilnie nas zza nich obserwuje. Byłem też pewien, iż ktoś za nami podąża.

Owo niejasne” uczucie nie ustąpiło nawet wówczas, gdy zagłębiliśmy się w bagniska. Złapałem się na tym, że nie zwracam już uwagi na nagłą ciszę, zapadającą wśród ptactwa, gdy przejeżdżaliśmy obok, ponieważ całe mile wokół nas ogarnął niezwykle spokój. Był to pierwszy ze złych znaków. Gdziekolwiek się skierowaliśmy, panowała cisza — jakby coś spłoszyło mieszkańców minutę przed naszym przybyciem.

Gdy tylko wyruszyliśmy, centaur zajął miejsce przewodnika. Bayard podążał za nim pieszo, prowadząc oba nasze konie przez grząskie bagienne ścieżki. Takie ustawienie wydało się rozsądne rycerzowi oraz Agionowi, jedynemu z nas, który miał jakieś takie pojęcie o celu naszej wędrówki. Niestety, gdy podejmowano decyzję, siedziałem na jego grzbiecie.

Nie podobał mi się sam pomysł marszu w przedniej szpicy. Mając jednak wybór pomiędzy jazdą na czele szyku i człapaniem pieszo obok Bayarda, nie bez oporów przyznałem, iż lepsze jest to pierwsze. W każdej zresztą chwili mogliśmy się spodziewać nagłej napaści, od przodu albo z tyłu, krokodyle jednak czy ruchome piaski zagrażały nam i z dołu, istniała też szansa, że tak będą zajęte pierwszą istotą, której dopadną — obojętne, centaurem czy koniem — że jeździec zdoła im uciec. Gdyśmy tak podróżowali, Agion częstował nas opowieściami.

— Niektórzy ze starszyny pamiętają czasy, kiedy bagien tu jeszcze nie było — zaczął. — Ja jednak od dziecka zbierałem na tych błotach zioła i korzenie. Pamiętam, jak z ciotką Megierą zbieraliśmy trędownik i krwawnik. Ciotka stale powtarzała: „Agionie, krwawnik jest dla gołębic, trędownik dla gołębi...”

— Agionie, wszystko to jest bardzo fascynujące — przerwałem, oglądając się z desperacją na Bayarda, ale ten poświęcił całą uwagę szlakowi.

— Paniczu Galenie, to jeszcze nie koniec — ciągnął centaur. — Kiedyś wraz z ciotką Megierą stoczyliśmy przy kępie krwawnika walkę z rojem pszczół, wtedy gdy jesienią przygotowywaliśmy okłady i kompresy, które starszym centaurom pomagają na zimowe artretyzmy. Były tam tuziny pszczół, tnących nie gorzej od gzów... a co gorsza, żądło pszczoły wywołuje opuchliznę. A ciotka Megiera powiada...

— Agion zaczął chichotać. — Powiada... O! Było z niej nie lada ziółko!

Jego śmiech wywołał panikę w okolicy. Stado torbaczy wyskoczyło spod pobliskiego karłowatego vallenu. Zwierzaki, wrzeszcząc przeraźliwie, śmignęły w zielony mrok. Bayard spojrział na mnie i położył dłoń na rękojeści miecza. — Agionie — wtrącił się, mówiąc cicho i z naciskiem — pamiętaj, że znaleźliśmy się na terytorium wroga.

— Prawdę rzekliście, panie rycerzu — potwierdził Agion scenicznym szeptem. — Raczcie jednak posłuchać, co powiedziała ciocia Megiera, gdy opuchnięci i pokłuci żądlami wydostaliśmy się z gęstwiny.

Bayard uniósł w górę brwi, okazując uprzejme zainteresowanie. Dłoń rycerza nie oderwała się od rękojeści miecza.

— I wtedy... Ależ z niej była dziwaczka! — Agion ponownie wybuchnął śmiechem. — Wystawcie sobie, ona powiada: „Na całe szczęście śpimy na stojąco”!

Jakby za milczącą umową obaj z Bayardem postaraliśmy się odciągnąć myśli Agiona od dzielenia się z nami opowieściami o życiu, które wiódł, zanim nas spotkał, gadki owe były bowiem — jak szybko odkryliśmy — nie tyle nudne, co hałaśliwe. Zamiast tego zaczęliśmy wypytywać go o satyry i ku naszemu rozczarowaniu dowiedzieliśmy się, iż centaury — a przynajmniej ten jeden, który nam towarzyszył i jak dotąd nie olśniewał swymi wiadomościami — w rzeczy samej wiedzą o swych wrogach niewiele więcej od nas samych.

— Więc nie wiecie nawet, skąd się wzięły? — spytał Bayard, po raz pierwszy ujawniając szczelinę zniecierpliwienia w swej zbroi nieskazitelnej prawości. Było to chyba piąte pytanie z tych, na które Agion nie potrafił odpowiedzieć.

— To przecie jest tak proste, jak wam powiadam, sir Bayardzie — upierał się centaur, odtrącając dłonią małe, brzęczące i wielce natrętne stworzenie, które usiadło mu na nosie. — Satyry pojawiły się tu jakiś czas temu — myślę, że to będzie miesiąc czy dwa, choć niełatwo orzec z całą pewnością. Kiedy się pokazały po raz pierwszy, osądziliśmy, iż mamy do czynienia z jakimiś stworami z legend. Istnieją przecie pewne opowieści o czasach przed Katakлизmem. Pamiętacie zapewne tych małych koźlonogich kobziarzy z opowieści o Paquille?

Bayard spojrział na mnie, ja zaś spojrzałem na niego. Żaden z nas nie miał najmniejszego pojęcia, o czym lub o kim mowa. — Oczywiście próbowaliśmy się z nimi zaprzyjaźnić — ciągnął Agion. — Mniemaliśmy, iż pochodzą z dawnych czasów. Zaludniające wówczas Krynny rasy silnie były związane z ziemią i zwierzętami, które ją zamieszkiwały. Wielu z nas nadal tęskni do owych czasów.

Bayard i Agion milczeli dłuższą chwilę, aż w końcu zmęczyło mnie czekanie.

— Agionie, opowiadaj dalej. Co się wydarzyło, kiedy podjęliście próbę zawarcia przyjaźni z tymi stworami?

— Jak możesz dowodnie się przekonać, mały przyjacielu, niewiele osiągnęliśmy. — Agion podjął opowieść z widocznym smutkiem. — Z początku satyry trzymały się z daleka. Krzywiły gęby i warczały. Potem zaczęły wymachiwać bronią.

— Nie sądzę, abym przyjął to za oznaki przyjaznych uczuć — przerwałem drwiąco. Bayard syknął i obdarzył mnie groźnym spojrzeniem. Prychnąłem na Bayarda, a potem łagodnie i niemal tkliwie poprosiłem centaura, żeby mówił dalej. Co też uczynił po krótkich dąsach.

— Początkowo sądziliśmy, iż okazują jedynie rezerwę i ostrożność, naturalne w nie znanym im kraju — powiedział przepaszającym tonem. Trzepnął się ogonem po zadzie i przegnał coś brzęczącego. Na prawo od nas rozległ się jakiś wrzask i podskoczyłem tak, że niemal spadłem z grzbietu centaura, ale Bayard i Agion nie zwrócili na to uwagi. Odniosłem nawet wrażenie, że poczuli ulgę, gdyż wrzask ów przerwał coraz bardziej przytłaczającą ciszę moczarów. Oni również,

jak się okazuje, zwrócili na nią uwagę.

— Jakom rzekł, mniemaliśmy, iż okazują jedynie rezerwę — powtórzył Agion. — Potem jednak zabiły dwu naszych ziomków.

— Tej właśnie części opowieści nie mogłem się doczekać — mruknąłem. — Przepadam za historiami o morderstwach wydarzających się w miejscach, przez które przejeżdżam w trakcie opowiadania o tych zbrodniach.

— Czy chcecie, abym zaniechał opowieści? Jest smutna, chętnie wam to przyznam, lecz jest także niezwykła i godna uwagi słuchaczy.

— A więc opowiadaj, Agionie — ponaglił Bayard, gdyśmy zbliżali się do nieprzyjemnie wyglądającej sadzawki pełnej mętnej wody, rozlanej pośrodku szlaku. Gdy przestępował ją niosący mnie Agion, woda zabulgotała złowrogo, potem uspokoiła się na chwilę, aby znów zawirować, gdy obchodził ją wiodący za wodze Walecznego Bayard. Kałuża uśmierzyła się ostatecznie, kiedy spokojnym krokiem minęła ją zamykająca naszą małą kolumnę juczna klacz. — Nie było mnie tutaj, gdy zginęli moi dwaj współplemieńcy — zaczął centaur, sięgając ostrożnie końcem swej kosi ku zwisającej nad ścieżką lianie. Upewniwszy się, że nie jest niczym innym jak zwykłą lianą, zręcznym cięciem oddzielił ją od gałęzi, z której zwisała, potem pochylił się i przesunął pod konarem. — Ale słyszałem ją z ust Archali, który nigdy nie kłamie i któremu zawsze można ufać. A oto co mi powiedział: Naszych było sześciu — Archala, Brachis, Elemon, Stagro Młodzik, Pendraidos i Kallites. Sześciu kapitanów, którzy latem wyruszyli ku bagiennemu matecznikowi, aby ugodzić się przyjaźnie z przybyszami, kozioludami.

Choć niekiedy chętnie wysłuchuję opowieści o morderstwach, wojnach czy innych krwawych jatkach, nie cierpię historii o tajemniczych zabójstwach, szczególnie wtedy, gdy słyszę je opowiadane w miejscach odludnych i nie cieszących się dobrą sławą. Agion zaś najwyraźniej napawał się ponurą opowieścią i dostarczała mu ona sporej uciechy.

Zacząłem podejrzewać, iż historie, które centaury raczą zapamiętać i później opowiadać, kończą się przeważnie gwałtowną śmiercią, choć może nie giną w nich wszyscy bohaterowie. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ta jednak, którą mi opowiadano, obfitowała w nagłe wypadki.

— Naszych było sześciu — zawodził Agion — czterech jednak tylko wróciło na stały grunt, aby opowiedzieć nam swe historie.

Pierwszym był Archala, najstarszy, wódz wojowników, który widział, jak padają Kallites i Elemon, ale nie widział niczego więcej i słyszał tylko ich krzyki. Potem ujrzał odjeżdżającego precz rycerza solamijskiego.

Drugim był chirurg Pendraidos, który widział, jak Kallites i Elemon padają, nie ujrzał jednak na ich ciałach żadnych ran, jakby chciano nas przekonać, iż nikt ich nie skrzywdził i skonali jedynie dlatego, że zawiodły ich serca. Pendraidos również widział odjeżdżającego rycerza.

Trzecim był Stagro Młodzik, dzielny łucznik, ten zasię ujrzał padających Kallitesa i Elemona, nie widział jednak żadnego wroga, ale słyszał krzyki przyjaciół i drwiące wrzaski satyrów, nade wszystko zaś usłyszał jeden okrzyk, który zakończył się wybuchem dźwięcznego, melodyjnego i słodkiego jak miód śmiechu. Śmiech ów brzmiał, gdy Kallites i Elemon wili się z bólu i gnietli bagienne trzciny. Potem Stagro Łucznik usłyszał ostami bolesny krzyk przyjaciół, jakby otrzymali śmiertelne rany. I zobaczył odjeżdżającego precz rycerza.

Bayard zmarszczył brwi. Pochylił też głowę, nie chcąc uronić żadnego szczegółu. Mnie zaś zaparło dech w piersiach. Zdanie o słodkim jak miód śmiechu przywiodło mi na myśl Skorpiona.

— Czwartym był łowczy Brachis, który trzyma pieczę nad psami Archali i który nie widział żadnego upadku, ale który...

—
Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie miałem nawet czasu wpaść w panikę i rzucić się do ucieczki.

Waleczny prychnął i odskoczył od krzaków z lewej, które nagle zaczęły kipieć i kotłować się zupełnie jak sadzawki wody, które minęliśmy na skraju polany. Wyglądało to tak, jakby krzaki były pożerane i przeżuwane przez coś ogromnego i niewidzialnego.

Agion podniósł swą kosę i szybko się odwrócił. Zbyt gwałtownie, ponieważ impet zrzucił mnie z jego grzbietu i poleciałem w trzciny porastające sześciocalową warstwę wody.

Bayard omal nie runął na ziemię, gdy potężne szarpnięcie Walecznego prawie uniosło go w powietrze. Rycerz zaklął sążnięcie i puścił wodze rumaka, który skoczył w bok i zatrzymał się przy ścieżce, łypiąc okiem na ruch w zaroślach. Podczas tego zamieszania pękł powróż, na którym Bayard wiodł juczną kobyłkę. Klaczka zarżała przeraźliwie, wierzgnęła ku czemuś, czego nie byłem w stanie zobaczyć, i poczłapała prosto w bagniska, gdzie pewnie przypadnie na dobre.

Nie miałem zresztą czasu, by się o nią martwić. Wyglądało bowiem na to, że nagle rozpoczęła się bitwa. Bayard i Agion zaciekle cięli powietrze, choć ono drżało tylko wokół kling, jakby chlastali wodę. Owo drżące i migocące powietrze było jedynym wrogiem, którego mogłem dostrzec. To znaczy tak mi się zdawało, dopóki ponownie nie wlażłem na ścieżkę.

Zobaczyłem wówczas, że pośrodku ścieżki tkwią cztery satyry, które zwarły się w śmiertelnych zapasach z moimi przyjaciółmi. Zamrugalem szybko oczyma, nie mogąc pojąć, jakim sposobem te stwory pojawiły się tam, gdzie przed chwilą widziałem tylko drzenie powietrza.

Satyry okazały się kosmatymi stworzeniami, znacznie paskudniejszymi, niż moglibyście to sobie wyobrazić na podstawie samego określenia „kozioludy”. Rzeczywiście były rogate, a ich dolne partie okrywało brudne, kosmate futro.

Miały też krótkie, strzępiaste ogony i rozdwojone racice zamiast stóp. Najpaskudniej wyglądały jednak ich gęby, pokryte kostnymi naroślami i skórą. Pyski te wcale nie przypominały kozich — koza w końcu, nawet jeśli jest mało urodziwa, może wyglądać przyzwoicie, a oblicza satyrów przypominały gęby olbrzymów lub złowrogo wykrzywione twarze ludzkie. Najgorsze zaś było to, że cała czwórka dzierżyła w łapach noże i krótkie włócznie, które żwawo pracowały przeciwko moim druhom. Wyglądało na to, że przeciwnik ma znaczną przewagę.

Jeśli krzepki młody centaur (taki jak Agion) oraz doświadczony i wprawny wojownik (taki jak sir Bayard) mieli niewielkie szanse uporania

się z atakującymi ich stworzeniami, losów potyczki z pewnością nie zmieniłoby pojawienie się chudego łasicowatego wyrostka z długim nożem.

Przycupnałem skromnie na skraju ścieżki, podczas gdy moi towarzysze runęli na wroga. Bayard zręcznie uskoczył przed pchnięciem włóczni pierwszego z nieprzyjaciół i wymierzył mu potężnego kopniaka w pośladki. Gdy stopa Bayarda po kostkę wniknęła — lub tak mi się wydało — w zadek wodza satyrów, stwór szerokim łukiem pofrunął między trzciny.

Bayard wydał głośny okrzyk, którym na pewno nie oznajmiał swego strachu, lecz niepomierne zdumienie. Tymczasem kolejny napastnik skoczył rycerzowi na plecy i wywijając obnażonym nożem, złapał go od tyłu za gardło.

Gdy Agion ujrzał śmiertelną szamotaninę towarzysza, cisnął precz dwu satyrów, których trzymał w dłoniach — w każdej po jednym. Kozioludy poleciały gdzieś w krzaki, gdzie zakwękały boleśnie, szarpnęły się kilka razy i legły bez ruchu. Centaur tymczasem sięgnął łapą i zdjął napastnika z pleców Bayarda.

Satyr szamotał się rozpaczliwie i kwiczał, Agion zaś podniósł go wysoko w powietrze,

potrząsnął nim jak terier szczurem i cisnął w tę samą stronę, w którą przed chwilą poszybowali jego kompani. Usłyszeliśmy głucho stęknienie, chrupnięcie i na krótką chwilę zapadła tam cisza, po której rozległ się odgłos gniecionych trzcin, jakby ktoś — albo kilku ktosiów — ciężkim, chwiejnym krokiem się oddalał.

I nad bagnami zapadła cisza, przerywana niekiedy nawoływaniem się ptaków. Ponownie też zabrzmiał chór świerszczy. Tak rozwiały się nadzieje na pokojowe zakończenie misji.

Moi towarzysze odprężyli się i odetchnęli z ulgą. Agion dramatycznym gestem otrzepał dłonie i kiwnął głową Ba-yardowi, który westchnął ze znużeniem i wsunął do pochwy miecz, którego nawet nie zdążył użyć. Następnie rycerz podszedł do Walecznego i pogładził grzywę rumaka, szepcząc coś w solamnijskiej Starej Mowie. Wtedy też o czymś sobie przypomniał. — Ta kobyła! Przepadła gdzieś, a ma w jukach moją zbroję!

W tym momencie bagna — tak ciche i milczące podczas ostatniej godziny — rozwrzeszczały się tysięcznymi wrzaskami i zacząłem się zastanawiać, czemuż to właściwie nie podobał mi się poprzedni spokój. Zewsząd rozległy się hałasy — okrzyki ptaków uformowane w krtaniach stworów z pewnością nie będących ptakami, ale i też żadną miarą ludźmi.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

W tych wrzaskach słychać było rozbawienie, drwinę i wyzwanie. Usłyszałem też w nich (chyba) swoje imię, może jednak była to tylko sprawka mej wyobraźni, zapłodnionej bzdurnymi dźwiękami.

Wspomniawszy mroczną bibliotekę, zacząłem zapytywać sam siebie, czy w tym chórze darły się i kruki.

Bayard szybko rozejrzał się dookoła, zdecydowany znaleźć kapelmistrza tego dziwnego koncertu. Kiwnął głową Agionowi, wskazując mu lewą stronę szlaku i szeleszczące tam krzewy. Wielki centaur również odpowiedział kiwnięciem głowy i poczłapawszy we wskazaną mu stronę, przepadł wkrótce wśród poszycia. Nadeszła moja kolej. Bayard wskazał na mnie i skinął ręką w prawo. — Co proszę? — spytałem szeptem.

— Ależ... Galenie... zejdz ze ścieżki, oddal się może z dziesięć kroków i zajmij tam pozycję. Będziesz nas strzegł z prawej strony.

— Strzegł? Nie jestem pewien, czy zrozumiałem was właściwie. Powiedzieliście „strzegł”, prawda?

Bayard z rezygnacją przewrócił oczyma, potem dobył miecza i osłoniwszy się z przodu tarczą, ruszył wzdłuż ścieżki. — Na lancę Humy! Po prostu zawołaj, gdy zobaczysz... cokolwiek. Z wielką niechęcią ruszyłem w prawo. Niemal natychmiast zaczęły poklepywać mnie po twarzy zwisające witki i gałęzie drzew, raz też czy dwa potknąłem się, zahaczywszy o kłębowisko roślin pod stopami. Ostatnim obrazem ze ścieżki, jaki zdążyłem zobaczyć, był widok sir Bayarda, który lekko pochylony sunął szybko i groźnie niczym wielka pantera w stronę źródła hałasów.

Na pewno trudno byłoby wyobrazić sobie mniej drapieżne zwierzę ode mnie. Po przejściu dziesięciu stóp wydostałem się na niewielką polankę, której środek zajmowała sterta zgniłego zielska i dwie kałuże śmierdzącej wody. Na bagnach ponownie zapadła owa szczególna cisza — krzyki i wrzaski upodobiły się szybko do zwykłych w takich miejscach hałasów: słyszałem jedynie brzęk muszek i drobnych owadów, a niezwykle spokój zakłócał tylko czasem ochrypły krzyk kruka.

Dobyłem mieczyka, doszedłem bowiem do wniosku, iż niezależnie od hałasu czy jego braku wkrótce trzeba będzie uciec się do nagiej stali i być może nawet ja będę musiał wziąć udział w przedstawieniu. Lepsza stal i walka wręcz niż niewola.

Czas mijał — i włókł się niemiłosiernie. Właśnie rozważałem najczarniejsze z perspektyw, kiedy usłyszałem gdzieś blisko hałas — jakby ktoś przedzierał się ku mnie przez poszycie. Błyskawicznie zacząłem

rozgrzebywać dłońmi błoto, licząc na to, że zdołam zakopać się dość głęboko i upodobniony do części krajobrazu uniknę wykrycia. Grunt jednak za bardzo przesiąknięty był wodą: dziura napelniała się brudną cieczą równie szybko, jak ją wykopywałem, i zaczęło do mnie docierać, że niezależnie od wyniku głosowania o mojej winie centaury dopną swego i zginę utopiony w mętnej kałuży.

Z zarośli tymczasem wyłonił się Bayard. W prawej dłoni trzymał miecz, lewą pospiesznie dawał mi uspokajające znaki. Przemknął do mnie nisko pochylony i przyklęknął obok.

— Gdzieżeście byli?! — W zdenerwowaniu zapomniałem o ostrożności i odezwałem się niemal pełnym głosem. Natychmiast na moich ustach zamknęła się dłoń w rycerskiej rękawicy. — Nic ci nie jest?

— Owszem. A właściwie to nie. Moja noga, sir. Obawiam się, że ją złamałem albo zwichnąłem. Jeśli odkryliście jakiś sposób ucieczki, to zacisnąwszy zęby, zdołam pójść za wami. Niestety, na nic innego się nie zdam... a już na pewno nie dam rady zajmować żadnej pozycji czy podejmować

jakikolwiek inne bojowe działania, jeśli o nich myślicie.

— A więc nic ci nie jest — szepnął Bayard. — Galenie, nadszedł czas, kiedy musisz na zawsze porzucić kryjówki. — Tak też uczynię, sir... kiedy tylko wrogowie wyjdą ze swoich. Ktoś niedaleki, ukryty po drugiej stronie ścieżki, świsnął przenikliwie.

— Agion — oznajmił sir Bayard, kiwając głową w stronę źródła dźwięku. — Galenie, oni są wszędzie. Znają okolicę i wiedzą, jak walczyć wśród tych bagien. Ja zaś, choćbym miał zapłacić głową, nie umiem nawet rzec, co właściwie na nas napadło. A co ważniejsze, mamy przeciwko sobie przewagę liczebną i jeśli kazałbyś mi wnioskować z otaczających nas hałasów, sytuacja jest niemal beznadziejna.

— Potraficie, panie, dodać ludziom ducha. Może powinniśmy się przegrupować? Mógłbym odprowadzić Agio-na do pozostałych centaurów. Gdy siedzę na czymś grzbiecie, noga jakoś mniej mnie boli. Zostając tutaj, wcale nie poprawię naszego położenia.

— Odwrót po prostu nie wchodzi w rachubę — odparł z uporem Bayard, opierając czoło o pień dębu i zamykając oczy. — Cóż więc pocznjemy?

Ktoś ponownie gwizdnął po drugiej stronie ścieżki — tym razem głośno i nagłaco.

— Coś tam się szykuje — stwierdził Bayard. — Agion z pewnością ich odnalazł.

—

Podniósł się i ruszył ścieżką, ja zaś poszedłem za nim, rycerz jednak odwrócił się i skinieniem dłoni nakazał mi zostać na miejscu. — Sprawy mocno się komplikują.

Spojrzał na mój miecz i przysięgłbym, że w jego oczach zatańczyły iskierki rozbawienia.

— Podejrzewam, iż nie najlepiej sprawiasz się... z orężem w dłoni. W razie potrzeby możesz ostrzec nas okrzykiem. Rozglądaj się więc uważnie i bacz, aby nie zaatakowali nas od tyłu.

Dodawszy mi w ten sposób odwagi, zniknął, dając nura w zielone kłębowisko roślin, a ja pilnie zająłem się tym, czym zajmowałem do tej pory — trzymaniem z dala od wszelkich awantur.

A to wcale nie jest najłatwiejszym z zajęć, jeśli masz ochotę robić coś jeszcze prócz jałowego oczekiwania. Nastąpiło już późne popołudnie i przez jakiś czas dźwięki jakby się przybliżały. Okrzyki rozbrzmiewały to bliżej, to dalej, niekiedy słyszałem beczenie i wycie, od czasu do czasu przeplatane świstami i kwikiem — mogłem nawet rozróżnić pojedyncze słowa, nigdy jednak całe zdania. Brzmiało to tak, jakbym usiłował podsłuchać błędne ogniki, zawsze trzymające się tuż poza zasięgiem słuchu.

Siedziałem tak może z godzinę, tłukąc natrętne owady i myśląc o wszystkich najpaskudniejszych rzeczach, jakie tylko człek może sobie wyobrazić. Kilka razy pomyślałem nawet o rzeczach, których wyobrazić się nie da. Hałasy narastały i cichły, aż w końcu wokół zapadła zupełna cisza. Zacząłem zastanawiać się, gdzie zniknął Bayard i dlaczego nie daje znaku życia. Kusilo mnie, aby wyjść z ukrycia, ale szybko się rozmyśliłem. Dowiedziałem się przy okazji, co też odczuwa żółw, kiedy próbuje odgadnąć, czy może wysunąć łeb ze skorupy i bezpiecznie wystawić kark.

I wtedy coś okropnie zaskrzeczało z prawej, ochryple i złowrogo. Uczułem, jakby o moją twarz otarło się skrzydło kruka, przynosząc ze sobą zimną woń nocy i śmierci.

Nie było to miejsce, w którym ktoś pragnąłby znaleźć się po zapadnięciu zmierzchu. Wstałem więc i ruszyłem przed siebie, błędząc w gęstwinie przez kilka najdłuższych chyba minut mojego życia, aż wreszcie z trzaskiem łamanych gałęzi przedarłem się na ścieżkę, gdzie ukląknę i w euforii ucałowałem ziemię.

Ruszyłem w tę samą stronę, w którą poszedł Bayard — tak przynajmniej mi się zdawało. Wraz ze zbliżającym się zmierzchem, który zapowiadała ciemniejąca szybko zieleń liści, wokół zaczęły rozlegać się

coraz bardziej znajome dźwięki. Gdzieś z tyłu jeden chór żab zaczął przekrzykiwać się z drugim, co z kolei obudziło jakąś sowę. W końcu bagna wypełniły się wrzawą i życiem. Kusilo mnie, aby porzucić ścieżkę i znaleźć sobie przytulną kryjówkę. Rozważałem, czy nie ukryć się gdzieś, zanim ściemni się na tyle, że nie zdołam znaleźć schronienia.

Tak rozmyślając, obserwowałem bagna po prawej, usiłując dojrzeć coś wśród gęstniejącego mroku — i nagle śmiertelna cisza zapadła na lewo od ścieżki. Ująłem w dłoń kordzik i wbiłem wzrok w rozchyłające się stopniowo trzciny i krzaki czekając, aż zaczną kotłować się jak przed niedawną napaścią. Nie bez ulgi przekonałem się, że nic takiego nie nastąpiło.

Agion sądził, że jest nas tu trzech. Ale z pewnością ktoś jeszcze błędził po błotach.

Pomyślałem o Skorpcionie oraz o tym, jak bardzo ciche jest to miejsce i w jakiej leży głuszy.

A może Archala zmienił zdanie. Możliwe, że już teraz uznano nas za szpiegów. Być może wydano już na nas wyrok.

W rzeczy zaś samej ostatnią osobą, którą spodziewałem się tu zobaczyć, był Brithelm.

A jednak był to Brithelm, mój starszy brat, którego zostawiłem z zamkniętymi oczyma i psim gwizdkiem w dłoni, siedzącego w powietrzu nad materacem. Gdy mnie zobaczył, twarz mu pojaśniała i zawołał „Galen!”, tak głośno, że usłyszano go pewnie w promieniu kilku mil — może nawet i w naszym zamczysku — a na pewno okrzyk ów dotarł do uszu satyrów, które szukały mnie uparcie, powoli i pieśczośliwie ostrząc swą broń.

Brithelm ruszył ku mnie, zupełnie nie przejmując się zasadzkami, satyrami, ponurym losem Kallitesa i Elemona oraz zbliżającymi się ciemnościami. Usłyszałem też Bayarda, jak skryty w krzakach gdzieś nie opodal (jak się później okazało, byłem już zupełnie blisko) woła do Brithelma: „Padnij!” Brithelm zaś, usłyszawszy ten okrzyk, rozpromienił się jeszcze bardziej.

— Braciszku! Szczęśliwy jesteś, mogąc służyć sir Bayardowi z twierdzy Vingaard. Pozwól, że najpierw, zgodnie z obyczajem, przywitam się z rycerzem. Potem pogadamy jak brat z bratem.

Brithelm minął mnie, przechodząc ścieżką, choć sir Bayard i Agion wołali nań z przodu, a ja darłem się z tyłu. Brat jednak nie słuchał tego, cośmy wrzeszczeli, zamierzając powitać rycerza „zgodnie ze zwyczajem”. Ruszyłem więc, aby go złapać, usłyszawszy jednak trzask w krzakach po prawej, rozmyśliłem się i szybko zeskoczyłem ze ścieżki.

Gdy rozmyślałem o tym wszystkim znacznie później, doszedłem do wniosku, że właśnie to uratowało mi życie.

Z krzaków wypadły bowiem dwa satyry, uzbrojone w niewielkie, ale paskudnie wyglądające toporki i skoczyły na Brithelma, który nawet nie raczył ich zauważyć. Szedł sobie po prostu spokojnie dalej.

Znieruchomiałem, jakbym patrzył na jednego z tych ogromnych, umiejących hipnotyzować ofiarę jadowitych węży, które mieszkańcy Neraki posyłają sobie w koszach podczas kryzysów politycznych. Widziałem jedynie ruch; przez ułamek sekundy widziałem też Bayarda, jak podnosi się, aby biec na ratunek Brithelmowi; ujrzałem także krzepkie, należące najpewniej do Agiona ramię, chwytające rycerza i ciągnące go ku sobie.

I ujrzałem, jak Brithelm przechodzi nietknięty przez satyry. Zobaczyłem ich broń przecinającą powietrze i nie czyniącą memu bratu żadnej szkody. Widziałem też, jak satyry cofają się ku swej kryjówce w zaroślach tak szybko, jakby ktoś gumką wymazał je ze ścieżki. Brithelm zaś nie zauważył niczego.

Kroczył spokojnie ścieżką, po czym obrócił się, rozsunał trzciny i już potrząsał dłonią porażonego gromem zdumienia Bayarda, a potem ujął za rękę równie osłupiałego Agiona. Na otwartą przestrzeń wyszedł najpierw Bayard, potem Agion, nie spuszczać z mojego brata zdumionych

spojrzeń. Ponieważ satyry gdzieś przepadły, wylazłem z krzaków i ja.

Staliśmy tedy Wokół Brithelma i gapiliśmy się na niego z rozdziawionymi gębami. Brithelm z kolei przenosił spojrzenie ze mnie na sir Bayarda i Agiona, uśmiechał się i kiwał głową — a ja z niechęcią myślałem o poinformowaniu go, że został napadnięty.

W końcu przerwałem milczenie i zwróciłem się do Bayarda, który wziął chyba na siebie rolę mózgu tej szybko rozkręcającej się operacji. — Panie, czy coś z tego pojmujecie?

— Przede wszystkim powinniśmy zniknąć ze ścieżki — rzekł Bayard z naciskiem w głosie. — Satyry mogą wrócić w każdej chwili. — Zawsze możemy ukryć się za Brithelmem — zaproponowałem. Bayard obdarzył mnie zagadkowym spojrzeniem i powiodł nas ku miejscu, gdzie dotąd ukrywał się Agion — była to niewielka polanka, która nie zarastała, ponieważ trawa i trzciny nie mogły podołać ciężarowi centaury. Godzi się jednak rzecz, iż listowie już się prostowało i przystanęliśmy w zaroślach sięgających nam do piersi — no, właściwie Agionowi

tylko do boków pozostałych dwu mężczyzn trawy zakrywały po pas. Centaur szybko oczyścił to miejsce za pomocą kosi, którą odnalazł na ścieżce, satyry bowiem nie tknęły jego oręża.

W jakiś niewytłumaczalny sposób wyjaśnienie Brithelma, jak się tu znalazł, dodały mi otuchy. Mój brat był dokładnie tak samo stuknięty jak przedtem.

Okazało się, iż Brithelm ocknął się z transu tego samego ranka, gdy opuściłem zameczysko, i zaraz odkrył, że zniknąłem. Tego właśnie oczekiwał — iż jego młodszy brat podąży za swym „rycerskim powołaniem”, jak to uprzejmie określił. Bayard okazał się na tyle uprzejmy, że nie wybuchnął śmiechem.

— Ocknąłem się jednak i po to, aby odkryć rzecz niespodziewaną, braciszku, bardziej niespodziewaną, niż mógłbyś sobie wyobrazić lub wymarzyć. Choć bowiem nawykłem do otrzymywania znaków i wizji, nigdy nie sądziłem, że dane mi będzie doświadczyć czegoś tak rzeczywistego i namacalnego. Pogrzebawszy w kieszeni swej szaty, wyjął psi gwizdek. — Oto psi gwizdek — wyjaśnił mi nabożnie — używany do...

— wzywania psiarni. Brithelmie, doprawdy... wiem, co to jest i jak trafiło do twoich rąk.

— I ja wiem, mój bracie — rzekł Brithelm z uniesieniem w głosie. — To znak od Humy. Znak, że Huma chce, abym udał się do pustelni.

Bayard uśmiechnął się szeroko i skinął głową mojemu otumanionemu bratu, jakby chciał dodać mu otuchy.

— Widzisz, bracie — ciągnął natchniony Brithelm — zastanawiałem się właśnie, czy nie wrócić do pustelni, z której wypędziły mnie osy.

Przypomniałem sobie owo wydarzenie. Brithelm parę tygodni chodził mocno opuchnięty. Agion pokręcił głową ze współczuciem.

— Nauczyłeś się spać na stojąco? — spytał mojego braciszka mistyka, który uśmiechnął się i przytaknął, choć nie umiałbym powiedzieć, czy zrozumiał sens pytania.

— Ów gwizdek jest znakiem — mówił dalej Brithelm. — Mogę nim wzywać zwierzęta i dzieci Natury, one zaś przyjdą na mój zew. I będziemy się rozumieli.

Pośrodku bagien zrodził się jakiś dźwięk i powoli zbliżał w naszą stronę — ktoś czy coś rozgarniało trzciny na boki i człapało ku nam przez wodę. Mogłem się domyślić, że Brithelm szczęśliwy jak nigdy przedtem od kilku godzin dążył ku nam, dmuchając w gwizdek i powiadamiając całe bagniska o miejscu pobytu przynajmniej jednego idioty. Istniała też

możliwość, że owa denerwująca cisza, wśród której przedzieraliśmy się przez moczary, była dziełem gwizdka. Istniała także daleko bardziej realna możliwość, że teraz, gdy do naszej trójki dołączył Brithelm, znacznie szybciej skontaktujemy się z satyrami.

Bayard dał znak, abyśmy zachowali ciszę i straciłem możliwość powiadomienia Brithelma, że ów gwizdek pochodzi z mojej kieszeni, nie zaś spoza gwiazd i Piersi Humy.

Wątpię co prawda, czy brat by mi uwierzył, więc chyba nie miało to wpływu na dalsze wydarzenia.

Mówiliśmy jednak o satyrach. Gdzieś przy ścieżce czaiła się czwórka tych stworów, z których każdy dzierżył jatagan o krawędzi podobnej do piły. Niełatwo przyszłoby mi wymyślenie obrzydliwiej wyglądającego oręża.

Agion przysiadł tak nisko, że dla osobnika o jego rozmiarach musiało to być dość bolesne, wyjrzał spomiędzy krzaków ku naszym przeciwnikom, po czym odwrócił się do Bayarda i szepnął (o wiele za głośno, jeśli miałbym coś o tym powiedzieć): — Panie rycerzu, jest ich tylko czterech i mniemam, że damy sobie radę, nawet jeśli ów święty, bezbronny mąż nie weźmie udziału w starciu. — Nie chodzi nam przecież o walkę — syknął Bayard.

— Musimy przynajmniej spróbować dogadać się z nimi, tak jak to obiecałem Archali. Sęk w tym, że nie mam pojęcia, jak przesłać im tę wiadomość — nie chcę, aby rzuciły się na nas odruchowo, gdy tylko nas zobaczą. Wtedy bowiem będziemy musieli odeprzeć napaść i uśmierzyć ich na tyle, aby dało się pogadać.

— Sir, dlaczego nie pokażecie im swojej zbroi? — szepnąłem, ciągnąc Bayarda za rękaw. — Możecie rzec, iż jesteście rycerzem i właśnie opuszczacie szeregi Zakonu, wtedy one odprowadzą nas do granic bagien.

— Piękny pomysł, nie zda się jednak na nic z dwóch powodów, Galenie. Po pierwsze, moja zbroja nadal chyba galopuje przez moczary na grzbiecie jucznej klaczy. O tym zapomniałem.

— Po drugie zaś, nawet gdybym miał na sobie ową zbroję, nie uciekałbym się do kłamstwa, co — jak się zdaje — proponujesz. Zbroja powstała w Solamii i wykuto ją w imieniu Humy. Nie splamię jej fałszem, ponieważ każdy fałsz kładzie się cieniem na honorze Zakonu. — Ależ, sir Bayardzie... — zacząłem. — Mowy nie będzie o walce — przerwał mi Brithelm. — Ani o kłamstwach — ciągnął głośno i radośnie. — Mylicie się — głęboko i zostaliście oszukani. To są niewinne stworzenia, pełne ufności... absolutnie nieszkodliwe i niegroźne. — Wstał i z wyciągniętymi ramionami ruszył ku satyrom.

Błyskawicznie porwaliśmy się na nogi. Agion i Bayard dobywszy oręża — miecza i kosy — skoczyli za moim łatwowiernym bratem. Ja również ruszyłem za nimi, niechętnie sięgając po swój kordzik.

I wtedy to właśnie poczułem lodowe tchnienie, które skuło mi krew w żyłach i które kazało mi zostać w miejscu, potem zaś pochłonęło mnie niczym błotna topiel połykająca nie dość ostrożnego wędrowca.

Poczułem na ramieniu chwyt ptasich szponów. Poczułem muśnięcie miękkich piór, zapach ładu z nikłym śladem rozkładu i ponownie usłyszałem głos — ten sam, którym kruk przemawiał do mnie w bibliotece.

— Pójdź za mną, mój mały. Nadeszła pora na pierwsze rozliczenie twego długu.

Nad moim uchem zatrzepotały krucze skrzydła i ciężący mi na ramieniu ptak frunął w powietrze.

I nagle okazało się, że nie mam wyboru. Jak mi kazano, opuściłem ścieżkę, zaraz też pogrążyłem się po kolana w wodzie i brnąc w niej, zacząłem oddalać się od toczących się na ścieżce negocjacji — czy też kłamstw. Bez słowa sprzeciwu pospieszyłem za krukiem, którego mogłem dostrzec polatującego wśród gałęzi.

Moim przeciwnikiem była teraz jedynie plątanina błędnych ścieżek i wykrotów. Oczywiście musiałem też pamiętać o zbliżającej się nocy i wszechobecnym błocie. Nie najmniejszą z moich trosk

były też — rzecz jasna — krokodyle. A ptaszysko gdzieś zniknęło. Zanurkowawszy w gęstwinę szerokolistnych roślin, odkryłem, iż kruk gdzieś przepadł, i choćbym nie wiedzieć jak pilnie gapił się w niebo, dojdę do jedynie słusznego wniosku, że jestem tu sam jak palec. Na domiar złego zupełnie się ściemniło.

Przysiadłem pod cyprysem na kolejnej, dość rozległej polanie — od której odchodził tuzin przynajmniej ścieżek, jakby była osią ogromnego koła. Nie miałem pojęcia, jak daleko zabrnąłem, ale byłem pewien, że nie oddaliłem się poza zasięg słuchu moich kompanów. Co oznaczało, że mogły mnie usłyszeć i... inne istoty. Podjąłem próbę podsumowania mojej sytuacji.

Być może powinienem wracać. Może uda mi się przekonać towarzyszy, że usiłowałem chronić ich plecy, przeprowadzając rekonesans na tyłach. Mógłbym dodać, iż czyniąc to, narażałem się na niemałe ryzyko. Brithelm

uwierzy mi bez cienia wątpliwości. Uwierzył przecie, że Huma osobiście zajmuje się rozprowadzaniem psych gwizdków.

Ale nie mogłem przewidzieć, jak na to zareagują dwaj pozostali: byłem pewien Agiona, którego będzie znacznie łatwiej przekonać niż Bayarda, choćby dlatego, że rosły centaur nie grzeszył bystrością. Bayard jednak... ha!, tego ulepiono z innej gliny.

Może powinienem się zranić. Lekko i nieznacznie, ale widowiskowo. Może wymyślić straszliwą walkę z jakimś satyrem, podczas której poszło na noże — nie, lepiej niech będzie dwóch satyrów, którzy zamierzali zająć nas od tyłu. Dwóch niewielkich satyrów, jako że Bayard ma bardzo czuły słuch. Owszem, to mogłoby się udać.

A jeśli satyry pokonały moich przyjaciół? Wtedy wlaźłbym prosto w łapy wroga. A to wymagało obmyślenia nowej siatki łgarstw. Należało oczywiście pomyśleć też i o kruku, który w samą porę gdzieś przepadł. Czy naprawdę mógłbym pójść, dokąd bym chciał, nawet jeśli podjąłbym jakąś decyzję? Czy naprawdę zdołam wymknąć się i uciec przed wezwaniem Skorpiona?

Rozbrzmiewające wokół mnie głosy ptaków i płazów wydały mi się nagle bardziej wrogie niż przedtem, gałęzie i drzewa pochyliły się niżej nad ścieżkami, które prowadziły donikąd... a może, co gorsza, prosto w objęcia niebezpieczeństwa? Najgorsze zaś było to, że teraz mogłem kierować się jedynie blaskiem księżyca i sięgałem wzrokiem nie dalej niż na odległość dziesięciu stóp.

Ruszyłem krętą ścieżyną, która gdy przeszedłem nią kilkanaście kroków, rozplynęła się wśród krzewów. Następną, którą wypróbowałem, zamykała wielka sadzawka bulgoczącej złowrogo wody, podobna do tych, które widzieliśmy kilka godzin temu, gdy ruszaliśmy ku obozowisku satyrów.

Wróciłem więc na polankę, raz jeszcze usiadłem pod cyprysem, i spróbowałem się uspokoić oraz uciszyć coraz głośniejsze paniczne myśli.

Zgubiłeś się. Przepadłeś. Krążysz w kółko wśród lotnych piasków i bagiennych zapadlisk. Pożrą cię tu krokodyle. Pokąsają węże. Ostatkiem sił będziesz się czołgał donikąd.

I nagle na polance zapadła cisza. Na lewo od mojej kryjówki wzbiło się w powietrze stado przepiórek, podfruwając owym charakterystycznym, koszącym lotem, dzięki któremu te ptaki uciekają przed niebezpieczeństwem. Przez chwilę patrzyłem za nimi i obserwowałem, jak zapadają w trzciny po drugiej stronie polanki. Gdy zniknęły mi z oczu i spojrzeniem — oraz myślami — wróciłem na polankę, na której się schroniłem, on był już tylko o kilka kroków.

Mimo ciemności stwierdziłem kto zaczął zajęło mi najwyżej sekundę. Tak czy owak zdumiałem się do tego stopnia, że stęknąłem tylko i oderwałem się od pnia cyprysu, po czym runąłem na wznak w trawę, gdzie ległem na grzbiecie bezradny jak przewrócony żółw. Zdołałem jeszcze wystękać jedno słowo i zaraz potem na mej grdyce zacisnęły się krzepkie dłonie. — Alfric! — wycharczałem, gdy zaczął mnie dusić.

Rozdział siódmy

ALFRIC CORAZ MOCNIEJ ZACISKAŁ ŁAPY na moim gardle. Przez chwilę wierzgał nogami, usiłując znaleźć lepsze oparcie dla stóp w mokrym gruncie, i nagle okazało się, że klęczy nade mną i wgniata mnie w blocko. Jak na człeka, który marzy wyłącznie o tym, by zostać szlachetnym rycerzem solamijskim, wiedział podejrzanie dużo o podstępnych i brutalnych sztuczkach zapaśniczych. Jakkolwiek rozpaczliwie opierałem się sile i ciężarowi braciszka, jedyną rzeczą, którą mogłem mocno chwycić, było błoto. W ramiona boleśnie wpijało mi się coś kanciastego i metalowego — Alfric miał na sobie ni mniej, ni więcej tylko ojcowską zbroję. Poczulem się, jakby zaatakowało mnie całe drzewo genealogiczne.

— Tym razem załatwię cię do końca, Łasico — dobiegł mnie nienawistny szept drogiego brata. W ciemnościach nie bardzo mogłem dostrzec, co zamierza zrobić, byłem jednak pewien, że ów szept nie wróży mi niczego dobrego.

— Żadnego gadania. Żadnego kwękolenia, układów czy umów. Nie tym razem. Zostawiłeś mnie w zamczysku. Wrobiłeś mnie po to, aby samemu paradować jak giermek — co mi się słusznie należało, gdyby polityka i braciszek nie wyzuli mnie z praw.

Usłyszałem dźwięk, jaki wydaje wysuwający się z pochwy nóż. Najwidoczniej Alfric szykował się do oskórowania zdobyczy.

— Błagam cię, szlachetny bracie, abys lepiej zastanowił się nad tym, co zamierzasz uczynić.

— Nie słucham cię. Pamiętaj, żadnych gadek. Poczulem przy krtani krawędź ostrza. — Posłuchaj, my tu szarpiemy się w tym bagnie, a tymczasem...

— Hej, Galen, my się wcale nie szarpiemy. Leżysz na grzbiecie, bezradny jak kocię i czekasz na coś, od czego się nie wyłgasz. Pomimo ciemności widziałem jego paskudny uśmieszek. — Wiesz, braciszku, patrzę na to bagno od chwili, gdy tu trafiłem. — Szybko zarasta, prawda? Może minąć kilka lat, zanim ktoś znajdzie twoje gnaty, a wtedy nie sposób już będzie orzec, do kogo należały. A nawet jeśli ludziska się domyśla, kto będzie podejrzewał mnie? A ja już wtedy będę głową rodziny Pathwardenów. Będę władał zamkiem i okolicznymi ziemiami. Nikt nie posądzi mnie o morderstwo. Oczywiście będzie mi okropnie przykro i zaleję się łzami nad resztkami zwłok mojego drogiego braciszka, który przepadł gdzieś dawno temu, gdy pojechał za sir Bayardem Brightblade'em, bo chciał zostać giermkim, na co nie miał żadnych szans i widoków. Jak ci się to podoba, Łasico?

Wcale mi się to nie podobało. W najlepszym wypadku będę musiał się mocno postarać, aby odwieść go od tych morderczych zamiarów. Żadna miarą nie chciałem popychać go do realizacji tak szaleńczych pomysłów. Zamknąłem więc dziób, przestałem stawiać opór i zamieniłem się w słuch. Znacznie bardziej bowiem niż kretyńskie fantazje mojego brata interesowało mnie, czy ktoś — ktokolwiek — nie zbliży się do naszej polanki.

Domyśliłem się już, że człowiek, którego zobaczyły centaury, nie był Brithelmem, lecz Alfrikiem. Co prawda w obecnym położeniu nie czyniło mi to żadnej różnicy.

Po tych wszystkich latach spędzonych na duszeniu i łomotaniu mnie w każdym kącie do utraty tchu, aż sobie nie przypominał, że ojcu nie podobałoby się bratobójstwo, Alfric wreszcie wyrwał się z zamczyska i umknął spod długiego ramienia ojcowskiej dyscypliny. Wyglądało na to, iż zamierza wyciągnąć z tej sytuacji tyle uciechy, ile tylko zdoła. W świetle księżycy ujrzałem błysk noża. — Alfric...

— Zamknij pysk, Łasico. Od tej chwili będę robił to, na co mam ochotę. A mam ochotę... zostać giermkim rycerza solamijskiego, sir Bayarda Brightblade'a z Vingaardu.

— O, to z łatwością da się załatwić, bracie — wycharczałem, gotów uczynić wszystko, aby choć trochę odsunąć ostrze noża od mej grdyki. Nasłuchiwałem desperacko jakichkolwiek kroków,

uderzeń kopyt o grząski grunt — i rozpaczliwie szukałem pretekstu do wrzasku o pomoc. — Możesz zamiast mnie pucować jego zbroję do turnieju.

— O jakim turnieju gadasz? — Nacisk ostrza na moją grdykę nieco zelżał.

— O turnieju w zamku di Caela, w południowej Solamni. Pojawią się tam wszystkie okoliczne łamignaty i draby, żeby rywalizować o rękę Enid di Caela i prawo do majątku jej ojca. Zapewniam cię, że można tam

— nawiązać owocne kontakty. Pomogę ci nawet zostać giermkiem. Będę bardzo szczęśliwy, mogąc...

— Wybij to sobie ze łba, Galen. Widzisz, sir Bayard będzie potrzebował giermka, gdy jego mała łasica utonie gdzieś w bagnach. Jasne, że ja okażę się najlepszym kandydatem na wolne miejsce. Nie trzeba mi od ciebie listów polecających. Sam sobie poradzę. Potem wystarczy tylko trochę smykałki, szczęścia na turnieju i — kto wie — może nadam się na męża dla tej Enid di Caela. Potrafię dosiąść konia równie dobrze jak każdy inny. I nieźle radzę sobie z kopią.

— Ależ, bracie... — Musiałem coś wymyślić, bo w miarę jak mój zacny braciszek puszczał wodze swej fantazji, ostrze noża coraz boleśniej uciskało moją grdykę. — Zaczniemy od pierwszej przeszkody, która dzieli cię od stanowiska głowy rodu di Caela i całej reszty. Na pewno zdajesz sobie sprawę z faktu, że gdy niespodzianie wyleziesz spod jakiejś skały, kiedy tylko zwolni się stanowisko giermka sir Bayarda, wzbudzisz pewne podejrzenia!

— Zrobimy to po mojemu. Zobaczysz, jak sobie to wykombinowałem — oznajmił, wznosząc swój rzeźnicki nóż. Zacerpnałem tchu udając, iż z najwyższą uwagą słucham, jak Alfric radośnie i niemal z entuzjazmem zabiera się do szczegółowego objaśnienia swojego idiotycznego planu.

Oczywiście umilkł na dłuższą chwilę. Niemal widziałem, jak w jego pustym kaczenie zaczynają się kręcić zardzewiałe tryby, gdy usiłował wyobrazić sobie wszystkie możliwe pułapki, czyhające na drodze do realizacji jego marzeń.

— Więc tak... — rozpoczął. — Powiem Bayardowi, iż ojciec... znalazł jakieś dowody, że to ty, a nie ja, zaniedbałeś obowiązki.

— Jakie mianowicie dowody, braciszku? — Nie było mi najwygodniej, gdy tak leżałem przygnieciony ciężkimi łapskami mego brata. Alfric znów zamyślił się głęboko. — No?

— Stul pysk, Łasico. Myślę... Mam... — ciągnął jak szewc dratwę. Potrząsnął mną z nagłym entuzjazmem, aż rozboleła mnie głowa. — Twój pierścień! Przez niego wpadłeś i byłbyś leżał, gdyby Bayard nie znalazł go w swej opończy, parszywe szczęście Łasicy! — Co z tym pierścieniem?

Nastąpiła kolejna przerwa, podczas której nóż odsunął się od mojego gardła. Brat podniósł mnie z ziemi, oparł o pień cyprysu i spojrzał mi w twarz.

— Eeee... a tobie przychodzi coś do głowy? Przyszło mi do głowy, że tum go czekał.

— O... to całkiem proste — zacząłem, rozpaczliwie usiłując wymyślić coś w miarę sensownego. — Co powiesz o czymś takim... Ojciec baczniej przyjrzał się obu pierścieniom... i odkrył, że jegomość w czerni miał prawdziwy pierścień, a podrobionym okazał się ten, który znalazł sir Bayard. Chodziło o to, aby nasz rycerz postąpił dokładnie tak, jak postąpił... to znaczy zrezygnował z twoich usług i przyjął na giermka „niesłusznie posądzonego” młodszego z braci. Dlatego też ojciec posłał cię za sir Bayardem, żebyś wyjaśnił mu całą sprawę.

Alfric radośnie pokiwał głową. Był jedyną znaną mi osobą na tyle głupią, aby uwierzyć w historię tak bardzo zbliżoną do prawdziwej.

— Wiesz, myślę, że sir Bayard połknie ją bez zmruczenia oka — powiedział, podskakując radośnie, aż się potknął w ciężkiej zbroi. Kiwnąłem głową, udając równego mu idiotę. — A przy okazji, Galen. Pamiętasz tego czarnego jegomościa. Nie żyje. — Nie żyje? — Ta nowina

spowodowała, że zadrzałem.

— Ojciec mówi, że to dziw nad dziwy. W godzinę po twym wyjeździe posłał strażników z żarciem dla obwiesia, a ten tymczasem zdechł. Drzwi zamknięte, kraty w oknach nie ruszone — nikt nie mógł się do niego dostać. Był owinięty w tę swoją czarną opończę, a smród — jak powiadał strażnik — wywracał wszystko na nice. A najciekawsze w tym wszystkim jest to, co powiedział nasz stary... że nieboszczyk był tak wyschnięty, jakby nie żył już od roku. — Ale... — Wzdrygnąłem się gwałtownie

Alfric kiwnął głową. Nagle straciłem ochotę, aby skryć się gdzieś i siedzieć jak mysz pod miotłą — szczególnie zaś nie odpowiadał mi pomysł, aby schować się w tym nawiedzonym przez kruki bagnisku. Ruszyłem w kierunku jednej ze ścieżek, która prowadziła z polanki — było mi zresztą wszystko jedno. Nie chciałem już trzymać się z dala od wydarzeń. Alfric jednak zastąpił mi drogę. — A ty dokąd? — spytał, ujmując rękojeść noża.

— Cóż... — odparłem starając się, by w moim głosie brzmiała pewność, której wcale nie czułem. — Odszukam sir Bayarda i przyznam się do wszystkiego.

— A jak odnajdziesz sir Bayarda? — spytał Alfric z nagłą podejrzliwością. — Idź za mną. Znam drogę — skłamałem. —

Nie zrobiłem i dwu kroków, kiedy na moje ramię spadła łapa Alfrica i zatrzymała mnie na miejscu.

— Nie próbuj uciekać, Łasico! — powiedział złowróżbnym tonem. Nie masz to jak powrót do starych braterskich więzów.

Ruszyliśmy tedy w wybraną na chybił trafił stronę. Alfric trzymał lewą rękę na moim ramieniu, a prawą tuż nad rękojeścią zatkniętego za pas noża. No, tak przynajmniej sądziłem — że tam właśnie zabłądziła jego prawa ręka. Choć tak naprawdę zrobiło się zbyt ciemno, by rzec coś pewnego.

Szliśmy więc powoli i w milczeniu, oczywiście w przeciwną stronę od sir Bayarda — tak przynajmniej mi się wydawało. Daleko przed nami bagno kipiało życiem, kłębiły się tam owady, ryczały bawole ropuchy i budziły się z dziennego snu sowy. Wokół nas panowała zaś cisza — niekiedy tylko rozlegał się jakiś plusk lub trzepot skrzydeł, ale dźwięki te szybko się od nas oddalały. Pomyślałem, że hałas, który robiliśmy, przedzierając się przez bagna, i który płoszył drobne zwierzęta, może być aż nadto wystarczający, aby zwabić duże. A jeśli miałoby tu nadciągnąć jakieś większe zwierzę, nie zaszkodzi, gdy ja będę zachowywał się ciszej — Alfric zaś znacznie głośniej. Trzeba zatem zrobić wszystko, by ściągnął na siebie uwagę jakiejś sporej bestii.

— Jak tego dokonałeś? — zacząłem, nie mówiąc szeptem, ale i też niespecjalnie głośno.

— Czego dokonałem? — spytał mój brat, którego donośny głos rozlegał się teraz niczym ryk rogu sygnalizacyjnego. Jakieś bydlę przede mną zaczęło wiać w panice, czyniąc przy okazji sporo hałasu.

Dobra nasza. Braciszek ryczał niczym łosć podczas rui. Co powinno ściągnąć na niego uwagę drapieżników.

— Jak udało ci się uciec? Nie jest łatwą rzeczą wymknąć się z zamczyska tak, aby nie przyłapał cię ojciec. Chciałbym wiedzieć, jakżeś tego dokonał?

— Gdzieś chyba w godzinę po twoim odjeździe — zaczął Alfric chętnie, podczas gdy jego łapa wpijała się nieprzyjemnie w moje ramię — przemyślałem sytuację i doszedłem do wniosku, że czas poprosić kilku dłużników o wyrównanie rachunków. Widzisz, braciszku, nie ty jeden jesteś mi coś winien.

Zaśmiał się śmiechem, który opowiadacze starych historii nazywają histerycznym. Wierzcie mi, nie jest to dźwięk najmilszy uchu, szczególnie wtedy, gdy tkwicie samotnie pośrodku bagien z osobą, która właśnie tak się zaśmiewa. Ponownie przyszło mi do głowy, że jednak skończę tu w kil

ku kawałkach. Nie mając, niestety, niczego lepszego do roboty, szedłem dalej przed siebie, ostrożnie sprawdzając grunt pod nogami.

I nagle Alfric przestał się śmiać, co było równie niespodziewane i denerwujące jak przed chwilą, gdy zaczął rechotać. Przez chwilę milczał. Szliśmy dalej i jedynym dźwiękiem, który nam towarzyszył, było rżepolenie świerszczy — coraz cichsze, w miarę jak nocne powietrze naciągało chłodem.

— Nie minęła godzina od twego wyjazdu, a ja już przechodziłem przez zwodzony most i szedłem sobie. Ojcu było trochę głupio, że stracił szansę na ostrogi i w ogóle — nie pilnował więc fosy i mostu tak czujnie jak zawsze. Ruszyłem za wami, zanim żeście mi znikli z oczu, i szybko odnalazłem ślady waszych koni, a potem zobaczyłem, że ktoś was tropi... — Centaury — przerwałem i dostałem sójkę w bok za swe starania.

— Wiem, Łasico! Nie byłem daleko od was, kiedy starego Melasę trafił szlag. Mogłem do was dołączyć, ale chciałem złapać tylko ciebie samego i nie byłem pewny, jak się do tego zabrać. Więc... gdy was wzięli na tę polankę i sądzili, byłem niedaleko, a gdy was napadnięto z zasadzki i nasz święty średni braciszek pojawił się, aby ocalić waszą skórę i wszystko pokręcić, to ja też wszystko zdem widział. Nie inaczej. Widziałem wszystko — powtórzył złowieszczym tonem, popychając mnie z tyłu. Ale ja nie ruszyłem się z miejsca.

— Alfric... tam przed nami jest chyba coś dużego... co może być niebezpieczne.

Stałem jak wryty, Alfric jednak nie zatrzymał się. Ciężki napiersnik naparł na tył mojej czaszki. Metal zgrzytnął, mnie zaś zadzwoniło w uszach. — Co tam znowu?

— Usłyszałem, że coś tam się rusza. O... znowu... i bulgocze! Bogowie, miejcie nas w swej opiece! — Galen, nie zatrzymuj się. — Ale to prawda!

— Idź dalej! — syknął, popychając mnie w stronę źródła hałasu. Zrobiłem jeden niepewny krok, zatrzymałem się i cofnąłem stopę. Mój przesycony braterską miłością brat popchnął mnie ponownie. Popchnął mnie w kierunku zapadliska ruchomych piasków, gniazda szerszeni, kałuży lawy — było mu wszystko jedno.

— Galen, chyba mnie słyszałeś! Ruszaj naprzód. I nie martw się! Będę cię bronił... dopóki nie odnajdziemy sir Bayarda. Nie zabrzmiało to zbyt pocieszająco i poczułem się jak jedna z tych

jaskółek, które — wedle dawnych opowieści — krasnoludy zabierają ze sobą w klatkach do kopalni. Gdy ptaszek pada martwy, górnicy dowiadują się, że czas zmykać, bo powietrze w sztolni zanieczyściło się podziemnymi wyziewami i nie nadaje się do oddychania.

Stałem tedy twardo w miejscu i opierałem się naporowi zbroi, dopóki nie poczułem dźgnięcia nożem.

— Dobrze więc, bracie... pójdę. Pójdę prosto w objęcia niebezpieczeństwa i niemal pewnej śmierci. Ty będziesz za to odpowiedzialny. Niechaj zatem na ciebie spadnie wina za wszystko, co się ze mną stanie. Za mną rozległ się paskudny chichot braciszka.

— No... — powiedział z przekąsem. — Nie przyjdzie mi to z łatwością, ale wiesz co... myślę, że jakoś to zniosę. I wszystko będzie pasowało.

Podejrzywałem, że to zapadlisko ruchomych piasków — sadzawka podobna do tych, obok których przechodziliśmy za dnia, groźniejsza jednak w nocy, ponieważ wtedy nie sposób określić, gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Wystarczył jeden krok, aby potwierdziły się moje obawy: usłyszałem lekki bulgot i poczułem, jak coś wciąga moje stopy. Znalazłem się w niebezpieczeństwie — w ruchomych piaskach można zapaść się po kostki, po pas albo i z głową, w zależności od tego, jak rozległa i głęboka jest jama.

Błyskawicznie więc pochyliłem się, umknąłem Alfricowi spod łapy i śmignąłem w bok przez

blocko, licząc na to, iż mam do czynienia z nieco tylko rozleglejszą i głębszą wersją zapadlisk, z jakimi stykałem się już wcześniej. Tak też było w istocie. Niestety, zapadlisko okazało się znacznie rozleglejsze, niż sądziłem. Po kilku krokach poczułem, że się zapadam. Zacząłem pospiesznie przypominać sobie to, co wiedziałem na temat ruchomych piasków. Nie ruszaj się. Jakakolwiek szamotanina pograży cię jeszcze bardziej. Zachowaj spokój i czekaj na przybycie pomocy.

I owszem, ale jakiej pomocy doczekam się od kretyna Obciążonego stufuntową zbroją?

Nigdy przedtem tak szybko nie przebierałem nogami. Zacząłem nawet machać ramionami niczym wiatrak, licząc na to, iż okażę się szybszy od piasków. Dwukrotnie zapadałem się po kolana, raz nawet po pas, za każdym razem udawało mi się jednak jakoś wykaraskać. Przez cały czas słyszałem za sobą ryk Alfrica — niezbyt wyraźny, godzi się rzec, bo na jego wrzaski nakładało się bulgotanie sadzawki — który obsypywał mnie

przekleństwami, wyzwiskami, poleceniami i groźbami.

Długo by opowiadać o tym, jak w końcu dotarłem do twardego gruntu — i to w chwili, kiedy już straciłem nadzieję. Stało się to wkrótce potem, gdy odkryłem, iż już się nie zapadam — wymacałem stopami dno jamy, wciąż tkwiąc po kolana w wodzie. Nadal jednak miotałem się w panice czysto odruchowej i parłem przed siebie, choć całkowicie straciłem ducha.

Okazało się, że to dość zawstydzające uczucie. Darłem się rozpaczliwie i wzywałem Bayarda, Agiona, Brithelma, satyry, Skorpiona, Alfrica i wszystkich, którzy mogliby usłyszeć moje wycia. Modliłem się do wszystkich bogów, potem zacząłem się z nimi targować, obiecywałem, że resztę życia spędzę w jakiejś nędznej pustelni, przedtem zaś ofiarowałem cały swój ziemski majątek jednej ze świątyń Paladina w Solammii. Po chwili jednak zwróciłem się ku bardziej światowym sprawom, zacząłem bowiem przeklinać tak, że z pobliskich cedrów niemal zlaźła cała kora — kłąłem zaś takimi słowami, że gdyby usłyszeli je nasi stajenni, zdobyłbym sobie bez trudu ich dozgonny szacunek. Później łkałem rozpaczliwie, bełkotałem coś, a nawet wybuchałem histerycznym śmiechem.

I okazało się, że któraś z tych modlitw, obietnic, a może któreś z przekleństw przeniosło mnie na drugą stronę zapadliska. Nie mam bowiem pojęcia, w jaki sposób udało mi się pokonać ostatnich parę jardów... niejasno tylko przypominam sobie, że rozpaczliwie targnąłem jakąś cienką lianę leżącą na powierzchni sadzawki i oplatałem nią sobie pas, barki i szyję, tak że niewiele brakło, a byłbym się udusił.

Tak czy owak, wydostałem się w końcu na twarde gruntu, gdzie ległem spowity w liście jak elf przystrojony do kolacji. Przez długą chwilę ograniczyłem się jedynie do łapania tchu. Potem, gdy reszta moich zmysłów odzyskała dawną sprawność, zacząłem przysłuchiwać się dobiegającym z tyłu odgłosom szamotania — które intensywnością przewyższały znacznie bulgotanie sadzawki.

Potem rozległy się wrzaski o pomoc. Rozpoznałem je natychmiast. Ale tym razem darł się kto inny — nie ja. To Alfric ryczał rozpaczliwie jak zdychający bawół — dla moich uszu była to jednak najśłodsza z melodii.

— Galen, gdzie jesteś? Galen? Pomóż mi! Rozsiadłem się wygodnie na cudownie suchym gruncie i zacząłem rozplątywać cudownie mocną lianę, okręconą wokół mego łokcia.

— Pomóż mi! Wiem, że tam jesteś! Zbroja ojca jest ciężka i idę na dno! Szybko uformowałem z liany pętlę.

— Galen! Na miłość Paladina, Majere'a, Mishakal, Branchali i...

I tu Alfric się zatrzymał. Zawsze był kiepski w teologii i najwidoczniej skończyli mu się bogowie.

— I co, według ciebie, mam zrobić? — zawołałem z drugiej strony zapadliska.

— Rzuć coś w to błoto czy co tam to jest... żebym się mógł złapać i wyciągnąć. — Alfric?

— Co tam znowu, Galen? Pospiesz się! Przestałem się zapadać, ale siedzę w tym po pas! — A co ja będę z tego miał, Wielki Bracie? Cisza.

— Oprócz, oczywiście — ciągnąłem bezlitośnie — zwykłych dowodów braterskiej miłości, którymi tak chętnie szafujesz... — Łasico, przestań mnie drażnić i rzucaj linę!

— Alfric, doradzałbym odrobinę szacunku dla młodszego braciszka. No dobrze, rzucę ci linę. Teraz uważaj. Nie mam pojęcia, czy potrafię ją dorzucić tak daleko, nie wiem, czy jest dość długa, i nie umiem rzec, czy zdołasz ją dojrzeć w tych ciemnościach, ale ująłbym rzecz tak: jeśli ją tam rzucę, twoje szanse przekształcą się z żadnych w... niewielkie. Rzuciłem lianę w stronę zapadliska.

— Bądź dobrej myśli, bracie. Jak sam mówiłeś, w tym bagnie wszystko rośnie nad podziw szybko. Jeśli nawet nie dorzucę do ciebie liny, może wydłuży się sama? A jeśli nie... no cóż, wkrótce sam odkryjesz, jak głęboka jest ta jama. Postój po prostu na dnie i poczekaj, aż ktoś będzie tu przechodził.

Odwrociłem się i ruszyłem w mrok. Nie byłem szczególnie pewien, czy idę we właściwym kierunku, przepęłniało mnie jednak głębokie przeświadczenie, iż poetycko pojętej sprawiedliwości stało się zadość.

Nie powtórzę żadnego ze zdań, którymi Alfric mnie pożegnał. Myślę jednak, iż zasłużyłem na wyzwiska, którymi mnie obrzucał. W końcu opierałem się na ufności — a poza nią nie dysponowałem niczym więcej — że jakoś wydostanie się z jamy, w której go zostawiłem. Być może źle oceniłem jego siły, wytrzymałość, ciężar ojcowskiej zbroi... cóż, pocieszała mnie myśl, że nawet jeśli Alfrica zawiodą liana i ciemności, jeśli miałbym zasłużyć na dużo gorsze miano niż to, jakim obdarzył mnie mój brat, kara nie nadejdzie zbyt szybko. I pewnie nie z jego ręki. Spokojnie więc oddalałem się od jamy i okrzyków Alfrica, które w miarę jak odchodziłem, stawały się coraz głośniejsze, by w końcu przekształcić się w rozpaczliwe wrzaski i wycia.

Muszę tu wyznać, iż ciemności wyczyniają okropne rzeczy z czyjąś pewnością siebie. Była to noc, jakiej nie życzyłby sobie żaden podróżnik, noc, którą najchętniej się przesypia... lub przeczekuje w ciepłym schronieniu. Ryki i przekleństwa Alfrica wkrótce ucichły, zastąpiły je natomiast szybko odgłosy mniej mi znajome, za to znacznie groźniejsze: ktoś lub coś pluskało się w wodzie, ktoś lub coś człapało ciężko nie opodal, niepokojąco bulgotały fale i gdzieś niedaleko skrzeczały jakieś wodne ptaszyska. Po krótkiej chwili miałem już tego dość... i znów się zgubiłem.

Przez ponad godzinę błąkałem się wśród trzciny, podążając ścieżką, na której wąż byłby złamał sobie kręgosłup. Zatrzymałem się wreszcie, szlak robił się bowiem coraz węższy, i zacząłem się zastanawiać, jakie stworzenie mogło wydeptać tak krętą ścieżkę, ale potem — w końcu nie miałem żadnego wyboru — ruszyłem dalej w tym kierunku... choć w rzeczy samej nie miałem pojęcia, w jakim właściwie kierunku idę... nie byłem nawet pewien, czy ktoś w ogóle przechodził tędy przede mną.

Przypomniawszy sobie jedną z rad, którymi ojciec zasypywał mnie, gdy opuszczałem zamczysko, pochyliłem się i obejrzałem pień cyprysu. Drzewo obrośnięte było mchem ze wszystkich stron. Wyglądało na to, że wszędzie jest północ.

Gdy usłyszałem w pobliżu jakieś parsknięcie, zerwałem się na nogi, chwyciłem rękojeść kordzika i przygotowałem na najgorsze. Oparłem się o pień cyprysu, gotów natychmiast dać zań nura, jeśli tylko uda mi się określić kierunek, z którego nadciąga niebezpieczeństwo — co samo w sobie było niełatwym zadaniem.

Raz jeszcze niedaleko rozległo się owo parsknięcie, potem zaś usłyszałem dziwną szamotaninę, oddalającą się gdzieś na lewo. Ostrożnie ruszyłem w tamtą stronę, gotując się na spotkanie z centaurami, satyrami lub jednym z owych legendarnych ptaszysk, które podobno grasowały na tych

bagnach. Opadłem na czworaki, a potem, starając się zachować ciszę, bardzo ostrożnie ruszyłem w stronę źródła hałasu.

Okazało się, że ostrożności nigdy za wiele. Nie zrobiłem w ten sposób i dziesięciu kroków, kiedy poczułem, że ziemia umyka mi spod... rąk. Przez chwilę balansowałem na krawędzi błotnistej, porośniętej trzciniami pochyłości, patrząc z góry na mroczną kotlinkę, na dnie której mokro lśniło coś sporego, czarnego i ruchomego. W tejże samej chwili, w której przekonałem się, że nie mam najmniejszej ochoty na zjazd w dół, poślizgnąłem się i pomknąłem po bloku i mokrych liściach prosto w lejcowate zagłębienie terenu. Gdzie na dnie prychało i miało się coś potwornie ogromnego... lub

ogromnie potwornego.

Wylądowawszy na dnie, przez moment leżałem bez ruchu, przypomniałem bowiem sobie starą opowieść o tym, iż drapieżne bydlę nie ruszy ofiary, jeśli przekona się, że zdobycz jest martwa. Żywiłem gorącą nadzieję, iż rzeczony drapieżnik uzna mnie za zabitego.

Przez chwilę nie słyszałem niczego, prócz sapania i powolnych ruchów jakiegoś sporego stwora. Potem na karku poczułem ciepłe tchnienie, w którym nie było niczego drapieżnego. Przypominało mi to... dużego psa, cielę lub... Lub konia.

Odwróciłem się na pięcie i spojrzałem prosto w wytrzeszczone ślepią naszej juczej kobyłki.

Wędrowaliśmy razem od jakiegoś już czasu, walcząc ze sobą i częstując się kopniakami, gdy próbowałem przeprowadzić uparte bydlę przez gęste zarośla, klacz zaś obciążona podwójnym ciężarem (moim i zbroi Bayarda) usiłowała zrzucić przynajmniej jeden na podmokły grunt bagien. Poddałem się niemal i walczyłem już tylko o życie, gdy wreszcie mrok przed nami zaczął się rozjaśniać. Poświata nie przypominała zapowiedzi świtu, do którego pozostało jeszcze sporo czasu. Nie było to również zielonkawe światło promieni słonecznych przesączających się przez liście czy igły sosen i świerków. Ten kolor wspominałem z przyjemnością, rozjaśniał nam bowiem poprzedniego dnia mroki bagiennej ścieżki. Zieleń, którą oglądałem teraz, napawała mnie lękiem, było w niej coś chorobliwego i widmowego, wyblakła i zaciągnięta żółcią nie przypominała niczego spotykanego w naturze — może poza podbrzuszem węża.

Był to kolor gnilnej fosforescencji. Dowiedziałem się o tym dopiero później, jako że przedtem nigdy nie oglądałem tych błędnych ogników na otwartej przestrzeni.

Elfy zowią owe światło „blaskiem o północy” i wiedzą, że jego źródłem są zapalne substancje, które powstają w szczątkach żywych organizmów pochłoniętych przez bagna. Blask ten grzeje wtedy tylko, gdy substancje owe są mocno zagęszczone w retorcie destylacyjnej (Gileandos miał jedną taką retortę w bibliotece, choć oczywiście nie używał jej do oczyszczania substancji świecących. Aparatury tej używali jednak na swój sposób niektórzy z jego przedsiębiorczych uczniów, jak o tym świadczyło ogniste pożegnanie mistrza z blanków zamczyska).

Występująca pod postacią płynu owa świetlista substancja jest wysoce zapalna i zajmuje się płomieniem po kilku minutach kontaktu z

powietrzem. Pod postacią gazu jest nieszkodliwym źródłem światła i w niczym nie przypomina owego świecącego proszku, znajdowanego w brzuchach świetlików. Godzi się jednak rzec, że jej nikły początkowo blask gęstnieje i staje się coraz bardziej intensywny, w miarę jak zbliżamy się ku środkowi bagien, gdzie gromadzą się szczątki wszystkich istot pochłoniętych przez moczary w ciągu wielu lat.

Początkowo owo światło dodało mi otuchy, ożywiła się również klacz i rażno ruszyliśmy w jego stronę. Ponagliłem nawet wierzchowca, pewien byłem bowiem, iż widziany w oddali blask ma swoje źródło gdzieś na suchym i bezpiecznym gruncie — może w jakiejś chatce lub ognisku, które

rozpalili Bayard, Brithelm i Agion.

Oczywiście nie spostrzegłem (lub nie chciałem tego spostrzec), że zielonkawe światło nie dawało żadnego ciepła, że poruszało się nerwowo, jakby przede mną uciekając, i że właściwie niczego nie oświetlało. Dopiero wtedy, gdy bagienna poświata ustąpiła blaskowi ognia, gdy zieleń przekształciła się w bardziej ciepłą i przyjazną czerwień i żółć, gdy poczułem powitalny zapach dymu płonących polan i ciepło prawdziwych ognisk obozowych, zacząłem podejrzewać, iż blask, który wciągał mnie coraz głębiej w bagna, miał swe źródło w czymś niemiłym i pozbawionym życia.

Zląłem z siodła i ukryłem klaczkę w kępie niewysokich krzaków. Następnie ostrożnie zacząłem badać sprawę.

Trafiłem prawdopodobnie do najniższego punktu całych bagien, przede mną jednak leżało niewysokie wzniesienie, jakby moczary w samym swoim sercu zapragnęły wyrównać grunt do dawnego poziomu. Było tu zaskakująco sucho, przynajmniej tak mi się wydało, na tyle przynajmniej, że nie gasły niewielkie, umieszczone w krąg ogniska — rozpalone pewnie dla zapewnienia światła, ciepła i odpędzania ostatnich w tym roku komarów. Pomiędzy ogniskami leżały polana i chrust rzucone dość beładnie na stosy, które dopełniały ogólnego wrażenia, iż to, co znajduje się wewnątrz kręgu ognia, jest bezpieczne i chronione.

Wewnątrz owego kręgu stała tylko rozklekotana chatka na kilku słupach. W jej bocznej ścianie ziała dziura, dach był niemal ruiną, a dym z płonącego wewnątrz ogniska wzbijał się wszystkimi otworami i szczelinami w niekompletnych gontach. W pierwszej chwili zresztą pomyślałem, iż chatynka zajęła się ogniem. Potem spostrzegłem, że to sprawa uszkodzonego komina. Wewnątrz musieli mieszkać jacyś nieszczęśnicy, których nędzne życie upływało pewnie na ciągłej walce z pokładami sadzy.

Wokół domku ujrzałem stadko kóz. Razem z kozłętami było ich może z tuzin. Zwierzęta nieustannie krążyły wewnątrz pierścienia ognisk, jakby płomienie utrzymywały je razem i nie pozwalały na ucieczkę. Odniosłem wrażenie, że kozy świetnie pasują do tych rozwalin. Były to zwierzęta długowłose, z rasy chętnie hodowanej w górach, ale na bagnach ich długie kudły splątały się beładnie, a ubłocone zwierzęta, którym z rogów i bród zwisały strzępy pnączy i paproci, wyglądały przerażająco i groźnie.

Niedaleko więc był ogień i ciepło. Juczna klacz prychnęła z entuzjazmem. Ja miałem przemoczone ciżmy, spodnie zabłocone i mokre niemal po kolana, i mimo zimna czułem, iż nieustannie tną mnie wielce zajadłe komary.

Wylazłem zatem z krzaków, w których się kryliśmy, i ruszyłem w kierunku kotliny, chatki, ognisk i kóz, a przede wszystkim w stronę światła. Kobyłkę wiodłem za lejce.

Gdy się zbliżałem, kozy zachowywały się po kozjemu — obserwowały mnie tępymi, sennymi oczyma i miarowo przeżuwały rosnące na kępie zielsko. Smród również był taki, jakiego należało się spodziewać, dlatego przyspieszyłem kroku, pragnąc oddzielić się od mieszkańców kępy gęstą zasłoną dymu. Juczna klacz prychnęła ostrzegawczo i szarpnęła się na powrozie, ja jednak uspokajająco poklepałem ją po chrapach.

Swoją pomyłkę pojąłem dopiero wtedy, gdy wkroczyłem w krąg ognisk.

Płomienie nagle zaczęły drgać i falować jak błędne ogniki. Odwróciłem się, gotów do błyskawicznej ucieczki, było już jednak za późno. Oto bowiem gałązki chrustu raptem stanęły pionowo i zaczęły rosnąć z szybkością zdumiewającą nawet jak na to niesamowite bagno. Po kilku sekundach zostałem otoczony wysoką palisadą, w której nie mogłem dostrzec żadnego wyjścia.

Kozy również się zmieniały — ich długie kudły zniknęły równie szybko, jak z ziemi wyrosła palisada. Bydlęta podniosły się na tylne nogi i przybrały ludzkie kształty — no, przynajmniej w

przybliżeniu ludzkie. Przemienione stwory — już nie kozy, lecz satyry — łypały na mnie otępiętymi oczami, jakby budziły się ze snu. Następnie zaczęły podchodzić do ognisk i wyjmować z nich płonące polana, które uniosły nad głowami jak pochodnie. Powoli, za to z wyraźnie wrogimi zamiarami, zaczęły też mnie okręzać.

W pierwszej chwili zapragnąłem cisnąć lejce, zostawić kobyłkę jej własnej przemyślności i skoczyć ku małej chatce pośrodku kępy. Tam, nieosiągalny dla całej tej bandy, mógłbym przemyśleć wszystko i — być

może — znalazłbym jakiś sposób ucieczki.

Niestety, los nie dał mi i tej szansy. Gdy rosła palisada i kozy przekształcały się w satyry, przeobrażeniu uległa i sama chatka. Oświetlana tą obrzydliwą zielonkawą poświatą uniosła się w górę, rozparła na boki — i oto miałem przed sobą wielki i złowieszczo wyglądający tron, wznoszący się na palach pośrodku umocnionej twierdzy. Na tronie zaś siedział Skorpion.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Muszę rzec, że cała sceneria robiła nielicze wrażenie. Tron był ażurowy, zbudowany z ludzkich kości, delikatny, wielce ozdobny i na dodatek miał paskudną białą barwę od podstawy do zwieńczenia oparcia. Po jego całej powierzchni, odbijając się czernią chityny od białych niczym kość słoniowa pieszczeli, łaziły setki skorpionów, które wznosiły swe jadowite żądła.

Na tronie siedział ktoś szczupły i groźnie ku mnie pochylony. Pod ciężkim kapturem mogła kryć się dowolna twarz.

Ja jednak byłem pewien, że siedzi tam właściciel owego szczególnego głosu.

Tego głosu, który pamiętałem z zamczyska — dźwięcznego, słodkiego niczym miód, bogatego w półtony, lodowatego i jadowitego. Głosu, którym przemawiał do mnie także kruk.

Gdy tylko udało mi się odzyskać równowagę i zapanować nad przerażonym jucznym bydłem, gdy tylko objąłem wzrokiem całą scenę — tron, kłębiące się na nim robactwo i mężczyznę w opończy z kapturem — człowiek ów przemówił i w tejże samej chwili potwierdziły się moje obawy.

— Biedny Galenie, dopadły cię najgorsze z twych sennych koszmarów. Och, tak... śniłeś o tym i budziłeś się przerażony, spocony, z walącym serduszkiem, we śnie bowiem strach i obawa przede mną przeważa nad troską o twe własne bezpieczeństwo i wygodę.

W tym miejscu muszę wyznać, iż Skorpion nigdy nie zajmował czołowego miejsca na liście moich najgorszych koszmarów, którą otwierał potężny, pozbawiony twarzy ogr, wywijający ogromnym i niewiarygodnie ostrym toporem. Ale Skorpion był sam w sobie wystarczająco koszmarny i nie miałem zamiaru mu się sprzeciwić. Otworzyłem bezmyślnie gębę i kiwnąłem głową. Zauważyłem też, iż miękną mi kolana.

— Może także, mój mały, nadszedł czas, abyśmy choć po części wyrównali rachunki?

— Ależ tak, Wasza Miłość, płonę chęcią spłacenia długu. I nie zawaham się rzec, iż spłacę go z przyjemnością, ponieważ byłeś, panie,

— tak dobry i wyciągnąłeś mnie z tej biblioteki... a zrobiłeś to szybko i w sposób dość... niezwykły.

Skorpion pochylił się na swym tronie i spojrzał na mnie z góry, niczym drapieżny ptak patrzący na tłustego gryzonia.

— Sprawa jednak nie jest prosta. Wiesz oczywiście, Wasza Miłość, że ponieważ w ciągu ostatnich dwu tygodni siedziałem zamknięty, potem zaś siłą wymuszono na mnie tę służbę, nie miałem możliwości przemyślenia wszystkiego i zebrania informacji dotyczących sir Bayarda.

Skorpion cofnął się i oparł o wezglowie tronu, splótlszy pierwszej przed sobą swe białe długie palce. Krąg satyrów wokół mnie zacieśnił się, podobnie jak krąg moich wykrętów i pomysłów. Spróbowałem więc targów.

— Mam oczywiście rzecz, o którą Wasza Miłość prosiłeś za pierwszym razem — zacząłem, skinieniem dłoni wskazując grzbiet jucznej klaczy, gdzie spoczywał tobolek ze zbroją Bayarda. — Pierwszorzędna solamijską zbroją, niezbyt często ostatnio używana, i jeśli wyznawcy Waszej Miłości zechcą niekiedy odrobinę ją przeczyścić... zetrzeć z niej błoto i tak dalej...

— Dość o tym. — Mój gospodarz szybko złożył obie dłonie na poręczach tronu, rozrzucając skorpiony.

— Chłopcze, jak sądzisz, po co mi ta zbroja? Czyżbym wyglądał jak handlarz starzyzną, którego cieszy sam handel?

— Nie, panie. Wasza Miłość wyglądasz jak najgorszy Z moich nocnych koszmarów.

— I za to cię lubię. Zakładam, że Bayard Brightblade błąka się jeszcze gdzieś tam po bagnach?

— Ależ tak, sir. — To dopytywanie się pozwalało mi zebrać myśli. — To znaczy, o ile mogę rzec coś pewnego.

— W rzeczy samej pewien tego jestem i ja... ale moja siedziba znajduje się na uboczu, droga tu jest tak kręta, mnie zaś samego tak krępują pewne okoliczności, że aż do świtu nie potrafię ci chyba powiedzieć, gdzie tu jest wschód... a już z pewnością nie umiem rzec, na jakiej kępie osiadł wzmiankowany rycerz.

Zdradzenie Bayarda przyszło mi z łatwością. W końcu to nie ja sprowadziłem nas na te bagna. Nie potrafiłbym nazwać Bayarda przyjacielem — nie był wszak nim w istocie — i czy naprawdę powinienem uważać się za jego giermka, kiedy na dobrą sprawę mnie do tego zmusił? Czy w rzeczywistości nie byłem raczej jego więźniem? A powinnością więźnia jest ucieczka.

Przestałem uspokajać się logiką, siedzący bowiem na tronie mężczyzna nadal częstował mnie pytaniami. — Chłopcze, czy wiesz, co to błędny ognik? — spytał. — Nie, sir, ale sądzę, iż wkrótce się tego dowiem.

— To unoszący się nad bagnami płomyk — gaz bagienny, lisi płomień, nazwij go, jak chcesz — który unosi się kilka kroków przed podążającym za nim wędrowcem. Dokładnie tak jak ognie, które cię tu przywiodły.

Zrobiłem głupią minę i kiwnąłem głową, starając się równocześnie ze wszystkich sił utrzymać wodze rozdygotanej klaczy.

— To światełko, za którym podąża wędrowiec ku swemu przeznaczeniu, bo wiedzie go ono coraz bardziej w głąb bagien, gdzie spotyka swą zgubę. Zachichotał, a leżące pod jego dłonią skorpiony drgnęły niespokojnie.

— Łasiczko, ty będziesz takim błędnym ognikiem. Twoje zadanie będzie polegało na tym, aby przywieść do mnie twych kompanów. Musisz ich zwabić tu, w najgłębsze błota, i zatrzymać za wszelką cenę. Zadanie proste, ale warte mej wdzięczności.

— Panie, pomógłbym z największą chęcią — zacząłem ostrożnie — ale choćby mnie zabito, nie mam pojęcia, gdzie podziewają się sir Bayard i pozostali.

— Chłopcze, nie udawaj niewiniątka! — syknął mój rozmówca, a skorpiony zaskoczone tym dźwiękiem i drgającym w powietrzu gniewem swego pana poruszyły się niespokojnie i rozbiegły na boki. Poczułem się jak podczas burzy tuż przed uderzeniem gromu. Odstąpiłem o krok i spojrzałem na jednego z satyrów — małego i bezbrodego — który odwrócił się, podskoczył i zniknął za palisadą. Za jego przykładem poszedł roślejszy osobnik, potem za palami zniknął następny. — No... wiem, że Bayard jest gdzieś na tych bagnach...

— To już znacznie lepsze — przerwał mi Skorpion. — Znacznie lepsze... więcej w tym optymizmu i chęci do współpracy. — Jego głos uspokoił się i znów brzmiał słodko i dźwięcznie. Ukojone skorpiony ponownie zaczęły zbierać się wokół tronu.

— Pokładasz we mnie za mało wiary, Galenie. Czyżbyś mniemał, że zostawię cię własnemu losowi? Czyżbyś już zapomniał, jak pomogłem ci, gdyś siedział zamknięty w zamkowej bibliotece? Nie, Galenie. Potrzebny mi ktoś, kto przywiedzie sir Bayarda w to miejsce.

Jeden z satyrów wrócił, wylażąc wprost z palisady, jakby wyłonił się z mgły. Skorpion nie zwrócił na niego uwagi i mówił dalej: — Ja z kolei wiem, gdzie znaleźć Bayarda. — W jego dłoniach — rozjarzyła się kula zielonkawej poświaty. — Światło, które wskazało ci drogę, zaprowadzi cię teraz do twego rycerza, a potem przywiedzie was obu do mego obozowiska.

— I Bayardowi nie stanie się żadna krzywda? — spytałem szczerze zdziwiony.

— W tym przedsięwzięciu moja dłoń nie rozleje niczyjej krwi. Ja zawsze dotrzymuję słowa, choć

mijają stulecia pełne ognia, powodzi i zniszczenia. Inni nie są tak skrupulatni.

— Panie, brzmi to dość... wiążąco. Mając takie zapewnienie, gotów jestem przywieść tu sir Bayarda siłą czy fortelem, tak abyś mógł pociągnąć go za język w sposób, jaki uznasz za stosowny. Chciałbym jednak w zamian otrzymać zwolnienie z twojej służby i uzyskać eskortę, która odstawi mnie do zamku mego ojca. W końcu sir Bayard może łatwo zwolnić mnie z dalszej służby — szczególnie gdy w jego głowie zalęgnie się myśl o tym, że go zdradził.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Skorpion rozważał me słowa, ja czekałem na jego odpowiedź, juczna klacz szarpała wodze, a satyry po prostu przechodziły przez nie istniejącą dla nich palisadę.

— Dobrze... zaryzykuję — odparł wreszcie Skorpion. — Odprowadzę cię do twoich kompanów, ty zaś przywiedziesz ich do mnie. Otrzymasz tę szansę... ale będę patrzył ci uważnie na ręce. Uważaj! Mogę stać się sokołem lub gniazdem sów, które miniesz po drodze, nie umiem bowiem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy twoja chęć zdrady jest szczera, czy nie. Jeśli chodzi o mnie, również nie byłem tego pewien.

Rozdział ósmy

TYM SPOSOBEM, podążając za blaskiem błędnego ognika, opuściłem kępę Skorpiona i wróciłem do obozowiska Bayarda, gdzie mój mistrz wraz z bratem i siłami transportującymi siedzieli (lub, w wypadku Agiona, stali) wokół ogniska i popijali rokę.

Cóż, godzi się rzec, iż powitano mnie z niemalą radością — co okazało się czymś więcej, niżem się spodziewałem i na co nie zasłużyłem. Na mój widok Bayard i Brithelm porwali się na równe nogi. Brithelm oczywiście szeroko rozłożył ramiona do braterskiego uścisku, Bayard okazał się nieco mniej wylewny, ale i on nie krył radości i ulgi. Agion zaś niczym żreback biegał pomiędzy Walecznym i juczną klaczką. I ja miałem zawieść te niewiniątka do siedziby Skorpiona.

Mój tajny pakt z wrogiem wcale mi się nie podobał. Martwiło mnie, że moje usługi mogą okazać się częścią jakiegoś sekretnego planu, którego celem jest pokrzywdzenie ludzi wcale na to nie zasługujących. Jak zwał, tak zwał — chodziło o moją albo ich skórę. Nie będę się wyłgiwał... w tych warunkach łatwo stłumiłem szlachetniejsze porywy serca.

Gdy szliśmy ku ognisku, Brithelm na przemian zasypywał mnie pytaniami i ścisnął wylewnie, a na miejscu posadził mnie wygodnie i wetknął w dłoń parujący kubek roki. Początkowo łypnąłem nieufnie na napój, powąchałem go, wyczułem orzeszki roka oraz cynamon i w końcu upiłem łyk. Ku mej uldze rokę warzył ktoś inny, nie mój uduchowiony braciszek.

Rozsiadłem się zatem wygodnie, poczułem kojące ciepło napitku rozlewające się w żołądku i przypomniałem sobie zakończenie starej bajki: Tak więc wzięwszy zmię pomiędzy siebie, nakarmili ją i udzielili jej schronienia, aż wyzdrowiała. Niewątpliwie też napoili ją roką. Świat pełen jest podłości.

Popijając gorący napój, odpowiadałem na kolejne pytania, którymi godził we mnie mój rycerski obrońca.

— Panie, ależ ja nie mam pojęcia, gdzie się podziewałem... przedzierałem się przez bagna, jakoś wydostałem się z zapadliska ruchomych piasków i to mniej więcej wszystko, co mogę rzec. Nie jestem nawet pewien tego, co widziałem... mogę powiedzieć tylko, że nie wiem, co o tym sądzić. Byłem niedaleko i ujrzałem światło. Gdyby nie to, nigdy bym pewnie was nie znalazł. Żadna z tych odpowiedzi nie była kłamstwem. No... w każdym razie nie całkiem.

— Galenie, nie ma znaczenia, jak do nas trafiłeś... dziękuję bogom za twój powrót! — zawołał Brithelm, obejmując mnie raz jeszcze. Agion podskakiwał radośnie i żwawo kiwał głową, dając tym samym znak, iż w pełni zgadza się z moim bratem.

Jedynie Bayard powstrzymał się od hałaśliwego wyrażania swej radości: obserwował mnie uważnie i milczał, nie biorąc udziału w trajkotaniu Brithelma. W jego oczach ujrzałem może nawet odrobinę nieufności — choć najpewniej dostrzegłem jedynie to, co dyktowały mi poczucie winy i obawa demaskacji. Ostatecznie byłem agentem Skorpiona i jeśli miałbym wszystko nazwać po imieniu, to cała transakcja, którą zawarłem z czarnoksiężnikiem, śmierdziała niczym nora skunksa. W końcu Bayard odezwał się nieco szorstkim głosem.

— Galenie, nie potrafię sobie wyobrazić tego, żeś się ot tak zagubił... i nie zauważyłeś żadnych charakterystycznych punktów w terenie... nawet jeśli obok nich tylko przebiegałeś. Zdażyłeś już chyba się domyśleć, że po same uszy mam już twoich zniknąć, gdy wpadamy w opałę, i powrotów wtedy, gdy sytuacja wraca do normy. Podejrzewam, że i tym razem udałeś się na bezpieczny „rekonesans” po okolicy.

I Bayard przykucnął przy ognisku, grzejąc dłonie i chroniąc się przed dokuczliwym chłodem, coraz bardziej niezwykłym jak na tę porę roku.

— Wiem, panie, że zasłużyłem na odrobinę złośliwości z waszej strony, nawet jeśli nie przystoi ona rycerzowi solamnijskiemu. Przyznaję, że szukałem kryjówki wówczas, gdy powinienem... okazać więcej entuzjazmu. Ale dzięki temu odzyskałem waszą zbroję, za co należą mi się skromne choćby podziękowania.

Bayard skinął głową — niechętnie i nie odrywając spojrzenia od ogniska.

— Co więcej, sir Bayardzie, w tym całym zamieszaniu, odwrotach i odnajdywaniu ścieżek udało mi się coś wytropić... i powinniście mnie pilnie wysłuchać.

Opowiedziałem mu o obozowisku pośrodku bagien, o kręgu ognisk, domku na palach i kozach, które pojawiały się i znikwały. Oczywiście nie powiedziałem mu o Skorpionie — tym bardziej nie wspomniałem też o Alfricu — kreśląc moją historię szybko i naturalnie. Polegałem na instynktach, które rozwinąłem w sobie w zamczysku ojca.

Nawet jeśli Bayard żywił jakieś podejrzenia, nie podzielił się nimi z pozostałymi członkami naszej grupki. Agion nadał hasał dookoła, Brithelm zaś podjął dawny wątek.

— Kozy, domek na bagnach i krąg ognisk... braciszku, jak dobrze, że jesteś bezpieczny. Zamierzam wycofać się do mej pustelni i oddać medytacjom. Gdybym nie wiedział, co się z tobą stało, nie mógłbym tam wrócić z lekkim sercem. — Brithelm? — Tak, braciszku? Ale cóż mogłem mu powiedzieć?

— Uważaj na siebie, gdy będziesz wracał do swej pustelni. To bagno nie jest już tym, czym było dawniej.

— Uważać na siebie? Ależ Galenie, w tych moczarach nie ma niczego naprawdę groźnego. Nawet te... satyry nie są satyrami. Spojrzałem na Bayarda, który wzruszył tylko ramionami.

— Cóż... — odparłem. — Z własnego doświadczenia wiem, że krokodyle i ruchome piaski, o satyrach nie wspominając, mogą pochłonąć człeka dzielnego i ufego serca równie łatwo, jak tchórza i niedowiarka.

— W tym jednak rzecz, Galenie — odezwał się ze swego miejsca Bayard, który dalej spoglądał w ognisko — że Brithelm nie wierzy w te satyry. Twierdzi, że one po prostu nie istnieją.

— Zaraz, czekajcie! Nie istnieją? — Nie zamierzałem zdradzić się z tym, że i ja coś wiem. — Chyba je, panie, widzieliście? Bayard przytaknął. — A ty, Agionie? Centaur wrócił w krąg światła ogniska.

— Owszem, Galenie, widziałem je — przyznał. — Ale nie w tym sedno sprawy. — Nie w tym sedno sprawy?

Rosły centaur pochylał się, by zagrzeć dłonie nad płomieniami. Na jego nieco bezmyślnej gębie

pojawił się zagadkowy wyraz.

— Zaiste, nie w tym... — wyjaśnił — ponieważ Brithelm objawił nam, że owe satyry nie istnieją, niezależnie od tego, czy je widzimy, czy nie. Jest zasię świętym mężem, który przywykł do oglądania rzeczy zakrytych dla innych.

— Aaa... rozumiem. Może któryś z was łaskawie zechce wyjaśnić mi, co tu zaszło podczas mojej nieobecności? Jeśli nie istnieje coś, co rzuca się na Bayarda z nożem, co zabija dwu przyjaciół Agiona i co widziałem na własne oczy, to jakże wytłumaczyć fakt, iż...

Ich opowieść była krótka, tajemnicza i pełna grozy. Gdy już mi ją opowiedzieli, pomyślałem, że przypomina jeden z tych legendarnych klejnotów znajdujących w górach Kharolis, które zmieniają barwę w

zależności od kąta, pod jakim się na nie patrzy. Przywiodła mi też na myśl owe stare prorocze poematy z Wieku Snów, w których każdy czytelnik może znaleźć przepowiednię własnej zguby. Opowiadanie rozpoczął Bayard.

— Szukałem cię, Galenie — mówił spokojnie — ale nigdzie nie mogłem cię znaleźć.

— A kiedy nie mogliśmy cię odnaleźć — podjął opowieść Agion — zaniechaliśmy ukrywania się, wypadliśmy na szlak i natychmiast natknęliśmy się na sześciu satyrów. — Na czterech — poprawił Bayard. — Nie było tam żadnego — sprzeciwił się Brithelm. — Żadnego? — spytałem, przysuwając się do ognia.

— Każda z naszych historii różni się od samego niemal początku — wyjaśnił Bayard, odsuwając się nieco od ogniska. — Ja widziałem czterech, Agion sześciu, Brithelm zaś żadnego... zobaczył natomiast kilka kóz. A w mojej opowieści owe kozy pojawiają się później.

Bayard odłamał gałązkę nieśmiertelnika i wetknął w ognisko błękitny, wonny patyczek. I kontynuował opowiadanie.

— Niezależnie od tego, czyja to opowieść, bardzo szybko doszło do walki. Bijatyka była... owszem, owszem. Agion utrzymuje, że dwóch satyrów zdołało zbiec w głąb moczarów. W stronę znanej sobie palisady. To brzmiało dość rozsądnie.

— Ja, jak już mówiłem, widziałem tylko czterech — przyznał Bayard. — Wszyscy bili się zajadle, waląc maczugami, krótkimi włóczniami i tymi krzywymi mieczami... — Jataganami? — podsunąłem.

— No... myślę, że tak właśnie się nazywają. Powinieneś wiedzieć, w końcu przeczytałeś więcej starych ksiąg niż ja. Jakkolwiek zwie się owa broń, kozioludy dobrze wiedzą, jak jej używać. Ja i Agion mieliśmy pełne ręce roboty, choć walka była dość krótka. Twój brat nie brał w niej udziału. Wydaje się, że żaden z was nie odziedziczył po waszym dzielnym i walecznym ojcu skłonności do wojennego rzemiosła.

Spojrzał na Brithelma nie bez gniewu, ten zaś uśmiechnął się do niego dobrotliwie i kiwnięciem głowy poprosił, aby rycerz opowiadał dalej. Bayard — wbrew sobie — również się uśmiechnął.

— Cóż, do tego momentu mogłem różnicę w naszych opowieściach przypisać zamętowi bitewnemu — wyjaśnił. Przykucnął na piętach i westchnął smętnie. — Przypominam sobie swą pierwszą walkę, krótką i ząartą potyczkę z Nerakańczykami nie opodał przełęczu Throtyl. Było

— nas siedmiu, najmłodszy liczył sobie siedemnaście, a najstarszy dwadzieścia lat. Zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Nasi towarzysze wysłuchali później siedmiu różnych opowieści, w których liczba wrogów zmieniała się od dziesięciu do dwustu. Dopiero po tygodniu okazało się, że naprawdę to my mieliśmy przewagę liczebną.

Przerwał i milczał przez chwilę, jeszcze się uśmiechając, a kiedy odezwał się do nas ponownie,

jego oczy były pełne powagi.

— Ale to nie była moja pierwsza walka — stwierdził spokojnie, wpatrując się w płomienie. — Od trzydziestu lat biorę udział w krwawych bitwach, potyczkach i utarczkach stąd aż po Caergoth. Zdumiewa mnie jednak to, co zdarzyło się po tej bitce z satyrami, gdy wszyscy już się uspokoili. Doświadczony wojownik nie poddaje się iluzji. Ani Agion, ani twój brat nie dostrzegli tego, co się wydarzyło, gdy pochyliłem się nad jednym z martwych satyrów. Chciałem zbadać, kim są nasi wrogowie. Agion więc utrzymuje, że nic się wtedy nie stało.

— Bo i nic się nie stało, sir Bayardzie — przerwał mu centaur, składając na piersi ramiona. — W rzeczy samej nic... choć żeby nie zełgać, powinienem wspomnieć o wyrazie waszej twarzy, któregoś się niemal przeraził. Wyglądaliście, jakbyście zobaczyli ducha.

— Agion, widzisz, nie spostrzegł, że satyr zamienił się w kozę — wyjaśnił rycerz. Siadając przy ognisku, wydobyl mizerykordię i musnął palcami ostrze. Potem umilkł na dość długą chwilę.

— Tak jakby śmierć pozbawiła go ludzkich cech — powiedział w końcu, patrząc w ogień. — Jakby konając stracił swe człowieczeństwo i zostały z niego jedynie nieludzkie, kozie resztki.

— Był kozą od początku do końca... kozą i niczym więcej, sir Bayardzie — odparł Brithelm. Przemawiał spokojnie, ale może nieco zbyt głośno jak na tę niebezpieczną okolicę. — Można by z tego utworzyć przysłowie — dodał z uśmiechem. — „Jeśli walczysz z kozami, po walce znajdziesz kozie ścierwo”.

— A... pal to licho — mruknął Bayard głosem dziwnie cichym i zdradzającym wewnętrzną rozterkę. — Jednej rzeczy możemy być pewni: na tych moczarach dzieją się dziwne sprawy. Chętnie ruszyłbym dalej, aby jednak dotrzymać słowa, muszę spotkać się z satyrami, prawdziwymi czy urojonymi, dopiero potem mogę pospieszyć ku swemu celowi.

Umilkł i długo wpatrywał się w ognisko. Potem wstał i ruszył, aby zająć się Walecznym i juczną klaczką. Coś zaszeleściło w krzakach po lewej. Spojrzałem w tamtą stronę, spodziewając się zasadzki. Ale potem

przypomniałem sobie, że to nie miało odbyć się tutaj, że to ja miałem poprowadzić tych ludzi ku zgubie — do kępy pośrodku bagien, gdzie zasadzili się napastnicy.

Agion tymczasem zebrał naręcze trzciny i liści, z których ułożył na ziemi prowizoryczne posłanie. Gdy inni zajęli się swoimi sprawami, centaur spojrział ku mnie i wielką łapą wskazał na swe dzieło.

— Mój wódz, Archala, powiedział, że po siedmiu spędzonych z wami dniach i nocach dowiemy się, coście za jedni — stwierdził z uśmiechem, który zaskakiwał serdecznością na tak mało urodziwej gębie. — Nie mówił jednak niczego o tym, że macie cały ten czas spędzić na czuwaniu.

Z niemałą wdzięcznością wyciągnąłem się na posłaniu i zasnąłem twardym snem, który trwał cały ranek i popołudnie. Mój rosły towarzysz i zarazem strażnik czuwał, aby nikt nie zakłócił mego odpoczynku.

Myślę, że owego ranka cierpliwość, jaką Bayard postanowił okazywać klanowi Pathwardenów, została wystawiona na ciężką próbę. Ja spałem, on zaś tracił czas, który przeznaczył na dotarcie do zamku di Caela. Jego niecierpliwość wyszła mi jednak na dobre, ponieważ gdy spałem, zapomniał chyba o wydobyciu ze mnie bliższych szczegółów dotyczących moich nocnych przygód. A może i celowo zaniechał tego tematu.

Gdy sir Bayard zajął się końmi, Brithelm odszedł od ogniska w głąb obozu, gdzie usiadł i pogrążył się w medytacjach, a ja uniosłem się nieco na moim trzciniowym posłaniu i sięgnąwszy do kieszeni, rzuciłem kośćmi Calantiny. Jeden i dziesięć. Znak Żmii. Niech i tak będzie. Zajmijmy się więc tym, co zwykle robią żmije.

Podniosłem się i podszedłem do Bayarda, który klęcząc u boku klaczy, mocował się z jej uprzężą,

usiłując zacisnąć rozluźnione podczas wędrówki po bagnach popręgi. Mój rycerz spojrział ku mnie ponad ramieniem i ponownie wziął się za swe dzieło. — Sir Bayardzie? — I raz jeszcze, ciszej. — Sir Bayardzie., Solamniczycy wyjął zbroję z juków i zaczął wkładać jej poszczególne części. Ponownie spojrział na mnie, uśmiechnął się i kiwnął dłonią, wzywając ku sobie. Poczułem się jeszcze bardziej zmijowato.

— Galenie, mam nadzieję, że się wyspałeś, musimy bowiem ruszać. Pewien jestem, iż satyry znajdziemy nie opodal miejsca, o którym mówiłeś. Jak daleko jesteście od tamtego obozu? Pomóż mi z tym... Pochyliłem się i zaciągnąłem ramię lśniącego nagolennika.

— Sir, spodziewam się, że to niedaleko. Powinniśmy znaleźć owo miejsce bez trudu.

—

— Chłopcze, rusz głową — ponaglił mnie. — Nie masz pojęcia, jak denerwuje mnie ta zwłoka.

Gdy pomagałem Bayardowi wstać, nad naszymi głowami zapłonęły błędne ogniki. Początkowo powietrze zamigotało tysiącem błysków, jakby wśród gałęzi potężnego, omszałego, górującego nad obozowiskiem dębu obudziła się armia świetlików. Wkrótce światło uniosło się znad gałęzi, zgęstniało i zaczęło powoli przesuwać w stronę sadyby Skorpiona.

Początkowo udawałem, że nie dostrzegam tego lśnienia, ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że dla moich towarzyszy jest ono niewidzialne. Ruszyłem tedy spokojnie jego śladem, zatrzymując się co jakiś czas i udając, że zastanawiam się nad kierunkiem marszu, potem „rozpoznawałem” drzewo, kałużę czy zakręt ścieżki i szliśmy dalej. Wkrótce w ogóle przestałem udawać, moi towarzysze bowiem szli za mną i nie zadawali żadnych pytań — mieli zresztą pełne ręce roboty z tłuczeniem komarów, przedzieraniem się przez krzaki oraz przeklinaniem terenu i siebie nawzajem.

Przez cały ten czas światło unosiło się nad nami i nieco z przodu, wiodąc mnie wśród zdradzieckich bagien. Noc zapadła z ową niezwykłą szybkością, jaką możemy niekiedy obserwować w tropikalnej dżungli.

Na polecenie Bayarda ruszyłem przodem. Idący u mojego boku Brithelm niósł pochodnię, szyk zamykał dzierzący drugą Agion. Bayard prowadził Walecznego i kroczył pośrodku odziany w pełną zbroję, która zgrzytała niemiłosiernie i na bardziej rozmiękłych odcinkach szlaku pogrążała rycerza niemal po kostki w błocie. Solamniczycy przewidywał, że w miejscu, ku któremu ich wiodę, może wybuchnąć jakaś beładna potyczka i wołał być na nią przygotowany.

Najbardziej martwiła mnie obecność Brithelma. Nie mogłem odgadnąć, co Skorpion szykował na przyjęcie naszej grupki, a mój nieświadomy niczego brat nie zasługiwał na zdradę. Uparł się jednak, że pójdzie z nami. Niekiedy nie sposób było go przekonać.

Zielonkawe światło nieustannie tańczyło kilka kroków przed nami i prowadziło nas w stronę obozowiska Skorpiona i niewiadomego przeznaczenia.

Gdy wreszcie w nozdrza wpadł mi zapach dymu i usłyszałem beczenie kóz, zatrzymałem się, aby zrobić rachunek sumienia.

Tkwiąc po kostki w błocie na skraju owej kępy, raz jeszcze wszystko przemyślałem.

Wyjąłem chyłkiem z kieszeni Calantinę i rzuciłem kości, kryjąc je we wnętrzu dłoni. Znowu Znak Żmii. Los nakazywał mi, abym coś zrobił, nie miałem jednak pojęcia, czego konkretnie ode mnie wymaga.

Nagle poczułem na ramieniu dłoń Brithelma. Odwróciłem się i spojrzałem mu w oczy. Mój brat był mocno zatroskany. — Braciszku, co cię gryzie? — spytał.

— Mnie? Ależ nic, Brithelmie, doprawdy nic. — Ostrożnie obejrzałem się do tyłu: Bayard uspokajał coraz bardziej niespokojnego Walecznego.

I nagle polanka, ku której zmierzaliśmy, rozbrzmiała dzikimi wrzaskami.

Bayard dobył miecza, złapał mnie za ramię — zamierzałem bowiem dyskretnie wycofać się ku ścieżce — i rzucił mnie na ziemię.

— Galenie, dobądź korda — ponaglił mnie cicho przez zaciśnięte zęby. — Na wszystkich bogów, tym razem się nie wykręcisz!

Zostałem postawiony na nogi jednym szarpnięciem, wetknięty pod lewe ramię rycerza i poniesiony na polankę — Bayard cały czas trzymał miecz w prawej ręce. Usłyszałem parsknięcie Agiona, usłyszałem, że Brithelm coś mówi, usłyszałem też odpowiedź Bayarda: — Ukryj się gdzieś i pilnuj koni!

Potem oślepił mnie na chwilę dziwny kombinowany blask płomieni i błędnych ogników.

Doliczyłem się dwunastu przeciwników — a rachowałem szybko. Po pierwszym natarciu satyry przegrupowały się szybko pod platformą. Z powodu dziwnych, snujących się nad nią oparów nie umiałbym powiedzieć, czy na platformie stała chatka, czy tron Skorpiona. Pośród ruchomych cieni to tu, to tam pojawiały się kozłoludy, których wrzaski i nawoływania zlewały się w jeden niski, ale złowrogi pomruk. Wrogowie nasi uzbrojeni byli przeważnie w łuki, choć niektórzy dzierżyli też w łapach krótkie i nieprzyjemnie wyglądające włócznie.

— Mości rycerzu! — zawołał Agion. — Zostawcie mi tych ośmiu z lewej. Wy sami z waszym zacnym giermkim rozprawcie się z czwórką po prawej. — I centaur runął na wroga.

Nie mogę powiedzieć, żeby ów podział pracy nie przypadł mi do serca. W pełni szczęśliwy jednak byłbym dopiero wtedy, gdyby sir Bayard sam zaopiekował się przypadającą na nas obu czwórką.

Wciąż na to liczyłem, gdy wtem wisząca nad satyrami chmura zaczęła się rozwiewać.

Nad satyrami siedział na swoim tronie Skorpion. Gdy jego służalcy podnieśli łuki i włócznie, wódz sięgnął pod czarną opończę i wyjął coś lśniącego i migotliwego. Był to jakiś wisior i z mojego miejsca mogłem jedynie dostrzec, że jest przezroczysty niczym kryształ. Skorpion trzymał go w lewej dłoni i kołysał nim delikatnie w powietrzu.

Mimo iż jego kozi lud szykował się do potyczki, przywódca w ogóle nie zwracał uwagi na mającą już rozgorzeć bitwę, spoglądał zaś na swe bawidełko. I dlaczegoż nie miałyby się zabawiać ową błyskotką? Jego satyry trzykrotnie przewyższały nas liczbą — a jeśli policzyć bojową wartość Pathwardenów, można spokojnie powiększyć ową przewagę do sześciokrotnej — i oczywiście było, iż...

— Nie patrz na wisior! — ostrzegł mnie Brithelm, który zostawiwszy Walecznego i juczną klacz ich własnej przemyślności, dołączył do naszej grupki.

— Pilnuj koni, bogdaj cię zabito! — wrzasnął Bayard, a ja nagle zapomniałem o ostrzeżeniu, wisiorze i Skorpionie, lunęła bowiem na nas ulewa strzał i włócznie.

Nadal leżałem pod stopą Bayarda, gdy rosły satyr napiął łuk i posłał we mnie strzałę.

Widziałem jej świszczące w locie żółte pióra, ale jedyną rzeczą, którą mogłem zrobić, była rozpaczliwa próba porwania się na nogi. Zanim jednak strzała zdążyła we mnie ugodzić — a stałoby się tak z pewnością i oczywistość nieuniknionej śmierci objawiała mi się coraz wyraźniej z każdym mijającym ułamkiem sekundy — tuż przede mną mignęła wielka, okryta zbroją łapa Bayarda i strąciła strzałę na ziemię.

Usłyszałem z tyłu stęknięcie Agiona i obejrzawszy się błyskawicznie, zobaczyłem, że w jego muskularnym ramieniu tkwi grot włócznie. I nagle poczułem strach o Agiona, którego rozmiary przed chwilą jeszcze wydawały mi się jedną z nie wielu jego bojowych zalet. Teraz był tylko największym i najgłupszym z celów.

Największym z celów był bez wątpienia, ale palma pierwszeństwa w głupocie należała się chyba

komu innemu. Ta myśl przemknęła mi przez łeb w momencie, gdy zza moich pleców wypadł nagle Brithelm, który ruszył spokojnym truchtem ku tronowi i otaczającym go satyrom. Wokół niego jedna za drugą śmigaly strzały, z których pierwsza rozdarła jego opończę... aby nieszkodliwie wbić się w ziemię. Bayard puścił mnie i skoczył za moim bratem — było już jednak za późno, wysiłek ów zresztą z góry skazany był na niepowodzenie, ponieważ bieg w ciężkiej zbroi nie należał nigdy do ulubionych zajęć żadnego rycerza.

— Zawsze któryś z Pathwardenów! — syknął zajadle Bayard i opadł na kolana, obserwując wraz ze mną i Agionem beztruską szarżę Brithelma na tron Skorpiona. I oto szereg satyrów rozstąpił się przed moim braciszkiem, jakby owe

paskudnie wyglądające stwory były trzciami na bagnach, które mój brat niecierpliwie odsuwał z drogi, szukając szlaku. Kilka bestii nie tylko odstąpiło w bok — zniknęły całkowicie, gdy zbliżył się do nich Brithelm. Tam, gdzie przed sekundą kłębiły się wywijające groźnie orężem satyry, teraz stały sobie pasące się spokojnie kozy, które nawet nie zwracały na nas uwagi.

I to wystarczyło Bayardowi. Niespodziewanie ruszył do przodu, krocząc lekko i wdzięcznie niczym tancerz. Obejrzał się na mnie — leżałem jeszcze w błocie, gdzie zamierałem wygrzebać sobie bezpieczną jamkę — i odezwał się spokojnym i pewnym głosem:

— Galenie, wstawaj natychmiast i ruszaj za swoim bratem. Armia, z którą walczymy, jest wyłącznie iluzją. Na tej kępie nie ma żadnej prawdziwie niebezpiecznej istoty. Rozumiesz? Nic ci nie grozi!

Byłem niemal przekonany o istnieniu dowodów na to, że się myli. Spoglądał jednak na mnie tak uporczywie i surowo, aż poczułem, iż znacznie bardziej boję się mego rycerza niż satyrów.

Co więcej, satyrom — nieważne, prawdziwym czy nie — zdrowo się od moich kompanów dostawało. Agion złapał dwóch za włochate karki i trzasnął głowami o siebie, jakby zamierzał zagrać na rogaty i kudłatych bębenkach. Rozległ się głuchy trask i satyry runęły na ziemię, a roześmiany centaur skoczył ku dwóm następnym, którzy dzielili go od tronu Skorpiona.

Bayard tymczasem z mieczem w dłoni metodycznie przedzierał się przez tłum satyrów ku tronowi, na którym siedział Skorpion. Satyry okrążały rycerza, wydając dzikie wrzaski, niczym stado kruków kotłujących się nad konającym, ale żaden z nich nie ośmielił się doń zbliżyć. Jeden tylko zdobył się na pchnięcie długim i złowrogo wyglądającym kordem, Bayard jednak spokojnie sparował pchnięcie, wytrącił satyrowi broń z łapy, po czym posłał śmiałka w krzaki kopniakiem i niewzruszenie szedł dalej.

W rzeczy samej wystarczyło popatrzeć na rycerza, aby zrozumieć, dlaczego wyjąca i wściekła tłuszcza trzymała się odeń z daleka. Wyglądał jak bohater z dawnych legend.

Wstałem więc i skoczyłem ku mojemu bratu, który stał u podstawy platformy. Brithelma bowiem zaczęły otaczać satyry.

Spojrzałem na Agiona, zajętego — jak się okazało — potrząsaniem następną dwójką napastników, i na Bayarda — tego jednak od Brithelma dzieliło jeszcze kilka kroków. Żaden z nich nie zdołałby dotrzeć do mojego braciszka w porę. Otworzyłem usta do ostrzegawczego wrzasku — choć nie miałem pojęcia, co należy zrobić. Wiedziałem jednak z całą pewnością, że coś zrobić trzeba. I znieruchomiałem z otwartą gębą.

Gdy wokół mego braciszka zamknął się krąg satyrów, Brithelm podniósł oba ramiona i wznosił się w powietrze jakby na skrzydłach wietrzyku... tyle tylko, że żaden powiew nie poruszał łądygami trzciny. Nad kłębiącymi się satyrami zobaczyłem najpierw głowę, potem ramiona, pas i w końcu chude, wystające spod opończy kostki... poniżej których śmigaly nieszkodliwie klingi jataganów.

Dłonie Brithelma lśniły srebrzystą poświatą, która w tajemniczy sposób oczyszczała zielonkawy

blask błędnych ogników, aż wreszcie cała kępa rozjaśniła się jakby ciepłym blaskiem cudownej świecy.

Powodowany nagle rozbudzoną i rosnącą otuchą oraz wiarą w zwycięstwo ruszyłem biegiem, przedzierając się przez gęstwą wrogów i wołając Brithelma. Mój głos górował nad wyciem satyrów, które zresztą zaczynało coraz bardziej przypominać beczenie kóz. Satyry zwróciły się ku mnie, nie podjęły jednak żadnych wrogich działań i przedarłem się przez nie bez żadnej szkody.

Skoczyłem ku jednemu z pali, które podtrzymywały platformę, i wspiałem się po nim jak wiewiórka. Wkrótce, zdyszany i spocony, wrzeszcząc tryumfalnie, stanąłem na rozklekotanych deskach. Skorpion zaś wstał ze swego tronu.

Mroczny kaptur nadal krył jego twarz, ale w pochyleniu ramion i lekkim ugięciu kolan maga było coś, co zwiastowało naszą porażkę. Wyglądał jak ktoś, kto ogląda kiepski obraz i nie kryje rozczarowania. Gdy jednak na wysokość platformy wzniosł się Brithelm, Skorpion wyprostował się na całą swą wcale niemałą wysokość, odrzucił w tył kaptur i spojrzał nam w twarze. Jego oczy zapłonęły wirami czerwieni, potem żółci, bieli i błękitu, jaskrawymi niczym blask tysiąca słońc. Pogrążony w topieli światła, zwrócił ku nam lśniący kryształ.

Wisior również zapłonął zielenią, żółcią i błękitem. W następnej chwili Brithelm stracił równowagę, zachwiał się i niemal runął w dół. W ostatniej chwili zdołał chwycić się platformy. Ja również zakolebałem się niepewnie i cofnąłem ku krawędzi. W tejże wszak chwili odwróciły się losy utarczki. Obaj zostaliśmy pokonani.

Bayard nie zamierzał się poddawać. Można to było poznać, patrząc na jego postawę, dumnie uniesione ramiona i zuchwały krok, którym dotarł do podstawy platformy. Tam, nie bacząc na ciężar zbroi, chwycił w dłonie jedną z podpór i niewiarygodnie płynnym ruchem wciągnął się na górę. Skorpion odwrócił się ku niemu, ale pomiędzy rycerzem a złowieszczym magiem stał już tylko jeden choć prawda, że rosły — satyr.

Wymierzył on Bayardowi potężne pchnięcie włócznią, ta jednak przeszła przez rycerza, który jakby w ogóle nie zauważył tego ciosu. Krocząc ku wrogowi, Bayard przedarł się przez drżące i przezrocyste ciało wroga, tak jakby satyr składał się z dymu lub pary. Stwór zniknął, a na jego miejscu pokazał się zwykły kozioł, oszołomiony i nieco przestraszony.

Teraz Bayard dotarł wreszcie do cofającego się Skorpiona. Rycerz oburącz uniósł miecz w górę, niczym kat czy cieśla — i z rozmachem opuścił go na łeb przeciwnika. Ostrze przecięło kaptur, opończę, szaty i utkwilo w deskach platformy. Mag zniknął.

Okazało się bowiem, że na platformie jest nas tylko dwóch, nie licząc oczywiście mocno ogłupiałego kozła. Bayard i ja staliśmy nad przeciętą opończę, która leżała bezładnie na deskach, częściowo przykrywając parę lśniących butów. Staliśmy przed rozpadającą się chatką, zapamiętaną przeze mnie z poprzedniej nocy, i patrzyliśmy z góry na bagna, które zaczynały zabarwiać się czerwienią i żółcią — nie pochodzącymi z ognisk, ale od pierwszych blasków przedświt. Na platformę zaś nie bez trudu Wdrapał się Brithelm.

W dole Agion stał bez ruchu z otwartą gębą, otoczony stadkiem kóz. Jego rana zasklepiła się, gdy padły na nią pierwsze promienie słońca. Na ten widok i mnie opadła szczęka.

— I to już koniec? — spytał centaur, patrząc ku nam i łagodnie odpędzając łaciate kozłę, które trącało go pyskiem w nogę.

Spojrzałem na Brithelma, który pocierał czoło i patrzył na chatkę ze zdumieniem i nie bez pewnego ukrytego zamysłu. Milczał, pograżywszy się w myślach dostępnych jedynie mężom świętym i obdarzonym łaską bogów. Ponownie spojrzałem na Bayarda, stojącego okrakiem nad kupką porzuconej odzieży. — Jak myślicie, panie? Czy to już koniec?

— Nie, Galenie — odparł rycerz, wsuwając miecz do pochwy i rzucając zagadkowe spojrzenie na bagna. — Niewiele pojąłem z tego, co tu się wydarzyło, ale mogę rzec ci jedno: to na pewno nie koniec.

— Część druga

Ród di Caela

Trzy na ośmiu, światła na falach powodzi, Znak Centaura o minionej porze roku. Pokolenia światłości pochłonięte przez powódź, Odwieczne wody śpiewają z uwielbieniem. I oto na brzegach rzeki Światła drżą zanikają... i znowu drżą. Calantina III: VIII

Rozdział dziewiąty

NIEWAŻNE, BRACISZKU, CO POWIESZ... to właśnie jest miejsce, którego od dawna szukałem. O takim marzyłem, nieustannie i w pokorze, niechże będzie mi to wybaczone. Prosiłem bogów, aby wskazali mi miejsce, w którym będę mógł spędzać czas na medytacjach i pobożnych rozmyśleniach, żyjąc w zgodzie i harmonii z łagodnymi stworzeniami zamieszkującymi te bagna.

Brithelm powtarzał to bez przerwy. Mój świątobliwy brat znalazł po walce pośród bagien cel swego życia, na tej samej kępie, na której siedzieliśmy rano i usiłowaliśmy rozstrzygnąć nierozstrzygalne.

Bayard również miał dość nieustannych zachwyków Brithelma nad łagodnością stworzeń bagiennych. Pamiętał zajadłość, z jaką owe „łagodne stworzenia” (by nie owijać rzeczy w bawełnę, wyjaśnię, iż mowa o satyrach) napadły na nas, gdy przybyliśmy w te okolice. — Brithelmie, moje marzenia każą mi iść gdzie indziej — powiedział. — I gdyby nie zobowiązania wobec tego tu naszego przyjaciela centaura — Bayard skinął głową, pozdrawiając Agiona — już byłbym w drodze do zamku di Caela, gdzie zamierzam stanąć do turnieju o rękę lady Enid.

Trwało to już od kilku godzin: Agion i Bayard nieustannie spierali się, gdzie — oględnie mówiąc — powinni ulokować swą lojalność. Bayard

utrzymywał, że moczary wolne są już od satyrów i zła, które kierowało je przeciwko centaurom. Twierdził też, że ponieważ wróg zniknął, nie mamy tu niczego do roboty, a skoro ponad wszelką wątpliwość oczyściliśmy się z podejrzeń, centaury powinny puścić nas wolno.

Agion zaś byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby mógł zanieść pobratymcom kilka satyrzych łbów zatkniętych na ostrze włóczni. Utrzymywał też, że tego rodzaju ponure trofeum byłoby lepsze niż ustna rękojmia pokoju czy najsoleńniejsze obietnice. Niestety, satyry zniknęły w tajemniczy sposób, nie mogły więc dostarczyć żadnych trofeów i oczywiście nie dało się zawrzeć z nimi pokoju.

Potrafiłem zrozumieć jego punkt widzenia, zresztą zdążyłem już polubić rosnącego i głupawego osiłka. Jak długo jednak upierał się będzie przy uzyskaniu dowodów, tak długo będziemy tkwili w tych bagnach — nie znajdziemy bowiem żadnych głów satyrów po prostu dlatego, że te zniknęły... należałoby zresztą poważnie wątpić, czy w ogóle były tu jakieś satyry.

Ale Bayard bynajmniej nie zamierzał zrezygnować z udziału w turnieju na zamku di Caela. Nadal liczył, iż zdąży na czas i uda mu się stanąć w szeregu starających się o rękę Enid, której uśmiechu i przychylnego spojrzenia nigdy nie widział, mniemał jednak, że są dostateczną pokusą, aby porozbijać dla nich łby wszystkim kawalerom i wdowcom Ansalonu. Utrzymywał, że do turnieju pozostało jeszcze jedenaście dni i jeśli ruszylibyśmy natychmiast, dotarlibyśmy) do zamku di Caela ze sporym zapasem czasu i nie musielibyśmy forsować ani siebie, ani Walecznego. Oczywiście, jeśli ruszylibyśmy niezwłocznie.

Wydało mi się to dość rozsądne i słuchałem tych wywodów chętnym uchem. Moczary były niemiłym miejscem, nie zapomniałem też o moim ukochanym najstarszym braciszku, który tkwił gdzieś niedaleko, obciążony ojcowską zbroją. Gdyby żywy czy martwy wy dostał się z objęć

zapadliśka, w którym go zostawiłem, sprawiły mi mnóstwo kłopotów.

— Agionie — przytaczał kolejne argumenty Bayard — stawaliśmy razem w potrzebie i walczyliśmy ramię przy ramieniu. Jeśli odtworzylibyśmy w pamięci wydarzenia ubiegłej nocy, pewien jestem, że każdy z nas znalazłby zdarzenie, na podstawie którego mógłby utrzymać, iż uratował drugiemu życie. Weź pod uwagę tę więź zaufania, jaka powstała między nami, i powiedz, czy nadal upierasz się przy pozostaniu tutaj? — Nie inaczej. Uznałem, że powinienem się wtrącić. Dyskusja utknęła w martwym punkcie.

— Agionie, racz posłuchać — rzekłem, opierając się o ścianę chatki. Ale natychmiast przypomniałem sobie, z czego i kto ją zbudował, dlatego cofnąłem się, nie mając zaufania do budulca i budowniczych. — Co właściwie powstrzymuje cię przed zgodą na nasze odejście, gdy naszą niewinność udowodniliśmy czynami? Nadal uważasz, że jesteśmy tymi, którzy buntowali satyry?

— Ależ panie Bayardzie, paniczu Galenie, kiep tylko przeczyłby waszej szlachetności i prawości! — zawołał Agion. — Będę pierwszym, w rzeczy samej, który da im świadectwo. Ale godzi się rzec... tak, nie da się temu zaprzeczyć, że Archala i pozostali są starszymi mojego plemienia i im przede wszystkim winien jestem posłuszeństwo. — A co im przyrzekałeś?

Rosły centaur zmarszczył brwi i podrapał się w głowę gestem, który w irytujący sposób przywiódł mi na myśl Alfrica.

— Niechaj wspomnę, paniczu Galenie... O, już wiem. Powiedzieli dokładnie te oto słowa: „Pod żadnym pozorem nie spuszczaaj z oczu rycerza ani jego giermka, dopóki nie wrócą przed oblicze starszyny”. Lepiej być nie mogło.

— Obiecałeś więc po prostu, że nie pozwolisz, abyśmy oddalili się od ciebie? — zawołałem do centaura, który odszedł od platformy i zrywał liście z pobliskiego vallenu. — Nie inaczej, Galenie — odparł, pakując sobie garść świeżych liści w gębę. — To chodź z nami. Agion niemal się udławił. — Z wami? — Z nami? — zabrzączał Bayard na brzegu platformy. — Dlaczegoż by nie? Dotrzymasz przyrzeczenia co do joty. — O-owszem... — odparł Agion niepewnym głosem.

— Widzisz... — ciągnąłem — jeśli pójdziesz z nami, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie dotrzymałeś obietnicy. Może nadejść czas... nie, źle mówię... nadejdzie czas, kiedy nasza niewinność zajaśnieje pełnym blaskiem i uwierzą w nią nawet najbardziej nieufni sędziowie. Przedtem jednak musimy rozwiązać własne problemy. Jednym z nich jest nasza obecność — kiwnąłem głową w stronę Bayarda — na pewnym turnieju za jedenaście dni.

To dopiero był widok! Agion złożył na piersi potężne ramiona i myśląc intensywnie, stuknął prawym kopytem w podmokły grunt. Natrafił na dylemat, którego powagi mogłem się jedynie domyślać i serdecznie mu współczułem.

W końcu poddał się sile moich argumentów. Kiwnął głową i jego tępą gębę rozjaśnił głupawy uśmiech. Wierzgął nagle, płosząc kilka pasących się nie opodal kóz.

— Toż to jasne, paniczu Galenie! Jeśli nie stawię się przed obliczem starszyny bez was, nikt nie rzeknie, że złamałem obietnicę! Najlepiej więc będzie, jeśli pójdę z wami.

Zamek di Caela był nadal daleko przed nami. Mieliśmy podróżować na południe i nieco ku wschodowi, zamierzają przedostać się przez góry Vingaard znaną Bayardowi przełęczą, potem pociągniemy ku południowym rubieżom Równin Solamnijskich. Następnie planowaliśmy przepłynąć się przez południową odnogę rzeki Vingaard i zatrzymać na dłuższy popas gdzieś pomiędzy brodem i twierdzą Solanthas. Gdybyśmy podróżowali prosto jak strzełił, potrwałoby to około tygodnia.

Niestety, żaden z nas nie był ptakiem, który rzeczywiście] może lecieć prosto, dlatego niełatwo

będzie nadrobić czas stracony wśród centaurów i satyrów Skorpiona. Bayard ocenił, że podróż zajmie nam około dziesięciu dni — przy dobrej pogodzie i jeśli nic nas nie zatrzyma.

Dosiadając Walecznego, odziany w opończę i zabłoconą tunikę, wywiódł nas Bayard w końcu z bagien. Jadąc coraz wyżej, trafiliśmy na bardziej suchy i otwarty teren. Dotarliśmy do miejsca, które wziąłem za niewysoki pagórek, a które okazało się początkiem rozległej falistej równiny. Kraina ta otwierała się na wschód i wzrok nie znajdował na niej żadnych punktów oparcia oprócz rozrzuconych tu i ówdzie pasm lasu oraz wijącego się wśród nich szlaku. Droga była pokryta błockiem, które powstało podczas wczorajszej ulewy.

Krajobraz był piękny... ale dominującym uczuciem, jakie budził w wędrowcach, okazała się nuda.

Spojrząwszy za siebie, doszedłem wszak do wniosku, iż jednak wolę to, co leżało przed nami, niż zawiłe tajemnice, jakie zostawialiśmy za sobą. Nigdy przedtem nie spoglądałem na otwierające się przede mną rozległe przestrzenie — i nigdy nie przebywałem tak daleko od domu. Obejrząwszy się jeszcze raz, spostrzegłem, że moczary również zmieniają swe oblicze — ale nie był to ów chorobliwie szybki wzrost, który tak nas irytował i zdumiewał, gdyśmy tkwili pośrodku bagien. Teraz bagno szarzało i brązowało po brzegach. Wiedziałem, że wiąże się to ze zniknięciem Skorpiona, ale też czułem się tak, jakby nasz odjazd przyniósł tej krainie jesień. Zostawialiśmy zresztą za sobą nie tylko same bagna. Przypomniałem

sobie, że gdyśmy odjeżdżali, opuszczając ową kępę, Brithelm stał na platformie i machał nam dłonią na pożegnanie. Postanowił bowiem, że zostanie wśród kóz jako pustelnik i poświęci się rozmyślaniom o wielkości bogów.

Życzyłem mu wszystkiego, co najlepsze, choć żegnając się z nim, poczułem ogromną ulgę. Był naiwny (czym potrafił doprowadzić człowieka do rozpacz), ale prawdopodobnie miał najlepsze serce z całej niezbyt udanej paczki potomków rodu Pathwardenów. Sęk w tym, że świat nie podoła zbyt wielu przepojonym chęcią jego naprawy dobroczyńcom. Obaj moi bracia byli przypadkami granicznymi... i lepiej byłoby, gdyby nie opuszczali granic bagna.

Przypominałem sobie pożegnanie, podczas którego mój doświadczający wizji brat stał niebezpiecznie blisko krawędzi otoczonej przez kozy platformy i obserwował, jak odjeżdżamy.

— Braciszku, nie patrz na sprawy i rzeczy wprost, ponieważ prawdę lepiej widać z ukosa! — Tak brzmiała jego ostatnia rada.

— Co to znaczy, święty mężu? — odpowiedział pytaniem Agion, ale Brithelm już się od nas odwrócił i zniknął we wnętrzu rozklekotanej chatki.

Gdy po raz ostatni patrzyłem na mego brata, ujrzałem — zanim przekroczył próg — iż wyciąga z kieszeni coś lśniącego srebrzyście i przytyka to do ust. Psi gwizdek Humy. Wokół chatki zaś zaczęły się gromadzić wylażące z zarośli kozy.

Lekko wzruszony i zarazem zasmucony odwróciłem się na grzbiecie Agiona i spojrzałem na wschód — w stronę, gdzie leżał cel podróży i moja przyszłość.

— Tak już lepiej, Galenie — odezwał się Bayard, a ja nie miałem pojęcia, w jaki sposób zdołał podsłuchać moje myśli. — Lepiej spoglądać przed siebie niż wstecz, za tobą bowiem leżą ruchome piaski i bagna, w których mogą utonąć twe najlepsze chęci.

A cóż to znowu? Czyżby wiedział coś o Alfricu? Milczałem, modląc się w duchu, żeby honor, który rycerz tak sobie cenił, powstrzymał go od domysłu — czy nawet przekonania — że utopiłem znieawidzonego brata.

Ale nie, okazało się, że ów filozoficzny wypadek był wstępem do długiej i zawiłej historii, pełnej gwałtu i okrucieństwa, z jakim jedni ludzie traktowali drugich, a także goryczy pokrzywdzonych.

Niekiedy stawiała się nawet interesująca, niekiedy zaś słuchając jej, żałowałem, że nie mam talentu Agiona, który potrafił absolutnie nie zwracać uwagi na to, co się doń mówi. A oto owa historia.

— Trzeci rozdział Księgi Vinasa Solamnusa, wielkiego wolumenu, który w całości można znaleźć jedynie w Wielkiej Bibliotece Palanthas, zawiera dzieje rodu di Caela — opowieść o ich owianym mrokiem tajemnicy przybyciu z północy przez Wrota Paladina i o tym, jak założyciel rodu, stary Gerald di Caela, przyłączył się do Vinasa Solamnusa, tym samym dodając swe miano do najstarszego i najgodniejszego spisu rodów rycerskich.

Brightblade'owie również znajdowali się wśród owych rodów i szczylicili się tak samo starożytnym (prawie) pochodzeniem. Wiedziałem, że Pathwardenowie w porównaniu z tamtymi okazywali się niemal parweniuszami. Bayard był zbyt uprzejmy, aby o tym wspominać, ale mnie i moim braciom dość wcześnie wbito do głów, że nie należymy do owych kilkunastu Starych Rodów i dlatego nie powinniśmy żywić próżnych złudzeń, iż kiedykolwiek osiągniemy zastrzeżone wyłącznie dla nich pozycje czy tytuły.

— Ród rozkwitał przez ponad tysiąc lat... jego członkowie żyli w dostatku i cieszyli się szacunkiem, aż do czasów, kiedy to jakieś czterysta lat temu dziedzicem tytułu i włości oraz — jeśli wolicie — głową rodu został Gabriel di Caela. Zdaje się, że miał trzech synów. Najstarszym, jeśli nie zawodzi mnie pamięć, był Duncan, najmłodszego zaś również zwano Gabriel. Bohaterem jednak mrocznej i ponurej opowieści został Benedykt di Caela, średni syn, którego pozbawiono należnych mu z urodzenia praw. Wytrwale maszerujący Agion pochylił się i zatarł swe wielkie dłonie.

— W starych opowieściach — rzekł z uśmiechem — średniemu z synów najczęściej przypada szczególnie los. On to dziedziczy tytuł i dostaje lwią część ojcowizny.

— Agionie — wtrąciłem się — tym razem słuchamy historii, w której średni syn najpewniej nie doczekał końca i został okpiony... no, chyba że z historii sir Bayarda Duncan wypadł przed czasem. Co więcej, w starych opowieściach to najmłodszemu synowi zazwyczaj najbardziej dopisuje szczęście... choć w dzisiejszych paskudnych czasach zbiera najgorsze cięgi.

Bayard usadowił się wygodniej w siodle i kapturem opończy osłonił twarz przed podmuchami zimnego wiatru.

— Obaj się mylicie — oznajmił obojętnie. — Może powinniście skupić uwagę na mej opowieści, zamiast wymyślać pozbawione sensu teorie o sprawiedliwości. Historia owego Benedykta — kontynuował, przekładając

— machinalnie wodze z lewej do prawej dłoni — zaczyna się od zawiści i — o ile mi wiadomo — tak samo się kończy. W domu starego Benedykta — czyli zamku di Caela, który nazwano tak dla oczywistych powodów — trzymał się on z dala od braci i żył na uboczu.

Otóż młodszy Benedykt zaczął snuć nieczne plany — jak podaje Księga Vinasa Solamnusa, „w myślach mieszał trucizny i marzył o nagłych wypadkach”. Wypadki jednak można dokładnie zbadać, w owych zaś czasach kapłani Mishakał potrafili powstrzymać, a nawet cofnąć działanie każdej trucizny. Nawet jeśli przybywali za późno i nieszczęsna ofiara leżała martwa, nawet jeśli nie zdołali przywrócić jej zdrowia, umieli odnaleźć ślady trucizny we krwi, określić składniki jadu, odkryć, kiedy został podany i kto go przygotował. Kiedy to zawodziło, mogli sprawić, że martwy przemawiał i objawiał zabójcę. Tak więc młody Benedykt przez wiele lat mieszał trucizny jedynie w marzeniach, był bowiem zbyt ostrożny, aby zabić otwarcie. Czekał zatem okazji i snuł podstępne plany.

— Najgorszą zaś z trucizn jest oczywiście zawiść — stwierdził niespodziewanie Bayard i spojrzał mi prosto w oczy, jakby domagając się jakiejś odpowiedzi.

— Cóż wam mogę odpowiedzieć, panie... osobiście uważam, że najgorszą jest cykuta, byłem

bowiem świadkiem, jak zawistnicy żyją spokojnie przez wiele lat. Nie jestem jednak aptekarzem i nie znam się na chemii. — Ani na metaforach — odparł Bayard i wrócił do swej opowieści.

— W pewnym więc sensie — metaforycznym sensie — Benedykt truł sam siebie, gdy krążył po zamku i oddawał się posępnym rozmyśleniom. A kiedy ktoś jest tak zatruty i w myślach, i w uczynkach, każde jego odkrycie kryje w sobie jad. Nawet jego dotyk jest trujący.

— Jak dotyk Skorpiona? — spytałem i natychmiast ugryzłem się w język. W tej bowiem chwili zdradziłem imię mego dręczyciela, objawiłem, że wiem coś o człowieku w czerni, który nawiedzał zamek i bagna — i to znacznie więcej, niż jakikolwiek uczciwy giermek wiedzieć powinien. Pochyliłem głowę, zamknąłem oczy i czekałem na nieuchronne pytania. Usłyszałem jednak tylko uwagę Agiona. — Lub dotyk zmił. Gdy podniosłem głowę, ujrzałem, iż Bayard kiwa głową.

— Albo jak dotyk jadowitych stworów z legend, Agio-nie. Owszem, można by rzec, że Benedykt był w pewnym sensie jednym z owych stworów. Trucizna zżerała go bowiem, aż w końcu nawet rzeczy i przedmioty, które znajdował, a które mogłyby przynieść pożytek

— wszystkim dookoła, które w rzeczy samej mogłyby nawet skłonić jego braci do przekazania mu dziedzictwa, przekształcił w narzędzia złe i przewrotne. Jak ów wisior. Wisior? Czyżby mówił o...

— Znalazł go — objaśniał Bayard — w lochach zamku di Caela, które przemierzał, szukając miejsca, gdzie mógłby ćwiczyć swe szalone iluzje... w czym był coraz biegłyjszy. Zatrzymał wisior przy sobie i przez pewien czas w ogóle o nim nie myślał. Przyjrzał mu się dopiero wtedy, gdy wrócił na górę. Wydobył wisior z pazuchy i spojrzał nań przy świetle dziennym. Zobaczył przejrzysty kryształ zawieszony na złotym łańcuszku.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Przejrzysty kryształ. Słowa Bayarda poraziły mnie niczym grom... niczym blask tysiąca gwiazd w mroku. Przypomniałem sobie bagna, kępę, kozy i krąg ognisk...

— Gdy wisior ten kołysał się przed jego oczyma, Benedykt snuł swe zatrute myśli... marzył o nieszczęśliwych wypadkach i nagłych zgonach. Gdy spoglądał przez kryształ, pajak tkający sieć w rogu jego komnaty rozrósł się do nadnaturalnych rozmiarów i kształtów. Jak kozy, które nagle i nienaturalnie przekształciły się w satyry.

— Pajak ów wypełzłby ze swej sieci i zatrulby go bez reszty swym jadem... gdyby Benedykt nie spojrział nań raz jeszcze i nie zobaczył go takim, jakim stwór był w istocie... zwykłym pajakiem, którego od wielu dni obserwował, jak w rogu komnaty trzusi się nad pajęczyną. Bayard przerwał na chwilę i spojrział na Agiona.

— Historia o pajaku wyjaśnia Klątwe di Caelów — a przynajmniej wskazuje źródło znanych nam opowieści.

Muszę wyznać, że zapomniałem języka w gębie. Z pewnością było inaczej. Ów stary piernik z Księgi Vinasa Solamnusa nie mógł mieć nic wspólnego z tym, czego świadkami byliśmy zaprzeszłej nocy na bagiennej kępie. W owych księgach nie było wzmianki o... Bayard tymczasem ponownie podjął swą opowieść.

— Benedykt dowiedział się więc przypadkowo, że ów wisior posiadał jakąś moc. Co jednak było źródłem owej mocy? Skąd pochodził ów wisior? Różnie się o tym pisze. Niektórzy historycy utrzymują, że wisior został zgubiony przez jakiegoś kendera — w owych czasach kenderzy byli równie wścibscy jak teraz — który wcześniej znalazł go w bogom tylko znanym miejscu. Niektórzy twierdzą, że ów wisior staraniem jakiejś złej i bardzo starej siły został złożony pod fundamentami zamku, gdzie leżał od wielu pokoleń, czekając na kogoś przepojonego jadem zawiści, który miał użyć go tak, jak to zostało zaplanowane. Oczywiście takich opowieści na

— Krynne jest wiele.

Czy jednak w istocie ma to jakiegokolwiek znaczenie? Rezultaty okazały się okropne i niezależne od tego, czy Benedykt działał z własnych pobudek, zrodzonych z zawiści i posępnych myśli, czy był tylko narzędziem większego zła, które zapragnęło wmieszać się w dzieje świata. Dowiedźcie się bowiem, że oto — gdy Benedykt bawił się i kołysał w powietrzu owym wisiolem — szczury w zamkowych lochach rozrosły się do niespotykanych rozmiarów i zarazem potwornych kształtów. Legendy głoszą, że wedle polecenia Benedykta odszukały komnatę Duncana, a gdy starszy Gabriel usłyszał krzyki swego pierworodnego, pobiegł z pomocą, wpadł do jego komnat i ujrzał scenę tak straszną, iż żadna z historii nawet nie próbuje opisać jej okropności. Wszyscy opowiadacze zgodni są co do tego, że ciało Duncana zostało nietknięte... tak dalece, iż zajmujący się później przygotowaniami do pochówku kapłani nie chcieli początkowo go pogrzebać. Obawiali się bowiem, że młodzieniec zasnął niezwykle głębokim snem lub pogrążył się w letargu.

Był jednak martwy, kapłani Mishakal nie znaleźli zaś w jego ciele żadnej trucizny. Jak u tych centaurów z opowieści Agiona.

— Mimo to młodszy Gabriel, można by rzec, wyczuł pismo nosem i zwęszył szczura... — Uśmiechnął się Bayard, podnosząc okrytą rękawicą dłoń. — W noc, kiedy Benedykt znalazł wisior, młodszy di Caela polował w Górach Granatowych. Noc owa zasłynęła później w całym Solanthas i okolicy jako Noc Szczurów.

Choć w komnatach Duncana kapłani nie znaleźli niczego, co wskazywałoby na zbrodnię, Gabriel

Młodszy wiedział, że zbrodnię popełniono, i powiadomił ojca, iż klerycy Mishakal mogą skłonić Duncana, aby przemówił zza grobu. W pierwszej chwili stary Gabriel się zachnął... jak zresztą byłby uczynił każdy chyba ojciec. Owe praktyki wydały mu się przeciwne naturze, gwałciły przyrodzony porządek rzeczy... nawet jeśli uprawiali je święci mężowie w najczystszych intencjach. Najmłodszy syn mimo to nalegał uparcie, pytając: „Czy bardziej naturalne jest wedle ciebie, panie’ ojcze, że brat powstaje przeciwko bratu i morduje go dla pozycji i majątku?” W końcu stary Gabriel zgodził się — choć niechętnie — i polecił, aby klerycy skłonili Duncana do przemowy zza grobu. Młodszy Gabriel tymczasem skrył się w górach. Kiedy wreszcie zebrali się kapłani, jego jedyny, pozostały przy życiu brat był w zamku di Caela i czekał na ceremonię zrównania dnia z nocą.

Nikt nie potrafił orzec, czy był winien morderstwa, czy bardziej przebiegłej a bezimiennej zbrodni. Nigdy zresztą się tego nie dowiemy.

Nie wiadomo bowiem, jak to się stało, ale w noc poprzedzającą ceremonię w grobowcu wybuchł gwałtowny pożar... który roznieciła czyjaś nieznana dłoń. W komnatach Benedykta znaleziono jedynie nadpalone po brzegach szaty, od których biła woń oliwy, popiołów i fosforu. Nie trzeba chyba dodawać, iż ciało uległo zwęgleniu i nie można go było rozpoznać. Stary Gabriel szalał z wściekłości, pewien, że spisek ów był dziełem średniego syna. Tak więc w noc równą długością dniowi, w kaplicy na zamku di Caela, w przytomności sześćdziesięciu rycerzy Solamnijskich i dwudziestu kapłanów Mishakal, odśpiewano pienia żałobne nad Duncanem di Caela. Pieśni rozbrzmiały także i dla Benedykta di Caela.

— Nie rozumiem... — przerwał Agion. — Czy Benedykt umarł również? — Centaur podrapał się w głowę.

— Też nocy ojciec Benedykta, mimo silnych sprzeciwów rycerstwa i kapłanów, ogłosił go martwym i przekazał prawa dziedziczne zamku i tytułu jedyńemu pozostałemu przy życiu... Gabrielowi Młodszemu. Wszystko to uczynił, nie mając nawet cienia dowodu przeciwko Benedyktowi. Godzi się jednak rzec, że Benedykt ze swej strony nie zachował się później jak człek niewinny. Zbiegł oto z zamku, aby na ziemiach położonych na północy zebrać armię — pod jego sztandary ściągnęli rzezimieszkowie, złodziejaszki, gobliny i łowcy nagród wysłani po łby goblinów przez Króla-Kapłana Istar. Pewne jest, że była to łotrowska zgraja, która natychmiast zabrała się do łupiestw, gwałtów i rozbojów... i posłuszna woli Benedykta stała się prawdziwym utrapieniem dla południowo-zachodnich prowincji Solamni.

— Czy ktoś poparł Benedykta, gdy ten zbierał ową armię? — spytał Agion, którego twarz zaczęła zacierać się w mroku nadciągającego wieczoru. — Mam na myśli rycerstwo i kapłanów?

— Kapłani w większości — zważcie, że nie wszyscy — potrafili przejrzeć iluzje szcurek i pajaków, którymi usiłował zastraszyć ich Benedykt, co więcej, potrafili odkryć, że to właśnie Benedykt był autorem owych urojeń. Wielu jednak rycerzy, ujrawszy legiony zebrane przez uzurpatora, dostrzegło w nich źródło władzy dla siebie samych... gorzej jeszcze, bo wielu ułękło się tego, czemu nie potrafili stawić czoła. Wstyd mi rzec, ale w szeregach owej bandy znaleźli się moi ziomkowie i współbracia. Na czele kolumn stanęli rycerze solamnijscy, którzy wzgardzili najświętszymi przysięgami.

—
Bayard przerwał opowieść, stanął w strzemionach, rozejrzał się dookoła, po czym złożył wodze na karku Walecznego. Zaczęliśmy podjeżdżać w górę, ku okolicom, gdzie do niedawna gęsta trawa stawała się rzadsza i mizerniejsza.

— Rodzina, w którą zamierzacie się wżenić, pochodzi więc... — zaczął Agion, przerywając milczenie.

— ...w prostej linii od Gabriela Młodszeo, rzecz oczywista. Wyzuł on z ziem i tytułu zdradzieckiego brata. Zniszczył uzurpatora, choć nie do końca. Benedykt ruszył ze swoimi ku północy... przez przełęcz Throtyl zamierzał przedostać się do leżącego za nią Estwilde — tej samej krainy, z której pochodzą twe głupie wróżbne kostki, mości giermku.

Kiwnąłem zdawkowo głową tylko dlatego, że nie chciałem wszczynać starego sporu. Wolałem wysłuchać zakończenia historii Bayarda.

— Wtedy to dopadli go obaj Gabrielowie — młodszy na czele trzydziestu rycerzy i dwu setek pieszych knechtów oraz jego ojciec, wiodący oddział niemal dwukrotnie liczniejszy. Gdy obaj połączyli swe siły, los Benedykta został przypieczętowany, ponieważ musiał ulec przewadze liczebnej w nie znanym sobie terenie. Bronił się zajadle, tworząc iluzję za iluzją, przeciwnicy zaś ponosili ciężkie straty... na przykład trzydziestu knechtów runęło w przepaść, przekraczając most, który nagle rozwiął się w nicość pod ich stopami. Następných trzydziestu zginęło podczas snu, gdy zaatakowały ich skorpiony.

Siedziałem pewnie na grzbiecie Agiona, gdy jednak usłyszałem te słowa, zachnąłem się tak, że centaur musiał sięgnąć dłonią i podtrzymać mnie, abym nie spadł.

— Paniczu, czy coś was trapi? — spytał centaur z troską malującą się na jego szerokiej, głupawej gębie.

— To... to wpływ wysokości. Nigdy przedtem nie byłem na takich wyżynach. Ale przeszkadzamy sir Bayardowi. Mówcie dalej, panie.

Rycerz spojrział na mnie i zmarszczył brwi, podjął jednak swą opowieść.

— Wszystkie te iluzje nie zdały się na nic, gdy zawrzała bitwa — Gabriel di Caela Młodszy przedarł się przez linię rycerzy-renegatów, goblinów, łowców, rzezimieszków i najemników, aż wreszcie stanął twarzą w twarz ze swoim bratem. W tym momencie obaj posiadli pewność, że wynik ich spotkania rozstrzygnie o kilkusetletniej przyszłości. Niestety, jak to zwykle bywa w bitewnej zawierusze, obaj nie mieli wyboru. Gabriel Młodszy uniósł miecz i ciał brata z wprawą i szybkością, którą zawdzięczał rycerskiemu ćwiczeniu. Obecni przy tym mówili później, że

— świat zamarł na mgnienie oka, a głowa Benedykta frunęła w powietrze, potoczyła się po ziemi, po czym zamknęły się powieki martwych oczu. Któż to może wiedzieć, jakie myśli roily się w czerepie, gdy spadał z ramion, lecąc ku ziemi i niebytowi?

— Domyślam się, że ów Benedykt jeszcze nieraz dał się ludziom we znaki? — odezwałem się wreszcie, gdy zaczęło nam ciążyć milczenie Bayarda.

— Wydaje się teraz — rzekł rycerz tonem pełnym namysłu — że ów ciąg nieszczęść rozpętało ogłoszenie go trupem za życia. Gdy Gabriel Młodszy pokonał brata, wszystko wskazywało na to, iż owa historia dobiegła końca i di Caelowie mogą odtąd żyć spokojnie i godnie, korzystając ze swych bogactw i pozycji społecznej. Gabriel Młodszy dożył pięknego wieku... aż klątwa po raz pierwszy nawiedziła ród i jego siedzibę... w postaci plagi szczurów i zarazy, roznoszonej przez te gryzonie. Ofiarą klątwy padli dwaj synowie Gabriela — najstarszy zginął od zarazy, średni zaś syn oszalał.

Przeżył jedynie najmłodszy, który — aby uporać się z klątwą — musiał zastosować nadzwyczajne środki. Młody Rowland szybko zarządził opuszczenie zamku i sam wyniósł Młodszeo Gabriela na barkach przez zwodzony most. Starzec szarpał się, przeklinał i głośno protestował. Młodzieniec osobiście podpalił zamek, świadkowie opowiadali, że gdy płomienie lizały parapety, krenelaże i najwyższe piętra wież, słyszano przeraźliwe piski szczurów... i jeden szczególnie przeraźliwy wrzask, który szybko przepadł wśród trzasku pękających belek i huku ognia. Z siedziby rodu pozostały wypalone kamienne mury, ale później Rowland di Caela odbudował zamek, w którym władał mądrze i szczęśliwie przez następne trzydzieści lat... aż klątwa uderzyła po raz drugi.

W tym miejscu historia się gmatwa, wiadomo jedynie, że przekleństwo nawiedza di Caelów od niemal dwudziestu pokoleń i za każdym razem przybiera inną formę. Simon di Caela uniknął powodzi, otwierając przepusty w fosie, Antonio di Caela stłumił pożar na równinach, spuszczać wody ze stawów. Cyprian di Caela odparł najazd ogrów, a Theodor di Caela rozbił potężną bandę, na czele której stał tajemniczy, odziany w czerń przywódca. Nawet Kataklyzm miał swój udział w odpieraniu skutków spisku Benedykta, ponieważ z końcem czwartego pokolenia, które władało zamkiem po opisanych przeze mnie wydarzeniach, klątwa ziściła się w postaci armii goblinów. Ryjąc głęboko pod ziemią, dotarły na odległość stu kroków od murów. Mieszkańcy zamku wpadli niemal w panikę, jako że wroga nie można było zobaczyć,

skrył się bowiem głęboko pod powierzchnią gruntu. Gdy nadszedł Kataklyzm, ziemia wokół zamku zatrzęsła się okropnie, grzebiąc w swoim wnętrzu tunele, ich budowniczych i samego Benedykta.

Benedykt wciąż wracał z każdym pokoleniem, nieubłagany, niezmordowany i żądny zemsty. Za każdym też razem był odpierany przez najstarszego syna... choć niekiedy robił to średni lub najmłodszy z potomków, który często okazywał się jedynym pozostałym przy życiu, ponieważ napaści Benedykta — choć kończyły się niepowodzeniami — zbierały przecież swoje żniwo.

Za czasów obecnego dziedzica zapanował spokój, Robert di Caela odparł bowiem kolejne zakusy Benedykta ponad czterdzieści lat temu, gdy był szesnastoletnim wyrostkiem.

Od tamtych czasów ród di Caela żyje w pokoju, a okoliczni mieszkańcy doszli do wniosku, że — ponieważ jedyną spadkobierczynią tytułu i majątku jest lady Enid di Caela, która po ślubie przyjmie nazwisko małżonka — ich potomkowie przejmą miano ojca i ziemię na zawsze zostaną stracone dla rodu di Caela. Takie jest mniemanie większości sąsiadów. Ale rodzina di Caela nie jest tego taka pewna.

— A wy, sir Bayardzie? — spytał Agion, gdy rycerz raz jeszcze przerwał swą opowieść. — Wysłuchałem owej opowieści o czterech setkach lat zdrad, błędów, gwałtów i niesprawiedliwości i wyznać muszę, że mam wiele pytań. Pierwszym zaś z nich jest pytanie o wasze miejsce w tej starej opowieści o biedach rodu di Caela.

— To również jest długa opowieść — zaczął Bayard, machając z rezygnacją dłonią, jakby na dzisiejsze popołudnie miał już dość rozwlekłych gadek.

— Ależ prosimy, panie rycerzu, zechciejcie nam ją przedstawić! — nalegał Agion. — Galen i ja wielce lubimy opowieści! — Agionie, może sir Bayard jest nieco zmęczony...

— Dajże pokój, Galenie... — powiedział Bayard rzeczywiście znużonym głosem. — Obaj powinniście ją poznać, bo wszystko to dotyczy również i was... I jadąc obok nas stępa, rozwinał przed nami kolejną barwną historię.

— Moje dzieciństwo nie różniło się tak bardzo od twojego, Galenie. Urodziłem się jako dziedzic rozległego majątku w sercu Solamni.

— Z czego niezbiecie wynika, że w istocie zaczynaliśmy podobnie — zauważyłem zjadliwie. — Ja w końcu urodziłem się jako trzeci w kolejności syn dziedzica niewielkiej forteczki na północno-zachodnim Przymorzu.

—
Bayard nie zwrócił uwagi na moją zgryźliwość, zdecydowany opowiedzieć swą historię i wskazać mi wynikający z niej morał, choćbyśmy obaj mieli przyplacić to życiem. Czy istnieje bodaj jedna opowieść o dzieciństwie człeka, który szedł w życiu od sukcesu do sukcesu i nie miał trudnego dzieciństwa?

— W mej opowieści nie znajdziesz wojowników z Neraki czy opryszków z Estwilde, którzy

wyzuli mnie z moich praw, ziem i majątku, tak że potem latami musiałem o nie walczyć. Żaden stary wróg nie spiskował, aby odebrać mi dziedzictwo. Zamiast tego usłyszysz o naszych poddanych, którzy pewnej letniej nocy zbuntowali się przeciwko mojemu ojcu. Miałem wtedy czternaście lat. Buntownicy zabili moich rodziców. Zamordowali też domowników i kilkunastu drużynników ojca za — jak raczyli to ująć — „przyjazne uczucia wobec ciemężycieli”. Choć byłem zaledwie wyrostkiem, zabiliby i mnie samego, gdyby nie moje szczęście i ich popędliwość, które sprzysięgły się, aby ocalić mi życie. — Łotry! — zawołałem mniemając, iż tego się po mnie oczekuje. Najwidoczniej byłem w błędzie. Bayard odwrócił się ku mnie, zmarszczył brwi i potrzęsął głową.

— Wcale nie. Choć tak właśnie wtedy myślałem, przysięgając pomstę im i ich krewniakom. Byłem zbyt młody, aby zrozumieć ich gniew i pojąć wagę mej przysięgi. Nie byli łotrami, bo najgorszym ze skutków Kataklyzmu, podczas którego świat zatrzęsł się w posiadach i zmienił swe oblicze, było to, iż biedni ucierpieli najdotkliwiej. Składając przysięgę, nie wiedziałem o tym, ponieważ nie znałem uczucia gniewu, które budzi się w głodnym nędzarzu na widok kogoś, kto głodny nie jest i nigdy nie będzie dlatego tylko, iż urodził się po to właśnie, aby nigdy nie zaznać głodu. To uczucie poznałem dopiero w Palanthis.

— Palanthis? — przerwałem. — Pozwólcie panie, iż upewnię się, że dobrze was pojął. Gdyście mieli czternaście lat, osierocono was nie opodal twierdzy Vingaard i pozostawiono własnemu losowi, wy zaś znaleźliście konieczny hart ducha i środki, aby samotnie pokonać góry Vingaard i po tygodniowej podróży dotrzeć do Palanthis?

Agiona również poruszyła nazwa Palanthis. Ocknął się i zwrócił do mego chlebodawcy. — Palanthis? Panie rycerzu, byliście w Palanthis?

— Nie inaczej, Agionie. Byłem w tym mieście... i mieszkałem tam przez jakiś czas.

— Więc może zdołacie mi rzec, szlachetny panie, czy w rzeczy samej zjadają tam konie?

—

Pomyślałem, że centaur jest przesadnie przesądny i już miałem wybuchnąć śmiechem, ale ujrzałem, iż Bayard kiwa potakująco głową.

— Owszem, biedacy... kiedy zdołają je schwytać. Rzadko jednak im się to udaje i najczęściej muszą zadowolić się czymś innym. Wiem to — jak już powiedziałem — z własnego doświadczenia. — Ciągnął z oczyma wbitymi w szlak, ja zaś spojrzałem na Walecznego i juczną klacz, usiłując wyobrazić sobie nasze wierzchowce w roli głównego dania i ozdoby stołu.

— ...zostawiwszy więc za sobą mury twierdzy, oddaliłem się może z pół mili, do miejsca, z którego nie mogłem już zobaczyć płonącej wieży i skąd widziałem jedynie słup dymu. Potem ruszyłem na zachód i wkrótce znalazłem się poza granicami ziem ojcowskich, w kraju, który niegdyś nazywałem „nieprzyjaznymi okolicami”. A teraz wydało mi się, że wrogie kraje zostawiam za sobą, że nieprzyjaznym stał mi się dom, który należał mi się z prawa i który byłbym odziedziczył, gdyby nie odmiana losu. Przerwał i szarpnął wodze Walecznego.

— Tu się zatrzymamy i coś zjemy. Jeśli odpowiednio nie uważać, koźli udziec może zepsuć się nawet na ostrym jesiennym wietrze.

Sir Bayard Brightblade podczas podróży do Palanthis dobrze opanował sztukę przeżycia, a teraz zamierzał ją zastosować, aby w porę dotrzeć do zamku di Caela.

Podczas rozniecania ogniska i zatykania udźca na prowizorycznym rożnie opowieść oczywiście utknęła w martwym punkcie. Agion krążył wokół nas i baczył na nieproszonych gości, których mógł zwabić zapach pieczeni. — Dość na dzisiaj — upierał się Bayard. — Powinieneś odpocząć. Kiwnąłem głową i spojrzałem koso na Agiona, ogryzającego jabłko i spoglądającego wstecz ku bagnom, o których prawdopodobnie zdążył już zapomnieć.

Zdrzemnąłem się na tym popasie, podobnie uczynił Agion. Bayard podjął opowieść w miejscu, w którym ją przerwał, gdy tylko ruszyliśmy drogą na południowy wschód, przez płaski i ponury kraj — ot, krajobraz z tych, które przynoszą zasłużoną sławę Przymorza. Obserwowałem jastrzębia krążącego na południowej części nieboskłonu, Bayard zaś opowiadał.

— Wyprawa do Palanthis nie należała do bezpiecznych, w górach Vingaard bowiem o każdej porze roku panują dojmujące mrozy. Gdyby nie fakt, iż przedzierałem się przez nie latem, moja podróż mogłaby się zakończyć całkiem inaczej. Samo miasto oczywiście cieszy się dobrze zasłużoną sławą z racji swoich bogactw, biblioteki, kolegów i wspaniałej

— wieży, ku której ściągają magowie z całego Ansalonu, aby poddawać się próbom i wysłuchiwać pouczeń. Gdyby do tego tylko ograniczył się charakter miasta, gdyby jego obywatele oddawali się wyłącznie szukaniu wiedzy i mądrości — stwierdził rycerz, uśmiechając się melancholijnie — niewątpliwie powitano by mnie tam inaczej.

Oczywa wyobraźni ujrzałem złote miasto wieńczące szczyt wzgórza, panującego nad sielankowym wiejskim krajobrazem. Nie wiedziałem wtedy, że mimo swoich bogactw i przepychu Palanthis było zwykłym portem nad głęboko wciętą w ląd zatoką morską i że z tego portu co noc wysypują się kohorty pijanych żeglarzy, mówiących językami, których nikt nigdy nie słyszał (i pewnie nie usłyszy), i posługujących się kindzalami o bogato zdobionych rękojeściach i falistych, nasączonych trucizną głowniach.

Opowieść Bayarda była pierwszą z usłyszanych przeze mnie do tej pory, w której znalazły się wzmianki o nędzy, hazardzie i rozbojach, stanowiących podwaliny potęgi miasta. Słuchałem tedy początkowo z niedowierzaniem, potem jednak w jego opowieści wszystko zaczęło „pasować”, jak to określił mój nieodżałowanej pamięci brat, zanim pogrążył się w ruchomych piaskach. Agion nie był tak nieufny jak ja. Cały czas potakująco kiwał głową — nie dlatego, rzecz jasna, iż bywał w Palanthis, ale żywił przekonanie, że wszystkie ludzkie miasta miały tylko jedno — takie właśnie — oblicze i stanowiły wyłącznie zbiorowiska małych, kochających się w przemocy dwunogich stworków, które chętnie zbierały się pod dachami budowli z gliny, kamienia i drewna.

— Gdy przybyłem do Palanthis — ciągnął Bayard, pochylając się i wyjmując rzep z grzywy Walecznego — okazało się, że nie mam czego szukać w południowej części miasta. Znajdziecie tam kramy i kupców, niektórzy z nich w ogóle nie dbali o klientów i pochłonięci ambicją zostania, powiedzmy, jedynym złotnikiem i jubilerem w mieście, skupiali swe wysiłki na walce z konkurentami. Ci, którym zależało na kupujących, zwracali uwagę wyłącznie na bogaczy — przejeżdżających powozami magów, bogatych kupców korzennych czy paniczów jadących dumnie na koniach pełnej krwi. Czy możecie sobie wyobrazić, co czuje szlachetny rumak zamknięty w murach miejskiej stajni?

Nie, nie było tam dla mnie zajęcia. Za te parę groszy, które porwałem z mej komnaty, uciekając z płonącego zamku, nie mógłbym tam kupić nawet jednego posiłku — napiwki nie interesowały tych kupców. Przechodząc mimo świątyń, które ludzie porzucili, bo wyznawani w nich bogowie byli „niewygodni i uciążliwi”, ruszyłem ku zachodniej części miasta. Wtedy

właśnie zobaczyłem słynną Wieżę Wielkich Czarów, choć z daleka tylko i na krótko. Byłem zbyt zmęczony, aby zachwycać się cudami architektury...

Przytaczam to wszystko, abyście mieli choć trochę pojęcia o goryczy, którą zabarwione było każde słowo jego opowieści. Ową gorycz zacząłem pojmować, gdy usłyszałem, jak uchodząc przed szczurami, rzezimieszkami i ulicznymi bandami, sypiał w dokach i jak uciekał się do kradzieży, kiedy zmuszał go do tego chłód i głód. Sir Bayard opowiedział nam, jak w końcu głód i zimno osłabiły go i pokonały, gdy buszował wśród skrzyń u jakiegoś bogacza we wschodniej części miasta, i jak — gdy

nie znalazł w nich niczego prócz koców — zawiązał się w jeden z nich i zasnął po to tylko, aby obudzić się jako jeniec rycerza, który odwiedzając Palanthas, zatrzymał się w owym domu. Ten rycerz niewiele posiadał rzeczy, które mogłyby zainteresować złodziejaszka, ale okazało się, że był znajomym innego rycerza, przyjaciela ojca sir Bayarda. Takim dopiero sposobem — poprzez znajomość ze znajomym rodziny — młody Brightblade zdołał wyrwać się nędzy, głodowi i mrozom. Po wielu latach, wróciwszy w rodzinne strony na czele silnego oddziału wojska, odzyskał swe ziemie i zamek.

— Na waszym miejscu sam skorzystałbym z rodzinnych powiązań, panie — pocieszyłem Bayarda. Agion kiwnął głową, dając do zrozumienia, iż zgadza się z moją opinią. — Zamek od wieków należał do waszej rodziny, wy zaś po prostu skorzystaliście z pomocy przyjaciół, aby odebrać go zbuntowanym chamom.

— Wcale nie musiałem odbierać go ludziom, których nazywasz chamami — wyjaśnił Bayard. — Nigdy nie zajęli twierdzy. Czuli bowiem, że jeśli będą żyć w luksusie takim jak ci, co ich „uciskali”, staną się równie źli i chciwi jak ich ciemężyciele.

— Chcecie powiedzieć, panie, że woleli swe kryte słomą chatki od komnat twierdzy Vingaard? Bayard potwierdził skinieniem, ale niełatwo mi było w to uwierzyć.

— Okazali się tedy takimi durniami, że zasłużyli na wypędzenie z zamku i to, co ich później spotkało — zawyrokowałem.

Tym razem Agion nie był skłonny zgodzić się ze mną, ponieważ idea zamieszkania pod słomianymi strzechami bardziej mu odpowiadała od pomysłu wprowadzenia się pomiędzy kamienne ściany i także pułapy. Bayard również się sprzeciwił — potrząsnął głową, zmrużył powieki i spojrzął ku wschodowi.

— Galenie, nie mogę się z tobą zgodzić. To, co niekiedy uważa się za zwykłą głupotę, jest w istocie rzeczą trzymaniem się pewnych zasad. —

— Nadal patrzył na wschód, jakby spodziewał się zobaczyć coś wyłaniającego się zza horyzontu. I w rzeczy samej. Odwrócił się do mnie i przemówił wprost: — Sam mam kłopoty z moimi własnymi zasadami i muszę się zdać na czyjś osąd.

Rozsiadłem się wygodniej, oczekując kolejnej nadętej przemowy, ale zamiast tego Bayard jedynie skinął głową i nieoczekiwanie zmienił temat. — Góry Vingaard. — Tak, panie?

— Góry Vingaard. Wkrótce je zobaczycie. Ujrzelibyście je i stąd, gdybyście wiedzieli, gdzie patrzeć. — Uśmiechnął się, pociągnął za wodze juczej klaczy i ustawił ją obok Walecznego. — Ruszymy z tego miejsca prosto ku wschodowi i dotrzemy do gór nie opodal przełęczy.

Góry okazały się mroczne jak przedwieczne niebo. Tej nocy rozbiliśmy obóz u ich stóp. Gdy wstępowaliśmy na coraz wyżej położone tereny, otaczająca nas roślinność stawała się coraz rzadsza i mniej bujna, grunt zaś był coraz bardziej skalisty.

Spaliśmy niespokojnie — choć mówię to w swoim tylko imieniu — i następnego ranka wcale nie byłem bardziej wypoczęty niż wtedy, gdy kładłem się spać. Aby mnie obudzić, Bayard musiał mocno mną potrząsać, a gdy to zawiodło, pchnął mnie po prostu nogą. By nie wyrażać się przesadnie mocno, ujmę to tak — świeże pęcherze na zadku i otarcia od siodła nie lubią być pieszczone podbiciem czyjejs stopy.

— Czeka nas kolejny dzień ostrej jazdy, Galenie — oznajmił Bayard rześko i energicznie. — Jeśli nie będziemy się oszczędzali i jeśli bogowie nie postawią na naszej drodze żadnych przeszkód, możemy stanąć u bram zamku di Caela za pięć dni, w wigilię turnieju.

— Rozdział dziesiąty

NADSZEDŁ CZAS NA MOJĄ WŁASNĄ OPOWIEŚĆ.

Zaczyna się ona wkrótce potem, jak Bayard opowiedział nam o swej przeszłości, wtedy, gdy mozolnie pięliśmy się ku przełęczy, zmierzając przez góry Vingaard do zamku di Caela.

Zgodnie z obawami Bayarda straciliśmy na moczarach sporo czasu i spóźniliśmy się na turniej, choć nie tak, że nie dało się już tego odrobić. Organizator turnieju nie mógł bowiem zwlekać. Z całej Solamnii i dalszych okolic Ansalonu zjechało się ponad dwie setki rycerzy. Opowiada się, iż jeden rycerz przybył aż z samego Baliforu. Miał na sobie błękitną zbroję ozdobioną egzotycznymi pióropuszcami, niestety, nie zobaczyłem tego na własne oczy, zanim bowiem przybyliśmy na miejsce, junak został w eliminacjach wysadzony z siodła i ku swym góróm na wschodniej krawędzi świata zamiast pięknej panny powiózł pęknięty obojczyk oraz rozległe skaleczenia i zadrapania na... hm, no... rozległe skaleczenia i zadrapania.

Błękitny Rycerz z Baliforu nie był jednak wcale najbardziej niezwykłym pretendencem do ręki i wiana Enid di Caela. Kiedy zwołujecie współzawodników z całego kontynentu, możecie być pewni, iż niektórzy z nich będą odrobinę... ekscentryczni.

Należał do nich niewątpliwie sir Orban z Kern, któremu rozwidlona broda i przepaska na oku nadawały wygląd niemal piracki, choć powiada

się, iż niełatwo byłoby znaleźć szlachetniejszego odeń i czystsze w intencjach rycerza. Sir Kern nosił na ramieniu gadającą papugę o ognistym upierzeniu, które zmieniało swą barwę z czerwonej na rudą, gdy blask słońca zastępowała poświata księżycy. Papuga nieustannie gadała coś do rycerza, ten zaś odpowiadał jej łagodnie i cicho, z rzadka tylko odzywając się do innych.

Z najdalszego południa ściągnął sir Prosper Inverno z Zeriak. Miał on zbroję grubą i przezroczystą jak lodowa ściana, która wznosiła się zaledwie o pół dnia drogi od jego posiadłości. Zbroja owa była — jakom rzekł — gruba, przezroczysta i tak lśniąca, że zebrani zaczęli się zastanawiać, czy nie wykonano jej z lodu... albo jakiegoś szlachetnego kamienia. Ramiona osłonił rycerz gęstym białym futrem polarnego niedźwiedzia. Opowiadano też, iż w miejscu, gdzie rozbił swój obóz, powietrze ochłodziło się do tego stopnia, że rankiem zamarzło nawet wino w pucharach zostawionych w jego namiocie. Niezależnie od tych dziwactw, sir Prosper znany był z nadzwyczajnej siły i zręczności, z jakimi posługiwał się kopią, i nie było wśród zebranych rycerza, który uradowałby się, gdyby los postawił go w szrankach naprzeciwko południowca.

Z Southlund przybył też sir Ledyard, który — wedle tego, co o nim opowiadano — spędził nieco zbyt wiele czasu na morzach. Widział nawet — choć z daleka — Krwawe Morze Istar i jego oczy nabiegły czerwienią pod wpływem tego, co zobaczył. Nosił niezwykły hełm, uformowany ze stali na podobieństwo zwojów muszli, co sprawiało, iż sir Ledyard sam wyglądał jak stwór, który wyłonił się z głębin Krwawego Morza. Plotki głosiły, iż wewnątrz tego muszlowatego hełmu zawsze słychać było huk fal morskiego przy-boju, który wzywał rycerza ku oceanom.

Zjawił się także sir Ramiro z Maw, rycerz pochodzący z krain położonych dalej jeszcze na wschód niż posiadłości Błękitnego Rycerza z Baliforu. Okazał się najcięższym ze współzawodników — rozdzielony ze zbroi ważył cztery setki funtów. Cieszył się świetnym humorem i przepadał za śpiewkami podróznymi — niektóre z nich były mocno nieprzyzwoite — pewien więc jestem, iż lady Enid odetchnęła z ulgą, gdy pierwszego dnia turnieju zwałił go z siodła Zakapturzony Rycerz.

Zakapturzony Rycerz był osobnikiem, którego pojawienie się na turnieju napełniło zamek di Caela nieustannym szmerem plotek i spekulacji. Zjawił się nocą w przeddzień turnieju i rozstawił swój namiot o milę od murów zamku, daleko od obozowiska, w którym zatrzymali się jego rywale. Wielu z nich — nawet dobroduszny sir Ramiro — poczuło

dreszcz niepokoju, gdy rankiem w przeddzień turnieju ujrzeli czarny zarys namiotu Zakapturzonego Rycerza na tle czerwonego dysku wschodzącego słońca.

Nieswojo poczuł się nawet sir Robert di Caela. Stał na murach, patrzył w dal i wybiegając wzrokiem poza najodleglejsze namioty, przeszukiwał oczyma podnóże gór Vingaard, wyglądając jakiegoś ruchu, błysku sławnej zbroi, który oznajmiłby mu przybycie sir Bayarda Brightblade'a. Gdyby go zobaczył, mógłby spokojnie obserwować rozwój wydarzeń, mając świadomość, iż los jest po jego stronie i dawno oczekiwany rycerz w końcu przecież przybywa.

Zapadł jednak zmrok, a sir Robert zszedł z blanków rozczarowany, ponieważ Bayard nie przybył. Niewątpliwie coś go po drodze zatrzymało. Tymczasem po obozie zaczęły krążyć najprzeróżniejsze plotki.

Powiadano więc, że Zakapturzony Rycerz jest synem jednego z najświetniejszych rodów, wykluczonym z Zakonów Solamnijskich, który pojawił się na turnieju w nadziei, że zwycięstwo pozwoli mu odzyskać pozycję, prawa i szacunek, jakimi rodzina owa chlubiła się przed Katakлизmem.

Inni utrzymywali, że Zakapturzony Rycerz jest czarodziejem, którego przekleństwo zmusza do błakania się po świecie, dopóki nie zwycięży w takim jak ten turnieju. Wtedy, uwolniony od więzów kłątwy, zniknie, rozpływając się w nicłość.

Inni wreszcie upierali się, że Zakapturzony to nikt inny jak sam sir Bayard Brightblade, ponieważ przybył bez służby, a czyż nie było powszechnie wiadomo, że podróżuje on ku Przymorzu, poszukując giermka?

Z tymi — i wieloma innymi jeszcze — historiami sir Robert wrócił do swej sypialni. Gdy przeżuwał je wszystkie, rozległ się łomot do zamkowych bram i sir Robert usłyszał okrzyk wartowników — krótki i zdradzający zaskoczenie — ale nie umiałby określić, czy wartownicy byli uradowani, czy przestraszeni.

Za późno już na składanie wizyt — pomyślał wtedy sir Robert (tak przynajmniej później mi o tym opowiedział). — Kimkolwiek jest ów gość, może chyba poczekać do rana... boć lista uczestników turnieju już się przecie nie zmienia.

Przypomniał sobie jednak o sir Bayardzie, który nadciągał ku zamkowi di Caela. Kto wie, może to on właśnie dobija się do wrót, licząc na tradycyjną solamnijską gościnność — ciepłą komnatę, puchar grzanego wina oraz uprzejme i eleganckie wpisanie na listę jutrzejszych rywali.

Ożywiony tymi podsuwanymi przez wyobraźnię wizjami sir Robert z trzaskiem stawów wstał z łoża.

Widzę tę scenę oczyma wyobraźni — jakby wszystko to rozgrywało się w mojej obecności.

Sir Robert nakłada zbroję na nocną koszulę, szlafmycę przykrywa hełmem i spojrzawszy w wiszące w sypialni zwierciadło — jedną z ostatnich pamiątek po żonie, która umarła piękną i stanowczo zbyt młodą — stary człowiek poprawia kirys i przyłbicę, usiłując znaleźć kompromis pomiędzy wygodami a godnym wyglądem.

Całkiem nieźle, jak na człeka po pięćdziesiątce — myśli. — Włosy, owszem, siwawe i zbroja nieco przyciasna. W sumie jednak niewiele się zmieniłem od czasu, gdy wycofałem się z czynnej służby, i mogę jeszcze pokazać się wśród tych młodych zawadiaków.

Którzy — pomijając oczywiście sir Bayarda i paru innych — są tylko mizernymi imitacjami rycerzy, jacy stawali w szeregach Zakonu za czasów mej młodości.

Stary rycerz rusza schodami w dół, sapiąc lekko z powodu zimna i późnej godziny. Gdzieś w głębi komnat zamkowych odzywają się trzy mechaniczne kukułki. Sir Robert nieco niezdarnie zapala świecę, ta jednak skwierczy i gaśnie, pograżając komnatę w mroku. Rycerz ciska średniej mocy przekleństwo i sięga w górę, usiłując zapalić knot od resztek żaru osadzonej w żelaznej kunie pochodni.

Wtedy właśnie słyszy głos, rozlegający się gdzieś u podnóża schodów. Choć nie zna właściciela owego głosu, wie, że nie jest nim sir Bayard, na którego tak liczył. Natychmiast też pojmuje, że to Zakapturzony Rycerz, ten, który rozbił swój namiot na zachodnim skraju turniejowego pola i który czekał do zmroku, aby odwiedzić zamek i wpisać się na listę uczestników turnieju.

— Sądzę, iż mam honor z sir Robertem di Caela? — pyta gość z mroku. Staremu rycerzowi przychodzi na myśl kilka odpowiedzi. Mógłby na przykład w ostrych słowach dać jasno do zrozumienia nocnemu natrętowi, że w zamku di Caela wszelkie sprawy załatwia się za dnia — ale po usłyszeniu owego zimnego głosu stojącego niżej rycerza potrafi się zdobyć jedynie na mizerne: tak.

Sir Robert nie bez zdumienia odkrywa też, iż cofa się ku swej sypialni. Nogi, które służyły mu w setkach turniejów, które nie zawiodły go w bitwie u przełęczy Chaktamir — tej samej, w której wstawił się mój ojciec — poruszają się wstecz, a on nawet tego nie zauważył! Zatrzymuje się, choć sam nie wie, skąd bierze na to odwagę. W dole słychać jakieś — poruszenie.

— Sir Robercie, przyszedłem złożyć wam wyrazy szacunku. — Ponownie rozlega się ów lodowaty głos. — Macie wspaniały zamek... zaiste, dobrze utrzymany. Niemal nie widać śladu napraw, co świadczy dowodnie o zręczności rzemieślników, którzy ich dokonywali.

— Dziękuję — odpowiada stary rycerz, który zdołał się już opanować i stłumić w sobie ów nieokreślony strach. — Dziękuję wam, mości rycerzu, choć obawiam się, że wiedza o restauracji zamków nie jest moją mocną stroną. Prosty ze mnie człowiek, zdolny do przypadkowego stłuczenia kryształowego pucharu, taki, co wyciera brodę w obrus, który przecie należałoby pieczołowicie chronić... jak przystało dziedzicowi starych dóbr rodzinnych.

— Jeśli to wasza największa rycerska ułomność, sir Robercie — uspokaja głos z mroku — to wszak możecie przekazać majątek dziedzicom, wiedząc... że dołożyliście wszelkich starań. Domyślam się, że reszta majątku — skarbiec, ziemie, służba i dzierżawcy — jest równie zadbana jak wasz zamek.

— Hm... — Sir Robert rumieni się, oparty o odrzwia i niezbyt już pewien, czy w istocie nie podoba mu się ów przybysz... przejawiający bystrość i roztropność niezwykłą u człowieka w tak młodym wieku. Widać, że nieznajomy rycerz wie, jak niełatwo jest utrzymać majątek w dobrym stanie, jak traci się przy tym energię, którą może przywrócić jedynie zasłużony wypoczynek. W rzeczy samej, gdyby nie fakt, iż oczekiwał na pojawienie się Bayarda Brightblade'a, który mógł przybyć lada moment, to kto wie

— Przypuszczam, żeście przyszli wpisać się na listę, młody panie? — zaczyna sir Robert ciepłym tonem, nieznajomy zaś robi krok ku przodowi i staje na schodach.

Jest odziany w czerń, jakby nosił żałobę po kimś bliskim mu i drogim — zauważa sir Robert. — Ów zaś kaptur na głowie sprawia niemal tak złowrogie wrażenie, jak to opisywał stary Ramiro.

Niewątpliwie ten młodzieniec tłumi w sobie jakiś smutek, usiłuje uporać się z przeszłością.

— Musicie być tym, którego zwą Zakapturzonym Rycerzem — stwierdza sir Robert. W jego głosie nie dźwięczy pytanie, ponieważ nie nawykł do zadawania pytań. Pytania oznaczają słabość.

— Gabriel Androctus — rozlega się jedwabisty głos spod kaptura. — To miano będzie lepiej wyglądało na liście. Jest mniej... teatralne. — Podejdź bliżej, chłopcze! — poleca stary rycerz, tym razem — wkładając więcej ciepła w swój głos. — Proszę na komnaty, gdzie poszukam pióra. Sir Gabriel pozostaje jednak na miejscu i nie wykonuje żadnego ruchu. — Słyszycie, mój panie? Bliżej proszę!

— Ależ, sir Robercie, jest przecie późno. Tak naprawdę znacznie później, niż... moglibyście przypuścić — sumituje się sir Gabriel. — Teraz, gdy złożyłem już wam wyrazy szacunku, gdy mam pewność, że zostanę wpisany na listę, pozwólcie, panie, że oddalę się do mego namiotu. Noc jest

krótka i powinienem odpocząć przed jutrzejszymi zmaganiem.

— Rzeczywiście... macie rację — rzuca sir Robert przez ramię, krocząc już do swego stołu, gdzie obok związanej aksamitną wstążką pergaminowej listy uczestników turnieju tkwi w kałamarzu spore gęsie pióro.

Rycerz rozwija listę, czemu towarzyszy dźwięk zamykanych na dole drzwi. Robert di Caela ujmując pióro i nagle odkłada je z zawieszonym przekleństwem. — Niech to licho, zapomniałem spytać sir Gabriela, skąd przybywa! Ale na dole panuje już cisza. Gdzieś w stajniach rzy koń, słysząc jedynie pohukiwania sów i monotonny szmer koncertujących świerszczy.

Następnego ranka, gdy obok bramy zamku wywieszają listę uczestników turnieju, imię sir Gabriela jest na niej wpisane na samym dole. Obok imienia nie widać nazwy rodu czy miana posiadłości. Oczywiście, sir Robert chciałby uzyskać owe informacje — uzupełniłby wtedy listę z właściwą temu aktowi powagą. Tak czy owak, miano jest wpisane... obok nazwisk pozostałych rycerzy. Czegóż jeszcze żądać może człek, który ma oddać córkę wybrańcowi z kwiecica solamnijskiego rycerstwa? Mógłby życzyć sobie, aby wreszcie pojawił się sir Bayard Brightblade.

Sir Robert stoi u okna w niższej z wież i spogląda na zachód, ponad flagami zdobiącymi pole namiotów. Patrzy ponad wielkim, trzymającym rybę w pysku niedźwiedziem sir Ramira, ponad lodową górą sir Prospera. Stary rycerz omija wzrokiem i jednolicie czarny, dziwny proporzec sir Gabriela Androctusa.

Na odległych ścieżkach, na zboczach gór nie widać żadnego obłoku kurzu. Bayard zwleka gdzieś po drodze. Jeszcze go nie ma — myśli. Sir Robert nabiera tchu w płuca. Jego giermek zaczyna uciążliwą ceremonię odziewania starego człowieka w pa-radną spizową zbroję,

podając mu na koniec tarczę z godłem rodu di Caela — jaśnoczerwonym kwiatem na białej chmurze w błękitnym polu.

Sir Robert rusza schodami w dół. Trzeba zacząć trzydniowe ceremonie i uroczystości, które zakończy oddanie córki obcemu. Trzeba też będzie oddać mu miano, ponieważ w przyszłości jego zamek nie będzie już zwany zamkiem di Caela — stary rycerz wie to z nieuchronną pewnością. Może zamek Inverno? Albo zamek Androctus?

Zatrzymując się na podeście w połowie krętej schodni, raz jeszcze wygląda przez okno ku zachodowi. Niestety, nie dostrzega niczego, co przypominałoby jakiś ruch na pogórze.

Niechże więc się stanie... — myśli zrezygnowany sir Robert. — Zaczynamyż ów turniej.

Gdy ranek ma się ku nieco cieplejszemu południowi, rycerstwo zbiera się na wstępne uroczystości, które wszystkim czynią wiadomym, że turniej ma być turniejem solamnijskim. W pierwszym więc rzędzie rozpoczynają się modły, którym przewodzą biało ubrani święci mężowie. Rycerze błagają o przychyłność trójcę bogów — Wielkiego Smoka, Kiri-Jolitha i Mishakal, prosząc o zaszczyty, powodzenie w szrankach... i ochronę przed śmiertelnymi ranami.

Następnie głos zabrali bardowie, którzy odśpiewali pieśni poświęcone patronom turnieju — Humie i Vinasowi Solamnosowi, a także Geraldowi di Caela, założycielowi rodu. W tym czasie zjawiają się niemal wszyscy biorący udział w turnieju rycerze — a jest ich ponad pięćdziesięciu. Czterej najznacniejsi jednak nieco się spóźniają.

Sir Prospera Inverno przybywa dopiero wtedy, gdy odziani w biel kapłani Mishakal intonują modły do Kiri-Jolitha, boga bitewnego zamętu. Rosły ów mąż w lśniącej zbroi przechodzi pomiędzy szeregami rycerstwa. Gdy rycerze pojmują, kto zjawił się pomiędzy nimi, w ich szeregach rozlega się szmer. Obserwujący to wszystko sir Rober uśmiecha się lekko — słyszał bowiem, że południowcy kochają się w dramatycznych efektach.

Mieszkańcy Wschodu zaś posądzeni są o skłonność do ulegania nieprzemyślanym impulsom.

Można to rzec przynajmniej o jednym z nich, ponieważ sir Ramiro z Maw przybywa, gdy modły do Mishakal mają się ku końcowi, zbyt późno, aby otrzymać błogosławieństwo jej kapłanów. Kiwnięciem głowy sir Ramiro przeprosza sir Roberta, który spojrzawszy mu w oczy, odgaduje, iż w namiocie mieszkańca Wschodu szeroką strugą płynęło wczoraj wino... i że

rycerz z Maw cierpi katusze pragnienia, bólu głowy i jest wściekły na cały świat. Stary wyjadacz domyśla się też, iż folgowanie swym upodobaniom pozbawi sir Ramira nawet nikłych szans na zwycięstwo... co — jak sir Robertowi wiadomo — zdarzało się już wielokrotnie w przeszłości.

Jeszcze bardziej spóźnia się sir Gabriel Androctus, którego nieobecność podczas modlitw, pieśni bardów i opatrywania zbroi współzawodników wzbudza pewne podejrzenia. Zakapturzony rycerz pojawia się dopiero w ostatniej chwili, kiedy rozbrzmiewają fanfary i herold, czytając listę, zaczyna wywoływać miana rywali, każdy zaś z nich postępuje krok do przodu. Dopiero wtedy pojawia się sir Gabriel Androctus, konno, odziany już w zbroję, i z kopią w dłoni przejeżdża wśród współzawodników.

Nikogo nie dziwi czarny kolor jego zbroi. Sir Robert ponownie czuje nierozumny przyływ strachu, którego doznał wczoraj na schodach. Stary rycerz zastanawia się też, dlaczego, u licha, tak pokornie i bez słowa sprzeciwu wpisał tego człowieka na listę współzawodników.

Spałem chyba — myśli. — Na pewno jednak Orban lub Prosper... Na pewno ich kopie zrobią swoje, zanim...

Z coraz większym gniewem i topniejącą szybko cierpliwością spogląda jeszcze na zachód, ku góróm. Tyle o Brightbladzie i przeznaczeniu — myśli. I tyle o przepowiedni.

Choć sir Robert nigdy nie zniżyłby się do wpływania na wyniki ciągnięć, tak aby niewygodny mu rycerz — powiedzmy, iż byłby nim Gabriel Androctus — natrafił na niezmożonego przeciwnika — powiedzmy, iż mógłby nim być Błękitny Rycerz z Baliforu — oddycha nie bez ulgi, kiedy tak właśnie się dzieje. Ich losy wypadają razem ze srebrnego hełmu, ze złotego wypada zaś płytką z cyfrą 3, co oznacza, że ich starcie będzie trzecim spotkaniem dnia.

Doskonale. Wkrótce więc wszystko wróci do normy — przemyka mu przez głowę.

Sir Robert rozmyśla nad tym podczas dwu pierwszych starć, które zakończyły się równie szybko, jak się zaczęły. Sir Ledyard i sir Orban łatwo eliminują dwóch młodych i niewprawnych rycerzy z Lammy. Osiągnięte w rzeczy samej bez najmniejszego wysiłku zwycięstwo sir Ledyarda wywołuje cięty żarcik Ramira: „Jeśli sir Ledyard jest kwiatem rycerstwa z Południa, to czy jego przeciwnika mamy uważać za płamę na honorze Lammy?”

W zwykłych okolicznościach sir Robert śmiałby się długo i hałaśliwie z niezbyt zgrabnego żartu, szczególnie że sir Ramiro wygłosił go swym zabawnym wschodnim akcentem. Podobnie śmiałby się z tańczącego

niedźwiadka i błazna, który robi co może, aby rozerwać gawiedź czekającą na kolejną potyczkę: Teraz jednak milczy i nie bez niepokoju oblicza szanse starcia, podczas gdy heroldowie jak zwykle irytują tłum, pieczołowicie ustawiając na pozycjach kolejnych zawodników — błękitnego Rycerza z Baliforu i tajemniczego, odzianego w czerń Gabriela Androctusa.

W końcu rozlega się dźwięk hejnału i błazeństwa trefnisia kwitują skąpe oklaski gawiedzi oraz mniej wybrednych panów i dam. Znaczący rycerskiego rzemiosła wcześniej już skupili swą uwagę na obu krańcach szranków, gdzie na poły ukryci w tumanach kurzu czekają obaj rycerze. Każdy z nich dzierży kopię w pozycji popularnie zwanej „gotów”, to znaczy pionowo tuż przy boku, tak że niemal dwudziestostopowe drzewce sterczy nad nim jak maszt.

Androctus jest leworęczny — zauważa nie bez troski sir Robert. — Sprawi to pewną trudność Błękitnemu. Ale jeśli wierzyć temu, co o nim opowiadają, wychodził już zwycięsko z większych

opałów.

Na dźwięk trąbki herolda obaj rywale mają zatrzasnąć przyłbice i opuścić kopie — dając znak, że są gotowi, następnie zaś powinni ruszyć do starcia.

Ale otóż i problem. Obaj rycerze ukazali się w szrankach z opuszczonymi przyłbicami, każdy bowiem wolał zachować swą tajemnicę. Co oczywiście nie podoba się sir Robertowi.

— Cni panowie, zechciejcie podnieść przyłbice! — wzywa dramatycznie. Zgodnie z jego oczekiwaniami i ku skrywanej uciezce, obaj rywale przez chwile się wahają.

Po chwili ze zdziwieniem widzi, że obleczoney w czarną zbroję rycerz podnosi swą przyłbicę. Ukazuje się spod niej blada twarz — taka, jaką kobiety mogłyby określić mianem urodziwej, ale mężczyźni powiedzieliby o niej, iż jest raczej groźna. Sir Robert chciałby, aby w tej chwili była obok niego Enid, która jest bystrą obserwatorką i potrafi ocenić z twarzy człowieka. Nie masz jej jednak u boku ojca, wolała bowiem pozostać w swych komnatach. Panna gardzi całym tym zgiełkiem i uważa turniej za „dobrze podaną i kiepsko zamaskowaną burdę”.

Twarz ocieniona hełmem jest równie nieodgadniona jak oblicze obrazu lub nieboszczyka. Jej właściciel może mieć lat dwadzieścia albo i sześćdziesiąt — sir Robertowi nie udaje się odgadnąć niczego więcej. Oczy sir Gabriela są zielonkawe z żółtawym odcieniem, powieki zaś nienaturalnie czerwone — jakby je nieumiejętnie pomalowano albo ich posiadacz nie lubił przebywać w świetle słonecznym.

Mimo swej niesamowitości twarz ta jest sir Robertowi aż za dobrze znajoma.

Stary rycerz nie poświęca prawie żadnej uwagi Błękitnemu. Później nie umie nawet powiedzieć, czy przeciwnik sir Gabriela podniósł i ponownie opuścił przyłbicę. Zakapturzony bowiem z traskiem zamyka swoją, zbiera się w sobie i przekłada kopię do prawej ręki — jakby nie zamierzał skorzystać ze swej przewagi.

Rycerskie wierzchowce — ogromne rumaki z Abanasinii — potrzebują kilku chwil, by ruszyć całym pędem. Konie mają krzepkie, dobrze umięśnione nogi, szeroko sklepione beczkowate piersi, a na ich grzbietach siedzą obleczeni w turniejowe zbroje rycerze — i nadanie takiej masie prędkości szarży wymaga sporego wysiłku mięśni i zabiera trochę czasu. Gdy jednak taki rumak ruszy cwałem, nie sposób go zatrzymać. Jest jak lawina lub rwąca górskim przełomem rzeka.

Ujrzawszy sunącego nań Czarnego Rycerza, Błękitny z Baliforu daje rumakowi ostrogę. Rosły wierzchowiec przez chwilę szarpie się i drobi w miejscu, jakby w nadchodzącym starciu wyczuwał coś niezwykłego. Wkrótce wszak obaj rywale z pochylonymi kopiami mkną ku środkowi szranków, gdzie łopoczą na wietrze dwa proporce — jeden błękitny, drugi czarny jak krucze skrzydło.

Zderzają się z okropnym łoskotem i obie kopie natychmiast pękają. W tejże samej chwili Błękitny Rycerz z brzękiem zbroi wyfruwa z siodła i wali się na ziemię. Rycerski żelazny trzewik zaklinował się w strzemieniu, a przerażony rumak pryska w bok, wzniesając ogromną chmurę kurzu. Obaj sędziowie (konno) i stajenni (pieszo) ruszają natychmiast w pościg. Obserwujący starcie widzą, iż Błękitny Rycerz, leżący tam, gdzie zwałił się z konia, tuż po upadku podnosi nieznacznie głowę, jakby usiłował wstać, ale zaraz opuszcza ją bezwładnie i zaczyna skręcać się z bólu.

Sir Robert porywa się z miejsca, a przez jego głowę przelatują wichrem myśli o niedozwolonym pchnięciu lub jakiejś na poły nielegalnej sztuczce z kopią. Na pozór jednak wszystko jest w zgodzie z rycerskim — przestrzeganiem surowo — obyczajem i gdy giermek Błękitnego Rycerza współ z innymi biegiem rusza ku swemu panu, sir Robert raz jeszcze przygląda się zwycięzcy.

Wydaje się, że sir Gabrielowi obojętne są cierpienia niedawnego rywala i nie czyni żadnych prób, aby dwornie zapytać o zdrowie pokonanego — jak niedawno postąpił Orban i nawet hołdujący morskim dziwactwom sir Ledyard. Zamiast tego osadza w miejscu rumaka i ciska na ziemię

strzaskaną kopię. Potem kieruje wierzchowca ku trybunom i zatrzymując się na chwilę przed sir Robertem, raz jeszcze podnosi przyłbicę.

Spogląda z drwiną, a na jego twarzy pojawia się uśmiech równie zimny jak górskie pustkowia. Uśmiech ten towarzyszy sir Robertowi przez resztę popołudnia, podczas którego trzask łamanych kopii i wiwaty łyków zlewają się w jego uszach w coraz pospolitszy hałas, niepostrzeżenie przeradzający się w miarowe cykanie mechanicznej kukułki, gdy stary rycerz odesławszy wieczorem służbę, nerwowym krokiem przemierza sypialnię.

Jutro. Sir Androctus znajdzie swego pogromcę w osobie sir Orbana z Kern. Nie tak dawne są czasy, kiedy o kopii sir Orbana śpiewano pieśni aż w Tarsis — kalkuluje.

Sir Robert zasypia kołysany nadzieją, iż czas nie stępił ostrza owej kopii.

Ma to być piąta walka dnia, o czym zadecydowało ciągnięcie losów ze złotego hełmu. Sir Robert kipi z niecierpliwości, cały bowiem ranek Enid zachowywała się tak, iż jej gorycz i złość rozplynęły się we łzach — zważcie przy tym, że były to łzy ojca, lady Enid bowiem należy do panien, które nie kryją swych uczuć, mają ostry języczek i potrafią się odciąć, a bezradny mężczyzna zapomina języka w gębie! Niektórzy szepczą nawet, iż w drodze na pole turniejowe stary rycerz nakładł po pysku leniwemu słudze.

Gdy ponury i nie kryjący swego zniecierpliwienia sir Robert zasiada na swoim miejscu, wszyscy zaczynają niepewnie rozglądać się dookoła, czując tak, jakby nad polem zawisła ciężka, burzowa chmura. Di Caela nie kryje swego braku zainteresowania pierwszymi czterema potyczkami — czeka chwili, w której skrzyżują się kopie sir Orban i sir Gabriel Androctus.

Dochodzi do tego około południa. Rywale dosiadają rumaków na przeciwległych krańcach pola, ich giermkowie zaś podchodzą do trybun, aby w imieniu rycerzy pozdrowić uprzejmie gospodarza turnieju. Giermkom sir Orbana jest ciemnowłosa i urodziwy młodzian z lekką skłonnością do otyłości, kuzyn sir Ramira z Maw, pokonanego w dniu poprzednim przez wino i sir Prospera Invemo. Sam sir Ramiro w towarzystwie nie znanej nikomu młodej damy siedzi na trybunach obok sir Roberta. Wszyscy troje radzi są układnym manierom korpulentnego giermka.

Giermek sir Gabriela okazuje się równie tajemniczy jak jego pan. Jest to chudy osobnik w długiej szacie z kapturem. ‘ Podczas pierwszego dnia turnieju w ogóle się nie pojawił i wszyscy myśleli, że sir Gabriel przybył

tu samotnie. Niezależnie jednak od tego, skąd przybył i kim w rzeczy samej jest, rolę giermka pełni bez zarzutu: bezbłędnie, chłodnym i obojętnym tonem recytuje słowa oficjalnego pozdrowienia i natychmiast wraca do boku swego pana. Teraz giermkowie powoli wiodą rumaki ku krańcom pola, gdzie rycerze zatraskują przyłbice i ujmują w dłonie kopie.

Sir Gabriel ponownie przekłada drzewce i ujmuje oręż prawą dłonią. Ujrzawszy to, sir Robert sapie z wściekłości, która znajduje ujście w kilku cichych a niespodziewanych przekleństwach. Solamnijscy towarzysze broni starego rycerza nawet nie śmieliby go podejrzewać o znajomość słów, które teraz sir Robert wypowiada pod nosem z taką swadą.

Łajdak daje nam do zrozumienia, że może pokonać przeciwnika bez najmniejszego trudu — myśli sir Robert. I zastanawia się, czy sir Gabriel spełni swą przechwałkę.

Pierwsze starcie kończy się lepiej niż w dniu poprzednim. Tak przynajmniej mniema sir Robert, gdy obaj przeciwnicy zderzają się z trzaskiem, a ich kopie pryskają w drzazgi przy uderzeniu o tarczę rywala. Impet zderzenia lekko unosi obu rycerzy w strzemionach, sir Robert zaś zaciska zęby, wspominając ból, jakiego doznawał w takich chwilach podczas dawnych turniejów.

Obaj rycerza zawracają swe rumaki i jadą po nowe kopie. Kolejna szarża zaczyna się sygnałem trębacza. Konie ruszają naprzód niczym wielkie, niezgrabne wozy, a rycerze mocniej osadzają się w

wysokich siodłach i złowróźnie opuszczają ostrza glewii.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Podczas tej szarży zdarzenia przybierają nieoczekiwany i straszny obrót. Z trzaskiem i zgrzytem rozdzieranego metalu ostrze kopii sir Gabriela uderza prosto w tarczę sir Orbana, impet starcia przebija warstwy stali i oto grot Zakapturzonego przeszywa napierśnik rywala.

Sir Robert i sir Ramiro z głośnymi okrzykami wściekłości zrywają się na nogi. Obaj nie mają wątpliwości, że grot kopii sir Gabriela został naostrzony i rycerz posłużył się orężem ostrym, a nie miękkim, tępym i okrytym pokrowcem, jak tego żądają reguły turniejowe.

Powalonemu sir Urbanowi jest wszystko jedno, czym go pokonano. Dwukrotnie usiłuje wstać i za drugim razem, wydając bolesny jęk, dźwiga się na kolana. Nieruchomieje na chwilę i klęczy w pokrytej kurzem zbroi — potem wszyscy widzą, jak z głębokiej dziury w jego napierśniku bucha strumień krwi. Krew także wypływa spod przyłbicy, gdy nieszczęsny rycerz usiłuje coś rzec, kończąc okropnym charkotem. Wreszcie sir Urban chwije się niczym podcięty dąb i pada na twarz. Giermkowie nie zdążyli nawet do niego dobiec.

Krępy giermek sir Orbana, czerpiąc siłę z przepelniającego go gniewu i żalu, zręcznie przewraca obleczone w pancerz ciało na plecy. Następnie podnosi przyłbicę hełmu nieszczęsnego rycerza i wybucha płaczem.

— Oddajmy Humie jego ducha — szepce sir Ramiro. Papuga sir Orbana skrzeczy przeraźliwie, jakby podpalono jej skrzydła.

Tymczasem krzepkie ramiona chwytają sir Androctusa, który podniósłszy przyłbicę, spokojnie i bez emocji przygląda się zamieszaniu i rozpacz, które zapanowały na turniejowym polu. Nikły uśmiech pojawia się na jego twarzy, gdy sędziowie wydobywają grot jego włóczni z napierśnika sir Orbana. Ku powszechnemu zaskoczeniu widać wyraźnie, iż na grocie tkwi tępy metalowy pokrowiec.

— Oręż miękki — odzywa się zwycięzca. — Wedle waszych reguł, di Caela.

Samej siły uderzenia dość było, aby tępy grot jego kopii przeszył tarczę i pancerz przeciwnika. Sędziowie, zdumieni ponad miarę, puszczają go wolno. Androctus, nie trudząc się zsiadaniem z konia, odjeżdża ku swemu namiotowi na zachodnim krańcu obozowiska.

Rycerz, który ma z nim walczyć następnego ranka, wycofuje się z turnieju. Jest nim przybysz z Ergoth, sir Lyndon Rocklin. Stoi teraz naprzeciwko gospodarza w wielkiej sali zamku di Caela. Przed sir Robertem leży strzaskane krzesło, którym rycerz cisnął o ziemię, dając upust swej wściekłości. Lyndon zwija się niemal, składając mętne wyjaśnienia.

— Mości Robercie, wiem, jak to wygląda w waszych oczach, wiem również, jak odbije się to na mej reputacji. Pomimo zapewnień owego Zakapturzonego jegomościa, pomimo pokrowca, który znaleziono na jego kopii, mniemam, iż dzieje się tu coś złego. Jest też niewątpliwie coś podłego w czynach owego człeka w czerni.

— Wiem, mości Lyndonie, i klnę się pamięcią Humy, iż uczyniliśmy co w naszej mocy, aby go przygwoździć! Nie raz i nie dwa razy nawet zbadaliśmy jego kopię! Sir Gabriel nie zrobił niczego niezgodnego z prawem, niczego nie można mu udowodnić, chyba że ślepy jestem i ja sam, i sędziowie. Starcie było straszne... tak, brutalne... po dwa-kroć tak. Ale zgodne z regułami.

— A jednak — upiera się sir Lyndon — nie uważam, aby ręka lady Enid ani znaczny majątek panny przywróciły mi stracony honor. Uważam bowiem, że splamię swą godność, stając w szrankach przeciwko komuś, kto nieuczciwie awansuje w turnieju, zdradziecko zabijając jednego z najgodniejszych rycerzy.

— Mości Lyndonie, nie myl, proszę, honoru ze strachem! — rozlega się grzmiący głos u wejścia do sali.

Głos ów należy do sir Prospera Inverno, który wkracza do wielkiej hali po swym zwycięstwie nad sir Ledyardem.

— Doskonale się dziś spisaliście, Inverno. — sir Robertowi jakoś udaje się powściągnąć gniew. Pamięta, że Sir Prosper jest jego honorowym gościem.

— Dziękuję za uznanie, sir Robercie — odpowiada skromnie sir Prosper. — Gdybym nie zwałił z konia sir Ledyarda, on stałby tu zamiast mnie. W rzeczy samej mam na sobie więcej chyba zadrapań niż mój niedawny przeciwnik, on ma jednak rozległe zadrapania w pewnym szczególnym miejscu, które — klnę się honorem — utrudnią mu znacznie dosiadanie konia w dniu jutrzejszym. Jego upadek był wielce zabawny, sir Ledyard zaś jak prawdziwy rycerz skwitował go wybuchem śmiechu.

Śmiejący się cicho sir Prosper przechodzi ku środkowi komnaty. Jego ciemnozielona tunika jest rozdarta na ramieniu — tam, gdzie kopia sir Ledyarda ugodziła w nieprzeniknioną przezroczystą zbroję. Prosper niezgrabnie i ciężko opada na fotel. Bola go uda od ściskania boków rumaka.

— Co słyszę, sir Lyndonie? Zamierzacie się wycofać i zostawić mnie na pastwę tego... Szarego Rozpruwacza? — Uśmiecha się i nie bez grymasu bólu krzyżuje przed sobą nogi. — Moglibyście choć nadwerężyć go rano — i osłabić przed popołudniową walką, którą ma stoczyć ze mną. — Ależ... mości Prosperze!

— Mości Lyndonie, dajmy już temu pokój. Wiele razy jednego dnia kruszyłem kopie z pięcioma i więcej przeciwnikami. Jeszcze jeden bezczelny samozwaniec, który ma przesadnie rozwinięte poczucie własnej ważności i nadmierne zamiłowanie do tajemnic i dramatów, nie powinien sprawić mi kłopotów.

— Mości Prosperze, myślę o waszym honorze. Staniecie przeciwko komuś, kto walczy, chwytając się nieuczciwych sposobów? Gdyby chodziło o bitwę, w której trzeba zabić wroga lub zostać zabitym, no... wtedy zgoda. Ale turniej to w końcu tylko sport, nic więcej. Nie wierzę zaś, aby sir Gabriel Androctus walczył...

— Dość, mości Lyndonie! — wybucha wreszcie sir Prosper. — Jakże możecie utrzymywać, iż wszystko to jest sportem, gdy sir Orban leży martwy w swoim namiocie, a jego giermek i służba zalewają się łzami i zbierają do odjazdu? Czy zamierzacie dopuścić do tego, aby giermek musiał powiadomić starego Albana z Kern, że jego syn zginął w turnieju,

— gdzie walczono orężem miękkim i w którym zabójca zdobył; główną nagrodę? Nie, mości Lyndonie — kończy swą przemowę sir Prosper. — Androctus będzie walczył dziś jeszcze... i moja w tym głowa, by przegrał.

Nadchodzi czas wysłanników, biegających od namiotu do namiotu. Sir Robert sekretnie wysyła gońca do namiotu sir Gabriela. Gонец zanoszący tajemniczemu rycerzowi propozycję, aby ostatecznie starcie odłożyć do jutrzejszego poranka. Celem propozycji jest umożliwienie odprawienia krótkich modłów żałobnych nad ciałem sir Orbana, zanim wyprawi się je w podróż do Kern.

Sir Robert w rzeczy samej to właśnie ma na myśli, prosząc o zwłokę, ale liczy również na to, iż nocny odpoczynek pozwoli sir Prosperowi odzyskać siły i sprężystość mięśni. Rano będzie gotów do walki i odesłania sir Androctusa do wężowej jamy, z której wpełzł, aby wziąć udział w turnieju. Niestety, nadziejom starego rycerza kładzie kres odpowiedź Zakapturzonego.

Wysłaniec wraca z pismem, nakreślonym ręką śmiałą i niecierpliwą — takie litery stawia człowiek pewny siebie, który nie zna uczucia strachu.

Nonsens. Po cóż zmieniać ustaloną procedurę — czy tylko po to, by dogodzić nieboszczykowi?

Turniej musi trwać dalej. Sir Prosper wylosował dziś rano godnego przeciwnika, mnie

zwycięstwo przyszło bez trudu. Ale takie są koleje losu na turniejach. O ile sobie przypominam, sir Prosper ciągnął przede mną.

Sami, szlachetny panie, ustaliliście zasady. Zechciejcie się do nich zastosować.

Sir Robert czyta ową notatkę przy swoim biurku. Odsyła posłańca, a po odejściu chłopca czyta ją raz jeszcze.

Rycerz wzdycha głęboko i z rezygnacją. Przez chwilę trzyma list nad drżącym płomieniem i patrzy, jak pergamin zajmuje się od ognia. Dzierży płonące pismo tak długo, jak tylko zdoła, aż w końcu ciska resztki w kominek.

Zaczyna się ostatnia runda turnieju, my zaś możemy obserwować, jak nadzieje sir Roberta wlatują pod niebo, lecą w dół, wznoszą się znowu... aby ponownie runąć w piach zaścielający pole szranków.

Jak i przedtem, podczas długich i nużących przygotowań, które poprzedzają prezentację przeciwników i sprawdzanie kopii, sir Robert bada wzrokiem horyzont — niemal odruchowo, bo stracił już nadzieję, że ujrzy nadjeżdżającego od gór Vingaard sir Bayarda Brightblade'a. A jednak... Cóż tam wzbija tumany kurzu... w odległości kilku mil na zachodzie,

gdzie równiny roztapiają się w bladawej purpurze Pogórza? — zastanawia się.

Tuman kurzu zbliża się powoli i przekształca w sylwetkę jeźdźca na koniu, który galopem zmierza ku zamkowi. Gdy jeździec wyłania się z cienia gór i podjeżdża bliżej, sir Robert dostrzega coś, co może być jedynie odbłaskiem słońca na zbroi.

Brightblade? Na krew Humy, gdybyż to było prawdą! Oto miałbym następnego przeciwnika dla Androctusa. Oczywiście trzeba by poświęcić kilka godzin na przekonanie tego miłośnika zasad, Androctusa, trzeba by też na kilka godzin zaryć się w Solamijskich Zasadach Rycerskich, aby poszukać jakiegoś precedensu. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Zakapturzony upierał się, aby skrybowie, uczeni i kapłani przejrżeli wszystkie trzydzieści siedem tomów — myśli sir Robert. — Nawet jeśli odwołanie do zasad zda się na nic, wygram czas dla sir Prospera. Wszystko zależy od tego, czy ów człek na drodze jest Bayardem Brightblade'em...

Sir Robert podnosi dłoń i ogłasza przerwę w przygotowaniach. Oznajmia, iż zbliża się jakiś jeździec. Nadjeżdża szybko od zachodu. Czasy są niespokojne, taki jeździec może być zwiastunem buntu, najazdu i bogowie tylko wiedzą czego jeszcze. Powołując się na te okoliczności, gospodarz żąda, aby dwaj ostatni rywale „raczyli wstrzymać się z pierwszym starciem, dopóki ów jeździec nie przybędzie do zamku i nie dowiemy się, czy niesie ważne wieści, czy...” — i Robert di Caela wybuchą śmiechem — „...nie jest to jakiś młodzieniec, który śpieszy, aby zająć na trybunie dogodnie miejsce przed ostatnią walką”. Prosper z Zeriak uprzejmie kiwa głową.

Androctus nie jest zadowolony. Jego Zakapturzony posłaniec przynosi od swego pana notatkę. Sir Gabriel oznajmia, iż rozstrzygające starcie było zaplanowane na tę właśnie godzinę i jeśli sir Robert di Caela jest człowiekiem honoru, powinien zadbać o to, aby wszystko odbyło się tak, jak należy.

Tego już za wiele. Sir Robert pochyła się i nie tając gniewu, woła do giermka:

— Przekaż swemu rycerzowi, sir Gabrielowi Androctusowi, że turniej toczy się w moich włościach. Ja ponoszę wszelkie koszty. Stawką i nagrodą jest ręka mojej córki. Składając razem jedno z drugim i trzecim, powiedz sir Gabrielowi...

Wypowiadając te słowa, sir Robert odwraca się od giermka ku rycerzowi, który daleko, u przeciwległego krańca szranków, siedzi

nieruchomo na czarnym rumaku. Stary rycerz podnosi głos, spoczywający obok niego sir Ramiro mruga szybko powiekami, a jego piękna — choć nikomu nie znana — towarzyszka zatyka kształtne uszy. Sir Robert ryczy tak, aż zaczynają się płoszyć rumaki. — ...że niech padnę trupem, jeśli nie

postąpię, jak mi się podoba!

Jest to najpiękniejsza chwila, jaką sir Robert przeżywa od trzech dni. Niestety, cały ten zgiełk kończy się szybko i żałośnie.

Jeździec wcale nie jest sir Bayardem Brightblade'em. Nadjeżdżający okazuje się gamoniowatym, czerwono włosym młodzikiem z Przymorza, odzianym w zbroję, która błyszczy tylko powyżej ramion, jego napierśnik bowiem i reszta pancerza są pokryte plamami piaszczystego błota, zmieszanego z gnijącymi wodorostami, rzeżuchą i innymi, straszliwie śmierdzącymi świństwami.

Szczeniak oznajmia, że nazywa się Pathwarden. Sir Robert przypomina sobie jego ojca i dziwi się, jak to możliwe, aby tak świetny rycerz, jakim był sir Andrzej, spłodził taką pokrakę. Chłopiec powiadamia o chęci wzięcia udziału w turnieju o rękę lady Enid di Caela. Gawiedź wybucha śmiechem, a sir Prosper, świadom głębokiej konfuzji młodzika, pochyła kopię ku trybunom. Śmiechy natychmiast zamierają, jako że wszyscy wielce szanują sir Prospera.

Wszyscy, prócz jednego człowieka. Z drugiego krańca turniejowego pola rozlega się śmiech Gabriela Androctusa — głęboki, melodyjny... i niemal piękny. Przez otwarte okno swej komnaty słyszy ów śmiech Enid di Caela. Dziewczynę intryguje ten dźwięk; podchodzi więc do okna i wygląda na zewnątrz.

Spoglądając po raz pierwszy na turniejowe pole, dostrzega sir Prospera z Zeriak — rozpoznaje go po nieco mglistej, przezroczyściej zbroi — ustawionego naprzeciwko śmiejącego się człowieka, przystojnego rycerza w mrocznej zbroi. Pomimo swej niewątpliwej urody nieznamy budzi w niej natychmiast antypatię. Dziewczyna zauważa też, że konkurent jest leworęczny. Rzadko obserwuje turnieje, wie jednak, iż mańkuci zwykle sięją zamieszanie i spustoszenie wśród współzawodników.

Nie bez zdumienia dziewczyna odkrywa, że boi się o sir Prospera z Zeriak. Nie ma szczególnej ochoty zostać małżonką człowieka, o którym wie, że jest od niej znacznie starszy i... mniej bystry, ale panna ma również świadomość, iż sir Prosper jest dobrym człowiekiem. O rycerzu w czarnej zbroi nie wie natomiast niczego, poza tym że zabił sir Orbana z Kern i choć wygląda urodziwie, na jego widok ciarki przebiegają po plecach. Dziewczyna widzi z góry dwa wierzchowce niecierpliwie grzebiące

ziemię kopytami. Obaj przeciwnicy dosiadają rumaków czystej krwi, stworzonych do popisywania się szybkością i siłą. Ta sama chęć ożywia sir Prospera z Zeriak. Rycerz wdzięcznie pozdrawia przeciwnika starym solamijskim salutem, opuszcza przyłbicę i unosi kopię.

Na przeciwległym krańcu szranków niczym wycięty w onyksie posąg nieruchomo tkwi Zakapturzony Rycerz, sir Gabriel Androctus. Gdy herold podnosi do warg trąbkę, sir Gabriel pochyła kopię. Rumaki ruszają naprzód i oto zaczyna się ostatnie, rozstrzygające starcie o rękę Enid di Caela.

Pierwsze skrzyżowanie kopii jest (co dziwi w przypadku dwóch tak zręcznych i doświadczonych rycerzy) nie rozstrzygnięte. Obaj zawodnicy nie popisują się szczególną siłą czy celnością ciosu. Androctus, na którym reputacja sir Prospera wywarła bez wątpienia spore wrażenie, zatacza wokół jadącego na siwku przeciwnika szeroki łuk, sir Prosper zaś niezgrabnie, niczym niedoświadczony fehmistrz, usiłuje trafić ostrzem glewii w zawieszoną na prawym ramieniu tarczę przeciwnika.

Zawodnicy mniej doświadczeni mogliby próbować rozstrzygnąć starcie już w pierwszym złożeniu, pragnąc powalić wroga jednym, błyskawicznie wymierzonym ciosem. Ale sir Prosper i sir Gabriel są bardziej doświadczeni i powściągliwsi — weterani szranków nazwaliby obu rywali (nie bez odcienia niechęci) rachmistrzami. Rycerze mijają się raz i drugi bez rezultatów. Dopiero za czwartym razem groty uderzają o tarcze. Starsi rycerze, wśród których nie braknie sir Ramira i sir Roberta, rozsiadają się wygodniej, oczekując długiej i zacieklej walki.

Przebieg kolejnego starcia zdumiewa jednak wszystkich bez wyjątku. Wygląda bowiem na to, iż

każdy z rywali odkrył wreszcie słabości przeciwnika i postanowił bezlitośnie je wykorzystać. Podczas piątego nawrotu sir Prosper unosi kopię i zamiast w tarczę trafia w hełm Zakapturzonego. Sir Gabriel wylatuje z siodła i wali się na prawą stronę swego rumaka, który pryska w bok, a ponieważ noga rycerza utkwiała w strzemieniu, wierzchowiec wlecze jeźdźca kilka kroków. W końcu Zakapturzony uwalnia się i niezbyt pewnie dźwiga na nogi.

Kopia sir Gabriela trafiła z kolei w sam środek tarczy sir Prospera, ale rycerz pochyła się w tejże chwili i grot ześlizguje się w stronę napierśnika. Sir Prosper, mimo że starszy od nieszczęsnego Orbana, jest jednak odeń i szybszy — dzięki błyskawicznemu unikowi w lewo udaje mu się zejść z toru osłoniętego i mknącego ku jego piersi z szybkością meteoru grotu. Ale unik pozbawia go równowagi. Sir Prosper przelatuje nad środkową barierą szranków i upada na bok. Następnie podnosi się z widowym

wysiłkiem i rozgląda wzdłuż barierki, szukając przeciwnika.

Przez chwilę każdy z nich myśli, że przegrał. Potem, widząc przeciwnika również spieszonego, każdy dobywa miecza i odzyskując pewność siebie, rusza na wroga. Zatrzymują się w odległości dziesięciu stóp od siebie. Sir Prosper dotyka ostrza swego miecza, w przemyślny sposób stąpionego na turniejową modłę.

— Na ostre, sir Gabrielu? — pyta ceremonialnie, głosem uprzejmym, lecz chłodnym.

— Za zgodą naszego gospodarza — odpowiada sir Gabriel. — W końcu — oznajmia głośniejszym głosem — sir Robert nie omieszkał przypomnieć nam, że to jego turniej. — Na ostre — godzi się nie bez wewnętrznych oporów sir Robert.

— Niech więc tak będzie — oznajmia sir Gabriel i wyciąga rękę, w którą jego giermek natychmiast wsuwa złowrogo lśniący wyostrzoną krawędzią miecz. Giermek sir Prospera robi to samo.

Obaj rycerze czujnie i powoli krążą przez chwilę wokół siebie. Potem, szybciej niż atakujące zmije, krzyżują ostrza.

— Nie potrafię nawet nadażyć okiem za klingami — skarży się Ramiro sir Robertowi. Otwiera też usta, chcąc powiedzieć coś jeszcze.

W tejże samej jednak chwili błyskawiczny, zadany przy odwróconym nadgarstku cios sir Gabriela trafia w cel. Sir Prosper dostaje głębokie i mocne pchnięcie w nie chronione zbroją zgięcie kolana i chwieje się na nogach. Walka jest skończona, południowiec ma przecięte ścięgna.

— Hola, mój panie! — Sir Robert zrywa się z miejsca. Na turniejowym polu zapada głęboka cisza. — Nie uważacie, że już dosyć?

— Dosit? — odpowiada sir Gabriel z niezmaconym spokojem. — Ależ skądże.

Odziany w czerń rycerz wykonuje szybki gest lewą dłonią i sir Prosper pada na kolana, potem na twarz. Bezlitosny sir Gabriel przeciął mu ścięgna w obu kolanach. Południowiec nie prosi o litość i nie odzywa się ani słowem. W milczeniu przyjmuje ból i wyrok okrutnego przeciwnika.

— Sir Gabrielu, zwyciężyliście w turnieju, zdobywając rękę mej córki i prawa do mego majątku. Odłóżcie teraz miecz — prosi sir Robert.

— Czy to nie wy sami zgodziliście się na to, iżby walka odbyła się na ostre? — pyta sir Gabriel. — Choć raz, sir Robercie, choć raz w historii waszej rodziny dotrzymajcie słowa!

Odziany w czerń przybysz szybkim ruchem unosi miecz w górę. Z nagłym błyskiem słońca ostrze spada na odsłoniętą głowę posyłającego ostatnie spojrzenie ku południowi sir Prospera.

Tak więc w niedzielę, za cztery dni, sir Robert odda rękę swej córki zwycięskiemu narzeczonemu, sir Gabrielowi Androctusowi. Wraz z ręką córki przekaże mu też ziemie i majątki rodziny di Caela. I oczywiście klucze do bram zamku di Caela.

Rozdział jedenasty

PODCZAS GDY TRWAŁ TURNIEJ, my przedzieraliśmy się przez góry Vingaard.

Pośród stromych wzniesień pogórza nasza podróż uległa dalszej zwłoce, jako że deszcze znacznie rozmyły szlaki. Agion i sir Bayard dwukrotnie musieli się zatrzymać, aby zepchnąć na bok zwalone drzewa i

blokujące szlak konary — niezależnie od zalegającego wszędzie błota pobocze drogi okazało się zbyt strome dla koni, owa droga zaś była jedynym szlakiem przez góry, którym mogliśmy zdążyć w porę na turniej.

Po dwóch dniach taplania się w błocie, mocno wyczerpani, dotarliśmy wreszcie do wyżej położonych terenów. Głównym elementem krajobrazu stały się teraz strome skały, które były kośćcem owych gór. Ranek wstał szary, ale zaskakująco rześki, przez chmury zaczęło prześwitywać słońce i już tak nas nie przygnębiała perspektywa ulewy. Na czele naszej grupki jechał Bayard na Walecznym. Rumak zupełnie odzyskał wigor, o czym dawał znać rażnym parskaniem.

Wierzchowiec posłuszny woli pana tańczył wdzięcznie, na szlaku przed Agionem, który zapomniał niemal o całym świecie, obżerając się zebranych po drodze jabłkami. Ja oczywiście siedziałem na grzbiecie centaury i trzymałem wodze jucznej kobyłki. Klacz była tak wściekła, że gdyby Bayard wcześniej wpadł na świetny pomysł ponownego obciążenia jej grzbietu zbroją, płomieniem swego gniewu mogłaby osuszyć bagna.

Ku południowi droga zaczęła się wyrównywać, a kraj wokół zmienił wygląd, jakbyśmy trafili w inną porę roku. Trawa stepów Przymorza, choć nie poddała się jeszcze jesieni, w miarę jak wspinaliśmy się wyżej ku górą, przybierała coraz bardziej spłowiałą barwę, a żyzny czarnoziem, który niżej rodził tak soczystą zieleń, ustępował tu grustom coraz bardziej skalistym.

Ogra zobaczyliśmy pod wieczór, zanim dotarliśmy do przełęczy, o której wspominał Bayard. Bestia była potężnym, krępy m stworem obleczonym w pełną zbroję. Krzepkie nogi dźwigały korpus gruby jak pień vallenu, zwieńczony beczkowatą piersią — ale łeb stworu krył się pod zaskakująco małym hełmem. Kły wystające z ogrzego pyska były żółtawe i poskręcane jak gałęzie cyprysu. Spod stalowych nagolenników wysuwały się sękaty i węzlaste stopy — wyglądało to trochę tak, jakby bestia zamierzała zapuścić w glebę pokraczne korzenie. Blokujący nam drogę ogr przerzucił przez ramię rybacki trójząb i sieć — jak żeglarz wracający właśnie z połowu. Dosiadał konia, który sprawiał wrażenie mocno przygnębionego.

Powietrze wokół potwora lekko migotało i nieznacznie drgało, tak jakby wewnątrz jego zbroi coś płonęło żywym ogniem. Od ogra odchyłały się też precz bezlistne gałęzie drzew porastających pobocze szlaku — może bestia była samą trucizną... a może zionęło od niej przenikliwym chłodem? Jadący przodem Bayard kiwnął stworowi głową, jakby zamierzał dać

mu wolny przejazd, ale potwór, szarpnąwszy wodze swego wierzchowca, zajechał Walecznemu drogę. Bayard zasalutował i podjął próbę objechania go z drugiej strony, ale ogr ponownie zablokował przejazd. Niosący mnie Agion nie wytrzymał.

— Mości rycerzu, onże stwór nie zna się na dwornych obyczajach. Wdziejcie zbroję i dajcie mu lekcję.

Bayard po raz trzeci spróbował wyminąć przeciwnika i po raz trzeci mu przeszkadzono. Propozycja Agiona wydała się zatem rycerzowi godną rozważenia. Zawróciwszy Walecznego, podjechał do jucznej klaczy, przy której zsiadł na ziemię i rozpakowawszy juki ze zbroją, zaczął wdziwać nagolenniki.

— I cóż, giermku? — odezwał się do mnie, patrząc na rozłożone na ziemi metalowe części pancerza. — Tak, panie?

— Czy do obowiązków giermka nie należy pomaganie rycerzowi przy nakładaniu zbroi?

Rozłożyliśmy się niemal przed samym pyskiem bestii. Pracowałem jak szalony, odgadując instynktownie, która sprzączka pasuje do jakiej zapinki, który rzemień związać z innym, domyśliłem się nawet, jak i w którym kierunku otwiera się przyłbica w hełmie. W końcu udało mi się jakoś poskładać rycerza w funkcjonalną całość i podsadziłem go na grzbiet Walecznego. Agion — zbyt rycerski, by wtrącać się do walki... i zbyt tępy, aby spostrzec przewagę, jaką dałoby nam chwilowe przynajmniej zapomnienie o wierności zasadom — usunął się na bok.

Oczywiście zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby dla mnie, gdybym wziął nogi za pas i zwiął, dokąd mnie oczy poniosą. Wiedziałem jednak, że niedaleko zajdę na piechotę, bestia zaś może zabić Bayarda, potem Agiona... a potem pogna za mną aż na równiny, gdzie mnie dopadnie i... moje uszy, jako barbarzyńskie trofeum, ozdobią siodło prześladowcy. Jak to określił kiedyś Gileandos: „w obliczu niebezpieczeństwa moja wyobraźnia lubowała się w dziwacznych wynaturzeniach...” i teraz właśnie rozigrała się, przedstawiając mi kolejne wizje morderstw, tortur i najrozmaitsze sposoby ćwiartowania ciała potencjalnej ofiary.

Bayard tymczasem dosiadł rumaka, trącił go lekko ostrogami i dobywszy miecza, lekkim truchtem ruszył ku sir Potwornemu — który stał bez ruchu, zaciskając dłonie na drzewcu trójzębu.

Piękny widok rycerskiej szarży rozplątał się w nicość w chwili, w której Waleczny zerwał się do galopu, a Bayard uniósł miecz. Nasz potworny przeciwnik wcale nie zamierzał parować trójzębem ciosów

miecza — usunął się z drogi i obojętnie, jakby trzepał dywan, zdzielił przelatującego obok rycerza płazem oręża w plecy. Sir Bayard wyfrunął z siodła jak zmieciony wichrem i zwałił się na skalisty grunt, gdzie legł równie spokojnie i nieruchomo jak otaczające go kamienie.

Sporo czasu minęło, zanim się poruszył. Jego przeciwnik tymczasem podjechał w górę ścieżki i zatrzymał się w miejscu, gdzie zwięzała się pomiędzy dwoma głazami, sięgającymi ogrowi do ramion. Teraz nie sposób byłoby przejechać, nie ruszając go z miejsca — ogr utkwiał tam niczym dobrze wpasowany głąz.

Agion natychmiast podbiegł do leżącego rycerza, przyklęknął u jego boku — co dla centaura było nie lada sztuką — i podjął próbę przywrócenia mu przytomności, podtykając pod nos różne mocno pachnące substancje.

Ja nie wykonałem żadnego ruchu. Patrzyłem na potwora, który siedział na swym koniu nieruchomo jak worek z bagażem. Nie ruszał się wcale i nie wyglądał zbyt groźnie. Ale czułem, że na mnie patrzy. Ktoś już kiedyś tak na mnie spoglądał...

Usłyszałem, że leżący za mną Bayard zakrzuszył się mocno, potem usłyszałem brzęk jego zbroi, gdy rycerz wstawał na nogi. — Centaurze, czym to wywijasz mi przed nosem? — Złocieniem, który...

— Wiem, wiem... dusi pacjenta i dobija go ostatecznie, o ile nie udało się tego osiągnąć wcześniej. Ale gdybyś zechciał skończyć z próbami otrucia mnie, to może...

Bayard nie od razu przypomniał sobie, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nagle wstał i spojrzał w górę ścieżki, gdzie niczym potężna metalowa barykada tkwił na koniu ogr. Sam zostałem na miejscu i wcale nie było mi spieszo dołączyć do towarzyszy. Gdy jednak ujrzałem, jak Bayard zachwiał się lekko na skalnej pochyłości, po czym uniósł miecz w solannijskim salucie i kiwnięciem dłoni wezwał Agiona, aby pomógł mu dosiąść Walecznego, poczułem coś w rodzaju wstydu. Wstydziłem się, że im nie pomagam.

Nie pozwoliłem oczywiście, aby wstyd dręczył mnie zbyt długo. Osobnik, który zapłacze się pomiędzy ogry i centaury, łatwo może stracić życie. Trzymając się więc z dala od całej awantury,

umknąłem za pień u podnóża pagórka i czekałem na wynik, gotów do natychmiastowej ucieczki, jeśli sprawy przybiorą obrót niekorzystny dla mojego pryncypała. Dosiadłszy konia, Bayard okręcił go w miejscu i rzucił wyzwanie

potworowi, który sterczał na ścieżce niczym wieża.

— Kim jesteś, ty, który tak zuchwale ośmielasz się zastawiać drogę miłującym pokój podróżnym? Żadnej odpowiedzi.

Niewzruszony Bayard ciągnął dalej: — Jeśli żywisz choć odrobinę szacunku dla pokoju i sprawiedliwości, usuń się i pozwól nam przejść bez przeszkód i zwady. Jeżeli jednak szukasz walki, wiedz, że będziesz miał do czynienia z Bayardem Brightblade'em z twierdzy Vingaard, rycerzem Miecza i obrońcą spraw trzech Zakonów Solamnijskich.

Brzmiało to nieźle, ale strażnik przełęczą stał wciąż na swoim miejscu, a jego mroczna sylwetka zlewała się z nie mniej mrocznym niebem na wschodzie. Bayard uniósł miecz i ruszył do ataku.

Tym razem starcie skończyło się w tej samej niemal chwili, w której się zaczęło. Stwór spokojnie machnął siecią, owijając ją wokół miecza sir Bayarda. Oręż wyleciał z rycerskiej dłoni i z brzękiem wylądował wśród skał. Tymczasem ogr z łoskotem — i ponownie płazem! — opuścił swój trójzab na hełm rycerza, nasz mistrz zaś raz jeszcze zwałił się na ziemię i legł nieruchomo. Zwycięzca bez sprzeciwu obserwował, jak Agion pogalopował ku leżącemu na ziemi rycerzowi, podniósł go i dość niezgrabnie trzymając bezwładne ciało w wyciągniętych rękach, przewiózł poza zasięg wraźego oręża.

Był to ze strony centaury czyn dzielny — ale i głupi, cóż bowiem mógłby zdziałać, gdyby ogr zechciał niespodzianie pchnąć go trójzębem w plecy?

Wydstawszy się poza zasięg trójzębu, Agion minął mnie niespiesznym truchtem, ja zaś ruszyłem za nim, ciągnąc za sobą oporną kobyłkę. Odsądziwszy się może ze sto kroków od tkwiącego nadal nieruchomo na ścieżce ogra, zatrzymaliśmy się pośród niewielkiego kręgu głazów, położonego tuż obok szlaku. Agion ponownie pochylił się i przystawił Bayardowi do nosa sproszkowany złocień. Tym razem nic się nie stało. — Czy on...

— Stracił tylko przytomność — pospieszył Agion z pocieszeniem. — Przez jakiś czas sir Bayard będzie... nieobecny duchem. — Centaur spojrział w górę szlaku. — Wydaje się, że nasz wróg gdzieś zniknął.

Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem. W rzeczy samej, potworny przeciwnik nie blokował już ścieżki. — Agionie, dasz radę go dźwignąć i powieźć na grzbiecie? Może — zdołamy się jakoś przemknąć, podczas gdy Jego Krzepkość przebywa gdzie indziej? Albo może... wracajmy na zachód, ku Przymorzu... Centaur potrząsnął głową.

— Nie, mój mały przyjacielu, musimy pozostać tu przez jakiś czas. Rycerz odniósł poważne obrażenia. Nie można go ruszyć bez narażenia na szwank jego zdrowia. Dopóki więc nie odzyska przytomności, będziemy podtrzymywali ogień, trzymali straż i strzegli się ogrów.

Rozejrzałem się dookoła. Otaczające nas skały nie wyglądały zachęcająco. Bayard przywiódł nas w góry Vingaard, w rozciągającą się wysoko ponad linią lasów krainę skał, żwiru, lodu i kamieni, gdzie panowała czujna i uciążliwa cisza.

Następny dzień był jeszcze gorszy niż poprzedni. Bayard nie reagował na złocień, mimseń ani porusznice. Wiem, bo Agion wyprawił mnie pomiędzy skały na poszukiwanie tych właśnie ziół i jeszcze kilku innych, które mogłem tam znaleźć. W poszukiwaniu zielska zapuściłem się tak daleko, jak pozwoliło mi na to moje męstwo, gdy zaś wróciłem do obozu, zastałem Agiona klęczącego nad uparcie nieprzytomnym Bayardem.

— Czy mówiłem ci kiedykolwiek, co ciocia Megiera mówiła o porusznicy? — spytał Agion. —

Agionie, posłuchaj, nie sędzę, aby była to właściwa pora...

— Powiadała, że dobra jest na każdą niemal dolegliwość... o ile zechcesz poczekać około roku na rezultaty. — Z tymi słowy odrzucił na bok pęczek ziela, o którym była mowa. — Agionie...

— Sam musisz czuwać, aby ostrzec nas w porę przed powrotem tajemniczego ogra. Ja zajmę się nagłymi zmianami pogody i nie znanymi mi na razie ubocznymi skutkami działania tych śmierdzących ziół. Gdybyś zapytał mnie o zdanie, to radziłbym ci ułożyć się wygodnie na noc, ponieważ dziś niewielkie są szanse na to, aby sir Bayard wstał i gotował się do drogi.

Z nadejściem nocy nasza sytuacja jeszcze się pogorszyła — o ile uznacie to za możliwe. Opadła temperatura i tak już rzadkiego powietrza, jakby nagle wokół nas miała zapanować zima. Krajobraz skąpały krwawe promienie zachodzącego słońca, a nasze cienie wydłużały się niesamowicie, gdy wschodnia połać nieba zaczęła zaciągać się mrokiem. Wkrótce jedynym źródłem światła i nikłego ciepła stało się ognisko, które Agion rozniecił z resztek liści i suchych gałęzi.

Wyjąłem z kieszeni moje prześwietne skórzane rękawice — te drogie, które nabyłem za pieniądze służących i dla uniknięcia podejrzeń

chowałem starannie podczas podróży przez te obrzydliwe bagna. Teraz było zbyt zimno, aby przejmować się tym, co ktoś myśli o moich rzeczach osobistych.

— Czy nie sądzisz, że sir Bayard przywiązuje zbyt wielką wagę do tych Solamnijskich zabaw? — spytałem szeptem Agiona. — W końcu podczas idiotycznego wyścigu z czasem przez te góry ryzykuje nie tylko swoje życie, choć godzi się rzec, że sam również się nie oszczędza.

— Nie umiem powiedzieć — odparł Agion. — Czy to nie gdzieś wśród innych Zasad napisano, że turniej jest sprawą równie ważną jak życie i śmierć.

— Agionie, wychowałem się wśród Solamnijszczyków i myślę, że usłyszałbym o takim idiotyzmie, gdyby ktoś choć o nim napomknął. Sprawą życia i śmierci jest natomiast surowość klimatu, z którym przyjdzie nam się zmierzyć. Popatrz tylko na niego.

Bayard leżał obok nas zawinięty w koc, stanowiący nikłą ochronę przed zacinającym ostro wiatrem. Rycerz od dwunastu godzin nie okazywał żadnych oznak powrotu do przytomności.

— I cóż mam ci rzec? — zakipiał nagłym gniewem Agion. — Nie grozi nam wcale śmierć w uściskach lodu i nie mów mi, że odmrozimy sobie pośladki. Paniczu Galenie, dojadła wam zwykła niewygoda — to, na co się uskarżacie, to ból, jaki cierpi syn szlachetki nawykły do chronienia się za kominkiem, gdy pierwsze przymrozki ścinają kałuże. Miałki z ciebie człek, paniczu Galenie — i choć nie mnie wytykać takie rzeczy, uważam, że należy ci się nauczka!

Odwrócił się ku mnie z miną pełną odrazy i potępienia i pewnie oczekiwał, że powinienem był spalić się ze wstydu.

— Po pierwsze, nie przystoi ci tchórzostwo, niegodne tego, kto służy rycerzowi tak dzielnemu, jak sir Bayard. Są jeszcze i inne, drobniejsze potknięcia — żałosne skargi, lamentsy i narzekanie na podróż i pogodę. Uskarżasz się na ból niegodzien wzmianki — jeśli w twoim siodle jest dziura, to ją zatkaj, jeśli masz kamyk w bucie, to go wyrzuć, bo zaczynam się zastanawiać, z jakim też czołem staniesz w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa i prawdziwych niewygód. Ale dość już, i tak powiedziałem za wiele.

— W jednym przynajmniej masz rację, centaurze. Powiedziałaś za wiele. Jeśli razi cię moje utyskiwanie na pogodę, racz rozejrzeć się wokół. Agionie, im wyżej się wspinamy, tym powietrze robi się chłodniejsze, ale wielki, gruboskóry i ciężko myślący centaur będzie chyba ostatnią osobą, która zwróci uwagę na groźbę mrozu. Różne mogą być koleje losu naszej

— wyprawy. Może okazać się, iż w najwyższych partiach przełęczą zabraknie nam żywności. Słyszałaś te historie — jak to podróżni najpierw zjadają resztki zapasów, potem konie, a w końcu

zabierają się jedni za drugich? Cóż, jeśli nam skończy się żywność, zjemy juczną kobyłkę, potem Walecznego... pewien jestem, iż prawidłowo ustaliłem porządek. Zgadnij jednak, kto będzie następny? Zanim ludzie zaczną zjadać sami siebie, zwykle spożywają przedtem wszystko. Taka jest ich natura... wszystkie rasy tak właśnie postępują... no, wyjątkiem są może gobliny.

Pamiętaj o tym, kto różni się od pozostałych — szepnąłem tonem tak złowrogim, jaki tylko zdołałem z siebie wydobyć. — Lojalność wobec własnej rasy to uczucie, z którym zawsze trzeba się liczyć

Obaj więc pograżyliśmy się w posępnym milczeniu. Ustaliliśmy porządek wart na resztę nocy — każdy miał spać, podczas gdy czuwał drugi. Agion oczywiście chrapał tak donośnie, że niekiedy zrywałem się ze snu w czasie mojej wartowniczej kolejki. Budziła mnie mianowicie obawa przed lawiną skalną lub śnieżną, która wali się na nas z niewidzialnego szczytu.

Spanie na warcie stanowiło oczywiście największą z możliwych głupot. Sen był mi jednak potrzebny, ponieważ wspomnienia obudziły we mnie stare strachy, które przysiadły u ogniska i wślizgnęły się pod mój koc. Śniłem więc o tym, iż odnajduje mnie Skorpion, a potem Bayard odkrywa nasze konszachty, że Alfric z nożem w dłoni wydobywa się jakoś z bagna i że na koniec natykamy się na ojca, który trzyma w dłoni wyrok skazujący mnie na powieszenie. Otrząsałem się z tych snów i zacząłem czuwać dopiero przed świtem — kiedy mrok nocy był najgłębszy.

Jak się okazało, miałem sporo szczęścia. Zdrzemnąłem się, a podczas mojej drzemki nic się nie wydarzyło. Westchnąłem i spojrzałem w górę, gdzie nad moją głową obracała się z wolna Księga Gileana, zakrywana przez przeciągające ze wschodu na zachód chmury. Niełatwo było coś ujrzeć i usłyszeć poza blaskiem ogniska i sykiem płonących polan, parsaniem koni, chrapaniem Agiona i przytłumionym poświstywaniami wiatru. Gdzieś z rozciągających się na południu mroków — od strony przełęczy — wiatr przyniósł mi jakiś dźwięk. Usiadłem i zacząłem nasłuchiwać, dźwięk ów jednak się nie powtórzył.

Siedziałem i nasłuchiwałem tak może z godzinę. Ale usłyszałem tylko trzask sośniny w ognisku i chrapanie centaury, śpiącego — pewien byłem — bez żadnych złych myśli, jako że i na jawie myśli nie nawiedzały go przesadnie często. —

Ja usłyszałem ludzkie głosy. I przysięgłbym, iż były to głosy nawołujących się swymi imionami moich braci.

Gdy Agion zmienił mnie na posterunku, przez chwilę zastanawiałem się, czy nie ruszyć w tamtą stronę. Dokąd jednak tamci się udali?

I któż zaręczy, że wiatr przyniósł mi głosy braci, a nie jakiegoś potwora?

Bayard ocknął się rano, mamrocząc coś pod nosem do niejakiego Laufnala o tym, że „Vingaard jest znów w naszych rękach” i że „trzeba zabezpieczyć majątek”. Najwidoczniej przeniósł się o setki mil i o kilkanaście lat wstecz, stąd straciliśmy sporo czasu, zanim wyjaśniliśmy mu, jak sprawy stoją.

Nie był jednak gotów do drogi. Choć nie bez oporów, zgodził się poczekać jeszcze jeden dzień, ponieważ wiedział, że nie bardzo nadaje się do konnej jazdy.

Z nadejściem wieczoru Bayard poczuł się nieco lepiej. Odprężył się i zaczął się zachowywać... prawie miło. Ogra nadal nigdzie nie było widać, zostawiając więc juczną klacz i Walecznego opiece Agiona, wspięliśmy się we dwu na skalne, szare, wznoszące się nad szlakiem urwisko. Bayard gestem dłoni wskazał horyzont.

— Być może stąd właśnie podczas Wieku Legend wypatrywano smoków... wtedy bowiem na świecie istniały smoki — mruknął jakby do siebie. — Kto miałby to robić, sir Bayardzie?

— Krasnoludy. Albo ludzie. A może przedstawiciele rasy starszej od tych dwu i dawno już zapomnianej? Tak niewiele wiemy o czasach, w których wypiętrzyły się te skały. Spojrzał na mnie z

uwagą.

— W rzeczy samej — zakonkludował — o naszej przeszłości wiemy tylko tyle, że często wpędza nas w kłopoty.

Milczał przez chwilę. Patrzyłem z gór na wschód, gdzie teren szybko obniżał się ku pagórkom, te zaś przechodziły w niewysokie wzgórza, roztapiające się w rozległe równiny — mimo gęstniejących ciemności świetnie widoczne z miejsca, w którym staliśmy.

Kraj ów tak samo musiał wyglądać w czasach, o których mówił sir Bayard — w Wieku Legend, gdy ludzie toczyli wojny z elfami, krasnoludy nie ufały nikomu, wszyscy zaś strzegli się smoków. Być może tylko drzewa rosły wtedy nieco gęściej, jako że nikt ich nie ścinał i nie palił. I może, nawet jesienią, częściej śpiewały tu ptaki.

Gdy tak rozmyślałem, ujrzałem jakiś błysk światła, na samym niemal skraju zasięgu wzroku. Zaraz potem ujrzałem drugi błysk, potem trzeci i wkrótce cała wschodnia, mroczna połać horyzontu, usiana została plamkami nikłych światełek. Wyglądało to tak, jakbyście patrzyli z góry na odległą komnatę, w której ktoś — na przykład psotny chłopiec — ukrył sporą garść świetlików. — To Solamnia — odezwał się cicho stojący obok mnie sir Bayard. Odwróciłem się ku niemu i ujrzałem, iż się uśmiecha.

— Tam na wschodzie widzisz wioskę w Solamnii. Miłe miejsce, w połowie drogi między tą przełęczą a południową odnogą rzeki Vingaard. Jeśli bogowie pozwolą, dotrzemy tam jutro pod wieczór. Stamtąd do zamku di Caela zostaną nam jeszcze dwa dni podróży... może wystarczy tylko dzień i noc, jeśli starczy nam ducha i jeśli konie wytrzymają takie tempo.

— Teraz zaś — tu spojrzał mi w oczy, a ja ujrzałem w jego twarzy, jak bardzo jest wyczerpany — odpocznijmy... co nam się słusznie należy. Ogromnie zależy mi na tym, aby zdążyć na ten turniej, ale nie zaryzykuję życia moich towarzyszy w nocnej podróży przez tak skalisty teren.

— Paniczu Galenie? Mości Bayardzie? — rozległ się okrzyk wołającego z dołu Agiona. Po raz pierwszy usłyszałem w głosie centaury cień obawy.

Bał się śliskich gładów i osypisk, które mogły nagle obruszyć się pod jego wielkimi kopytami. Bayard cofnął się ku miejscu, gdzie centaur mógł go zobaczyć.

— Agionie, roznieć ognisko. Wkrótce zejdziemy do ciebie, usiądziemy i porozmawiamy. Potem zaś, gdy przyjdzie pora, udamy się na spoczynek.

Urwisko rozciągało się nad przełęczą na długość przeszło stu kroków. Bayard świetnie znał przełęcz, znał i wiodący ku niej płaskowyż. Z pewnością nie zdecydowałby się na nocleg w tym miejscu, gdyby przed nami nie leżał teren naprawdę niebezpieczny.

U podnóża osypiska powietrze było spokojne. Znaleźliśmy tu sporo suchych gałęzi i chrustu, zebranych w pęczki — jakby podróżujący tędy przed nami ludzie zadbali o naszą wygodę, choć z pewnością nie wiedzieli, kto przyjdzie po nich ani kiedy zjawią się ich następcy.

Agion jakoś rozniecił ogień, kiedy tylko zdołał zebrać nieco chrustu. Ujrzawszy błysk krzesanych iskier i poczuwszy woń płonącej sośniny, konie przysunęły się bliżej. Usiedliśmy, opierając się plecami o końskie boki, dłonie zaś i twarze zwróciliśmy ku ognisku. Wtedy to usłyszałem pozostałą część opowieści Bayarda.

Zrozumienie tej opowieści jest jak przypomnienie sobie owych zagłębień na poboczu drogi, wypełnianych zostawionymi tam wiązkami chrustu — są w niej fragmenty, które zostaną wykorzystane później, i to w sposób, o jakim nie śnili nawet jej twórcy.

Rację miał Bayard, kiedy mówił o przeszłości, że niekiedy uchyla nam rąbka tajemnicy po to jedynie, aby wpakować nas w kolejne tarapaty.

— Tak więc — zacząłem, gdy ciepło rozgrzało mi nieco skórę i pogryzany suchar (chyba ostatni

z zapasu, który zabraliśmy w podróż) zaczął tajać w moim żołądku — Brightblade'owie mieli coś wspólnego z początkiem historii o di Caelach. Co jednak robią w niej teraz? Bayard wetknął w ognisko kolejną gałązkę.

— Jeden Brightblade. Widzisz, Galenie, jestem ostatni z rodu i na mnie opowieść się kończy. Historia rodu Brightblade'ów krzyżuje się z historią di Caelów dwukrotnie — na początku i na końcu. W rzeczy samej to Brightblade ma zniweczyć przekleństwo di Caelów. Nie powiesz mi chyba, że zapomniałem wspomnieć o przepowiedni, która spina ze sobą obie opowieści? Spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

— Nie inaczej, sir Bayardzie. Obawiam się, że „zapomnieliście o niej wspomnieć”. To zresztą drobiazg. Po tym, jak kazaliście mi błąkać się po bagnach, w których omal nie utonąłem, potem zmusiliście mnie, bym stawił czoło ogrowi, co prawie porąbał nas na kawałki, teraz zaś przywiedliście mnie w najzimniejsze chyba na świecie miejsce, gdzie niewiele brakło, a byłbym skapiał z mrozu, fakt, iż „zapomnieliście wspomnieć” o prawdziwym powodzie, dla którego włóczycie mnie ze sobą po świecie, jest drobiazgiem niegodnym uwagi.

— Galenie, uspokój się — westchnął Bayard, wstając od ognia i ruszając ku mnie. — Wysłuchaj reszty mojej historii. Przepowiada ona początek końca linii Benedykta di Caela lub samego Benedykta, jeśli to on — zgodnie z niektórymi legendami — od czterystu lat powraca, aby dręczyć rodzinę. Jest to dla niego początek klęski... albo zwycięży, i to ostatecznie.

Przepowiednię, którą pamiętam słowo w słowo, ujrzałem po raz pierwszy w Wielkiej Bibliotece w Palanthas, kiedy niewiele miałem do roboty, poza czytaniem, czekaniem i zdobywaniem wiedzy. Na ową księgę trafiłem przypadkowo, jak to często się zdarza. Otworzyłem ją od niechcenia na trzecim rozdziale i zacząłem czytać, początkowo bez specjalnego zainteresowania... aż natknąłem się na nazwisko Brightblade'ów. Przewertowałem potem setkę stron i ponownie je

odnalazłem. Widniało na końcu rozdziału, w dopisku, który najwyraźniej dotyczył mnie samego.

Od setek lat okrutna klątwa ciąży na rodzie di Caelów. I będzie tak, aż piękna panna przejmie dziedzictwo na kasztelu. Gdy sprawy pójdą mrocznym szlakiem, błysk Jasnej Klingi obok panny i martwi, co powstaną z traw, zniweczą klątwę nieustanną.

— Jeśli byście mnie spytali, panie, odparłbym, że to jakaś gra słów — zauważyłem. Przez chwilę obaj milczeliśmy, wsłuchując się w śpiew wiatru smagającego leżące niżej głazy. — Pierwsza część jest jednak dość jasna... ale czy dziedzictwo di Caelów rzeczywiście po raz pierwszy dostaje się kobiecie? Bayard skinął głową. — Od czterech setek lat.

— Co więcej, muszę się zgodzić, iż odnośnik do Jasnego Ostrza z pewnością nie jest przypadkowy. Ostatnie jednak wiersze są zawiłe, tajemnicze i źle zrymowane. Czy pomyśleliście o tym, że można je odczytać inaczej?

— Nie, Galenie, choćbym miał przypłacić to życiem. Za każdym razem, gdy to odczytuję, znaczenie jest dla mnie oczywiste. Co samo w sobie oznacza dość niezwykłą, jak na przepowiednię, klarowność stylu.

Wiatr zawył głośniejsz, a Bayard przysunął się bliżej do ogniska i ponad płomieniami zmierzył mnie spokojnym spojrzeniem.

— Mnie zaś się wydaje, że jeśli ktoś znajduje siebie samego opisanego jako bohatera, który ma spełnić przepowiednię z dawno spisanych kronik, z wieszczych poematów Satha, Historii Astinusa czy z pomniejszej pracy, takiej, jaką znalazłem w Wielkiej Bibliotece... kiedy dowiaduje się, że ma do odegrania ważną rolę i bez jego pomocy nie rozplącze się węzła tragicznych wydarzeń... ów ktoś po prostu powinien zrobić, co do niego należy, ponieważ staje po stronie dobra i musi spełnić swą misję.

— Mości Bayardzie, czyście nie pomyśleli, że mimo waszych dobrych chęci i przyrodzonej szlachetności serca, rola, jaką macie odegrać, może okazać się fatalną i niszczycielską? — spytał Agion, owijając mnie kocem. Okazało się, że centaur ma zadatki na tęgiego filozofa.

— Albo, dobry panie, nawet jeśli rola, jaką macie odegrać, jest rolą szlachetną... czyście nie pomyśleli, że szukając swego miejsca w historii, doprowadzicie do śmierci waszych dwóch, równie jak wy szlachetnych i prawych towarzyszy?

Bayard oparł głowę o stos granitu i wapieni. Zamknął oczy i wsłuchał się w pieśń, którą wiatr wyśpiewywał wokół naszego obozowiska. Na

zewnątrz, poza kręgiem ognia i kamieni, zapadła już noc. Tak mniej więcej wyobrażałem sobie krajobraz na srebrnym Solinari, który — wedle legend i mitów — miał dobroczynny wpływ na naszą planetę, ale jego powierzchnia była zimna, pusta i nieprzyjazna.

— Uważacie więc, że o tym nie pomyślał? — spytał w końcu Bayard i na krótką chwilę jego twarz upodobniła się do pustyni, nad którą dmie zimny wicher. W tym momencie mój rycerz wyglądał jak człek sześćdziesięcioletni... i to mnie zaniepokoiło.

— Ale tak czy inaczej — zakonkludował, a wyraz jego twarzy złagodniał — nic dobrego nie wyniknie z rozważania takich spraw, zanim jeszcze cokolwiek się stało i — tu wykonał gest, obejmujący całe otoczenie — w tak niefortunnym miejscu. Bądźcie jednak pewni — dodał cicho, lecz z naciskiem w głosie — że nie narażę was na niebezpieczeństwo ani dla korzyści osobistej, ani dla zaspokojenia swej ambicji.

Agion kiwnął głową i przysunął się do ognia. Mnie zapewnienia Bayarda uspokoiły tylko częściowo. — Co wspólnego ma z tym wszystkim sir Robert di Caela?

— Sir Robert di Caela — odpowiedział Bayard nie bez wahania w głosie — o tym wszystkim, jak zechciałeś to określić, nic nie wie. — Chcecie rzec, iż nic nie wie o przepowiedni dotyczącej jego rodu?

— Zawilej i tajemniczej przepowiedni, sam tak powiedziałaś, Galenie — poprawił mnie Bayard. — Być może nie odnotował jej nawet inny historyk... te kilka wierszy zapisał na marginesie jakiś skryba... znać to po innej barwie inkaustu i charakterze pisma.

— To niewykluczone. Chcecie powiedzieć, że wy jedni znacie tę... to proroctwo?

— Bardzo to być może. Znalazłem je w Wielkiej Bibliotece, ale ukryte w zakurzonej księdze stojącej pośród wielu do niej podobnych. Pismo było już niewyraźne, i nawet ja, z moim bystrym wzrokiem młodzieńca, przeczytałem je nie bez trudu. Podejrzewam, iż natknąłem się na oryginał nigdy nie kopiowany przez skrybów. Notatkę napisano jednak pismem śmiałym i pewną ręką.

— Ależ panie, ja sam mógłbym spisać księgę proroctw i puścić wodze fantazji, opisując przyszłość wedle swych upodobań. Mógłbym użyć nawet tych kości, o których powiadacie, że nie godzi się im wierzyć. Skądże wiecie, iż autor waszej notatki był prawdziwym wróżbitą czy jasnowidzem? Być może był jednym z tych oszustów, którzy po horrendalnych cenach sprzedają szklane błyskotki lub olejki, o których twierdzą, że przywracają wzrok, jeśli posmaruje się nimi powieki. Ale

— błyskotki są ze szkła, olejek zaś to zwykła paczula. Czy nie mogło być tak, że owa księga stała na półce z podobnymi osobliwościami? Bayard poważnie skinął głową.

— Myślałem i o tym — stwierdził, marszcząc brwi. — Mogę ci jedynie odpowiedzieć — ciągnął, cofając dłonie znad ognia i dmuchając na nie lekko — że to, co zdaje ci się przypadkiem, wcale nim nie jest, wszystko bowiem wskazuje na to, iż nasze czyny stają się częścią historii. Oczywiście, na Księgę Vinas Solamnusa trafiłem przypadkowo, nie był to jednak ślepy traf. Było to jedno z ogniw łańcucha wydarzeń... ale wtedy jeszcze tego nie widziałem.

— Jak rzutu dwóch kości — zauważyłem obojętnie, Bayard zaś patrzył na mnie przez długą chwilę, otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale ostatecznie umilkł, rozmyśliwszy się najwidoczniej. Gdzieś za nami juczna kobyłka stukała kopytem w ziemię, a Waleczny zarżał... jakby poza kręgiem blasku z ogniska ktoś śmiał się i tańczył.

— Na razie jednak — stwierdził Bayard, owijając się kocem (choć leżał w odległości tylko dziesięciu stóp od ognia, jego oddech parował intensywnie) — najlepiej nie myśleć o takich sprawach. Prześpijmy się.

Zgodnie z przewidywaniami Bayarda ogr wrócił przed północą. Podczas poprzedniej utarczki bestia nie doznała żadnej szkody i rwała się do walki.

Bayard z kolei był w kiepskiej formie. Podniósł się mimo to powoli — pomyślałem, że mój mistrz jeszcze nie odzyskał sił — i pozdrowił niesamowitego przeciwnika precyzyjnym solamnijskim przedbitewnym salutem. Trzymając miecz w prawej, sztylet zaś w lewej dłoni, stanął obok ogniska, spojrzął na ogromny mroczny kształt na koniu i ceremonialnie skrzyżował ramiona na piersi.

Podczas tego przedstawienia przeciwnik nawet nie drgnął. Wątpiłem, czy przyczyną tego był szacunek, jaki bydłę żywiło dla solamnijskich obyczajów. Jeśli już o tym mowa, ogry nie szafują przesadnie swoim szacunkiem. Bestia prawdopodobnie czekała po prostu, aż ten maluch w zbroi podjedzie bliżej i znajdzie się w zasięgu trójzębu.

Agion i ja skoczyliśmy natychmiast ku Bayardowi, usiłując powstrzymać go przed rzuceniem się (konno) w paszczę huraganu.

— Sir Bayardzie, wcale nie musicie z nim walczyć — tłumaczyłem. — Niech jedzie za nami, a gdzieś, w jakimś dogodniejszym miejscu, zastawimy nań pułapkę.

Wydawało mi się to dość rozsądne, ale Bayard odwrócił się do mnie plecami i zaczął zaciągać sprzączkę przy nagolennikach.

— Jeśli upieracie się przy tym — dodał Agion — że los każe wam pokonać tego potwora zamykającego nam drogę, raczcie zważyć, iż jest to również i nasza droga... moja i Galena... Czekająca was walka jest więc i naszą walką.

— Sądzę, jeśli już musimy przez to przechodzić — wtrąciłem się szybko, rzucając Agionowi spojrzenie pełne nienawiści i błyskawic — iż powinniście wspomnieć własne słowa: to sprawa pomiędzy rycerzem i jego przeciwnikiem. Choć Agion i ja bardzo chcielibyśmy wam pomóc, nie możemy się wtrącać... chyba że złamiemy (w pewnym sensie) wasze zasady i splamimy waszą rycerską cześć. — Dlatego też, Galenie, nie mogę uciekać się do podstępów. — Rozumiem, sir — odparłem, nie patrząc mu w oczy.

Tym razem sprawy potoczyły się nieco inaczej. Waleczny (który niewątpliwie pamiętał starcie sprzed dwóch dni) był narowisty, pienił się i wierzgał... co na pewno utrudniało walkę Bayardowi. Mimo że mocno osłabiony i obolały, rycerz uspokoił rumaka klepieniem urękawiczonej dłoni, a potem zwrócił się ku nam.

Ujrzałem wtedy, że wcale nie wygląda na człeka, który wie o czekającej go klęsce. Owszem, był zmęczony i czuł (niezbyt wielki) respekt przed przeciwnikiem, ale pod tym wszystkim jednak dostrzegłem pewność siebie i wiarę w możliwość zwycięstwa, których jeszcze przed chwilą nie widziałem.

— Galenie, jeśli zdołam powstrzymać ogra choćby tylko podczas tej nocy, pewien jestem, iż potrafię go pokonać — wyszeptał. — Z pewnością nie bez powodu walczy tylko w nocy. Założę się, iż przyczyna tego jest prosta i zgodna z treścią starych legend — bestia nie może walczyć w dzień, bo światło słoneczne ją osłabia. Często tak właśnie jest ze stworami mroku. Pomyśl o kuzynach ogrów, trollach i goblinach, przypomnij sobie, jak bardzo nie cierpią blasku słońca.

Bayard skierował Walecznego ku polu bitwy, obejrzał się przez ramię i uśmiechnął, zatraskując przyłbicę.

— Bądź jak lis, chłopcze! Jak lis! — zawołał, gdy Waleczny zerwał się i ruszył klusem, potem zaś — gdy koń, wyczuwając spokój jeźdźca, odzyskał pewność siebie — poprowadził go galopem wprost na mroczną sylwetkę tkwiącego wśród skał ogra. Rycerz podjął wielce niebezpieczną grę.

Wspiąłem się na niezbyt rozległą płaskość na zboczu, skąd mogłem mieć świetny widok na rozgrywające się wydarzenia. Gdy Bayard pędził w stronę siedzącego na koniu ogra, spojrzałem na czyste i zimne jesienne

niebo. W górze nade mną krążyły gwiazdy składające się na konstelację bogini Mishakal i gdybym w nie wierzył, znak ten z pewnością dodałby mi odwagi. Sięgnąłem po kości Calantiny i odczytałem je w blasku dwu księżyców i słabego, oddalonego ode mnie o ponad pięćset kroków ogniska Agiona. Znak Mangusty.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Znałem tańczony w dalekim Estwilde Taniec Węża, kiedy tancerz naśladuje ruchy mangusty, która śmiertelnie niebezpiecznemu wężowi, uosobianemu przez rytm fujarki i bębenków, przeciwstawia jedynie spryt, szybkość i ostre kły. Wspomniawszy ów taniec, zacząłem ufać, że wizja Bayarda ziści się i jeśli uda nam się utrzymać przy życiu do rana, to z pierwszymi promieniami słońca ogr wyda z siebie mrozący w żyłach krew wrzask i zniknie w obłoku dymu albo na naszych oczach zapadnie się pod ziemię.

Kiedy wreszcie poświęciłem się całkowicie obserwacji starcia, ujrzałem, że Bayard zatrzymał się może w odległości czterdziestu stóp od ogra — i może dwudziestu poza zasięgiem trójzębu i sieci — w miejscu, gdzie skały cofały się trochę i szlak rozszerzał się nieznacznie. I gdzie było dość przestrzeni na manewry i uniki.

Mój rycerz został więc na miejscu i spoglądał z góry na przeciwnika. Ogr zareagował na to, unosząc się nieco na koniu, przypominającym teraz mroczną, wolno wzbijającą się z ziemi chmurę, aż upodobił się do jeźdźca na niosącym burzę obłoku. Obaj przeciwnicy zachowywali się — jak dotąd — tak cicho, że zza skał wychynął zajac, który stanął słupka pośrodku drogi i sterował tak przez chwilę, aż wreszcie niespiesznie pokicał dalej, nieświadom faktu, iż minął miejsce, które za chwilę będzie pełne tętentu kopyt, trzasku mieczy, chlupotu krwi i łoskotu stali. Teraz jednak było tu cicho.

I nagle, gdy zajac już zniknął, dostrzegłem pierwszy ruch, pierwsze drgnienie. Jednak nie Bayard był tym, który nie wytrzymał. Drgnęła dłoń ogra, ta, w której trzymał trójzab. Bestia przechyliła głowę i spojrzała na Bayarda, który nadal nieruchomo tkwił na swym koniu. Czarna rycerska opończa trzepocząca na wietrze nadawała mojemu mistrzowi wygląd wielkiego i niezgrabnego ptaka, spoglądającego na leżący przed nim szlak.

Bayard nawet nie mrugnął. Przez chwilę myślałem, że spojrzał w straszne oczy ogra i skamieniał, stając się częścią krajobrazu. Trójzab podniósł się wolno do pozycji, którą starzy Solamnijscy nazywali „ofiarowaniem”, teraz skierowany był niczym kopia, a jego trzy paskudne kły mierzyły prosto w serce Bayarda.

Rycerz nadal pozostawał w bezruchu. Waleczny drgnął nerwowo, ale wnet spokój jego pana udzielił się i rumakowi. Obaj przeciwnicy stali tak przez dość długą chwilę. Agion wdrapał się na płaskowyż i stanął obok mnie, kładąc dłoń na moim ramieniu. Krzepki uścisk centaura pozwolił mi zachować spokój równy niemal spokojowi przeciwników.

Na ramieniu ogra przysiadł kruk. Przez chwilę potwór wyglądał niemal komicznie, przypominał bowiem karykaturę czarodzieja ze starych malowideł. Wtem kruk wetknął sobie głowę pod skrzydło, a potem uniósł ją wyżej i odleciał z trzepotem skrzydeł. Poczułem tchnienie zła.

I nagle w dole rozpętały się furie. Waleczny zerwał się do galopu i w odległości może dziesięciu stóp od przeciwnika Bayard szarpnął wodze, kierując zwierzę ku lewemu bokowi ogra. A ten wcale się nie spodziewał takiego manewru i podniósł trójzab, aby tak jak poprzednio rąbnąć potężnie mijającego go z prawej.

Bayard dopadł go, zanim bydlę zdołało odzyskać równowagę i zmienić kierunek ciosu. Solamnijski miecz błysnął i opadł łukiem, który powinien przeciąć ramię czy bark potwora. Ogr zdążył jednak opuścić trójzab i błyskawicznie cisnął sieć w twarz rycerza. Miecz zaplatał się w sznurach i choć przeciął z pewnością kilka z nich, impet ciosu został zahamowany i bestia zdołała odparować uderzenie okrytym płytami pancerza przedramieniem.

Dźwięk stali ścierającej się ze stalą był niepodobny do brzęków, które zwykle słyszy się na

polach turniejów. Zbroja ogra rozdzwoniła się czysto, jakby miecz uderzył w potężny dzwon na wieży. Dźwięk ów spłoszył wędrowne ptactwo, ja zaś usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie słyszałem go już wcześniej.

Chmura, której dosiadał ogr, skupiła się wreszcie całkowicie i przybrała kształty poruszającego się błyskawicznie konia. Oczy zwierzęcia płonęły czerwienią. Bydlę potrząsnęło czarną grzywą i zarżało. Szale powodzenia raz jeszcze przechyliły się ku potworowi, ponieważ siedzący na grzbiecie Walecznego Bayard szamotał się rozpaczliwie, usiłując wyswobodzić oręż z sieci, którą ogr szarpał zaciekle, równocześnie starając się sięgnąć po mizerykordię.

To, co zrobiłem w sekundę potem, nie było uprzejme, nie miałem jednak wyboru.

Gdy dwaj przeciwnicy wdzili się połączeni siecią, a Bayard pochylał się coraz bardziej i wyglądało na to, że za chwilę straci równowagę i życie, jednym szarpnięciem uwolniłem się z uścisku Agiona, porwałem z

ziemi kamień wielkości pięści, umieściłem go w kieszeni procy i rozkręciwszy ją potężnie, posłałem pocisk w plecy przeciwnika, który — jako że zwrócony był do mnie tyłem — nawet nie zobaczył nadlatującego kamienia.

Były czasy — i nie tak znów odległe — kiedy całkiem nieźle sprawiałem się z procą. Miałem swoje porachunki z psami i szczurami, służbą i bratem. Mówiąc zwięźle, proca w mojej dłoni mogła stać się narzędziem wzbudzającym niemały strach w zamczysku nad fosą.

Niestety, czasy te minęły chyba bezpowrotnie, bo kamień gwizdnął nieszkodliwie nad głowami walczących i z traskiem przepadł gdzieś w mroku.

Porwałem kolejny kamień. Nie miałem w końcu nic lepszego do roboty, Bayard zaś, przechylony w siodle, trzymał się tylko na jednym strzemieniu. Oczywiście znowu chybiłem. Miotanie kamieni z procy to głównie kwestia zaufania we własne siły, którego teraz mi brakło. Bayard jednak, choć widać było, iż przeciwnik pokona go w końcu brutalną siłą, zdołał się jakoś utrzymać w siodle — gdy ogr cofnął konia i szarpał siecią. I gniewnie warknął.

Dźwięk przypominał bulgotanie wody płynącej gdzieś pod kamieniami, jakby dziwny i straszny przeciwnik Bayarda otrzymał głęboką ranę w gardziel i leżał na dnie studni, dusząc się własną krwią. Głos był niski, przytłumiony i bulgoczący.

Przerażenie nie sprzyja celnemu miotaniu kamieni z procy. Trzeci i czwarty pocisk poszły bokiem, a ja z coraz większym strachem obserwowałem, jak Bayard traci resztki równowagi i przechyliła się w stronę wroga, który ciągnąc go ku sobie, dzierzył już w drugiej łapie wzniesiony do ciosu sztylet.

Walka miała się rozstrzygnąć w ciągu kilku najbliższych ułamków sekundy i stałoby się tak, gdyby nie zwykły przypadek. W końcu bowiem udało mi się trafić w cel. Siódmy ciśnięty przeze mnie kamień śmignął w powietrzu niczym sztylet i ugodził w zad ogrzego rumaka.

Wynik okazał się niemal równie niebezpieczny dla obu walczących. Konie zresztą również ucierpiały, ponieważ rumak ogra cofnął się raptownie, zarżał i wierzgnął, naciągając liny, łączące jego pana i Bayarda sieci. Rycerz szczęśliwie nie był aż tak ogłupiały, by nie móc błyskawicznie i trafnie zareagować. Napięte liny oznaczały lepszą sposobność cięcia, zamachnął się więc mieczem i gładko przeciął cztery, pięć i wreszcie sześć sznurów sieci — tyle, że mógł się z niej wreszcie wyswobodzić. Rycerz szarpał wodze Walecznego, który zatoczył się,

zachwiał na nogach i niewiele brakowało, a byłby wyrznięt łbem w granitową ścianę pobocza.

Obaj przeciwnicy — jakby stosując się do bezgłośnej umowy — zsiadli w tym momencie z koni. Nasz wróg nieco chwiejnie poczłapał ku miejscu, gdzie leżał jego trójząb. Podniósłszy go, ogr odwrócił się do Bayarda, wydając jednocześnie owo przerażające warknięcie. Rycerz tymczasem

odzyskał równowagę, zyskał też sporo miejsca na zwody i uniki. Pierwsze pchnięcie trójzębu sparował gładko, zbijając je prostym ciosem z góry i uchylając się wykrokiem w bok.

Trójzab przemknął obok mego rycerza i z impetem wbił się w skałę, zagłębiając się w nią na jakie sześć cali. Ogr wyrwał oręż z takim mniej więcej wysiłkiem, z jakim żniwiarz wyciąga widły z wiązki słomy. Bayard okrążył przeciwnika, który odwrócił się szybciej niż przyparty do muru borsuk.

Usiadłem na kamieniach. Od tej chwili mogłem miotać już tylko obelgi. Przeciwnicy zwarli się w boju i — zważywszy na moje szczęście i pewność oka — mogłem teraz równie dobrze trafić Bayarda, jak i ogra.

Rozsiadłem się wygodniej. W świetle księżyców widziałem Agiona, który obserwował walkę, pochyliwszy się ku przodowi. Nad nami wędrowały w górę dwa księżyce, które zalewały nagie skały, świerki, jesiony i jałowce, a także obu przeciwników powodzią srebrnego i czerwonego blasku.

Walczący okrążali się wzajemnie, niekiedy jeden z nich potykał się lekko, krążyli jednak dalej, obaj tak samo czujni i gotowi do natychmiastowego działania. Wyglądało na to, że noc rzeczywiście będzie długa.

Muszę przyznać, że choć ważyło się życie Bayarda, a pewnie i moje, po godzinie gapienia się na gładko następujące po sobie pchnięcia, zastawy i uniki, walka przestała mnie interesować. Bayard dwukrotnie runął na ziemię i raz stracił broń. Mimo to zdołał jakoś wstać i odzyskać oręż, dwukrotnie też na — powiedzmy — minutę lub dwie udało mu się powalić przeciwnika.

W końcu ułożyłem się wygodniej i zająłem obserwacją niebios. Noc była cicha i jej spokój zakłócał jedynie szcęk metalu uderzającego o metal oraz okrzyki i posapywanie zwartych w śmiertelnym boju przeciwników. Wziąwszy jedno z drugim, łatwo było przewidzieć koniec walki. Jeśli Bayardowi nie dopisze nagły i niespodziany szczęśliwy wypadek, jeśli ogr nie zrobi jakiegoś piramidalnego głupstwa, o którym będzie się mówiło przez kilka najbliższych pokoleń, walka skończy się

dopiero wtedy, gdy roślejszy i większy z przeciwników skutecznie osłabi mniejszego. Chyba że Bayard miał rację, gdy mówił o świetle świtu. Tak czy owak do świtu pozostało jeszcze parę godzin zwodów i uników. Aż do rana nie mogłem zrobić niczego i pozostało mi jedynie bierne czekanie.

Być może ogr miał swój powód, dla którego zostawił nas w spokoju poprzedniej nocy. Może hulał gdzie indziej, może musiał upolować coś do żarcia, może za dnia strzegł innych przełęcz, może wreszcie musiał odpowiedzieć na zew natury, co dla samotnego osobnika w pełnej zbroi jest skomplikowaną, żmudną i długotrwałą procedurą.

Tak czy owak okazało się, iż powodem nieobecności naszego przeciwnika wcale nie było światło słoneczne — po wschodzie słońca ogr kilkakrotnie i ze sporym entuzjazmem rzucił Bayarda na przydrożne głazy. Tyle o przeczuciach rycerzy, gwiazdach i kościach.

— A-ale... — Bayard usiłował jeszcze wytłumaczyć przeciwnikowi, że powinien buchnąć płomieniami lub rozwiać się w pył. Rodzącą się sprzeczkę uciał jak nożem kolejny zamach i kolejny rzut. Zbroja Bayarda zagrzechotała o skały, ogr zaś runął na niego ze wzniesionym trójzębem.

W tymże samym momencie w bitwę wdał się Agion. Rosły centaur już od dłuższej chwili z trudem powstrzymywał się od interwencji, stało się bowiem jasne, że wzięte przez Bayarda z baśni rozwiązanie problemu ogra należało do kategorii nabożnych życzeń. Jeśli mielibyśmy porównywać siły przeciwników, to rycerz słabł z każdą chwilą, a ogrowi ich przybywało.

Teraz zaś, gdy mój mistrz turlał się bezradnie jak odwrócony grzbietem do góry żółw, a ogr ruszył w jego stronę, Agion, którego kopyta ślizgały się niebezpiecznie po skalistym gruncie, runął ku przeciwnikom. Wymachiwał nad głową swą pałką, a jego kudłata grzywa wojowniczo powiewała w

podmuchach rodzącego się wiatru.

Ogr wybałuszył oczy jak ktoś, kto budzi się z głębokiego snu. Szybko też zwrócił się ku centaurowi, który zbliżał się do niego z zaskakującą szybkością. Bayard tymczasem zdołał jakoś dźwignąć się na nogi — przez chwilę chwiał się nieznacznie, potem pochylił się i sięgnął po miecz. Ogr znów zwrócił się ku niemu i wykonał potężny zamach trójzębem. Mój mistrz zdołał się jedynie pochylić i uczynił to w samą porę. Kły trójzębu świsnęły niebezpiecznie blisko jego głowy.

Agion tymczasem wpadł na ogra niczym burza. Gdy dwa rosłe stworzenia zderzyły się ze sobą, ziemia zadrżała, a obaj uczestnicy kolizji

zwalili się na pobocze, tworząc niesamowitą plątaninę nóg, ramion i oręża. Bayard uniósł miecz w górę i ręczo skoczył ku nim.

Ogr zepchnął Agiona z siebie i sięgnął po trójzab w tej samej chwili, w której Bayard pochylił się, aby pomóc centaurowi dźwignąć się na nogi. Wydawszy chrapliwy ryk, potwór cisnął swą broń w rycerza. Który patrzył gdzie indziej.

Wrzasnąłem ostrzegawczo, ale było jednak już za późno. Podnoszący centaura Bayard obejrzał się i ujrzał lecący ku niemu trójzab ogra. Nie miał nawet czasu, by zareagować. Stał jak wkopany w ziemię.

Zastanawiam się do dziś, jak Agion zdołał zareagować tak szybko i zręcznie w tej pełnej grozy ciszy, jaka zapada niekiedy, gdy ma się zdarzyć coś strasznego. Centaur bowiem błyskawicznie porwał się na nogi i nie zdążyłem mrugnąć powieką, a już stał pomiędzy Bayardem i lecącym ku niemu trójzębem.

Na wszystkich bogów, kły wbiły się głęboko! Wszystkie trzy utonęły w szerokiej piersi głupiego młodzika. I ukończyły wielkie i oddane przyjaciółom serce.

Agion runął na ziemię, pomiędzy kamienie, które zachręściły złowrogo, gdy centaur wydał ostatnie tchnienie.

Teraz z kolei ogr, zaskoczony obrotem sprawy, stanął jak oglupiały. Nawet z daleka mogłem zobaczyć tępy błysk w jego oczach, gdy rozglądał się wokoło, jakby usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest i co tu robi. Wodził jeszcze wokół mętnym spojrzeniem, gdy dopadł go rozjuszony Ba-yard. Usłyszałem krótki świst głowni, potem nastąpiła chwila ciszy, przerywanej trzaskiem gałęzi, pomiędzy które wpadł łeb ogra — i rozległ się szelest trawy, gdy mój mistrz klękał obok Agiona. Skoczyłem ku niemu.

I wtedy, zaplątana kudłami wśród gałęzi, głowa ogra zaczęła mówić. Odezwała się głębokim, słodkim niczym miód głosem, którego powinienem się spodziewać, czyż bowiem znów nie był to Skorpion?

Nie patrzyłem na odcięty od ciała łeb, nie dlatego jednak, że czułem strach czy odrazę. Nie mogłem oderwać wzroku od Agiona. Słyszałem jednak słowa. Och, tak, słyszałem... jak opisują przeszłość, teraźniejszość i wydarzenia, które dopiero nadejdą. Głos, który je wypowiadał, był zimny, złowrogi i beznamiętny... przeszył też me serce niczym kły trójzębu. Zapamiętałem wszystko, co do słowa.

— Poniecham cię teraz, Bayardzie Brightbladzie. Może odnajdziesz szlak... tak łatwo, jak odnalazłbyś drogę do serca Solamni. Może drogi będą bezpieczne i towarzystwa dotrzymywać ci będą nawet tryle ptaków.

Ja swoje zrobiłem. Wydarzenia tego dnia upewniają mnie, że nie weźmiesz udziału w turnieju na zamku di Caela.

— Wciąż jeszcze mamy czas! — sprzeciwił się Bayard, robiąc niepewny krok ku gadającej głowie.

— Owszem... jeśli zostawisz swego wielkiego przyjaciela na pastwę sępów i hien. Turniej wkrótce się skończy. Sir Robert di Caela zostawi swe dziedzictwo mężowi lady Enid. Wszystko to jest moim dziełem, bo moja moc sięga daleko. Nie składaj winy na satyry z bagien, choć przez ich prymitywne sztuczki straciłeś jedną noc, nie wiń też twego zdradzieckiego giermka, bo nie jest on mistrzem w opóźnianiu marszu... Nie mogłem zdobyć się na to, aby spojrzeć Bayardowi w oczy.

— Nie wiń też tego od dawna martwego ogra, przez którego usta przemawiam do ciebie. Jeśli chcesz znaleźć winnego, weź pod rozwagę swój brak zdecydowania i zamiłowanie do rozmyślań. Nazwij zresztą rzeczy, jak chcesz, ale pamiętaj jedno: ja jestem sprawcą tej zwłoki.

Bayard doskoczył wreszcie do beczelnie chępiącego się łba. Zręcznym i celnym kopniakiem posłał wroga w porastające pobocze szlaku krzewy. Spojrzałem na Agiona. Wydał mi się jeszcze młodszy niż przedtem. No cóż, wedle wyobrażeń centaurów nie był starszy ode mnie. Podniosłem wzrok i spojrzałem Bayardowi w oczy. Nie zobaczyłem w nich nic prócz bólu. Bólu, wobec którego niczym są łzy i gniew. — Zdradziecki giermek? — spytał. I klęknął obok Agiona. Klęczał tak przez godzinę, w ogóle nie zwracając uwagi na me słowa i próby wyjaśnień. Raz jeden tylko, gdy usiłując wyrwać go z otępienia, chwyciłem za jego ramię, strząsnął mą dłoń z barku, jakby został dotknięty przez skorpiona. W odległości nie większej niż dwadzieścia kroków od nas ze łba ogra unosiła się para i wokół ohydneho trofeum tworzyły się paskudne plamy. Po godzinnym milczeniu Bayard wstał i zwrócił się do Agiona.

— Żałuję. Nie umiem nawet powiedzieć, jak bardzo żałuję. Jutro ruszę ku zamkowi di Caela, kiedy zaś się tam dostanę, zrobię to, co powinienem. Potem wrócę na bagna Przymorza, gdzie najlepiej jak zdołam, odpowiem na pytania Archali i starszyny. Ale teraz muszę trochę się przespać. Jeśli chcesz, trzymaj straż, godny centaurze. Po raz ostatni.

Potem odwrócił się do mnie i spojrzał ponad moją głowę, jakby patrzył na gwiazdy (choć daleko jeszcze było do południa) albo jakbym siedział skulony na zimnych stopniach kolumnady jakiejś odległej w czasie i przestrzeni budowli. — Ty zaś, Łasico, rób, co chcesz — powiedział. — Nie mam ci nic do

powiedzenia. Nie jesteś mi potrzebny.

Rozdział dwunasty

ZWINĘLIŚMY WRESZCIE OBÓZ, zabraliśmy wierzchowca ogra i raz jeszcze ruszyliśmy wąskim szlakiem, zaczynając zejście z gór przez strome osypiska, na których w nocy przymrozek ściał chłodem rośliny. Gałązki połyskiwały w promieniach słońca powłoką szronu. Bayard, pogrążony w myślach, jechał przodem.

Gałęzie krzewów, choć bardzo piękne, były jednak martwe. Tego ranka nasze oczy skłonne były widzieć wszędzie symbole śmierci, ponieważ cały

poprzedni dzień i sporą część nocy zajęły nam długie i smętne obrzędy towarzyszące uroczystemu pogrzebowi Agiona.

Gdy Bayard odpoczął, zajęliśmy się smutnymi i koniecznymi czynnościami. Mimo łez zalewających nam twarze oczyściliśmy ciało Agiona i poszukaliśmy miejsca, gdzie moglibyśmy pochować zwłoki. Alę w górach grunt był zbyt skalisty i nie nadawał się do kopania. Musieliśmy zostawić więc Agiona tam, gdzie padł — gdzie przyjął na pierś cios przeznaczony dla sir Bayarda. Obłożyliśmy kamieniami nieruchome ciało niedawnego towarzysza i o świcie wznosił się już nad nim prowizoryczny, lecz solidny cairn.

W zakurzonej tunice i z lśniącymi od potu włosami Bayard stanął nad naszym dziełem. Mnie bolały ramiona i barki od dźwigania głazów. Gdzieś wśród gałęzi pobliskiego cedru odezwała się sowa. — To również jest niewłaściwe — rzekł Bayard z namysłem w głosie. — Panie?

— Nie wiem nic o obyczajach centaurów — ciągnął, mówiąc cicho... tak jakby mnie tam nie było. — Takie jednak są obyczaje Zakonu. I choć Agion nie był Solamnińczykiem, nie widzę powodu, dla którego nie można by rozciągnąć nieco lub nagiąć tych słów, tak aby objęły i jego.

Dziwna rzecz, ale gdy Bayard stanął obok grobu Agiona i zaczął starożytną modlitwę, nocne ptaki umilkły.

Oddajmy Humie jego ducha, Niech wzięci ponad skalną perć. Niech nieba przyjmą cnego druha, Gdy oczy mu zamknęła śmierć. Niech zamiast burz zacieklej wojny, Gwiazdy mu dadzą sen spokojny.

Niechaj ostatnie jego tchnienie, Umknie w powietrza nurt spokojny. Nad czarnych kruków zgromadzenie, Skąd orzeł tylko widzi wojny. Weź, Humo, jego cień do siebie, I skryj go w chłodnym, czystym niebie.

Gdy schodziliśmy z chmur ku wzgórzom, klimat wyraźnie się ocieplał i temperatura podniosła się, od przejmująco chłodnej do takiej, jaką moglibyście określić mianem „rzeńskiej”. W końcu znaleźliśmy się w okolicy, gdzie wszystko przypominało wczesną jesień. Oszronione gałązki ustąpiły miejsca żywym krzewinom, szlak zaś wił się pośród vallenów, obsypanych owocami gruszek i klonów o płonących czerwienią na tle solamnijskiego nieba liściach.

Byliśmy zatem w Solamni, kolebce legend. Niemal każda historia, której wysłuchiwałem jako dziecko na kolanach ojca, zaczynała się i zwykle kończyła w tej właśnie krainie.

Wydawało się, że po tej stronie gór Bayard odczuwał jeszcze większy niepokój. Najwyraźniej nie mógł doczekać się chwili, kiedy na horyzoncie

pojawi się zamek di Caela. Nieustannie naglił do pośpiechu. Po raz pierwszy ujrzałem, jak daje ostrogę Walecznemu, a wielki rumak zarżał, wierzgnął kilkakrotnie, ale w końcu poddał się woli jeźdźca.

Mnie samemu tempo podróży sprawiało oczywiście pewne niewygodę, ale po kilku godzinach mocno dało się we znaki zwłaszcza koniom, które przecież niosły obu jeźdźców. Już po godzinie juczna klacz zaczęła się pocić, prychać, puszczać wiatry i zanim dotarliśmy do równin, podjąłem próbę wyobrażenia sobie, co też się stanie, gdy kobyłka nie wytrzyma tej mordęgi i wykopyrtnie się na miejscu. Bayard pewnie pojedzie dalej sam.

Rycerz jednak nie okazywał żadnych oznak zmęczenia czy wyczerpania. Wyglądało na to, że trudy podróży wcale nie robią na nim wrażenia. Cały ranek i popołudnie poganiał mocno wyczerpanego Walecznego i gnał przez opustoszałe pola, jakbyśmy byli oddziałem kawalerii... lub raczej zwiadowcami pustynnych rabusiów. Napotkani przez nas przypadkowo wieśniacy czy podróżni znikali szybko i nie wątpię, że myśleli przy tym: „Pewnie, jest ich tylko dwóch, ale ich gęby zdradzają rzezimieszków, a za nimi gna cała banda okrutnych łupieżców i rabusiów”.

Nie inaczej podróżowaliśmy w nocy. Trwało to, dopóty w pewnej chwili Bayard nie zatrzymał konia i nie zeskoczył z siodła, jakby irytowała go strata czasu, który musi poświęcić odpoczynkowi, po czym odezwał się do mnie: — Tutaj.

Potem przywiązał wodze do rozwidlenia gałęzi jabłoni, oparł się o pień i zapadł w głęboki, mocny sen.

Usiadłem, nie odrzucając koca. Przez chwilę miałem wrażenie, że znajduję się w zamczysku nad fosą i jestem poddawany jakiejś karze, potem jednak rozjaśniło mi się w głowie i wszystko trafiło na swoje miejsce — otaczające mnie faliste wzgórza Solamni, gwiazdozbiór Księgi Gileana świecący niemal prosto nad moją głową i potężny, uzbrojony mąż stojący obok mego posłania, który coś do mnie mówił. W pierwszej chwili nie pojąłem jego słów, ale potem...

— ...dopóki nie dotrzemy do zamku di Caela. Stamtąd znajdziesz przynajmniej kilka dróg do domu. Możesz towarzyszyć któremuś z rycerzy, wracającemu z turnieju... z pewnością znajdziesz

jakiegoś kupca, barda czy pielgrzyma, który ruszy na zachód — przez przełęcz Westgate ku Przymorzu lub Ergoth — z pewnością chętnie ofiarują ci swe towarzystwo za pomoc przy koniach, dopóki nie wrócisz do zamku twego ojca. Jestem twemu ojcu winien pewną uprzejmość... i muszę zadbać, abyś

— nie przepadł gdzieś po drodze. Pospiesz się jednak i natychmiast gotuj do drogi albo cię tu zostawię.

Bayard zawsze tak groził, ale po tym, co zaszło na górskiej przełęczy, nie byłem pewien, czy w istocie są to czcze groźby. Zachłystując się zimnym powietrzem — które zerwanemu zniecka zawsze wydaje się lodowate — skoczyłem na siodło, otuliłem się kocem, wczepiłem oburącz w grzywę juczej klaczy i pogałem na złamanie karku za znikającym już w mroku rumakiem sir Bayarda. Od zamku di Caela dzieliły nas trzy dni drogi.

Jeszcze przed świtem przemknęliśmy jak upiory przez uliczki miasteczka, które widzieliśmy z przełęczy w górach i gdzie — wedle wcześniejszej obietnicy Bayarda — mieliśmy odpocząć. Pędząc jeden obok drugiego, przemknęliśmy szybko wśród pokrytych gontami domków, po uliczkach oświetlonych tylko kilkoma latarniami i światłem sączącym się przez zamknięte okiennice — o tej godzinie owe światełka były jedynymi znakami świadczącymi, iż w tych domkach kołacze się jakieś życie.

Bayard nie odzywał się do mnie — jeśli oczywiście nie brać pod uwagę szorstkich słów, którymi mnie obudził, czy krótkich poleceń, które niekiedy mi rzucał podczas jazdy — zawsze przy tym patrzył gdzieś ponad moją głowę albo obok — jakbym był niewidzialny. Czułem się jak jeden z tych lalkarzy z Goodlund, którzy reżyserują i wykonują przedstawienia dla kenderów. Stoją oni na scenie obok swoich lalek, poruszają nimi i oczywiście mówią za nie ich kwestie. Wedle tradycji widzowie nie zwracają uwagi na lalkarzy, a tak bardzo skupiają się na lalkach, że postronni obserwatorzy zastanawiają się niekiedy, czy kenderzy w ogóle widzą animatorów.

Owszem, zmienił się układ pomiędzy nami dwoma. Gdy niebo okryło się chmurami i ponownie zaczął padać deszcz, Bayard pogrążył się w milczeniu. Patrzył tylko na szlak przed nami. Niewątpliwie rozmyślał nad sprawami, które ogr pozostawił bez komentarzy.

Monotonia dalszej podróży, podczas której mijaliśmy nie kończące się wzgórze, cisza na szlaku, posępna pogoda odbijająca się na naszych humorach, wszystko to razem wzięte było tak dokuczliwe, że z radością i ulgą przyjąłem zmianę krajobrazu, kiedy droga ponownie zaczęła opadać ku nizinie. Spoglądając ku wschodowi, ujrzeliśmy wreszcie zamek di Caela, wokół którego skupiły się jasne namioty dwu tuzinów rycerzy.

— Zamek di Caela — powiedział Bayard obojętnie i wskazał leżącą przed nami warownię. — Spóźniliśmy się bez wątpienia.

Zamek powinien wywrzeć na nim większe wrażenie. Nie była to potężna, imponująca budowla — jak na przykład Wieża Najwyższego Klerysta — ale zamczysko, w którym spędziłem dzieciństwo, wyglądałoby przy niej jak wiejska chata. Szarpnąłem grzywę klaczy, zmuszając ją do zatrzymania się, choć Bayard, nie zwracając na mnie uwagi, zjeżdżał już w dolinę.

Zamek di Caela zwrócony był ku zachodowi. Z miejsca, w którym się zatrzymałem, widziałem bramę i zwodzony most. Cztery niższe wieże obronne stały na rogach rozległego kwadratu murów zewnętrznych. Wieże te różniły się od siebie wysokością. Najodleglejsza, kwadratowa w podstawie, była też najwyższą i górowała nad dwiema przednimi i stożkowatymi.

Wewnętrzna twierdza również wywierała imponujące wrażenie. Na murach piętrzyły się blanki i krenelaże niczym szeroko rozstawione, ale groźne kły. Zachodnie ściany wież, oświetlone promieniami zachodzącego słońca, lśniły czerwono i stwarzały wrażenie, iż zamek jest rudawy...

jakby trochę zardzewiały, nie psuło to jednak doskonałości obrazu.

Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego. Wiedziałem, że byłem wiejskim gamoniem z głębokiej prowincji, nie obeznanym z architekturą, ale ten zamek, choć stał tu od tysiąca lat, lśnił mimo to połorem nowości, jakby — niczym bagno, które opuściliśmy niedawno — ciągle się rozrastał się i nieustannie odnawiał uszkodzenia, które przynosiły czas i zmiany pogody.

— Imponujące, nieprawdaż? — szepnąłem sam do siebie. Juczna klacz poruszyła się niespokojnie, aż lekko zachwiałem się w siodle.

Pomyślałem o Agionie i o tym, jak wzdrygnąłby się na widok rozciągającego się przede mną architektonicznego szaleństwa, potem przypomniałem sobie kilka domków i farm, które minęliśmy w drodze z bagien ku zachodnim stokom gór. Mój przyjaciel z odrazą spoglądał nawet na tamte niewielkie budyneczki, jakby były pomyłką i skazą na obliczu ziemi.

Wizerunek zamku zaczął się zacierać. Nie mogłem poświęcić więcej czasu rozmyślaniom o Agionie, ponieważ Bayard znacznie się już oddalił. Cmoknąłem ostro, klepnąłem klacz po zadzie i popędziłem do przodu. Kobyłka ruszyła galopem w dół, ja zaś przyłgnąłem desperacko do jej grzbietu i szybciej niż się spodziewałem, zjechaliśmy na rozciągającą się przed zamkiem równinę. Przemknęliśmy obok namiotów. Rycerze zwijali obozowisko. Wszystko wskazywało na to, iż turniej dobiegł końca.

Bayard wcześniej przejechał obok namiotów i ruchliwego obozowiska. Gdy się z nim zrównałem, docierał już do bram zamku. Zatrzymał się na skraju fosy, okrzykiem przedstawił się i oznajmił stojącemu na blankach wartownikowi swoje przybycie. Potem rozpoczął oczekiwanie na pozwolenie wjazdu do twierdzy — i na zaproszenie od sir Roberta di Caela. Czekał, aż opadnie zwodzony most i otworzą się potężne wrota. Siedział sztywno w siodle i nie spojrział nawet na mnie, gdy powiedziałem:

— Oczywiście nikłe są szanse, że dostaniemy puchową pościel i gorącą kąpiel?

Na stojących tuż nad fosą przybyszach zamek wywierał jeszcze większe wrażenie — ściany aż po zwieszające się nad nami blanki miały ponad trzydzieści stóp wysokości. Na blankach sterczało kilkunastu łuczników, którzy bezceremonialnie gapili się na nas z góry. Nie okazywali nawet przesadnego zainteresowania. Jeszcze jeden obcy rycerz — myśleli pewnie. — Tyle że się spóźnił.

Ktoś, kto odchyliłby się w tył i zadarł głowę — niemal łamiąc sobie przy tym kark — mógłby dostrzec za plecami łuczników szczyt najwyższej wieży, tej, co wznosiła się w południowo-zachodnim rogu zamczyska. Powiewał na niej długi, błękitny proporzec, doskonale widoczny, bo łopotał na dmącym od północy wietrze — był to sztandar rodu di Caela. Czerwony kwiat na białej chmurze w błękitnym polu. Wszystko to świadczyło o bogactwie tudzież szlacheństwie sięgającym niepamiętnych czasów i było mocno onieśmielające.

Nieco zaniepokojony, spojrzałem na Bayarda, on jednak nie zwracał na mnie uwagi. Zsiadł z konia i przez chwilę szukał czegoś w jukach na grzbiecie Walecznego, skąd wydobyl wreszcie jakąś rzecz starannie owiniętą w lniane płótno. Przedmiot był dość spory i zdumiałem się, że nie spostrzegłem go wcześniej. Byłem rzeczywiście bardzo niedoświadczonym giermkim, ponieważ przedmiot ów nie tylko powinienem był zauważyć — do moich obowiązków należało dbanie o niego.

Przed bramą zamku di Caela Bayard oczywiście odsłonił swoją tarczę. Nie była nią tarcza, której używał, aby odpierać napaści mniemanych satyrów czy tajemniczego ogra. Ta była lśniąca, nietknięta i widniał na niej wizerunek czerwonego miecza na tle jasnego kręgu słońca. Tarcza rodu Brightblade'ów. Błękitna krew przeciwko błękitnej krwi.

Opuszczono most, otwarto wrota i wyszedł nam na spotkanie sam Robert di Caela — wcielenie uprzejmości i dwornych manier. Należał do tych ludzi, którzy zaczynają siwieć już po dwudziestce,

zachowując

młodzieńcze rysy pod czupryną pasującą do mężczyzn dwukrotnie starszych i w sumie wyglądają na młodszych, niż są w istocie. Młodą twarz starego rycerza zdobiły śnieżnobiałe, starannie utrzymane wąsy pod arystokratycznym, orlim nosem. Oczy miał zielone jak ocean przy brzegu. Nie wyglądał na człowieka, który traci czas, przyglądając się walkom psów w paradnej sali swego zamku.

Wszystko w nim świadczyło o dobrej krwi i lepszym jeszcze urodzeniu. Był tak proporcjonalnie zbudowany, że mogłem mu tylko zazdrościć. Zacząłem rozmyślać o Enid. Właściwie zacząłem snuć rozważania dotyczące Bayarda — że na przykład coś zakłóciło przebieg turnieju albo że ten dworny, stojący przed nami człowiek zacznie zastanawiać się nad przyczynami, które zatrzymały Bayarda w drodze, i nie będzie uważał go za świnię stulecia... i że da Enid wolną rękę. Miałem nadzieję, że zgodnie z proroctwem Bayard zwiąże swój los z losem rodu di Caela. Taką żywiłem nadzieję. Dopóki Robert di Caela nie otworzył ust.

— Brightblade? Ach, swego czasu obawiałem się, iż ród ów wymarł... wtedy, kiedy chłopstwo opanowało twierdzę Vmgaard. Tak... to miano wyryło swój ślad w historii. Być może zmieniłoby i historię mego rodu... gdybyś, panie, przybył wcześniej.

— Turniej... — zaczął Bayard niecierpliwie, jakby chciał spytać o coś najważniejszego.

— Został rozstrzygnięty — stwierdził obojętnie sir Robert. — Moja córka zaś jest zaręczona. Twarz Bayarda poczerwieniała.

— Jest zaręczona — ciągnął sir Robert zimnym, ale jakby nieco drżącym głosem — z sir Gabrielem Androctusem, solamijskim rycerzem należącym do Zakonu Miecza.

Nie umiałbym powiedzieć, czy ów chłód i drzenie w głosie starego rycerza były przeznaczone dla Bayarda, czy wywołała je wzmianka o nie znanym mi sir Androctusie. Mogłem jedynie stwierdzić, że niezwykle uprzejmy sir Robert niezbyt sprzyja swemu przysłemu zięciowi.

— Cóż, sir Bayardzie Brightblade z Vmgaard — mówił dalej sir Robert, tym razem dodając do swego głosu znaczną ilość chłodu — oczekiwano, że zjawisz się na naszym turnieju, co mówię!, spodziewano się, że zajmiesz pierwsze miejsce. Mój stary druh, sir Ramiro z Maw, gotów był postawić na twoją kopię sporą sumkę.

— Znam dobrze sir Ramira — odparł Bayard spokojnie. — Wiem, że wielce lubi ryzyko.

—

— Ryzyko tym większe, kiedy rzeczona kopia nie pojawia się na turnieju! — nie wytrzymał sir Robert Szybko się jednak opanował i wskazał dłonią ku bramie twierdzy. — Młodzieniec, który dzięki swej zręczności został wybrankiem mej córki, choć nieco... szorstki, wydaje się człkiem świetnego rodu i ma wyjątkowo szczęśliwą rękę do kopii.

Sir Robert spojrzał znacząco na Bayarda, który zwalniał z każdym krokiem, gdy przechodził przez dziedziniec. Kiedy dotarliśmy do bramy głównego budynku, Bayard spróbował ostatniej szansy, aby opuścić zamek i uprzejmie pożegnać sir Roberta.

— Daleki jestem od tego, aby odrzucać gościnę, szczególnie wtedy, gdy ofiarowują mi ją w tak szlachetnym i godnym domu — zaczął, odzyskując rezon w miarę mówienia — ale moje konie są mocno zmęczone, giermek zaś ledwie trzyma się na nogach. To ostatnie dodał jakby po krótkim namyśle.

— Ze względu na to muszę cię prosić, panie, o pozwolenie na pożegnanie... aż do jutrzejszego ranka. Jeśli się zgodzicie, rozbiję namiot wśród namiotów innych rycerzy.

Z nadmiaru uprzejmości nie raczył wspomnieć, że nie mieliśmy namiotu nadającego się do rozbicia. Bayard wszak o tym nie myślał — gotów był na wszystko, byle tylko wydostać się za mury,

gdzie (mógłbym się o to założyć) siedzielibyśmy przy ognisku aż do rana, kiedy to oddalilibyśmy się spokojnie w towarzystwie reszty odjeżdżających rycerzy. Przysłuchując się jego krótkiej konwersacji z Robertem di Caela, zrozumiałem, że szczelina zwątpienia w umyśle Bayarda poszerzyła się do rozmiarów przepaści: doszedł do wniosku, iż spisane czyjąś dłonią proroctwo na marginesie Księgi Vinasa Solamnusa w najlepszym wypadku okazało się nieodpowiedzialnymi bazgrołami, a w najgorszym okrutnym żartem.

Bayard miał już dość wszystkiego. Nie myślał o sobie i honorze Brightblade'ów, chciał jedynie szybko wrócić na bagna Przymorza, zanieść centaurom wieści o śmierci Agio-na i dotrzymać obietnicy, poddając się ich sądowi.

— Z całym szacunkiem dla decyzji mego pana i mistrza, sir Robercie, jeśli Wasza Miłość pozwoli, chciałbym dziś wieczorem zatrzymać się w zamku di Caela. Obaj — Bayard i sir Robert — wytrzeszczyli na mnie oczy.

Staliśmy już w wysokich — dwukrotnie wyższych i pięciokrotnie cięższych od zwykłego człowieka — mahoniowych drzwiach zamku — i przez chwilę wydało mi się, że owe drzwi zwały się na nas całym ciężarem.

— Młodzieńcze, oczywiście możesz skorzystać z naszej gościny... — zaczął sir Robert. Wyczułem wiszące w powietrzu, ciężkie od ironii „jednakże...”, szybko więc wtrąciłem:

— Przyjmuję, panie, waszą propozycję. Odwróciłem się natychmiast i ruszyłem ku bagażom na jucznej klaczy, świetnie bowiem wiedziałem, że obaj rycerze są zbyt dobrze wychowani, aby podejmować jakiegokolwiek decyzje podczas mojej nieobecności.

Stara, tradycyjna uprzejmość solamijska ma swoje dobre strony: zawsze, na przykład, możesz polegać na tym, iż ludzie, których zamierzasz wykorzystać, zachowają się wobec ciebie przyzwoicie. Idąc ku zostawionym u zwodzonego mostu koniom, mogłem odetchnąć i rozejrzeć się spokojnie, pewien, że żaden spisek nie załęgnie się podczas mojej nieobecności.

Zamek di Caela był raczej miastem otoczonym murami, tak przynajmniej wyglądał wtedy w moich oczach. Do wewnętrznej strony muru przylegały liczne kryte strzechą i gontami chatki. Przypuszczałem, że są albo mieszkaniami, albo miejscem pracy wieśniaków i gospodarzy, którzy — zaciekle się spierając — wymieniali pomiędzy sobą różne towary, a niektórzy usiłovali wcisnąć mi w rękę jakieś kurczaki.

Wewnątrz murów zamkowych nasze konie poczuły się raźniej i... poczuły też głód. Podczas gdy jeden z kmiotków przeklinał drugiego, podebrałem ze stojącego przed nim kosza kilka rzodkiewek i podałem je mojej kobyłce. Zjadła ze smakiem — początkowo parsknęła na ich ostry smak, ale potem zaczęła gryźć energicznie, przymykając z rozkoszy oczy.

Obserwowałem, jak żuła, i ostrożnie zdejmowałem swe tobołki z jej grzbietu. Była to jedna z tych chwil, w których człek niemal pragnie być koniem lub mułem, wolnym od wspomnień, troski o przyszłość i zupełnie nie przejmującym się zawiłościami teraźniejszości. Gdybym musiał martwić się jedynie o to, skąd wziąć następną rzodkiewkę, z chęcią dźwigałbym stufuntowy ciężar zbroi.

Obejrzałem się przez ramię, gotów skryć dłonie za plecami, gdyby poszukująca kolejnych rzodkiewek kobyłka zamierzała wetknąć mi pysk w palce. W bramie zamku sir Robert i Bayard nadal rozmawiali — i o ile mogłem stwierdzić z tej odległości, zachowali spokój, choć twarz Bayarda nadal płonęła czerwienią. Tym razem powodem jego irytacji były chyba zuchwałość i nieposłuszeństwo giermka. Ale niech tam, pomyślałem, przecież już nie jestem jego giermkiem. Co nie oznaczało wcale, że opuściłem służbę.

Niewiele rzeczy może skłonić chłopca do zastanowienia się nad sobą równie skutecznie jak długa

podróż w towarzystwie milczka — szczególnie wtedy, gdy wie, o czym myśli jego towarzysz i zdaje sobie sprawę, że nie jest przez niego darzony sympatią. Choć przewędrowaliśmy całą niemal Solamnię, od gór Vingaard do bram zamku di Caela, ani drogi, ani czasu nie starczyło na to, abym zdołał przegnać z głowy wspomnienia tego, co wydarzyło się na przełęczu, i zapomniał, co rzekł łeb ogra.

Nie mogłem też zapomnieć o Agionie ani o jego skromnym, kamienistym grobie wśród głazów. Centaur zapłacił za mnie rachunek, którego nie umiałem wyrównać.

Bayardowi również winien byłem zadośćuczynienie. Zamierzałem się tym zająć, lepiej wszakże byłoby mi to czynić w tym zamku, w którym legły w gruzach jego nadzieje i szanse na ożenek niż w jakimś odległym nocnym obozie. Lepiej dać upust swemu gniewowi, aniżeli dusić go w sobie. Nie bez powodu nazywano mnie Łasicą.

Jeśli zawiodłoby wszystko inne, mógłbym wkraść się w łaski sir Roberta. Podczas kilku najbliższych dni zamierzałem bezczelnie schlebiać staruszkowi i zachwycać się każdym jego czynem i słowem. Będę nawet piał peany nad jego gestami. Do Enid zamierzałem zwracać się jak do kochanej starszej siostry, niezależnie od tego, jak będzie nieprzystępna. Od sir Roberta dowiem się, jak stoją sprawy majątkowe i jak nimi kierować, gdy tymczasem moja nowa siostra ugrzęźnie na manowcach rozczarowania urokami sir Gabriela Androctusa. Ja wypełnię puste miejsce w sercu sir Roberta, do czasu zaś, kiedy pojawi się kwestia dziedzictwa (co nastąpi nie wcześniej niż po kilkunastu latach, jeśli miałbym sądzić z kwitnącego zdrowia i siły, jakimi cieszyli się di Caelowie), będę mu schlebiał i czołgał się dość głośno, aby echa moich starań odbiły się w salach, w których będzie spisywana ostatnia wola. Postanowiłem bowiem, że tu zostanę.

Każdemu jednak co się należy. W gmachu moich marzeń miała znaleźć się także piękna komnata dla Bayarda.

Gdy mój mistrz odchodził ku otaczającym zamek namiotom, gdzie miał spędzić noc na gołej ziemi w towarzystwie koni, podczas gdy ja będę obozował wśród jedwabi i puchów u ciepłego kominka, rzucił mi spojrzenie pełne takiego rozczarowania, niedowierzania i pogardy, aż przez chwilę poczułem gniew. Mimo podstępów Skorpiona, jego kłamstw i złych czarów, Bayard uważał, że prawdziwą Łasicą w kurniku byłem ja. Szybko jednak zapomniałem o gniewie, kiedy z buchającego ciepłem

wnętrza zamczyska doleciał mnie zapach wonnej pieczeni. Podążyłem za sir Robertem i przez wielkie mahoniowe drzwi weszliśmy do dobrze oświetlonej komnaty o ścianach z gładkiego marmuru, pełnej wypucowanych do połysku zbroi i pociemniałych od starości malowideł.

Pomyślałem, że urodziłem się po to, aby mieszkać w takim właśnie otoczeniu.

— Słyszałem, że w twojej rozmowie z sir Bayardem padło imię Galen — zaczął sir Robert, układając swój pyszny błękitny płaszcz na poręczy najbliższego fotela. — Czy powinienem je znać, czy też — tu uśmiechnął się, i to wcale nie z ironią — przybywasz z odległych okolic, z których imiona i nazwiska są mi nie znane?

— Panie, szcząc się tym, że jestem z Pathwardenów — odpowiedziałem.

— Rozumiem... — Sir Robert skwitował moją prezentację zapaleniem świecy, stojącej na mahoniowym stole, a potem skinieniem dłoni wezwał mnie, abym poszedł za nim.

Minęliśmy przedpokoje zamku di Caela. Wiedziałem, że Brightblade'owie odgrywali w przeszłości znaczną rolę — i żywiłem głęboką nadzieję, iż stary arystokrata nie zamierza mnie poprosić o odświeżenie jego pamięci w części dotyczącej historii mojego rodu — ale oba nazwiska bladły jakoś w porównaniu z tradycjami i wspaniałością tej budowli. Czuję się tak, jakbym szedł nawą szczególnej świątyni — wiedziałem też, iż ojciec i Gileandos odnieśliby podobne wrażenie.

Trafiłem bowiem do gniazda, z którego wywodził się starożytny i wielki ród, a jego założyciel walczył u boku samego Vinasu Solamnusa. Mieszkający tu ludzie mogli każdemu wywieść się z tysiącletniego szlactwa. Człowiek zaś, który szedł przede mną ze świecą, był ich dziedzicem — zważcie przy tym, iż odziedziczył nie tylko ich majątek, ale tradycje, bohaterstwo i szlachetność. Dość tego było, aby zrobić wrażenie na najbutniejszym nawet mieszkańcu Solamnii.

Sir Robert poprowadził mnie obok kilku malowideł, starych płócien przedstawiających jego przodków z linii di Caelów. Kątem oka łapałem na obrazy zastanawiając się, który też przedstawia Benedykta. Wzrok jednego z portretów — przedstawiającego przystojnego mężczyznę w podeszłym wieku ze szramą na lewym policzku — wydawał się mnie śledzić, gdy szedłem przez salę. Przypomniałem sobie dziecinne opowieści o nawiedzonych galeriach — i o istotach, które czają się za ścianami i obserwują przechodzących przez otwory w oczach malowideł. Gapiąc się na malowidła i rozmyślając o chochlikach i skrzatach

ukrywających się wśród snycerki, nie spostrzegłem, iż sir Robert przystanął. Wpadłem więc na mojego przewodnika. — Powiadasz, że jesteś z Pathwardenów? — Nie inaczej, panie. — Jesteś tedy synem sir Andrzeja Pathwardena? — Mam ten zaszczyt. — Ale powiedziano mi... — Tak, panie?

— ...że sir Andrzej ma jedynie dwóch synów — rzekł sir Robert z namysłem, potem zaś przechylił głowę, ujął mnie pod ramię i powiodł ku wetkniętej w kunę pochodni na ścianie — niewątpliwie po to, aby lepiej mi się przyjrzeć.

— Dość często zapominano o mnie, gdy w naszym starym zamczysku rachowano potomków — odparłem szybko i z desperacją, gapiąc się równocześnie prosto w płomień pochodni... której blask i dym napełniły mi oczy łzami. Z jakiegoś powodu w gardle drapało mnie i bez dymu z pochodni. Gdy moje oczy wypełniły się łzami, bez trudu wybuchnąłem udawanym płaczem.

— Sir Robercie, moi bracia zamykali mnie w stajniach! Razem z łownymi ptakami! Uścisk na moim ramieniu nieco zelżał.

— Jeśli tak było w istocie, wkrótce za to zapłacą — oznajmił i to stwierdzenie mocno mnie zdumiało.

Spojrzałem na niego pytająco. Stary rycerz odwrócił się ode mnie i powiedział z niejakim zakłopotaniem: — Weź się w garść, Galenie. Jesteś już za duży na to, by płakać.

Gdy przekroczyliśmy sklepienie w łuk przejście do kolejnej komnaty i skierowaliśmy się ku szerokim schodom, spojrzałem w górę, na podest otoczony marmurową balustradą ozdobioną posążkami sokołów i jednorożców. Na maleńkich zwisających z sufitu trapezach kołysały się tu wymyślne metalowe kukułki. Haki, na których zawieszono trapezy, ginęły gdzieś w mroku pod sklepieniem.

Nagle gdzieś za nami ozwała się jedna z kukulek. Odwróciłem się, aby znaleźć źródło dźwięku. I ujrzałem piękną zjawę, która nakręcała metalowego ptaszka.

Właściwie była to dziewczyna w moim wieku, odziana w białą suknię, jaką dla wygody mogła nosić panna niemal każdego stanu — od księżniczki do służebnej dziewczki. Na pierwszy rzut oka można było jednak stwierdzić, iż osóbką, na którą patrzyłem, nie przywykła do wykonywania poleceń. Po podeście schodów kroczyła tak, jakby była ich właścicielką.

Miała jasne włosy i płeć, a z miejsca, w którym stałem, mogłem się przekonać, że jej oczy były ciemne, a rzeźba policzków świadczyła, iż w żyłach dziewczyny płynęła krew kobiet z Równin. Od początku zaintrygowało mnie jej pochodzenie, natychmiast też uwierzyłem, że odziedziczyła po przodkach to, co najlepsze.

Dziewczyna nie zwracała na nas uwagi, skupiwszy się na naprawie kukułki, która najwidoczniej przestała kukać. Pomagając sobie jakimś drobnym, lśniącym przyrządem, badała główkę zabawki i

coś tam ustawiała — niestety, dzieliła nas zbyt duża odległość i nie mogłem stwierdzić, co to było.

— Moja droga, powiadom służbę, aby do kolacji przygotowała jeszcze jedno nakrycie — zwrócił się do niej sir Robert. — Mamy gości.

— Sam im to powiedz! — odkrzyknęła z góry dziewczyna, która wcale nie przerwała swego zajęcia. — Idziesz w tamtą stronę.

Sir Robert poczerwieniał i zacisnął pięści. Potem roześmiał się, potrząsnął głową i ruszył dalej. Przyspieszyłem kroku i zrównałem się ze starym rycerzem. — To pańska żona, sir?

— Nie, to moja posłuszna córeczka, Enid di Caela — zachichotał sir Robert, gdyśmy pokonywali niewysokie schodki, wiodące ku kolejnym mahoniowym drzwiom.

Enid? Wiejska, krzepka dziewczucha z moich wyobrażeń? No, Bayard naprawdę miał powód do przygnębienia!

— Enid di Caela — powtórzył sir Robert, tym razem poważniejszym tonem. — Wkrótce zaś Enid Androctus... A otóż i jeden z twoich braci!

Minęła dobra chwila, zanim w pełni dotarła do mnie treść stwierdzenia sir Roberta. Nadal jeszcze przeżuwałem fakt, że Enid di Caela w rzeczywistości była o wiele piękniejsza, niż to sobie wyobrażałem. Poeta mógłby rzec, iż zaplątałem się w długich, jasnych włosach dziewczyny, tonąc w jej ciemnych oczach. Gdy jednak pod ostrym sklepieniem przejścia ukazał się Alfric, z najwyższym trudem powstrzymałem się od natychmiastowej ucieczki przez pełne kukulek i malowideł korytarze.

Rozdział trzynasty

KIEDY SPOTKALIŚMY SIĘ NA DŁUGIM KORYTARZU W zamku di Caela, mój brat czuł się irytująco swobodnie i był w nastroju niemal przyjaznym. Spodziewałem się, iż sir Roberta zaskoczy nieco widok dwóch braci, którzy dawno się nie widzieli i nie biegną ku sobie z wyciągniętymi ramionami.

Gdy stary arystokrata wiódł nas do przeznaczonych nam komnat, zacząłem pieścić w myślach nadzieję, iż droga zmieniła paskudny charakter mojego braciszka, że uczyniła zeń człowieka mądrzejszego i bardziej skłonnego do wybaczenia niż ów miotający się dziko, zanurzony po pas w bagnie młokos, którego zostawiłem parę dni temu. Alfric podtrzymywał rozmowę w tonie uprzejmym i niemal przyjaznym, zdecydowałem więc, że są na świecie gorsze rzeczy niż dzielenie z nim komnaty.

Ale kiedy nasz gospodarz zamknął za sobą drzwi, braciszek skoczył ku mnie i porwał w objęcia z dawnym zapałem, a ja zdołałem wydusić z siebie jedynie nikły protest. — Bracie, proszę! Zabijasz mnie!

Żywiłem gorącą nadzieję, iż sir Robert usłyszy mój, dość w końcu głośny, rozpaczliwy kwik, i zawróci. Niestety, nie usłyszałem jego zwiastujących mi życie kroków. A śmiertelny uścisk Alfrica tężał z każdą chwilą.

— Mam cię, braciszku! Tym razem nie pomogą ci żadne płaczące wykręty! Uduszę cię na śmierć za to, żeś mnie zostawił w tych bagnach!

—

— Ale sir Robert... — Reszta moich słów utonęła w charkocie i dyszeniu. I oto uścisk Alfrica raptem zelżał.

— Masz rację, Łasico. Gdybym cię wykończył, zepsułbym sobie widoki na przyszłość w tym zamku. Mimo że nie jesteście — znaczy ty i ten twój sir Bayard — najmilej tu widziani, wcale by mi nie pasowało, gdybym zrobił coś tak niesolamijskiego jak uduszenie brata, no nie? Zwłaszcza że już mi nie zagrażasz i nie masz tego, na czym mi zależy.

Powiedział mi wszystko, czego się dowiedział o turnieju, o przebiegu walk, o żałobie i zimnej,

beznamiętnej mocy sir Androctusa, a także o tym, jak rosło zniecierpliwienie sir Roberta, gdy dni mijały, a Bayard się nie pokazywał. Usiadł na mnie okrakiem i perorował:

— Myślę, że jedynie solamnijska powściągliwość i dobre maniery powstrzymują go od tego, aby was dwu oblepić smołą, pierzem, wsadzić do beczek i poturlać z powrotem do gór Vingaard. — A jak ci się udało...

— Dotrzeć do zamku przed wami? Wygląda na to, że każdemu udało się to bez trudu, no nie?

Wsparłszy się pod boki, wybuchnął głośnym śmiechem. Ryczał tak, aż w końcu poczerwieniał na gębie i zaczął rzezić, ja zaś zacząłem się zastanawiać, czy mój braciszek nie ma — jak to mówią — kilku ptaszków pod sufitem. Skorzystałem też skwapliwie z nadarzającej się sposobności i wyslizgnąwszy się spod niego, wlałem pod stół w najodleglejszym rogu komnaty.

— To Brithelm... — oznajmił, gdy doszedł do siebie i odzyskał dech — Brithelm wyciągnął mnie z bagna. Wyjaśniłem mu, że muszę spieścić do zamku di Caela. Powiedziałem mu o turnieju i o tym, że musimy się pospieszyć. Brithelm wraca więc w mgnieniu oka do zamczyska i pokazuje się po kilku godzinach z dwoma najlepszymi końmi ojca, tygodniowym zapasem żywności... i ruszamy do zamku di Caela. Nie sądziłem, abym miał szansę w tym turnieju, myślałem jednak, iż trafi mi się okazja, aby obedrzeć cię ze skóry albo przynajmniej zająć twe miejsce u boku sir Bayarda... nikt bowiem chyba nie zechce na giermka chłopca, który topi w bagnie swego brata. Brithelm zresztą nie tylko potrafił dostarczyć koni i żarcia, ale zna przełęczę przez góry i drogi wiodące na południe. Zna taką przełęcz, o której mówił, iż oszczędzi nam trzy dni podróży. Możesz sobie wyobrazić, Galenie, jak byliśmy zdziwieni, kiedy ujrzelśmy, jak twój sir Bayard, ty i ten koniolud... — Agion. —

— A niech mu tam... natknęliście się na ogra na samej przełęczy. Obserwowałem to wszystko z daleka — Brithelm nie ma tak bystrego wzroku jak ja — za to jego nieustanne potykanie się częściową winę ponoszą słabe oczy, czyżbyś o tym nie wiedział? Powiedziałem mu, że Bayard zwycięża... i on mi uwierzył. W przeciwnym razie nie dałby się przekonać do dalszej wędrówki. Kiedy więc ujrzałem, iż rozbijacie obozowisko, przemknęliśmy obok was z Brithelmem i poszliśmy dalej. — Więc to twój głos słyszałem przy ognisku?

— Wydaje mi się, że lepszym uczynkiem jest zostawienie brata na przełęczy w towarzystwie dwu roślących kompanów niż porzucenie go na bagnach, gdy siedzi po pas w błocie... i jest sam jak palec — wymądrzał się Alfric. — Pomyśl o tym, kiedy zechcesz pójść do kogokolwiek na skargę. Przewornie cofnąłem się pod stół.

— Alfric, teraz masz swoją szansę na giermkostwo: W górach i na bagnach zaszły pewne... wypadki, które zmieniają nieco sytuację. Bayard nie potrzebuje już moich usług. Założę się, że od razu zaczniesz rozglądać się za nowym giermkim. Dziś w nocy zastaniesz go w obozie.

— Jak to się dziwnie składa, prawda, braciszku? — spytał, nie kryjąc satysfakcji, Alfric. Usadowił się wygodnie na łożu. — Już nie zależy mi na tym, aby zostać giermkim sir Bayarda Brightblade'a. Nie jest już moim idolem. — To znaczy?

— Jego miejsce zajął sir Gabriel Androctus — oznajmił nadęty jak purchawka Alfric. — Zwyciężył w turnieju i zdobył rękę Enid di Caela. Wkrótce stanie się najbardziej wpływowym rycerzem w tej części Solamni. Może będzie potrzebował giermka... a jeśli tak, to ja nim zostanę.

Za drzwiami moich komnat sale zamku di Caela napęliły się dźwiękami mechanicznych kukulek. Obudziłem się z drzemki. Alfric gdzieś sobie poszedł

— niewątpliwie szykował się do uczyty przedślubnej, wielkiego bankietu, który poprzedzał ceremonie weselne. Z pewnością usiłował załatwić sobie posłuchanie u sir Gabriela Androctusa — gdzie pewnie będzie podlizywał się bezwstydnie, aby tylko zostać giermkim oblubieńca.

Brithelm również przebywał gdzieś w zamku, choć nikt nie był pewien gdzie. Przybył wkrótce po

fatalnym starciu Gabriela Androctusa i sir Prospera z Zeriak, niemal natychmiast też gdzieś przepadł — niewątpliwie

znalazł w zamku jakieś odosobnione miejsce, w którym mógł do woli oddawać się medytacjom.

Wszystko świetnie się składało. Potrzebny był mi czas dla dokonania pewnych przegrupowań.

Niełatwo było dobrze się wyspać w komnatach, za drzwiami których stale rozlegały się trele i świergoty mechanicznych ptaszków. Gdybym trafił do uboższego domu, gdzie jest jedna taka ptaszyna, mógłbym określać czas kolacji wedle jej wezwań, ponieważ kukułki te stawały się coraz modniejsze jako swego rodzaju mechaniczne czasomierze.

Były modne, ale niezbyt dokładne. Jak większość podobnych zabawek, pochodziły z warsztatów gnomów i przeważnie nie wydawały dźwięków w tak regularnych odstępach czasu, jak zapewniali ich twórcy. Niektóre w ogóle się nie odzywały, inne darły się nieustannie, dopóki sprężyna nie rozkręciła się do końca, jeszcze inne odzywały się w nieregularnych odstępach czasu i towarzyszył temu tak przeraźliwy zgrzyt metalu, iż nabywca żałował zakupu i wolałby, aby zamknęły dziób na wieki.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Di Caelowie byli oczywiście rodem zbyt majętnym i starym, aby przejmować się upływem czasu. Żyli w zamku, w którym przeszłość mieszała się z teraźniejszością, nikt też nie opowiadał się wyraźnie za jedną czy drugą. Co więcej, byli tak bogaci i wpływowi, że gdy zechcieli się gdzieś pojawić, główne wydarzenia wstrzymywano, dopóki nie raczyli przybyć. Mechaniczne kukułki pełniły funkcję jedynie dekoracyjną, di Caelowie bowiem uważali wydawane przez nie dźwięki za miłe i przyjemne dla ucha.

Ale nie każdy z gości podzielał ten pogląd. Kukanie zakłóciło me rozmyślenia, które z kolei zostały zaburzone pytaniami, o których wiedziałem, że wcześniej czy później się pojawią.

Dlaczego opuściłem sir Bayarda, który nie dalej niż przed dwoma tygodniami zgodził się uprzejmie wziąć mnie na giermka, mimo iż mój ojciec mocno się temu sprzeciwiał?

Dlaczego sir Bayard nie zdążył na turniej i co ja miałem wspólnego z opóźnieniami w jego podróży?

Im dłużej zastanawiałem się nad sytuacją, tym bardziej oczywista stawała się konieczność powrotu do sir Bayarda. Wyjąłem kości, rzuciłem je i odczytałem wynik.

Znak Jelenia. Który — o ile mogłem rzec — nijak odnosił się do mojej sytuacji.

I tak zresztą traciłem wiarę w Calantinę. Rzuciłem zatem raz jeszcze, licząc na to, iż otrzymam znak, który łatwiej zrozumieć — lub który

bardziej przypadnie mi do gustu.

Znak Szczura. Znowu. Ostatni raz taki rzut wyszedł mi jeszcze w zamczysku nad fosą.

Niechże więc i tak będzie. Raz jeszcze pójdę sobie, gdzie mnie oczy poniosą. Raz jeszcze Łasica okaże się Szczurem.

Wstałem, wziąłem z łóżka opończę i ruszyłem do drzwi. Przyłożyłem ucho do drewnianej płyty i zacząłem nasłuchiwać. W korytarzu panował spokój — na tym piętrze kukułki albo pospadały z trapezów, albo się rozregulowały — wszczynały alarm w odstępach czasu, których długość wahała się od dziesięciu minut do trzech dób, teraz zaś wszystkie umilkły. W każdej jednak chwili mogły się rozedrżeć jak kuranty w zepsutym zegarze.

Powoli otworzyłem drzwi i wyszedłem na korytarz. Na palcach przemknąłem obok milczących ptasich wartowników i z opończą w dłoni ruszyłem ku schodom. Korytarz kończył się łukowato sklepionym przejściem, otwierającym się na podest nad komnatą, w której sir Robert po raz pierwszy wspomniął o zbliżającym się ślubie córki. W przejściu tym zatrzymałem się i spojrzałem w dół.

Na tym właśnie podeście stała niedawno lady Enid i nakręcała mechaniczne ptaki. Pożegnałem się z nią w myślach, hołubiąc w sercu nadzieję, iż tego samego dnia, gdy do Alfrica, zasiadającego w paradnej sali zamczyska nad fosą, dotrze wieść, że jego najmłodszy brat zginął gdzieś przedwcześnie śmiercią w odległych krajach, oboje di Caelowie — uroczą córka i jej elegancki ojciec — uronią choć kilka łez współczucia i będą żałowali, że nie dane im było poznać lepiej najmłodszego z Pathwardenów, nieposkromionego Galena, podstępna, ale mająca dobre serce Łasice.

Wyobrażając sobie tę scenę, niemal sam rozplakałem się ze wzruszenia. Potem ruszyłem schodami w dół.

I wtedy właśnie ptaszysko z lewej ozwało się donośnym głosem — czemu towarzyszył tak nieznośny zgrzyt, jakby ktoś rozdzierał je na połowy. Niepomierne zaskoczony, okręciłem się na pięcie i zarzuciłem płaszcz na skrzeczącą szkaradnie ptaszynę, ale ta nadal szamotała się pod sukniem — wrzaski ptaszka były częściowo stłumione, wciąż jednak rozlegały się całkiem donośnie.

Spojrzałem wzdłuż korytarza ku opuszczonym przede mną komnatom, potem raz jeszcze łypnąłem okiem w dół.

U podestu stała Enid, która oparłszy rączkę o balustradę, patrzyła na mnie z zaciekawieniem i rozbawieniem.

— Panie, nie tykaj zabawek — powiedziała spokojnie.

— Rozstroisz je tylko. Tej wprawdzie, którą przykryłeś płaszczem — ciągnęła, idąc ku mnie schodami — raczej to nie zaszkodzi, niełatwo bowiem wyobrazić sobie paskudniejsze kukanie.

Pachniała liliami i minionym czasem. Odzyskałem głos, który tymczasem niewątpliwie umknął w głąb korytarza.

— W istocie, lady Enid, wydało mi się, że ta tutaj jest nieco... zachrypnięta. Ale pozostałe, jeśli raczysz wybaczyć mą zuchwałość...

— Są równie okropne — zaśmiała się, a jej śmiech był tak melodyjny i dźwięczny, że słuchałem go z przyjemnością równą niesmakowi, z jakim odniosłem się do stada rozstrojonych kukulek. — Sądzę, że gdyby żyła nasza matka, uwolniłaby nas od słuchania tych natrętnych ptaszyn, ona bowiem nie przejmowałaby się wcale faktem, że są częścią zamkowej tradycji. Nie można zawierzyć smakowi mężczyzny — szczególnie jeśli chodzi o dźwięk czy kolor, ponieważ w obu wypadkach skłaniają się ku przesadzie.

Przesunęła się obok mnie i zdjęła moją opończę z będącej przedmiotem rozmowy kukułki. Ptaszysko wciąż darło się histerycznie. Lady Enid sięgnęła ku podstawce drążka, na którym rozsiadła się kukółka, przesunęła jakąś dźwignię i ptaszyna nareszcie umilkła.

— Jako urodzony Solamnijszyk, wiesz, panie, oczywiście wszystko o tradycji i tak dalej — powiedziała lady Enid, ujmując mnie pod ramię i wiodąc schodami ku światłu, czemu towarzyszyła fala coraz intensywniejszego zapachu lilii. — Czy nie sądzisz, iż obsesja dotycząca czystości krwi i zamięłowanie do ceremonii są nieco... nużące.

Dotyk jej pięknej rączki pozbawił mnie całkowicie zdolności wypowiedzi.

— Mam na myśli to, iż najdrobniejszy gest jest częścią jakiejś śmiertelnie poważnej solamnijskiej tradycji i karą za jej złamanie jest coś... nieokreślonego, co zwie się utratą twarzy. Jest to rzecz z pewnością okropna, ale nie aż tak, jak utrzymują rycerze.

Ponownie zaśmiała się tym swoim melodyjnym śmiechem, a moją twarz oblała fala ciepła.

— Och, sir, proszę o wybaczenie! Zapomniałam, że twoim celem jest zostanie rycerzem i prawdopodobnie cenisz sobie wielce tradycję... — Rycerzem? — Wstąpiłem na pierwszy stopień schodów. — Czyż nie jesteś, panie, giermkim sir Bayarda Brightblade'a?

— O-oczywiście... Lady Enid, zechciej mi wybaczyć, ale mą uwagę rozproszyły nieco uroki tego zamku.

—

I uroda jego pani. Do tego stopnia, że zapomniałem o swoich zamierzeniach. Zapomniałem też — oprócz innych rzeczy — spytać, dokąd to mnie wiedzie. Rzeczywiście, dokąd?

— Urodziwy człowiek z tego Brightblade'a. Widziałam go z okien mojej komnaty. Założę się, że jest dobrym szermierzem.

— Jednym z najlepszych — zgodziłem się — jeśli u mężczyzn cenisz, pani, tę właśnie umiejętność.

— Na jego widok zapragnęłam niemal, abym mogła mieć jeszcze swobodę wyboru — powiedziała Enid jakby mimochodem, a potem rozjaśniła się nagle swym zaraźliwym uśmiechem i kiwnięciem główki wskazała mi jeden z wiszących na ścianie portretów: — Mariel di Caela. Moja praprapra... cioteczna babka.

— Urocza — powiedziałem, ponieważ tego chyba ode mnie oczekiwano.

— Urocze jest to, iż Zakon ćwiczy chłopców w dwornych manierach, ale w tym względzie, Galenie, nie musisz się wysilać. Popatrz na tę gębę: wygląda jak sowa. Jedyne chyba troll mógłby ją polubić. — Znałaś ją, pani?

— Umarła, gdy byłam dzieckiem. Sześć miesięcy przed moim przyjściem na świat zamknęła się w komnacie na szczycie południowo-wschodniej wieży — tej najwyższej, pozbawionej okien, jeśli nie liczyć komnat naprzeciwko murów zewnętrznych. Zamknęła się tam ze swoimi ulubieńcami — którymi było kilkanaście kotów. Możesz sobie wyobrazić, panie, te fruujące w powietrzu kłaki kociej sierści? Dziadek był dziedzicem tytułu i panem zamku. Pozwolił jej postąpić wedle woli. Tradycją rodzinną jest, że di Caelowie podejmują decyzje za swoje kobiety — dopóki się nie zestarzeją... Powiedziała to nie bez goryczy w głosie. Zacząłem słuchać uważniej.

— Potem oczywiście pozwalają już im robić, co zechcą. One zaś najczęściej koncentrują się na wszelkich formach uprzykrzania życia mężczyznom, którzy przedtem latami ograniczali ich swobodę... Tak czy owak, mniej więcej wtedy, gdy przyszłam na świat, ciotunia Mariel zaczęła odsyłać na dół talerze zjedzeniem. A ponieważ miała naturę władcą i chciała się na kimś odegrać — zechciej, panie, pamiętać, że przez połowę stulecia nie pozwalano jej na podejmowanie samodzielnych decyzji i przez połowę stulecia bez dyskusji postępowała zgodnie z tradycją di Caelów — odmówiła żywności i swoim zwierzacom. Koty ją oczywiście pożarły. Po tygodniu takiego postu strażnicy zwrócili uwagę na milczenie ciotki. Powiadomili dziadka, że już nie wykrzykuje instrukcji i

— poleceń przed potężne drzwi komnaty. Na polecenie ojca strażnicy podjęli próbę otwarcia drzwi. Pod kierownictwem wuja Roderyka — który zmarł wkrótce potem, ale to inna historia — usiłowali otworzyć zamek wytrychami. W końcu nie obeszło się bez wyważenia drzwi. Reszty... — uśmiechnęła się niewyraźnie — możesz się domyślić. — Powodem tego wszystkiego była oczywiście klątwa, nieprawdaż? Oczywiście natychmiast pożałowałem tego, com powiedział, Enid jednak nie okazała zdziwienia.

— Może nie bezpośrednio. Nigdy tak o tym nie myślałam. Ale... tak... to prawda, że niemal za wszystko, co się tu dzieje, winę składa się na owo stare przekleństwo.

Przechyliła główkę na bok i zaczęła przyglądać mi się z zagadkowym uśmiechem.

— Wydaje się, panie, że wiesz sporo o przekleństwie di Caelów. Co jest warte uwagi, jako że nie jesteś jednym z nas. Jej uśmiech wywarł na mnie takie wrażenie, że nie umiałem nic rzec.

— To zresztą nie ma znaczenia — powiedziała obojętnie. — Myślę, że każdego Solamniczka świerzbi skóra, gdy stary Benedykt szykuje się do powrotu. — W każdym więc pokoleniu jest to ten Sam osobnik?

— Nikt nie wie tego na pewno. Jeśli to rzeczywiście on, to przekleństwo lepiej się... prezentuje. Czy jednak chodzi o starego, czy o któregoś z jego potomków, czy może jest to ktoś inny jeszcze, wydaje się, że obecne pokolenie jest kluczowe dla całej sprawy. Dlatego właśnie ojciec zorganizował ten turniej. Chciał, abym wyszła za mąż za rycerza, na którym będzie można polegać, gdy klątwa spadnie na nas ponownie.

Skinąłem głową, zrobiwszy mądrą minę, choć zupełnie nie miałem pojęcia, jak działa to przekleństwo. Skoro już o tym mowa, nie miałem też pojęcia, jak jego działanie wyobraża sobie sir Robert.

Skęciliśmy w lewo i ruszyliśmy korytarzem, który zaczynał się u podstawy schodów. W miarę jak szliśmy, w mojej wyobraźni obraz twierdzy rozrastał się, jakby była światem samym w sobie.

— W turnieju zwyciężył sir Gabriel Androctus, rycerz Zakonu Miecza. Miano godne, i owszem,

ale gdybyś mnie, panie, spytał, odpowiedziałabym, że temu rycerzowi czegoś nie dostaje — ciągnęła nieposkromiona Enid. Wskazała kolejny korytarz na prawo. W jego ścianie wycięto wysokie okna, naprzeciwko których ustawiono naturalnej wielkości marmurowe posągi. — Pierwszych sześciu otwierających poczet członków rodu di Caela —

oznajmiła. — Który z nich to Benedykt?

— Benedykt di Caela usiłował zniszczyć rodzinę. Może i teraz próbuje to uczynić. Dlaczegoż mielibyśmy stawiać mu posąg, niemądry chłopcze?

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi, z których wypadła dziewczyna w tym samym mniej więcej co Enid wieku. Panna ruszyła ku nam.

— Kuzynko Danelle... — poprosiła Enid — podejdź tu, proszę, i poznaj Galena Pathwardena, znamienitego giermka.

— Jak na znamienitego giermka jest strasznie mały — odezwała się Danelle.

— Niemniej jest uroczy — odparła Enid. — Przyjdź i przekonaj się sama.

Przyznać muszę, że ścierpła mi skóra. Nie lubię, kiedy mnie oglądają, a tych oględzin nie dało się uniknąć. Danelle wdzięcznie przemknęła ku nam korytarzem — w każdym calu di Caela. Ale wcale nie była do nich podobna.

Co oczywiście nie znaczy, że nie była piękna. Zamiast jednak jasnych włosów, orzechowych oczu i arystokratycznych, nieco wklęsłych policzków miała włosy płomiennie rude, oczy zielone, sylwetkę zaś drobną i kruchą. Spojrzała na mnie... a ja poczułem się, jakbym patrzył w zwierciadło, w którym — pod postacią uroczej dziewczyny — odbija się mój wizerunek.

— W postumencie starego Geralda jest szczelina — odezwała się Danelle spokojnym głosem, oglądając mnie równocześnie jak raroga. — Ten chłopiec bardziej przypomina Pathwardena niż człowieka.

— Och, Danelle, przestań! — ucięła Enid. — Nie możesz go winić za...

Obie dziewczyny roześmiały się, a Enid położyła mi dłoń na ramieniu, wywołując na mej twarzy rumieniec.

— Danelle nie przepada za twoim starszym bratem, choć nie mam pojęcia dlaczego... szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że mają takie same włosy i oczy — wyjaśniła Enid. Danelle zawyla z udawaną furią, odwróciła się i zrobiła kilka kroków, jakby chciała odejść. Enid zawołała ją i przez chwilę obie spoglądały na siebie ponuro, a potem znów roześmiały się perliście.

Wtedy właśnie zauważyłem u nich najmocniejszą cechę rodzinnego podobieństwa. W salach twierdzy śmiech obu dziewcząt rozbrzmiewał niczym ciepła i radosna muzyka. Wszyscy troje przeszliśmy aż do końca oświetlonej promieniami

popołudniowego słońca amfilady posągów. Tam obok drzwi komnaty Danelle skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy z powrotem — jak się domyśliłem — ku schodom. Przez całą drogę obie dziewczyny pokazywały mi różne pamiątki rodu di Caelów.

Poznałem więc historię Denisa di Caela, który wypowiedział wojnę szczurom w zamkowych piwnicach — przedsięwzięcie samo w sobie żmudne w każdym zamku, w tym zaś (rozległym i nawiedzonym przez klątwę) niewykonalne. Dowiedziałem się, że po wielu latach i paru przegranych bitwach pojmał w pułapkę ogromnego szczura, którego ponad rok trzymał w niewoli sądząc, iż szczury skapitulują, aby „uwolnić swego wodza”.

Simon di Caela uważał się za jaszczurkę i całe dni spędzał, pławiąc się w słońcu na dachu północno-wschodniej wieży, usiłując łowić językiem muchy. Padł ofiarą — jak upewniały mnie rozradowane dziewczęta — nagłego przymrozku.

A jednak ci sami ludzie stawiali opór atakom Benedykta di Caela przez ponad czterysta lat. Te

przykłady dodawały otuchy i pewności siebie.

— Lady Enid, cóż takiego... jeśli, oczywiście, wolno mi spytać... osłabia twój entuzjazm dla wzmiankowanego nieco wcześniej pana młodego?

— Proroctwo, niemądry chłopcze. Proroctwo na marginesie Księgi Vinasa Solamnusa — stwierdziła beznamiętnie Enid. — Więc o nim wiesz?

— Oczywiście — odpowiedziała. — Wuj Roderyk podjął wyprawę do Palanthas, gdy tylko dowiedzieliśmy się, że bibliotekarz znalazł je w starym rękopisie. Głupstwo, oczywiście, ale rodzina, która od stuleci w każdym pokoleniu doznaje jakiejś klęski, chwyta się każdego możliwego rozwiązania kłopotliwej sytuacji. Wiesz, w tym proroctwie jest coś o Jasnej Klindze — ciągnęła, kierując nas ku kolejnej komnacie, potem ku jeszcze jednej, której ściany o-zdobiono płaskorzeźbą przedstawiającą upadek Ergoth. Przeciwległa ściana owej komnaty była pusta — jeśli nie liczyć balkonu, o którym dziewczęta mówiły, że jest z niego świetny widok na salę jadalną. — Ojciec wgryzał się w to proroctwo i w końcu dopatrzył się w nim znaku, iż powinniśmy się związać węzłem małżeńskim z Brightblade'ami.

— Oczywiście — dodała Danelle — tekst owej przepowiedni nie jest w tym względzie jednoznaczny. Możesz ją odczytać na kilka sposobów... tak na przykład że „Jasna Klinga przetnie kłatwę...” albo znaleźć w niej sugestię, która każe wujowi Robertowi wydać Enid za jednego z

— Brightblade'ów. I to właśnie stało się powodem, dla którego ogłoszono owe fatalne zawody. Wuj Robert mniemał, iż jeśli tu odbędzie się turniej, Bayard Brightblade sam dokona całej reszty. Był to — między innymi — sposób, aby go tutaj ściągnąć.

— Sposób ów zawiódł, oczywiście — westchnęła Enid, wtrącając się do opowiadania Danelle. — Gdzież podziewał się sir Bayard, zablądził w lasach?

Nie sądziłem, aby to było możliwe, ale zarumieniłem się jeszcze bardziej. Enid zaś ciągnęła beztrząsko:

— Widziałam go jedynie raz, ale wygląda dość korzystnie w porównaniu z tym... Androctusem... którego mam poślubić. — Ależ... — zacząłem i znów przerwała mi Danelle.

— Wuj Robert utrzymuje, iż Enid nie ma powodów do żałoby i małżeństwo z tym Androctusem — albo, skoro już o tym mowa, jakimkolwiek innym rycerzem — zmieni jej życie w niewielkiej tylko mierze. Twierdzi też, że każdy, kto żeni się czy poślubia jednego z di Caelów, staje się jednym z nas... Enid więc będzie mogła pozostać w zamku i żyć tak jak dotychczas.

— Mogę się mylić, ale czy gnomy nie mają takiego przysłowia, które powiada: „Jeśli chcesz kogoś poznać, zwiąż go ze swą rodziną małżeństwem”? — spytałem. Obie dziewczyny roześmiały się głośno i skinęły potakująco główkami.

— Niezależnie od tego, jaki jest sir Androctus — oznajmiła Enid — poślubienie go będzie w moim życiu ostatnim czynem, przy którym pozwoliłam, aby decyzję podjął za mnie ktoś inny.

Nie wróżyło to najlepiej małżeńskiemu szczęściu zwycięzcy turnieju. Co prawda mnie samemu niewielką przynosiło to pociechę. Musiał jednak istnieć sposób na dowiedzenie słuszności twierdzeń Bayarda! Mężem Enid powinien zostać Brightblade, nie jakiś przybłąda, który pojawił się tu niczym chochlik z pudełka.

Tymczasem kuzynki di Caela nie przestawały czarować mnie swoim towarzystwem i trafiliśmy na drugie piętro.

Byłem karmiony przy tym pochlebstwami, okraszonymi ich urodą i niewątpliwie prowadzony do jadalni, w której sir Robert miał pewnie dorżnąć mnie kłopotliwymi pytaniami i odkryć wszystkie występki, jakich dopuściłem się podczas krótkiej, dwutygodniowej zaledwie służby w charakterze giermka Bayarda. Zwolniłem więc kroku i stłumiłem udawane ziewnięcie. — Prosiłbym, abyście nie

wzięły tego ziewnięcia za brak — zainteresowania. Uważam, iż historia zamku di Caela jest fascynująca, obawiam się jednak, że...

Przerwałem, licząc na dobre maniere i urodzenie obu panien, które oczywiście mnie nie zawiodły.

— Kuzynko Danelle, zadręczamy chłopaka rozważaniami, a on z całą pewnością potrzebuje wypoczynku przed kolacją! — zawołała Enid.

— Kuzynko Enid, jakież to nieuprzejme z naszej strony! Cóż on sobie pomyśli o gościnności di Caelów?

Danelle wyciągnęła rączkę i pogładziła mnie po włosach. Poczzerwieniałem tak, iż niemal poczułem, jak krew tryska mi z policzków.

— Och, lady Danelle, wcale nie myślę źle o waszej gościnności. Ale w istocie jestem znużony. Byłbym niewymownie wdzięczny, gdybyście zechciały odprowadzić mnie do moich komnat, gdzie mógłbym zażyć przynajmniej godzinnej drzemki.

Co też niezwłocznie uczyniły, prześcigając się w przeprosinach. Zaabsorbowały moją uwagę do tego stopnia, że z trudem zdołałem zapamiętać drogę powrotną, obok płaskorzeźb, posągów i malowideł. W końcu dotarliśmy do drzwi moich apartamentów — ale wcale nie miałem pewności, czy w przyszłości będę mógł samodzielnie poruszać się w labiryncie przejść i korytarzy.

Przez jakiś czas siedziałem w komnacie sam. Rzuciłem czerwone kości i otrzymałem Znak Konia Morskiego. Skłamałem w myślach za to, że przeczytałem jedynie trzy z komentarzy Gileandosa do Calantiny, zostawiając „na potem” tom znaków wodnych, ponieważ nie umiałem rozpoznać zwierząt w nim opisanych. Tak czy owak, gdy tylko usłyszałem, że odgłos kroków obu panien niknie w terkocie kukulek, odczekałem chwilę, wyrząłem na korytarz i ostrożnie rozejrzałem się, patrząc najpierw w lewo, potem w prawo. Nie zobaczywszy pięknej Enid ani jej kuzynki, ruszyłem zapamiętaną uprzednio trasą. Zamierzałam ukradkiem przyjrzeć się sir Gabrielowi Androctusowi.

Dość łatwo trafiłem na właściwy szlak. Przeszedłem obok malowideł, rozległej, marmurowej klatki schodowej, potem skręciłem w prawo, wzdłuż korytarza z posągami. Usłyszałem, że ktoś mnie szuka, wołając moje imię gdzieś w czeluściach budynku. Zatrzymałem się i wyrząłem oknem, spoglądając ponad zewnętrznymi murami na zachodnią połąć pola. W pewnej odległości zobaczyłem powiewający tam wśród innych znaków słoneczny proporzec Brightblade’ów. Mój rycerz znalazł wreszcie na noc schronienie. Na palcach przemknąłem obok marmurowych di Caelów, którzy

patrzyli na mnie obojętnie i z dezaprobatą. Rzeczywiście, postument starego Geralda przecinała kręta szczelina.

Jeśli miałbym orzekać na podstawie zachowań Denisa, Simona i Mariel, cała rodzina miała kręćka.

Na palcach przemknąłem się też obok drzwi Danelle. Przedostawszy się szczęśliwie, ruszyłem dolnym korytarzem w prawo, potem w lewo i jeszcze raz w prawo, aż dotarłem do korytarza, w którym na ścianie z prawej ścierali się zaciekle i w milczeniu, w nieustającej walce, malowani obrońcy i napastnicy Ergoth.

Drzwi w przeciwległej ścianie wywiodły mnie w gęsty, ciepły mrok, pachnący kosztowną (choć lekko zleżałą) odzieżą. Gdzieś tam w głębi owych ciemności słyszałem jakieś głosy — rozmowy, śmiechy, brzęk metalu i zastawy. Ostrożnie zanurzyłem się w mrok i wyciągnąłem przed siebie dłoń, dopóki palcami nie dotknąłem aksamitnej kotary.

Stałem przed zasłoną. Niczym kiepski aktor powiodłem palcami w górę i w dół, szukając miejsca, w którym mógłbym ją rozsunąć. Po dokonaniu tego odkryłem, iż stoję na balkonie zawieszonym nad salą biesiadną, która przekraczała rozmiarami podobną salę w moim rodzinnym

zameczysku — czego w końcu mogłem się spodziewać — nigdy jednak nie potrafiłbym pomyśleć, że przeznaczona do biesiad komnata może być aż tak wielka. W jadalni zamku di Caela swobodnie mógłby zmieścić się cały mój rodzinny zameczek, a dekoracja i ozdoby tej jednej tylko komnaty mogłyby całkowicie opróżnić skarbce wszystkich Pathwardenów.

Pochodnie i świece zalewały leżące pode mną pomieszczenie powodzią łagodnego blasku — mieniącego się bielą, żółcią, jantarem i purpurą. Krzątająca się przy stołach służba wyglądała z góry jak zabawki — pod ścianami stroili swe instrumenty muzycy grający na gitarach i elfich harfach, pośrodku komnaty ujrzałem grupkę ćwiczących akrobatów, wokół artystów zaś miotali się służący zajmujący się konkretnymi obowiązkami — jedni rozkładali na stołach czyste obrusy, inni przed każdym fotelem ustawiali puchary, układali też naczynia i sztuce.

Rozsiadłem się wygodnie, ukryty w mroku na górze, i zacząłem czekać na rozpoczęcie uczy.

Wkrótce muzycy rozdarli powietrze czymś, co brzmiało basowo, poważnie i z solamnijska. Otuliłem się grubym aksamitem, po czym zająłem obserwacją mieszkańców zamku di Caela i ich gości, którzy statecznie, godnie i we właściwej kolejności zapełniali salę biesiadną.

Pierwsze szły więc damy. Procesję wiodła Enid — jasnowłosa, w niewiarygodnie błękitnej, zdobnej kwiatami sukni. W najbliższą niedzielę

będzie wyglądała jeszcze piękniej, kiedy odziana w biały, tradycyjny solamnijski strój weselny pójdzie na czele ślubnego orszaku. Dziś w nocy coś ją jednak trapiła, z miejsca bowiem, gdzie siedziałem, mogłem ujrzeć cień w jej pięknych, orzechowych oczach.

Za nią szła Danelle, jako druhna, wciąż — jak mogłem to spostrzec — niezadowolona z pośpiesznego małżeństwa kuzynki. Dziewczyna skromnie splotła przed sobą dłonie. Pochyliła się ku przodowi i szepnęła coś do Enid, po czym

— nie przejmując się wcale ceremoniałem — obie dziewczyny zachichotały bezgłośnie.

Za tymi dwiema pannami szło kilka innych dam, ustępujących im urodą, za damami pojawili się rycerze — niektórzy z nich najwidoczniej uczestniczyli w turnieju. Pomędzy tymi ostatnimi wyróżniał się wzrostem wysoki mąż w spiralnie skręconym, muszlowatym hełmie, a także nad wyraz rozrośnięty wszerek jegomość, dźwigający nie bez wysiłku czterysta funtów cielska okrytego uroczystą, ceremonialną zbroją.

Byli to, jak miałem dowiedzieć się nieco później, sir Ledyard i sir Ramiro.

Procesję zamykał sir Robert di Caela, który zasiadł na najgodniejszym miejscu u rozległego, mahoniowego, stojącego pośrodku komnaty stołu. Obserwowałem, jak pozostali rycerze cierpliwie czekają, dopóki staruszek nie zajmie swojego miejsca — obok którego umieszczono z prawej strony jeszcze jeden, pusty jak dotąd fotel z wysokim, rzeźbionym oparciem. Najwidoczniej było to miejsce pana młodego.

Czyżby wszyscy ci rycerze byli rywalami pana młodego, którzy adorowali Enid i walczyli o jej rękę? Wydało mi się, że są trochę za starzy na takie idiotyzmy.

Za najznamienitszymi pojawili się i młodszy, z których wielu nosiło z godnością i dumą swe — jak je określał ojciec — „turniejowe przepaski”, opatrzone dłońmi panien zadrapania, skaleczenia i niekiedy nawet złamania — świadczące o tym, iż ich właściciel po raz pierwszy brał udział w turniejowym starciu. Kilku z nich miało temblaki i łupki na barkach, jeden zaś — rycerz za złamaną i zestawioną kostką — opierał się na ramionach dwu towarzyszy.

Pomędzy nimi szli Alfric i Brithelm, którzy pośród całej tej solamnijskiej świetności wydawali się trochę zagubieni. Alfric jak zwykle zresztą wyglądał na błazna, otuchy jednak dodał mi widok Brithelma — który w swej czerwonej szacie, zaniedbany, ale zdrowy i nietknięty, zachował spokój i nie wyglądał na przygnębionego koneksjami

towarzyskami. Nieoczekiwanie dla samego siebie poczułem radość z jego obecności, cieszyło mnie nawet to, że wyciągnął z błota Alfrica.

Mimo iż zebrało się tu wielu zuchwałych młodzików i była to przecie uczta przedślubna, na której nie miało zabraknąć wina i muzyki, panowała poważna atmosfera — zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że posępna.

I taka pozostała, dopóki wszyscy rycerze nie zajęli swych miejsc. Tony uroczystej muzyki poweselały i na polecenie sir Roberta — który niewątpliwie był starym i niepoprawnym romantykiem — służący pobiegli ku ścianom komnaty i stołowi, gasząc niemal połowę świec i kaganków w wielkiej, zwisającej ze sklepienia lampie. Światło przygasło i zmieniło barwę na ciemnobursztynową. Do komnaty, oświetlony pełgającymi po polerowanym napierśniku refleksami; wkroczył pan młody — czemu towarzyszyła rozgrzewająca krew bojowa fanfara, odegrana na harfach i niewielkim srebrnym rożku, który błysnął w dłoni jednego z muzykantów.

Ponieważ patrzyłem z góry, a w sali panował prawie półmrok, nie mogłem dobrze przyjrzeć się tajemniczemu przybyszowi. Szedł spokojnym, długim krokiem, zauważyłem też, iż nawet niektórzy ze starszych i znaczniejszych rycerzy odsuwają się nieco, gdy przechodził obok.

Siedzący już sir Robert, okazując szacunek zwycięzcy, wstał ze swego miejsca i dał dłonią znak, na który wszyscy rycerze podnieśli swe puchary i skierowali je w stronę zbliżającej się, odzianej w czerń sylwetki. Płomienie pochodni załśniły na kryształach, napełnionych rubinowym winem.

Sir Gabriel zatrzymał się przed sir Robertem i pozdrowił go, zakładając za plecy dłonie w rycerskich rękawicach. W zwodniczym świetle wielkiej sali biesiadnej nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć — zauważyłem tylko, że jego twarz jest blada, że ma ciemne, gęste brwi i jest dość urodziwy. Nie wydawał mi się za stary na udział w turnieju, którego zwycięzca zdobywa rękę urodziwej panny — co różniło go od wielu innych, zgromadzonych w tej sali, którzy — jeśli istotnie brali udział w walkach — powinni byli wstydzić się szaleństwa, które należało pozostawić dwukrotnie młodszym od siebie.

Sir Gabriel wyglądał też na człeka doskonale sobie radzącego z etykietą, który przemykał wśród ceremonii towarzyszących uczcie z wprawą i swobodą tancerza, urodzonego do ruchów pompatycznych i podniosłych. Był młody, urodziwy i znać w nim było świetną krew. Potrafił również zatroszczyć się o siebie, co najlepiej chyba udowodnił, zwyciężając w dobrze obsadzonym turnieju.

Stojący przed nim sir Robert uniósł puchar.

— Za pomyślność, zdrowie i długie życie sir Gabriela Androctusa, członka solamnijskiego Zakonu Miecza — zaczął staruszek — któremu rankiem, po tej wesołej uczcie, oddamy najcenniejszy z naszych klejnotów.

— Za pomyślność, zdrowie i długie życie sir Roberta, głowy rodu di Caela — rozpoczął swą odpowiedź sir Androctus, ale muszę się przyznać, że nie zwróciłem uwagi na dalszy jej ciąg, zdumiał mnie bowiem głos pana młodego. Natychmiast rozpoznałem ową miodową barwę, którą słyszałem już w rodzinnym zamczysku i na bagnach. Panem młodym był Skorpion.

Rozdział czternasty

WRÓCIŁEM DO ŁÓŻKA, zanim sir Robert raczył po mnie posłać. Leżąc pod kocami, udałem gorączkę i jęczałem — może nieco zbyt żałośnie — gdy zjawili się dwaj przybocznicy sir Roberta, których odesłałem, każąc zanieść staremu rycerzowi moje przeprosiny.

Potem zaczęły się schody. Choć świetnie zapamiętałem położenie wszystkich niemal korytarzy, nie miałem pojęcia, co kryją za sobą ciągnące się wzdłuż nich drzwi. Gdzieś tam leżała komnata Skorpiona, w której — może — udałoby mi się znaleźć jakieś wskazówki, dzięki którym zorientowałbym się, kim jest i do czego zmierza. Przypomniał mi się przekleństwo di Caelów i

opowiedzianą mi

przez Bayarda w górach historię, nabrałem absolutnej prawie pewności, że stary Benedykt — onże Skorpion — raz jeszcze nawiedził zamek ku utrapieniu krewniaków.

Czekając zabawiałem się Calantina. Raz jeszcze rozważyłem przy tym otwierające się przede mną możliwości. Za oknami komnaty dziedziniec zamkowy zaczął już pogrążyć się w mroku, w którym ginęły również mury, wieże i bardziej odległe części zamku. Gdzieś w górze — być może na szczycie wieży, na której trzepotał jeszcze proporzec di Caelów, zanim zdejmie go przed nocą odpowiedzialny za to sługa — słowik zaczął swą pieśń, sławiącą mrok i gwiazdy.

W mej komnacie były tylko trzy świece, które zapaliłem, pragnąc jasno oświetlić pokój przed zapadnięciem zmroku. Potem podszedłem do okna i spojrzałem na dół.

Zawnętrzny mur obronny pogrążył się w cieniu i z okien mej komnaty mogłem dostrzec poruszających się tam służących, którzy wyprowadzali rumaki odjeżdżających rycerzy. Wkrótce ucza dobiegnie końca, co mogłem wywnioskować na podstawie dolatujących do mnie z sali biesiadnej hałaśliwych a niezbyt melodyjnych śpiewów. Po dziczyźnie przyszła kolej na gorzałę.

Nadal nie miałem żadnych pomysłów. Łasica utknęła w tunelu. Gorączkowo odrzucałem jeden plan za drugim, potem ponownie zająłem się Calantina.

Znak Smoka... Coś tam sobie przypominałem... „destrukcja pod maską niewinności”. Nie bardzo pamiętałem resztę, zrezygnowałem więc z objaśnień, wróciłem do łóżka i usiadłem na nim, patrząc w kominek, na którym ogień musiał rozniecić jeden z moich braci, zanim jeszcze przybyłem do zamku. Płomień już przygasał i dzięki temu w komnacie zrobiło się jakby mroczniej.

Sięgałem po świecę, kiedy usłyszałem hałas za oknem — drapanie szponów o futrynę, trzepotanie skrzydeł i uderzenia dzioba w szybę. Podszedłem do okna i otworzyłem je szeroko, wiedząc doskonale — wy zresztą też wiedzielibyście, każdy bowiem słyszy niekiedy głos przecucia — kto czeka na parapecie.

Do dziś pytam sam siebie, dlaczego wówczas wpuściłem kruka do komnaty. Wiedziałem, skąd przylatuje i czym jest posłańcem — znałem tego, który przysłał ptaka lub wypełnił go jak woda dzban. Nigdy nie poznałem mechanizmu tego zjawiska. Wszystko, czego do tej pory dowiedziałem się o Skorpionie, świadczyło o jego brutalności i mściwości... a jednak otworzyłem okno.

Gdy szedłem do okna, przypomniałem sobie wszelkie możliwe strachy. Wspomniałem więc groźby, które usłyszałem w zamczysku nad fosą, oczyma wyobraźni ujrzałem kozy, przeistoczone tajemniczym sposobem, zobaczyłem Agiona padającego trupem i sterczące z jego pleców końce kłów trójzębu. Na krótkiej trasie od łóżka do okiennicy tak bardzo pogrążyłem się w tych rozmyślaniach, że kiedy do komnaty, trzepocząc skrzydłami, wleciał zwykły kruk, przez ułamek sekundy odczuwałem ulgę — moja wyobraźnia bowiem podsuwała mi już wizję jakiegoś strasznego potwora.

Patrzył na mnie prosto, tak jak mógłby patrzeć człowiek lub koń, zamiast przechylać głowę na bok i łpać lśniącem okiem, jak zrobiłby prawdziwy ptak. Jego głos zaś wcale nie był głosem ptasim, choć znałem go aż za dobrze.

— To znowu ty, Łasico. Twoi głupi bracia cały wieczór gędzili w sali biesiadnej o twoim przybyciu i z pewnością obudziłeś ciekawość starego di Caela. Niewątpliwie będzie miał do ciebie wiele pytań.

— Do mnie? Ja jestem tylko zwykłym giermkim. Właściwie rzecz ujmując, jestem byłym giermkim — jęknąłem, podczas gdy mój umysł pracował jak szalony.

— Cóż... — syknął kruk — stary di Caela nie może nie odczuwać pewnego... smutku. Sir Bayard nie przybył w porę... choć jak mógł, starał się dopełnić proroctwa... wszystko jednak zniweczyły zwłoka i pech. — Byłbym przysiągł, że w tym momencie kruk zachichotał. — Jedyne ty i

ja, mój mały przyjacielu, wiemy, że to ty byłeś tym pechem. Ty byłeś przyczyną spóźnienia. Sir Robert coś podejrzewa, ale tylko ty i ja wiemy to z pewnością.

— Mimo wszystko żal mi Bayarda. — Usiłowałem gorączkowo zyskać na czasie. Zrobiłem, co się dało, aby ta wypowiedź zabrzmiała lekko i obojętnie. — Choć nie zdobył ręki Enid di Caela, nie musi to znaczyć, iż przebył całą tę drogę na próżno. Ty, panie, przy całym swoim szczęściu, z pewnością potrafisz wykrzesać w sobie iskrę współczucia.

— Szczęście? — Po raz pierwszy w głosie mojego gościa usłyszałem narastającą wściekłość, która w słabym ptasim gardle przerodziła się w dziki skrzek. Kruk zerwał się do lotu i zaczął coraz szybciej krążyć wokół komnaty. — Nazywasz szczęściem cztery setki lat daremnych knowań i bezowocnych planów?

Kruk wylądował na parapecie jednego z okien i żółtawym szponem wskazał niebo nad zamkową wieżą. Nad jej stożkowatym dachem, nad wieńczącym ją i pozbawionym teraz proporca drzewcem mogłem ujrzeć

walczące ze sobą konstelacje — na wschodnim skraju nieba szczęki smoka Paladina zamykały się na ogonie Takhisis. Wokół tego odwiecznego i nigdy nie ustającego konfliktu niczym klejnoty iskrzyły się pomniejsze gwiazdy.

— Nie, mój mały przyjacielu — ciągnął kruk, wysuwając spod piór swój poźółkły i kościsty szpon. Oczy ptaka błysnęły czerwono, potem złościście i w końcu żółto. — Bayard spieszył tu, by spełnić przepowiednię spisana setki lat temu. Ta przepowiednia mówiła o upadku Benedykta di Caela i jego potomków.

Kiwnąłem głupawo głową, jak uczeń, który podczas lekcji potakuje nauczycielowi, mimo iż nie ma zielonego pojęcia o czym mowa.

— Przepowiednie spisywali ludzie, którzy... być może doświadczyli wizji. Doznawali jej podczas iluminacji wewnętrznej... ta zaś objawiała im się w postaci oślepiającego błysku światła. Później jednak, kiedy wizja się skończyła, żądano od nich wyjaśnień — żądano, aby uporządkowali słowa, imiona i miana, a także opisy wydarzeń, które dopiero miały nadejść — a któż może przysiąc, że dobrze zrozumieli to, co spisywali? Któż może powiedzieć, że zrozumiał to Bayard? Moim zdaniem to jego proroctwo da się odczytać inaczej.

Ptaszysko przysiadło na parapecie i łypnęło ku mnie jasnym, bezlitosnym okiem. Po raz pierwszy wówczas zauważyłem, że jego pióra były zmierzwione i zabrudzone, a sam ptak wychudzony — jakby toczyła go jakaś dziwna i wyniszczająca choroba. Usłyszałem cichy dźwięk — coś z zewnątrz uderzało w szybę. Nie spuszczać kruka z oczu, odwróciłem głowę w kierunku nowego odgłosu. Na dziedziniec opadały płatki śniegu. Było to zjawisko nienaturalne — jesień dopiero się zaczynała. Kruk przemówił ponownie. — Znasz historię Enryka Stormholda? Nie znałem i bez słowa potrząsnąłem głową.

— Enryk Stormhold, jak Bayard Brightblade, był pierwaj Rycerzem Miecza, potem został Rycerzem Korony. Pragnął też zostać Rycerzem Róży, nie miał przy tym na uwadze dobra, jakie będąc członkiem tego Zakonu, mógłby przynosić światu... pożądał jedynie honoru i sławy, którymi cieszyli się Rycerze Róży. Och, tak, wiem, rycerzowi wolno pragnąć jednego i drugiego... może z jednakową siłą pożądać chwały i pragnąć powszechnego dobra. Wiem, iż w takiej równowadze pragnień nie ma niczego złego. Choć... niekoniecznie musi tak być. Tak więc Enryk Stormhold poprowadził rycerstwo na Nerakańczyków, wiodąc ich przełęczą, na której twój przodek — przy tych słowach kruk kiwnął ku mnie

— łapą — wyróżnił się bohaterstwem i (jak możesz to sobie łatwo wyobrazić) zdobył uznanie dla nazwiska, które ty podczas ostatniego miesiąca wtarłeś w błoto i podeptałeś.

— Za twoim poduszczeniem! — zawołałem, kruk zaś skwitował to ponownym chichotem.

— Łasico, nie czas teraz i miejsce, aby się o to spierać. Wróćmy jednak do Enryka Stormholda. Powiadają, że radził się Calantiny. Może słyszałeś o tych kościach? Są dziełem kapłanów fałszywego boga Gileana... choć może powinienem raczej rzec, iż to w Estwilde wyznają fałszywą wersję tej religii. Czytają tam z czerwonych kostek i recytują wersety o zwierzętach. I nazywają to przepowiedniami.

Małe, czarne oczka kruka błysnęły złośliwie. Teraz przypominały mi czujne, zimne oczy żmii. — Znam Calantinę. Co z tym Enrykiem?

— Cóż, na barkach Enryka spoczął ciężar obrony samej Solamnii. Był dzielnym i godnym rycerzem, ale brzemie w istocie okazało się ciężkie. Nie był pewien słuszności podejmowanych decyzji strategicznych, nie ufał prawości swego serca, spytał więc Calantinę o wynik kampanii. Gdyby tego nie uczynił, gdyby kierował się porywami swej szlachetnej duszy i zaufał woli bogów, może i my obdarzylibyśmy go większym zaufaniem? — Sir, mówiliście o Calantynie...

— Rzucił kości... otrzymując dwa i dziesięć — oznajmił kruk, potem odchylił głowę w tył i wybuchnął chrapliwym śmiechem. Dwa i Dziesięć. Znak Kruka.

— Sama w sobie przepowiednia oczywiście jest prawdziwa. Znak Kruka ostrzega nas przed złudzeniem fałszywej pewności siebie we wrogim i nieprzyjaznym kraju. Czy nie mam racji, Galenie Pathwarden? Przez chwilę milczałem, zastanawiając się nad odpowiedzią. — Owszem, to jedna z możliwych do przyjęcia interpretacji.

— Przemówiłeś jak sama Calantina — zaśmiał się paskudnie kruk. — Oczywiście, wieszczkowie, którzy czytali kości dla Enryka, mądrze kiwali głowami, potem zaś orzekli: „Panie, wróżba głosi, iż obrona Solamnii przeciwko siłom Neraki będzie waszą ostatnią obroną, a potem na długie lata i wy, i Solamnią zaznacie spokoju”. Enryk z radością przyjął tę wróżbę... i cóż miał innego uczynić, skoro zapowiadała sukces jemu i jego armii. Taką odczytano mu interpretację. Wydarzenia potoczyły się jednak innym torem, czego nie przewidywał Enryk i nie przepowiedzieli (świadomie czy nie, jakież to miało w końcu znaczenie) wróżbici. W Solamnii zapanował pokój... jaki przynosi zwycięska kampania, którą

— zapoczątkował Enryk, wiodąc garść ludzi na szlak Chaktamir. Tam, w wąskiej przełęczy, od świtu do zachodu słońca powstrzymywali natarcia armii Neraki, kupując Solamnińczykom cenny czas, kosztem jakże wysokiej ceny. Powiada się, że przełęczy broniły dwie setki rycerzy. Przeżyło piętnastu, którzy opowiedzieli innym o tym bohaterskim wyczynie. Jednym z nich był twój ojciec, Galenie.

— Niełatwo wyciągnąć z niego opowieść o tych czynach. Ale co z Enrykiem?

— Z Enrykiem? Cóż, i on zaznał spokoju, jak obiecali mu wróżbici. Podczas gdy część jego sił trzymała się w przełęczy, poprowadził swą przyboczną drużynę innym przejściem, wąskim i mało znanym. Okrążyli Nerakańczyków od południa i natarli ze wschodniego ujścia szlaku Chaktamir. Uderzyli, niosąc na mieczach śmierć i zniszczenie, rozproszyli wrogów, jak wichur rozprasza garść liści. Z tysięcy Nerakaczyków tłoczących się na szlaku ani jeden nie uszedł z życiem. Ale spokój, który spłynął na Enryka, był spokojem śmierci, jaką przyniosła mu nerakańska strzała w ostatniej godzinie bitwy. Gdy rycerz tryumfalnie wznosił solamnijski sztandar, ranny, leżący pośrodku przełęczy łucznik wstał chwiejnie i wypuścił czarną strzałę w krtań Enryka. — Czarną strzałę?

— Była opatrzona lotkami z kruczych piór, Galenie. Calantina miała więc rację i Znak Kruka zatryumfował w sposób, jakiego żaden człek — nawet jej kapłani — nie zdołał przewidzieć.

— Panie, wszystko to jest niezmiernie interesujące, przyznam jednak, iż zupełnie nie pojmuję znaczenia historii, którą mi opowiedzieliście. Cóż ma ona wspólnego z waszym pobytem w zamku di

Caela? Chcecie rzec, że przepowiednia może znaczyć coś zupełnie innego, niż myślimy? Jeśli tak, wezmę sobie wasze słowa do serca. Nie musicie kluczyć i straszyć.

— Och, chciałem tylko rzec, iż proroctwa mają niekiedy różne znaczenie dla różnych osób — wychrypiął kruk. — To samo tyczy się miejsc. — A co dla ciebie znaczy Chaktamir?

Ptak w jakiś nieopisanie przewrotny sposób przechylił głowę i zaczął mi się przypatrywać z niemałym zainteresowaniem.

— No... to przecie już historia... Tam właśnie Solamnijscy odparli natarcie ludzi z Neraki. Tam też walczył mój ojciec.

— W istocie słowo to ma więcej znaczeń — zakpił kruk. — Nazwy mają różną treść... zależną od tego, kto o nich mówi. Podobnie jest z historią, mój mały.

— — Jak to? — Pomówmy, dla przykładu, o historii Benedykta di Caela.

Gdy ptak wspomniał to imię, trzy cienkie świece zaskwierczały i zgasły, pogrążając komnatę w jeszcze głębszym mroku. W tej samej chwili poczułem na ramieniu łaskotanie małych pazurków, jakby wspinał się na mnie szczur. Usiłowałem strząsnąć drania, przekonałem się jednak, iż mogę jedynie bezsilnie mrugać powiekami. Potem mej piersi dotknęło jakieś pióro, poczułem też zapach perfum... pokrywający nikłą woń starzyzny i rozkładu. Kruk zaś ciągnął dalej.

— Słyszałeś historię Benedykta di Caela? Wysłuchajże jej raz jeszcze, mój mały... i dowiedz się, co naprawdę wydarzyło się przed czterystu laty. Historia bowiem jest siecią... zawiłym labiryntem, a ci, co ją opowiadają, pamiętają wyłącznie własne ścieżki.

— Wiedziałem... — mruknąłem, a kruk zachichotał drwiąco i złośliwie. — Wiedziałeś? Cóż takiego wiedziałeś? — spytał.

— Że jesteś Benedyktem di Caela! Że Skorpion i sir Androctus... obaj!... byliście Benedyktem di Caela!

— Jesteśmy Benedyktem di Caela — syknął kruk. — Nie było to szczególnie przenikliwe rozumowanie, Łasico. Sam wiesz, że nie wracam zbyt często. Robię to dlatego, ponieważ zamek należy do mnie! Do mnie należą włości. I tytuły! Czterysta lat temu po dwakroć umarłem. Raz na wschodzie, na szlaku Chaktamir, który jest czymś znacznie więcej niż tylko pomnikiem solamnijskiej sprawności w wymachiwaniu mieczem. Jest też czymś więcej niż przełęczą, na której padł Enryk Stormhold. — Myślałem, panie, że zginąłeś w Jarze Throtyl nie opodal Estwilde?

— I owszem, tak podaje rodzinna wersja legendy. Mówi się tam, że udałem się na najdalszy Wschód, zbierając po drodze armię buntowników. A prawda jest taka, mój mały, że ścigano mnie jak pospolitego przestępcę, za którego mnie koniec końców ogłoszono. Ja zaś, samotny i zdesperowany, udałem się ku wschodowi, do Neraki, gdzie uparcie szukałem bezpiecznego schronienia. I tam dopadła mnie siedmioosobowa grupka prześladowców. Tam też zabił mnie mój brat Gabriel i tam spadła z barków moja głowa. Ale martwy byłem już wcześniej. Tak można by to określić. Mój ojciec, Gabriel, już przedtem ogłosił, że umarłem... uczynił to w tej samej sali biesiadnej, w której dziś jadłem wieczerzę... uznał mnie za martwego, aby móc spokojnie przekazać tytuł i ziemie młodszemu bratu, mojemu zabójcy. Ojciec zawsze go faworyzował.

—

— Sir, niewielu rzeczy nie znoszę bardziej niż czepiania się szczegółów, ale śmierć twojego starszego brata Duncana również spowija mgła tajemnicy... którą przypisuje się warzonym przez ciebie miksturom. Wziąwszy jedno z drugim... ojcowie nie są zbyt skorzy do ogłaszania synów nieboszczykami... jeśli nie mają ku temu ważkich powodów.

— Galenie, wierzaj mi, że uczynił to, nie mając żadnych dowodów w ręku. Znasz już teraz historię obu Gabrielów i wiesz, jak potrafili być bezlitośni wobec rywali i przeciwników. Oto, kim

byłem dla obu. Widzieli we mnie jedynie rywala i przeciwnika. Moje trucizny przeznaczałem dla szczurów i nie dbałem, o jakie okropności mnie podejrzewali. — Niełatwo mi w to uwierzyć, panie.

Krucze szpony mocno wbiły się w moje ramię. Zamrugąłem szybko powiekami i stłumiłem okrzyk obrzydzenia, gdy ponownie owionął mnie ów ciepły, niezdrowy zapach.

— Niewiele mnie obchodzi to, w co wierzysz — zgrzytnął kruk. — Mój brat Duncan umarł... i tyle. Któż może wiedzieć dlaczego? Cokolwiek spowodowało jego śmierć, ja do niej ręki nie przyłożyłem. — A pożar?

— Przyznaję, że był moim dziełem. I owszem, spaliłem ciało mego brata w jednej z komnat wieży, którą możesz dostrzec ze swego okna. Sprawilem mu pogrzeb iście solamijski... ponieważ Duncan spłonął ze swym orężem, z dłońmi złożonymi na piersi, zaciśniętymi na tomie Rycerskich Zasad. O tym oczywiście ci nie powiedziano... nie wiesz więc, że zadbałem dlań o stos godny bohatera. Di Caelom wygodniej jest snuć opowieści o spiskach i konspiracji. To jest ich słabą stroną — wiem po sobie — są zbyt przebiegli i często wpadają we własne sidła.

— Dlaczegoż jednak spaliłeś ciało Duncana? Kapłani Mishakał, którzy zbadaliby ciało, szukając śladów trucizny...

— Znalezliby to, co ojciec kazałby im znaleźć. I miałby swój dowód... jeden z tych świętych, oddanych bogini mężów byłby powiedział: „Nie inaczej, panie rycerzu, wasz najmłodszy syn, ten, który nosi wasze imię, doskonale nadaje się na dziedzica ziem i tytułu, podczas gdy średni jest łotrem i łajdakiem, jak to zawsze sprawiedliwie podejrzewaliście”. Nigdy jednak nie wyrządziłem krzywdy żadnemu z braci. Zamiast tego przestrzegałem reguł i byłem posłusznym woli ojca synem... aż do dnia, kiedy tenże ojciec wyparł się mnie ogłaszając, że dla niego jestem martwy. Potem przez kolejne cztery stulecia usiłowałem siłą odzyskać to, co należało mi się z prawa, a co odebrano mi podstępem i oszustwem. Z pewnością opowiedziano ci o szczurach, powodziach, po

żarach i ograch. Z każdym pokoleniem obruszałem na di Caelów kolejną żywiołową klęskę i w każdym pokoleniu znajdował się jeden mąż, który potrafił po raz kolejny pozbawić mnie dziedzictwa.

— Jak to jest, panie? Co się czuje, kiedy jest się martwym? I dlaczego z nową próbą zawsze czekasz, aż minie całe pokolenie?

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której w gęstniejących wokół mnie ciemnościach słychać było jedynie lekkie trzepotanie skrzydeł, któremu towarzyszyła natrętnie słodka i dusząca woń kwiatów.

— Pamiętam... — zaczął ptak — albo... myślę, że pamiętam... jak paliłem się w wieży ze szczurami, które napuściłem na zamek. Pamiętam, jak topiłem się podczas powodzi... Przypominam sobie wszystkie swoje klęski, wszystkie niepowodzenia. Następne moje wspomnienia są zawsze późniejsze o dwadzieścia lub trzydzieści lat. Wszystko pomiędzy tymi wspomnieniami jest gorącym, czerwonym mrokiem. Większość tego czasu po prostu przespałem. Niekiedy przypominam sobie jakieś światła... najczęściej szkarłatne... wyglądało to tak, jakby płonął sam dym. Słyszałem też głosy... choć nigdy nie umiałem zrozumieć ani słowa...

Kiedyś ciemność rozplynęła się w ogromną, podobną do jaskini komnatę, o posadzce wykonanej z polerowanego niczym zwierciadło onyksu. Wokół tego zwierciadła siedziało wielu rycerzy. Ich oręż był potrzaskany... i siedzieli z pochylonymi głowami, zgarbieni i wpatrzeni w zwierciadło... w którym nie odbijało się nic prócz gwiazd... Nie wiem nawet i tego, czy naprawdę śniła mi się ta komnata i ci rycerze.

Innym razem mrok przekształcił się w krajobraz, nagi, jałowy i pocięty kraterami wygasłych wulkanów, świecił zaś nad nim księżyc, czarny jak owo zwierciadło z onyksu... a przecież w jakiś tajemniczy sposób ów miesiąc rozświetlał krajobraz. W tym opuszczonym kraju nie było żywej

istoty, ale gdzieś w cieniu skał skamlał i jęczał jakiś stwór — i nie umiem powiedzieć, czy był ranny, czy może po prostu na kogoś czekał... Wszystko to było bardzo dawno... i nie jestem pewien, czy kraj ów przyśnił mi się naprawdę.

Przerwał na chwilę. W rogu okna pojawiło się nikłe światło. Wschodził Solinari i niektóre meble w komnacie — te większe — zaczęły pojawiać się w jego blasku. Mogłem już dostrzec niewyraźny zarys łóżka i szafy.

— Ale niezależnie od snów — podjął swą opowieść kruk — niezależnie od jęków, tortur i długiego snu, zawsze w końcu wracałem do życia na Krynnie. Byłem wtedy oszołomiony, lecz przytomny i świadom swej tożsamości. Zawsze też zaczynałem snuć plany i wracałem do odzyskiwania tego, co powinno należeć do mnie. Ale tym razem wszystko

— odbywa się nieco inaczej. Po raz pierwszy w ciągu tych czterystu lat — po raz pierwszy, powtarzam — dziedzictwo di Caelów przypada kobiecie. Spadkobierczynią jest lady Enid. Tym razem postanowiłem ściśle przestrzegać zasad gry. Żadnych szcurków, goblinów czy... skorpionów. Nikogo nie zabiję i nikogo nie będę okradać.

— Może zaciekawi cię, dlaczego nie zwróciłem się przeciwko Bayardowi czy tobie i dlaczego nie pozabijałem was od razu?

— Od dawna już mnie to intryguje, panie, ale... nie sprzeciwiam się temu niedopatrzeniu... jeśli w istocie było to niedopatrzenie. — Trzymałem się zasad. Żadnych zabójstw.

— Tej zasady, dobry panie, trzyma się wielu ludzi. Na Przymorzu należy to nawet do dobrego tonu. Ale... co z rycerzami biorącymi udział w turnieju?

— Zginęli w uczciwej walce, wedle ogólnie przyjętych w Solamni zasady. Co wcale nie oznacza, iż nie odczuwałem uciechy, gdy Orban z Kern walił się z konia przeszyty kopią lub gdy ostrze mego miecza gasiło żywot sir Prospera Inverno. — A Jaffa? Co z tym wieśniakiem?

— Łasico, on rzucił się na mnie z mieczem. Co według ciebie miałem zrobić? Choć i tu muszę przyznać, że z uciechą obserwowałem jego śmierć wiedząc, iż wina za nią spadnie na sir Bayarda Brightblade'a.

Zanim spytałem go o kolejną ofiarę, odczekałem krótką chwilę i zaczerpnąłem tchu. — A co powiesz o Agionie?

— Jakim Agionie? — Ptak poruszył się na moim ramieniu. Ponownie poczułem zapach nikłej zgnilizny pod przykrywką słodkiej woni perfum.

— O tym centaurze, do licha! Cała ta sprawa z ogrem w górach Vingaard miała twoje wyraźne piętno i nie możesz, panie, utrzymywać...

— Że walka pomiędzy Bayardem i ogrem była uczciwa? Oczywiście, że mogę tak powiedzieć. Walkę toczyli rycerz i jego wróg, ów... Agion zaś nie powinien był się wtrącać... został zresztą ostrzeżony, że przeszkadzanie w starciu rycerza z jego przeciwnikiem jest przeciwne honorowi. Śmierć centaura była oczywiście przykrą sprawą, ale nie możesz przeczyć, iż dostał to, co mu się należało. Nie zaprzeczyłem.

W duchu jednak przysięgłem sobie i Agionowi, że zrobię, co w mej mocy, aby pokrzyżować plany siedzącego na moim ramieniu potwora.

— Ale po co to wszystko? Jakiż pożytek przyniesie ci, panie, posiadanie ziemskiego dziedzictwa di Caelów?

— Żaden. — Skrzydło ptaka ponownie musnęło mój policzek i znów poczułem nikły odór rozkładu. — Teraz już żaden. Po mojej stronie mroku ziemie są jałowe, a klejnoty i złoto lśnią jak gnijące drewno. Nawet uroda córek jest tu niczym... bo zupełnie o nią nie dbamy. Nie, postępuję tak

dlatego, aby uniemożliwić żywym członkom rodu di Caela posiadanie tych rzeczy... nie mogę bowiem pogodzić się z myślą, iż przekażą je w ciepłe, żywe dłonie swych potomków... Chcę zrujnować ów ród, Łasico. Po prostu i zwyczajnie chcę doprowadzić go do nędzy. To mi wystarczy... ale nie zadowolę się niczym niniejszym. Tak więc będę postępował zgodnie z zasadami i poślubię Enid di Caela. Potem, choć jest piękną, młodą, pełną życia istotą i myślę o tym nie bez przykrości, zabiję ją bez skrępowań. Uczynię to „Jasną Klingą” mojego własnego pomysłu. Ponieważ, mój mały, skończy się wtedy czas przestrzegania zasad, które ustanowili inni. Moje dziedzictwo wróci do mnie. Ja zostanę głową rodu i moje słowo będzie prawem.

Próbowałem strącić z ramienia tę ohydę, ale nie mogłem się poruszyć. Czuję się tak, jakbym był jednym z owych stworzeń, które skorpion paraliżuje jadem przed zaciągnięciem w ciemne i odległe miejsca, gdzie może spokojnie pożerać bezsilne ofiary.

— Ani słowa o tym komukolwiek, Łasico! — syknął kruk. — Ani słowa! Sir Bayard jest ci... niechętny, a sir Robert ma swoje troski i kłopoty. Ja oczywiście jestem ci nieskończenie wdzięczny za twą... pomoc. Nie powstrzyma to mnie jednak przed wyłupieniem i pożarciem twoich oczu albo... co ci obiecałem w zamku twego ojczulka? — obdarcie cię ze skóry. Może zrobię coś jeszcze gorszego, znacznie gorszego... masz na to moje słowo. Spróbuj tylko zdradzić me zaufanie. Niezależnie zresztą od niego, mój młody paniczku, jesteśmy skazani na partnerstwo, czy nie tak? Może się zdarzyć, że będę jeszcze potrzebował twoich usług.

Nie umiem przewidzieć, co jeszcze planował dla mnie Skorpion i jaką mroczną rolę miał mi przeznaczyć. Jedno było pewne — powiedział mi znacznie więcej, niż należało powiedzieć, gdyby zamierzał ograniczyć swe knowania jedynie do poślubienia dziewczyny i zostawienia mnie w spokoju.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Do komnaty wkroczył Brithelm, niosący na głowie tacę z naczyniami pełnymi potraw, a kruk wzbił się w powietrze, z impetem uderzył o grube szkło okiennej szyby i legł martwo na posadzce. Nieruchome ptaszysko oświetlały ukośnie padające promienie czerwonego miesiąca. Po raz pierwszy w życiu byłem rad, że Brithelm nigdy nie pukał. — Kolacja, Galenie! — zaśpiewał wesoło mój uduchowiony braciszek, — przekrzywiając głowę, aby zrównoważyć przechył tacy. — Strażnicy powiedzieli mi, że jesteś niezdrów i leżysz, jakby podcięto ci skrzydła!

Poczułem, iż wraca mi władza w ramionach. Mogłem znów poruszyć nogami i dla próby stuknąłem kolanem o kolano, przypominając sobie skuwające je przed chwilą przerażenie.

— Hej, dlaczego sterczysz tu niczym kołek? Najlepsze dla ciebie są teraz łóżko i gorąca zupa. I wino... mimo że chyba jesteś jeszcze na to za młody. Gdy się zaś nieco wzmocnisz, gotów jestem iść o zakład, że... — Brithelmie!

Mój brat umilkł i znieruchomiał pośrodku komnaty. Taca z potrawami lekko zachwiała się na jego rudej czuprynie. — Brithelmie, jestem chory.

Owijając mnie kocami i pojąc gorącą zupą oraz grzany winem, Brithelm opowiedział mi swoją historię.

— Alfric również zetknął się na bagnach z satyrami — wyjaśnił mi nieświadomy łotrostw starszego brata Brithelm. — Sam mi to powiedział. Nie miał oczywiście pojęcia, iż są jedynie iluzjami. Zabiwszy kilkunastu z nich, odkrył — jak i my — że ma do czynienia z kozami, i przepełniony szlachetnym gniewem... — Szlachetnym gniewem? Użył tych właśnie słów?

— Owszem, ale sądzę, że pasują do sytuacji... czyżbyś uważał inaczej? Przepełniony więc szlachetnym gniewem, który wzbudził w nim fakt, iż niewinnych stworzeń użyto do obrzydliwych celów, postanowił znaleźć obóz twórcy tych iluzji, i odnalazłszy łotra nie opodał miejsca, w którym stał się z satyrami, zmusił go do ucieczki. Dlatego właśnie my nie musieliśmy się wysilać, kiedy później sami natknęliśmy się na obóz złego maga. — No... myślę, że nie pozwoli umniejszyć swoich dokonań.

— W rzeczy samej, nie pozwoli. Napomknął mi coś o tym, że w ogóle już wcześniej zamierzał przetrzeć drogę bohaterskim czynom sir Bayarda. Choć z pokorą gotów jest przyznać, iż całkowite przepędzenie i wyparcie zła z bagien należy przypisać nie tylko jemu samemu.

— Z pokorą... hm... — Nie mogłem się powstrzymać. Poczułem się jeszcze gorzej. Choroba, którą wymyśliłem na użytek strażników, dopadła mnie, niestety, zupełnie prawdziwie... i ogarniały mnie kolejne fale mdłości. Rozkaszałem się i zacząłem kichać. Owijając się w koce, tak że wystawała mi spod nich jedynie ręka, którą sięgnąłem po puchar z grzany winem, spojrzałem na okno, pod którym wciąż jeszcze leżał niewielki ciemny kształt.

Brithelm baj durzył coś o bohaterstwie Alfrica, opowiadał, jak wydobył go z jamy lotnych piasków i jak obaj ruszyli za nami następnego dnia po naszym odjeździe. Bez przeszkód przemierzyli równiny Przymorza, Alfric bowiem otrzymał konie pod wierzch od wdzięcznego za wyparcie satyrów z bagien Archali.

Wyglądało na to, że nawet centaury dały się nabrać na bezczelne łgarstwa Alfrica.

Brithelm opowiadał dalej. Mówił więc o tym, jak szybko i miło mijał im czas na szlaku, kiedy jedyną troską obu wędrowców była obawa, iż nie odnajdą przełęczą Bayarda. Skierowali się nawet na północ, ku Palanthas, aby zbadać góry, i niewiele brakowało, a Alfric spóźniłby się na turniej.

Brithelm mówił też o tym, że „coś” kazało mu podążać za stadem kruków i że wkrótce potem kruki zaczęły przysiądać na gałęziach wokół nich, kracząc złowrogo, gdy zaś Alfric okazywał przestraszyć i usiłował uciekać, ptaki wzbijały się w powietrze i leciały na wschód, ku Solammii.

Łyknąłem nieco wina, spojrzałem w stronę okna i wzdrygnąłem się nieznacznie.

Następnie Brithelm opowiedział, jak podążając za stadem kruków, trafili obaj na przełęcz. Przekroczyli góry głuchą nocą. Przypomniałem sobie głosy, które mnie obudziły.

Brithelm z kolei poczęstował mnie opisem przełęcz i szybkiej, niczym nie zakłóconej podróży przez góry: sam mi powiedział, iż wszystko to mocno go zdumiewało, było też dlań pewnym i jasnym znakiem, że Los jest po stronie jego starszego brata. Gdy jednak przybyli do zamku di Caela, ku jego — i Alfrica — zdumieniu okazało się, że turniej został już rozstrzygnięty. Sir Robert był uprzejmy, ale najwyraźniej trapiło go coś innego — okazywał nawet lekkie zniecierpliwienie. Mimo to ofiarował im gościnę w twierdzy i wylewnie podziękował za upór i dzielność, które obaj wykazali podczas niebezpiecznej i niełatwej podróży.

— Z jakiegoś nie znanego mi powodu sir Robert nie jest zadowolony z przybycia Bayarda Brightblade’a — ciągnął Brithelm, spoglądając przy tym na mnie. Jego spojrzenie przenikało mnie na wylot.

Wstał z krzesła stojącego przy moim łożu i podszedł do okna. Podniósł delikatnie martwe ciało ptaka i położył je na dłoni.

— Biedak musiał tu wlecieć za dnia i usiłując się wydostać, rozbił sobie głowę o szybę. Ale to dziwne — dodał, zwracając się ku mnie. — Dziwne, że służba nie usunęła go, zanim się tu wprowadziłeś. Ptak jest już martwy od kilku dni. Jakież to smutne. Mimo tego smutku bezceremonialnie wyrzucił trupka przez okno.

— Nie jest to rzecz, która powinna znajdować się w komnacie chorego chłopca. Martwy od kilku dni. Jak ten więzień w starym zameczysku ojca. Nie wiem, czy pod wpływem wypitego wina, czy zmęczenia, do oczu napłynęły mi łzy. Nie mogłem ich powstrzymać, kiedy się odezwałem:

— Brithelmie, dopuściłem się strasznych rzeczy. Spojrzał na mnie i kiwnął głową. Ja zaś opowiedziałem mu moją wersję wydarzeń. No... opowiedziałem mu tyle, ile się ośmieliłem.

— Tak więc ów ptak był w istocie Benedyktem di Caela? — spytał Brithelm, napychając sobie usta jajkiem na twardo i balansując pustą tacą na głowie.

— Nie, do licha! Ten ptak był jedynie chwilową siedzibą Benedykta di Caela, Gabriela Androctusa, Skorpiona czy kogo tam chcesz. Kimkolwiek jest, nadal coś knuje i planuje zbrodnię. Brithelm natychmiast porwał się na nogi i skierował ku drzwiom.

— Po prostu pójdźmy obaj do sir Roberta i powiedzmy mu, że ów... Gabriel Androctus, którego uważa za swego przyszłego zięcia, jest w rzeczy samej wcieleniem rodzinnej klątwy.

— Nie sądzę, Brithelmie, aby to coś dało. Nie potrafimy przewidzieć, jakie jeszcze niespodzianki kryje w zanadrzu stary Benedykt.

— Czas więc opowiedzieć całą historię sir Bayardowi. Rycerz nie pozostawi cię bez ochrony.

— Och, Brithelmie, o tym nawet nie myśl! Być może świat jest (tak jak uważasz) pełen ludzi ufnych i szlachetnych, ale jednego mogę być pewien — gdy sir Bayard usłyszy tę historię, poćwiartuje mnie bez chwili namysłu.

— A więc — zakonkludował Brithelm — pora na ćwiartowanie. Kawalek kury?

— Nie, daleko mi do tego, by odczuwać głód. Daleko mi i do tego, aby trzeźwo widzieć sprawy... po tym, jak spojeś mnie tym grzanym winem. Nie jestem jednak na tyle urżnięty, by opowiedzieć ci o wszystkich moich mrocznych sprawkach. Obawiam się, że do tego byłaby potrzebna gorzała krasnoludów... albo coś jeszcze mocniejszego.

Brithelm kiwnął głową, wgrzyzając się w udko kurczaka. Uporawszy się z nim, wetknął głowę w misę zupy. Gdy ją wyjął, przez chwilę łapał powietrze i niewiele miał do powiedzenia.

— Pójdziemy do Bayarda, gdy tylko poradzisz sobie z tą gorączką. Nie da się tego uniknąć. Pomyśl o sir Robercie. Pomyśl o Enid — jeśli choć połowa z tego, o czym krakało to ptaszysko, jest prawdą, dziewczynie

— grozi okropne niebezpieczeństwo!

Otuchy dodało mi coś więcej niż tylko wino i gorączka. Tym razem byłem pewien swego.

— Brithelmie, trzeba to zrobić dziś w nocy. Bayard wyjedzie jutro do południa — tego możesz być pewien. Jest zbyt przygnębiony, aby zostać na ślubie. Ślub!

— Ja również o nim zapomniałem — oznajmił spokojnie Brithelm. — Czy to na dzień misy to ziemniaki? Zostawiłem je myśląc, że to rzepa. — Musimy dostać się do Bayarda, i to jeszcze dzisiejszej nocy!

— Tak, tak... — zgodził się Brithelm, który pochylony przyglądał się zupie. Podniósłszy wzrok, raz jeszcze przewiercił mnie oczyma na wylot. — Galenie, tym razem, proszę, bez kłamstw. Nie łżyj jak Alfric. Musiał dostrzec zdumienie na mojej twarzy, bo zaśmiał się, spojrział na zupę i zamieszał w niej palcem.

— Nie myślisz chyba, że uwierzyłem w te jego opowieści o bohaterskich wyczynach? — To dlaczego... Znowu podniósł wzrok i uśmiechnął się lekko.

— Po prostu dlatego, że to mu poprawiało samopoczucie. Był okropnie przygnębiony. Robił przecie, co mógł, aby zostać giermkim, stracił tę szansę, a kiedy ponownie usiłował zrobić coś w tej sprawie, jego najmłodszy brat wpakował go po pas w błotną jamę, gdzie tkwił bezradnie, dopóki nie wyciągnął go z niej średni braciszek. Potrzebny mu był... jakiś ozdobnik w tej historii... fragment świadczący o jego bohaterstwie.

— A co ze mną i nakłanianiem mnie do opowiedzenia sir Bayardowi o... — Powód był ten sam. Znowu zajrzał do miski i nabrał na palec trochę zupy.

— Ziemniaki robią się niemal przezroczyste, gdy za długo się je gotuje. Galenie, może to jednak rzepa?

Podał mi miskę, uśmiechając się tym swoim dobrodusznym, nieco obojętnym uśmiechem.

Jak łatwo możecie sobie wyobrazić, Bayard powitał mnie, nie okazując przesadnej radości. Drżąc z chłodu, który wślizgiwał się pod moją opończę i tunikę szybciej nawet niż w górach, zbliżyłem się do namiotu, przed którym po południu wbito w ziemię proporzec Brightblade'ów, gdzie też ujrzałem Bayarda siedzącego samotnie, z daleka od innych rycerzy. Mój

niedawny mistrz owinał się pledem, z którego przedtem wyjął tarczę Brightblade'ów, ale również drżał w podmuchach rześkiego wiatru. Tarczę, skierowaną godłem w dół, cisnął w błądź przed sobą.

Noc była chmurna i chłodna. Nie opodal siedzącego samotnie Bayarda inni rycerze pili rokę, niektórzy grali na rozmaitych (przeważnie szarpanych) instrumentach i opowiadali barwne historie. Rycerska kompania zabawiała się tak przed zwinięciem obozu i powrotem do Palanthas, Caergoth, Solanthus i paru innych miejsc, w których członków Zakonu nadal tolerowano i witano przyjaźnie. Przechodzący pomiędzy nimi Brithelm ze zdumienia aż opuścił szczękę, słuchając opowiadanych z niemałym talentem historii.

— Galenie, czy sądzisz, że ich opowieści... no, te o potworach i... pannach uwiedzionych przez orły, są prawdziwe? Myślisz, że sir Ramiro naprawdę ma gadający miecz?

— Myślę, że opowiadając o tym innym, poprawia sobie samopoczucie — odparłem, spoglądając przez cętki ognia i mroku ku obozowisku mego niedawnego mistrza.

Bayard siedział na krawędzi kręgu światła rzucanego przez płomienie i patrzył w gwiazdy. Był to widok niemal żaloszny i sędzę, że poczułem wtedy coś zbliżonego do litości. Podjąłem próbę przemknięcia obok hałaśliwego zgromadzenia i dokonałem tego bez trudu. Wydatnie pomogły mi w tym hałaśliwe toasty, brzęk kubków i nieco bezładny zgiełk instrumentów.

Czy to jednak z powodu dymu ognisk, czy garści kurzu niesionej przez wiatr — a może ze zwykłego zmęczenia, jeśli rzecz taka jest możliwa — zacząłem kichać tak, jakbym szedł wiosną przez gęstwą wierzbowych bazi. Gdy zdradliwy atak się skończył, otarłem nos i ruszyłem przez obozowisko, tak jak przeszedłby przez nie członek tutejszego zgromadzenia albo posłaniec niosący ważną wieść, którą niezwłocznie należy dostarczyć komu trzeba. Ale zanim dotarłem do Bayarda, stanęły przede mną okazałe cztery setki funtów sir Ramira z Maw.

— Chłopcze, na twoim miejscu nie zbliżałbym się do niego. Nie sędzę, aby rad był z wyniku turnieju, rozumiem zaś, iż miałeś swój udział w opóźnieniu jego przybycia.

— A... więc on tak się tłumaczy? — zacząłem. Ramiro zamachał jednak ramionami, tak szybko, że zwały mięśni(?) na jego przedramionach zatrzęsły się niczym galareta.

— Nie, chłopcze, to się po Bayardzie Brightbladzie nie pokaże. Ale wcześniej, podczas uczy, twój brat był wcale wymowny... i wydawał się

— niezwykle uradowany tym, że pomieszałeś szyki sir Bayardowi. Tak więc, jeśli przyszedłeś tu szukać przebaczenia, radzę ci, abyś poczekał przynajmniej do rana.

Rosły rycerz stanął przede mną i skrzyżował ramiona na swej szerokiej piersi. Poczułem się jak ktoś, komu przed nosem zatraskują wrota, cofnąłem się więc i niemal wpadłem w ognisko dwu wesołych rycerzy z Caergoth. Obniżając nieco głos, postarałem się też przemówić spokojnie i rzeczowo. — Zatem sir Bayard jest ze mnie niezadowolony? Może ucieszy się tedy, gdy rodzina di Caela, nie wyłączając pięknej Enid, padnie ofiarą starej klątwy, która ciąży na niej od czterystu lat?

— Znów to przekleństwo? Myślałem, że Caelowie w końcu się z nim uporali.

— Panie, zechciejcie mnie przepuścić. Złe wieści, które przynoszę, przeznaczone są przede wszystkim dla uszu sir Bayarda.

Kaslnąłem ponownie, następnie zacząłem okrażać sir Ramira, co samo w sobie było niełatwym przedsięwzięciem. Rycerz raz jeszcze spróbował stanąć przede mną, ale w sukurs przyszedł mi Brithelm, który odwrócił jego uwagę, zadając pytanie dotyczące gadającego miecza. Udało mi się więc przejść przez obóz i bez dalszych przeszkód dotarłem do miejsca, gdzie skulony pod kocem siedział i spoglądał w gwiazdy sir Bayard Brightblade.

Przez chwilę milczałem, zbierając myśli i zastanawiając się, co powiedzieć.

— Panie, źle się dzieje w zamku di Caela. Obawiam się, że mam dla was złe nowiny.

— Sir Robert też cię przegonił, co? — spytał Bayard lodowato, patrząc nadal w gwiazdy ponad moją głowę. Powędrowałem wzrokiem za jego spojrzeniem, ku zenitowi, gdzie dwa smoki wirowały wokół Księgi Gileana. Na horyzoncie szybko zbierały się czarne chmury. W powietrzu wisiał zapach nadciągającej ulewy.

Miałem oto do omówienia sprawy ponure, złowieszcze i niechętnego, wrogo do mnie nastawionego słuchacza. — Sir Bayardzie, to trochę skomplikowane... — zacząłem.

— Owszem, Galenie, sytuacja jest skomplikowana — uciał mój rycerz, kończąc obserwację gwiazd i przenosząc obojętne spojrzenie na moje oblicze. — Rozwiązałem jednak tę zagadkę. Sęk w tym, iż — mimo godnych intencji ich ojca — synowie sir Andrzeja Pathwardena są jak kraby w dzbanie: jeden wspina się na grzbiet drugiego, dopóki nie dotrze do krawędzi naczynia. I wtedy ten z dołu łapie go i ściąga ponownie na

— spód. No... wyjątkiem może jest średni z synów, który wykazuje się dziwnym

umiłowaniem dobra.

Ostatnie słowa wypowiedział, kiwając głową w stronę Brithelma. Następnie wstał i ciałniej owinał się kocem, wiatr bowiem wznagał się i deszcz wisiał w powietrzu. Zrobiwszy kilka kroków, oddalił się ode mnie, jakby chciał mi okazać pogardę milczeniem i długością kroków, aż przedzieliła nas odległość może stu stóp.

Ziemię wokół nas zaczęły plamić wielkie krople deszczu. Gdzieś od południa dobiegł nas odgłos grzmotu. Aby Ba-yard mnie usłyszał, musiałem podnieść głos. — Benedykt di Caela powrócił!

Błyskawica rozjaśniła całe otaczające nas pole. Przez chwilę całkiem wyraźnie widziałem twarz Bayarda. Grzmot, który nastąpił zaraz potem, pochłonął słowa, ale wyraźnie widziałem, że jego usta uformowały zdumione: Co takiego?

Błysnęło, zagrzmiało i deszcz zaczął siec ziemię wokół nas. Rozbryzgując kałuże, które pojawiły się wokół nas całkiem nieoczekiwanie, kopnąłem się co tchu, aby dołączyć do mego rycerza. Moja opończa i koc natychmiast przemokły. Poczułem, że ziab przenika mnie do szpiku kości.

Musiałem chyba zemdleć. Na pole przy zamku di Caela ponownie ściągnął mnie okrzyk Bayarda. Rycerz stał obok i potrząsał mną tak, jak poirytowany nauczyciel potrząsa niekiedy sprawiającym kłopoty uczniakiem.

— Galenie, co ci jest? Co... — przerwał, przyjrzał mi się i potrząsnął mną raz jeszcze, ale tym razem znacznie łagodniej. — Zabierajmy się spod tego deszczu.

Unosząc nad nami swój koc, popchnął mnie w stronę gaju znajdującego się przy drodze do zamku. Rosły tam przeważnie drzewa iglaste i nieśmiertelniki, zachowujące liście nawet w zimie, ale gałęzie vallenów dostatecznie gęsto przetykały cedry i jałowce, aby przed ulewą mogła się tam schronić grupa znacznie liczniejsza niż nasza. Usiedliśmy na ziemi. Bayard przerzucił koc przez dwie zwisające nisko gałęzie, tworząc prymitywny szałas, który całkiem nieźle chronił nas przed deszczem.

Położyłem się pod moim kocem i wdychałem zapach wełny, kurzu, końskiego potu i deszczu. Bayard pochylił się nade mną. — O co chodzi, Bayardzie?

— Sir Bayardzie. Chcesz czy nie, znów jesteś moim giermkim. W tym przeklętym gaju nie ma suchej gałązki ani bodaj sęcзка. Wygląda na to, że

— będziemy musieli obejść się bez ognia.

Na jego twarzy pojawił się dość niezwykły wyraz — zatroskanie. Pochylił się i dotknął dłonią mojego czoła. — Chłopcze, masz gorączkę.

Skoro już o tym mowa, to w istocie musiałem przyznać, iż było mi trochę duszno, ale przypisywałem to faktowi, że leżałem pod chroniącą mnie przed zimnem derką. Zacząłem prosić Bayarda, aby zabrał mnie do obozu, gdzie ogrzawszy sobie stopy przy ognisku, zaraz poczuję się lepiej, ale szybko doszedłem do wniosku, iż nie ma w tym zbyt wiele sensu, ponieważ przede wszystkim było mi za gorąco i...

Przypominam też sobie, że Bayard zadawał mi pytanie: — Powiedz mi, co to za historia z tym Benedyktem di Caela? Potem zaś wszystko rozplynęło się w mroku zapomnienia.

Rozdział piętnasty

MOJĄ TWARZ OMIÓTŁ STRUMIEŃ ŚWIATŁA i przez chwilę myślałem, że oślepiłem. Wolałbym nie oglądać tego bolesnego światła, ale wtedy ujrzałem kłębiące się nade mną i umykające poza zasięg wzroku chmury. W pierwszej chwili pomyślałem, że poruszają się owe chmury, potem jednak poczułem, iż leżę na kołyszających się deskach, a następnie usłyszałem skrzypienie drewna, stukot kopyt i parskanie koni.

Gdzieś mnie przewożono, był dzień, na niebie mknęły chmury i śmigały ptaki. Nade mną pojawiła

się twarz Brithelma. Słyszałem, że coś mówi, gdzieś za nim usłyszałem też głos Bayarda, ale wszystko mieszało się ze skrzypem kół i pieśnią skowronków i nie mogłem zrozumieć, o co im chodzi.

Usiłowałem wydobyć z siebie głos, aby zadać oczywiste w tej sytuacji pytania: „Gdzie jestem? Co się ze mną dzieje?” i „Skąd to zamieszanie i troska na waszych gębach?” Brithelm mówił, że powinienem odpocząć i niczym się nie przejmować, a dłoń, którą położył mi na czole, była chłodna i kojąca jak wieczorny powiew wiatru znad morza. Gdzieś z tyłu dobiegły mnie też głosy kobiet, z których jeden z pewnością należał do Enid... tak był słodki, dźwięczny i melodyjny.

Miałem nadzieję, że słyszę Enid, ponieważ jej głos przywołał mi przed oczy wspomnienie jej twarzy. Wóz jednak znowu pogrążył się w cieniu, który szybko przemienił się w ponure i złowrogie ciemności.

Byłem w jakiejś komnacie... jakby mi znajomej. Ze ściany zwisała bogata tkanina, ale nie mogłem przyjrzeć się wzorowi czy obrazowi, bo zawodził mnie wzrok i nikłe światło świec. Nade mną pojawiła się czyjaś twarz — znów niewyraźna i rozmazana. Otaczały ją pasma rozplecionych włosów, równie czerwonych jak szaty noszone przez właścicielkę owego oblicza. — Danelle, on wraca do przytomności. Idź i sprowadź rycerzy. Usłyszałem dźwięk cicho zamykających się drzwi. Spróbowałem usiąść i komnata zawirowała wokół mnie jak szalona karuzela.

— Odpoczywaj, braciszku — usłyszałem kojący głos Brithelma. — Zwalcz gorączkę, a wyjdiesz z tego bez szwanku. Ale godzi się rzecz, że popadłeś w ciężkie terminy. Usiłowałem pomóc ci nieco, chciałem wyjaśnić wszystko i powiedzieć sir Bayardowi, jak bardzo jest ci przykro. Spierałem się nawet z sir Robertem i tym jegomościem w czerni... Jegomość w czerni!

...usiłując ich przekonać, żeby na razie dali ci spokój, ale oni nie chcieli mnie słuchać. Uparli się, aby wyjaśnić sprawę od razu... zaraz będą tu wszyscy trzej... i wysłuchają twej opowieści... Odpoczywaj — ciągnął dalej mój brat. — Jesteś wśród przyjaciół.

Zamknąłem oczy i postanowiłem, że moja opowieść będzie równie żałosna jak moje samopoczucie.

Chyba się zdrzemnąłem, gdy bowiem oprzytomniałem, usłyszałem w komnacie kilka głosów, ale słowa, które wypowiedano, umykały mi, gdy tylko usiłowałem skupić na nich uwagę. W końcu wyczułem ruch obok mojego łóżka i otworzyłem oczy, powoli i niemrawo, jakbym wracał z tamtego świata. Obok łóżka stał Bayard.

— Brithelm powiada, że czujesz się nieco lepiej. Skinąłem nieznacznie głową, usiłując wyglądać jak ktoś, kto zbiera wszystkie swe siły, a niezbyt wiele mu ich zostało.

— Masz gości. Współ z Brithelmem nalegaliśmy, by poczekali do czasu, aż dojdiesz do siebie, ale sir Gabriel upiera się, aby wesele odbyło się zgodnie z ustaloną wcześniej datą. Pragnie również pomówić z tobą sir

— Robert di Caela. Przywiódł ze sobą sir Gabriela, który przysięga, iż nigdy cię nie widział i nigdy nie wchodził z tobą w żadne konszachty. Galenie, muszę ci rzec, iż sam nie mam pojęcia, czy w istocie wiesz coś konkretnego, czy łżesz, czy może bredzisz pod wpływem gorączki, trunku i poczucia winy. Powiedzmy, że nie mam wyboru i muszę ci zaufać. Położył dłoń na rękojeści miecza.

— Ty zaś, Galenie Pathwarden, zaufaj mi. Jeśli to, co mówiłeś, jest prawdą, jeśli to, co powiesz, wzbudzi gniew w tym... Gabrielu Androctusie, Benedykcie di Caela czy jakie tam inne imię z piekła rodem wybrał lub wybierze, bądź pewien, że dopóki Bayard Brightblade zachowa dech w piersi, ten człowiek nie uczyni ci krzywdy. — To wielce pocieszające, panie. Dopóki zachowasz dech w piersi. Bayard roześmiał się cicho i zawołał odwracając się w głąb komnaty. — Wpuść gości, Brithelmie.

Stanęli nade mną, jakby zamierzali czuwać nad zwłokami. W milczeniu i z powagą wysłuchali

całej historii, od jej początku, który zawiązał się w zameczku nad fosą, poprzez bagieny szlak i góry, aż do mojego zdumiewającego odkrycia w zamku di Caela.

Androctus zachował irytujący spokój i słuchał moich oskarżeń, jakby dotyczyły kogoś innego albo były bredniami deliryka. Gdy opowiadałem o tragicznym losie, jaki spotkał Agiona, i musiałem przerwać na chwilę z powodu dławiących mnie łez, rycerz w czerni wyglądał na szczerze przejętego. Przez chwilę miałem nawet wątpliwości... ale te rozwiały się natychmiast, gdy przemówił. W komnacie zabrzmiał ten sam koszmarny głos, który prześladował mnie od pierwszego spotkania w rodzinnym zameczku — słodki, gładki i zjadliwy.

— Młodzieniec ów cierpiał niepomrotnie — mówił Androctus ciepłym tonem — i nic dziwnego, że owe cierpienia... zmały mu umysł, każąc widzieć wrogów tam, gdzie ich nie masz. Jeśli jest coś, co mógłbym uczynić dla polepszenia jego samopoczucia, uczynię to z chęcią po ceremonii weselnej.

Sir Robert spojrział koso na swego przyszłego zięcia. We wzroku starego rycerza nie dostrzegłem aprobaty.

— Sir Gabrielu... — westchnął. — Należałoby właśnie wyjaśnić kwestię samej ceremonii. Jeśli w tym, co mówi ów chłopiec, jest choć żdźbło prawdy...

— Chodzi wam o to, że jestem Benedyktem di Caela? — przerwał sir Gabriel z niedowierzaniem w głosie. Natychmiast też wybuchnął mało przyjemnym śmiechem. — Sir Robercie, to już zbyt wiele złej woli z

— waszej strony. Zbyt długo pozostawaliście pod wpływem opowieści o klątwie przodków. Uśmiechnął się przebiegle i oparł o zdobiący ścianę kilim.

— Pozostańmy jednak uczciwi do końca. Czy chłopiec dysponuje choć cieniem dowodu na te wywołane gorączką brednie? Bayard i sir Robert spojrzeli na mnie pytająco. Moje myśli śmigły jak szalone. Dowód? Na to, co wydarzyło się w górach? Na bagnie? Nic... A w zamczysku?

— Bayardzie, podaj mi, proszę, moją opończę. Leży tam, przy kominku.

Rycerz zrobił, o co go poprosiłem, nie spuszczając wzroku z sir Gabriela. Ten zaś wyglądał na zaintrygowanego... i nieco zaniepokojonego.

Bayard podał mi opończę, ogrzaną i trochę osuszoną przy ogniu, ale wciąż wilgotną na zgięciach — tam, gdzie wsiąkały w nią strumienie nocnej ulewy. Poczawszy woń mokrej wełny, rozkaszałem się, ale zaraz sięgnąłem do kieszeni i zacząłem grzebać, pomijając kości Calantiny i ozdobne rękawice... — O, macie!

Sir Bayard i sir Robert szybko pochylił się ku mnie. Sir Gabriel zrobił nieznaczny i ukradkowy krok ku drzwiom.

— Te kamienie! — oznajmiłem, rozplątując rzemień wokół plecionego woreczka i wyrzucając na koc kilkanaście opali, gdzie legły nieruchomo, odcinając się od szorstkiej pościeli bielą, blaskiem i gładkością obróbki. — I co z tego? — uciał sir Gabriel. — Czy to ma być jakiś dowód?

— Nie inaczej! Tymi klejnotami usiłowałeś mnie, panie, przekupić, rozpętując tę brudną sprawę. Było to wtedy, gdy zabierałeś z naszego zameczku zbroję sir Bayarda. Potrzebna ci była, aby w jego imieniu popełniać zbrodnie i obruszyć przeciwko niemu gniew chłopstwa...

— Dość, Galenie! — przerwał mi Bayard. — Dopiąłeś swego. Sir Robercie, czy to was przekonuje?

— Nie powinno... chyba że jest większym durniem, niż mniemałem — wtrącił sir Gabriel, gdy sir Robert pochylił się nad moim łóżem, wziął jeden z klejnotów i uniósł go do światła. — Czy mało jest miejsc, w których chłopak tak... aktywny i przedsiębiorczy, jak ten tu Galen Pathwarden, może „znaleźć” sakiewkę pełną półszlachetnych kamieni? — Androctusie, może zechcesz mi wyjaśnić, co znaczą te słowa o

„durniu większym niż mniemałem” — syknął sir Robert, który poczerwieniał jak wiśnia. — Za jakiegóż to durnia mnie bierzesz, ty odziany w sobole cyrkowy błażnie! — ryknął, Bayard zaś szybko skoczył pomiędzy rycerza i przedmiot jego gniewu. Androctus znów nieznacznie przesunął się ku drzwiom.

— Panie, źle mnie zrozumiałaś — łagodził. — Chłopak mógł znaleźć owe kamienie gdziekolwiek i fakt, że je przy nim znaleziono, nie świadczy o tym, iż usiłowałem go nimi przekupić.

Sir Robert odzyskał spokój i godność. Gdy przemówił, głos jego zabrzmiał beznamiętnie i rzeczowo.

— Sir Gabrielu, to są czyste opale. Pochodzą z Estwilde. Znaleźć je można jedynie tam, w kopalniach nie opodal Jaru Throtyl. — Gdzie zginął Benedykt di Caela! — wyrwało się Bayardowi.

— No... niezupełnie — wtrąciłem. — Benedykt di Caela zginął na przełęczy Chaktamir...

— Skąd to wiesz? — przerwał mi szybko sir Robert, odwracając się ku mnie tak żwawo, iż stracił równowagę i zwałił się na moje łóżko, rozrzucając przy tym opale. — Tę część jego historii...

— ...di Caelowie skrzętnie ukrywają, co? — przerwał mu Androctus, w którego oczach rozbłysnął teraz płomień gniewu. Ale głos, którym przemawiał, był nadal zaskakująco spokojny i gładki. — I dlaczegóż to ukrywacie tę część historii, sir Robercie? Czy nie dlatego, że cała pełna jest łajdactw? Łotrem zaś okazał się nie tylko rzekomo bezdennie zły Benedykt?

Odwróciwszy się powoli, musnął palcem krawędź pięknego kilimu. Tkanina wyobrażała scenę myśliwską z udziałem pięciu konnych rycerzy, z których każdy miał charakterystyczny dla di Caelów orli profil. Androctus postąpił krok do przodu i stanął przed środkową częścią kilimu, wskazując palcem na wysuniętego na czoło jeźdźca.

— Oto Gabriel di Caela Starszy, ten sam, który wydziedziczył syna, prawego dziedzica tytułu i majątności rodu.

Figurka na tkaninie zaczęła gorzeć, paląc się wolno i bez dymu. Patrzyliśmy na to zdumieni, a potem błyskawicznie rozważyliśmy możliwe działania. Sir Robert zrobił krok w stronę Gabriela, ale potem najwidoczniej się rozmyślił. Bayard swobodnie oparł dłoń o rękojeść miecza, czekając na kolejne posunięcie Androctusa.

Ten tymczasem wskazał nam kolejną figurkę, jakby był przewodnikiem objaśniającym obraz w galerii muzeum. Dotknął więc palcem ostatniego z jeźdźców.

— Wtedy to Gabriel di Caela Młodszy zebrał armię przeciwko wydziedziczonemu bratu i pokonał go w bitwie u Jaru Throtyl, następnie ścigał pokonanego aż ku równinom Neraki. Obaj dotarli wreszcie do przełęczy na szlaku Chaktamir i tam... Figurka Gabriela zajęła się tym samym, leniwym płomieniem.

— Dosyć! — zagrzemiał Robert di Caela, a potem odezwał się spokojniej. — Skąd znasz tę historię, sir Gabrielu?

— Och, wszyscy ją znają — uśmiechnął się sir Gabriel. — Klejnoty również można znaleźć wszędzie, nawet jeśli to czyste opale z Estwilde. Czerwone kostki tego urwisa również pochodzą z Estwilde i żaden włamywacz...

— Skąd wiesz, jak wyglądają jego kości, sir Gabrielu? — wtrącił się nieoczekiwanie Bayard. — Jeśli, jak utrzymujesz, nigdy wcześniej nie spotkałeś Galena, skąd znasz zawartość jego kieszeni?

Androctus przerwał i wytrzeszczył na mnie oczy. Wewnątrz czarnych źrenic zapłonął czerwony płomień, tłumiony jeszcze, ale niewątpliwie złowrogi i groźny. Ognik zamigotał, zgasł i rycerz w czerni zwrócił się spokojnie do Bayarda.

— Jego brat... — wyjaśnił Androctus. — Jak mu tam... Alfric Pathwarden, czy nie tak? Otóż ostatniej nocy, podczas uczyty, dokładnie opisał mi swego przesądnego braciszka. Godny pogardy

lobuziak.

— Zmyślnie to wywiodłeś, sir Gabrielu. — Nie bez kpiny w głosie skwitował wyjaśnienia sir Robert. — Nie rozwiązałeś jednak naszych wątpliwości. Wydaje się, że nie mamy innego wyboru, jak odwlec uroczystości zaślubin do następnego tygodnia. Przykro mi z powodu niewygód, na jakie narażam zaproszonych gości, ale zwłoka jest konieczna, abyśmy mogli w tej mrocznej sprawie odkryć prawdę.

— Prawdę? — wybuchnął wreszcie sir Gabriel. — I cóż wy wiecie o prawdzie? — odwrócił się od tkaniny, złożył ramiona na piersi i spojrzął na sir Roberta wzrokiem zdolnym przemienić go w kupkę popiołu.

— Prawdą jest, że mi się nie podobasz, panie Gabrielu Androctusie — syknął stary rycerz, którego twarz zapłonęła piękną czerwienią, podkreślaną przez srebro jego włosów i wąsów. — Nadal zaś jestem panem tego zamku, który — tam do kata! — przekazać mogę temu, komu mi się spodoba. Być może moja reputacja co nieco na tym ucierpi, ale niech stracę... a jeśli okaże się, że jesteś Benedyktem di Caela... Choćby nawet miało być inaczej, chętnie cofnę słowo, po to tylko, aby ujrzeć ten głupi wyraz na twoim pysku! W komnacie nagle powiało chłodem. Z posadzki podniosła się mgła, na

ścianie zatrzepotał poruszony powiewem wiatru kilim. Sir Gabriel jakby urósł... aż okazało się, iż góruje nad Bayardem i sir Robertem, którzy cofnęli się o krok od dziwnej figury, w jaką przeistaczał się na naszych oczach rycerz w czerni.

Kiedy przemówił, jego niski, wibrujący głos spowodował, że jedno z okien pękło na kawałki, a ja jak najgłębiej zakopałem się w koce. Pogrążony w mroku usłyszałem dziwne człapanie, dźwięk dartego sukna i kolejne odgłosy tłuczonego szkła. Nad tym wszystkim górował jednak dźwięczny głos Skorpiona.

— Prawda wygląda tak, iż raz jeszcze, sir Robercie, usiłujecie pozbawić mnie dziedzictwa! Nawet wtedy, gdy trzymałem się waszych zasad! Walczyłem uczciwie i stawiałem czoło wszystkim durniom z turniejowej listy, na wezwanie podnosiłem przyłbicę, pozwalałem oglądać swoją kopię i znosiłem wycie tych waszych solamijskich fanfar! O, tak, wasi rycerze uwielbiają rozprawiać o honorze, cytują gesty i postawy bohaterów starej szkoły... ale wam to nie przeszkadza pozbawić mnie tego, co należy mi się z prawa! Robercie di Caela, wyrzuciłeś mi wielką krzywdę! — zawołał nasz przeciwnik, ja zaś usłyszałem nowy dźwięk, jaki wydaje rozbijany przedmiot. — Ale to nic...

Głos Skorpiona ucichł nieoczekiwanie. Nasz wróg przemawiał teraz niemal spokojnie, jakby prowadził rozmowę towarzyską — co okazało się bardziej przerażające niż wydawane przezeń przed chwilą wrzaski. — ...nic, powtarzam, w porównaniu z krzywdą, jaką ja wyrządzą tobie! Sir Robert ryknął z wściekłością. Usłyszałem łoskot przewracanych mebli. Wyjrzałem ostrożnie spod koców w samą porę, aby ujrzeć, jak Skorpion zręcznym unikiem minął szarżującego nań sir Roberta i śmignął ku drzwiom, przed którymi stał Brithelm. W połowie drogi zatrzymał się, zakręcił w miejscu i szybkim, choć nieco dziwacznym krokiem, przypominającym ruchy okaleczonego drapieżnego ptaka, skoczył w stronę rozbitego okna i rzucił się w nie, wydostając na zewnątrz. W komnacie pozostał tylko strzęp czarnej opończy, który zaczepił się o kawałek strzaskanej przy parapecie szyby.

Bayard błyskawicznie dopadł okna i wyjrzał na zewnątrz. Patrzył przez chwilę w mrok, potem wzruszył ramionami i odwrócił się ku nam. — Rozpłynął się w powietrzu — oznajmił beznamiętnie.

Sir Robert wyciągnął z pochwy miecz i rozpołowił stojące przed nim jedyne w komnacie krzesło. Brithelm siedział na krawędzi łoża i trajkotał po swojemu, ja zaś stojąc przy kominku, stroiłem lutnię, którą mi przyniósł.

— Jakim niezwykle szczęśliwym trafem, nieprawdaż, jest to, że najbardziej zdolnym do zajęcia

się swoją chorobą okazał się twój dawno utracony brat, którego spotkałeś zaledwie godzinę przedtem, zanim zaistniała konieczność skorzystania z jego pomocy?

— Nie ująłbym tego lepiej — odpowiedziałem taktownie. — Muszę przyznać, że w tej sprawie miałem sporo szczęścia. Czy dobrze — to pytanie odnosiło się do lutni — ją zestroiłem?

— Jestem pewien, że z czymś ją zestroiłeś, braciszku. Nie jestem natomiast pewien, czy jest zestrojona sama ze sobą.

Westchnąłem i ponownie zająłem się strojeniem, przypominając sobie stare przysłowie gnomów: „Gdy wątpisz, czy trafiłeś we właściwy ton, naciągnij strunę”.

— Brithelmie, co właściwie cię tu sprowadza? — spytałem. — Myślałem, że zamierzasz pozostać w odosobnieniu i stać się bagiennym świętym pustelnikiem.

Przesunął się nieco na łożu, wstał i podszedł do kominka. Przystając obok mnie, wysunął przed siebie dłonie i ogrzał je nad czerwonymi węgielkami.

— I owszem, braciszku, musiałem jednak zwrócić się ku sprawom tego świata, aby wspomóc brata w potrzebie. Jestem tutaj jako świadek dobrej woli i cnót Alfrica w jego staraniach o rękę lady Enid — oznajmił Brithelm pogodnie. Struna, którą naciągałem, pękła raptownie i jej koniec boleśnie ugodził mnie w dłoń. Brat spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Świadek dobrej woli i cnót? Brithelmie, na miłość Humy, czyś ty kiedykolwiek zobaczył w postępowaniu naszego brata przejaw jakiegokolwiek cnoty? Wymień choć jedną! Jakże, u licha, mogłeś dać się wciągnąć w tę sprawę? Wbiłem w Brithelma oskarżycielskie spojrzenie.

— Cóż... wiem, że jego opowieści o bohaterskich wyczynach to tylko słowa... ale w końcu wysłał go tu ojciec. Alfric powiedział mi, że perspektywa małżeństwa z lady Enid nieustannie stała mu przed oczyma. Uprosił więc ojca o dokonanie przyspieszonej ceremonii pasowania na rycerza, po której, oczywiście, mógłby wziąć udział w turnieju...

— Brithelmie, poczekaj chwilę. Cóż to za przyspieszona ceremonia pasowania na rycerza?

— Galenie, przecież wiesz o tym znacznie więcej ode mnie. To w końcu ty studiowałeś solamnijskie zakonne reguły, podczas gdy ja zajmowałem się teologią. Owa ceremonia ma być swego rodzaju

— dyspensą, jaką Zakony udzielają w przeddzień turnieju, podczas którego wybiera się męża dla córki jednej ze Starszych Rodzin. Młodemu chłopcom, nie będącym jeszcze giermkami, ale zamierzającymi nimi zostać, pozwala się na pominięcie okresu służby i przejście od razu do ceremonii, której — pod naszą nieobecność — dokonał ojciec, czyniąc Alfrica rycerzem i umożliwiając mu w ten sposób poślubienie Enid di Caela. — Oczywiście o tej ceremonii opowiedział ci Alfric, prawda?

Było to największe z łgarstw, o jakich kiedykolwiek słyszałem — nie najbardziej okrutne, złe czy szalone, ale bez wątpienia najgłupsze. W zamku, w którym się znajdowaliśmy, było przynajmniej tuzin miejsc — i z pewnością tyluż rycerzy — w których Brithelm mógłby się dowiedzieć, iż nie istniało coś takiego jak „przyspieszona ceremonia pasowania na rycerza”. Coś nieokreślonego rodziło się we łbie Alfrica. Brodząc w półmroku, ujrzał z dala nikłą i niewyraźną linię brzegu.

Głupio było łązić w nocy po zamku, podczas gdy wszyscy moi wrogowie hulali na wolności, niemniej to właśnie zrobiłem. Spytałem tylko służbę, gdzie mogę znaleźć miejsce, w którym nikt nie będzie przeszkadzał moim rozmyśleniom — i już mnie nie było.

Nikt z nas oczywiście nie łudził się, że mamy już za sobą wszystkie problemy, ponieważ Skorpion wyskoczył przez okno. Bayard i ja opowiedzieliśmy historię naszych z nim utarczek podkreślając, że za każdym razem znikał tajemniczo, po to jedynie, aby pojawić się w jeszcze groźniejszej i niebezpieczniejszej postaci.

Kiedy powiedziałem sir Robertowi o groźbach, które nasz przeciwnik skierował przeciwko Enid, stary rycerz wypełnił zamkowe korytarze zbrojnymi strażami.

Nie sposób było przejść, usiąść lub choćby przystanąć w blasku księżyca, aby nie zostać otoczonym przez przesadnie przejętych obrońców, którzy zawoławszy pierwaj ceremonialnie: „Kto idzie?“, zasypywali następnie delikwenta serią drobiazgowych pytań, on zaś musiał opowiadać, co robi w zamku, dlaczego łązi po nocy, i na dodatek wywodzić się ze swej rodziny do pięciu pokoleń wstecz — przy czym należało pamiętać, że każdy z przodków, na którego padłby choć cień podejrzenia, iż nie był Sola-mnijczykiem, mógł stać się przyczyną spędzenia reszty nocy na odwachu w wartowni.

Dlatego też schroniłem się w ogrodzie. Znalazłem tam spokojne miejsce, pod gałęziami grusz i brzoskwiń i... pod oknami lady Enid.

Strażnicy okrążali sad jedynie z daleka i słyszałem ich nieustanne nawoływania. Ogród lady Enid był najwidoczniej jej prywatnym

sanktuarium — został przeszukany (dokładnie) wczesnym wieczorem, a potem zostawiono go w spokoju. W godzinę po zapadnięciu zmroku pełno było w nim sów i słowików, które darły się nieustannie.

Znajdowały się tu zresztą nie tylko ptaki śpiewające, ale i takie, które troskliwie zaprojektowano i ukształtowano z roślinności. Dolna część sadu okazała się swego rodzaju klombem, gdzie niewysokie krzewy uformowano — starannie je przycinając — w kształty różnych ptaszków i zwierząt. Były tu więc sowy, słowiki, wiewiórki, króliki i krótkouche wydry — wszystkie z jałowców, nieśmiertelników i innych krzewów.

Przez chwilę stałem nieruchomo. Patrzyłem w nikłe, migotliwe światelko okna Enid i wdychałem woń owoców i roślin. Było to romantyczne miejsce, którego atmosferę zakłócały jedynie odległe nawoływania wartowników. Oparłem się o jałowcową sowę i napawając się woniami kwiatów oraz śpiewem ptaków, obserwowałem światelko okna Enid.

I nagle na mojej krtani zacisnęły się czyjeś łapy, przy uchu zaś odezwał się znajomy głos.

— Braciszku, mam do spłacenia sporo rachunków. Pierwszy z nich zaczniemy rozliczać właśnie tutaj.

Alfrie prawdopodobnie szedł za mną od wyjścia, podążał uparcie przez całą twierdzę, kryjąc się w cieniu murów i drzew. Dość bezceremonialnie wcisnął mi teraz twarz w misternie przystrzyżone gałęzie jałowca.

— Zostaw mnie, proszę — wystękałem, co nie było łatwym przedsięwzięciem, bo usta miałem pełne igieł.

— Tak jak ty zostawiłeś mnie na bagnach? Wiesz, mam pomysł, wdepczę cię w tę zieleń, co? Jak smakują te igielki, braciszku? Gdzież podziła się cała twoja przebiegłość, Łasico?

Mimo wszystko rozluźnił nieco uścisk i mogłem już mówić. Pozwolenie mi na otworzenie dzioba zawsze okazywało się taktycznym błędem Alfriea.

— Alfrie, powiedziałem, lepiej mnie puść. Jeśli mnie skaleczysz lub w jakiś inny sposób uszkodzisz mi twarz, sir Bayard nie zechce cię za giermka. Jeśli cokolwiek zniszczy wspaniałość mego nosa, żaden z zebranych tu rycerzy również tego nie zrobi.

— Galenie, wcale mnie to nie przeraża... jako że zamierzam wybiegać się o rękę lady Enid — oznajmił Alfrie z dumą i... wcisnął mnie głębiej w jałowiec.

— Mówi się „ubiegać”... i obawiam się, że masz pecha. Może raczysz sobie przypomnieć, że turniej dobiegł końca.

— Alfrie raz jeszcze wepchnął mnie w igły, potem jednak puścił.

— Może i mam pecha, ale ciebie uratowało dziś tylko to twoje szczęście łasicy, braciszku. — To znaczy?

— To znaczy, że ty poprzysz moje ubieganie. Twoja w tym głowa, aby mi się udało — warknął Alfric. Zatkął mi łapą usta i stłumił wrzask o pomoc. Potem złapał mnie za prawą rękę i wykręcił ją tak, iż łokciem dotknąłem pleców, a kciukiem karku. Usiłowałem wymyślić jakąś bystrą odpowiedź, ale niewiele zdołałem zrobić w tym względzie, ponieważ skręt ramienia rozdzierał mi niemal staw barkowy i pozbawiał możliwości myślenia o czymkolwiek oprócz samego bólu. Poza tym miałem kłopoty ze złapaniem tchu.

— I cóż będę z tego miał, drogi bracie? — wycharczałem przygotowany, aby zemdleć. — Bagna... — syknął Alfric. — Pamiętasz bagna? — Ooo...

— Słyszałem twoją spowiedź, Łasico, ale pominąłeś w niej — przez roztargnienie zapewne — historię o tym, jak zostawiłeś swego najstarszego brata w śmiertelnej pułapce. Przeoczenie dość wygodne, ponieważ — jak obaj wiemy — występki przeciwko więzom krwi jest wedle reguł solamijskich najohydniejszą ze zbrodni. Nie sądzę, aby sir Bayard lub sir Robert przeszli nad nią do porządku dziennego albo uznali rzecz za niewinny braterski figiel. A ty... co o tym sądzisz, drogi braciszku? Płomień bólu ponownie przeszył mi rękę od barku do dłoni.

— Jak... sobie... życzysz... — wystękałem, czyniąc przerwę po każdym wyrazie.

Alfric rozluźnił uścisk. Zacerpnałem tchu i odzyskałem (częściowo) zdolność myślenia, a mój brat pochylił się nade mną i szepnął groźnie:

— Dobra. Przyniosłem lutnię. Co teraz, Galenie? Masz w tych sprawach pewną wprawę.

Odwrócił mnie, złapał dla odmiany za kurtkę na piersi, podciągnął ku sobie i wyjął swój sztylet, ja zaś wyczułem, iż oprócz zapachu wina i nie strawionej dziczyzny w oddechu mojego braciszka jest coś jeszcze... coś nikłego... i znamionującego, że Alfric balansuje na krawędzi szaleństwa.

Mój zacny brat przycisnął mi czubek sztyletu do podbródka, sprawiając lekki, ale źle wróżący ból. Następnie opuścił mnie na ziemię i ukrył się za krzakiem, w głąb którego i ja zostałem szybko wciągnięty. — Wszystko składa się niemal doskonale — zachrypiał. — Spóźniłem

się na turniej i nie wzięłem w nim udziału, nie musiałem więc stawać przeciwko każdemu jełopowi, który mógłby zrobić mi krzywdę. Potem okazało się, że rycerz, który zwyciężył i u którego zamierzałem podjąć służbę giermka, jest uzurpatorem i oszustem, nie zaś zwycięzcą. Był nawet moment, kiedy wściekłem się na ciebie, znów bowiem straciłem szansę, aby zostać giermkiem. Potem jednak pomyślałem, że to nawet lepiej, bo dzięki twej interwencji wynik turnieju przestał się liczyć, a lady Enid znów jest panią swej ręki. Każdy więc może się o nią ubiegać w uczciwym przetargu. — Uczciwy przetarg... jakże romantycznie raczyłeś to ująć, mój bracie.

— To twoja rzecz — syknął Alfric. — Jesteś ode mnie lepszy w gadaniu. Powiesz mi, co mam mówić pod oknem lady Enid. Zagrasz na lutni i zaśpiewasz, jakbyś był mną. Jeśli nie... — dodał obojętnie i jakby mimochodem — to cię zabiję.

Gdy dorastaliśmy wśród korytarzy i tuneli rodzinnego zamczyska, każdy z nas marzył niekiedy o tym, by zakatrupić drugiego, to pewne. Mogę przyznać, iż sam często zabawiałem się myślami, jakby to było pięknie, gdyby Alfric przedwcześnie opuścił ziemski padół. Nie będę się też wypierał, że nieraz marzyłem o tym, leżąc nocą w swojej komnacie lub za dnia w jakiejś kryjówce. Znaczną rolę w owych marzeniach odgrywały zwykle wielkie, kudłate stwory z paszczami pełnymi ostrych kłów.

Teraz byliśmy już zbyt dorośli na takie rzeczy, a zwykłe pogróżki typu „zabiję cię, zabiję bez litości” były po prostu pozostałościami naszego wojowniczego dzieciństwa. Tym razem jednak doszedłem do wniosku, iż Alfric mówi śmiertelnie poważnie. — Lepiej się postaraj, Łasico! — syknął mój zacny brat.

Rozluźnił uścisk, wpychając mnie po uszy w brzuch sowy. Sam otrzepał się z kurzu, zwilżył palce językiem i przesunął nimi po włosach, przyczesując je w ten dość groteskowy sposób. Następnie stanął pośrodku małego klombu, oświetlonego nikłym blaskiem gwiazd i smugą światła, padającego z okna komnaty Enid. Miałem zalecać się do damy ukryty w cieniu.

— Hej! Lady Enid! — zawołał Alfric w stronę okna. Następnie obejrzał się ku mnie, szukając rady lub aprobaty.

— Świetnie ci idzie! — syknąłem z brzuszyska sowy. W oknie rozległ się dźwięk, który ja wziąłem za stłumiony chichot, ale Alfric wołał pewnie przypisać go swym nieodpartym wdziękom i wymowie, odczytując go jako westchnienie uwielbienia. Nie miał najmniejszego pojęcia, co mówić dalej. Cofnął się o krok i obejrzał na mnie, bliski paniki.

Wcisnąłem się pod skrzydło sowy, licząc na to, iż zdołam skryć się w cieniu i czmychnąć do swej komnaty. Tym sposobem miałbym spokój, Alfric zaś... cóż, mógłby dalej rozwijać romansowe skłonności, posiłkując się swymi znanymi szeroko talentami. Pozostawiony własnej przemyślności i urokowi osobistemu, mój najstarszy brat potrafiłby sprawić, że czterechsetletnia kłątwa wydałaby się lady Enid całkiem atrakcyjną alternatywą.

Wysoko nad nami szare, zakrywające światło księżyców chmury rozplynęły się i zmieniły układ cieni w ogrodzie. Alfric mógł ruszyć za mną, bo stracił mnie z oczu jedynie na chwilę, kiedy dałem nura pomiędzy błękitnawe igły ogromnej sroki z nieśmiertelnika. Szybko jednak mnie odnalazł, gdy zrywałem się do biegu, i w końcu przyparł do muru przy stadku wielgachnych jałowcowych jaskółek. Z ptasząt posypały się jagody, gdy Alfric zaczął mną błagalnie potrząsać.

— Nie masz pojęcia, jak trudno jest być najstarszym z braci, Łasico... nie wiesz, jaka odpowiedzialność spoczywa na mnie tylko dlatego, że po prostu pierwszy przyszedłem na świat. Musisz stawić czoło wszystkiemu... mistycyzmowi młodszego brata, kradzieżom i podstępom najmłodszego — oczekuje się zaś po tobie, że poradzisz sobie z tym śpiewająco, bo jesteś najstarszy i po prostu wypada, abyś radził sobie z takimi rzeczami. — Alfric, przestań mną potrząsać.

— Zamknij się! Słuchałem cię za długo i za często. Ale czy ktokolwiek dba o Alfrica? Czy ktokolwiek choć raz spytał, czego pragnie Alfric? — No... ja...

— Zamknij się! — To było nieco za głośne. Alfric przerwał tyradę i rozejrzał się dookoła. — Dość już mam dbania o potrzeby innych! Dość przejmowania się rolą starszego brata! Zatroszczę się o siebie samego... choć raz w życiu zrobię coś sam i dla siebie!

Na jego twarzy malowała się nieklamana rozpacz. Scena byłaby wzruszająca, gdybym nie znał Alfrica od dziecka i gdybym nie wiedział, że zawsze dbał wyłącznie o siebie i nikogo więcej.

— A ty mi w tym pomożesz, braciszku. Ty, twoje gadanie, oszustwa i drobne złodziejstwa — perorował Alfric, biorąc w dłoń gałąź jałowca i wymachując mi nią pod nosem. Ostra woń igieł sprawiła, iż niewiele brakowało, a byłbym kichnął.

— Posłuchaj — ciągnął Alfric — wrócę na ten klomb i stanę plecami do muru, tak żeby lady Enid dobrze mnie widziała, i zacznę prawić jej komplementy. Wykombinuj jakiś poemat, żebym miał jej co powiedzieć, Łasico.

Ujął mnie za kołnierz i przyciągnął pod okno, gdzie wepchnął w tujowego słowika — pękate i mocno przerośnięte stworzenie, które przycupnęło pod znacznie wyższymi gruszami. Nie mając wyboru, wcisnąłem się głębiej, a Alfric w całej swej okazałości — kryjąc się jednak częściowo w cieniu — stanął pośrodku klombu. Sterczał tam (ja zaś niemal wisiałem w jego łapie) bez ruchu długą chwilę, dopóki nie pojąłem, że bałwan czeka, aż Enid sama podejdzie do okna. — Alfric...

ona się nie pokaże, dopóki nie uświadomisz jej, że tu jesteś. Kołnierz zacisnął mi się paskudnie na szyi i niewiele brakowało, a byłbym zaczął się dusić. Alfric nie zamierzał mnie teraz puścić. — O piękna panno, podejdź do okna — wystękałem. — Co?

— O piękna panno, podejdź do okna. To twoje słowa. — Zdołałem uchwycić się gałęzi, co znacznie ulżyło mojemu niemal zduszonemu karkowi.

— Nie rozumiem — mruknął Alfric. Wciąż trzymając mnie jedną ręką za kark, drugą podrapał się po głowie. — Alfric... chciałeś poematu. To pierwszy wiersz. — Zapomniałem, jak to szło. — O piękna panno, podejdź do okna, niech cię zaraza!

— O piękna panno, podejdź do okna, niech cię zaraza! — ryknął Alfric, nie żałując tchu. Nastąpiła chwila ciszy. W komnacie zadrżało nagle światelko, którego promyki zatańczyły na najwyższych gałęziach drzew. Alfric spojrzał na mnie wyczekująco. Ja też zadrżałem i błyskawicznie dośpiewałem sobie resztę. — Ukaż nam widok uroczy. — Co? — Drugi wiersz — wyjaśniłem. — Ukaż nam widok uroczy.

— Jesteś pewien, że ona ma ochotę słuchać o widokach? — spytał Alfric scenicznym szeptem. — Czy dziewczyny przeważnie nie mają ochoty słuchać czegoś o nich samych?

— Dojdziemy i do tego, bracie — wyjaśniłem, wymykając mu się z dłoni i wsuwając głębiej w gałęzie słowika.

— Tymczasem musisz zadbać o właściwy nastrój. Poeci nazywają to „natchnieniem”.

Alfric długo i nieufnie gapił się na mnie, w końcu poddał się, odwrócił w stronę okna i ryknął: — Ukaż nam widok uroczy! Z okien komnaty opadł ku nam jakiś stłumiony dźwięk. Śmiech? Kto wie?

Przez chwilę składałem w głowie słowa, potem poddałem je mojemu bratu. — Gdy blask księżycy leje się z gwiazd, zrodzonych w źrenicach nocy. — Co?

— Alfric, na miłość Humy! Otwórz uszy i słuchaj tego, co masz mówić! Nie jest to poezja Quivalena Satha, ale do romansu w ogrodzie nada się niegorzej. Alfric odwrócił się ku oknu i cisnął w nie jak kamieniem. — Gdy księżyc leje w gwiazdy po nocy.

Wiersz nie był chyba taki zły, lecz przekład Alfrica okazał się dlań zabójczy.

— Świetnie ci idzie — syknąłem zjadliwie. — Po prostu wspaniale! Takim występem nie zdobyłbyś nawet ręki Lexiny, córki kucharza.

I nagle ze znajdującego się nad nami okna Enid rozległ się przeraźliwy, głośny i pełen rozpaczny krzyk. Gdy umilkł, w sady zaległa okropna cisza.

Alfric zdębiał do tego stopnia, że wyciągnął mnie ze słowiczego krzaka. Przez chwilę gapiliśmy się na siebie — tym głupim, dziecięcym spojrzeniem, kiedy wspólnie z bratem lub kolegą coś zniszczycie i patrzycie na siebie, pytając się w duchu: „Czy mogę mu zaufać i czy mnie nie zdradzi?”, po którym następuje kolejne nieuniknione pytanie: „Czy on okaże się na tyle głupi, że zdołam zwalić wszystko na niego?”

Staliśmy więc w tym ogrodzie, pośród krzewów i cieni, i gapiliśmy się na siebie, pogrążeni w głębokiej ciszy. Ptaki, na których poezja Alfrica nie zrobiła najmniejszego wrażenia, umilkły, gdy usłyszały wrzask z okna. Potem z góry dobiegły nas odgłosy jakichś ruchów i szamotaniny, przez które znów przebił się ów przeraźliwy krzyk. Skoczyłem ku ścianie, zdecydowany wspiąć się jakoś na górę i pobiec Enid na ratunek.

Zatrzymała mnie łapa Alfrica. Mój brat skoczył zajęczym susem ku jałowcowemu słowikowi i pociągnął mnie za sobą. Ptak połknął nas — mnie i Alfrica — w tej samej chwili, w której okno Enid przykrył cień. Ukryci pod wielkimi iglastymi skrzydłami patrzyliśmy przerażeni, jak z okna wydobył się kłęb mroku i jak ów mrok zaczął błyskawicznie spływać w dół.

Kłęb mroku szybko przesunął się przez rozjaśniony księżycowym światłem dziedziniec twierdzy. Ale ani czerwone, ani srebrne promienie nie zdołały przeniknąć bryły gęstego mroku. Jej powierzchnia kipiała tylko i burzyła się, niczym topiony воск zalewany zimną wodą.

Z wnętrza mroku usłyszałem — lub tak mi się wydało — stłumione okrzyki.

Zacząłem się szamotać z powstrzymującymi mnie zielonymi, wonnymi gałkami. Raz jeszcze spróbowałem wyrwać się bratu i skoczyć na pomoc dziewczycy, jak powinien to być uczynić każdy porządny rycerz ze starej opowieści. Alfric jednak przytrzymał mnie jeszcze mocniej, ponownie wyjmując nóż i wciskając mi go w żebra. Miło było pomyśleć, że nie jestem największym tchórzem w rodzinie Pathwardenów.

W zmiennym świetle księżyców widziałem, jak bryła ruchomego cienia mknie ku bramie, dokąd pędzili również dwaj wykrzykujący coś strażnicy, zdecydowani przeciąć jej drogę. Cień rozpedził się, jakby w jego wnętrzu kryło się źródło woli, zdecydowane ujść za wszelką cenę. Bryła wpadła na strażników z obrzydliwym, mlaszczącym odgłosem i obaj runęli na ziemię. Wrzeszczeli przy tym tak, iż nie sposób tego opisać.

Wtedy znów usłyszałem okrzyki, rozbrzmiewające z okna nad nami. Nie były stłumione, ale mimo to brzmiały coraz słabiej, jakby ktoś, kto je wydawał, wołał z daleka... i jakby odległość wciąż się powiększała.

Cień, który przemknął tymczasem przez bramę, oddalał się szybko, znikając gdzieś w mroku pośród równin.

— Alfric! — wrzasnąłem za siebie. Nie usłyszałem odpowiedzi, tylko odgłos tratowanych gałęzi, jakby coś wielkiego i niezgrabnego torowało sobie drogę w ciemnościach.

— A, do kata z tym wszystkim! — mruknąłem i odwróciłem się, aby podążyć śladami mojego brata. Zatrzymały mnie kolejne okrzyki na górze.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Kiedy sobie teraz przypominam to wszystko, wydaje mi się, że to, co zrobiłem potem, było najgłupszym z moich wyczynów, wobec którego pomaganie Skorpionowi w kradzieży zbroi okazało się aktem geniuszu.

Chwyciłem bowiem zwisające ze ścian wieży pnącza winorośli, wspiąłem się do okna lady Enid i przelazłszy przez parapet, wskoczyłem do środka. Na łożu leżała związana Danelle di Caela, której blada twarzyczka była wcieleniem przerażenia. Zrozumiałem natychmiast, że lady Enid została porwana przez ową bryłę cienia, która obecnie niesie ją gdzieś, ku bogom tylko wiadomemu mrocznemu przeznaczeniu. Pojąłem, że w najbliższych dniach Skorpion zada di Caelom najokrutniejszy z dotychczasowych ciosów.

Wszystko, co mogłem zrobić, to pomknąć ku podstawie południowo-wschodniej wieży i wspiąć się po otaczających ją z zewnątrz schodach. Nie bez trudu dopadłem szczytu (choć dwa lub trzy razy zatrzymywał mnie po drodze brak tchu — zastanawiałem się wtedy, skąd di Caelowie

biorą te wszystkie, kręcące się na tych wyżynach koty). Podczas tej wspinaczki popędzała mnie w górę obawa, że nie zdążę na czas i nie zobaczę tego, co tak bardzo chciałem ujrzeć.

Dopiero na samym szczycie spiralna klatka schodowa otworzyła się, udostępniając mi rozległy widok na okolicę na wschód od zamku. Wspiąłem się na palce, zmrużyłem oczy i zacząłem przeszukiwać wzrokiem horyzont.

Czerwony blask Lunitari ukazał mi mroczną plamę, szybko posuwającą się ku przełęczy Throtyl. Bogowie jedynie wiedzieli, dokąd udała się po jej przekroczeniu.

Część trzecia

Do gniazda Skorpiona Dziewiątka na dwójce to Znak Sowy, odwiecznej obserwatorce, która wszystko widzi, cichej żeglarki na skrzydłach nocy. Nikt jej nie widział, gdy kraje oddawano na pastwę miecza i płomieni, bo zawsze krążyła tuż poza zasięgiem kręgu zdradzieckiego blasku. Calantina II:IX

Rozdział szesnasty

O TYM, co SIĘ STAŁO, dowiedzieliśmy się wkrótce potem, gdy jeden ze strażników wpadł do komnaty lady Enid, by znaleźć tam jedynie bardzo piękną — i bardzo nieprzytomną — Danelle di Caela, która ocknąwszy się opowiedziała nam o porwaniu.

Obie wespół z Enid siedziały przy jej antycznej gotowalni, zaśmiewając się ze zdemaskowania sir Gabriela Androctusa — o którym Enid wyraziła się, iż „ma wdzięk, czar i świetne manieri... godne statecznego grabarza”. Wtedy to właśnie jakaś czarna chmura — jakby kłęb sadzy — spadła z głębi kominka i zaćmiła blask płonących bierwion.

— W pierwszej chwili pomyślałyśmy, że coś zatkało kominek — wyjaśniała słabym głosem Danelle, otoczona kręgiem poduszek i służebnych dziewczek. — Poddałam nawet myśl, że być może chodzi o dymnik... niewykłuczone, iż pomysł ów wpadł mi do głowy, bo to jedyna część pieca, której nazwę potrafię wymienić. Kuzynka Enid podciągnęła suknie, podeszła do kominka i zaczęła nasłuchiwać, mimo że przestrzegałam ją, aby tego nie czyniła. Powtarzałam jej, że wkrótce ogarnie ją dym, pobrudzi suknie i twarz, niszcząc jej cerę. Ale wiecie, jaka ona jest. Zrobiła krok ku kominkowi i nagle zniknęła... całkowicie zniknęła w tej chmurze. Słyszałam, jak szamocze się z czymś i krzyczy w głębi tego mroku, natychmiast też skoczyłam jej na pomoc... i znalazłam się tu, na tym łożku, związana i zakneblowana. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, gdy znów usłyszałam szuranie i krzyki za oknem. Nie mogło jednak minąć za wiele czasu. Szamotałam się, aby rozluźnić sznury i

wypluć knebel, tak bym mogła wezwać pomocy. Niestety, za nic nie mogłam się ruszyć i... nie, nie chcę już o tym mówić.

Wysłuchałem tej nieskładnej historii, stojąc przy wiekowej gotowalni, jak najdalej od miejsca, gdzie leżała Danelle. Zawstydzilem się, gdy opowiadała, jak bez namysłu skoczyła na ratunek kuzynce, przypomniałem sobie bowiem, jak sam dałem nura w krzaki, gdy owa bryła mroku spuszczała się ze ściany.

Gdy Danelle opowiadała o tym, co się stało, Robert di Caela i Bayard siedzieli obok jej łoża na prostych taboretach i słuchali bardzo uważnie, choć widoczne było, iż są mocno zatrwożeni. Brithelm, sir Ramiro z Maw i sir Ledyard stali obok okna. Alfric wtopił się gdzieś w tło.

Gdy dziewczyna skończyła swą opowieść, obecni w komnacie mężczyźni spojrzeli sobie w oczy. Na twarzy Roberta di Caela dopiero

teraz pojawiły się oznaki wzruszenia. Obawy i gniew przemknęły przez jego szlachetne oblicze, jak gromada skorpionów przebiega przez kość słoniową tronu, jak cień chmury pomyka po murach twierdzy. Rycerz szybko opanował emocje i odezwał się pierwszy.

— Tak więc moją córkę porwano... i Huma jedynie wie dokąd. Problem, z którym mamy się uporać, jest prosty... jak ją odbić?

Brithelm odwrócił się od okna, przez które dotąd wyglądał. Bayard oparł się o ścianę i złożył ramiona na piersi. Żaden z nich się nie odezwał, jako że obu trochę krępowała obecność przywódcy klanu di Caelów. Nie miałem powodu, aby im przyganiać, sam bowiem ani myślałem wychylać się zza gotowalni.

— Wolałbym, aby to wszystko się nie zdarzyło — zaczął sir Robert. — Zwłaszcza w tak niepewnych jak nasze czasach. Zaledwie miesiąc temu otrzymałem wieści, że Bayard Brightblade weźmie udział w tym turnieju. Nowiny te powitałem z radością, ponieważ pewien byłem, że proroctwo wskazało mi w jego osobie dziedzica... i wielce mnie to ucieszyło. Teraz zaś dziedzictwo przypadło komuś, kto ma do niego pewne... prawa. Ów ktoś zwycięża w turnieju i zdobywa rękę mojej córki Enid wraz z majątkiem di Caelów, potem jednak okazuje się, iż nosi on miano, które znane jest w historii mojej rodziny, gdzie przypisuje się mu znaczenie bardziej mroczne i złowrogie, niż mógłbym to sobie wyobrazić.

Bayard westchnął z niejaką ulgą i czekał, aż sir Robert skończy jakąś konkluzją.

— Na całe szczęście ta biedna dziewczyna nie doznała krzywdy — przerwałem staremu rycerzowi, wskazując Danelle. Danelle uśmiechnęła się słabo;

— Dziękuję, Galenie Pathwarden — westchnęła. — Jesteś bardzo... rycerski. Nie zapomnę — mówiła dalej — że byłeś pierwszym, który przybiegł mi na pomoc.

Zupełnie mnie tym rozbroiła. Ten nieoczekiwany poryw bohaterstwa zdumiał i mnie samego.

— Cała przyjemność po mojej stronie — wybąkałem, a stojący u okna sir Ramiro zachichotał znacząco. Obrzuciłem go spojrzeniem, po którym zwykle następują czyny krwawe i gwałtowne. Tymczasem przyszedł mi w sukurs Bayard, który wyczuł moje zdenerwowanie.

— Panowie, w tej całej historii wiele jest jeszcze niejasności. Być może powinniśmy naradzić się nad wszystkim w miejscu, w którym będziemy mogli spokojnie przemyśleć obecną sytuację, zostawiwszy troskę o zdrowie drogich nam osób w dłoniach lekarzy. Panowie, chodźmy

— się naradzić. Musimy rozważyć, co czynić.

Narada owa odbyła się w głównej hali twierdzy, do której dotarliśmy przechodząc tuzinem korytarzy i przecinając rozległy kamienny most rozpięty nad ogrodem, w którym sir Robert hodował egzotyczne rośliny, zbyt wonne, jak na mój gust. Potem minęliśmy znane mi już korytarze z posągami di Caelów i galerię mechanicznych kukulek, aż wreszcie po zejściu schodami dotarliśmy do sali

biesiadnej.

Tam właśnie rozprawialiśmy zastanawiając się, dokąd Skorpion mógłby uprowadzić Enid. Staliśmy pośród stołów, które zaledwie kilka nocy temu rozbłyskiwały blaskiem świec i polerowanych zbroi, i wydawało się, że podczas tej dyskusji nie pominęliśmy żadnego miejsca na powierzchni Krynny. Żadna z propozycji nie wydawała mi się sensowna i odkryłem, iż niełatwo mi skupić uwagę na tym, co mówią rycerze.

Cały ten czas bowiem chodziło mi po głowie coś, czego nie mogłem sobie wyraźnie przypomnieć, a co poprzedniej nocy powiedział w mojej komnacie ów kruk...

Sir Ledyard proponował, abyśmy poszukali Skorpiona i jego branki gdzieś nad morzem Sirrion na południowym wschodzie. Nikt jednak na brał tego poważnie — wszyscy wiedzieli, że jego myśli nieodmiennie zbaczą ku morzu... zresztą Sirrion było zbyt odległe.

Sir Robert skłaniał się ku myśli, iż powinniśmy przeszukać Estwilde, ponieważ tam właśnie kopie się opale, które widział w mojej sakwie. Po wygłoszeniu swej opinii rozsiadł się z miną świadczącą, że uważa sprawę za rozstrzygniętą.

Sir Ramiro nie był skłonny zgodzić się z tą konkluzją, ponieważ uważał, iż ktoś tak przebiegły jak Skorpion nie zdradziłby się tak łatwo. Zaproponował więc, byśmy pierwaj przeszukali Góry Granatowe, leżące na południe od zamku — było tam zimno i wysoko, co wedle sir Ramira oznaczało, że jest to najlepsze miejsce na kryjówkę dla Skorpiona. Za czym dwaj oponenti zaczęli się ostro spierać, od wymiany argumentów przeszli do wymiany kąśliwych uwag i najpewniej zakończyłoby się to wymianą razów, gdyby nie wtrącił się sir Bayard.

Mój mistrz opowiedział się za przeszukaniem gór Vin-gaard. Czuł, iż moc Skorpiona — jak to określił — jest tam największa, a czyż nie powiadano, że moc magii rośnie, gdy jej poszukiwacz zbliża się do źródła?

Żaden z obecnych rycerzy nie był ekspertem w sprawie magii. Wszyscy spojrzeli na Brithelma, lecz ten uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami. — Panowie, nie wiem niemal niczego o magii, którą uprawia Skorpion

— rzekł przepraszająco. — Wiecie przecież, że ruchome chmury i gadające ptaki nie są moją domeną.

— Cóż więc mamy czynić? — spytał z pewną irytacją sir Ramiro. — Rozproszyc się i przeszukiwać cały kontynent? Zajmie to całe lata.

— A ten Skorpion, czy jak go tam zwa, nie wydaje mi się najcierpliwszym z ludzi — dodał sir Ledyard, wypełniając wielką salę swym wschodnim akcentem.

Gdyby sprawy dalej biegły tym torem, nigdy byśmy nie wpadli na właściwą odpowiedź. Rycerze siedzieliby tak i dyskutowali całymi godzinami, a ja usiłowałbym sobie przypomnieć, co też wymknęło się Skorpionowi poprzedniej nocy, zanim do mojej komnaty wszedł Brithelm.

Ledwie jednak przebrzmiały słowa sir Ledyarda, gdzieś nad nami rozległ się dźwięk dartego sukna i jakiś wrzask. Rycerze porwali się na nogi i chwycili za miecze, ja zaś — pewien, iż to właśnie Skorpion wrócił po mnie — dałem nura pod stół, jak chart w wielkiej sali zamku mojego ojca.

Okazało się, że z balkonu nad salą biesiadną zwisa rozpaczliwie trzymający się kotary Alfric, który wołając o pomoc, kłął jednocześnie w żywy kamień swe tłustawe, zdradzieckie, Pathwardenowskie nogi.

Najwidoczniej nie ja jeden odkryłem, że owa kryjówka świetnie nadaje się do podsłuchiwania sali biesiadnej. Alfric, który — jak się okazało — zaczął się tam, pragnąc poznać nasze plany, pochylił się nieco do przodu, chcąc lepiej usłyszeć, o czym mówiono, i stanął na czymś, o czym

sądził, że jest występem balkonu, kładką sięgającą poza rzeźbioną balustradę. Niestety, uległ złudzeniu i dał krok w próżnię, ponieważ nawet kot nie zdołałby się wesprzeć na tym, na czym oparł stopę mój prostolinijny braciszek.

Wisiał tedy na kotarze, którą zdążył złapać, lecąc w dół, a pod nim stało kilku prześwietnych rycerzy, wcale nie przejmujących się jego rykami o pomoc, oraz brat, który szeptał: „Paladine, wielki Paladine, błagam, skręć mu kark”. Nie była to pozycja godna pozazdroszczenia. Gdy wreszcie kotara poddała się i powoli zaczęła opuszczać mego brata na posadzkę, było widać, że Alfric łypie oczyma na wszystkie strony, szukając wyjścia, przez które mógłby wymknąć się cichaczem.

Zanim jednak jego aż świerzbujące z chęci ucieczki stopy zdołały dotknąć ziemi i zanim Bayard zdążył się wtrącić, sir Robert złapał Alfrica za ramię i rzucił go — jak snop siana — na stół przed nami. — Podczas ostatnich paru dni udało mi się zebrać piękny zestaw gości! — zagrział stary rycerz. — Jeden porywa mi córkę, drugi zaś szpieguje — mnie z mojego własnego balkonu! Zanim ponownie ofiaruję komuś gościnę, zaufam wcześniej chyba staremu Benedyktowi!

Alfric zbierał się jakoś pośród porozbijanych talerzy. Pomiedzy sir Roberta a mojego brata wszedł sir Bayard, podczas gdy Alfric wybuchnął oskarżycielsko, wskazując na mnie paluchem.

— I znów zebrali się tu wszyscy waleczni i dzielni mężowie, ale oczywiście starego Alfrica nie zaproszono. Namó-wiżesz ich, Łasico, aby mnie pominęli w zaproszeniu, tak żebym nie miał szansy uratowania Enid i zdobycia jej ręki! — Chłopcze, na miłość Humy! — sapnął sir Robert.

— Oszczędź nam na chwilę skarbów twej wymowy! Oczywiście tylko Alfric mógł wpaść na pomysł, że winien jestem zebrania rycerzy na naradę, której jedynym celem jest pozbawienie go możliwości wzięcia udziału w jakiegokolwiek przygodzie. Przypomniałem sobie jego idiotyczną wersję przeszłości i naszego dzieciństwa w zameczku nad fosą — w której on był łagodnym, starszym bratem (za jakiego, oczywiście, się uważał), nieustannie cierpiącym z powodu podłości młodszego rodzeństwa. Niewiarygodne, jak fałszywie ktoś może odczytywać przeszłość. Jeden z proporców pod sklepieniem zatrzepotał poruszony wiatrem. Zza otwartego teraz balkonu ozwała się samotna metalowa kukółka. „Fałszywie odczytywać przeszłość”.

Odnalazłem mroczne wspomnienie i poczułem na policzku muśnięcie kruczego skrzydła. Przypomniałem sobie nikłą woń zgnilizny. Przez chwilę wydało mi się, że cała sala wiruje wokół mnie. Potem wszystko trafiło na swe miejsce. Światła pojaśniały i barwy załśniły zwykłą świetnością. Przypomniałem sobie. — Bayardzie, szybko! Jak brzmiała ta twoja przepowiednia?

— Nie ma czasu na mistycyzm! — zagrział sir Robert. — Na rogi Kiri-Jolitha, pierwej się powieszę, niżli pozwolę jeszcze jakiemuś Pathwardenowi przekroczyć próg mojej twierdzy! — Sir Ramiro chwycił starego druha za ramię i z niemałym trudem odciągnął go ode mnie. — Bayardzie, proszę! Pewien jestem, że to ważne!

Po krótkiej chwili milczenia, podczas której wielka, oświetlona blaskiem pochodni komnata jakby rozrosła się wzdłuż i wszerz, Bayard przemówił:

— Proroctwo, które odnalazłem w młodości, gdy badałem księgozbiór w Palanthas, brzmi, jak następuje: Od setek lat okrutna klątwa ciąży na rodzie di Caelów. I będzie tak, aż piękna panna przejmie dziedzictwo na kasztelu. Gdy sprawy pójdą mrocznym szlakiem, błysk Jasnej Klingi obok panny i martwi, co powstaną z traw, zniweczą klątwę nieustanną.

Przerwał w tym miejscu, poczuł bowiem pewne zażenowanie. Spoglądaliśmy jedni na drugich, stojąc po obu stronach długiego stołu. Gdzieś w głębi twierdzy ponownie rozdarła się mechaniczna kukółka, potem znów zapadła cisza. Na twarzach rycerzy pojawił się dziwny wyraz, będący mieszaniną niedowierzania i zaskoczenia. Po czym oczywiście spojrzeli na mnie, jakbym był bezstronnym obserwatorem i kimś, kto potrafi odróżnić proroctwo prawdziwe od fałszywego.

— Panowie, mówię poważnie. Pewien jestem, że rozwiązanie naszej zagadki kryje się w słowach tej przepowiedni.

— Galenie, posłuchaj więc jej raz jeszcze — zaczął nalegać Bayard. — Być może jest w niej coś, czego wcześniej nie dosłyszałem. Coś tak oczywistego, że potrzeba dziecka, aby to spostrzec.

Nieszczególnie mi tym pochlebił, mimo to wysłuchałem go ponownie i znowu przez mój umysł przepłynęły wytarte stare wiersze i kiepskie rymy. Siedziałem w wielgachnym fotelu sir Roberta, dyndałem nogami nad ziemią i skrycie zabawiałem się trzymanymi w kieszeni kośćmi.

Rycerze spokojnie odczekali, aż Bayard skończy recytację, potem spojrzeli na mnie. Skuliłem się i niemal wtopiłem w oparcie fotela.

— Chłopcze, na miłość Humy! — zaczął sir Robert drżącym ze zdenerwowania głosem. — Twój mistrz nie przybył tu na turniej poetycki! Usiłujemy uwolnić moją córkę, szukamy śladów i wskazówek i nie zebraliśmy się po to, aby wysłuchiwać kiepskich rymowanek!

— Jeśli łaska, panie... właśnie podniosłem się z łoża, z ataku niemal śmiertelnej gorączki... — zacząłem, przerwał mi jednak Bayard.

— Przepraszam, sir Robercie, ale nie sądzę, by chłopak zabawiał się teraz naszym kosztem. Odwrócił się ku mnie i powiedział uprzejmie, łagodnie, lecz stanowczo. — Dalej, Galenie...

— Chodzi o to, co powiedział Skorpion. Albo może o to, czego nie powiedział. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek mówił coś o tym, że proroctwo jest fałszywe... dał do zrozumienia, że je źle odczytałeś, Bayardzie. W rzeczy samej, teraz, gdy o tym myślę, uważam... nie, jestem pewien, iż można je odczytać na kilka sposobów! Problem więc nie w tym, jak ty je odczytywałeś, ale w tym, jak odczytał je Skorpion.

Zawsze zastanawiałem się, czy przyda mi się kiedykolwiek coś z tego, czego uczył mnie Gileandos. Nabierając tchu w płuca i wstając z fotela,

ruszyłem krętymi ścieżkami wyobraźni, krocząc tam i z powrotem przed zebranymi rycerzami.

— Widzicie, wszystko sprowadza się do tego, co mi powiedział o Jasnej Klindze własnego pomysłu. Najwidoczniej nie sądzi, aby ten fragment proroctwa dotyczył Bayarda, i uważa, że chodzi tu o jakąś realną głównię. Odwróciłem się ku sir Robertowi.

— Jak już mówiłem, panie, powiedział to, zanim zaczął odgrażać się, że zabije twoją córkę. — Cóż z tego?

— To, że on również usiłuje zniweczyć klątwę. Posłuchaj, panie — nie uważam, aby przepadał za wstawaniem z grobu z każdym pokoleniem i dręczeniem waszego rodu. Myślę jednak, iż nie ma innego wyjścia.

— Nie pojmuję — mruknął sir Robert, podchodząc do jednego z krzeseł i siadając na nim. — My go nie zapraszamy. W końcu jest naszym przekleństwem.

— A wy jesteście jego przekleństwem — zawołał Brit-helm i z wyrazu twarzy braciszka odgadłem, że wie już, ku czemu zmierzałem.— W końcu obaj Gabrielowie nie potraktowali go z nadmierną uczciwością czy łaskawością! Jeden pozbawił go dziedzictwa, drugi zaś — nieważne, co mówią o tym sami di Caelowie — pokonał go na przełęczy Throtyl, potem ścigał szlakiem Chaktamir i zabił gdzieś w górach. Sir Robert kiwnął głową.

— Niechże i tak będzie. Pathwardenowie, macie obaj rację... czterysta lat temu nasza rodzina popełniła... błąd. Rzeczywiście, uczynki obu Gabrielów są wstydliwą sprawą, lecz nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy wyciągać trupa ze starej szafy.

— Bo ten trup sam z niej wyłazi, raz na pokolenie od czterystu lat, Robercie! — zachichotał basem sir Ramiro.

— Dobrze już, dobrze! Ale co to ma wspólnego z proroctwem, do stu katów! — wściekał się sir

Robert.

— Di Caelowie są przekleństwem Benedykta... i dręczą go w tej samej mierze, w jakiej on dręczy ich — odparł Brithelm. — On zaś myśli, że to, co robi, uwolni go od tej klątwy i zniszczy rodzinę, która go skrzywdziła.

Sir Robert opadł ku oparciu fotela i zamyślił się głęboko. Gdzieś na parterze odezwała się kolejna kukułka. Na dworze zagrzmiało i poczułem bliskość wzbierającej w powietrzu ulewy.

— Czyżby ów Skorpion miał rację? — spytał sir Robert jakby sam siebie, zakładając splecione dłonie za głowę i patrząc w górę na balkon. —

— Czyżbyśmy to my, nie on, byli źródłem klątwy? — Aby się tego dowiedzieć, trzeba będzie udać się szlakiem Chaktamir

— odpowiedziałem. — Chaktamir? — Panie, zechciej sobie przypomnieć proroctwa — podpowiedziałem. — „Gdy sprawy pójdą podłym szlakiem...”

Sir Robert machinalnie kiwnął głową, wciąż przeżuwać w myślach odwróconą klątwę i zapowiedź końca di Caelów. Otrząsnął się jednak z tych rozmyślań, wstał, wyprostował na całą swą patrycjuszowską wysokość i zaczął krążyć po komnacie.

— Nie mogę sobie wyobrazić, aby sprawy szły gorzej niż teraz — mruknął.

— Ależ sir Robercie, proroctwo niekoniecznie musi oznaczać, że sprawy przybiorą najgorszy obrót. Może ten, co je układał, miał na myśli konkretny szlak czy przejście przez góry.

Sir Robert zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powiedziałem. Gdzieś daleko ponownie zagrzmiało.

— Być może masz rację. Ale skąd wiesz, że chodzi tu o przełęcz Chaktamir? Równie dobrze może to być jakaś przełęcz w Górach Granitowych lub Jar Throtyl.

— Nie wiem, panie. Mam tylko takie przeczucie. Ale wszystko na to wskazuje, prawda? Zaczniemy od tego, iż szlak przez przełęcz Chaktamir jest istotnie mroczny, ciemny i posępny, ludzie rzadko tamtędy podróżują od czasu bitwy Enryka z napastnikami z Neraki. Ten szlak splamiła krew Solamniczyców i ludzi z Neraki. Rozlano tam i krew Benedykta. W końcu tam właśnie dopadł go Gabriel Młodszy. I wreszcie przełęcz Chaktamir kryje mrok, w jaki spowiła ją wasza historia. Jeśli opowiada się i rozpowszechnia wieści, że Benedykt zginął w Jarze Throtyl, ludzie łatwiej uwierzą, iż zginął w bitwie, niż że przepadł ścigany przez nie wiadomo czy mających za sobą prawo di Caelów.

Wszystko wskazuje na przełęcz Chaktamir. Wierzę też, że tam właśnie znajdziemy Skorpiona. I waszą córkę.

Rozejrzałem się wokół siebie. Brithelm, który rozsiadł się wygodnie w wysokim fotelu, umieściwszy nogi na stole, uśmiechał się do mnie z satysfakcją. Sir Ramiro oraz sir Le-dyard stali obok sir Roberta i kiwali głowami, najwidoczniej zgadzając się z tym, co powiedziałem. Bayard po prostu patrzył na mnie, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Alfric miał w dłoniach obrus leżący na najbliższym stole i jak zwykle nie myślał o niczym. Sir Robert złożył ramiona na piersiach i przyglądał mi się ze

szczególnym wyrazem twarzy. — Galenie, a co powiesz o „martwych, co powstaną z traw”?

— Panie, muszę przyznać, że nie wiem, co o tym myśleć. Być może później coś się wyjaśni. Najgorsze ze wszystkiego jest to, iż nie wiem, kogo dotyczy owo proroctwo — sir Bayarda czy Skorpiona — ale tak czy owak pewien jestem, że wszystko rozstrzygnie się na szlaku Chaktamir.

Bayard uśmiechnął się skąpo i splótł palce. Przypomniałem sobie, że gest ten widziałem już u niego w zameczku nad fosą, rankiem, który wydawał mi się teraz odległy o tysiąc lat.

Potem mój rycerz uśmiechnął się szerzej. Wstał i ujął w dłonie rękojeść miecza. — Ruszamy

więc na Chaktamir.

— I tak podjęliśmy najbardziej szaloną decyzję, o jakiej zdarzyło mi się słyszeć — stwierdził sir Robert, rozsiadając się wygodnie w tym samym fotelu, na który opadł godzinę wcześniej. Świece już przygasły, cienie zaś, które ciągnęły się od oparcí foteli ku ścianom, wydłużyły się i wyglądały jeszcze bardziej ponuro niż przedtem.

— Najbardziej szalona decyzja — powtórzył. — Wyruszamy oto na wyprawę, kierując się wskazówkami siedemnastoletniego gołowaśa o podejrzanej uczciwości, który sam przyznaje, iż los swój powierzał nieraz czerwonym kościom z Estwilde, choć nigdy w pełni nie pojmował znaczenia wróżby. Podążamy za cieniem, który zwidział się temu chłopcu, on sam przyznaje, że ów cień skierował się na wschód, ale nie ma pojęcia, jak daleko w tym kierunku się udał ani nawet czy nie zmienił kierunku, gdy zniknął mu z oczu. Kierujemy się też przepowiednią, o której nie wiemy, czy odczytujemy ją właściwie. Odwrócił się ku mnie i stwierdził dość bezceremonialnie:

— Chłopcze, nie cieszysz się sławą prawdomówcy. Bayard westchnął i spojrział z desperacją na migocące świece.

— Sir Robercie — odezwał się nieco szorstko — wszystko, co mówicie, jest prawdą... ale prawdą jest i to, że waszą córkę porwano, a ów chłopiec przedstawił nam jedyną sensowną hipotezę, wedle której możemy ją odnaleźć.

Stary rycerz skinął tylko głową i w końcu odwrócił ode mnie swe przenikliwe spojrzenie, choć coś mi mówiło, iż najchętniej odesłałby mnie na Przymorze... w worku albo pocztą. Wyjąłem z kieszeni kurtki kości Calantiny i uniosłem ją na dłoni. Dziewięć i... Światło było dość kiepskie, w dodatku sir Robert odezwał się

ponownie. Spojrzałem na niego i nie zdążyłem odczytać wyniku wróżby. Dziewięć i coś tam... Jakiś wysoki numer. Znak Łasicy? Szczura? A może coś całkowicie niespodzianego?

— Jeśli mam znaleźć moją córkę, wydaje się, że nie dano mi innego wyboru, jak oprzeć się na tym, co mówi ów... miłośnik przepowiedni.

Spojrział na nas, stojących przed nim, potem potrząsnął głową, jakby dziwił się samemu sobie, następnie poczerwieniał i wstał ciężko. Jego cień spowił w mrok cały południowy kraniec sali, w którym świece zdążyły wypalić się wcześniej.

Sir Robert uniosł swój miecz w starym solannijskim salucie, okazywanym wrogowi, i zagrzmiał tak, że jego głos zbudził echa pod sklepieniem sali.

— Zbierzcie rycerzy, którzy bawią jeszcze w zamku di Caela. Zbierzcie gości, co zostali w obozowisku, i dźwiękiem surm zwołajcie tych, co nie odjechali zbyt daleko. Tej nocy ruszamy na Chaktamir. I biada Skorpionowi, gdy go tam znajdziemy!

Podczas gdy rycerze dobierali sobie oręż w zbrojowniach, ja przygotowywałem się do opuszczenia zamku di Caela. Szanse na ucieczkę zmalały niemal do zera. Co nie oznacza, że miałem specjalną na to ochotę.

Siedząc samotnie w mojej komnacie, w której zamknąłem się, aby „pomedytować” przed wyruszeniem w drogę, usiłowałem przypomnieć sobie układ kości Calantiny — ten, który wyrzuciłem w mrocznej sali zaledwie godzinę temu. Przyklękawszy niczym pechowy koster, turlałem je wielokrotnie, usiłując uzyskać ten sam wynik, ale — jak to bywa z kośćmi i historią — przeminał z wiatrem. Rzucąłem na próżno, uzyskując Znaki Żmii, Centaura, Jastrzębia, Mangusty, Wyverna — lecz pomiędzy nimi nie pojawiła się nawet choćby jedna dziewiątka. Za każdym rzutem wynik był inny. Jak to zazwyczaj bywa z prorocत्वami.

Zebrałem więc swoje rzeczy, pamiętając o najlepszej kurtce i moich świetnych rękawicach, które podczas podróży od Przymorza trzymałem w ukryciu. Podziwiając swój wygląd — przyczesałem

bowiem i wygładziłem mokrymi palcami mą rudą czuprynę — odczekałem, aż woda w misce się uspokoi, a potem spojrzałem na swe odbicie. Doskonale. Nigdy nie wiadomo, komu możesz wpaść w oko.

Przygotowany, podziwiany i nawet, można by rzec — jeśli wziąć pod uwagę świetne rękawice — olśniewający swym wyglądem, pobiegłem z mojej komnaty na dziedziniec zamku, gdzie kilkunastu służących siodłało

konie, zносиło zapasy żywności i przygotowywało wszystko do podróży na wschód.

Współ z nimi zająłem się ostatecznymi przygotowaniem, siodłając Walecznego, czarną klacz sir Roberta, Estrellę, a także konie dla pozostałych rycerzy i moich braci. Z okolicznych farm sprowadzono również trzy muły, które jeszcze w nocy objuczono zapasami, dodatkową odzieżą i sprzętem obozowym. Obładowane i uwiązane do słupków, wyglądały na najbardziej ponure i posępne ze zwierząt, jakie zdarzyło mi się dotąd ujrzeć w tej podróży.

Juczna klacz również miała pójść z nami i teraz zapierała się i wierzgała, usiłując trafić stajennego, który w końcu — ku mojej satysfakcji — stracił cierpliwość, odwrócił się i tak jej przyłożył w pysk, że pod kobyłą ugięły się kolana i uspokoiła się natychmiast, stojąc cichutko podczas nakładania juków i dopinania popręgów.

Tak jest, dobrze odgadliście, znów miałem pojechać na jej grzbiecie. Bayard wierzył, że to bydlę zdoła utrzymać mnie w siodle niezależnie od stromizny terenu i mej własnej nieudolności.

Jeśli biedne zwierzę protestowało przeciwko dodatkowemu ciężarowi w postaci mojej osoby, zastanawiałem się, czy nie poczuło się lżej, gdy mijaliśmy bramy zamku. Sam bowiem poczułem się znacznie lżejszy, gdy obejrzałem się, aby spojrzeć w półświatle poranka na niknącą w gęstym deszczu twierdzę. Przysiągłbym, że w szarawym brzasku ujrzałem światło w oknie lady Enid.

I przysiągłbym, że stoi tam Danelle di Caela, wdzięcznie opierająca swą smukłą rączkę o okno. Podniosła ją następnie i pomachała mi na pożegnanie. Moje uszy zapłonęły. Odruchowo przesunąłem dłonią po włosach. Ale te były jeszcze wilgotne i sklezione niczym futro wyciągniętego z wody zwierzaka. Podniosłem więc kaptur udając, że nie zauważyłem panny, i spojrzałem ku wschodowi.

W ostatniej chwili, gdy zamykano za nami bramę, obejrzałem się, usiłując przybrać wygląd bohaterski i romantyczny — o ile coś takiego da się zrobić, jeśli jedzie się wierzchem na jucznej klaczy. Droga jednak skręcała dość ostro, poranny mrok i coraz gęstszy deszcz szybko zatarły widok i Danelle zniknęła mi z oczu.

Rozdział siedemnasty

DROGĘ NA POŁUDNIE zapamiętałem głównie dzięki smagającemu nas nieustannie deszczowi. Woda lała się z resztek pozostałych na drzewach brązowych i rudych liści, otaczający nas kraj był szary, ponury i opustoszały. Wszystko mówiło tu o szybko zbliżającej się zimie.

Jechało nas dwudziestu, wśród których jedynie sześciu było rycerzami. Sir Robert mógłby zabrać swą gwardię przyboczną, lecz — jako człek praktyczny — był przeciwny zostawianiu za sobą nieobsadzonego zamku. Mógłby zabrać choć część załogi, ale tkwiący w nim solamiński rycerz wzdragał się przeciwko — jak to określił — „posyłaniu armii, aby wykonała robotę za rycerstwo”. Tak więc drużyna została w zamku.

Choć mogłoby się zdawać, że nadeszła pora na armie, katapulty, balisty i inne narzędzia wojny — wszystko, co mogłoby prawdziwie zająć Skorpiona — leżące przed nami zadanie miało spocząć na barkach zaledwie dwudziestu ludzi.

Na czele grupy jechał Bayard, dosiadający Walecznego. Koniec szyku zamykał sir Robert na Estrelli — podejrzewałem, że zajął tę pozycję, aby zapobiec próbom ucieczki przedstawicieli rodu Pathwardenów. Ja jechałem pośrodku, ściśnięty z obu stron jak plaster mięsa w kanapce i ku mojemu

niezadowoleniu musiałem znosić prysznic porannej mżawki.

Zły humor Alfrica okazał się zaraźliwy. Najstarszy z Pathwardenów zawinął się w niebieską obszerną opończę, spod której jego gęba wyglądała jak zmięty łach przeznaczony do prania. Nawet jego koń, który od samego początku nie wyglądał wcale na wcielenie entuzjazmu, włókł się teraz z ponuro opuszczonym łbem.

Alfric bowiem czuł się oszukany i dał temu wyraz, gdy wyjeżdżaliśmy z bram zamku di Caela.

— Dlaczegoż to — spytał głośno — każdy jest przeświadczony, iż uratowana przez nas Enid zechce poślubić Bayarda? Wydaje mi się, że przesądziłeś o tym nieco za wcześnie.

Jeśli ponury humor Alfrica był zaraźliwy, Brithelm był nań uodporniony, jego myśli krążyły gdzieś daleko i siedział beztrosko, nie kryjąc twarzy pod kapturem, mimo iż deszcz nie żałował mu swych zniechęcających wysiłków. Zagubiony w swych myślach nie raczył nawet tego zauważyć. Zostawił konia jego własnej przemyślności, co rumak wykorzystał, idąc za moją klaczą.

Podróżowaliśmy tak bez wytchnienia aż do południa. Wydaje mi się, iż jest to charakterystyczne dla Solamnijczyków — podróżują oni dalej i szybciej, jeśli warunki podróży są tak kiepskie, że zaczynasz niemal oczekiwać jakiejś zasadzki lub ataku potwora, jako miłego urozmaicenia nudy na szlaku. Pogorszało sprawy i to, iż żaden z moich braci nie raczył otworzyć gęby — ani do mnie, ani do siebie nawzajem. Brithelm, utkwivszy wzrok na wschodzie, rozmyślał o swoich sprawach, Alfric zaś jechał przede mną, pogrążony w ponurym milczeniu, i niewątpliwie rozmyślał, jakie miałem na niego haczyki i co powiedziałem rycerzom.

Poddałem się więc monotonii i drzemce, budząc się niekiedy, gdy klacz ślizgała się w błocie albo potykała na występie gruntu. Od czasu do czasu budził mnie odgłos odległego grzmotu lub niespodziewany atak ulewy, który lądował na mej twarzy.

Raz jeden ocknąłem się z drzemki dzięki Bayardowi, gdy ten wstrzymał konia, przepuszczając obok siebie niemal całą grupę. Gdy przejeżdżałem obok, trącił Walecznego ostrogą i ofiarował mi wełnianą chustkę do nosa.

— Jeszcze nie pozbyłeś się tej zarazy, która dopadła cię w zamku di Caela. Twoje pociąganie nosem słyszę na czele kolumny. — Sir Bayardzie, i któż by to pomyślał, co? — Nie rozumiem?

— Przez cały czas drwiłeś, panie, z kości, które wożę ze sobą. Teraz zaś wszyscy podążamy zbrojnie, w dokuczliwym deszczu, kierując się wskazówkami przepowiedni tak samo mglistej i mętnej jak wróżby Calantiny. Możesz mi powiedzieć, panie, co stanowi różnicę? — Jak na sceptyka, wyjaśniłeś przepowiednię dość jasno. — Panie, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jaką widzisz różnicę? —

Bayard uśmiechnął się i poruszeniem lejc ponaglił Walecznego, aby zajął swe miejsce na czele kolumny. Rosły rumak prychnął i żwawo skoczył ku przodowi, a ja usłyszałem odpowiedź, rzuconą mi przez ramię. — Może nie widzę żadnej...

W południe następnego dnia dotarliśmy do wezbranej wschodniej odnogi rzeki Vingaard. Nadeszła pora na czyny, nie zaś na jałowe rozważania. Gdy spojrzałem na szare fale, przekonałem się, że Vingaard wylała na obu brzegach. Przekraczanie rzeki wplaw mogło okazać się wielce niebezpieczne.

— Panowie, zbliża się czas powodzi — oznajmił sir Ramiro, którego tubalny głos przemógł szum wezbranych wód. — Jesienią zawsze rzeki tu wylewają i pora nam nie sprzyja. Spojrzał ponuro na Bayarda spod ociekających wodą brwi. — Może zresztą nie sprzyja nam i miejsce.

Wskazywały na to i inne złowrogie oznaki, które mnożyły się, w miarę jak siekł coraz gęstszy deszcz, niebo za-snuwało się coraz ciemniejszymi chmurami, a woda w rzece podnosiła się wciąż wyżej. Gdyśmy tak czekali na brzegach Vingaard, wydawało się, że wszystko przysięgło się

przeciwno nam — przebiegły wróg, nadciągająca noc i coraz gorsza pogoda — tak jakby cały świat opowiedział się przeciwko naszej wyprawie.

Siedziałem na grzbiecie swojej klaczy i zachowywałem spokój. Sprawy nie wyglądały jeszcze najgorzej. Moglibyśmy na przykład tkwić gdzieś pośrodku rzeki.

— Więc jak, młodzieńcze, przepławiamy się? — rozległ się obok mnie dźwięczny głos i ze zdziwieniem odkryłem, że sir Robert zatrzymał się nie opodal. Wkrótce usłyszałem odgłosy kopyt innych koni i dołączyli do nas sir Ledyard i Brithelm.

— I cóż powiesz, Galenie? — nalegał sir Robert, owijając się ciaśniej opończą.

— Galenie? — dołączył do chóru Bayard, pochylając się ku przodowi i poklepując Walecznego po karku, podczas gdy rosły rumak wpychał się pomiędzy klacz sir Ledyarda, Balenę i drobniejszą Estrellę sir Roberta.

— Nie wiem... — wystękałem, kryjąc twarz w cieniu kaptura. Pochyliłem się i zgarbiłem, usiłując upodobnić do nic nie znaczącej kupki bagażu na końskim grzbiecie.

— Mówże głośniej, chłopcze! Słuchają cię stare pryki... a i szum deszczu robi swoje!

— Nie sądzę... nie, naprawdę nie sądzę, aby moja klacz dała sobie tu radę. Sir Robercie, trzeba wam było ją widzieć na górskich ścieżkach czy

— na bagnach. Znacznie lepiej się czuje na płaskim i otwartym terenie.

— Wydaje się, że wszyscy jesteśmy nieco podenerwowani tym, że utknęliśmy w martwym punkcie — zauważył sir Ramiro, zbliżając się do nas na swoim pleczystym, potulnym wierzchowcu. Szara, wełniana opończa rycerza ociekała wodą i południowiec wyglądał jak góra, po której spływają wartkie strumienie. — Rób, co trzeba — zwrócił się do mnie, uśmiechając się z przekorą.

— Mnie zaś zostaw... dodanie wigoru twej klaczy.

Bayard bez słowa wskazał dłonią brzeg rzeki, prawie całkowicie zalany wodą. Sir Robert kiwnął głową i pogalopował powiadomić o decyzji resztę towarzystwa.

Potrafiłbym godzinami zastanawiać się, jak postąpić, aż byłbym zupełnie zgłupiał, do czego jak zauważył kiedyś Gileandos — miałem spore skłonności. Teraz jednak nie mieliśmy na to czasu. Moi towarzysze zaczęli wiązać ze sobą uprząże mułów i juczej klaczy. Rycerze owijali się też opończami, tak aby w czasie przeprawy nie plątały się wokół nóg.

Sir Ramiro nagle zdzielił mą kobyłkę po zadzie. Zwierzę kwiknęło krótko i skoczyło do przodu. Zaczęliśmy przeprawę przez Vingaard.

Poczułem, jak wokół mych kostek zamyka się lodowaty chwyt rzeki. Podciągnąłem nogi, wyjmując je ze strzemion, rozmyśliłem się, po czym zdałem na przemyślność i rozsądek mej kobyłki. A ta parsknęła i dzielnie stawiała czoło prądowi. Na prawo od nas, giermków, pokonywał nurt koń Brithelma, nieco dalej przedzierał się przez fale sir Robert na Estrelli. Następny był Alfric, dwaj pozostali rycerze, potem Ledyard, Ramiro i oczywiście Bayard, zwawy i bezpieczny na grzbiecie Walecznego.

Alfric, który na każdym niemal zakręcie drogi rzucał wyzwanie autorytetowi Bayarda, teraz niezwykle wprost pokornie i chętnie zostawił mojemu mistrzowi najbardziej oddaloną z nurtem rzeki pozycję. Jadący tuż obok mnie z prawej chłopak, jasnowłosa i nieustannie otwierająca gębę paskuda z Caergoth, nienawistnie wyszczerzył ku mnie zęby. — Co, nie możesz utrzymać jej w szyku? — zadrwił nosowym głosem. — A może to jeźdźca trzeba przenosić przez wodę? — Zamknij paszczę, bo w te twoje zębiska zapłacze się jakieś zielsko! — odciąłem się i klepnąłem klacz po zadzie. Kobyłka weszła dalej w wodę, zachwiała się lekko, gdy grunt uciekł jej spod kopyt, i zaczęła płynąć.

Ścisnąłem jej boki kolanami. Uczepiłem się też grzywy klaczy tak kurczowo, że początkowo parsknęła i potrząsnęła głową, potem nieco rozluźniłem uścisk, nie za bardzo jednak, pamiętałem

bowiem, że prąd jest

tu silny i może powlec ciało topielca aż do twierdzy Thelgaard. Pośrodku nurtu rzeka była zdradliwa, zdolna wciągnąć pływaka pod wodę. Gdy z kobyłką dotarliśmy do tego miejsca przeprawy, objęła nas mocniej i bardziej natarczywie.

Jeden z mułów zarżał z tyłu i przez strugi deszczu ujrzałem, że brzemię z jego grzbietu zsuwa się w nurt rzeki. Zębaty sięgnął po nie, ale bezskutecznie. — Tracę uchwyt! — wrzasnął i runął do wody.

— Brithelm! — zawołałem, gdy chłopak, szamocząc się jak szalony, przepływał obok mojego brata.

Mój okrzyk zabrzmiał mizernie, tchórzliwie i dość słabo, zwłaszcza na tle ryku wód. Wstyd mi było krzyczeć, ale ktoś musiał wyłowić tego idiotę z wody. Potem runęła na nas kolejna fala, która zmyła mnie z grzbietu klaczy.

Prawa noga ugrzęzła mi w strzemieniu, zawisłem więc na niej ciskany prądem we wszystkie strony. Kostka jednak jakoś trzymała, strzemię również, głowę zaś miałem nad powierzchnią, choć kaszlałem i okropnie się krztusiłem połykaną wodą. Jak szalony wymachiwałem ramionami, przypominając sobie widzianych kiedyś pływaków i licząc, że w jakiś sposób uda mi się zapanować nad prądem, który włókł mnie gdzieś na południe, prosto w ramiona śmierci. Kilka razy zanurzyłem się z głową i błyskawicznie przypominałem sobie opowieści, wedle których za trzecim razem idzie się na dno. Ile to razy? Sześć? Pochłoneła mnie kolejna fala. Siedem?

Przez szklistą taflę wody ujrzałem nad sobą ogromną łapę, powiększoną i jakby wiszącą w powietrzu. Bardzo chciałem ją uścisnąć. Na moment wynurzyłem się nad powierzchnię, w samą porę, aby usłyszeć okrzyk sir Ledyarda. — Łap, chłopcze, łap!

Potem wokół mnie znów zamknęły się ciemnozielone fale i poczułem, że gdzieś odpływam... porwany przez prąd.

Owo uczucie pływania nie było wcale nieprzyjemne. Przez chwilę czułem się tak, jakbym wyłaniał się ku jawie z głębin niezwykle przyjemnego snu... lub jakbym ponownie się weń zanurzał. Nie potrafiłem się tylko zorientować, jak było w istocie, ale wkrótce przestało mnie to interesować. Czy to właśnie widzi ryba, która patrzy w górę?

Światło, zieleń i złoto, w miejscu, gdzie przez powierzchnię wód przenikają promienie słońca? Czy nie takie są wizje topielców, zanim ukoją ich objęcia wodorostów?

Nic mnie to nie obchodziło, a cieszyły po prostu ruch i światło, gotów też byłem zapomnieć o wszystkich: o Enid, Danelle, moich braciach i o... Bayardzie.

Który złapał mnie za włosy i wyciągnął z wody, przenosząc w miejsce zimne i przeraźliwie jasne, gdzie poczułem ogarniające mnie mdłości. Potem przełożył moje bezwładne ciało przez siodło i zaczął walić w plecy, wyciskając ze mnie bez mała połowę rzeki.

Znalazłszy się nad wodą, w krainie surowego powietrza i obowiązków, o których musiałem myśleć aż nazbyt często, zapomniałem o nurcie i niebezpiecznych rzecznych marzeniach. Bayard łagodnie zszadził mnie na suchy ląd na południowym brzegu rzeki, gdzie natychmiast przypominałem sobie o sir Robercie, obu pannach di Caela, moich braciach, przypominałem też sobie Bayarda, który wyciągnął mnie z wody, ratując od niechybnej śmierci. I przypominałem sobie o pozostałych członkach naszej wyprawy. Której liczebność rzeka zmniejszyła o połowę.

W nurtach południowej odnogi rzeki Vingaard jest takie miejsce, w którym nagłe porywy rzecznej prądu są znacznie potężniejsze niż stały jego napór, będący przekleństwem flisaków i tych, którzy w swoim szaleństwie usiłują przekroczyć rzekę wplaw. Flisacy nazywają to miejsce „Vingaardzkim Dryfem” i walczą z nim za pomocą bosaków, w chwilach zaś, kiedy Dryf przybiera na sile, po prostu rzucają kotwice. Nie da się przewidzieć kaprysów nurtu, nie sposób

przepowiedzieć, kiedy fala przybierze. W rzeczy samej wiedzą o niej jedynie ci, którzy żyją na wodzie.

Tak więc stało się, iż Dryf postanowił wezbrać akurat w chwili, w której przeprawialiśmy się przez rzekę i wielu z nas zmyło z siodła w bezlitosne nurty. W sekundę później, kiedy Bayard wyciągał mnie z wody, tuż obok przemknął potężny, szamoczący się rozpaczliwie sir Ledyard.

— Kiedy po niego sięgałem — mówił Bayard głosem, który drżał mu niezwykajnie, rycerz bowiem stracił dech, siły i coś jeszcze... coś, co niełatwo wyrazić słowami — wyrwał mi się, Galenie. Wyrwał mi się i zawołał, że powinniśmy ratować się sami, a on jakoś sobie poradzi.

Usłyszałem, jak obok Bayarda płacze ktoś cicho. Był to niewątpliwie Brithelm, choć kiepsko widziałem, ponieważ całą twarz miałem jeszcze zalaną wodą.

— A sir Robert? Sir Ramiro? — spytałem.

— Pojechali wzdłuż rzeki, szukając jakiejś mielizny czy kłody drzewa, której mogliby się chwycić nasi przyjaciele... Galenie, dajmy spokój próżnym nadziejom. Spłukało ich aż do środkowej Solamni. Są już w krainie dzielnych i niewinnych. Może sir Ledyard dotrze wreszcie do morza?

— Oddajmy Humie jego ducha — rozległ się znajomy głos. Przy moim mistrzu stanął Alfric.

— Łasico, ten koc został suchy — mruknął, rzucając na mnie szorstką wełnianą derkę.

Nie wstydzę się rzec, iż płakałem trochę, gdy sir Robert wrócił z bezowocnych poszukiwań w dole rzeki. Dryf pochłonął sześciu konnych i zbrojnych ludzi, porwawszy ich w ryczącą kipieli. Gdy wrócił pokryty wodorostami i błoćkiem sir Ramiro, przyznał, że wszystko, co pamięta, to jedna wielka plątanina skotłowanych niemiłosiernie rąk, nóg, koców i derek... i okropny wrzask. Rycerze i giermkowie zostali porwani na południe, widział ich, dopóki nie przepadli pośród rzecznych odmętów. Bayard miał rację. Nie mieliśmy szans na to, aby ich odnaleźć.

Oplakiwałem Ledyarda, którego nawet dobrze nie znałem, i tuzin innych towarzyszy, co poszli na dno razem z nim... nawet tego zębatego blondynka, któremu — jak się okazało — zbyt pochopnie życzyłem nagłej śmierci. Zacząłem się zastanawiać, czy i w tym nie miał swego udziału Skorpion, czy to nie jego dłoń rozpętała żywioły, spuszczając na nas Dryf w najgorszym z możliwych momentów.

Przed nami leżał mroczny i zachmurzony szlak, który kończył się przełęczą Chaktamir.

Obok mnie przysiadł z brzękiem zbroi sir Robert i przez chwilę obaj siedzieliśmy pogrążeni w smutku.

— Wiem, że jest za wcześnie... — zaczął. — Wszyscy żałujemy i wszyscy jesteście wstrząśnięci tym, co się stało... Ale nasze życie zależy teraz od szybkości, zdecydowania i znajomości terenu. Pamiętaj, że gdzieś tam przed nami jest — być może — Enid. Musimy wyrwać ją z łap prześladowcy, zanim stanie jej się krzywda. Weź się więc w garść. Dokąd teraz?

Zadając to pytanie, kierował już wzrok ku wschodowi, gdzie równiny Solamni przekształcały się w jałowy kraj zwany Throt — plątaninę ścieżek, strumieni, pagórków i jarów — w każdym mógł schronić się ze swą branką Skorpion. Kierując się prosto ku przełęczu Chaktamir, wybraliśmy ścieżkę, która

mogła zawieść nas tam jak najprędzej. Bayard uniósł się w siodle, osłonił dłonią oczy i ruszył ku zagajnikowi vallenów, który wydał mu się charakterystycznym punktem orientacyjnym.

Ruszyliśmy zatem na wschód, podróżując powoli, znużenie bowiem zaczęło dawać się nam we znaki. Gdy zagajnik znalazł się tuż przed nami, Bayard odwrócił się w siodle i zwołał resztę grupy.

— Pojedziemy teraz na południowy wschód, przecinając dwa skrzyżowania ścieżek i pole owsa. Potem wybierzemy inną drogę, wiodącą prosto na wschód, pozostawiając ścieżkę na Throtyl z lewej, a górski szlak z prawej strony.

— A kiedy dotrzemy do Chaktamir? — spytał, odwracając się do tyłu, sir Robert.

Stary rycerz chyba niezbyt dobrze znał wschodnie połacie swych posiadłości. Bayard zwrócił się do nas, marszcząc brwi i potrząsając głową. Następnie zajął się wyjaśnieniami, przemawiając uprzejmie, lecz zwięźle.

— Sir Robercie, obawiam się, że od przełęczy wciąż dzieli nas jeszcze pięć dni ostrej jazdy. Pojutrze powinniśmy przez Jar Throtyl dotrzeć do Estwilde, potem jeszcze dwa dni będziemy wędrować do rozwidlenia szlaku, którego południowa odnoga wiedzie do Godshome i Neraki, wschodnia zaś prowadzi ku naszej przełęczy. W końcu dojedziemy do stóp gór Khalkist i podążając tym samym szlakiem, po całodziennym jeździe dotrzemy do Chaktamir. Ten kraj niegdyś należał do Neraki, teraz jest to ziemia niczyja. Tam właśnie, sir Robercie, będzie na nas czekał Skorpion i tam też znajdziemy twoją córkę, żywą i całą — o co gorąco się modłę.

Pochylili ku sobie głowy i przez chwilę jeszcze mówili coś do siebie w sekrecie. Alfric niemal spadł z konia, usiłując podsłuchać, o czym mowa. Ku swemu rozczarowaniu nie usłyszał niczego i nie bez trudu — czepiając się oburącz lęku — zaczął prostować się w siodle.

Zanim jednak tego dokonał, ciężar zbroi pociągnął go w dół i mój zacny brat zwałił się gębą na skalisty grunt. Brithelm pomagał mu się podnieść, podczas gdy Alfric — usiłujący nadrobić beczelnością utratę twarzy — wypalił skierowane do Bayarda pytanie: — Skąd to wiesz? — Byłem już w Chaktamir. Przed dziesięcioma laty...

— Aaa... więc on już tu był! — ryknął Alfric tryumfalnie. — Słyszałeś, sir Robercie? Sam to przyznał! Pytam was wszystkich; dlaczego, w imię Paladina, pozwalamy, aby przewodził nam człowiek, podejrzanie dobrze znający teren, ku któremu kieruje się Skorpion?

—

Ramiro ścisnął mocniej udręczonego rumaka swymi potężnymi udami i wybuchnął śmiechem.

— Młodzieńcze, sam dwukrotnie byłem w Chaktamir! Nie zauważyłeś, że zewsząd otaczają cię konspiratorzy i spiskowcy?

— Alfricu, co cię trapi? — spytał spokojnie Bayard, poklepując Walecznego po karku i wyciągając mu z grzywy źdźbła trawy i grudki błota.

— Od chwili, kiedy opuściliśmy zamek — wybuchnął Alfric — słyszę „Bayardzie, to! Bayardzie, tanto!” Kiedy uwolnimy Enid, oczywiście ona cię poślubi, choćby dlatego, że sir Robert pozwala, byś sam zajął się wszystkim!

— Czy tylko to cię trapi, Alfricu? — spytał Bayard, rozmyślnie rozciągając słowa, w czym kryła się nieokreślona groźba. Zawinąłem się szczelniej w koc, który mi dano, ponieważ wyraz oczu Bayarda wskazywał wyraźnie, że Alfric wpakował się w nieliche tarapaty.

— Wyłącznie tym martwisz się w chwili, w której straciliśmy czternastu towarzyszy? Idę o zakład, że wkrótce będziesz miał mnóstwo okazji do popisania się dzielnością — dodał Bayard spokojnie. — I gotów jestem również założyć się, że stanie się to znacznie wcześniej, niż byś tego pragnął. Nasz nieprzyjaciel bowiem już nas obserwuje.

Rycerz wskazał miejsce, gdzie blisko nas leżał na ziemi zwalony i przywleczony tu przez wodę, pozbawiony liści pień vallenu. Na najwyższej gałęzi na poły spróchniałego drzewa siedział kruk.

Dwa dni później przekroczyliśmy Jar Throtyl. Jest to kraj równie skalisty i nieprzyjazny człowiekowi jak wschodnie tereny Przymorza — początkowo płaski, potem jednak coraz bardziej pofałdowany — żyzne nadrzeczne tereny ustępują coraz częściej kamieniom i skałom, aż w końcu podróżnik odkrywa, iż otacza go krajobraz, jaki ogląda astronom przypatrujący się przez szkła księżycowi... podobny do spustoszeń wywołanych pożarem.

Przez ten kraj wulkanicznych skał wiódł nas Bayard nieco wolniej niż poprzednio — z powodu trudniejszego terenu i faktu, że wiele z naszych koni okulało podczas przeprawy przez rzekę. W

czasie tej powolnej wędrówki konie potykały się, rżały i gniewnie parskały. W tym niezadowoleniu wcale nie były osamotnione. Podczas przeprawy przez Vingaard każdy z nas ucierpiał, choć nie wszyscy w jednakowym stopniu.

Naszą kolumnę otwieraliśmy ja i Bayard, który szukając ścieżki całkowicie zasypanej przez skalne osypiska, niekiedy odwracał się i konsultował z jadącym za nami sir Robertem. Za starym rycerzem

podążali sir Ramiro i Alfric. Mój zacny braciszek nieustannie kulił się w siodle, jakby w każdej chwili spodziewał się ulewy strzał, a jego tchórzostwo i bezczelność coraz bardziej — w miarę jak pokonywaliśmy kolejne mile — irytowały sir Ramira. Kolumnę zamykał Brithelm i kilkakrotnie — ku wielkiemu niezadowoleniu sir Ramira — musieliśmy zatrzymywać się i posyłać go za moim świętobliwym bratem. Rosły rycerz raz zastał go przypatrującego się ptakom, za drugim razem Brithelm zatrzymał się, aby podnieść jakiś kamień i bliżej przyjrzeć się życiu owadów w Throtyl.

Za trzecim razem Ramiro znalazł Brithelma siedzącego z otumanionym wyrazem twarzy pośrodku szlaku — niedoszły, pogrążony w medytacjach eremita nie zauważył nisko wiszącej gałęzi i zwałił się na ziemię niczym worek.

Moją juczną kobyłkę prowadził niekiedy Bayard, ale częściej przyglądał się skałom przy szlaku, zsiadając z konia i wskakując nań ponownie, gdy udało mu się odnaleźć ścieżkę w tym wulkanicznym terenie. Jedynymi ptakami, które krążyły wokół nas, były drapieżniki i ścierwojady, a jedynymi rosnącymi tu drzewami okazały się sosny, świerki i znacznie od nich rzadsze vallyeny. Te ostatnie nie miały dość mocnych korzeni, aby zapuścić je głębiej w skalistą glebę, i w rezultacie wyrastały pochylone i powyginane na wszystkie strony.

— Kraina jastrzębi — mruknął raz Bayard, zataczając zręcznie wokół mnie łuk, aby naprowadzić kobyłkę na właściwy szlak. — Żyją tu wyłącznie najokrutniejsze z drapieżników, które zabijają się nawzajem, bo po prostu brak im innej zdobyczy.

— Przypomina mi to trochę wychowanie w rodzinnym zameczku — zauważyłem, a on zaśmiał się nieco wymuszonym śmiechem i podjechał bliżej, gdy wtem zza zakrętu drogi wypadł powiew wiatru, który smagnął nas po twarzach.

— Albo na ulicach Palanthas — dodał, ciągle się uśmiechając. Potem spoważniał.

— Coś się w tobie wykluwa... i to coś, czego nie przewidziałem, gdy po raz pierwszy spojrzałem na ciebie w tamtym otoczonym fosą zameczku, kiedy stanąłeś przede mną ze swoją sprawą. Jesteś... — Mniej paskudny? Bayard poczerwieniał.

— Powiedziałbym... chętniejszy do roboty. — Utkwił wzrok w ścieżce przed nami. — Gdyby nie twój niekzemny wzrost i ta... Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i znowu odwrócił wzrok. — ...całkowita klęska, jaką poniosłeś w próbie wyhodowania czegoś — podobnego choćby do wąsów, wziąłbym cię za najstarszego spośród Pathwardenów... Galenie, chciałem ci po prostu rzec, że widzę w tobie zadatki na rycerza.

Nie miałem czasu, aby napawać się tym komplementem. Szlak był coraz bardziej stromy i ostro wznosił się w górę, a wysoko nad nami krążyła grupka jastrzębi.

W południe następnego dnia okazało się, iż przed nami są nie tylko jastrzębie. Wschodnia strona nieba połyskiwała niekiedy metalicznie, jak to się dzieje, gdy patrzysz na miraż i wydaje ci się, że oglądasz go zza wodnej ściany.

Sam miraż sprawiał wrażenie pełnego życia. Widać było, jak poruszają się tam dziwaczne istoty. Nie mogliśmy określić wyraźnie ich kształtu — w końcu był to miraż — dostrzegaliśmy jednak czerwono-brązowe, bezwłose sylwetki, które szybko przebiegały między rozplywającymi się w nicość skałami.

Niekiedy ów miraż znikał, po to jedynie, aby pojawić się po przebyciu przez nas kilku mil — zawsze na wschód od miejsca, w którym pojawił się poprzednio. Za każdym razem widzieliśmy w nim ciemne, szybko poruszające się kształty. Konie płoszyły się, jakby dostrzegały coś w powietrzu. — B-bayardzie, co to może być? — spytałem lekko drżącym głosem.

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, iż znajdujemy się już w Estwilde i jeśli Skorpion spodziewa się naszego przybycia, mogą być to jego zwiadowcy. Albo pierwsza fala tworzonych przez niego iluzji.

Sir Robert sięgnął pod kurtkę, wydobyl coś i rzucił na pobocze ścieżki. Sir Ramiro uczynił to samo, ja zaś usłyszałem odgłos pękającego szkła.

— Bayardzie, co oni robią? — spytałem, ale mój mistrz spoglądał w drugą stronę. Jechał teraz nieco przede mną i obserwował szlak przed nami. — O co pytałeś?

— Sir Robert i sir Ramiro wydobyli coś spod swoich kurtek i rzucili przed siebie. Nie mam pojęcia, co wyrzucił sir Robert, pewien jestem jednak, iż sir Ramiro cisnął coś szklanego. Bayard zachichotał cicho i mruknął: — Stara szkoła. — Nie rozumiem.

— To taki stary zwyczaj solamnijski. Gdy rycerz rusza do boju, zawsze istnieje możliwość, że zostanie zabity. — Oczywiście. —

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

— Jeśli miałyby ci się coś takiego przydarzyć, powinieneś pamiętać, że istnieje też możliwość, iż twoi przyjaciele znajdą przy zwłokach coś — jakiś drobiazg, niewielki przedmiot — co wolałbyś przed nimi ukryć. — Aaa... rozumiem. Więc to, co widziałem...

— Obaj starzy rycerze pozbywali się swoich... utrapień. Nie wiem, co odrzucił sir Robert, ale sir Ramiro pozbył się butelki krasnoludzkiej gorzałki. A skoro już o tym mowa...

Dłoń Bayarda szybko wysunęła się spod kurtki. Coś małego i lśniącego pofrunęło w powietrze i zniknęło daleko wśród skał. Usłyszałem kilkakrotny metaliczny dźwięk, jakby jakiś przedmiot odbijał się od kamieni, potem nastąpiła cisza. Do dzisiejszego dnia nie mam pojęcia, co to było.

Jechaliśmy dalej, a na horyzoncie rosły coraz wyżej czerwone góry Khalkist. Gdzieś w tych górach leżał szlak Cha-ktamir i przełęcz tej samej nazwy, kiedy zaś ujrzałem, jak wznoszą się ponad nami, przypomniałem sobie o zwyczaju, o którym opowiedział mi Bayard — że mogę przecież wrócić do domu na tarczy.

Owszem, myślałem o tym już przedtem, ale zawsze działo się to w niezwykle dramatycznej oprawie — wszyscy obecni darli szaty, wyrwali sobie włosy z głów i z płaczem rzucali się na moje martwe ciało. Powrót do domu miał być teatralną i ostateczną karą dla mojego ojca — za brak serdeczności, zainteresowania i nieustanne utyskiwania na moje zachowanie.

Teraz pomyślałem o tym, co wolałbym ukryć... o tym, czego chciałbym mu oszczędzić. Wahałem się w wyborze pomiędzy rękawicami i kośćmi Calantiny. Rękawice zdobyłem podstępem i nieuczciwością, a kości pachniały jakby zabobonami, przesadami, dymem kadzideł i ofiarami z ptaków.

Wybór był niełatwy. Początkowo myślałem, aby pozbyć się jednych i drugich, zdecydowałem jednak, że to pewna przesada. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż żywy czy martwy, nie zamierzałem wcale wrócić na Przymorze. Zastanawiałem się, co też wyrzucił Enryk Stormhold.

Celność moich rzutów poprawiła się znacznie od tamtej koszmarnej nocy w górach Vingaard. Kości śmignęły pomiędzy skały i przepadły gdzieś wśród wysokich łądyg porastającego pobocze ścieżki zielska. Niechże kto chce, odgaduje, jaki był wynik ostatniego rzutu.

Rozdział osiemnasty

GDY ZBLIŻYLIŚMY SIĘ DO GÓR KHALKIST, wszędzie zaczęliśmy dostrzegać ponure ślady obecności Skorpiona. Wznoszący się coraz wyżej teren był osmalony i wypalony — z rozmysłem, nie przez ślepy żywioł czy przypadek. Przed nami leżały szerokie połacie poczerniałej ziemi, po bokach zaś mieliśmy tereny względnie nietknięte, gdzie jedynymi oznakami gwałtu były przypadkowe plamy osmalonych ogniem skał.

Gdy wspinaliśmy się na zachodnie zbocza gór, zaczął padać śnieg. Ale i śnieg nie osiadał na plamach czerni, jakby wciąż były gorące. Gdy wkroczyliśmy pomiędzy góry, opadły na nas mgły, a śniegi pozostały za nami. Wtedy też po raz pierwszy ujrzyliśmy włócznie. Odcinały się na tle nieba na zachodzie jak ciemne proporce, coś jednak w sposobie, w jaki chwiały się na wietrze — wyglądały jak cienkie gałęzie obciążone owocami — zmusiło nas do zatrzymania koni.

Bayard zmrużył powieki i przez chwilę patrzył uważnie, osłaniając oczy dłonią. Potem zwrócił ku mnie pobladłą twarz. — Nie wiem, co to jest — powiedział — ale mam pewne podejrzenia. Zanim zdołałem odpowiedzieć, ruszył ku pochylonym w naszą stronę cienkim igłom. Kilkanaście głów zatkniętych na ostrzach włóczni tkwiło na nich od dawna. Pierwsze rozpoznały je konie, które zaczęły parskać i cofać się ze zgrozą. Muły zaparły się i w ogóle nie chciały ruszyć do przodu;

dopiero krzepka dłoń sir Ramira zmusiła je do podjęcia marszu.

Nie mogę rzec, że je za to winiłem. Na czaszkach skóra była już pożółkła i wysuszona. Kształt, a także ozdoby hełmów — róże i sylwetki orłów rybołówów — wskazywały, że głowy owe tkwiły niegdyś na solamnijskich ramionach.

— To stary zwyczaj nerakański — wyjaśnił sir Ramiro, prowadząc boczącego się mocno rumaka obok pierwszej z włóczni. — Znak dla wrogów, że dalsza wędrówka wiąże się z groźbą śmierci. — Jak dawno temu je tu ustawiono? — spytał bojaźliwie Alfric. Ramiro nie odpowiedział i ruszyliśmy ścieżką, która wiła się pośród tych ponurych znaków ostrzegawczych. Dłoń rycerza przesunęła się na rękojeść miecza, co było dość wymowne.

Być może kłębiące się wokół nas mgły były gęstsze, niż zrazu myśleliśmy. Być może świadomość, iż wkroczyliśmy na szlak Chaktamir — miejsce historyczne, gdzie dokonano krwawych czynów godnych

pamięci i takich, o których lepiej zapomnieć, zmaciła nam myśli. Żaden jednak z tych powodów nie tłumaczy, skąd i jakim sposobem wyłonił się z mgły ów zamek.

Sprawiało to wrażenie, jakby mgła nagle zgęstniała i przybrała kształty kamieni.

Zaskoczony tym Alfric zatrzymał raptownie konia i spadł z jego grzbietu w żwir i śnieg. Moja kobyłka i muł, który dźwigał Brithelma, wpadły nań z tyłu, Bayard zaś z trudem skierował Walecznego w bok, tak iż udało mu się uniknąć kłębowiska, w którym koń, klacz, muł i Pathwardenowie tłoczyli się bezładnie, gapiąc się na zamek. — To wygląda znajomo — mruknął Alfric.

— Być może dlatego, że jest kopią zamku di Caela — sarknął sir Robert. Tak też było w istocie.

Przed nami wznosiło się potężne zamczysko z wieżami na każdym rogu prostokątnego, rozległego dziedzińca. Gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca padły na porzeczek zwisający z południowo-zachodniej wieży, ujrzeliśmy godło pana zamku. Skorpion z żądłem wzniesionym do uderzenia, na szkarłatnym polu. Czarny skorpion na czerwonym polu. Proste, wyzywające i groźne.

— Gniazdo Skorpiona — westchnął Bayard. — Nareszcie go dopadliśmy. Za nami sir Ramiro i sir Robert zatrzymali konie.

— Nie inaczej. Jakem żyw, nie inaczej. Zamek di Caela, skopiowany kamień w kamień — sapnął sir Robert.

— Te jego iluzje w jakiś tajemniczy sposób potrafiły stworzyć mu zamek — westchnął Bayard, jakby cytując coś, co powinienem był pamiętać, ale w żaden sposób nie potrafiłem umiejscowić cytatu. — Jakież to oczywiste, że stary Benedykt, jeśli z nim mamy do czynienia, skopiował dokładnie swój rodzinny zamek, odtwarzając załom murów i każdy wykusz zamku, który pamiętał sprzed czterystu lat. — To zuchwałość, której nie puszcę płazem! — stwierdził sir Robert.

— Nie jest prawdziwy, nie masz więc powodu, aby unosić się gniewem — łagodził Ramiro starego druha.

— I łatwo będzie znaleźć w nim drogę — dodał Bayard. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego.

Stał spokojnie wśród skał i przyglądał się zamkowi, jak wódz szykujący się do oblężenia wrogiej twierdzy. Po chwili oderwał wzrok od budowli i spojrzął na sir Roberta.

— Benedykt od stuleci spoglądał łakomie ku zamkowi di Caela. Zna go dokładnie. Łatwo mu było niepostrzeżenie przemykać pośród zamkowych murów, ale i my znamy ten zamek, dlatego — jeśli kopia nie ogranicza się jedynie do wyglądu zewnętrznego — podobieństwo będzie nam sprzyjało. Wtedy, gdy wdrzemy się do środka.

Przypomniawszy sobie iluzję na bagnach, chwyciłem kamień i cisnąłem nim w mur. Zagrzechotał

i odpadł z trzaskiem. Tym razem iluzja była solidna.

— Chcecie powiedzieć, że wkraczamy? — kwiknął Alfric, oglądając się za siebie.

— Daj spokój, chłopcze — westchnął sir Ramiro. — W końcu dotarliśmy do tej przeklętej bramy.

Zza muru dobiegł nas trzepot skrzydeł i ciche gruchanie gołębi. Wielkie ptaszyska, połyskujące metaliczną czerwienią, opadały ku blankom ze szczytu głównej wieży. Z głębi zamku głucho odpowiedziało im echo.

Bayard dobył miecza, dwaj pozostali rycerze uczynili tak samo. Alfric przykucnął za swym koniem i wyjął zza pasa groźnie wyglądający pugińał. Bayard zwrócił się w moją stronę. — Ty też — przypomniawszy mi łagodnie. — Zaraz się zacznie. Wyciągnąłem więc swój miecz. I zaczęło się... jednak w nie przewidziany przez nas sposób.

Przygotowałem się na satyry, na inne zwierzoludy — takie, jakie Skorpion z upodobaniem wysyłał na wrogów — może minotaury... a może smokowców, o których ostatnio zaczęło krążyć coraz więcej opowieści. Nie spodziewałem się jednak centaurów.

Na stromym podejściu zsiadliśmy z koni i poprowadziliśmy je ku wrotom zamku. Wtedy te wrota się otworzyły... i wypadły z nich dwa centaury, które niepewnym krokiem ruszyły ku nam po pochyłości. Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy nie ma racji stare przysłowie, mówiące o winie i centaurach.

Przestałem się zastanawiać, gdy dosięgnął mnie ich zapach. Nie była to woń wina ani gorzały, ale odór zgnilizny i rozkładu. Pachniały niczym bagno — ale był to zapach zgnilizny, mocniejszy niż woń błota i mokrych liści vallenu czy cedru. Smród, jaki bił od centaurów, kojarzył się z gnijącymi rybami, które od kilkunastu dni leżały na niespodziewanie ciepłym, jak na tę porę roku, powietrzu. — Ożywione trupy! — zawołał sir Robert. — Wyplute przez — Chemosha na światło dzienne!

Mimo iż smród i odraza niemal zwały go z nóg, ruszył ku przeciwnikom, a za nim poszli Bayard i sir Ramiro. Ja ze swej strony wymachiwałem kordem tak groźnie, jak tylko umiałem — cały czas zastanawiałem się przy tym, co też może stworom tych rozmiarów zrobić tak mizerny okaz sztuki płatnerskiej jak mój kozik.

Obaj nasi przeciwnicy wydawali dziwne, gardłowe, świszczące dźwięki, jakby parodiowali oddychanie, o którym zdążyli już chyba zapomnieć. Podeszli już tak blisko, że mogłem zobaczyć ich rany.

„Ujrzał padających Kallitesa i Elemona”. Przypomniałem sobie opowieść Agiona. Byli naszpikowani strzałami, jakby przeszli przez szpaler łuczników. „Jakby otrzymali śmiertelne rany”.

W boku roślejszego z centaurów — nie umiałbym odgadnąć, czy był nim Kallites, czy Elemon — strzały wciąż tkwiły pogrążone po brzechwy. Mniejszy zaś wyglądał tak, jakby z jego ciała naturalnie wyrastały lotki strzał. Moi towarzysze podnieśli miecze, centaury bowiem ruszyły na nich, zajadle wymachując trzymanymi w rękach maczugami.

Roślejszy konioludz dzielił sir Roberta maczugą w przedramię. Stary rycerz wyleciał z siodła niczym zbity kręgiel i — klnąc siarczyście — potoczył się w kupy liści zalegające pobocze szlaku. W następnej chwili Enid di Caela została niemal dziedziczką tytułu, bo rośły stwór cofnął się nieco, gotów do stratowania sir Roberta kopytami. Jak oparzony skoczyłem ku rycerzowi, wywijając swym kozikiem.

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, za centaurem pojawił się Bayard i błyskawicznym ciosem miecza ciął go przez bark. Nieszczęsny stwór zachwiał się i przechylił w prawo, usiłując odzyskać równowagę. W następnej sekundzie miecz Bayarda błysnął po raz drugi i wielka głowa naszego przeciwnika potoczyła się w dół po pochyłości szlaku.

Sir Ramiro zaś potrafił poruszać się z ową dziwną lekkością, charakterystyczną dla niektórych grubasów. Zdobył się na szybkość i sprężystość, jakich nie spodziewałbym się po człeku jego tuszy. Ruszył na mniejszego z centaurów. Szachując przeciwnika mieczem i trzymanym w wyciągniętej na całą długość ręce, okrążał go teraz jak nieco zasapany — i śmiertelnie sprawny — mistrz szermierki. Pierwsze pchnięcie rycerza trafiło w cel i utkwilo w piersi potykającego się, niezgrabnego centaura. A ten wcale nie runął pomiędzy skały.

Zasycał natomiast obrzydliwie, wytrzeszczył zmętniałe oczy i ujmując oburącz ostrze miecza, zaczął posuwać się ku sir Ramirowi. Nadziewał się

przy tym na klingę, aż wyszła mu pomiędzy łopatkami, a on sam objął rycerza miażdżącym uściskiem gnijących łap.

Na szczęście nie były one dostatecznie długie, aby całkowicie objąć przysadzistego południowca, a tym bardziej nie mogły go dostatecznie mocno ścisnąć. Ramiro szybko strząsnął z siebie napastnika i uwolnił swój miecz, czemu towarzyszył dźwięk przypominający przecinanie nożem przejrzałego melona. W następnej chwili rycerz okręcił się w miejscu i całą swą niemałą wagą poparł cięcie na odlew.

Cios był tak gładki i czysty, że głowa centaura oddzieliła się od ramion i spadła na grzbiet stworu... gdzie przez chwilę kołysała się niepewnie, aż wreszcie stoczyła na ziemię. Powietrze przepełnił okropny smród.

Sir Robert stękał, a jego zbroja zgrzytała przeraźliwie, gdy Brithelm pomagał mu dźwignąć się na nogi. Ramiro i Bayard wsunęli miecze do pochew i przez chwilę spoglądali na powalonych przeciwników. Za nami, w kupie koców, coś głucho jęknęło. — Alfric? — zawołał Bayard. — Alfric?

Nie było odpowiedzi. Mój rozdygotany i skulony rozpaczliwie brat leżał pod kocami na kupie zwiru. Bayard obejrzał się na mnie. — Alfric... — zacząłem, ale nie uzyskałem większych rezultatów.

— Chłopcze, weź się w garść! — rozkazał sir Robert, wrywając się z objęć Brithelma i ruszając ku mojemu wciąż przykrytemu kocem braciszкови. Robert di Caela nie był podręcznikowym przykładem litości i przebaczenia.

— Wygląda na to — stwierdził Alfric, nie otwierając oczu — że ta cała sprawa z ratowaniem panny wymknęła się nam spod kontroli. — Alfricu, to bzdura — stwierdził Bayard spokojnie.

— I zdrada — dodał sir Ramiro, odwracając się i ruszając na Alfrica. Otyły południowiec nieznacznie utykał.

— Alfric, dajże spokój — przyłączyłem się do krytyków. — Jak uważasz, co pomyśli sobie Enid di Caela o tym napadzie hysterii?

Uzyskałem tyle, że Alfric jeszcze głębiej zakopał się w stos koców i zaczął dygotać dwakroć gwałtowniej, jakby dopadł go atak silnej gorączki. Brithelm oparł dłoń na ramieniu starszego brata. I wtedy Ramiro wymierzył szybkiego i celnego kopniaka w kupę koców, w której usiłował skryć się Alfric. Najstarszy z Pathwardenów kwiknął przejmująco i zwinął się w kłębek.

Teraz wszystko spoczęło w rękach sir Roberta, choć wcale się to nam nie podobało.

— Alfric, mój synu. Żadnej odpowiedzi. Sir Robert westchnął ciężko.

— Alfric, jeśli w tej chwili nie wyleziesz spod tych koców, odpowiesz przed tym...

Jedyną cechą charakteru Alfrica, silniejszą od jego tchórzostwa, była ciekawość. Mój brat wyjrzał spod koca... i ujrzał, że sir Robert wyciąga miecz. Na ten widok natychmiast wyskoczył spod koców i wszyscy razem ruszyliśmy ku bramie zamku. Sir Robert szepnął Brithelmowi zdanie, które zradziecki wiatr przygnał do uszu pozostałych uczestników wyprawy.

— Szczęśliwie się stało, że twój brat wylazł wreszcie spod tych koców. Jeszcze chwila nieposłuszeństwa, a byłbym zmuszony go zabić.

Sir Robert rzucił groźne spojrzenie Alfricowi, który skwitował to intensywniejszym dygotaniem. Następnie stary rycerz odwrócił się ku zamkowi i dostrzegłem, że sir Robert trzęsie się ze śmiechu, co stanowiło korzystną odmianę po całym popołudniu trosk i żalu.

W tym momencie z bramy wyszedł Agion. W pierwszej chwili obaj z Bayardem wydaliśmy okrzyk radości, pewni, że w górach Vingaard nastąpiła jakaś pomyłka, że trójzęb przeszywający serce naszego druha i skromny pogrzeb centaury były tylko koszmarem, o którym chcieliśmy zapomnieć, widząc pozdrawiającego nas przyjaciela. Nasza radość trwała dopóty, dopóki nie spojrzeliśmy mu w oczy.

Mętne, obojętne spojrzenie. Spojrzenie trupa, który niczego sobie nie przypomina i któremu wszystko spowszedniało.

Agion, ściskając maczugę w poźółkłej, obrzmiałej dłoni, ruszył powoli na Bayarda. Rycerz zatrzymał się, wyciągnął z pochwy miecz i uniósł go w górę. Potem, gdy centaur podszedł bliżej, opuścił broń. — Bayardzie! To nie jest Agion! — zawołałem.

Mój mistrz stał jednak nieruchomo, z mieczem w opuszczonej ręce. Centaur zatrzymał się przed nim i wolnym, mechanicznym ruchem uniósł maczugę do ciosu.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób znalazłem się przy Bayardzie. Brithelm powiedział później, iż nie podejrzewał, że potrafię poruszać się tak szybko — a nieraz bywał świadkiem moich błyskawicznych ucieczek w rodzinnym zameczku. Nieważne zresztą, jak tego dokonałem, ważne jest jedynie, że w ciągu ułamka sekundy znalazłem się pomiędzy Agionem i Bayardem. — Nie! Agionie! To my, Bayard i Galen! — zawołałem, wymachując rękoma.

Na krótką chwilę spojrzenie mętnych oczu Agiona rozjaśniło się. Ale trwało to zaledwie mgnienie oka, natychmiast też pojawił się w nich chłód śmierci i istota, która niegdyś była naszym druhem, podniosła maczugę, syknęła złowrogo i zamachnęła nią potężnie, pragnąc zabrać nas do swego mrocznego świata.

Ta chwila zwłoki jednak wystarczyła. Sir Robert, choć poobijany i potłuczony, zachował sprawność bojową, jak się o tym przekonaliśmy, gdy wpadł pomiędzy mnie i centaury, odbijając cios maczugi płazem starego miecza di Caelów. Następnie uniósł miecz nad głowę we wspaniale wykonanej klasycznej solamijskiej paradzie i jednym cięciem przerwał nabrzmiały kark Agiona.

Wszystko wokół mnie pochłonęła fala mroku. Pogrążyłem się w czarnej nicości i choć może śniłem o czymś, gdy leżałem nieprzytomny na ziemi w przełęczy Chaktamir, niczego nie pamiętam.

Ocknąłem się, gdy poczułem, że Bayard potrząsa mną boleśnie, zmuszając do powrotu do świata chłodu, bólu i nieokreślonego smutku, którego przyczyny nie pojmowałem, dopóki nie zobaczyłem leżących obok mnie ciał centaurów.

— Jak sam powiedziałaś — pocieszał mnie Bayard, pomagając mi dźwignąć się na nogi — to nie był Agion.

— Ale... przez chwilę... myślałem, że mimo śmierci i planów Skorpiona nasz przyjaciel uniknął zgotowanego mu losu — mruknąłem.

— Może i tak, chłopcze — odparł sir Robert łagodnie. — I niech to będzie dla nas pociechą, że moc Skorpiona ma swoje granice. — Istnieją rzeczy — dodał Bayard — mocniejsze od śmierci. Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. Potem sir Robert wskazał nam otwarte wrota bramy. I krocząc dwójkami, weszliśmy w cień złowrogo portyku.

Okryci zasłoną śnieżycy, wśród snujących się wszędzie mgieł, wyglądali jak cienie ludzi, małpio

skuleni i poruszający się chwiejnym krokiem. Mimo iż krążące wokół nas kształty były niewyraźne, widziałem, że napastnicy byli uzbrojeni — w widmowych dłoniach tkwiły widmowe ostrza krzywych, nerakańskich szabli. Chłodne powietrze przeszywały głuche nawoływania i nieludzkie jęki. Brzmiało to tak, jakby ktoś wyrzynał w pień całą armię.

Bayard dobył miecza i już miał skoczyć w sam środek zgromadzenia cieni, gdy Brithelm chwycił go za ramię. — Sir Bayardzie, obowiązek wzywa was do zamku. Może w tej — właśnie chwili lady Enid stawia czoło grozie, wobec której tutejsi przeciwnicy wydadzą się nam śmieszni. — Ależ... — Bayard usiłował się sprzeciwić.

— Spieszcie do zamku... i niech prowadzą was bogowie. — Brithelm uśmiechnął się pobłaźliwie, gdy z mgły wyleciała strzała i zagrzecotała o kamienie u naszych stóp.

— Na Paladina! Nie będziesz tu walczył samotnie, mój chłopcze! — zagrział sir Ramiro. — Wolałbym codziennie potykać się z setką wrogów niż stawiać czoło tym kuglarskim sztuczkom, na jakie natkniecie się w zamku! Dajcie im do wiwatu, żywym i martwym! Brithelmie, będę osłaniał ci plecy!

Stary rycerz dobył miecza, pchnął mnie ku Bayardowi i zajął miejsce u boku mojego spokojnego, świątobliwego brata. Bayard złapał mnie za ramię i mimo rozpaczliwych wierzgnięć powiódł na zwodzony most. Alfric i sir Robert ruszyli za nami.

Gdy przekraczaliśmy most i zanurzaliśmy się w cień ziejącej mrokiem bramy, Bayard pochylił się ku mnie i szepnął: — Głowa do góry, synu.

Obejrzelismy się na mojego brata, człowieka miłującego pokój, który musiał wziąć udział w orężnej rozprawie wśród spowitych mgłami głązów. Obok niego stał potężny, pełen radości życia sir Ramiro, który uniósł nad głową swą ogromną tarczę, osłaniając obu przed strzałami.

— Galenie, ufam, że ujrzymy ich w dobrym zdrowiu. Wypadki jakoś ich omijają.

Nagle z dłoni Brithelma strzeliła czerwona błyskawica i ugodziła w majaczące przed nim mgliste kształty. Rozległ się skrzekliwy wrzask i napastnicy zatrzymali się w pewnej odległości od naszej nielicznej ariergardy.

— Do kata! — Zdołałem jeszcze usłyszeć okrzyk Ra-mira, zanim głos południowca utonął we wrzawie wrogich głosów. — Gdzie nie spojrzysz, wszędzie te kuglarskie sztuczki! I gdzież tu miejsce dla przyzwoitego człowieka?

— Sir Ramiro roześmiał się urągliwie, pochylając tarczę ku zbliżającym się napastnikom.

Niestety, minęła pora na śmiechy. Przeszliśmy pod sklepieniem zamkowej bramy. Sam dziedziniec wyglądał nieco nierealnie — przypominał zamek di Caela, odtworzony tak, jakby projektantowi zależało głównie na zachowaniu proporcji. Budynek miały te same rozmiary, kształty i wznosiły się w tych samych miejscach.

To znaczy, o ile mogłem dostrzec. Krańce dziedzińca, wieże, budynki gospodarcze i stajnie — a także same umocnienia zewnętrzne — ginęły bowiem w pochłaniającej wszystko mgle. Niekiedy tylko wyłaniał się z niej zarys ściany, który zresztą zaraz nikał... wszystko tu było niematerialne albo rzeczywiste, w zależności od porywów wiatru i gęstości zamieci.

Nie potrafiłem oprzeć się niesamowitemu uczuciu, że budowniczy wszystko to zaledwie naszkicował. Twierdza, wieże i inne budowle wyglądały, jakby były wewnątrz puste... i jakby wzniesiono je tylko na użytek gości.

Czy działo się to za sprawą mgły, czy może jakiejś podstępnej sztuczki, nie wiem, ale gdy ruszyliśmy ku murom, wydało mi się, że ziemia przed nami dopiero krzepnie. Zsiedliśmy z koni i na dziedzińcu puściliśmy je luzem. Niewątpliwie będą tu bezpieczne, my zaś przez jakiś czas chyba się bez nich obejdziemy.

Za nami gdzieś we mgle rozległy się kolejne wrzaski. Bayard zatrzymał się na chwilę, odwrócił i miał ruszyć z powrotem. Potem jednak mruknął: „Enid”, złapał mnie za ramię i właściwie podniósł ponad mgłę, podczas gdy konie umykały gdzieś galopem. Razem i bardzo ostrożnie postąpiliśmy do przodu, potem ruszyliśmy szybciej, aby zrównać się z sir Robertem i Alfrikiem, którzy byli nieco przed nami. Dopadliśmy ich w drzwiach warowni.

Te zaś okazały się zamknięte. Sir Robert raz już spróbował je otworzyć i teraz kroczył przed progiem tam i z powrotem, sypiąc przekleństwami i kipiąc gniewem. Alfric tymczasem — niczym skończony idiota — usiłował wyważyć wrota ojcowskim mieczem.

— Precz, z drogi! — zawołał Bayard, a mój brat, przyzwyczajony do umykania, zwał z zaskakującą szybkością i zręcznością. Bayard zrobił cztery kroki i potraktował drzwi potężnym kopnięciem.

Drzwi zatrzęły się w posadach, lecz ani jedno bierwiono nie pękło. Siła kopnięcia i sprężystość dębowych desek odrzuciły Bayarda w tył, gdzie z łoskotem legł na plecach, oszołomiony i trochę otumaniony. Tymczasem zamkowy dziedziniec niespodzianie jakby ożył. W głębi otaczających nas mgieł dały się słyszeć ciężkie stąpania, zgrzyt metalu i skrzywienie wyprawionej skóry... a także ciężkie, chrapliwe oddechy jakichś wielkich stworów. Wszystko to zbliżało się do nas powoli, acz nieubłaganie.

Bayard wstał — dzięki pomocy sir Roberta — i zmobilizował się do następnej próby sforsowania drzwi. Alfric szybko podbiegł do mojego boku i pociągnął mnie za rękaw.

— B-bracie... tam coś jest... i to coś ma wrogie zamiary... Nie zamierzałem się z nim sprzeczać.

— Odciągnijmy stąd sir Bayarda, zanim zrobi sobie krzywdę — powiedziałem szybko — a potem poszukajmy jakiegoś okna. Nie wygląda na to, aby próba wejścia drzwiami miała zakończyć się powodzeniem.

Bayard raz jeszcze wyrznął nogą w drzwi i runął na ziemię, gdzie przez chwilę znów legł bez ruchu... po czym wstał ponownie, choć tym razem przyszło mu to z większym trudem. Tymczasem otaczające nas dźwięki — człapanie ciężkich kroków, zgrzyt zbroi — przybliżyły się jeszcze bardziej i z mgły zaczęły się wyłaniać ciemne kształty potężnych, rogatych istot. — Demony! — zapiał Alfric.

— Nerakańczycy — poprawił sir Robert, łapiąc mojego najstarszego brata za ramię. — Na głowach mają ceremonialne hełmy z rogów minotaurów, liczą bowiem, że Kiri-Jolith porazi strachem ich wrogów. Sądząc z bijącego od nich smrodu, od dawna już są martwi. Łapcie za miecze. Idą w naszą stronę. Szybko, tędy, bokiem. O ile dobrze pamiętam, powinny tu być jakieś okna.

Zrozumieliśmy to świetnie i ruszyliśmy tam, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć okna. Sir Robert, dzwoniąc zbroją, prowadził naszą grupkę, tuż za nim gnał co sił w nogach Alfric, czyniąc równie wiele hałasu. Za tą dwójką pędziłem ja, znikając i wyłaniając się z mgły równie cicho jak jeden z kotów Mariel di Caela, a na końcu kuśtykał zgarbiony Bayard z dobytym mieczem w dłoni.

Zanim jednak dotarliśmy do ogrodu i okien, stało się oczywiste, że Nerakańczycy — czy kimkolwiek tam byli — dotarli tu przed nami. W pierwszej chwili sięgnęliśmy nawet po miecze, gdy wypadliśmy zza rogu i ujrzelśmy w ogrodzie pod oknami rogate figury. Szybko však stwierdziliśmy, że mamy do czynienia jedynie z krzewami przyciętymi na kształt sów. Na chwilę nawet się odprężyliśmy... zanim wśród mgieł nie usłyszeliśmy ciężkiego człapania wielu kroków.

— Dalej wedle ściany! — ponaglił Alfric. — Tu złapią nas na pewno! Muszą być gdzieś niedaleko inne okna! Sir Robercie, powinniście to wiedzieć!

— O, niewątpliwie — odparł stary rycerz. — Ale nie z tej strony twierdzy. Posłuchajcie: przed nami, przy ścianie, rozlega się stale ten sam dźwięk, przed którym uciekamy. Czy są to ludzie, czy potwory, żywi czy martwi, musimy stawić im czoło... i to tutaj, nie gdzie indziej. Walka jest ostatnią

rzeczą, której się po nas spodziewają... a my poczęstujemy ich właśnie nagą stalą!

—
Stanęliśmy więc obok siebie, patrząc jedni na drugich: Pathwardenowie, Brightblade'owie i di Caelowie.

I nagle ogród wypełnił się chrapliwymi rykami, przechodzącymi niekiedy w głucho rżenie — to przegniłe gardziele naszych przeciwników usiłowały wydać z siebie bojowe okrzyki nerakańskie. Zbliżali się na przelaj przez ogród, łamiąc gałęzie, depcząc liście i postępując ze złością, gdy wpadali na pnie drzew. Byli jak ściany zamku — nieustannie znikali i pojawiali się we mgle. Zbliżali się jednak nieubłaganie.

— Galenie! — sapnął Bayard. — Dosięgniesz okna, gdy staniesz mi na ramionach? Czy dosięgnę okna? I porzucę moich towarzyszy?

Moich towarzyszy?! Padłem chyba ofiarą jakiejś solamnijskiej zarazy, oto bowiem zacząłem czynić sobie wyrzuty za myśl o znalezieniu najbezpieczniejszego wyjścia z sytuacji. Gdyby nie to, że słuchałem w końcu własnego głosu, byłbym przysiągł, iż zadrżały w nim nutki solamnijskiej prawości i szlachetności. — Panie, mogę spróbować, jeśli sądzicie, iż na coś się przydam.

— No, to jazda! — syknął Bayard nagłaco. — Kiedy znajdziesz się wewnątrz, spróbuj jakoś przedostać się do drzwi wejściowych i odsuń rygle. Nie powinno to być zbyt trudne. Korytarze w środku muszą mieć rozkład podobny jak w zamku di Caela, skoro z zewnątrz ta twierdza jest również doń podobna. — Wiem, panie. Ale na świętą lancę Humy, co będzie, jeśli... — No cóż, nie będzie ci groziło niebezpieczeństwo większe niż teraz. Nie da się ukryć, że nie były to perspektywy, za które dałbym się porąbać. Ale Bayard miał rację... w końcu jakaż różnica, tu czy tam... Mówił zresztą jak najbardziej poważnie.

— Weź się w garść i włącz mi na ramiona. Uczyniłem to i okazało się, że do okna mam całkiem blisko — było znacznie niżej niż okno Enid w twierdzy di Caelów. Skoczyłem, chwyciłem za parapet i podciągnąłem się w górę. Zajrzałem do mrocznej komnaty.

W dole Alfric błagał Bayarda, ten zaś odpowiadał, że nic z tego, Alfric jest za ciężki na takie wyczyny, potrzebują go zresztą w bitwie, której nie da się uniknąć.

— Przestań jęczeć i stań gębą do ogrodu — wtrącił sir Robert. — Nadejdą z tej strony albo nie znam się na taktyce.

Położywszy sztylet na parapecie, zatrzymałem się na chwilę i obejrzałem za siebie. Bayard z mieczem w dłoni zadarł ku mnie głowę.

— Spróbujemy przebić się do drzwi wejściowych — mruknął. — Powodzenia, sir! — szepnąłem.

— Pospiesz się! — odparł, potem uśmiechnął się i niespodziewanie mrugnął do mnie... co było zwyczajem absolutnie niesolamnijskim.

— Chłopcze, niech cię wiedzie szczęście Łasicy... które, jak sądzę, do tej pory ci sprzyjało. Nie zatrzymując się, aby pomyśleć — co powinienem był uczynić — dałem nura w głąb mrocznej komnaty.

Udało mi się zrobić trzy kroki i po kolana zapadłem się w podłogę. Wezwałem Bayarda, ale stłumiłem wrzask, gdy usłyszałem, jakim echem rozlega się w korytarzach twierdzy... i dobiegł mnie szcęk broni pod oknami — teraz odległymi, zda się, o tysiące mil.

Szarpnąłem się, wpadłem jeszcze głębiej i przypomniałem sobie jamę z błotem na Bagnach Wardenów. Wyobraziłem też sobie, że wchłania mnie mroczne serce Skorpiona. Zacząłem macać na oślep i w odległości wyciągniętego ramienia znalazłem coś solidnego i twardego. Rzucając się w pustkę niczym pływak w mrocznej sadzawce wypełnionej czymś gęstszym od wody, w końcu jakoś

zaciśnąłem palce na krawędzi posadzki i wydobyłem się z jamy. Aby odkryć, ku swemu zdumieniu, że jestem zupełnie suchy.

— Co jest, u licha? — szepnąłem, macając posadzkę przed sobą, aby upewnić się, że w komnacie nie ma innych jam. Dotknąłem przy tym sztormowej lampy, nietkniętej i leżącej na boku.

Podniosłem ją i zacząłem szperać po kieszeniach w poszukiwaniu krzesiwa — niestety, znalazłem jedynie rękawice. Przez chwilę kłąłem niczym stajenny, a potem ustaliłem ogólny rozkład piętra — to znaczy przypomniałem sobie położenie komnaty Enid w prawdziwym zamku di Caela. I jak ogromny krab zacząłem przedzierać się ku wyjściu, macając posadzkę w poszukiwaniu miejsc, w których nie była całkowicie materialna.

Drzwi odnalazłem, kierując się płynącym spod nich światłem. Korytarz był rozjaśniony niesamowitym blaskiem pochodni, inaczej nieco niż korytarze w zamku di Caela. Zresztą korytarz ów niezupełnie przypominał tamte. Brakowało drobnego, nieokreślonego szczegółu.

Nie zrobiłem i pięciu kroków, kiedy dotarło do mnie, w czym rzecz. Mechaniczne ptaszki. Te uszkodzone przez Enid, która serdecznie ich nie cierpiała w skądinąd szczęśliwym dzieciństwie. W korytarzach Gniazda Skorpiona panowała cisza. Usiadłem na posadzce, usiłując rozpoznać korytarz, i spostrzegłem, że

w niektórych miejscach ściany przewiercały jakby małe wiry, nierzadko przekraczające rozmiarami pięć dorosłego mężczyzny. Wyglądały jak jakieś absurdalne ozdoby. Obracały się równomiernie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, szare niczym otaczające je kamienie, ale nie stałe na podobieństwo cieczy i nieznacznie migocące w świetle pochodni. Te ściany, jak i posadzka, mogły pochłonąć nieostrożnego wędrowca.

Odsunąłem się od nich i usiadłem pośrodku korytarza. Oddychałem chrapliwie i dźwięk ten wyprzedzał mnie, podróżując w głąb warowni Skorpiona, gdzie mieszał się z innym, dziwnie regularnym i denerwującym. Był to odgłos terkotania i tykania. A więc był tu choć jeden mechanizm.

Wyłącznie ciekawość i wścibskie zainteresowanie sposobami, w jakie inni urządzają swe domostwa, kazały mi poszukać mechanicznego ptaszka. Wiedziałem zresztą, iż dźwięk dobiegał od strony rozległego podestu, pod którym leżało główne wejście do zamku — drzwi, które kazał mi otworzyć Bayard.

Opierając się na wspomnieniach z twierdzy di Caelów, domyśliłem się, gdzie jestem. Posuwając się ostrożnie wzdłuż korytarza, obserwując cały czas posadzkę, aby unikać wirów ciekłego kamienia, trafiłem do rozległego westybulu. Stamtąd trafiłem prosto na ów podest, gdzie wreszcie mogłem oprzeć się na balustradzie, którą wcześniej sprawdziłem.

Ruszyłem dalej i skręciłem w prawo, do sali z posągami. Tu też byli marmurowi di Caelowie, ale żadnego nie pamiętałem z sal pałacu sir Roberta.

Posągi te bowiem przedstawiały najmroczniejsze fragmenty historii rodziny.

Była tu więc Mariel di Caela, leżąca na marmurowym dywanie, której w gardło, piersi i oczy wgryzały się marmurowe koty. Rzeźba wyglądała niesamowicie z powodu kontrastu pomiędzy bielą i gładkością materiału a okropnością przedstawianej sceny. Był też Denis di Caela zamykający w marmurowej klatce marmurowego szczura. Simon di Caela, wygrzewający się na piasku jak wielka iguana, wyglądał przy Mariel niemal beztrudnie. I niezbyt przyzwoicie.

Nad wszystkimi górował jednak wizerunek, którego wcześniej nie widziałem — zakapturzona postać, siedząca na szkieletowym, obsypanym skorpionami tronie. Stary Benedykt di Caela, który wstąpił na tron wbrew knowaniom i wysiłkom braci.

Przemknąłem obok drzwi, które w bezpieczniejszym świecie — jego wspomnienia były mi teraz

pociechą — należałyby do Danelle, i poszedłem na prawo, unikając pułapek ciepłego kamienia, potem skręciłem w lewo, następnie ponownie w prawo, aż wreszcie wkroczyłem do korytarza, gdzie na malowidle wrzał milczący i wieczny bój przy oblężeniu Ergoth.

Na końcu tego szerokiego korytarza zgrzytał mechaniczny ptak, który w kółko śpiewał tę samą melodię. Gdy ptaszyna ucichła, usłyszałem głosy. Owe głosy, oba nabrzmiałe gniewem, dochodziły zza drzwi położonych naprzeciwko malowidła. W zamku di Caela komnata za tymi drzwiami miała balkon otwierający się na salę biesiadną.

Uchyliwszy lekko drzwi, ujrzałem za nimi mrok i poczułem woń kosztownej odzieży tudzież nikły zapach stęchlizny. Wszystko kryły ciemności, ale dzięki temu mogłem skupić swą uwagę na głosach.

Jeden z nich był wysoki, dźwięczny i melodyjny, drugi niski, przesłodzony i pobrzmiwający groźbami. Enid i Skorpion.

Którzy — sądząc z wszelkich oznak — pogrążeni byli w zaciekłym sporze.

Stałem w odległości nie większej niż sześć stóp, za zasłonami przypominającymi te z zamku di Caela — odtworzonymi z drobiazgową dokładnością z aksamitu i koronek — o ile mogłem dostrzec w panującym na balkonie półmroku. Po drugiej stronie zasłon to przycichały, to rozlegały się głośniejsze głosy spierających się zaciekle rozmówców. Zamknąłem za sobą drzwi.

— Pamiętaj, moja droga, że jesteś moim więźniem. — W głosie Skorpiona brzmiała pogroźka.

Enid jednak — oby sprzyjali jej bogowie — wcale nie zamierzała ustąpić.

— Kuzynie Benedykcie, musisz się zdecydować. Albo jestem twoim więźniem, co oznacza, że powinieneś zamknąć mnie pod kluczem, jak to zwykle czyni się z więźniami, albo jestem obiektem twych zalotów... ale w takim przypadku muszę ci rzec, iż nie darzę cię większą sympatią niż... niż to robactwo pod drzwiami.

— A gdybym tak zechciał cię rozwiązać, lady Enid? — Skorpion uciekł się do starych sztuczek z głosem, który zabrzmiał słodko, dźwięcznie i łagodnie. — Jeśli to uczynię, czy poświęcisz mi więcej... uwagi?

—

Powoli przemknąłem do miejsca, w którym zasłony można było nieco rozsunąć i skąd sączyło się nikłe światło. Uważnie badałem posadzkę dłońmi, pamiętając o moich doświadczeniach w komnatach i na podeście... i o tym, jak Alfric zbłądził się na balkonie w zamku, gdzie balustrady i posadzki były z solidnego kamienia.

Odpowiedź Enid usłyszałem w chwili, kiedy ostrożnie rozsuwałem ciężkie aksamity. Głos dziewczyny zabrzmiał więc mocniej i dźwięczało w nim przemieszane z drwiną rozbawienie.

— O... zacny Benedykcie. Choćbyś mnie rozwiązał i pozwolił odejść z zamku, nadal będziesz mi obojętny. Mogłabym jedynie prosić sir Roberta, aby był dla ciebie łaskawszy, gdy przybędzie mnie uwolnić.

Grała na zwłokę i nie najgorzej jej to wychodziło. Wyjrzawszy zza zasłony, zobaczyłem oboje rozmówców.

Enid siedziała na prostym, drewnianym krześle z wysokim oparciem — jasnowłosa, brązowooka i uderzająco piękna. Oprócz tego nieustraszona i wściekła. Naprzeciwko niej siedział stary Benedykt — Skorpion z moich koszmarów — Zakapturzony i zgarbiony na swym szkieletowym tronie, wyglądającym — o dziwo! — znacznie skromniej, mniej złowrogo i bardziej krucho niż na bagnach.

— Sir Robert! Sir Robert! — rzucił Skorpion z drwiną w głosie. — Moja droga, twój ojciec jest pyszałkowatym i nieodpowiedzialnym durniem.

— Nie inaczej... i właśnie dlatego wykradłeś mu córkę, zamiast rozprawić się z nim wprost, nieprawdaż? — spytała Enid zjadliwie.

— Sądziś, że przybędzie ci na ratunek... Ależ tak, lady Enid, przybędzie... prosto w objęcia moich wojowników, pod miecze i kordelasy od dawna nieżyjących Nerakańczyków — „martwych, co powstaną z traw”, jak nazywa ich stare proroctwo. Poczuj moc żądła Skorpiona, moja słodka.

Odchyliwszy się ku oparciu tronu, Skorpion roześmiał się tryumfująco i mściwie. Spomiędzy fałdów szaty wyjął coś, co zaśniło i zamigotało, a gdy zaczął ponownie mówić, wisior zakołysał się w jego dłoni, bujając się miarowo w tył i przód — i groźny Skorpion wydał mi się nagle groszowym, jarmarcznym hipnotyzerem.

Niestety, nie zauważyłem szarości wirującej w ścianie obok balustrady, a potem zdążyłem tylko złapać się za słony. Mój stłumiony okrzyk paniki nie uszedł jednak uwagi rozmówców. Enid i Skorpion spojrzeli na mnie jednocześnie. Wtedy to zobaczyłem wyraźnie, że dłonie dziewczyny przykrępowane

są mocno do poręczy krzesła. Oczy zaś Skorpiona zapłonęły czerwienią, błękitem i bielą.

— Witaj, Łasico — zamruczał, obejmując poręcz tronu mocniejszym uściskiem, aż zbieleły mu knykcie. — Szykowaliśmy się właśnie, aby porozmawiać o... tobie.

Rozdział dziewiętnasty

MOŻEMY, JEŚLI WOLA, porozmawiać o tym później — zaproponowałem, Skorpion jednak nie raczył skorzystać z mojej oferty. Pochylił się na tronie — jego oczy mieniły się teraz wszystkimi barwami tęczy, choć ich źrenice były białe jak żar paleniska.

— Myślę, że na nic mi się już nie przydasz! — syknął, a z jego głosu zniknęły owe dźwięczne nutki. Nasz wróg przemawiał ochryple i niemal nie jak człowiek. Znaleźliśmy się na jego terenie, gdzie nie musiał się już maskować. Palcem, z którego zwisał złoty wisior, wskazał posadzkę przede mną.

Miejsce, na które skierował palec, zaczęło wirować i lśnić jak ściany i posadzka komnat, które minąłem, zanim tu dotarłem. Wir ten był jednak kwintesencją mroku i nie przypominał wcale tamtych, ołowianych, które ożywiały ściany i kamienne podłogi. Zmrużyłem oczy i spojrzałem uważniej.

Posadzkę pokrywała warstwa skorpionów. Jadowite bractwo wiło się i mrowiło w świetle pochodni, a wszystkie żądła były uniesione do ciosu. Gdyby przyszło mi runąć w ich gęstwą, spadając modliłbym się, aby zabił mnie upadek.

Powoli i ostrożnie podjąłem próbę wspięcia się po zasłonach i przejścia nad balustradą, modląc się do Gileana, Mishaka i wszystkich bogów, którzy przyszli mi na myśl, o solidną cieszko balustrady i mocną tkaninę w zasłonach... i żadnych więcej iluzji. W komnacie znów zaskrzeczał mechaniczny ptak.

Westchnąłem i szepnąłem do siebie: — Teraz, Łasico, włącz na drzewo i zmykaj!

I wtedy ujrzałem ogromnego skorpiona w lśniącym, czarnym pancerzu, który podniósłszy zakończony żądłem ogon, zaczął powoli wpełzać na zasłonę, czepiając się jej krawędzi i frędzli. Takie rzeczy przeżywa się wyłącznie podczas najpaskudniejszych nocnych koszmarów. Sięgnąłem ku balustradzie i... moje palce przeszły przez nią, jakby została utkana z dymu.

W pobliżu nie było więc niczego, na co mógłbym się wspiąć, aby uratować życie. Niczym człek zląający w dół po linie, opuściłem się po zasłonie i wtedy przypomniałem sobie o kłębiącym się przede mną jadowitym bractwie. Zastygłem w miejscu, nie mogłem bowiem zdobyć się na decyzję — posuwać się dalej, zamrzeć w bezruchu, czy też zleźć z zasłony.

— Precz! — syknąłem. Stwór przystanął i zaczął kiwać z boku na bok żądłem, co przypominało trochę ruchy liścia, obracającego się to ku słońcu, to ku wilgoci. Potem ponownie ruszył w moją stronę i jakby napawając się moim przerażeniem, zamarł na złotym węźle w odległości może jarda od moich dłoni.

— Cóż za bohaterstwo! — zadrwił Skorpion. — Stworzenie dziesięciokrotnie od ciebie mniejsze, a ty cofasz się przed nim, jakby było... trucizną... — Jego chichot przeszedł niemal w histeryczny pisk, skorpiony pokrywające posadzkę zaczęły poruszać się i chrzęścić żwawiej pancierzami, a Enid zakryła uszy.

— Benedyckie, zamiłowanie do uczciwej walki nie jest twoją cnotą! — zawołała gniewnym głosem. Usiłowała powiedzieć coś jeszcze, ale jej słowa przepadły w coraz głośniejszym chichocie Skorpiona.

Po chwili Benedykt jakoś opanował atak histerycznej wesołości i spojrzał na mnie. Uśmiechnął się z jakąś dziwną, przewrotną czułością, ja zaś ujrzałem, jak jego płonące źrenice zapadają się w głąb czaszki, której zarys występował już całkiem wyraźnie spod pożółkłej skóry.

— Galenie Pathwarden, czy nie jest prawdą, że nieźle mi się przysłużyłeś? Pełznący ku mnie stwór przystanął, jego pan zaś mówił dalej:

— Nagrodą za twe usługi będzie to, że przeżyjesz swoich przyjaciół. Enid obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem; pewnie przypomniła sobie wszystkie moje zdrady i przewierstwa. Zrobiłem przepraszającą minę i wrzusiłem ramionami, co nie jest łatwą rzeczą, jeśli wisi się na aksamitnej zasłonie.

Twarz dziewczyny złagodniała. Spojrzeliśmy na siebie, oboje jednak bezsilni. Dyndałem na zasłonie i niczego nie mogłem zdziałać. Pode mną i nade mną jadowite stwory czekały tylko na rozkazy. Skorpion rozmyślnie zwlekał, napawając się moją niemocą i swoją przewagą.

Gdzieś z daleka dobiegł dźwięk łomotania w drzwi — te same, które miałem otworzyć. Skorpion ironicznym gestem przyłożył zwiniętą w trąbkę dłoń do ucha.

— Moja droga, mamy gości! Nie wstawaj, ja ich przyjmę — rzekł i ponownie wybuchnął histerycznym śmiechem. — Jeśli się nie mylę, przybywa mój teść. Zwrócił swe płonące spojrzenie na moją skromną osobę.

— To ja miałem rację. Mimo twoich słownych sza-chrajstw i nocy spędzonych na czytaniu poezji i ćwiczeniu się w solamijskiej dworności, to ja odczytałem prorocstwo właściwie, a nie znający je od dawna Bayard i nie sir Robert, który przeżuwał latami jej treść, podobnie jak jego ojciec i dziadek! Miło mi pomyśleć, że została we mnie odrobina... poetyckiej duszy — naigrawał się z nas, oparłszy się o tron.

— Nawet jeśli tak jest, wuju Benedyckie, to założę się, że niedługo już pozostaniesz poetą — odcięła się Enid. — Milcz, dziecko — odparł Benedykt miękko i niemal pieszczotliwie.

— Twoja... noc poślubna nadchodzi.

Z fałdów swej szaty wy dobył lśniący sztylet. Ostrze broni zapłonęło od blasku pochodni, gdy Skorpion ułożył sztylet na oparciu tronu. W tejże chwili drzwi sali biesiadnej zatrzęsły się i z hukiem wyleciały z zawiasów.

W przejściu pojawili się sir Robert i Bayard z nagimi mieczami w dłoniach. Palce lewej ręki sir Roberta zaplątane były w czuprynę Alfrica, za którą rycerz trzymał mego dzielnego brata, uniemożliwiając mu ucieczkę. Alfric sapał i ciężko dyszał.

— Witajcie — odezwał się Skorpion złowieszczo. — Czekałem na ciebie... Bayardzie Brightblade. I na ciebie... sir Robercie. Nadszedł czas — nie mamy go zbyt wiele, ale chyba jakoś się z tym uporamy — aby rozstrzygnąć spór, który trwa już od stuleci. Przedtem jednak zajmijmy się wydarzeniami świeższej daty, rozwikłajmy dysputę sprzed trzydziestu zaledwie lat. —

Otworzył obie dłonie, wyciągnął je przed siebie i uniósł nad głowę. Wisior, zaplątany w palce lewej ręki, zwisał w dół, migocząc monotonnie.

— Niechaj moi przyjaciele dokończą sporu... podejmując go w miejscu, w którym przerwał go

wasz potężny i wszędobylski Zakon — oznajmił obojętnie. — „Niech martwi, co powstaną z traw, zniweczą klątwę nieustanną”.

Skorpiony pode mną nagle się rozbiegły, posadzka w sali zaczęła bowiem wzdymać się ku górze i pękać. Gdy uwaga mistrza skierowała się gdzie indziej, czyhający w górze stwór zaczął opuszczać się ku moim dłoniom.

— Nie ruszaj się! — syknąłem, usiłując wlać w swój głos odrobinę groźby, potem zaś, gdy zdałem sobie sprawę, że stwór może kierować się właśnie na źródło dźwięku, zamknąłem gębę tak szybko, aż niemal przygryzłem sobie język. Wolną ręką sięgnąłem ku pasowi, gdzie wisiał mój sztylet... Gdzie przedtem wisiał mój sztylet.

Przypomniałem sobie parapet, przez który wdarłem się do zamku, i błysk światła na lśniącej klindze. Mój sztylet został poza moim zasięgiem... o jakieś trzy korytarze. Desperacko zacząłem grzebać po kieszeniach, szukając czegoś ciężkiego i ostrego. I natknąłem się na coś szorstkiego, grubego i skózanego.

— Rękawice! — syknąłem, a skorpion natychmiast przesunął się ku mojej dłoni, zatrzymując się w odległości stopy.

Zacząłem wdziawać rękawicę, posługując się zębami i drugą ręką. Wykonywałem podczas tego ruchy, które w innych okolicznościach uznałbym za wyjątkowo skomplikowane, jeśli nie wręcz niemożliwe ćwiczenie akrobatyczne. Zręczność zawsze jednak była moim atutem... choć godzi się rzec, że na kotarze w zamku Skorpiona została wystawiona na ciężką próbę.

Kupiec, który sprzedał mi te rękawice, zachwalał, że są „wyjątkową wytrzymałe, paniczu... w razie potrzeby sprostają nawet pchnięciu noża”. Teraz miał je poddać próbie skorpion, który wisiał na zasłonie w odległości sześciu cali od mojej dłoni i posuwał się w dół na swych pajęczych nogach. Sięgnąłem w górę i chwyciłem bydlę w garść, zaciskając dłoń tak mocno, jak tylko mogłem.

Usłyszałem trzask pękającego pancerza i poczułem dotknięcie na przegubie. Śmiertelnie niebezpieczny ogon wymknął się spomiędzy moich palców, wygiął w łuk i kilkakrotnie nieszkodliwie dziobnął żądłem w grubą, odporną na ciosy skórę rękawicy.

Pierwszy raz w życiu spotkałem kupca, który nie zełgał. Odrzuciłem resztki stworu i patrzyłem, jak opadają na posadzkę sali. Która wybuchała teraz wokół moich przyjaciół.

Przez kurz i pryskające na wszystkie strony kamienie widać było powstających spod ziemi wojowników. Niektórzy mieli na głowach hełmy zdobne rogami minotaurów, dawniej i obecnie ulubione przez Narakancyków. Wszyscy dzierżyli siejące wśród przeciwników grozę szable i półksiężycowate tarcze Korpusu Zachodniego, oddziału, który trzydzieści lat temu legł na przełęczy Chaktamir wycięty w pień przez rycerstwo Enryka Stormholda — a wśród tamtych mężów był i mój ojciec.

Skorpion obserwował spokojnie, jak jego wojownicy dźwigali się z ziemi i stawali w szyku, zwracając się ku sir Robertowi, Bayardowi i Alfricowi. Z włosów i strzępów odzieży martwych wojów zwisały pasma pleśni, przez przegniłą skórę przezierały pożółkłe kości. W sali biesiadnej śmierdziało teraz jak w dawno nie czyszczonej rzeźni.

Alfric wyrwał się sir Robertowi, zostawiając mu w garści sporą kępę rudych kłaków, i skoczył ku drzwiom. Natychmiast jednak zatrzymał się i cofnął ze zmienioną twarzą, gdyż zza drzwi rozległy się nowe okrzyki — skrzekliwy, zniekształcony wrzask bojowy martwych, na krótko wyrwanych śmierci wojowników.

Szybko zacząłem spuszczać się w dół, sprawdziłem położenie balkonu i znalazłem wreszcie oparcie po niemal wieczność trwającej chwili macania na oślep stopą. Ale z tej wysokości mogłem tylko bezsilnie patrzeć na mrowie nowych przeciwników, którzy zwracali się przeciwko nam.

Bayard i sir Robert stanęli do siebie plecami, tak że mogli jednocześnie obserwować wejście do sali i wewnętrzny korytarz. Alfric podjął daremną próbę wciśnięcia się pomiędzy nich, lecz sir Robert odepchnął go łokciem i syknął:

— Chłopcze, weź się w garść! W tej potrzebie przyda nam się nawet najgorszy z szermierzy!

Alfric wybełkotał coś niezrozumiale i wyciągnął miecz. Nerakańczycy tymczasem zbliżali się nieubłaganie do moich przyjaciół.

Skorpion wstał z tronu, podszedł do krzesła, na którym siedziała Enid, i spokojnie zaczął rozwiązywać krępujące jej dłonie rzemienie. Dziewczyna — choć niewątpliwie poruszył ją widok istot, które Skorpion wezwał spod ziemi — nie zamierzała krzyżeć czy błagać o litość. Zamiast tego wymierzyła swemu prześladowcy cios w pierś, który odrzucił go w tył, ale zanim zdążyła mu się wymknąć, Skorpion szybko, niczym atakująca żmija, chwycił ją za rękę.

— Chodź ze mną! — syknął, ciągnąc Enid ku swemu siedziszczu, gdzie na poręczy leżał gotów do użycia sztylet. Chrząszczące morze czarnych skorpionów rozstąpiło się przed nimi, tworząc przejście wiodące do stóp tronu. — Na stopnie, moja droga — ponaglił dziewczynę mściwy krewniak. Wtedy to właśnie — zbyt późno wprawdzie, jak się obawiałem, lecz mimo to szybko i skutecznie — Bayard Brightblade zaczął wyrąbywać sobie drogę pomiędzy Nerakańczykami. Potrzeba skuwa niekiedy dłonie szermierza, ale ruchom Bayarda przydała szybkości błyskawicy. Pięciu przeciwników padło tak szybko, iż sir Robert zdołał jedynie z najwyższym trudem dotrzymać kroku młodszemu rycerzowi. Za sir Robertem podążał Alfric, blady jak giezło i wymachujący bezładnie mieczem.

W jednej chwili umilkły wrzaski, pojękiwania i ryki. W sali biesiadnej zapadła cisza, w której słyhać było tylko człapanie stóp dawno skutych przez śmierć, chrząst panczerzy skorpionów i mlaszczący dźwięk wydawany przez tnący nieubłaganie wrogów miecz Bayarda.

Nerakańczycy jakby ustawiali się do egzekucji. W połowie drogi Bayard jednak zwolnił tempo, gdyż gromadził się wokół niego coraz wyższy stos ciał, jako że powaleni wrogowie padali i ponownie wracali popychani przez napierających z tyłu. Mimo to cofali się, jakby nie mogli sprostać wyzwaniu, które stanowił dla nich nieustępliwy i bezlitosny obrońca dobrej sprawy.

Tymczasem oddzielony od Bayarda swym legionem gnijących wojowników Skorpion podniósł nóż.

— Stójcie! — wrzasnąłem rozpaczliwie i mój głos niczym kwik przeszył rozległą salę. Miecz Bayarda zawisł w powietrzu, sir Robert znieruchomiał tuż za nim. Dłonie starego rycerza wyciągnięte były ku Skorpionowi w milczącym, błagalnym geście. Wojownicy nerakańscy również opuścili oręż i bezmyślnie wpatrywali się w stojącego na podwyższeniu wodza.

Skorpion bowiem na chwilę również znieruchomiał. Potem w jego oczach błysnęło czerwone światło, gdy skierował na mnie wzrok.

— Myślisz, że świetnie wytłumaczyłeś proroctwo i żadnego wiersza nie zostawiłeś bez wyjaśnienia, prawda?

Spojrzałem na Bayarda... który uniósłszy miecz nad głową, wpatrywał się we mnie.

Szybko, Bayardzie. Uderz jak atakujący wąż. Niechaj to gniazdo skorpionów ujrzy trochę solamnijskiej szybkości. Liczyłem na to, ale Bayard się nie ruszył. Sztylet Skorpiona nadal wisiał nad szyją Enid, musiałem więc mówić dalej.

— A jeśli się mylisz, Benedykcie? W końcu to ty sam udowodniłeś, że Bayard źle odczytał proroctwo. Pomylił się i sir Robert. A może na tym nie koniec, może i ty popełniłeś błąd? A jeśli jakiś szczegół umknął waszej — twojej, Bayarda i sir Roberta — uwadze i rymowanek przepowiedni można odczytać jeszcze inaczej? Zabijesz pannę młodą, ale ród na niej nie wygaśnie. Sir Robert może jeszcze mieć dzieci i oto pojawią się kolejni di Caelowie, którzy staną na twej

drodze za każdym razem, gdy zechcesz odzyskać swe dziedzictwo.

— Dlatego właśnie zabrałem ją tutaj, głupcze! — oznajmił Skorpion. — Mam oto w swej mocy wszystkich di Caelów i ród skończy się wraz z ich śmiercią.

— Może tak... A może nie! — odpowiedziałem tryumfalnie. Przyszedł mi bowiem do głowy nowy pomysł i pojąłem nagle, że ma on równe szanse na urzeczywistnienie jak każda inna historia, poemat czy prorocstwo, jakie do tej pory słyszałem. Moje myśli pędziły jak szalone, wszystkie zaś skupiły się wokół bladej rączki machającej latarnią w zamkowym oknie. — Czy jest ci, panie, znane imię Danelle di Caela?

Dłoń trzymająca sztylet zadrżała. Bayard zebrał się w sobie, aby skoczyć na podwyższenie, Skorpion jednak błyskawicznie odwrócił się i przyciągnawszy Enid ku sobie, przyłożył sztylet do jej krtani. Robactwo pod jego stopami poruszyło się nerwowo.

— Cofnij się, Solamniczku! Pal licha prorocstwo, jeśli podejdziesz bliżej, wyślę dziewczkę do Hiddukela! — Tak czy owak, „...piękna panna przejmie dziedzictwo na kasztelu” — wypaliłem. — Jeśli zabijesz teraz Enid, któż, jeśli nie Danelle, będzie dziedziczył po sir Robercie?

— Nic z tego — odparł Skorpion niewzruszenie. Złapał Enid tak mocno, że dziewczyna wydała okrzyk, który na moment go zaskoczył. Wskutek tego rozluźnił uchwyt i zdołała mu się — częściowo przynajmniej — wyrwać.

Wicie... Enid di Caela była nieodrodną córką swego ojca... i wcale nie zamierzała naśladować zachowania kruchych i słabych panienek w opresji. Nagle wymierzyła Skorpionowi podstępnego kopniaka w... udo, który cisnął naszego wroga na środek platformy, gdzie — aby odzyskać równowagę — musiał chwycić się tronu.

Ta chwila wystarczyła. Dziewczyna niczym jaskółka śmignęła pomiędzy ogłupiałymi Nerakańczykami i schroniła się w ramionach ojca...

Bayard zaś równie szybko stanął pomiędzy nimi a upiorną armią.

— Z-zabić ją! — zawył Skorpion, wskazując kościstym palcem na Enid, lecz było już za późno. Dziewczyna trafiła pod ochronę Bayarda Brightblade'a, który rozprawił się z czterema Nerakańczykami tak szybko i gładko, że jego miecz zniknął nam niemal z oczu, przekształcając się w migotliwą mgiełkę. Tylko mrowie wrogów stojących pomiędzy nim a Skorpionem umożliwiło temu ostatniemu przemknięcie ku odległym drzwiom. Za nim podążyła chrzęszcząca złowrogo armia jego poddanych.

25. Bohaterowie 03 - Szczęście łasicy

Wrzasnąłem radośnie i znów zacząłem opuszczać się po kotarze, niezbyt jednak szybko, sprawdzałem bowiem wytrzymałość materiału i musiałem uważać na mogące się kryć pośród fałdów robactwo.

Przez chwilę mogłoby się zdawać, że Skorpion zdoła uciec. Bayard zwałił na posadzkę kolejnego Nerakańczyka, uniknął cięcia szabli drugiego, trzeciemu zaś zdjął głowę z ramion szybkim ciosem miecza. Sir Robert sparował dość wolne pchnięcie szabli nerakańskiej i ściał dzierżące ją ramię. Ożywiony trup opadł na kolana i wtedy Alfric, do tej pory kryjący się za plecami Enid, przemknął za grzbiet wroga i wbił weń swój miecz.

Skorpion wszak poruszał się znacznie szybciej niż wycinający sobie drogę w gęstwie wrogów rycerze i rwał niepowstrzymanie ku wyjściu i wolności. Owinął się w czarną opończę i z cichą gracją wielkiego nocnego ptaszyska sunął w stronę odległych już o trzy zaledwie kroki drzwi.

I nagle, jak wyczarowani migotaniem jego tajemniczego kryształu, w drzwiach pojawili się sir Ramiro i Brithelm. Mieli poszarpane ubranie, a ich wygląd świadczył o wyczerpaniu — widać wiele kosztowała ich walka na przełęczy — mimo to obaj nie zamierzali zrezygnować z dokończenia zadania, którego podjęli się wcześniej. Ramiro z mieczem w dłoni ruszył na Benedykta z jednej strony, a Brithelm natarł z drugiej.

Skorpion podniósł wisior i setki małych bestii, wywijając zaciekle ostrymi żądlami, rzuciły się na Ramira.

Dłonie Brithelma spowiła czerwona poświata i posadzkę komnaty pokryła sieć ognistych błyskawic, która pochłonęła jadowite stworzenia. Skorpiony, na całej przestrzeni posadzki pomiędzy moim bratem a ich zakapturzonym wodzem, zaczęły się skręcać w śmiertelnej męce i jeden po drugim nieruchomiały. Wiele z nich obracało żądła przeciwko swoim współplemieńcom.

Powoli opadł ogień, którym zajęły się resztki czarnej armii. I wtedy usłyszałem głos mojego brata. — Żal mi cię. Nawet takiego, jakim jesteś... żal mi. Skorpion cofnął się — o krok. Nadal chyba nie zamierzał

zrezygnować z myśli o zwycięstwie. Ostrożnie cofnął się w róg komnaty, przeszukując ją spojrzeniem czerwonych źrenic. Ponownie uniósł dłonie i ziemia zadrżała.

— O, to jeszcze nie koniec... durnie, SolamniJCzycy... po dwakroć durnie! — zaskrzeczał. — Zebraliśmy się tu, pod dachem z kamienia, chmur i baśni, aby dopełnić proroctwa... i rozstrzygnąć wszystko raz na zawsze. Nie będzie żadnej Danelle z di Caelów! Tu rozstrzygnie się los rodu! Przypomnijcie sobie, że... „martwi, co powstaną z traw, zniweczą klątwę nieustanną!” Widzieliście zaledwie połowę niegdysiejszych dyskutantów. Spójrzycie więc na pozostałych! Ziemia ponownie zaczęła wybuchać i nowi zbrojni wyłonili się na powierzchnię. Pierwszy z nich dźwigał tarczę rodu Stormholdów. Znieruchomiałem tam, gdzie wisiałem, w połowie kotary.

— Wzrok cię nie myli, Bayardzie Brightblade! — zawołał Skorpion. W jego głosie drżały nutki obrzydliwej radości, gdy martwi od dawna rycerze solamniJCy wstawali z ziemi i sięgali po broń. — Nerakańczyków wesprą w boju członkowie twego własnego zakonu! Śmierć równa wszystkim... członków wszystkich ras, płci i stronnictw łączy jednakowa nienawiść do żywych!

Martwi SolamniJCy ustawili się w hufiec liczący ponad setkę wojowników. Niezręcznie i beładnie wyciągnęli miecze w starym zakonnym salucie. Wykonany ich szarymi, na poły przegniłymi dłońmi gest był prawie nierozpoznawalny.

Bayard opuścił swój oręż. Współ z towarzyszami, z sir Ramirem i sir Robertem, cofnął się

przed pokrytymi ziemią rycerzami i zionącym od nich zapachem śmierci.

Śmierć może i równa wszystkich, ale jak to powiedział Brithelm?, „Istnieją więzy silniejsze od śmierci”.

Wydając bojowy okrzyk, świszczący i niewyraźny, który jednak zdołał wstrząsnąć salą biesiadną, martwi Solamniczycy unieśli oręż i runęli do ataku. Prosto na oczekujących ich wsparcia Nerakańczyków.

Po dziesięcioleciach śmierci i zapomnienia rycerze obudzili się, aby bronić kraju przed napaścią wojowników z Ne-raki. Niektóre więzy są mocniejsze od śmierci... na przykład rota starej przysięgi. Est Sularus oth Mithas. Mój honor jest moim życiem. Taki właśnie okrzyk wzniosły spękane wargi martwych rycerzy. Na ten okrzyk zachowali od trzech dziesięcioleci resztkę tchu w piersiach. Teraz go wydali.

— Nie! — krzyknął Skorpion ujrawszy, że niepomni jego poleceń martwi wojownicy skrzyżowali ze sobą broń w starym, rozgorzałym na nowo sporze. — Rozkazano wam...

Nie miał czasu dokończyć, bo Bayard Brightblade skoczył ku niemu, przebijając się przez tuziny szalejących w sali potyczek jak nóż przez oselkę masła. Spod swej czarnej szaty Skorpion wydobyl więc miecz, którego ostrze wykonane było z ciemnej stali. Klinga pochłaniała żółtawe światło pochodni niczym bryła onyksu i łotr uniósł ją w samą porę, by sparować cios Bayarda, którego siła rzuciła go na kolana.

Obaj przeciwnicy zamarli na chwilę w bezruchu — Bayard napierał na ostrze całym ciężarem ciała i mocą ramienia, Skorpion zaś odpychał je z krzepą kilkunastu ludzi. Wisior dyndał bezładnie z jego lewej dłoni, którą podparł prawicę, aby nie ulec naporowi Bayarda. Obaj przeciwnicy zastygli w rogu komnaty — przez moment nawet mogłoby się zdawać, że jasna klinga zwycięża... srebrzysty jęzor wykutego przed setkami lat miecza Brightblade'ów zbliżał się nieubłaganie do twarzy jego przeciwnika.

Z wrzaskiem, w którym pobrzmiwało szaleństwo, Skorpion odepchnął Bayarda. Rycerz cofnął się chwiejnie i padł na tron uzurpatora, a odziany w czerń łotr ruszył ku niemu.

Oczy Benedykta płonęły tryumfalnym blaskiem, w jego lewej dłoni lśnił zwycięsko wisior, prawą wznosił już miecz do ostatniego ciosu. W kątach komnaty rozległ się chrzęst pancerzy niezliczonych stworów, żwawo biegnących, aby dołączyć do swego pana.

Czując się jak dyndająca na sznurku kukła, wspiąłem się nieco wyżej i wrzasnąłem do Bayarda: — Wisior!

Zrazu sądziłem, że mnie nie usłyszał, ponieważ z trudem dźwigał się na nogi, w czym niewątpliwie przeszkadzał mu ciężar sztywnej zbroi. Mój okrzyk dotarł jednak tam, gdzie chciałem.

Bayard uchylił się przed niemal pionowym ciosem miecza Skorpiona i błyskawicznym, płaskim cięciem przerąbał lewy nadgarstek przeciwnika. Odcięta dłoń śmignęła w powietrze i niczym czarny pajak wylądowała na posadzce... gdzie wreszcie łańcuszek wisiora unieruchomił wijące się kurczowo palce. Skorpion zawył rozpaczliwie, podniósł w górę kikut lewej ręki i runął plecami w gęstwę robali, które sam wezwał z mroków.

Te zaś z ochotą rzuciły się na pozbawionego wisiora niedawnego pana, pokrywając go ruchliwą, czarną masą. Benedykt zaskrzeczał krótko, zadrżał i ucichł, gdy z chrzęstem wbiły się weń setki żądał rozjuszonych

upadkiem władcy poddanych.

I oto przez ściany komnaty strzeliły promienie światła, które zaczęły rozpraszać szarą mgłę... aż rozwiała się w rześkie, świeże powietrze górskiej przełęczy. Ziemia zadrżała pod naszymi stopami. Gniazdo Skorpiona okazało się ruiną. To, co pozostało z dawnej warowni — resztki fundamentów,

kilka ścian, schody wiodące donikąd — zaczęło rozpadać się w gruzy.

Na sir Roberta i Enid runęły zapadające się ściany i niewątpliwie oboje zginęliby pogrzebani pod lawiną kamieni, gdyby stary rycerz nie uniósł nad głową swej wielkiej solamnijskiej tarczy. Po kutym przed setkami lat metalu zabębniły kamienie i kawały zaprawy. I metal wytrzymał napór kamieni.

Wszędzie wokół nas ziemia pękała, kipiała i wzdymała się ciężko, jakbyśmy niespodzianie znaleźli się w ognisku trzęsienia ziemi tak gwałtownego i potężnego, iż można by pomyśleć, że oto na Ziemię ponownie obruszył się Kataklyzm, którym bogowie zapragnęli odmienić oblicze świata. Bayard z trudem utrzymywał się na platformie, na której tron Skorpiona, przed chwilą jeszcze wysoki, groźny i złowrogi, rozsypywał się właśnie w kawałeczki.

Rycerz gwizdnął na palcach i ze szczeliny skalnej wypadł — wierny swemu imieniu — Waleczny, za którym gnały pozostałe konie. Rosły wierzchowiec był spokojny, opanowany i posłuszny — choć koniom podążającym za nim niewiele brakło, aby wpadły w panikę. Toczyły pianę z pyska, parskwały z przerażeniem i łypały oczyma na wszystkie strony. Gdy zaczął drżeć grunt pod ich kopytami, poddały się instynktowi i podążyły za przywódcą, wodzem stada, który — na szczęście — zachował spokój. Zaledwie jeden koń i uparcie niezależne muły przepadły w zamęcie trzęsienia ziemi.

Pośród tego wszystkiego wokół nas bezładnie kroczyli i potykali się martwi od dawna wojownicy. Wracając pod ziemię, oddawali się ponownie objęciom śmierci i pokoju, na który i Nerakańczycy, i Solamnijszczyki zasłużyli trzydzieści kilka lat temu. Ziemia zamykała się nad nimi, kotłując się niespokojnie, a moi towarzysze, opanowawszy panikę wśród koni, zaczęli wsiadać na ich grzbiety i jeden za drugim ruszali galopem ku wyjściu.

— Bayardzie! — krzyknąłem, gdy rycerz umieszczał Enid na grzbiecie Walecznego. Upewniwszy się, że jest bezpieczna, rozejrzał się, sprawdzając sytuację innych. Cóż... na grzbiecie Walecznego nie było zatem dla mnie miejsca.

Obaj moi bracia tłoczyli się na koniu Brithelma, ponieważ muł Alfrica gdzieś przepadł. Trzepnąwszy konia po zadzie, Bayard wyprawiał dwu starszych Pathwardenów galopem przez ruchome zwirowisko ku leżącemu dalej stałemu gruntowi. Za nimi, na grzbiecie mej juczej kobyły, postępującej rozpaczliwie pod jego ciężarem, gnał sir Ra-miro.

— Skacz, chłopcze! — ryknął sir Robert, stając w strzemionach na grzbiecie wierzgającej Estrelli. W tejże samej chwili balkon, z którego zwisałem jak kryształ na wisiorze, zaczął kołysać się wstrząsany drganiem ścian.

— Sir Robercie, nie podjeżdżaj za blisko! — zawołał Bayard. — Lada moment wszystko się zawali. Galenie! Rozbujaj się na tej kotarze. Bujaj się ku sir Robertowi!

Twardy jak rzemień stary rycerz otworzył ramiona i ponaglająco kiwał głową. Zacząłem więc bujać się na zasłonie, z każdym wstrząsem balkonu wznosząc się coraz wyżej.

W tył i do przodu, w tył i do przodu... aż usłyszawszy, że coś za mną z łomotem pęka, puściłem się i frułem w powietrzu niczym polatucha, wprost ku Robertowi di Caela. Ufałem całym sercem, iż stary rycerz zdoła mnie złapać i wynieść z tego chaosu ku bezpiecznym krainom nizin.

Nie przewidziałem, że Estrella, poczuwszy kopytami kolejny wstrząs, drgnie nerwowo w fatalnie nieodpowiedniej chwili. Sir Robert rozpaczliwie chybnął się w tył, pochwycił jednak tylko powietrze. Ziemia ochoczo uderzyła mnie w twarz. I pochłonął mnie mrok.

Epilog

OBRAŻENIA GŁOWY SĄ DZIWNymi SPRAWAMI, jak objaśnił mi to później Bayard, który sam dostał w łeb w górach Vinga-ard. O tym więc, co stało się po upadku Gniazda Skorpiona, mam

częściowe tylko pojęcie. Pamiętam wszystko dokładnie dopiero od chwili, w której ocknąłem się w zamku di Caela, a ludzie wokół byli zajęci przygotowaniami do uczty zaręczynowej.

To, co stało się wcześniej, przedstawię wam, najlepiej jak umiem — opieram się przy tym na relacji Bayarda, niechętnych zeznaniach Alfrica, na tym, co zdołałem zapamiętać sam... i na niezbyt godnej zaufania opowieści natchnionego Brithelma.

Gdy Gniazdo Skorpiona rozpadało się w gruzy, pełne żądłacego na oślep robactwa, gdy wokół nas waliły się ściany zamku, ruszyliśmy pędem ku resztkom bramy, za którymi spodziewaliśmy się znaleźć schronienie dla nas i dziewczyny, będącej w końcu zwornikiem proroctwa.

Skały Chaktamir runęły w głąb jaru, zasypując Skorpiona i skorpiony, ich wspólne Gniazdo, a także wszystkich martwych Nerakańczyków i Solamnijczyków, nareszcie pogodzonych. Zatrzymaliśmy się dopiero u wylotu jaru, gdzie sir Robert, który niósł me ciało pod ramieniem niczym dywan do trzepania, przekazał mnie prosto w ramiona Brit-helma i Enid.

Enid. Gdybym był przytomny, zaczerwieniłbym się z zakłopotania jak burak. Enid jednak puściła mnie nagle i z okrzykiem niesmaku — co było pierwszą rzeczą, z jakiej zdałem sobie sprawę, gdyż upadek przywrócił mi przytomność. Oto bowiem tutaj, gdzie rozpoczynały się spokojne pagórkowate tereny Estwilde, sir Ramiro zawrzał otwartą wrogością wobec Alfrica. Obaj już wcześniej zgodzili się, że przy zdobywaniu Gniazda Skorpiona największym bohaterstwem wykazał się Bayard, ale nie mogli dojść do ładu ze sobą, ponieważ każdy uważał, iż następny w kolejności wieniec należy się jemu samemu. Spór, który zaczął się dość niewinnie, przybierał coraz ostrzejsze formy, aż skoczyli sobie do oczu i zaczęli bójkę.

Sapali z wyczerpania i dyszeli z wściekłości, gdy wkroczyła Enid i rozdzieliła walczących.

Nastąpiła długa seria przeprosin i zapewnień o braku urazy. Wkrótce też — jak mi powiedziano — Alfric i sir Ramiro doszli do siebie. Ja, niestety,

wciąż bełkotałem coś o centaurach, zwyczaju topienia podejrzanych oraz jeńców i ciągle domagałem się, aby przyniesiono mi moje kości.

Dopiero gdy opuściliśmy góry i wjechaliśmy pomiędzy wzgórza, przypomniałem sobie, że wyrzuciłem je nie tak dawno temu. Do tej pory spoczywają chyba gdzieś pomiędzy skałami i rumowiskami Estwilde.

Poprosiłem nawet Bayarda, abyśmy się zatrzymali, chciałem bowiem odnaleźć Calantinę i pragnąłem, aby mi w tym pomógł, on jednak orzekł, iż nie chce mieć niczego wspólnego z takimi — jak raczył się wyrazić — „idiotyzmami”, dodając, że wyrosłem już z wieku zabaw i wiary w fałszywe przepowiednie.

Skłonny byłem nawet się z tym zgodzić. Nie czułem szczególnie palącej potrzeby zerkania w przyszłość, dłonie jednak nadal mnie świerzbiły i chętnie pobawiłbym się czerwonymi kostkami i drewnianymi tabliczkami — choć nie wyjaśniały niczego przed faktem, wypisane na nich numery i odpowiadające im wersety świetnie pasowały do wydarzeń, które już się ziściły. Na jakiś czas dość miałem proroctw i planów.

Iskierki, które — wedle oczekiwań wszystkich — powinny zamigotać pomiędzy Bayardem i Enid, zostały skrze-sane podczas długiej drogi powrotnej do zamku di Caela. Równie żywe — choć całkowicie różnej natury — iskierki przelatywały pomiędzy sir Ramirem a moim bratem Alfrikiem. Przechwałki i bezczelne łgarstwa mojego brata mocno nadwerężyły cierpliwość rycerza z Południa. Uprzejmość sir Ramira wyczerpała się do cna u samych wrót kasztelu di Caela, kiedy to stary rycerz zepchnął Alfrica z konia i cisnął do fosy jedynie dlatego, iż — jak utrzymywał później — „jego pysk najlepiej się tam prezentował”.

Choć gotów był przyznać, że gęba Alfrica jeszcze lepiej wyglądałaby zatknięta na włócznie tuż

nad portykiem bramy.

Niewiele brakowało, aby Alfric nie przeżył nura do fosy, więc gdy tylko wyschła mu zbroja, ruszył z powrotem na Przymorze, prześladowany — jestem pewien — wizjami swego łba sterczącego na szczycie włóczni. Trochę narzekał, gnębiła go bowiem myśl o powrocie do ojca w zbroi, którą zabrał z zamczku tylko po to, aby dodać jej nowych zadrapań i wygięć. Staruszek pod nieobecność najstarszego syna niewątpliwie przeczesał całą okolicę i bosakami zbadał bagna, dręczony obawą, iż stracił dziedzica w wyniku porwania, utonięcia lub po prostu jego własnej głupoty. Alfric nie powinien spodziewać się ciepłego przyjęcia. Ulga, którą odczułem po odejściu Alfrica, mieszała się ze smutkiem,

ponieważ razem z nim opuścił nas Brithelm — i straciłem towarzystwo brata, którego serdecznie polubiłem. Brithelm miał udać się, z Alfrikiem do bagien Przymorza, gdzie zamierzał pozostać i zbudować pustelnię, o czym często mówił, gdy podążaliśmy tropem Skorpiona.

Gdy jednak moi bracia przekroczyli góry i zaczęli zjeżdżać na równiny, na których leżał nasz dom ojczysty, odkryli — co właściwie dla nikogo nie powinno być niespodzianką — że bagna zniknęły.

Centaury i okoliczni kmiecie utrzymywali, iż stopniowo, drzewo po drzewie i gałązka po gałązce, bagno cofało się i zmniejszało swą powierzchnię, aż pozostał zeń jedynie oryginalny domek na palach, stojący pośrodku rozległego pustkowia. Od domku niósł się smród kóz, zgnilizny i — jak utrzymywały centaury — czegoś, co irytowało je bardziej niż tamte nieprzyjemne wonie. Brithelmowi nie pozostało więc nic innego, jak towarzyszyć Alfricowi w drodze do rodzinnego zamczku, gdzie spędził kilka dni, naprawiając dość napięte stosunki z ojcem, który — jak słusznie podejrzewałem — nie był przesadnie zachwycony dokonaniem najstarszego syna.

Gdy pertraktacje dobiegły końca, Brithelm raz jeszcze wyruszył na wschód, gdzie wreszcie osiadł wśród kamiennych olbrzymów w górach Vingaard, tam gdzie Agion, Ba-yard i ja spędziliśmy noc, podczas której po raz pierwszy usłyszałem o prorocztwie w Księdze Vinasa Solamnusa.

Choć — nawet gdyby miało od tego zależeć moje życie — nie zdołałbym odszukać pustelni Brithelma w górach i choć Bayard przysiągł nigdy nie zdradzić miejsca jego pobytu, pewien jestem, iż mój brat cieszy się spokojem i dobrym zdrowiem. Jest nieco szalony i oderwany od spraw tego świata, można jednak na nim polegać w razie kłopotów.

Które — jak rozumiem — stały się od tamtej pory częstymi gośćmi w zamczku nad fosą. Ojciec wtrącił Alfrica na krótko do lochu — choć nie bardzo umiał umotywić wyrok — potem go uwolnił i zajął się jego przygotowaniami do fachu giermka. Alfric — jak słyszałem — nie ma czasu na dokuczanie służbie lub przemykanie flach wina do swej komnaty, wiarygodni zaś ludzie zapewniali mnie, że Gileandos raz tylko zajął się ogniem po powrocie mojego brata — dlatego zresztą, że podpalił sobie rękaw koszuli w prywatnej, tajnej gorzelnii. Alfric nie maczał w tym palców.

Ja — choć raz — miałem idealne alibi. Byłem w odległej o kilka setek mil Solamnii.

Któż zresztą wie... może Alfric się zmieni i zostanie całkiem znośnym giermkiem. Za kilka lat, kiedy pasują mnie na rycerza i będzie mi

potrzebny ktoś, kto zadba o mojego konia, wypucuje zbroję i oczyści miecz, może udam się na Przymorze i pogadam z ojcem o wzięciu do tej roboty jego najstarszego syna i dziedzica. Nie będę się wstydził trzydziestoletniego giermka — mogę wybaczyć wiele rzeczy... w tym nawet pewną tępotę.

Co więcej, zostanie moim giermkiem powinno w szczególny sposób inspirować drogiego mi brata.

Może kogoś z was dziwi moja wzmianka o tym, iż zamierzam zostać rycerzem — po tym

zwłaszcza, co mówiłem i myślałem o Zakonach. Cóż, nie mam właściwie wyboru, ponieważ wygląda na to, że w nagrodę za swe czyny odziedziczę znaczną posiadłość. Zamek di Caela i okoliczne ziemie.

Po dzisiejszej bowiem uczcie, na której zostaną dopełnione odpowiednie ceremonie i formalności, stanę się Ga-lenem z Pathwardenów Brightblade'em — adoptowanym synem i dziedzicem sir Bayarda Brightblade'a.

Za miesiąc zaś, po kolejnej uczcie i ceremoniach nawet dłuższych i nudniejszych niż dzisiejsze, gdy mój przybrany ojciec poślubi mą przybraną mateczkę, stanę Galenem z Pathwardenów di Caela Brightblade'em.

Zaloty były nieśmiałe i niemal zabawne, jako że oboje narzeczeni — Enid i Bayard — przywykli do kierowania się przepowiednią, z której uczynili główny drogowskaz życia... i nie bardzo wiedzieli, jak zabiegać o swoje względy.

Bayard uciekł się nawet do poproszenia mnie o pomoc w ułożeniu pieśni wielbiącej urodę Enid. Zrezygnował z tego pomysłu, gdy opowiedziałem mu, jakim skutkiem zostały uwieńczone moje wysiłki owej nocy, gdy Alfric postanowił odegrać rolę romantycznego kochanka. Bayard doszedł do wniosku, iż moja pomoc mogłaby mu przynieść pecha i od tamtej chwili nie radził się już mnie w sprawach sercowych.

A jednak, choć może wam się to wydać niewiarygodne, pomiędzy tym dwojgiem zakwitło szczere uczucie. Nie minął tydzień, kiedy — jak to się mówi — „ścieżki zostały przetarte” i sir Robert wespół z Bayardem zaczęli czynić przygotowania do wesela. Ja z kolei podchwyciłem kilka idiotycznych (i niedwuznacznie skierowanych ku mnie) spojrzeń lady Danelle, przeniosłem zatem swą kwaterę do Kociej Wieży lady Mariel, jak najdalej od linii małżeńskiego ostrzału.

Zresztą, tak czy owak, za kilka tygodni zostaniemy krewnymi, a nie przystoi, aby krewni ukrywali się przed sobą, jak czyniłem to do tej pory podczas pobytu w zamku.

Z drugiej strony nie chciałbym zranić uczuć Danelle, sądzę więc, iż nic złego się nie stanie, jeśli dziś na uczcie zaręczynowej dotrzymam jej towarzystwa i okażę biednej dziewczynie nieco klasycznej solamijskiej uprzejmości. Należy jej się to szczególnie ze względu na fakt, że nie tak znów dawno temu podłożyłem dziewczynie nielichą świnię, zdradzając jej imię Skorpionowi — choć zależało mi wtedy jedynie na rozproszeniu jego uwagi i mógłbym się usprawiedliwiać dość dramatycznymi okolicznościami.

Co więcej, Danelle jest jasnooką urodziwą, bystrą i bardzo sympatyczną osobką. Gdybyż tylko zechciała zrezygnować ze swoich idiotycznych planów, to myślę, że zniósłbym jakoś to brzemie.

Za dwie godziny włożę szaty w barwach czerwieni i żółci — kolorów mojej nowej rodziny — i jak rycerze, których podpatrywałem kilka tygodni temu, wkroczę do sali biesiadnej zamku di Caela.

Tam na dole już się do tego szykują. Jeśli uchylę drzwi, moglibyście usłyszeć brzęk naczyń i sztucców rozkładanych na wielkich dębowych stołach w sali biesiadnej. To noc uroczystych ceremonii i beztrudnej uczy. Nie mogę się już tego wszystkiego doczekać.

Jeśli jednak ktoś przedtem pojawi się w moich pokojach i zaoferuje mi udział w jakiegokolwiek przygodzie, popierając propozycję przekupstwem, groźbą czy pochlebstwami, powiem: „Nie, piękne dzięki, ale w to nie wchodzę”.

Obawiam się, że wyczerpałem już przydzieloną mi przez los porcję szczęścia.